

# GRAHAM MASTERTON

WIZERUNEK ZŁA





# Graham Masterton

## Wizerunek zła

**Przełożył Paweł Korombel**

**Zysk i S-ka Wydawnictwo Tytuł oryginału Picture of Evil Copyright © 1985 by  
Graham Masterton Copyright © 1997 for the Polish translation by Zysk i S-ka  
Wydawnictwo s. c., Poznań**

**ISBN 83-7150-176-5**

**Zysk i S-ka**

**Wydawnictwo s.c. ul. Wielka 10,61-774 Poznań fax 526-326 Dział handlowy tel./fax  
532-751 Redakcja tel. 532-767 Printed in Germany by Elsnerdruck-Berlin Boullion, 12  
stycznia Gdy tylko zobaczył ją stojącą pod lipami z podniesionym kciukiem i  
nylonowym czerwonym plecakiem opartym obok o barierkę, od razu dostrzegł w niej  
potencjalną ofiarę. Przejechał jeszcze dziesięć czy dwadzieścia jardów, a potem  
skierował wielką, czarną limuzynę Yanden Płás do krawężnika.**

**Siedział bez ruchu, nie wyłączając silnika i śledząc ją we wstecznym lusterku.**

**Widział, jak podnosi plecak, robi dwa, trzy kroki w jego kierunku i waha się,  
najwidoczniej niepewna, czy to ze względu na nią się zatrzymał. Śliczna, pomyślał.  
Idealna.**

**Był mglisty, widmowy poranek. Poniżej poręczy parując, cicho płynęła rzeka  
Semois. Ruiny starych zabudowań Boullion, wznoszące się po obydwu brzegach,  
oblepiały stoki wzgórza jak porzucone gniazda jaskółek i wron. W Ardenach, w  
pobliżu granicy francuskiej, był styczeń. Czas wilgotnych liści, ociekających wodą  
drzew i dzwoniącej w uszach ciszy. Czas, w którym chmury wisiały tak nisko, że  
łatwo było uwierzyć, iż reszta świata zniknęła ze szczętem.**

**Z plecakiem objijającym się o ramię dziewczyna biegła w jego stronę. Ze złotej  
papierośnicy wyjął papierosa, ale nie zapalał go. Kiedy zbliżyła się do samochodu,  
opuścił szybę i czekał. W porannym powietrzu unosiła się ostra woń wędzonych  
mięś, tytoniu i rzecznej wody.**

**–Merci monsieur.-Dziewczyna oddychała ciężko. – Je suis en voyage h Liege.**

**–A Liege? – Uśmiechnął się.**

**Choć siedział w samochodzie, mogła dostrzec, że jest wysoki. Ponad sześć stóp  
wzrostu. Miał kościstą, arystokratyczną twarz. Siwe, odrzucone do tyłu włosy,  
wpadnięte policzki, ciężkie powieki. Wąskie, subtelne usta. Nosił jeden z tych  
szarych, szytych na miarę garniturów, które wyglądały, jakby zaprojektowano je  
specjalnie z myślą o właścicielach luksusowych włoskich hoteli. Jego bladokremowa  
koszula należała do kategorii „bielizny dla dżentelmenów”. Na szczupłym lewym  
nadgarstku zegarek Piaget, tak płaski i niepozorny, że musiał być  
nieprawdopodobnie kosztowny.**

**–Allez-vous a Liege? – spytała dziewczyna.**

**Mówiła z amerykańskim akcentem i teraz, kiedy znalazła się blisko niego, widać  
było wyraźnie, jak amerykańska była również jej uroda. Włosy ciemnoblonde,  
zaplecione w warkoczyki; szeroko otwarte oczy w kolorze lazuru; usta o pełnych  
wargach, jednocześnie niewinne i prowokujące; zdrowe, białe zęby. Była młodsza i  
drobniejsza, niż to mu się początkowo wydawało, choć pod wiatrówką z żółtą  
podszewką dostrzegał krągłe kształty, które zawsze robiły na nim nieodparte**

wrażenie.

–Amerykanka? – spytał.

–Tak – odparła, patrząc na niego z ciekawością, gdyż jego akcent również był amerykański. Ostro, wyraźnie modulowane spółgłoski z lepszych okolic Nowej Anglii. Może Cap Code albo wiejskie okolice Connecticut.

–A pan? Jest pan Amerykaninem, jeśli wolno spytać?

–Proszę, wsiadaj. Nie zawiozę cię aż do Lidge, ale mogę podwieźć cię do Rochefort, a stamtąd łatwo będzie ci coś złapać dalej.

–Ratuje mi pan życie – podziękowała dziewczyna. – Myślałam, że będę tu stała do końca świata.

Pochylił się i otworzył drzwi. Wrzuciła plecak na tylne siedzenie i wsiadła.

–Dziś rano udało mi się wreszcie wykąpać i umyć włosy – powiedziała.

–Aha – odparł. On sam rozłączał zapach wody kolońskiej Chrystiana Diora.

–Jaki wspaniały stary samochód – zauważyła, gdy zatrzasnął drzwi. – Wystarczy spojrzeć na deskę rozdzielczą. Prawdziwe drewno.

–To limuzyna Yanden Płasz Princess – wyjaśnił. – Została wykonana w latach sześćdziesiątych dla księcia Luisa de Rochelle. Od czasu do czasu pozwala mi z niej skorzystać, kiedy mam ochotę pokręcić się tu i tam.

–Przyjaźni się pan z księciem?

Tym razem jego uśmiech był nieco enigmatyczny.

–Przez większość lat po wojnie moja rodzina i ja zajmowaliśmy część jego zamku.

On spędza czas głównie na południu Francji, więc nie widzimy się z nim zbyt często. Lubi hazard, rozumiesz. Odziedziczył zbyt wiele, żeby wyszło mu to na dobre, i teraz nie potrafi się powstrzymać od szastania pieniędzmi.

Ruszył od krawężnika, nie włączając migacza. Silnik zajęczał głośno, kiedy zbliżali się do rozjazdu po zachodniej stronie mostu w Boullion.

–Powinienem się przedstawić – powiedział, wyciągając dłoń. – Jestem Maurice Gray.

. – A czy ja powinnam pana znać? – spytała dziewczyna. Kierowca przedstawił się takim tonem, jakby to było oczywiste.

–Nie, oczywiście, że nie – odparł. – Jestem dzieckiem Ameryki, ale zbyt długo żyłem na obczyźnie, aby ktokolwiek mnie pamiętał. Właśnie zeszłego tygodnia przeczytałem w „Timesie”, że odszedł mój ostatni znajomy z dawnych lat.

Dziewczyna już miała zaprzeczyć, że wcale tak staro nie wygląda. Może na pięćdziesiąt pięć. Najwyżej na sześćdziesiątkę. Ale potem uznała, że lepiej będzie pominąć milczeniem jego uwagę, więc tylko uśmiechnęła się, kiwnęła głową i powiedziała:

–Cóż, tempus fugit.

Uważała ten zwrot za beznadziejny komunał, ale lepsze to niż powiedzenie czegoś kłopotliwego. Jej matka zawsze mówiła kłopotliwe rzeczy, na przykład prosiła doktorów filozofii o poradę w sprawie swoich odcisków, i dziewczyna poprzysięgła sobie, że nigdy nie będzie do niej podobna.

–Jestem Alison Shrader. Bali State University w Muncie, Indiana.

–Proszę, proszę – powiedział Maurice Gray. – Muncie. Znałem kiedyś okulistę z Muncie. Zaraz po wojnie popełnił samobójstwo.

Alison nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Minęli stary, kamienny most. Rzeczna mgła kłębiła się pod nim jak pełne żalu wspomnienia.

–Jadłaś coś? – spytał.

Alison wskazała w kierunku przeciwnego brzegu, na którym usadowiły się dwie czy trzy obskurne kafejki.

–Jadłam śniadanie w Cafe de la Citadelle – wyjaśniła, wymawiając tę nazwę takim tonem, jakby mówiła o najwspanialszej restauracji w Belgii. – Kaszanka i szklanka piwa. Pyszne. W każdym razie nie najgorsze. Jadalne.

Maurice Gray uśmiechnął się.

–Mam nadzieję, że wiesz, z czego robi się kaszankę.

–Nie musi mi pan przypominać. Ale to jest chyba pożywne? Zresztą nie stać mnie na nic innego. Staram się, by moje wydatki nie przekraczały stu pięćdziesięciu franków dziennie.

–Godne pochwały. Można żyć jak król za sto pięćdziesiąt franków dziennie, jeżeli się wie, gdzie jadać, i ma się bogatych przyjaciół.

Jechali przez boczne ulice miasta; prowadził jedną ręką, a drugą sięgnął po papierośnicę.

–Masz może ochotę na papierosa?

–Nie palę, ale proszę się nie krępować.

–Nie, nie – powiedział Maurice Gray i schował papierosa. – Szanuję prawa niepalących.

–Jaka piękna papierośnica.

–Tak – odparł – dał mi ją ojciec przed moim wyjazdem do Sudanu. Widzisz, jedna strona jest dokładnie wypolerowana, można jej używać jako heliografu.

Poruszył papierośnicą udając, że śle sygnały Morse'a przez pustynię.

–Wielbłądy... padają... przyślijcie... szampana...

Zwolnili, bo zajechał im drogę hałaśliwy motorower, prowadzony przez starszego mężczyznę. Jego żona, która ledwo mieściła się na bagażniku, trzymała obu rękami bagietki, seler i pęta kielbasy.

–Naprawdę mieszka pan w zamku? – pytała Alison.

–Z przykrością stwierdzam, że niezbyt eleganckim. Cóż, niewiele ich zostało.

Większość złupili kolejni najeźdźcy, a wiele z czasem po prostu się rozsypało.

Nasz nie jest wyjątkiem.

Opuścili Boullion i pięli się teraz na wzgórze, kierując ku głównej drodze na Lidge. Pola po obu stronach szosy zalegała blada mgła. Na srebrnej trawie pasło się białe bydło rasy fryzyjskiej, które wyglądało, jakby zeszło z pejzaży Brueghla. Na szczycie wzgórza stał wielki pomnik ku czci ofiar drugiej wojny światowej – rdzewiejąca kompozycja zespawanych ze sobą, abstrakcyjnie przedstawionych mieczy i lemiesz. Najeżona i prymitywna, we mgle robiła wrażenie symbolu pogańskiej bitwy.

–Czuję się, jakbym była tu na pielgrzymce – odezwała się Alison.

–Na pielgrzymce? – spytał Maurice Gray.

**Objął spojrzeniem jej spłowiałe dżinsy i zabłocone buty Care**

Bears. Ze swym zadartym noskiem prezentowała klasyczny amerykański profil. Marilyn Monroe, Candice Bergen i Bo Derek zmieszane razem w koktajl piegów i świeżości.

–Jakiego rodzaju? – zainteresował się. – Ze względów sentymentalnych czy naukowych? . – Mój ojciec walczył tu podczas wojny – powiedziała Alison. – Brał udział w bitwie o Bulge.

–Aha – mruknął Maurice Gray.

Jego oczy pozostały dziwnie martwe, jakby te słowa nie wywoływały w nim żadnego oddźwięku.

–Został ranny podczas walk o Liège – wyjaśniła Alison. – Pociskiem z niemieckiego moździerza, jak twierdził. Odłamki utkwily mu w mózgu.

Koniuszkami palców dotknęła lewej skroni, jakby wyczuwając tam szrapnel.

–Oczywiście nie wiem, jaki był, kiedy spotkał matkę. Zawsze opowiadała, że umiał cieszyć się życiem. Ja pamiętam go zimnego i pełnego rezerwy. Wyglądał i mówił tak, jakby myślami był gdzieś daleko. Nigdy nie powiedział gdzie. Mama mówiła, że kiedy wrócił z wojny, poczuła, że go straciła. Jakby poległ. Straciła mężczyznę, za którego wyszła za mąż. Zamiast tego miała kogoś, kto wyglądał jak jej mąż i mówił jak jej mąż, ale nim nie był. Chyba tylko dlatego postanowiła mnie urodzić. Rozumie pan, próbowała ściągnąć go z powrotem z tego jakiegoś psychicznego oddalenia, w jakim żył.

Maurice Gray milczał przez chwilę. Potem podniósł rękę i odezwał się z lekkim odcieniem ubolewania:

–Wojna przyniosła wiele tragedii. Jest normalne, że zjawiaś się tu, żeby uczcić je i upamiętnić.

Alison starła końcem szalika zaparowaną swym oddechem szybę.

–Ojciec już nie żyje. Umarł w zeszłym roku. Czułam, że muszę zobaczyć miejsce, gdzie został ranny, miejsce, w którym naprawdę był sobą. Myślałam, że to otoczenie pomoże mi go zrozumieć. Nie wiem. W jakiś niezrozumiały sposób wyobrażałam sobie, że on tu nadal będzie. Czy to nie brzmi głupio?

Maurice Gray potrząsnął głową.

–Kimże my jesteśmy, aby pytać, która część istoty ludzkiej zdolna jest przetrwać długo po tym, gdy minie jej czas?

–Miała ze mną jechać przyjaciółka – powiedziała Alison – ale potem zmieniła zdanie. No, rodzice kazali jej zmienić zdanie. Powiedzieli, że są przeciwni uganianiu się za upiorami. Maurice Gray uśmiechnął się.

–Ci ludzie z Muncie w Indianie nie sięgają szczytów subtelności, prawda?

–Dziękuję za komplement, ja też jestem z Muncie.

–Ależ oczywiście. Ale zawsze znajdują się chlubne wyjątki – czego jesteś doskonałym przykładem – które potrafią stawić czoło przesądom.

Skręcili z głównej szosy i jechali prostą, wąską drogą wiodącą do Rochefort.

Dalej od rzeki mgła zaczęła rzednąć i przejrzyste promienie słońca rozświetliły pola, pomalowane na szaro stodoły oraz żółte i bursztynowe drzewa.



**–Czy zamek jest daleko stąd?**

**–Niedaleko – odparł. – Jest na samym krańcu małej wioski o nazwie Ve"ves. Nie sądzę, abyś kiedyś o niej słyszała.**

**Alison potrząsnęła głową. Słońce nagle wypełniło wnętrze samochodu i załśniło na wypolerowanej do połysku desce rozdzielczej z drzewa orzechowego.**

**–Jak przypuszczam, śpieszysz się do Lige? – spytał Maurice Gray.**

**–Niespecjalnie. Mam jeszcze tydzień na Europę.**

**–Otóż mam myśl.**

**–Jaką?**

**Uśmiechnął się do niej przepaszająco.**

**–Zastanawiałem się, czy nie zechciałabyś odwiedzić mojego zamku i zjeść ze mną lunchu. Bardzo nie lubię być sam; dlatego zatrzymałem się i zaproponowałem ci podwiezienie. Uwielbiam towarzystwo i ciekawą rozmowę. Ale nie czuj się niczym zobowiązana. Jeśli wolisz, odwiozę cię wprost do Rochefort i nie będę miał żadnych pretensji.**

**Alison nie mogła nie odwzajemnić mu się uśmiechem.**

**–Jest pan taki staroświecki. Nie mówię tego złośliwie. Uwielbiam to. Ale pańskie maniere są jak... no, jak z filmu Przeminięło z wiatrem. Coś w tym stylu.**

**–Cóż, żyłem w Europie przez długi czas. Podejrzewam, że nie mogłem nie zarazić się europejską galanterią. Europejczycy to czarujący ludzie.**

Alison rozpięła kurtkę. Maurice Gray ukradkowo zerknął w bok i dojrzał krągłość piersi pod białym, miękkim swetrem oraz ostry błysk srebrnego krzyżyka.

–Proszę wybaczyć to, co powiem, ale w tym samochodzie jest naprawdę gorąco.  
 . – Ogrzewanie można nastawić tylko na dwie pozycje: Antarktydę lub Hades.

Alison roześmiała się.

–Naprawdę chce mnie pan zaprosić na lunch? Nie będę nikomu przeszkadzać?

–Komu miałybyś przeszkadzać?

–Nie wiem. Nie ma pan służących albo kogoś takiego? Maurice Gray skinął głową.

–Tak, mamy służących. Ale mamy ich po to, aby nam służyli. Nasze problemy w tym względzie nie przypominają kłopotów ludzi w Stanach. Nasi służący są chętni do pracy i posłuszni, tak jak to było za dawnych, szczęśliwych dni.

–No, jeżeli to nie będzie przeszkadzać...

Maurice Gray podniósł dłoń, jakby chciał położyć ją na udzie Alison, ale powstrzymał się i cofnął ją, kładąc z powrotem na kierownicę.

–Ręczę ci – powiedział niezwykle łagodnym głosem – że to absolutnie nie będzie przeszkadzać.

Zajęło im godzinę, nim dotarli do wysokiego masywu górującego nad doliną Mozy. Znowu nadciągnęły chmury i niebo nabrało szarostalowego koloru. Niemniej jednak mieli stąd widok na całe mile wokół, jakby znaleźli się na dachu świata. Lasy, pola, odległe góry i wiatr, który miotał kurzem w poprzek drogi.

Maurice Gray skręcił w prawo, w dół wąskiej drogi z drogowskazem „Veves”. Po raz pierwszy poczuł, że Alison zaczyna mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiła, przyjmując jego zaproszenie na przejażdżkę, uśmiechnął się więc uspokajająco i zanucił parę taktów szlagieru Le Pingre de Paris.

Droga wiała się w dół, wśród opadających z pochyłości pól. Szare niebo stało się tak mroczne, że Maurice Gray musiał włączyć światła. Zaczęło padać i przezroczyste krople rozlały się na przedniej szybie samochodu.

–Ojciec zawsze powtarzał, że chciałby tu wrócić – powie11 działa Alison. – Ten kraj jest naprawdę dziki, czyż nie? Czuję się, jakbym trafiła w sam środek bajki. Wie pan, jak w Śpiącej Królownej, gdy wokół zamku rozrastają się kolczaste krzewy.

–Nie powinnaś zbyt dużo czytać – zauważył Maurice Gray. – Czytanie jest szkodliwe dla ducha. Pamiętasz, co ktoś kiedyś powiedział: „Ci, co odczytują symbole, czynią to na własną zgubę”.

–Niezbyt rozumiem, co to znaczy.

–To znaczy, że z badaniami tego, co ukrywa się pod powierzchnią, zawsze wiąże się ryzyko.

Minęli Chlteau de Ve\*ves, wysoki zamek z okrągłymi wieżyczkami, z którego, jak uważano, czerpał inspirację Walt Disney przy kręceniu Królowny Śnieżki. Maurice Gray powiedział, że nie wyobraża sobie Walta Disney a, w jego wytartym garniturze i za szerokich spodniach, stojącego tu, w środku Ardenów, i podziwiającego ChS-teau de V6ves.

–Ci, co mieszkają w Hollywood, nigdy nie podziwiają niczego, zwłaszcza tego, co

stwarza obietnicę nieśmiertelności. Kiedy swym przeklętym filmem połkną jakąś piękną budowlę – zamek czy pałac – zniszczą go równie pewnie, jak gdyby zjawili się w nim z ekipą do wyburzania. To samo jest z ludźmi. Kogokolwiek sfilmują, zabijają go równie skutecznie, jakby zamiast kamery wymierzyli w niego naładowaną broń.

–Naprawdę nie rozumiem, o co panu chodzi – powiedziała Alison.

Maurice Gray podniósł palec.

–To bardzo proste. Twój obraz jest tym, czym ty jesteś. Pojmujesz to? Obraz, za pośrednictwem którego ukazujesz się światu – to ty. Jak myślisz, dlaczego tubylcy w Afryce tak się bali fotografowania? Za tamtych dni wiedziano, że dzięki próżności jesteśmy zabezpieczeni przed spojrzeniem sobie w twarz.

Wiedziano, że za każdym razem, kiedy ktoś maluje twój portret lub robi ci zdjęcie, dosłownie zabiera ci coś, coś z twego wizerunku, część ciebie. Twoja twarz starzeje się nie od wewnątrz, nie ze starości, ale z zewnątrz, ponieważ korzystają z niej i wykorzystują ją inni. Twoja twarz starzeje się dlatego, że jest oglądana czy fotografowana. Dalej mnie nie rozumiesz? Cóż, zrozumiesz.

Twoja twarz jest tym samym, co opona samochodowa-wybacz, proszę, tę niefortunną metaforę. Zdzierają i niszczy wszystko to, o co się otrze. Nie od wewnątrz, ale

od zewnętrznego tarcia. Jak myślisz, dlaczego Arabki noszą kwefy? Nie ze skromności, ale by uciec przed spojrzeciami innych, by zachować młodość.

–Naprawdę nie wiem. To znaczy, nie rozumiem. Mówi pan, że ludzkie twarze starzeją się od tego, że inni na nie patrzą i fotografują?

Maurice Gray zwolnił, a potem skręcił w prawo, pod górę stromej, wysypanej luźnym żwirem, cienistej drogi. Po lewej stronie, pod drzewami o nisko zwisających gałęziach, Alison zobaczyła owce, pasące się na nienaturalnie zielonej trawie. Przed nimi otwierał się ciemny tunel z drzew. W zalegającym tam mroku Maurice Gray prowadził wóz ze swobodą zrodzoną z długiego doświadczenia.

Wjechali na przestronny, wysypany białym żwirem podjazd. Przed nimi wznosił się potężny gotycki zamek z wielką centralną wieżą. Pomiędzy iglicami, wieżyczkami i niebieskimi okiennicami widać było co najmniej sto okien; na niższych piętrach rozmieszczono całymi rzędami wysokie francuskie okna, które błyszcząły jak rtęć w mrocznym świetle poranka. Musiały znajdować się tam westybule oraz sale balowe i bankietowe.

Wrażenie było takie, jak gdyby wielki londyński dworzec kolejowy przeniesiono w belgijskie lasy i postawiono na grzbiecie wysokiego wzgórza, panującego nad romantycznym ogrodem z okrągłym stawem, tryskającą fontanną i kępami jesionów.

Efekt okazał się równocześnie dramatyczny i onieśmielający: dzieło człowieka, który wyposażony w bogactwo i arogancję usiłuje narzucić wolę naturze. Z jakiejś przyczyny, której nie była w stanie zrozumieć, Alison zaczęła czuć się osamotniona i nieszczęśliwa. Kiedy Maurice Gray zatrzymał samochód przed kamiennymi szarymi schodami, pożałowała, że brak jej odwagi, by poprosić go o podwiezienie z powrotem do głównej drogi, aby mogła kontynuować podróż do Liege.

–To niewiarygodne – powiedziała, rozglądając się wokół.

Maurice Gray stał trochę dalej, z rękami schludnie włożonymi do kieszeni marynarki. Przypominały eleganckie listy, czekające na wysłanie. Uśmiechnął się i powiedział:

–Podoba ci się? Jest okropnie wulgarny. Ale chodźmy zjeść lunch. Oprowadzę cię potem. Lubisz zajęcia? Dziczyzna jest tu całkiem niezła.

Weszli po schodach i wkroczyli do wielkiego, rozbrzmiewającego go pogłosem holu, wyłożonego żyłkowanym marmurem. Stały tam palmy w donicach i zakurzona czerwona kanapa Chesterfield, ale całe to miejsce robiło niemiłe wrażenie opuszczonego.

Gumowe podeszwy butów Alison zapiszczały na marmurze, kiedy obróciła się i powiedziała:

–Może lepiej darujmy sobie lunch. Dlaczego po prostu nie podwiezie mnie pan z powrotem do szosy? Na pewno uda mi się łatwo złapać stop do Liege. Nie musi się pan mną już przejmować.

–Ależ wcale mi nie przeszkadzasz – powiedział Maurice Gray. – Nie czuj się onieśmielona tylko dlatego, że wszystko jest tu tak przytłaczające. Wejdźmy na górę, pokażę ci wieżę. Jest naprawdę niezwykła.

–Czuję się skrępowana – powiedziała Alison. Głos Maurice'a Graya odbił się echem.

–Nie masz powodu. Dlaczego miałabyś być skrępowana? Proszę, chodź. – Rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się do niej zachęcająco. – Przecież tylko zapraszam cię na lunch.

Alison nerwowo potarła kciuk o zęby i nie odezwała się.

–Proszę – powtórzył.

Alison rozejrzała się po holu. W świetle zmroku widać było unoszący się kurz. Kurz, który musiał unosić się tu od wielu lat.

–Przepraszam, wszystko jest nie tak. Czuję się, jakbym się narzucała.

–Ależ oczywiście, że się nie narzucasz – zapewnił ją Maurice Gray. Wyciągnął pięknie utrzymaną dłoń. – Jak pamiętasz, to ja cię zaprosiłem. Trudno więc mówić o narzucaniu się. Chodź. Przez ten czas mógłbym ci pokazać zamek.

–Chyba nie chcę. Wiem, że to brzmi głupio, ale jest tu coś takiego, że naprawdę czuję niepokój. Chyba nigdy nie poznałam nikogo, kto by żył w tak starym domu.

–Starym? – zdziwił się Maurice Gray. – Ten dom nie jest stary. Budowa zakończyła się zaledwie w jedenastym roku tego stulecia. Trudno przecież powiedzieć, że to dawno. Nie czuj się tak onieśmielona. Wiem, że jest tu trochę grobowo. Nikt z mojej rodziny – poza siostrą – za nim nie przepada, ale ona zawsze miała manię wielkości. Niemniej jednak jest to nasza siedziba, a w lecie potrafi być tu całkiem uroczo.

–Chyba zrobiłam błąd – powiedziała Alison, czując ogarniającą ją panikę. – Wolałabym się stąd wydostać. Proszę. To moja wina, jestem histeryczką. Ale to wszystko jakoś mnie przytłoczyło, rozumie pan, i naprawdę wolałabym, żeby mnie pan zawiózł z powrotem do głównej szosy.

–Bez lunchu? – spytał.. – Proszę. Nie jestem głodna.

–Ależ, na litość boską – uśmiechnął się Maurice Gray – ostatnia rzecz, jakiej bym pragnął, to trzymanie cię tu wbrew woli. Jeżeli nie masz ochoty na lunch, to w porządku, rozumiem. Zdaję sobie sprawę, że musiałem być zbyt obcesowy.

Zechciej mi wybaczyć. Jestem samotny i znudzony i nie zadałem sobie trudu, aby pomyśleć, jakie wrażenie mogę na tobie wywrzeć, mówiąc takie dziwne rzeczy i sprowadzając cię do tego ponuro wyglądającego zamczyska. Przepraszam. Zechciej mi wybaczyć. Powiedz, że mi wybaczasz.

–No, wybaczam – wymruczała niepewnie Alison.

–To wspaniale. Nie powinnaś się obawiać tego miejsca. Pozwól, że zabiorę cię na wieżę; jest tam cudownie.

–No dobra – powiedziała. – Ale gdzie są pańscy służący?

–Sądzę, że w kuchni – rzucił mimochodem Maurice Gray. Wszedł pierwszy przez ogromne dębowe drzwi do długiego, wysokiego, wykładanego marmurem holu. Po prawej stronie wielkie schody prowadziły na górne piętra. Na każdej ścianie wisiały portrety antypatycznie wyglądających ludzi, w strojach z dawnych epok.

–Rodzina de Rochelle – wyjaśnił Maurice Gray. – Nie ma żadnych związków z naszą rodziną, musisz wiedzieć. Popatrz na ich małe, świńskie oczka. Trzeba wieków

skąpstwa, aby mieć takie oczy. Rzekłbym, iż to najbardziej chciwa dynastia w Europie.

Zaczął wchodzić odbijającymi echo schodami i Alison nie miała innego wyboru, tylko ruszyć za nim. Zauważyła, że obcasy jego włoskich butów są wyglansowane do połysku. Zatrzymał się na pierwszym podeście i pokazał jej gablotkę pełną porcelany z Sevres.

–Widzisz ten serwis obiadowy? Został zrobiony dla Ludwika XVI. Czterysta osiemdziesiąt pięć sztuk, wszystkie ręcznie malowane.

Dotarli do drugiego podestu, kiedy otwarły się boczne drzwi i pojawił się młody Belg. Był szczupły i drobny; miał spiczasty nos. Włosy sterczały mu na czubku głowy jak grzebień kakadu.

–Ach, Paul – powiedział Maurice Gray. – Zastanawiałem się, gdzie się podziewasz. Ta młoda dama jest zaproszona na lunch.

Młody człowiek popatrzył na Alison szarymi, wodnistymi oczami. Potem schylił głowę i odezwał się z mocnym flamandzkim akcentem.

–Oczywiście, panie Gray. Dam znać, kiedy będziemy gotowi.

Alison poczuła się teraz dużo pewniej, kiedy wiedziała, że nie jest sama z Maurice'em Grayem. Znaleźć się w dziwnym, gotyckim zamku w środku belgijskich lasów – to trochę za bardzo przypominało wstęp do filmu grozy. Chociaż usiłowała przekonać samą siebie, że Maurice Gray jest człowiekiem absolutnie godnym zaufania i że wokół znajduje się mnóstwo innych ludzi, czuła się dziwnie nierealnie, kiedy pokonywali jeszcze jedną kondygnację schodów. Spozierając przez okna wieży, widziała wysypywany żwirem dziedziniec, żywą zieleń ogrodów i niebo koloru atramentu. Samochód Maurice'a Graya, zaparkowany przy schodach, wyglądał jak zabawka.

–Mam tu pokój tylko dla siebie – wyjaśnił. – To jedyne miejsce, w którym mogę zażyć samotności.

–Ale ma pan fantastyczny widok – powiedziała Alison.

Dotarli do pokoju Maurice'a Graya. Był stosunkowo mały, nie dłuższy niż dwadzieścia stóp i nie szerszy niż piętnaście. Jego okna z szybami oprawionymi w ołów wyglądały na zachód, ku wzgórzom, pomiędzy którymi płynęła Moza.

Wywoskowana dębowa podłoga była przykryta szaroniebieskim perskim dywanem. Ściany były nagie, a meblowanie skąpe: dębowe łóżko przykryte białą kapą z brukselskimi koronkami, biurko i krzesło.

–Jakoś tu klasztornie, jeśli można tak powiedzieć – zauważyła Alison.

Rozbawiony Maurice Gray potakująco kiwnął głową.

–Sądzę, że masz rację. Ale kiedy się skosztowało wszystkich potraw, piło wina wszelkich gatunków i doświadczyło wszystkich rodzajów romantycznych uniesień – cóż pozostaje, poza klasztorem?

–Możemy teraz zejść na dół? – spytała Alison.

–Oczywiście. Ale najpierw pozwól, że ci pokażę widok z izby zegarowej.

Weszli teraz na ostatnią kondygnację schodów, która wyglądała jak ciasna spirala z ozdobnych metalowych prętów. Echo ich kroków rozbrzmiewało aż w holu u stóp wieży. Na szczycie znajdował się mały,

ciemny pokój, w którym powoli tykał mechanizm wieżowego, czterostronnego zegara Zębate koła, sprężyny i osie – wszystko to łagodnie błyszczało od oleju. Tylko jeden promień światła przecinał pokój, wpadając przez szczelinę obserwacyjną obok wschodniej tarczy.

–Spójrz tu – zaproponował Maurice Gray. – Będziesz oszołomiona widokiem.

Alison pochyliła się i spojrzała przez szczelinę. Nagły promień światła zaświecił jej w prawe oko -jak przy badaniach w gabinecie okulisty. Oko tak niebieskie, jak polny chaber. Maurice Gray stał za nią z opuszczonymi rękoma i lekko podniesionym podbródkiem: obraz mężczyzny dającego wyraz swej pysze w ustroniu własnej izby zegarowej.

–Widzę fontannę – powiedziała Alison.

–A dalej?

–Stajnie. Przynajmniej to wygląda na stajnie. Maurice Gray wyjął z wewnętrznej kieszeni nóż o krótkim, szerokim ostrzu, które błysnęło jasno, gdy go podnosił.

–A co widzisz za stajniami?

–Sad, jak sądzę. To grusze?

–Tak. Najlepszego gatunku williamsy. Mechanizm zegara tykał i skrzypiał.

Maurice Gray zrobił cicho krok do przodu. Nóż spoczywał swobodnie w jego otwartej dłoni.

–Prawie południe – powiedział. – Jeśli nie chcemy, żeby nam dzwoniło w uszach przez resztę dnia, powinniśmy zejść na dół, zanim zegar zacznie bić.

–A tam, przy murze, jest ogródek zielny? – spytała Alison.

Maurice Gray pochylił się, jak gdyby chciał zerknąć przez małe okienko, ale zamiast tego pchnął nożem Alison Shrader prosto w plecy. Ostrze wbiło się z wyraźnym chrupnięciem.

–Ach-ch-ch – odezwała się przerywanym głosem, a potem upadła na zakurzoną drewnianą podłogę.

Maurice Gray stał nad nią przez moment. Zostawił nóż tam, gdzie utkwiał w plecach. Pchnął ją tak, aby sparaliżować, nie zabić. Wyciągnięcie noża spowodowałoby krwotok. Bardzo starannie wytarł palce, a potem pochylił się, by dokładnie przyjrzeć się jej twarzy.

Była blada jak ściana. Łapała powietrze chrapliwie, płytko i nierówno, jak ktoś nękany koszmarem w głębokim śnie. Miała szeroko otwarte oczy, ale nie była zdolna wykonać ruchu.



–Proszę, proszę-powiedział Maurice Gray. – Idealny cios.

Drzwi za jego plecami otworzyły się. Był to Paul; już wcześniej zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Razem podnieśli Alison, Maurice Gray chwytając za nogi, a Paul za ramiona, i znieśli ją ostrożnie na dół spiralnymi schodami. Zajęczała, ale żaden z nich nie zareagował. Na zewnątrz zaczął padać deszcz. Krople hałaśliwie stukały o okna, jakby chcąc zwrócić na siebie uwagę.

–Znalazłem ją w Boullion – wyjaśnił Maurice Gray. – Jeździła sama stopem po Europie. Przez dobre parę miesięcy nikt nie zauważył, że zniknęła; a do tego czasu każdy, ktokolwiek ją widział, zapomniał o niej.

–Panienka będzie zadowolona – powiedział Paul bez cienia szacunku w głosie. Zanieśli Alison do pokoju Maurice' a Graya i położyli na perskim dywanie. Paul zerwał kapę z białymi koronkami, odstawiając sztywne, chirurgiczne prześcieradło. Przenieśli ją na łóżko i ułożyli twarzą w dół, z rękojeścią noża nadal sterczącą z tyłu jej żółtej wiatrówki.

Maurice Gray pochylił się i spojrzał z bliska w twarz Alison. Odwzajemniła mu się spojrzeniem pełnym bezbrzeżnego przerażenia. Co mi zrobiliście? Co się stało? Błagam – nie mogę się ruszyć. Błagam -nic nie czuję. Maurice Gray uśmiechnął się i odezwał do Paula:

–Czy wyobrażasz sobie, jakie to przerażające – stać się całkiem bezbronnym? – Po czym zwrócił się do Alison: – Nie przejmuj się, moja droga, to wkrótce się skończy. Wkrótce spoczniesz w spokoju.

Paul rozsznurował jej buty Care Bears i postawił je z dbałością, jeden obok drugiego na podłodze. Potem sięgnął pod nią, rozpiął pasek, zamek błyskawiczny i zsunął z niej dżinsy i majtki. Były poplamione i mokre-kiedy Gray pchnął ją nożem, straciła kontrolę nad zwieraczami.

Nożycami przecięli z tyłu wiatrówkę i sweter, tak że mogli je zdjąć, nie wyciągając ostrza. Ponieważ Alison nie nosiła biustonosza, była teraz naga, tylko z szyi zwisała jej srebrny krucyfiks.

–Opatrunek – rzucił Maurice.

Paul otworzył górną szufladę biurka i wyjął sterylny opatrunek. Maurice Gray rozerwał opakowanie i położył go na stole. Potem ujął rękojeść noża i powoli wyciągnął ostrze. Ciemnoszkarłatna krew natychmiast wypłynęła z rany i pociekła po obu stronach talii Alison,

ale Maurice szybko przyłożył opatrunek, przyklejając go wokół miejsca krwawienia.

–W porządku – powiedział bardziej do siebie niż do Paula. – Mogę teraz prosić o narzędzia?

Paul wyjął już z drugiej szuflady małą mahoniową kasetkę wyściełaną granatowym aksamitem, w której spoczywały narzędzia, i położył ją obok zbroczonego krwią noża. Maurice Gray otworzył ją. Spoczywały tam ułożone rzędami skalpele chirurgiczne, klamry i igły do robienia szwów. Bez wahania wybrał skalpel i ujął go pomiędzy palec wskazujący i kciuk.

–Wszystkie były ostrzone dzisiaj rano – szybko wtrącił Paul, jakby w obawie przed skarceniem. Maurice Gray obdarzył go skrywającym napięcie, dwuznacznym śmiechem, po czym schylił się nad nagimi plecami Alison.

–Przynieś mi brandy. To zabierze mi godzinę czy dwie, maksimum.

–Czy chce pan coś zjeść? – spytał Paul. Maurice Gray spojrzał na niego z naganą.

–Oczywiście, że nie, durniu.

Paul skłonił tylko głowę. Było widoczne, że w podobnych momentach czuł, iż może sobie pozwolić na okazanie lekceważenia swemu chlebodawcy. W takich chwilach Maurice Gray był najślabszy, jak każdy człowiek, gdy oddaje się we władanie swym największym namiętnościom.

Maurice pracował ze zręcznością mającą swe źródła w długotrwałej praktyce. Z kasetki z narzędziami wyjął płaskie trójkątne ostrze, wyglądające jak chirurgiczna łoPATKA do tortu. Wsunął je bokiem w nacięcie na plecach Alison i powoli zaczął podnosić zewnętrzną warstwę jej skóry. Robił to systematycznie, ze swego rodzaju elegancją.

Paul powrócił godzinę później i zapalił lampy przy łóżku, podczas kiedy Gray cofnął się, pozwalając sobie na chwilę oddechu.

–Naprawdę piękna, nie sądzisz? – spytał służącego.

Alison miała pełne piersi, szczupłą talię, a płaska linia brzucha potwierdzała jej młody wiek. Maurice Gray roztarł między palcami parę cienkich, jasnych włosów łonowych, jakby rozcierał liście tytoniu.

–Naprawdę piękna. Trudno dopatrzeć się skazy.

Potem pochylił się i kontynuował podcinanie i podnoszenie, aż w końcu miał widmo jej skóry – nieprawdopodobną, przejrzystą pelerynę, która kiedyś należała do Alison Shrader.

Na zewnątrz zapadał zmrok. Deszcz uderzał mocno o okna. Maurice Gray był zlany potem i musiał wyjąć chusteczkę, aby otrzeć twarz.

–Najlepsza z pańskich wszystkich prac, monsieur-zauważył Paul z szyderczą uniżonością. Powtarzał to zawsze, za każdym razem.

–Proszę zanieść to mademoiselle – rozkazał ostro Maurice. – Powiedz jej, że twarz będzie wkrótce.

–Ależ oczywiście, monsieur – skłonił się Paul. – Jak pan sobie życzy, monsieur. Kiedy Paul wyszedł, Maurice Gray pochylił się nad Alison i spojrzał jej w twarz.

Patrzyła na niego bezrozumnie. Wiedział, że jej cierpienia przekraczały wszelkie ludzkie wyobrażenia na temat bólu. Gdybyż tylko potrafił wytłumaczyć jej bezmiar własnego cierpienia. Jego i każdego członka rodziny Grayów. Życie za życie, skóra za skórę. Czuł autentyczne współczucie, autentyczne wyrzuty sumienia. Ale dopiero gdyby zdolna była pojąć, jaką męką było jego życie, jak przerażające, jak niepewne, jak przekłete, wtedy może wreszcie zrozumiałaby, dlaczego umiera w takim bólu... nawet jeśli przy tym nie znalazłaby w swym sercu i w duszy przebaczenia. Westchnął i zabrał się do pracy nad jej twarzą.

Tylko raz jeszcze otworzyła oczy. Zrozumiał zawarte w jej spojrzeniu przesłanie. Kiwnął głową i uśmiechnął się. Potem, wzięwszy skalpel w jedną rękę, a drugą przesyłając jej pocałunek, ciął szybko i głęboko po gardle.

Odstąpił w tył. Prawą dłoń miał unurzaną we krwi. Tak powinien umierać każdy, pomyślał. Niespełna godzina potwornej udręki, a następnie szybki koniec.

Cierpienia, których doznała, otworzą jej bramy niebios i zachowają od czyścica.

Paul powrócił, niosąc białą serwetę, w którą zawinął skórę twarzy; potem zniknął powtórnie. Maurice Gray zszedł na pierwsze piętro do łazienki, aby umyć ręce.

Krew ściekała po białej ceramice umywalni. Patrząc w lustro pomyślał, że wygląda na zmęczonego. Nie minie wiele czasu, a trzeba będzie znaleźć kogoś następnego.

Późną jesienią Cordelia zawsze musiała rozglądać się za świeżymi

ludźmi, on zaś w środku zimy. To nużyło. I niosło ból. Ale cóż innego mogli począć?

Przycisnął dłonie do twarzy w geście medytacji. Jakże ciężko było mu dźwigać te wszystkie lata.

Ruszył wzdłuż podestu schodów, aż dotarł do biblioteki. Było to małe pomieszczenie, zważywszy na rozmiary zamku, ciasno zastawione książkami. Parę z nich miało stare, spękane skórzane okładki, ale większość była współczesna.

Prawie wszystkie dotyczyły kwestii zachowania urody, kosmetyki i chirurgii. Ale Maurice Gray nie spojrział na żadną. Zamiast tego podszedł prosto do rzeźbionego dębowego sekretarzyka, stojącego w rogu, otworzył go i wyjął karafkę z brandy.

Napełnił kieliszek trzęsącymi się rękami. – „Ci, co schodzą pod powierzchnię, czynią to na własną zgubę” – zacytował, mówiąc do siebie. – „Ci, co odczytują symbole, czynią to na własną zgubę”.

Podszedł do okna i spojrział na tereny otaczające zamek. Opowiedział Alison kłamstwa, rzecz jasna. Rzeczywiście, zamek należał kiedyś do księcia de Rochelle, ale rodzina Grayów kupiła go przed laty, kiedy był zniszczony, opustoszały, a dach zapadł się w połowie. Któż wie, co książę de Rochelle teraz porabia?

Prawdopodobnie jest martwy lub pijany albo na wpół martwy, na wpół pijany. Maurice Gray przeżegnał się i pomodlił nie wierząc, że Bóg wybaczy mu to, co musiał dzisiaj uczynić.

Przez blisko dwie godziny siedział w bibliotece, podczas gdy Alison Shrader leżała martwa na górze, a ofiara, którą stanowiła jej śmierć, była zużytkowywana. Wypił trzy duże miarki brandy, zanim zaczęło mu tak szumieć w głowie, że nie był już pewien, czy zdoła ustać na nogach.

W końcu, kiedy na zewnątrz zapadł mrok, a szyby wyglądały, jakby je zalał ciemny atrament, usłyszał, jak w korytarzach rozbrzmiewa muzyka z gramofonu. Była to Arlezjanka Bizeta, jeden z ulubionych utworów Cordelii. Podniósł się z fotela, a równocześnie w drzwiach biblioteki pojawił się Paul. Trzymał połyskującą szklankę wody mineralnej Perrier. Na ustach miał lekceważący uśmiech.

–Panna Gray jest teraz gotowa przyjąć pana, monsieur – powiedział.

–Czy...?-spytał Maurice Gray, wskazując kiwnięciem głowy górny pokój, w którym spoczywała Alison Shrader.

–Oczywiście, monsieur. Jak to jest powiedziane w Królewnie Śnieżce? W najgłębsze, najdziksze leśne ostępy? Na pastwę dzikich zwierząt?

Maurice Gray wziął z tacy perriera i łąpczywie wypił prawie całą szklankę. Potem łagodnie, ale stanowczo odepchnął Paula na bok i ruszył korytarzem do pokoju Cordelii. Zapukał w dębowe drzwi.

–Entrez! – odezwała się Cordelia.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Pokój był duży, trzykrotnie większy niż biblioteka, ale kotary były szczelnie zasunięte, tak że panował w nim nieprzenikniony mrok.

–Nie moglibyśmy zapalić światła? – spytał niecierpliwie. Rękę trzymał na gałce od drzwi.

–Jutro będę do oglądania. Kiedy wszystko się ułoży – powiedziała Cordelia.

–Ale czujesz się... dobrze?

Zapadła długa cisza. Wiedział, że powiedział coś niewłaściwego; Cordelia była rozdrażniona.

–To piękna skóra.

–Odpowiednia – odburknęła.

–Nie jesteś chyba jednak niezadowolona? Podoba ci się?

–Jest odpowiednia.

Maurice Gray wiedział, że spieranie się z Cordelią, kiedy wpadała w jeden ze swych nastrojów, miało niewiele sensu. Otworzył szerzej drzwi i spytał:

–Spotkamy się przy śniadaniu?

Milczała przez dłuższy moment. Potem powiedziała:

–Maurice, nie zniosę już tego dłużej.

–Czego?

–Wiesz, co mam na myśli. Tego wygnania. Tej izolacji. Tego życia.

Maurice nic nie odpowiedział. Słyszał już to wiele razy. I już wiele razy tłumaczył jej, że ryzyko powrotu do domu jest zbyt wielkie, że w Belgii przynajmniej mogą walczyć o przetrwanie, nie narażając się na ujawnienie. Ich ofiary można porzucać w lesie, gdzie składane w płytkie groby zostaną pożarte przez dziki. Nieznane, nie odnalezione, zapomniane -jak oni sami.

–Jutro znowu porozmawiam z ojcem-powiedziała Cordelia.

–Niezaprzeczalnie masz do tego prawo.

–Na litość boską, Maurice, nie bądź taki obłudny. Jesteś moim bratem, nie spowiednikiem.

–Usiłuję być twoim opiekunem. Znowu milczenie. Po chwili odezwała się:

–Wiem. Przepraszam, ale naprawdę chcę pojechać do domu.. – Wystarczy, żeby rozpoznała nas tylko jedna osoba. Stanie się to, co poprzednim razem. Nie stanie się, jeżeli będziemy mieli portret.

Maurice Gray spuścił głowę i powiedział ze spokojem, który bywa rezultatem bezgranicznego rozdrażnienia:

–Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma cienia szansy, abyśmy kiedykolwiek go odnaleźli. Zostaliśmy zdruzgotani, Cordelio. To jedyne określenie. Zdruzgotani i wygnani.

–Pojadę jeszcze raz do Luksemburga. Będę rozmawiać z Eu-stachiem Rossim.

–Nie mogę ci tego zabronić.

–Nie, nie możesz – odrzekła. – A ja pojadę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nowy Jork, 12 stycznia Powiedział Edwardowi, że prawdopodobnie będzie z powrotem o piątej, najpóźniej o szóstej.

–A przypuścimy, że ktoś będzie chciał coś kupić? – spytał Edward.

–Jeżeli ktoś będzie chciał coś kupić, sprzedasz mu to – wyjaśnił Yincen, narzucając na siebie granatowy płaszcz.-To jest interes, rozumiesz. Nie muzeum. Edward, wyraźnie nieszczęśliwy, rozejrzał się po galerii.

–Może powinienem zaczekać, aż wrócisz. Właściwie prera-faelici nie są moją najsilniejszą stroną.

Yincen naciągnął czarne, skórzane rękawiczki.

–Na miłość boską, przecież to tylko obrazki.

–No, chyba tak – przytaknął Edward.

To było typowe dla Yincenta, okazywać lekceważenie wobec dzieł sztuki z okresu dojrzałego wiktorianizmu, mających wartość siedemnastu milionów dolarów, określając je jako „obrazki”. Choć23 dziło o trzech Rossettich, dwóch Holmanów Huntów i niedawno znaleziony portret Millaisa. Ale cóż, Yincen pochodził z rodziny, która zajmowała się kupowaniem i sprzedawaniem dzieł sztuki na długo przedtem, zanim Rossetti, Millais czy Holman Hunt chwycili za pędzel. Dziadek Yincenta upijał się z Monetem, a pradziadek był przyjacielem Sisleya. Sam Yincen był jednym z najbliższych kompanów Marka Rothko i regularnie jadał lunch z Richardem Anuskiwiczem.

Kiedy Edward otworzył drzwi, żeby go wypuścić, ostry podmuch grudniowego zimna wtargnął do ciepłego wnętrza galerii. Drzwi były zawsze zamknięte na zamek: każdy, kto chciał wejść do środka, żeby obejrzeć obrazy, musiał nacisnąć najpierw dzwonek i zaglądać z nadzieją przez zbrojoną szybę. Na zewnątrz zawyła syrena, to trąbiła wielka ciężarówka. Wszędzie unosił się zapach zimy, spalin i gorących bułeczek.

–Proszę tylko o jedno – powiedział Yincen – niech nikt na razie nie bierze

Millaisa. Dick jeszcze nie zdążył go sfotografować. Aha, gdyby dzwonił Aaron Halperin, powiedz mu, że podczas tego weekendu będę na wsi. Dostałem dwa Johnsony i chcę, żeby je oczyścił.

–Tak jest, komandorze. – Edward zasalutował podniesioną ręką, a potem zamknął drzwi.

Stał przy nich przez moment, obserwując odchodzącego Yincenta, a potem odwrócił się i spojrział na obrazy wiszące na ścianach galerii, jakby były niesfornymi dziećmi, które pozostawiono mu pod opieką.

–Niech to szlag trafi-powiedział. Nie lubił, kiedy zostawiano galerię pod jego wyłącznym nadzorem. Zawsze, gdy zostawał sam, coś się musiało zdarzyć. Jak ostatnim razem, kiedy pojawił się starszawy irański emigrant i chciał za jednym zamachem kupić czterech Johnów Kanesów, płacąc gotówką i żądając, aby przywieziono mu je do hotelu taksówką. Taksówką, dobry Boże. A jeszcze poprzednio, elegancko ubrany, siwowłosy mężczyzna, z pozoru zamożny i pozornie przy zdrowych zmysłach, z furią zaatakował nagle parasolem oryginalny brąz Paula Fairleya. Z jakichś przyczyn sztuka była nieodpartym magnesem dla ekscentryków, a Edward zawsze musiał być sam, kiedy ci ekscentrycy raczyli się zjawić.

Przez pierwsze pół godziny nikt nie przycisnął dzwonka przy

drzwiach. Było wczesne przedpołudnie, mroźne i zapowiadające deszcz ze śniegiem; marny czas na sprzedawanie wielkiej sztuki. Pora po lunchu zawsze przynosiła większe obroty. Bogaci mężczyźni wracali wtedy do hoteli z Four Seasons czy 21, pełni dobrego jedzenia i jeszcze lepszego wina, pragnąc zaimponować tym pięknym, młodym damom, których w ogóle nie powinni zapraszać na lunch.

Edward wszedł na pierwsze piętro galer. Zabębnił palcami po poręczy antresoli. Był szczupłym, atletycznie zbudowanym mężczyzną o kręconych włosach. Miał dwadzieścia pięć lat. Był ubrany w grafitowy garnitur z kontrastowo dobraną kamizelką i krawatem noszonym przez chłopców z dobrych domów, który na pewno wzbudziłby aprobatę szefa działu mody „Playboya”. Mimo że miał klasę i był niegłupi, zawsze sprawiał wrażenie, jakby właściwym dla niego strojem był dres do joggingu.

Edward był średnim z trójki rodzeństwa. Jego starszy brat od razu wszedł w rodzinną firmę brookerską. Młodszy wyrodził się kompletnie i pojechał sprzedawać katamarany w San Diego. Ale Edward – głównie dlatego, że nie potrafił wymyślić nic innego, a także ponieważ chciał udowodnić ojcu, że jest niezależny -jakoś znalazł się tu, w Galerii Sztuki Pearsona na Wschodniej Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy, z wątpliwym tytułem „samodzielnego kustosza”. W istocie służył Yincantowi Pearsonowi jako automatyczna sekretarka, maszynistka, chłopiec do bicia i żywy kalendarz; był człowiekiem do wszystkiego.

Edward lubił sztukę, szczególnie impresjonistów, ale sam był pozbawiony talentu twórczego. Gdyby jednak potrafił sportretować tę zimę na płótnie, użyłby czystej sadzy. W październiku roztrzaskał doszczętnie swojego ukochanego dodge'a charger'a na New Jersey Turnpike. W listopadzie stracił narzeczoną: Laura porzuciła go dla barczystego, krępego, idącego w górę jak rakieta prawnika, który z wyglądu kojarzył się bardziej z armeńskim rzeźnikiem niż z gwiazdą palestry. W dwa dni później został napadnięty pod swoim domem i obrabowany ze wszystkich kart kredytowych.

Kiedy tego rana krążył po galerii, czuł się jak urodzony pod całą konstelacją złych gwiazd.

Właśnie kiedy patrzył na dół z antresoli pierwszego piętra, po raz pierwszy zobaczył tę kobietę. Spoglądała na lewe okno wystawowe



galerii, w którym, na artystycznie rzuconym kawałku szmaragdowego jedwabiu, wyeksponowano małego Holmana Hunta Amos i kosz letnich owoców.

Była blada, ale nawet z tej odległości – i nawet pomimo refleksów świetlnych rzucanych przez zbrojone szkło wystawowe – wydawała się piękna. Miała na sobie ciemną, futrzaną czapkę i długie futro. Jedną dłonią, tak białą i doskonałą jak ze szkicu Leonarda, zaciskała kołnierz.

Edward obserwował ją przez chwilę. Wydawała się dziwnie podniecona; odchodziła od okna i wracała. Co chwila podnosiła dłoń, jakby chcąc osłonić oczy przed blaskiem światła galerii.

Oby tylko nie był to kolejny wandal z cegłą w torebce, westchnął Edward. Nawet gdyby nie udało się jej rozbić szyby okiennej, byłby zmuszony wezwać policję, zgromadziłby się tłum – zeznania, szarpanina. Pewna kobieta zasmarowała całe okno orzechowym tortem tylko dlatego, ponieważ uznała za „niestosowne” dwa pomalowane na różowo metalowe sześciany, noszące nazwę „Aktów nieoczywistych”.

Ale ta kobieta nie zbliżała się do okna i nie wyjmowała żadnych cegieł z torebki. Równocześnie jednak nie odchodziła, mimo zimna i tłumy potrącających ją ludzi, który jak zwykle wypełnił ulice w porze lunchu.

Po jakichś pięciu minutach Edward zszedł na dół do głównego pomieszczenia galerii i zbliżył się do okna, aby lepiej się jej przyjrzeć. Była wysoka – o wiele wyższa, niż sobie to początkowo wyobraził – i uderzająco piękna. Miała szczupłą, szlachetną twarz europejskiej arystokratki – może Angielki, a co bardziej prawdopodobne, Francuzki. Oczy miała duże, o migdałowym wykroju i ciężkich powiekach; usta były nieco rozchylone i Edward mógł dostrzec błysk trochę wysuniętych górnych zębów. Z jakiegoś powodu kobiety z takimi zębami zawsze robiły na nim wrażenie; każda z nich wyglądała tak, jak gdyby przeżywała właśnie jakąś drobną erotyczną przyjemność.

Patrzył na nią dalej, a ona równie często zaczęła spoglądać w jego stronę, ale wyraz twarzy kobiety nie zdradzał, że go dostrzega.

W końcu, kiedy już myślał, że zbiera się do odejścia, podeszła do drzwi galerii i nacisnęła dzwonek.

No dobra, pomyślał, zaczynamy – oto Ekscentryczka Miesiąca.

Zbliżył się ze swoim ciepłym uśmiechem samodzielniego kustosza i otworzył drzwi. Kiedy wchodziła do środka, poczuł, jak futro z nerek musnęło mu dłoń.

Pieczołowicie zaniknął drzwi i obrócił się do niej. Była bardzo blada, głowę trzymała wysoko i dumnie.

–Czy pan jest właścicielem? – spytała pewnym siebie tonem, krystalicznie czystą angielszczyzną.

–Jestem kustoszem. Właściciel jest teraz nieobecny.

–Kiedy wróci?

–No cóż, powiedział, żeby nie spodziewać się go przed piątą. U niego zwykle oznacza to przed szóstą.

–Ach, tak-powiedziała kobieta. A potem, ciszej: – Ach, tak.

Podeszła z wolna ku najbliższemu obrazowi. Było to Wesele – nieskazitelnie namalowane, nieskazitelnie powernikso-wane, warstwa po warstwie, aż stało się prawie nie do rozpoznania.

–Rossetti – orzekła. Edward kiwnął głową.

–Mogę podać pani cenę, jeżeli jest pani zainteresowana. Podniosła głowę i rozejrzała się po innych obrazach.

–Doskonały. Doskonały zbiór.

–Dziękuję – przyjął komplement Edward. Kobieta zmarszczyła brwi.

–Nie chwaliłam pana. Chwaliłam artystów. To oni są twórcami. Kolekcjonerzy tylko kolekcjonują. A galerie – galerie są jak przekupnie w świątyni.

Edward udał, że go to nie obeszło.

–Obawiam się, że prerafaelici nie są moją mocną stroną. – Kiedy mówił, kobieta obróciła się do niego tyłem. – Ja sam raczej siedzę w impresjonistach – dodał.

Odpowiedziała, nie odwracając twarzy.

–Impresjoniści zawsze kojarzyli mi się ze słabością. Zajmują się raczej światłem niż formą. Światło jest niczym; jest pozbawione treści. Tylko skóra i kości mają prawdziwe znaczenie. Ciało i mięśnie.

–To interesujący punkt widzenia – powiedział Edward, starając się być uprzejmy.

Ta kobieta była przecież bez wątpienia bogata. Kto wie? Mogła złożyć ofertę na jednego z Huntów.

Podążył za nią, z rękami założonymi do tyłu, kiedy szła wzdłuż półkolistej ściany galerii, oglądając po kolei każdy obraz.

–Na górze – powiedział z nadzieją w głosie – mamy nie

rozpoznanego wcześniej Millaisa. Portret Wielkiego Collinsa, namalowany tuż przed jego ślubem z Effie Ruskin.

–Tak – powiedziała kobieta i Edward odniósł szczególne wrażenie, że ten portret jest jej znany.

–Jest... – zaczął, wskazując w kierunku antresoli. – Ma pani ochotę rzucić na niego okiem?

–Nie.

–Och-wymamrotał Edward. Nastąpiła nieprzyjemna pauza. Po chwili spytał: – Czy interesuje panią coś szczególnego?

–Tak.

Zanim się odwróciła i spojrzała na Edwarda, jeszcze raz uważnie przyjrzała się obrazom.

–Waldegrave. Czy macie jakieś obrazy Waltera Waldegrave'a? Edward pochylił się do przodu, jakby nie dosłyszał wyraźnie.

–Waldegrave? Przepraszam...

–Był Anglikiem, urodzony w Londynie. Malował głównie pejzaże. Bardzo niewiele portretów. Ale istnieje jeden konkretny portret, którego nabyciem jestem szczególnie zainteresowana.

–Może go pani opisać?

–Pięć stóp szerokości, trzy wysokości. Bardzo ciemny portret, ukazujący dwunastoosobową rodzinę w pracowni malarskiej udra-powanej czerwienią.

Edward zarumienił się na moment, a potem powoli potrząsnął głową.

–Przykro mi. Musi pani porozumieć się z właścicielem.

Czuł zakłopotanie i jakiś dziwny lęk. Zaraz następnego dnia po podjęciu pracy w galerii Pearsona Yincen pokazał mu magazyn, w którym znajdowało się dwieście albo trzysta obrazów z czasów rozkwitu epoki wiktoriańskiej umocowanych na wysuwanych wieszakach i przechowywanych w stałej temperaturze i wilgotności.

Yincen pokazał mu niektóre z najlepszych, kilka nie będących niczym więcej niż zabawnymi kiczami, a także parę z przeznaczonych na sprzedaż, wszystko jedno komu za prawie każdą cenę, wreszcie takie, z którymi rozstałby się bardzo niechętnie.

Kiedy jednak Edward zaczął oglądać jakieś duże malowidło, Yincen podszedł i schował obraz.

–To nie jest na sprzedaż – rzucił ostro. – To należy do prywatnej kolekcji Pearsonów.

Edward powtórnie wysunął je na parę cali.

–Rozumiem dlaczego – powiedział – to wspaniałe dzieło sztuki. Ale czy oni wszyscy nie są obrzydliwi? Nie życzyłbym sobie spotkania z nimi w ciemną noc, zwłaszcza en masse.

–Należało do mojego dziadka – tłumaczył Yincen, uparcie chowając płótno z powrotem. – Z niewiadomego powodu był na jego punkcie bardzo przesądny. Zwykł powtarzać, że to rodzinny talizman: jak długo pozostanie naszą własnością, będzie nas chroniło.

–W takim razie rozumiem, czemu je trzymasz. Ale dlaczego tu? Wyglądałoby niesamowicie w twoim mieszkaniu.

–Kiedy byłem jeszcze chłopcem, zawsze wisiał w salonie nad kominkiem – wytłumaczył Yincen. – Ale potem zaczął się rozkładać. Wysłałem to w przyszłym tygodniu do Aarona Halperina, do odrestaurowania.

–Jest w nim coś niesamowitego, czyż nie? Chodzi mi o tych wszystkich koszmarnych staruchów. Myślisz, że Waldegrave namalował ich z żywych modeli. Yincen wzruszył ramionami.

–To prawdopodobnie nic więcej, jak tylko wytwór wyobraźni. Imaginacja artysty. Waldegrave stał się bardzo dziwny u schyłku życia. Był zamieszany w praktyki czarnoksiężskie, demonologię i wszelakiego rodzaju hokus-pokus. Wyobraź sobie, że Stuart He-athcliff podejrzewa, iż ten obraz jest niczym więcej jak satyrą na krytyków Waldegrave'a: każdy recenzent dzieł sztuki, który kiedykolwiek go zjechał, znalazł się tu i został przedstawiony w sposób równie potworny, jak potworne były jego recenzje malarstwa Wal-degrave'a.

–To musi być coś warte, choćby jako kawałek historii – skomentował Edward.

–Tak, ale nie jest na sprzedaż – odparł Yincen z naciskiem, ucinając dyskusję. Edward zawahał się przez moment, potem wzruszył ramionami i wyszedł za Yincenem z magazynu.

I oto dwa miesiące po tym zjawia się ta blada kobieta w futrze i pyta go o ten sam obraz. Dwunastu ludzi w pokoju udrapowanym czerwienią – choć zgodnie z tym, co powiedziała, ta dwunastka nie była recenzentami ani krytykami sztuki, ale stanowiła rodzinę. Może Waldegrave'owi oni również się nie podobali. Może to była rodzina żony.

–Dowiedziałam się z wiarygodnego źródła – powiedziała kobieta – że pan Pearson jest obecnie właścicielem portretu Wal-degrave'a. W istocie usiłuję od dawna zlokalizować ten portret.

Edward poczuł, że uśmiecha się raczej głupawo, choć wcale nie miał takiego zamiaru; wyglądało na to, że jego twarz nie jest zdolna przybrać innego wyrazu.

–Nazwisko Waldegrave wydaje mi się znajome – zauważył.

–Walter Waldegrave – powiedziała wyraźnie, nie spuszczając z oczu jego twarzy.

Niezwykłe oczy; patrzyły na niego, a jednak wydawało się, że go wcale nie spostrzegają. Były to raczej zwierciadła niż oczy. – Urodzony siedemnastego marca tysiąc osiemset czterdziestego trzeciego. Zmarły trzynastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego szóstego. To był wtorek, wie pan, i w Connecticut padał deszcz.

Edwardowi przemknęło przez głowę: No, zaczyna się. Pierwsze pęknięcia na pozornie zdrowej powłoce. Teraz zaczniesz zrywać z siebie ubranie albo rzuci w obrazy butelką tuszu.

–Naprawdę nic nie wiem o takim obrazie – powiedział. – Widziałem cały zbiór pana Pearsona, nawet jego tekę z akwarelami, i obawiam się... – Rozłożył ręce na znak, że nie jest w stanie więcej pomóc.

–Widział go pan, prawda? Widzę to po pańskim spojrzeniu. Widział pan. W jakim jest stanie? Czy nie jest zniszczony? Czy nadal nie jest skatalogowany?

–Przykro mi, ale nastąpiło nieporozumienie. Będzie dużo lepiej, jeżeli przyjdzie pani później i porozmawia z panem Pearso-nem.

–Jestem gotowa zapłacić panu za niego bardzo dużą kwotę, jeżeli okaże się to konieczne – powiedziała po chwili milczenia.

–Dobrze, przekażę to panu Pearsonowi. Jestem pewien, że obsłuży panią najlepiej, jak to będzie możliwe.

–Jesteś niezwykle lojalny, prawda? Nadzwyczaj lojalny samodzielny kustosz. No cóż, chyba nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. Był czas, kiedy mężczyźni lubili poszaleć. W dzisiejszych czasach myślą tylko o tym, żeby nie stracić pracy.

–Czy mam powiedzieć panu Pearsonowi, że da pani jeszcze znać?

–Jak pan chce.

–Mam mu podać pani nazwisko?

–Proszę, jeśli pan chce.

Edward podszedł do małego biurka, przy którym klienci mogli przysiąc na rokokowym krzeselku podczas wypisywania czeku. Wziął pióro z podstawki z kości słoniowej i spytał: – Tak?

–Proszę mu powiedzieć, że dzwoniła panna Vane. Panna Sybil Vane. Nie będę zostawiała numeru telefonu. Przebywam obecnie u przyjaciół; nie sądzę, żeby byli zadowoleni, jeśli będzie się ich niepokoiło telefonami w sprawach handlowych.

–A kiedy ma pani zamiar zjawić się powtórnie?

–Jutro. Nie jestem pewna, czy będzie to rano czy wieczorem. Ale na pewno jutro.

–Dziękuję pani – odezwał się uprzejmie Edward i odprowadził ją do drzwi.

–Bardzo tu dbacie o bezpieczeństwo – zauważyła, kiedy nie omieszkał rozejrzeć się po ulicy, zanim odblokował zamek przy drzwiach.

–Cóż, jesteśmy do tego zmuszeni. To nie Woolworth.

–Był pan czarujący. Oczekuję, że zobaczę pana jutro – pożegnała go, obdarzając uśmiechem.

–Do widzenia pani – powiedział usłużnie Edward.

Zamknął za nią drzwi na zamek i obserwował, jak przechodzi przez Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicę, idąc pod prąd. Po chwili znik-nęła. Wrócił do wnętrza galerii, podszedł do biurka, gdzie leżała kartka z wypisanym w poprzek nazwiskiem „Sybil Vane”. Podniósł ją, wachlując, w dwóch palcach.

W tej kobiecie było coś zwracającego uwagę. Coś nie do końca rzeczywistego. Była bardzo zimna i drażliwa, niespecjalnie uprzejma, a jednak miała w sobie klasę, chłodne przyciąganie, które wzbudziło w nim pragnienie zobaczenia jej powtórnie, nawet jeśli miałby tylko na nią patrzeć. Pozostawiła również po sobie zapach dziwnych perfum. Nie przypominały niczego, z czym się do tej pory spotkał.

Pachniały jak zamknięty pokój wypełniony kwiatami; jak przyprawy trzymane w zapieczętowanych ceramicznych dzbanach. Zapach unosił się z małej, haftowanej chusteczki i trwał w powietrzu długo po tym, jak jej właścicielka odeszła.

Był w stanie wyobrazić sobie, że pod długim czarnym futrem

z norek była naga. Blade, połyskujące uda, czarne jedwabne pończochy.

Nagle poczuł się bardzo młody i niedoświadczony-tak jak czuł się w liceum, kiedy próbował umówić się z Sally Yanderhog, równocześnie podniecony i lekko przestraszony.

Kiedy odłożył kartkę i odwrócił się, poczuł lekki wstrząs: ujrzał na ulicy mężczyznę, obserwującego go przez szklane drzwi. Ich oczy zetknęły się na moment, potem mężczyzna znikł. Nie wiedząc dlaczego, Edward przypomniał sobie, jak tamta kobieta powiedziała: „Był to wtorek, wie pan, a w Connecticut padał deszcz”. I wspomnienie tej uwagi – dziwnie rzeczowy ton, jakim ją wypowiedziała – niepokoiło go bardziej niż wszystko inne.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nepaug, 12 grudnia Deszcz ze śniegiem zacinął z taką furją, że brzeg jeziora stał się prawie niewidoczny. Gordon ukrył się pod swoją peleryną z demobilu; Wesley widział tylko ognik jego peta i podwójne odbicie, żarzące się w szklach okrągłych, przeciwdeszczowych gogli Gordona. Wesley nie ruszał się z miejsca na dziobie, zarzucając wędkę, ściągając i zarzucając znowu, obojętny na deszcz i śnieg.

Rondo jego nieprzemakalnego kapelusza zwisało mu nad uszami jak wyjęta z wody kapusta. Ani myślał brać się do wiosł i ruszać w powrotną drogę przed złowieniem przynajmniej jeszcze jednego okonia. Ryba nabijała się dzisiaj z niego, a Wesley nie był mężczyzną, który na to pozwala – czy to rybie, czy kobiecie. Gordonowi mogło mniej zależeć na takich sprawach, ale Gordon nie przeszedł przez dwa rozwody i nie stracił dziesięcioletniego syna w wypadku na łódce, jak to zdarzyło się Wesleyowi.

Chociaż policja trzy razy przeczesła tę część jeziora Candle-wood, nie znalazła śladu chłopca. Minęło już sześć lat, a Wesley wciąż dawał upust swojej wściekłości, mszcząc się na rybach. Nikt nigdy tego głośno nie powiedział, ale okropnym powodem zaciętości Wesleya było to, że po prostu ryby zjadły jego syna.

Gordon odpalił kolejnego papierosa od niedopałka i hałaśliwie odkaslnął.

–Komentator od pogody nic nie mówił o deszczu ze śniegiem – zauważył, jakby to miało pocieszyć Wesley a.

–Komentatorzy od pogody gówno wiedzą-powiedział Wesley, szarpiąc za żyłkę. – Każdy ślepy na jedno oko widział, że idzie deszcz ze śniegiem. To się widzi po chmurach.. – Chcesz kanapkę? Marjorie zapakowała mi trochę pepperoni.

–Napiłbym się piwa, jeśli jeszcze coś zostało.

–Jasne.

Gordon pogrzebał w namiocie, skleconym naprędce z jego peleryny, i w końcu trafił na puszkę millera. Był przemoknięty, kiepsko się czuł, dokuczał mu reumatyzm, ale do głowy by mu nie przyszło zaproponować Wesleyowi, żeby już zaczęli wiosłować do brzegu. Kiedy się wypływało na ryby z Wesleyem, siedziło się na wodzie, dopóki Wesley nie był usatysfakcjonowany, że wykończył ich dostatecznie wiele. Dopiero wtedy płynęło się do domu. Wynagradzał to fakt, że kiedy wypływało się z Wesleyem, zawsze łowiło się trzy razy więcej ryb niż wtedy, kiedy wypływało się z kimś innym; a Wesley dorzucał jeszcze cały swój połów. Wesley nie jadł ryb. Nikt nigdy nie pytał go dlaczego.

Deszcz ze śniegiem siekł powierzchnię jeziora szarymi lodowatymi salwami. Teraz prawie niepodobna było dojrzeć brzeg, oprócz ciemnej, ząbkowanej linii sosen.

Wesley pociągnął nosem i przetarł swoje ryże wąsy wierzchem dłoni. Potem szarpnął za koluszek puszeki i wypił piwo.

–To wariactwo, nie? – odezwał się w przestrzeń. – Siedzę tu na trzystu milionach galonów wody, następne pół miliona leje się z nieba, a mnie chce się pić.

Gordon wydmuchnął dym i nie odezwał się.

Przez długi czas nie było nic słyszeć poza deszczem, natrętnym pluskiem drobnej fali o burtę łodzi i ostrym wizgiem kołowrotka Wesleya.

–Pieprzona ryba – mruknął. Gordon rzucił papierosa do wody.

–Dalej spotykasz się z Marlene Adams? – spytał. Nigdy nie dawał się wciągnąć w rozmówki o rybach.

–Jasne. Zabrałem ją w zeszłym tygodniu do Bridgeport, na koncert Johnny'ego Casha.

–Ona lubi Johnny'ego Casha?



–Całą muzykę country. Doiły Parton, Waylon Jennings, Smo-ky River Boys i kogo tam jeszcze.

–Do głowy by mi to nie przyszło, patrząc na nią. Wesley skończył swoje piwo i zgniótł puszkę w lewej dłoni.

–Wszystkie baby lubią country, bo jest sentymentalne. Daj im coś sentymentalnego i już mają frajdę. Coś do popłakania. Wiesz, który kawałek lubi najbardziej? Ten o małej dziewczynce, co to pojawia się na schodach ze swoim małym pieskiem, a potem umiera w nocy.

Gordon pociągnął nosem w zadumie.

–No, nigdy bym na to nie wpadł. W ogóle na to nie wygląda. – Zamilkł, a potem powiedział: – Mała dziewczynka, mówisz?

–Co?

–Mała dziewczynka, co umiera w nocy?

–I piesek; oboje.

Gordon kiwnął głową, a potem zerknął na zegarek. Niedługo zacznie się całkiem ściemniać. Zastanawiał się, czy powinien zjeść swoją ostatnią kanapkę z pepperoni, czy zostawić ją na później. Z miejsca, w którym siedział, Wesley wyglądał w półmroku i marznącej mżawce jak kapitan Ahab szukający swego przeznaczenia. Zgarbiony, zdecydowany i nieugięty. Moby Dick był jedyną klasyczną książką, jaką kiedykolwiek Gordon przeczytał – nie licząc No Orchids for Miss Blandish – i nie zrozumiał z niej prawie ani słowa. Ale mimo to lubił mówić ludziom, że ją przeczytał i czasami cytować z niej. „Lepiej spać z trzeźwym kanibalem niż z pijanym chrześcijaninem”. Tak brzmiał jego ulubiony cytat.

Dalej rozważał w duchu problem kanapki, kiedy Wesley nagle szarpnął swoją żyłkę.

–Gównno! – krzyknął. – Złapałem coś, coś naprawdę dużego! Gordon zaczął gramolić się na dziób, ale Wesley wrzasnął:

–Nie ruszaj się! Kołyszysz tę pieprzoną łódź! Słysząc było krótki wizg rozwijającej się żyłki; potem Wesley zaczął ją wybierać.

–Jest wielka! – powiedział podniecony. – Największa dzisiaj. Gordon przykląkł na środku łodzi, wlepiając oczy w ciemność.

–Nic nie widzę – powiedział.

–Tam! Patrz tam! Widać bryzgi!

–Dalej nic nie widzę.

I – No, to chodź tu i pomóż mi, zakuta pało. Waży, cholera, z tonę.

Gordon niezdarnie dobrnął do dzioba i pomógł Wesleyowi przy jego wędce.

Cokolwiek Wesley ciągnął, stawiało im niezwykle opór, ale Gordon wyczuwał w tym jakiś martwy ciężar. To coś nie walczyło z nimi, nie ciągnęło w swoją stronę; dryfowało w wodzie jak na wpół zanurzona kłoda. Gdyby było żywe, to przy tych wymiarach zmiotłoby ich raz dwa z łodzi. Gordon łowił kiedyś niebieskie marliny przy Florida Keys i wiedział, jak silne i żywotne potrafią być te kutasy.

–To kłoda – powiedział Wesleyowi.

–Nie pieprz, to żadna kłoda. To Duża. To pieprzona Duża.

Nepaug, jak wszystkie jeziora i zbiorniki wodne, miał legendarną rybę o monstrualnych rozmiarach. Miejscowi entuzjaści wędkarstwa nazywali ją „Starym Wąsaczem”, ale Wesley nigdy nie mówił o niej inaczej jak „Duża”. Połowa rybaków w Litchfield twierdziła, że kiedyś tam miała już na haku Starego Wąsacza.

Wszyscy oni, rzecz jasna, byli zmuszeni odciąć go i puścić z powrotem.

–Dalej nic nie widzę-powiedział Gordon. – Gdyby to była ryba, to by się nie dawała. A to ani drgnie. To kłoda. Wesley odwrócił się do niego z poszarzałą twarzą.

–Chcesz mi powiedzieć, że nie wiedziałbym, jakbym złapał pieprzoną kłodę? To nie jest pieprzona kłoda! To ona! To Duża!

Wesley, na krawędzi hysterii, zwijał i zwijał kołowrotek. Gordon próbował mu pomóc, ale Wesley odepchnął go gniewnie. Przez strugi lodowatego deszczu Gordon widział drobne fale, rozchodzące się jak rybi kręgosłup od miejsca, gdzie płynęła zdobycz Wesleya. Cokolwiek by to było, było ciemne i duże i na pewno wyglądało jak kłoda. Gordon zdjął swoje gogle i wytarł je mokrą, wymiętą chustką.

Teraz ciemny, zanurzony w wodzie kształt zbliżał się ku nim siłą bezwładu.

Gordon pomyślał, że Wesley musi przecież wiedzieć, że to nie jest ryba, że to tylko kawał drewna albo płatanina zarośli i śmieci, ale Wesley nawijał żyłkę, aż naprężyła się i ta rzecz uderzyła o burtę.

–Jesteś, ty skurwielu! – krzyknął Wesley, prawie łkając, i odciągnął wędkę do tyłu tak, że przedmiot wynurzył się z wody.

Gordon wrzasnął jak kobieta. Tym, co wyskoczyło prawie jak żywe, było ludzkie ciało pozbawione włosów, całe krwistoczerwone; ohydne, szkarłatne rybia przynęta. Oczy pozbawione powiek, zęby obnażone.

Patrzyło na nich w niemej męce, zanim z chlupotem zważyło się z powrotem do wody.

–Jezu Chryste! – zaskrzeczał Wesley. – Jezu Chryste! – Rzucił się po nóż, żeby odciąć ciało od żyłki; trząsał się, skowytał i przeklinał. Ciało obróciło się i znów uderzyło o łódź, a Wesley zawył:

–Zjeżdżaj! Zjeżdżaj! Na litość boską, zjeżdżaj!

W końcu, nie mogąc odciąć żyłki, wyrzucił wędkę za burtę i siedział sztywny z przerażenia patrząc, jak ciało, obróciwszy się w kółko raz i drugi, stopniowo odpływa.

Potyając się Gordon rzucił się do steru i pociągnął za starter wysłużonego

motoru Evinrude. Przynajmniej raz, z ogłuszającym beknięciem, zaskoczył przy pierwszej próbie. Gordon bez słowa zawrócił łódź i posterował do brzegu. Wesley też nie odzywał się słowem; siedział na środku łodzi, z rękami zaciśniętymi na obrzeżach burt, zbieleńcami kłykciami, pochyloną głową. Tylko ramiona wstrząsane były dreszczami strachu i obrzydzenia przebiegającymi przez jego ciało.

A najgorsze ze wszystkiego były nie wypowiedziane słowa: Mój syn musiał tak wyglądać, kiedy ryby się do niego dobrały. Och, Panie na wysokościach, mój syn musiał tak wyglądać!

Dopłynęli do drewnianego pomostu przy północno-zachodnim brzegu. Gordon zacumował łódź. Palce miał zmrożone, pozbawione czucia i sztywne, twarz wykrzywioną pod wpływem tnącego deszczu ze śniegiem. Wesley pozostał na klęczkach, patrząc na pudełko z kanapkami Gordona, jak gdyby zawierało ono jakiś straszliwy sekret potworności, którą właśnie ujrzeli.

Gordon wziął go za ramię.

–Chodź, Wesley. Chodź już.

Wesley spojrzał w górę. Jego twarz wyglądała, jakby ją rozłożono i złożono na powrót, ale nie tak, jak należy.

–Chodź, Wesley, musimy zawiadomić policję. Tam jest ciało.

–To nie był...?

–Nie – uspokajał go Gordon. – To nie był Donnie. Donnie odszedł dawno, pamiętaj. I Donnie był chłopcem. To był mężczyzna albo może kobieta. Ktoś dorosły.

Wesley wstał niepewnie i pozwolił, aby Gordon podsadził go na

pomost. Chevrolet Gordona stał trochę dalej, z przednią szybą pokrytą śniegową breją. Gordon pomógł Wesleyowi wejść na pochyły brzeg jeziora i usadził go na siedzeniu pasażera.

–Jak to coś wyskoczyło z wody... – powiedział Wesley. – Na Boga, Gordon, myślałem, że się zesram ze strachu!

–No, ja też. Ale chodź, zadzwonimy na policję.

W Warren była stacja benzynowa. Mimo że dotarcie do niej wyboistymi leśnymi drogami zajęło im ponad pół godziny, zamienili ze sobą ledwo dwa słowa.

Wycieraczki skrzypiały monotonicznie, wycinając trójkąty na zaśnieżonej szybie.

Gordon palił podczas jazdy, wytrzeszczając oczy w gromadzących się ciemnościach.

Wesley siedział bokiem niczym inwalida, jakby każdy nerw na jego ciele został obnażony.

Wesley, zwinięty w kłębek, został w wozie, kiedy Gordon dzwonił do szeryfa Jacka Smitha w Torrington. Patrzył szklanym wzrokiem, jak Gordon stoi w zlanej deszczem budce telefonicznej, gestykulując ręką, w której trzymał papierosa.

Kiedy Gordon wrócił pośpiesznie i otworzył drzwi, spytał:

–No i co?

–Przyjadą. Musimy wrócić do zbiornika.

–Nie chcę tam jechać, Gordon.

–Musisz. Jak chcesz, możesz zostać w wozie. Nie będziesz musiał... no, wiesz, patrzeć na to. Nie każą ci tego robić.

Wesley zaczął płakać – powoli, rozdzierająco. Przycisnął dłonie do oczu, ale łzy spływały mu dalej po rękach. Gordon patrzył na niego, zagryzając bezsilnie wargi, ale w końcu wrzucił bieg i pojechał z powrotem do zbiornika Nepaug.

Samochód szeryfa pojawił się po godzinie, błyskając w ciemnościach niebieskimi światłami. Deszcz ze śniegiem przeszedł w siąpiącą, wilgotną mżawkę. Gordon i Wesley siedzieli w samochodzie, kiedy podszedł do nich szeryf; światło jego latarki kołysało się i podskakiwało przy każdym kroku. Otworzył drzwi od strony Gordona i powiedział:

–Jak się macie, panowie? Dzień nie jest najpiękniejszy. Gordon wysiadł i wskazał głową Wesleya.

–Wesley przeżył to dość mocno, szeryfie. Rąbnęło go. Wie pan, chyba przypomniawszy mu się tamta historia z jego chłopcem. Też nie była przyjemna.

Szeryf Jack Smith był tęgi i niewysoki, z dużą, dobroduszną twarzą, która jego żonie Nancy zawsze przypominała Richarda Burtona. Nosił granatowy, nieprzemakalny myśliwski kapelusz i granatowy płaszcz. Miał trzydzieści osiem lat i był najbardziej wygadany i pragmatycznym szeryfem, jaki od dłuższego czasu został wybrany w Okręgu Litchfield. Wierzył w programy antynarkotykowe, konstruktywny wymiar pomocy społecznej i pracę młodocianych przestępców na rzecz miasta. I nie zastrzelił nikogo w całym swoim życiu. Wiedział, że jest stróżem prawa w wiejskiej okolicy, w której liczba rdzennej chłopskiej ludności szybko maleje, a stare wartości i zwyczaje zanikają. Przecież ta część Connecticut w latach osiemdziesiątych tego stulecia miała niższe zaludnienie niż to, którym szczyliło się w latach osiemdziesiątych XVIII wieku.

Jack Smith wiedział również, że jego obowiązki obejmowały opiekę nad przeważnie pustymi posiadłościami bogatych nowojorczyków, którzy zjawiali się w Connecticut tylko na weekendy. A jak już się zjawiali, należało trzymać w ryzach ich wielkomięskie upodobania do kokainy, kobiet nie będących ich żonami i domowych skandali.

Dziesięć do jednego, pomyślał, stojąc w rzednącym deszczu, dziesięć do jednego, że ten topielec nie jest z Litchfield ani tu nie umarł.

–Dań Maskell już jedzie – powiedział Jack Gordonowi. – Przywiezie ponton i reflektory. Powinien być lada chwila.

–Wesley myślał, że złowił rybę – powiedział Gordon.

–Gdzie mniej więcej to było? – spytał Jack, posyłając w ciemność promień światła z latarki.

–Pływało gdzieś tam pośrodku. Ale powinieneś to zobaczyć. Całe czerwone, jakby pomalowane albo spalone. Czy widziałeś kiedyś kogoś spalonego?

–Zdarzało się – powiedział Jack. Jego piwne oczy nic nie zdradzały.

–Ja nie chcę już nigdy więcej oglądać czegoś takiego, nigdy więcej – powiedział Gordon, potrząsając głową. – Ta przeklęta rzecz będzie mnie prześladowała w snach przez resztę życia.

W dwadzieścia minut później nadjechał Dań Maskell w policyjnym pick-upie. Na platformie miał ponton i całą kolekcję generatorów, reflektorów, sieci i bosaków. Podczas gdy nadmuchiwano

ponton, zjawił się datsun z biura koronera okręgowego. Wsiadł z niego Wallace Greenstreet, chudy i wysoki jak bocian, przyodziały w płaszcz przeciwdeszczowy London Fog. Wyglądał w nim, jakby się wybierał na mecz futbolowy Little League.

–Przepraszam, że cię tu wyciągnąłem, Wallace – powiedział, Jack, rozwijając gumę do żucia i wsadzając ją do ust.

–Muszę przyznać, że tym razem przyszło to jak zbawienie – powiedział uprzejmie Wallace, zacierając mocno ręce. – Moja siostrunia zjawiła się właśnie z tym jej mężem półgłówkiem. Kiedy zadzwoniłeś, zaczął akurat rozmówkę o złych i dobrych stronach koców wypożyczanych na statkach wycieczkowych.

–Gumę? – zaproponował Jack. Wallace odmownie potrząsnął głową.

–A co my tu mamy? Zlokalizowałeś to już?

–Daj nam jakąś godzinę. Nie powinno być trudne do znalezienia.

Przez następne dwadzieścia minut Jack i Dań systematycznie zataczali kręgi po jeziorze, uważnie obserwując powierzchnię. Światła ich latarek przebijały się przez deszcz; głosy niosły się echem.

Zupełnie niespodziewanie zderzyli się z czymś. Jack skierował na to miejsce światło latarki... i to było to. Szkarłatny strzęp, jak powiedział Gordon, spowity w żyłkę wędkarską. Na pierwszy rzut oka przypominało mu to odartą ze skóry, zdechłą fokę, widzianą kiedyś na plaży w Nowej Fundlandii. Unosiło się twarzą w dół, co zwykle wskazywało na mężczyznę. Mimo zimna rozchodził się ostry smród rozkładającego się ciała.

–Weźmy je na hol – powiedział Danowi. – Złap bosakiem końcówkę żyłki, to pociągniemy je za sobą.

Podświetlona latarką twarz Dana Maskella jaśniała jak pomarszczona dynia podczas Halloween. Miał pięćdziesiąt trzy lata, z tego trzydzieści dwa w policji.

Wyciągnął już tyle trupów z samochodów, z jezior, z sypialni, z rzek, z lasów, że jeszcze jedno martwe ciało nie robiło mu żadnej różnicy. Złapał wędkę Wesleya, przymocował i posterował do brzegu.

–Nie będziemy rozglądali się za nikim konkretnym? – spytał Dań.

Zwykle kiedy w Nowym Jorku wyparował jakiś gangster, biuro

Jacka dostawało wiadomość, że mają rozejrzeć się za jego zwłokami. Kiedyś znaleźli ciało Yittoria Secconego. Spoczywało w spalonym wraku samochodu, głęboko w lasach w pobliżu Ivy Mountain. Jack obejrzał się na czerwone zwłoki, które holowali.

–O nikim takim nie słyszałem. Poza tym nie wygląda, żeby mafia maczała w tym palce. To zbyt okropne. Tylko amatorzy robią takie odrażające rzeczy.

Wyciągnęli zwłoki na brzeg i ostrożnie zanieśli na koniec pomostu. Włożyli rękawice, ale mimo to Jack czuł śliskość ciała. Kiedy złożyli je na noszach Wallace'a Greenstreeta, wszyscy podeszli bliżej, aby je obejrzeć.

–To ciało widziałeś? – spytał Jack Gordona.

Gordon z trudnością zmusił się do spojrzenia. Twarz była jak maska – bez powiek i warg; szyja czerwona, pokryta śluzem. Pokiwał głową i powiedział:

–Jeżeli jakieś inne tam nie pływa, to jest dokładnie takie samo.

–Nie założyłbym się, że to jest jedyne – mruknął Dań Ma-skill, zapalając aromatyzowaną cygaretkę. Pożałował od razu, że nie zdjął najpierw rękawic.

–Czy Wesley dokona identyfikacji? – spytał Jack.

–Wesley ma tego świra... no, wiesz – powiedział Gordon, potrząsając głową. – Chodzi o Donniego. Zobaczył, jak to się wynurza, i teraz nie może przestać myśleć o Donniem.

–Rozumiem – przytaknął, Jack, żując miarowo gumę. – Później pogadam z Wesleyem.

Dlaczego nie zabierzesz go do domu i nie wlejesz w niego paru kieliszków? Wpadnę później i sprawdzę, czy doszedł do siebie.

–W porządku-powiedział Gordon, ściskając Jacka za ramię. – Dzięki za wszystko.

Kiedy Gordon odjechał, pozostali zebrali się przy noszach. Dań wyciągnął reflektor z pontonu i ustawił go na trójnogu, parę stóp dalej, tak żeby można było dokładniej obejrzeć ciało.

–A więc: płęć męska – orzekł Wallace, unosząc palcem wskazującym śliską bryłę genitaliów. – Rasa biała, sądząc po niebieskich oczach, chociaż po skórze tego nie widać. Ubytek całej warstwy wierzchniej.

–Ryby nie dorwały mu się jeszcze do oczu – powiedział Jack.

–Faktycznie – zgodził się Wallace. – To by według mnie

wskazywało, że nie pływało w wodzie długo. Może tylko parę godzin.

–Więc skąd, do cholery, porobiło mu się to ze skórą? – spytał Dań. – Nie spalił się chyba, no nie? I nie został oskubany przez ryby.

Wallace popatrzył na ciało z bliska.

–To, co tu widzimy, to skóra właściwa. Zewnętrzna warstwa, epiderma, została oderwana w całości. Nie płatami, jak należałoby się tego spodziewać przy spaleniu czy wypadku, ale całkowicie i idealnie dokładnie. Patrzcie tu i tu. To są siady noża. Prawdopodobnie chirurgicznego skalpela albo czegoś podobnego.

–Nie chwytam tego – powiedział Jack. – O co ci chodzi?

–Oczywiście, nie mogę przysiąc-odpowiedział Wallace. – Nie na brzegu jeziora podczas ulewy. Ale powiedziałbym, że ten nieborak prawie na pewno został dosłownie obdarty ze skóry.

Szczęki Jacka zaczęły żuć wolniej. Spojrzał bacznie na Wallace'a.

–Obdarty ze skóry? Celowo? Wallace skinął głową.

Stojąc z rękami wspartymi na biodrach, Jack uważnie obejrzał zwłoki od stóp do głów.

–Obdarty ze skóry? – powtórzył raz jeszcze. – Święty Mojżeszu!

–Czy myślisz, że jeszcze żył, kiedy mu to zrobili? – spytał Dań. – Czy da się to stwierdzić?

–Cóż, nie do końca – odpowiedział Wallace. – Ale dałbym głowę, że raczej jeszcze żył i był też prawdopodobnie przytomny. W innym przypadku po co by to robiono? Na moje oko, to były tortury. Świadome, rozmyślane tortury, przeprowadzone w jak najbardziej fachowy sposób. Ktokolwiek zdejmował skórę temu człowiekowi, był prawdziwym ekspertem.

–Po co, do diabła, było to robić? – spytał Jack, patrząc na upiorną twarz. – Przecież można zadać tyle samo cierpień, nie obierając człowieka jak jabłko.

–To ty musisz znaleźć motyw – odpowiedział mu Wallace. Rozwinął plastikową płachtę i rozłożył ją na nieboszczyku. –Może to część jakiegoś mafijnego rytuału; może chcieli, żeby posłużył za przykład.

–Ale jeśli o to im chodziło, dlaczego wrzucali go do zbiornika?



Znaleźliśmy go tylko przez przypadek. Po co zadawać sobie tyle trudu z masakrowaniem kogoś dla przykładu, a potem topić ciało tam, gdzie nie ma szans, żeby kiedykolwiek ktoś zobaczył, co z nim zrobiono?

Wallace zapał pasy wokół trupa, a potem spojrzął na Jacka jednym ze swych bezbarwnych spojrzeń z rodzaju nie-pytaj-mnie-o-to.

–Jestem tylko anatomopatologiem, pamiętasz? Wszystko, na co mnie stać, to fakty, nie domysły. Faktem jest, że ten człowiek został oskórowany, prawdopodobnie za życia i prawdopodobnie przez kogoś, czyje umiejętności dorównywały umiejętnościom wysokiej klasy chirurga plastycznego. Swoją drogą, mogli pozbyć się ciała, ale pamiętasz ten stary żydowski dowcip: „Kiedy cię, mój drogi, obrzezali, pozbyli się nie tego kawałka”?

–O czym ty, do diabła, gadasz? – naciskał go Jack. Wallace podniósł dłoń, żeby go uspokoić.

–Po prostu mówię, że chociaż pozbyli się ciała, to jednak zachowali skórę. Jack wlepił w niego spojrzenie. Przestał żuć gumę.

–I myślisz, że mogli wykorzystać jego skórę... jako przykład? Wystawili ją gdzieś? Oto skóra Dona Jak-mu-tam-było; jeżeli nie będziecie się pilnować, czeka was to samo?

–Jak mówię, Jack, łamanie głowy nad motywem to twoja rzecz – powiedział Wallace, wzruszając ramionami.

Kiedy rozmawiali, pojawił się następny wóz. Był to zjeżdżony volkswagen. Wysiadł z niego młody mężczyzna w grubym, wełnianym płaszczu z kapturem. Pośpieszył w ich kierunku, machając aparatem fotograficznym.

–Cześć, Dennis – przywitał go Jack.

Dennis był młodym reporterem „Sentinel”, lokalnej gazety w Litchfield. Był chudy i wysoki. Sypał mu się ciemny wąsik; na szyi miał całą chmarę zaognionych pryszczycy.

–Ktoś nie żyje? – zapytał.

–Nie, nie, mamy tu zastępcę Cohena robiącego zdjęcia próbne do Frankensteina.

–Topielec? – spytał Dennis, nie speszony.

–Ciało znalezione w wodzie – poprawił go Jack.

–Więc się nie utopił?

–Najpierw zabity, później utopiony. Jak do tej pory, traktuję to jako zabójstwo.

–Mogę zrobić zdjęcie?

–Nie tym razem.

–Ej, przestań pan, szeryfie. Opinia publiczna ma prawo wiedzieć.

–Wiedza nie oznacza wścibstwa. Ani robienia gorszących zdjęć.

–Co jest gorszące? To trup, nie rozkładówka z „Hustlera”.

–Daj mi aparat – powiedział Jack.

–Co?

–Daj mi aparat-powtórzył Jack i wyciągnął rękę. Z oporem, niechętnie, Dennis zrobił, co mu kazano. Jack powiedział: – Teraz możesz popatrzeć. Śmiało. Sam zdecyduj, czy to jest gorszące czy nie.

Wallace z ledwo ukrywanym rozbawieniem, hałaśliwie zwinął płachtę z czarnego plastyku, odsłaniając głowę trupa. Dennis stał wpatrując się przez dobre pół minuty. Potem odwrócił wzrok, kiwnął głową i wrócił do Jacka po aparat.

–Co mu zrobiono? – spytał chrapliwym głosem. – Co mu, do diabła, zrobiono, że tak wygląda?

–Jak się nam na razie wydaje, zadano wiele bólu, żeby to osiągnąć-powiedział Jack. – Jeżeli chcesz więcej detali, wpadnij do mnie do biura jutro rano.

–Ma pan to jak w banku – powiedział reporter i odjechał. Patrzyli, jak tylne światła jego wozu pobłyskiwały wśród pól i w lesie.

–Biedny chłopak – zauważył Dań. Podrapał się po brzuchu, jakby miał nerwową pokrzywkę.

–Dobra – powiedział Jack. – To by było na tyle. Mamy robotę do odwalenia.

Wallace, zawieź ciało do kostnicy. Dań, możesz zacząć ogradzać cały ten teren wokół pomostu. Wezwę facetów z laboratorium, dostarczę ich tu od razu. Szukamy odcisków stóp, ubrania, plam krwi, czegokolwiek.

–Spodziewasz się, że znajdziemy jego skórę? – spytał Dań. Jack zwrócił się ku niemu. Jego twarz wyglądała niesamowicie w świetle reflektora, cienie uwydatniały kości policzkowe.

–Nie zadawaj pytań, na które wolałbyś nie usłyszeć odpowiedzi – odparł. – Teraz chodź, zbieramy się.

Wrócił do swojego wozu, trzyletniego caprice'a z wgiętymi drzwiami.

Zatelefonował do Torrington i zapytał o Franka Davisa i Marshalla Pryora z wydziału medycyny sądowej. Potem połączył się ze swoim domem w Harwinton.

–Nancy? Tu Jack.

–Tak, kochanie. Czy będziesz późno?

–Wygląda na to, że bardzo. Właśnie wyciągnęliśmy ciało ze zbiornika Nepaug.

–Och, nie. Czy ktoś utonął.

–Nie mogę teraz o tym mówić. Zobaczymy się później. Ale ucałuj Benny'ego, dobrze? Ciebie też mocno całuję. Podszedł Dań, niosąc wędkę Wesleya.

–Chcesz, żebym to wrzucił do twojego wozu? – spytał. – Możesz to potem zawieźć.

Jack odwiesił słuchawkę. Rozpakował następną gumę.

–Mocno wątpię, żeby biedny stary Wesley chciał kiedykolwiek jeszcze zobaczyć ten sprzęt do wędkowania.

Dań stał i czekał, zimny deszcz lał wokół jak z cebra i żaden z nich nie wiedział, co, do cholery, powinni zrobić.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nowy Jork, 13 grudnia Do trzeciej po południu nie było znaku życia od kobiety, która przedstawiła się jako Sybil Vane. Yincen wyszedł z magazynu po zapakowaniu dwóch Johnsonów idących do konserwacji i powiedział:

–Wygląda na to, że ta twoja dama to jednorazowy gość.

Edward przysiadł na skraju biurka, obserwując drzwi wejściowe. Nie potrafił wyjaśnić Yincenowi, dlaczego czuł się aż tak zawiedziony tym, że Sybil Vane nie przyszła. Miał wrażenie, że była tylko tworem jego sfrustrowanej wyobraźni, fantazją młodego mężczyzny, którego narzeczona wołała armeńskiego rzeźnika.

Pomyłka – prokuratora.

–Czy była pewna, że tym, czego szuka, jest właśnie Walde-grave? – spytał Yincen.

Zrzucił marynarkę, miał na sobie tylko wysoko zapinaną kami44 zelkę i wykrochmaloną białą koszulę. Edward rzadko kiedy widział go tak zrelaksowanego. Był przystojny, choć urodę miał może nieco zbyt wyrazistą: kręcone szpakowate włosy, kwadratowa, irlandzka twarz i krótki, prosty nos.

Mógłby służyć za model do Davida Michała Anioła, tyle tylko, że był bardziej męski. Jego przyjaciółka, z Metropolitan Museum of Modern Art, Charlotta Clarke, nazywała go „Panem Bogiem w trzyczęściowym garniturze”. Nie sypiali ze sobą; gdyby tak było, może nazywałyby go inaczej.

–Opisała go dokładnie – powiedział Edward. – Dwunastu ludzi w udrapowanym czerwieniu pokoju. Znała dane biograficzne Waldegrave'a, datę urodzenia i śmierci. Powiedziała, że szuka tego obrazu od bardzo dawna.

–Nie mogę dłużej czekać, jeżeli chcę punktualnie odebrać Thomasa z New Milford.

–Yincen spojrział na zegarek.

–Zawsze mogę jej powiedzieć, żeby przyszła w przyszłym tygodniu –

zapropnował Edward.

–Nie uważam, żeby to było specjalnie sensowne – powiedział Yincen, zapinając spinki. – Nie zamierzam sprzedać jej tego obrazu, bez względu na to, ile by mi zaproponowała.

–Powiedziała, że da dobrą cenę.

Yincen wygładził krawat, podniósł marynarkę z oparcia rokokowego krzesła i narzucił ją na ramiona. – Żałuję – powiedział. – On po prostu nie jest na sprzedaż – i tyle. A poza tym, zaczyna się rozsypywać. Znasz tych wiktoriańskich amatorów. Nigdy nie mieszały farb tak jak trzeba. Za dużo terpentyny, za mało barwnika. A Waldegrave był jednym z najgorszych.

–Co mam jej powiedzieć, jak się zjawi?

–Powtórz jej dokładnie właśnie to: obraz nie jest na sprzedaż i jest w strasznym stanie. A nawet jeżeli byłaby skłonna go kupić, wyrzuciłaby pieniądze w błoto. Bez żartów, dam mu najwyżej dwa lata. To zdarza się ciągle, nawet z najlepszymi płótnami. Tuż przed twoim przyjściem musiałem zdjąć z wystawy jednego Johna Fredericka Lewisa. Wspaniały obraz, sobotni poranek w haremie, jedno z tych orientalnych studiów. Ale farba sypała się jak łupież.

–Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jesteś na jego punkcie przesądny? – trochę impertynencko spytał Edward. – To znaczy na punkcie Waldegrave'a.

–Oczywiście, że jestem przesądny – uśmiechnął się dobrotliwie Yincen. – Dlaczego nie? Mój dziadek powiedział, że jeśli nie wypuścimy go z rąk, zachowa naszą rodzinę od zła. I jeśli mój dziad tak uważał, to mi wystarcza.

–Ale tak naprawdę w to nie wierzysz.

–Przestań robić mi psychoanalizę. Chcesz premię na Boże Narodzenie czy nie? I przed wyjściem nie zapomnij nastawić alarm. Będę z powrotem w mieście w poniedziałek wcześniej rano i prawdopodobnie wpadnę do ciebie, żeby zabrać klucze.

–W porządku – powiedział Edward. Żaden z nich nie skomentował faktu, że po raz pierwszy Yincen powierzył Edwardowi obowiązek zamknięcia galerii. Edward poczuł, że jest to wstęp do zażyłości, zaczątek przyjacielskiego związku, który równie dobrze mógł rozwinąć się w bliską przyjaźń. Yincen był oficjalny w sposobie bycia i konserwatywny w ubiorze, ale Edward wyczuwał, że autentycznie akceptuje ludzi, którzy dla niego pracują i których naprawdę lubi.

Yincen wyszedł i skierował się na róg Sześćdziesiątej Pierwszej i Trzeciej, gdzie stał jego ciemnozielony bentley. Podjechał samochodem pod galerię i zaparkował, żeby Edward mógł mu przynieść dwa Johnsony.

–Gdyby dzwonił Milo Kasbian, powiedz mu, że może mnie znaleźć na wsi – powiedział. – A gdyby dzwoniła Charlotta, powiedz, że będę u niej dokładnie za pięć minut, jeśli ruch pozwoli. Dalej nie ma znaku twojej tajemniczej panny Yane? – spytał jeszcze, rozglądając się po ulicy.

Edward potrząsnął głową.

–Sądziś, że będzie padał śnieg? – spytał Yincen.

–W przyszłym tygodniu są moje urodziny – powiedział Edward. – Nigdy nie pada przed moimi urodzinami.

Yincen odjechał, a Edward zawrócił do galerii. Spojrzał na zegarek. Tylko godzina do zamknięcia. Ale Yincen miał za punkt honoru, że galeria działa dokładnie w tych godzinach, które były podane przy wejściu. Cytował przy tym historię pewnego wieczoru, kiedy to za minutę piąta wkroczył Nubar Gulbenkian i zapytał, czy nie jest za późno na dokonanie zakupu Zuzanny i starców Thomasa Harta Bentona.

Edward poszedł do pomieszczenia biurowego i włączył elektryczny kociołek; Yincen nie pochwałował używania maszynek do kawy. Na tacce na szafce z aktami stał miedziany belgijski dzbanek i miedziany pojemnik z kawą Douwe Egberts.

Edward siedział przy biurku, czytając biografię Jamesa Thurbera pióra Charlesa Holmesa, kiedy zadzwieczał dzwonek. Ten dźwięk tak go zaskoczył, że poczuł w ustach słony smak. Odłożył książkę i podszedł do drzwi, wydając klucze z kieszonki na piersiach. To była ona, blada jak poprzednio i zakutana w swoje futra.

Otworzył zamek w drzwiach. Wsunęła się do galerii płynnym ruchem zwierzęcia.

Rozejrzała się i spytała:

–Jest tu?

–Pan Pearson? Obawiam się, że właśnie się pani z nim minęła. Musiał wyjechać na wieś na weekend. Sądziłem, że będzie pani w stanie wpaść wcześniej. Wyszedł jakieś dziesięć minut temu.

**–Cóż za szkoda – powiedziała kobieta, ale zabrzmiało to zupełnie obojętnie. –**

**Liczyłam na to, że się z nim spotkam.**

**–Przykro mi – powiedział Edward. – Czy może pani wrócić w poniedziałek? Wtedy już tu będzie.**

**–Czy już mówił mu pan o Waldegrawie?**

**–Tak, mówiłem.**

**Podeszła do niego blisko, spoglądając mu w twarz z takim skupieniem, jakby czytała stronicę książki. Znowu Edward poczuł niespotykany zapach perfum, trociczek, zamkniętych pokoi, olejku piżmowego i seksu. Jej równy oddech mierzwił futerko na szerokim kołnierzu.**

**–Czy potwierdził, że go ma? Tego Waldegrave'a?**

**–Więc tak, ma go. Należy do jego rodziny od siedemdziesięciu lat.**

**–Siedemdziesiąt lat, zgadza się – potwierdziła. – Siedemdziesiąt trzy, ściśle biorąc.**

**–Ale... obawiam się, że... on go nie sprzeda. Kobieta przycisnęła palce do ust, jakby w obawie przed tym, co mogłaby powiedzieć. Potem odwróciła się.**

**–Prosiłem go, naprawdę.**

**–I? – spytała, wciąż obrócona plecami.**

**–Powiedział, że stanowi część rodzinnego dziedzictwa i nie jest na sprzedaż.**

**Poza tym jest w złym stanie. Waldegrave, jak się wydaje, nie był zbyt zręczny w mieszaniu farb. Odpadają płatami.**

Pan Pearson powiedział, że nie daje temu obrazowi więcej niż dwa lata, nawet po renowacji. Jeśli chce pani znać prawdę, powiedział, że to byłyby wyrzucone pieniądze.

Kobieta spoglądała na niego; jej oczy przypominały widziane nocą zwierciadła.

–Dwa lata? Czy tak właśnie powiedział? Edward przybrał przepaszający wyraz twarzy.

–Przykro mi. Ale był bardzo stanowczy. To nie jest na sprzedaż.

–Powiedział mu pan, że zapłacę każdą cenę, jakiej zażąda? Powiedział mu pan, jakie to dla mnie ważne?

–Przykro mi – powtórzył Edward.

Sybil Vane nerwowo uderzała koniuszkami palców złożonych dłoni. Następnie, uświadomiwszy sobie, że Edward ją obserwuje, uśmiechnęła się.

–No cóż, jeżeli nie da się namówić pana Pearsona na sprzedaż, to nie da się namówić pana Pearsona na sprzedaż.

–Być może jest coś innego, czym mógłbym panią zainteresować – zasugerował Edward.

Dziwnie wzburzyło go to, że sprawił jej zawód. Łaknął jej aprobaty. Nie chciał, aby wyszła z galerii zawiedziona, a przede wszystkim, by zawiodła się na nim.

Nie potrafił zrozumieć tego uczucia, ale było na tyle silne, że wprawiało go w niezwykły niepokój.

–Szukałam tego właśnie obrazu od tak dawna – wyjaśniła, kierując to bardziej do siebie niż do niego. – Rozumie pan, usiłowałam zebrać kolekcję, która należała niegdyś do mojej rodziny. Tylko parę obrazów pozostaje do odnalezienia; nie więcej niż jedenaście czy dwanaście. Teij Waldegrave jest jednak najważniejszy.

Muszę powiedzieć panu, panie...? – przerwała i uniosła pytająco brwi.

–Merriam – przedstawił się Edward. – Edward Merdam.

–Nie z Merriamów z Norfolk?

–Niestety nie. Z tych z Rochester.

–Przepraszam?

–Chyba nie słyszała pani o nich – uśmiechnął się Edward. – Nie należeli do dobrego towarzystwa.

–Ach – powiedziała. Podniosła ku niemu dłoń. Ujął ją nie wiedząc, czy mają pocałować.

Miała zimne palce, z taką liczbą diamentowych pierścionków,

że mogłyby pociąć ludzką twarz na strzępy Jak małpie pazury. Kiedy spojrzął na nią, ujrzał, że czeka na pocałunek, więc przycisnął usta do jej gładkiej skóry.

Miała dłoń bardzo młodej kobiety: żadnych zmarszczek, żadnych plam wątrobowych, żadnych wypukłych żył.

–Nie nazywam się oczywiście Sybil Vane – powiedziała. – To był taki mały żarcik.

Edward nie odzywał się słowem. Czekał na wyjaśnienia. Nie rozumiał, dlaczego przedstawianie się jako Sybil Vane miało być żartem, ale był gotów słuchać dalej. Być może miał to być żart z samej siebie, drwina z własnej próżności\*.

–Nazywam się Cordelia Gray. Gdybyś był trzydzieści lat starszy, słyszałbyś o Grayach. Wtedy nie było człowieka, który by nie słyszał. Ale przez jakiś czas wszyscy przebywaliśmy w Europie. No, przez parę lat. To uderzające, jak szybko znika się z pamięci ludzi. Nie powinieneś się wstydzić, że twoja rodzina nie należała do dobrego towarzystwa. Dobre towarzystwo to kosz z węzami, których pamięć nie sięga dalej niż własny ogon.

–Miło mi cię poznać – powiedział ostrożnie Edward.

–Cóż, Edwardzie, ta przyjemność jest obopólna.

–Jak dawno powróciliście z Europy?

–Mniej niż miesiąc temu. Przez jakiś czas przebywaliśmy w Newport. Ale mamy nadzieję, że niedługo przeniesiemy się z powrotem do rodzinnego domu w Connecticut. Dlatego usiłuję odnaleźć nasze dawne obrazy i meble. Tak wiele z tego rozproszyło się, kiedy musieliśmy wyjechać.

–To imponujące przedsięwzięcie zgromadzić ponownie kolekcję dzieł sztuki.

–Tak. Muszę jednak przyznać, że jak do tej pory, bardzo udane.

–Aż do tej historii z Waldegrave'em – zauważył Edward.

–Aż do tej historii z Waldegrave'em – potwierdziła Cordelia pozwalając, by futro odsłoniło nieco jej twarz.

Nastąpiła krótka cisza, pełna nie wypowiedzianych słów. Kiedy odezwali się znowu, uczynili to jednocześnie i wybuchnęli śmiechem.

–Proszę, najpierw ty – zachęcił ją Edward.

–Vane wymawia się identycznie jak vain – próżna (przyp. tłum.).



–Boję się, czy to nie zabrzmiało natarczywie – powiedziała – ale zastanawiałam się, czy nie mógłbyś mi pomóc.

–Chodzi ci o skompletowanie twojego zbioru?

–To nie zabrałoby zbyt dużo czasu. Na pewno nie przeszkadzałoby ci w obecnej pracy. Otrzymasz przyzwoite honorarium. Może przyjechałbyś do Connecticut i pomógł mi rozmieścić zbiór i go skatalogować.

–To bardzo kusząca oferta. To znaczy brzmi bardzo interesująco. Ale muszę się zastrzec – nie jestem w stanie wydobyć dla ciebie tego Waldegrave'a. Tego nie mogę ci obiecać.

–Oczywiście, że nie – powiedziała Cordelia. – Słowa pana Pearsona nie zostawiają żadnych wątpliwości, a jeżeli w dodatku obraz jest w złym stanie... cóż, może lepiej zapomnijmy o nim. Ale z radością przyjąłabym twoją pomoc. Czy sądzisz, że mógłbyś się tego podjąć?

Edward zawahał się przez moment, a potem zgodził się, kiwając radośnie głową.

–Okay. Chyba mi to odpowiada. Jeżeli dasz mi spis twojej kolekcji, omówimy to.

–Muszę iść – powiedziała Cordelia, spoglądając na zegarek. – Jestem umówiona. Ale w ciągu tego weekendu jesteś w mieście?

–Raczej tak.

–Może w niedzielę spotkamy się na lunchu? Może o dwunastej? Na Wschodniej Sześćdziesiątej jest mała restauracyjka, nazywa się Les Images. Będę tam na ciebie czekała.

–W porządku. Ale to ja zapraszam.

Cordelia podeszła blisko i dotknęła klapy jego marynarki, jak gdyby chciała przekazać jakieś dodatkowe przesłanie koniuszkami palców.

–Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ja zapraszam.

Dłuższy czas po jej wyjściu Edward stał, patrząc w drzwi. Czuł się jak po wypiciu zbyt dużej ilości białego wina: miał kwaśny smak w ustach i czuł ucisk wokół głowy. Łyknął kawy, ale zdążyła wystygnać, więc skrzywił się z niesmakiem.

Nie ulegało wątpliwości, że nic, z czym spotkał się do tej pory, nie wywarło na nim takiego wrażenia, jak obecność Cordelii Gray. Czuł się tak, jakby wziął dawkę oczyszczonej kokainy, choć zdarzyło mu się to tylko dwa razy. Wyobrażał sobie, że coś takiego przeżywali górnicy,

kiedy stopniowo oszalał ich czad. Dopiero gdy znów nabierali świeżego powietrza, uświadamiali sobie, jak bliscy byli uduszenia.

Włączył alarm i zatrzasnął zamki w drzwiach galerii. Potem stał przez chwilę na progu. Noc była zimna i hałaśliwa, ulice zatłoczone, a czerwone światła przejeżdżających samochodów tonęły w mokrym, asfaltowym jeziorze. Podszedł do Piątej Alei. Kołnierzyk miał podniesiony, ręce w kieszeniach. Przez chwilę wydało mu się, że ujrzał po drugiej stronie ulicy twarz mężczyzny, który zaglądał wczoraj po południu przez drzwi galerii, po tym jak Cordelia Gray wyszła.

Przejechała między nimi ciężarówka i twarz zniknęła.

Edward zagwizdał na taksówkę. Trzy ochlapały mu płaszcz, nie zwracając na niego uwagi. Dopiero czwarta, prowadzona przez wychudzonego Portorykańczyka, który z wyglądu był po trzech dawkach koksu, zjechała do krawężnika. Gitara Santany wibrowała na stereo: Samba Pa Ti.

–Apartamenty Wentworth – rzucił Edward. – Róg Zachodniej Sześćdziesiątej Trzeciej i Dziesiątej.

–Zwijamy się szybciej od kuli – powiedział taksjarsz.

Edward wiercił się z tyłu taksówki, zmierzającej w kierunku zachodnim przez Central Park South; usiłował nie myśleć o jutrzejszym lunchu. W gruncie rzeczy była tylko panią w średnim wieku. Pani w średnim wieku z jakiejś zakurzonej rodzinki w Connecticut i jedyne, co ją obchodziło, to jej kolekcja. Więc skąd to zdenerwowanie? Skąd te myśli o jej oczach, delikatnych, gładkich dłoniach i tym niewyraźnym odgłosie, z jakim jej uda w jedwabnych pończochach tarły jedno o drugie?

–Zachodnia Sześćdziesiąta Trzecia i co tam było dalej?! – wrzasnął przez ramię taksówkarz.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

New Milford, 13 grudnia Jechali na północ, zostawiając za sobą Nowy Jork, a wjeżdżając w nieprzeniknioną ciemność wieczoru. Vincent musiał włączyć światła na autostradzie Major Deegan.

Oświetlały zimny i wrogi świat przyszłości; betonowe przejścia podziemne, karłowate drzewa i porzucone thunderbirdy, okradzione z kół.

Obok niego siedziała Charlotta Clarke. Brzeg jej spódniczki od Olega Cassiniego, podciągnięty wyżej niż powinien, odsłaniał szczupłe nogi w połyskliwych, gołębioszarych rajstopach. Nuciała do wtóru Vivaldiemu. Yincen zawsze puszczał Cztery pory roku, kiedy wyjeżdżał z Nowego Jorku do Connecticut. Twierdził, że to przygotowuje jego umysł na spotkanie z wsią: z prawdziwymi drzewami, ludźmi, którzy nie warczą na ciebie, spokojnymi przydrożnymi knajpami, czerwonymi i żółtymi polami obsianymi zbożem.

Charlotta uważała, że jest pretensjonalny, ale Yincen nie przywiązywał do tego szczególnej wagi.

Charlotta była najmłodszym żeńskim członkiem rady nadzorczej Metropolitan Museum of Modern Art. Również – i to bezapelacyjnie – najładniejszym. Yincen był w stanie znieść wszystko od kobiety z jej umiejętnościami. Wolał, aby jego towarzyszkami były raczej inteligentne niż piękne. Kiedy łączyły obie cechy, jak to było w przypadku Charlotty, określał to jako „premię od niebios”.

Charlotta mówiła, że jest arogancki i nadęty. Ale Charlotta również wiedziała, że jest niezwykle dobry i bez względu na to, jak był apodyktyczny, nie był zdolny jej skrzywdzić.

Jej gust w sprawach sztuki uznawał za zbyt nowoczesny. Uwielbiała bryzgi farby na dużych płótnach, stosy cegieł, a także stare wanny z nic nie znaczącymi Uniami odprysków po jednej stronie. Ale fizycznie stanowiła jego ideał urody.

Była wysoka, miała figurę modelki Lagerfelda i szopę słomianych włosów na głowie. Jej oczy miały urzekający, fiołkowy kolor; twarz – idealny kształt serca, z nieco zbyt słabo zarysowanym podbródkiem i dużymi, bladymi ustami renesansowych madonn. Od pierwszego spotkania Yincen nazywał ją „Wenus”, co było drażniące, chociaż miłe. Za kogo on się uważał? Za Hughę Hefnera sztuki?

Mimo to zostali przyjaciółmi od pierwszego uścisku dłoni, często jadal wspólnie lunch i spędzali razem weekendy w wiejskim domu Yincenta w New Milford w Connecticut.

Jednak nigdy nie zostali kochankami. Z jakiegoś powodu ich bliska i intymna przyjaźń nigdy nie przekształciła się w romans.

Yincen podejrzewał, iż winne temu jest ich duchowe powinowactwo. Oboje czuli, że w razie fizycznego zaangażowania ich związek nie miałby szans przetrwania, zginałby jak koń zaplątany w kolczaste chaszczce. Cenili sobie bardziej wzajemne towarzystwo niż wizję krótkiej, spalającej chwili seksu. Często wymieniali pocałunki. W New Milford siadywali razem w saunie i jacuzzi\*. Ale sypiali zawsze osobno. Charlotta nie miała chwilowo kochanka. Nazywała to „momentem dla nabrania oddechu” i obecnie daleko bardziej była zainteresowana pracą w MOMA niż mężczyznami.

Yincen okazjonalnie spotykał się z dwudziestoletnią dziewczyną o imieniu Meggsy, asystentką w małym domu wydawniczym, specjalizującym się w książkach o sztuce. Meggsy uwielbiała grube befsztyki, nosiła kolorowe firmowe okulary i „bardotki”, i była dla niego grubo za młoda. Wychowała się w Akron, w Ohio.

Yincent zabierał ją na prestiżowe obiady i wernisaże. Na jej widok starsi członkowie artystycznego establishmentu Nowego Jorku cierpieli męki Tantalusa, a pedały trafiał szlag.

Kiedy jechali przez dolinę jeziora Taconic, a niebo było tak ciemne, jakby zaciągnięto nad nimi koc, Charlotta nagle spytała:

–Czy widziałeś się z tą kobietą?

–Jaką kobietą?

–No, wiesz. Z tą, która chciała Waldegrave'a. Yincent spojrział na nią, dostrzegając lśniące nylonami kolana, i powiedział:

–Nie. To jedna z tych transakcji, które nigdy nie dochodzą do skutku. Są faceci z prowincji, którzy potrafią stać dwadzieścia minut przed Monetem, a potem pytają o cenę i obiecują wpaść następnego ranka po odbiór z potwierdzonym czekiem.

–Jednak to dziwne – powiedziała Charlotta.

–Co?

–No, jeżeli chcesz zrobić wrażenie na obsłudze galerii, nie pytasz o Waldegrave'a, prawda? To jak wejść do Sardiego i poprosić o kanapkę z tuńczykiem.

–Nie wiem – odrzekł Yincent. Blask płynący z deski rozdzielczej oświetlał mu twarz dziwnym odcieniem zieleni. – Może był to ciężki przypadek snobizmu na odwrót.

–To dziwaczne i trochę niezwykle, że tak jej na tym zależy – zauważyła z uśmiechem Charlotta.

–W Huston jest facet, który zbiera używane opony. Waldegrave miał swoich wielbicieli. Królowa Wiktoria kiedyś poprosiła go o namalowanie widoku z okna jej biblioteki w Osborne. \* Jacuzzi (amer.) – wanna z wodnym masażem (przyp. tłum.)<sup>53</sup> – I namalował?

–Umarł jakieś trzy miesiące później. Utopił się, jeśli sobie przypominam.

–Biedny, stary Walter Waldegrave.

–To była prawdopodobnie kara boska za spłodzenie tylu pokracznych dzieł.

Charlotta milczała przez chwilę. Minęli żółty znak drogowy, który oznajmiał: „Danbury, 54 900 mieszk.” Minęli leżące po prawej stronie wesołe miasteczko w Danbury, a następnie magazyny, podmiejskie domki i rzędy autobusów szkolnych.

Charlotta spytała:

–Dlaczego go nie sprzedasz?

–Waldegrave'a? Po prostu nie chcę.

–Chyba nie wierzysz, że on naprawdę zapewnia bezpieczeństwo twojej rodzinie? Jakże to możliwe?

–Nie wiem – skrzywił się Yincent. – Ale gdybyś miała coś po babce – na przykład pierścionek albo naszyjnik – i gdyby ona kazała ci przyrzec, że będziesz go strzec, ponieważ sprzedaż sprowadzi nieszczęście na ciebie i twoje dzieci, co byś zrobiła?

–Zatrzymałabym go, jak sądzę – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Ale nie dlatego, że jestem zabobonna. Trzymałabym go z miłości, szacunku i przez pamięć o babce. Nie tylko dlatego, że mi go dała.

–Ja postępuję tak samo – powiedział Yincent. – Trzymam tego Waldegrave'a z

miłości i szacunku, a także dlatego, że nie lubię nikomu sprzedawać złej sztuki.

A Waldegrave nią jest. Jest fatalny. Źle zakomponowany, źle namalowany, w dodatku rozpada się w oczach na kawałki. Nie sprzedałbym go nikomu, za żadną cenę.

–Dlaczego twój dziadek chciał go zatrzymać, jeżeli był taki zły?

–Sam chciałbym wiedzieć.

–Ale przecież twój dziadek był bardzo dobrym pośrednikiem w handlu dziełami sztuki, prawda? Czy to nie on faktycznie stworzył ten rodzinny interes?

–Zgadza się. Więc dlaczego trzymałby tak niedobry obraz jak ten, jeśli nie miałby specjalnego powodu?

–Charlotte – powiedział nieco zniecierpliwiony Yincen – naprawdę nie mam pojęcia.

–A twój ojciec nigdy ci nic nie powiedział? Musiał przecież wiedzieć.

–Mój ojciec był zbyt zajęty podróżami po Europie i zabawianiem się ze sławnymi, a czasami osławionymi aktorkami.

–Czy Thomas będzie tak mówił o tobie?

–Oczywiście, że nie – obruszył się na nią. – Nie jesteś aktorką i nie jesteś osławiona. I nie pochodzisz z Europy.

–Dalej nie mogę zrozumieć, czemu tej kobiecie tak bardzo zależy na Waldegrawie. I w dalszym ciągu uważam za dziwne, że nie chcesz jej go sprzedać.

–Jestem mężczyzną z zasadami – powiedział na wpół żartobliwie.

Charlotta pochyliła się i dotknęła jego policzka, a potem warg.

–To dlatego nigdy nie pójdziesz ze mną do łóżka?

Skręcili na północ, drogą numer 7 przez Brookfield, aż znaleźli się w New Milford: małym, czystym, kolonialnym miasteczku, wzniesionym na niskim wzgórzu, nad północnym krańcem jeziora Lillinonah. Były tam błonia, restauracja, budynek biura miejscowej gazety, z frontonem przeładowanym ornamentyką, New Milford Savings Bank i pomalowany na biało kościół z chorągiewką na dachu. Pośrodku błoni stało działo z 1775 roku i podium dla orkiestry, a wokół ustawiono rzędy ławek, na których w jesienne dni lubili wysiadywać starzy mieszkańcy patrząc, jak purpurowe liście z wolna spadają im do stóp.

Charlotta nazywała miasteczko „Krajiną Mężatek ze Stepford” i przysięgała, że każdy mężczyzna, który tu mieszka, albo cierpi na choroby wieku starczego, albo jest szowinistyczną męską świnią; a każda kobieta – robotem do prac domowych.

Yincent uważał je za miasto rodzinne. Pięć mil dalej w górę wijącej się drogi stał duży wiejski dom znany jako Candlemas, wiejska siedziba Pearsonów.

Jakkolwiek wiele czasu by spędzał w Nowym Jorku, Londynie i Los Angeles, Yincent zawsze musiał wrócić do Candlemas, jeżeli nie po to, by odpocząć i nabrać sił, to przynajmniej, by złożyć hołd swym przodkom. Jego pradziadek żył tu i umarł; jego dziadek żył tu i umarł; jego ojciec żył tu i zginął na plaży Omaha. On sam urodził się tu w dniu, w którym Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom.

Wjechali w kutą w żelazie bramę, która tego wieczoru stała otworem, w oczekiwaniu na przyjazd Yinenta. Dom był usytuowany na końcu długiego, wykładanego ceglami podjazdu, oświetlonego przez kuliste lampy. Światła były z dolnych okien, a w powietrzu unosił się zapach palonego drewna. Na dwie godziny przed wyjazdem z Nowego Jorku Yincent zadzwonił do pani Miller i poprosił ją o otwarcie domu i rozpalenie ognia. Pani Miller i jej kaleki syn Ben mieszkali o pół mili od domu, bliżej New Milford, w czymś, co w latach dwudziestych było przydrożną knajpą. Ben zawsze utyskiwał, że jego matka ma dość roboty przy sprzątanii supermarketu w New Milford, żeby „harować” dla Pearsonów. Ale pani Miller „robiła u Pearsonów” przez prawie trzydzieści pięć lat i uważała, że Candlemas i rodzina Pearsonów zgodnie z prawem i zwyczajem przynależą do niej. Nie mogła znieść myśli o Harriet Whitney sprzątającej u pana Pearsona i nie wyobrażała sobie Betty Elsmore szperającej w „jej” bielizniarce.

Pani Miller pojawiła się w drzwiach frontowych, kiedy tylko Yincent ostro

wyhamował bentleya na podjeździe. Była drobną, zmęczoną, poważną kobietą w okularach, z rozsypującymi się siwymi włosami. Miała manieryczny tik – w trakcie rozmowy poklepywała się po lewym ramieniu, jakby dla upewnienia, że nie zniknęła.

–Proszę, proszę, w sam czas – powiedziała, kiedy Yincenc wnosił walizki do holu. – Ale wstrętny dzień, nieprawdaż? Przygotowałam dla pana na kolację stek z karkówki. Będzie gotów za pół godziny.

–Pani Miller, niebiosa panią wynagrodzą – odpowiedział Yincenc, stawiając swoje bagaże obok dużego kolonialnego stolika. – Osobiście zamienię parę słów z archaniołem Gabrielem.

Pani Miller posłała mu uśmiech pełen zadowolenia, ale i zmieszania. Nie pochwałała bluźnierstwa. Czyż nie modliła się dzień i noc o to, by Ben mógł chodzić? Czyż nie skrapiała jego obumarłych kolan wodą z Lourdes? I teraz mówi jej się żartem, że czeka ją miejsce w niebie. Trudno, młody pan Pearson nie dorastał do pięt swojemu ojcu.

–Dom wygląda cudownie – pochwaliła Charlotta, a pani Miller prychnęła udając, że nie jest zadowolona.

–Jest stek z karkówki i champignons de bois – oznajmiła. W jej głosie nie było śladu francuskiego akcentu, kiedy mówiła „czem pig nons de bojs”. Tak było napisane na kartce w supermarkecie i tak będzie to wymawiała.

Pani Miller wołała Charlottę od każdej innej z „pań odwiedzają56 cych”, jak o nich mówiła. Charlotta jako jedyna naprawdę korzystała z przygotowanej dla niej gościnnej sypialni i łazienki – z mydłem, pościelą i kremami; ze wszystkim. Inne tylko udawały, że to robią, a pani Miller doskonale wiedziała, że dzielą z Yincencem kolonialne łoże z czterema filarami w wielkiej głównej sypialni wychodzącej na ogród. Jakby ją ktoś pytał, to główna sypialnia jest „małżeńską sypialnią” – i zawsze tak było. Przez dwadzieścia lat po śmierci męża pani Pearson sypiała w niej sama i w niej umarła. Było świętokradztwem spółkować w łóżku, które widziało tyle radości i tyle bóleści.

–Jak ma się Ben? – spytał Yincenc, kiedy szli do długiego, niskiego salonu. Za żelazną kratą kominka trzaskała płonąca kłoda. Zielone, aksamitne kotary były zasunięte. – Charlotto, masz ochotę na drinka?

–Ben nie jest wesołym chłopcem – powiedziała pani Miller. Odwiązała fartuch. – Mówi, że na jego nogi mają wpływ loty promów kosmicznych; nie mówiąc już o jego falach alfalfa\*.

–Falach alfa – poprawiła Charlotta.

–Tak właśnie mówię – zgodziła się pani Miller. – Mówi, że każdy na świecie ma inny rytm fal alfalfa; niektóre są zakłócone, a inne nie.

–Niech pani mu powie, że jeśli coś mógłbym dla niego zrobić... – powiedział Yincenc, kładąc jej rękę na ramieniu.

–Lekarz daje mu na to pigułki – powiedziała pani Miller.

Yincenc wiedział, że nie cierpiała lekarstw, szczególnie tych, które działały jako placebo. Jeżeli lekarz dawał mu takie środki, to oznaczało, że kaleka jest chory umysłowo; a pani Miller absolutnie sprzeciwiała się uznaniu swego syna za chorego

na umyśle. Był okaleczony, cierpiał z powodu stresu. Ale na pewno nie był obłąkany. Bywało, że klął i złorzeczył, bywało, że siedział na swoim wózku inwalidzkim, przeklinając własny los – pani Miller mogła to znieść tak długo, jak długo nie był obłąkany.

–To te promy kosmiczne – upierała się. – Sposób, w jaki wpływają na atmosferę... to go dobija.

–Może pani przyjść w poniedziałek i posprzątać? – spytał Yincen, łagodnie kładąc jej rękę na plecach.

–Alfalfa (ang. USA) – lucerna (przyp. tłum.).



–Pewnie – powiedziała pani Miller. – Mogę też panu zrobić śniadanie, jeśli pan sobie życzy.

–Musimy wracać do Nowego Jorku bardzo wcześnie. Wie pani, jak to jest. Następnego dnia, następne dziesięć tysięcy dolarów.

–Pamiętam pańskiego ojca – powiedziała pani Miller.

Nie musiała nic dodawać. Yincen pamiętał go także, choć tylko z fotografii, białoczarnych domowych filmów i opowiadań matki. Sześć lat temu Yincen pojechał na plażę Omaha, stanął po kolana w wodzie i zrozumiał ostatecznie, że ojciec nie żyje. Będzie musiał przejść przez resztę życia, czując jego brak.

Podobnie pani Miller, która kiedyś spodziewała się, że świat po drugiej wojnie światowej będzie inny. Że będzie w nim więcej sielanki, a mniej udręki.

Kiedy pani Miller odjechała starym beżowym ramblerem, Yincen wrócił do salonu i nalał sobie i Charlotcie po dużej miarce whisky Jameson. Zasiadł przy kominku i wznosił toast.

–Nasze zdrowie. I niech promy kosmiczne zostawią biednego Bena Millera w spokoju. Zwłaszcza jego rytmy alfalfa.

–Biedna kobieta – zauważyła Charlotta.

–Nie jest tak biedna, jak chciałaby wyglądać. Ona lubi po prostu wzbudzać litość, to wszystko.

–Miło z jej strony, że zrobiła nam kolację – powiedziała Charlotta, podwijając nogi na obitej ozdobną tapicerką sofie. Yincen przełknął whisky i wzruszył ramionami.

–Robi to tylko dlatego, by czuć, że jest u steru. Wątpię, aby kiedykolwiek przebaczyła mojej matce, że umarła i pozwoliła mi w ten sposób przejąć majątek.

–Och, nie bądź dla niej taki niesprawiedliwy. Jak możesz tak mówić?

–Mogę tak mówić, ponieważ to prawda. Ale jest doskonałą gospodynią, więc nie ma powodów do narzekań.

Weszli na górę wziąć prysznic i przebrać się. Korzystali z tej samej łazienki bez skrępowania, choć kiedy byli nadzy, stawali się bardziej świadomi umowy, którą milcząco zawarli. Yincen golił się przed lustrem, okryty jedynie dużym kąpielowym ręcznikiem. Charlotta, naga, składała swoje rzeczy na czarnym krześle z papier mSche'. Miała drobne piersi i wedle słów Yincenta była „cienka jak drut”, ale mimo chudości zachowała elegancką sylwetkę: sutki ciemnoczerwone jak damaszki; skóra jeszcze lekko opalona po wrześniowych wakacjach w Colorado; włosy na łonie podniosły się jej jak puszysta poduszeczka do pudru.

Yincen przebrał się w kremową, jedwabną koszulę od Pierre'a Cardina i szare włoskie spodnie. Tak wyobrażał sobie styl „na luzie”. Charlotta włożyła długą, nie krępującą ruchów sukienkę w pawie oka od Geoffreya Beenego, spiętą cienkim skórzanym paskiem.

–Proszę, oto wzór elegancji – powiedział Yincen, całując ją w policzek. Charlotta oddała mu pocałunek.

–Nie mogę pozwolić sobie na znieważenie świętego domu twych przodków zielonymi džinsami i podkoszulkiem z grubej bawełny.

Zeszli na dół posłuchać trochę muzyki i dokończyć drinki. Kierowali się właśnie do kuchni, kiedy zadzwonił telefon. Charlotta podniosła słuchawkę, a potem podała ją Yincntowi.

–To do ciebie. Pani Miller.

–Pani Miller? – spytał Yincnt wstając, aby rozplatać sznur telefonu.

–Och, panie Pearson, nie chciałabym sprawiać panu kłopotu, ale chodzi o Bena.

–O co chodzi, pani Miller?

–Kiedy przyjechałam do domu, zachowywał się zupełnie zwyczajnie. Był spokojny.

Jadł kolację przed telewizorem i oglądał program z Deanem Martinem. A potem rzucił jedzenie na siebie i na podłogę i zachowywał się tak dziwnie, panie Pearson. Nie wiem, co mam robić.

–Zawiadomiła pani lekarza?

–Zostawiłam wiadomość na jego automatycznej sekretarce. Powiedziałam, że to pilne.

–Proszę posłuchać, pani Miller – powiedział uspokajająco Yincnt – zaraz tam będę. Chyba nie ma żadnych kłopotów z oddychaniem, prawda? Nie wygląda, że się dusi czy coś w tym rodzaju?

–Zachowuje się dziwnie, to wszystko. Trudno mi to nawet opisać.

–Proszę czekać, pani Miller. Zaraz będę. Odłożył słuchawkę.

–Co się stało? – spytała Charlotta. Robiła wrażenie bardzo zdenerwowanej.

–Mówi, że Ben dziwnie się zachowuje. Lepiej tam pojedę i zobaczę, co się stało.

–Chcesz, żebym pojechała z tobą?

Yincent podszedł do stojącej w holu komody, wyciągnął głęboką środkową szufladę i wyjął jeden z grubych swetrów Arran, jakie zawsze czekały tam na weekendowych gości, którzy nabraliby ochoty na spacer. Wciągnął go przez głowę i powiedział:

–To nie potrwa długo. Dlaczego nie siądziesz do kolacji? W szafie obok spiżarni jest skrzynka beaune; otwórz butelkę i nie krępuj się.

–Mężatki ze Stepford znowu atakują – skrzywiła się Char-lotta.-Co takiego tkwi w Connecticut, że zupełnie zdrowi i taktowni mężczyźni zmieniają się tu w stosunku do kobiet w nadętych tyranów?

Yincent pocałował ją, a potem przeszedł przez podjazd i wszedł do bentleya.

Włosy miał jeszcze trochę mokre po kąpieli i było mu zimno w głowę. Minął bramę i dojechał do głównej drogi.

Włączył radio; złapał końcówkę wiadomości: „...powiedział, że drugie ciało, odnalezione dziś późnym południem w odpływie burzowym obok Oyster River Point, zostało okaleczone w dokładnie taki sam sposób i że wszystko wskazuje na to, że sprawcą w obu przypadkach był ten sam człowiek...” Wyłączył radio. Po lewej stronie, obok małego, zniszczonego parkingu dla przyczep kempingowych i stacji benzynowej, stał budynek dawnej restauracji. Od jedenastu lat, od wypadku Bena, mieszkała tu pani Miller. Światła samochodu Yincenta omiotły sztachety z łuszczącą się farbą, zarośnięte podwórko, rdzewiejące stoliki i krzesła, stojące przed restauracją od dnia jej zamknięcia.

Nad drzwiami nadal wisiał wyblakły szyld, pokryty wymyślnymi gotyckimi literami: Pod Miedzianym Kociołkiem.

Yincent zaparkował samochód i wysiadł. Na parkingu zaszczekał pies. W najbliższej przyczepie ktoś oglądał telewizję-siła głosu była nastawiona na maksimum. Prawdopodobnie niejaki Dufhey; Yincent raz z nim się zetknął. Głuchy jak pień, ale w życiu nie przyznałby się do tego.

Wszedł po nierównych schodach i zapukał do drzwi pani Miller. Otworzyła prawie od razu. Miała na sobie długi fartuch w kwiaty i wyglądała na bladą i przejętą.

–Taka jestem wdzięczna, że pan przyjechał – powiedziała mu. – Doktor dzwonił nie dalej niż przed minutą. Był w Waszyngtonie; przyjedzie tak szybko, jak tylko będzie mógł.

Yincent wszedł do domu. Był zagracony tanimi meblami. Ściany pokrywały tapety w stylu neoklasycystycznym w białe i czerwone paseczki. Unosiła się tu stęchła i ponura woń, wspólna wszystkim naprawdę starym domom, pomieszana z kwaśnym odorem zapachów kuchennych, dymu tytoniowego i zleżalej pościeli. Na schodach prowadzących na dół do kuchni i w górę do pokoju dziennego dobudowano podjazdy dla wózka inwalidzkiego. Drzwi do dolnej toalety były lekko uchylone i Yincent dostrzegał chromowane uchwyty, zainstalowane specjalnie dla Bena Millera.

–Jest tu – powiedziała pani Miller. – Wcale nie jest z nim lepiej. Przed chwilą wymiotował. Boję się, żeby się nie zadławił.

Ben Miller siedział w wózku inwalidzkim na środku pokoju dziennego. Głowę miał odrzuconą do tyłu, szyję spuchniętą. Pokój był pełen odoru wymiocin. Na podłodze stała plastikowa miednica pełna zmętniałej wody.

Ben miał prawie dwadzieścia siedem lat, ale jedenaście lat w wózku inwalidzkim spowodowało, że wyglądał jak duże, zdeformowane dziecko. Miał zjeżone i brudne włosy i resztki zarostu na twarzy. Większość przednich zębów wypadła mu od bezustannego jedzenia batonów czekoladowych. Miał zamknięte powieki. Z gardła dobywał mu się gulgot.

–Czy bez przerwy jest w takim stanie? – spytał Yincent. Pani Miller niespokojnie mięła fartuch.

–Nie otwiera oczu, ale mówi bez przerwy, mamrocze coś. Nie wiem, o co mu chodzi. Od czasu do czasu wymachuje rękami. Panie Pearson, nie wiem, jak mu pomóc. Nie wiem, co się dzieje.

Yincent ostrożnie zbliżył się do Bena i spojrzał na niego z bliska. Inwalida mamrotał coś sam do siebie, od czasu do czasu trzęsąc głową. Gałki oczne latały mu pod powiekami, jakby dręczył go koszmarny sen.

–Ben? – zwrócił się do niego Yincent. Dotknął jego ramienia. – Ben? Słyszysz mnie? Jestem Yincent Pearson.

Ben nagle zamachnął się dziko obydwoma rękami, rzucając się w przód tak gwałtownie, że prawie wypadł z wózka. Yincent chwycił go za ramiona, ale Ben wyrwał mu się, a potem skulił, zasłaniając głowę rękami.

–Oni pszli! – zabełkotał. – Oni pszli! Oni pszli!

–Ben! Proszę! To mamusia! – błagała pani Miller. Klękała przy nim, usiłując rozerwać jego splecione palce i podnieść mu głowę. – Ben, słuchaj, nikt nie zrobi ci krzywdy. Nic ci nie będzie.

–Oni pszli! Oni pszli – pszli! – powtarzał przytłumionym głosem.

–Proszę pomóc podnieść mu głowę – powiedział Yincen. Chwytał go za przeguby i stopniowo, używając prawie całej swej siły, udało mu się rozerwać ręce Bena.

Potem zapał się biodrem o oparcie wózka i uniósł kalekę do pozycji siedzącej.

Twarz Bena była purpurowa i konwulsyjnie wykrzywiona; język wysunął się z ust, oczy latały obłąkańczo.

–Ben – łkała matka. – Ben.

–Oni pszli, oni pszli. – Ślina się, kręcąc się na wózku i łapiąc matkę za spódnicę.

–Ben, Ben, Ben -jęczała pani Miller. Łzy płynęły jej po twarzy. Spoglądała na Yincenta z taką udręką, że nie była zdolna wymówić słowa. Yincen trzymał pokręcony tors Bena najmocniej, jak tylko potrafił, chociaż tamten drżał i miotał się tak gwałtownie, że było prawie niemożliwe uchronić go przed stopniowym ześlizgiwaniem się z wózka. Jego cienkie, bezsilne nogi były skurczone pod rozrośniętym ciałem jak połamane wieszaki.

Prawie przez pięć minut Yincen i pani Miller trwali przy nim bez słowa, podczas gdy on borykał się z demonami niewidocznymi dla nikogo innego.

–Oni pszli – oni wró – oni wró!

–Ben – łkała matka.

Obrócił głowę i spojrzał na nią z furją.

–Oni wrócili! – Piana ukazała mu się na ustach. – Oni wrócili! Oni wróciiiiili!- Krzyczał tak, jakby odrywały mu się płaty skóry w gardle.

–Co on mówi? – Pani Miller spojrzała błagalnie na Yincenta. – Na litość boską, co on mówi?

–Wrócili, wrócili, wrócili!-bełkotał Ben. Jego ręce wybijały szaleńczy werbel na poręczach wózka. – Och, Boże, ratuj, oni wrócili! Nie pozwól im mnie zabrać!

Proszę, mamusiu, nie pozwól im mnie zabrać!

Nagle odrzucił głowę w tył, a kręgosłup wygiął mu się w sztywny

łuk – tak sztywny, że Yincen nie był w stanie go rozprostować. Zagryzł wargi, aż krew pociekła mu z obu kącików ust; ciało zaczęło drżeć, jakby znalazło się na granicy samoistnego zapalenia. Nastąpiła chwila najsilniejszych konwulsji; potem zaczął gorączkowo trząść głową na boki, coraz szybciej i szybciej, rozpryskując krew i ślinę jak wściekły pies.

–Och, mamusiu, tak się boję! Och, mamusiu, och, Boże, tak się boję!!!

Potem, nieszczęśnik, zmoczył się stłumioną fontanną, lejącą się przez jego szare, robocze spodnie, w dół po udach.

W końcu drgawki zaczęły ustępować. Po chwili zapadł w płytki, niespokojny sen.

Oczy mu drgały, mięśnie kurczyły się, oddech miał chrapliwy, przyduszony i nierówny.

Ostrożnie Yincen puścił go i odstąpił na bok. Pani Miller również podniosła się na nogi i stała, obserwując swego syna z niepewnością i obawą. Co chwila wymachiwał ręką i mruczał niezrozumiale. Jakiegokolwiek zjawy gonily go po ciemnych korytarzach jego nieświadomego umysłu, musiały być straszliwe i nieustępliwe, nie pozwalały mu uciec.

–Oni wró...-zamruczał.

Yincen pomógł pani Miller przenieść osłabłe ciało do sypialni, mieszczącej się po drugiej stronie korytarza. Znajdowało się tam wąskie łóżko zasłane przykryciem z żółtej, miękkiej bawełny, malowana komoda i nocny stolik. Stała na nim lampa z abażurem obszytym frędzlami. Obok łóżka leżał porządnie ułożony stos najnowszych „Playboyów”. Pani Miller mogła być niezwykle skromna i religijna, ale nie miała serca odmówić synowi przynajmniej obejrzenia sobie tego, czego pozbawił go wypadek.

Wypadek zdarzył się, kiedy stał na dachu domu Parkera i przybijał gonty. Drabina przewróciła się, a on poleciał jak pływak, głową w dół, z wyprostowanymi rękami, prosto na betonowy chodnik. Chirurdzy byli pewni, że umrze. Często powtarzał matce, że powinien być umrzeć. Powiedział jej też, że wolałby mieć bardziej uszkodzony mózg, spędziłby wtedy resztę życia, uśmiechając się błogo do sufitu, nie wiedząc, ile stracił.

Położyli go do łóżka. Chociaż pani Miller trzęsła się, rozpięła mankiety bluzki, zawinęła rękawy i zabrała się do ściągania roboczych spodni Bena, żeby potem je wyprać. Yincen pomagał jej.

Rozumiał tę potrzebę zajęcia się czymś praktycznym i konkretnym. To mogło pomóc jej odzyskać spokój. Przyniosła miskę wody z mydłem i myjkę. Umyła chude, bezsilne nogi Bena ze zręcznością osoby, która robiła to już przedtem wiele razy.

–Miał dużo ciężkich ataków od czasu wypadku – powiedziała. – Przedtem nigdy ich nie miał, tylko takie dziecinne strachy, że wólczyga albo wilki są w szafie. Ale od wypadku ciągle je ma.

–Ale chyba nie tak ciężkie jak ten?

–Takiego nie miał nigdy.

Yincent pomógł jej wsunąć nogi Bena w parę świeżych spodni od piżamy. Przykryła go kocem i położyła drżącą dłoń na jego głowie. Chciała sprawdzić, czy ma gorączkę.

–Chyba teraz nie jest z nim tak źle. Chyba się uspokoił. Yincent patrzył, jak Ben zasypia.

–Jakiego rodzaju ataki? – spytał.

–Jak nocne koszmary, tyle że na jawie. Czasem jakby chciał chodzić, to rozumiałe. Ale i inne. Naprawdę dziwne rzeczy, nie umie ich wytłumaczyć.

Niektóre takie okropne, że musi siedzieć na wózku przez całą noc. Boi się spać, żeby go zmora nie dopadła, kiedy nie będzie się mógł obronić.

–A co na to lekarz?

Pani Miller wyniosła miskę z wodą.

–Chyba możemy go teraz zostawić – powiedziała. – Musi być wykończony tym całym krzyczeniem i rzucaniem się.

Yincent poszedł za nią do kuchni. Wylała wodę z miski do zlewu i opłukała go bieżącą wodą.

–Lekarz mówił mi-wyjaśniała, zakręcając kran-że ludzie, którzy o mało co nie umarli-tak jak Ben, kiedy zleciał z tego dachu -czasem potrafią więcej widzieć.

Wie pan, o co mi chodzi. Dlatego, że faktycznie umarli, że faktycznie przekroczyli granicę życia i zobaczyli, jak to jest naprawdę po śmierci.

Yincent patrzył na nią przez chwilę.

–I stąd ma te koszmary na jawie?

–Na to wygląda. Pewności nie ma. Trzeba umrzeć, żeby mieć pewność.

–To nie jest najbardziej zachęcająca reklamówka życia po śmierci, prawda?

–Nie, nie – powiedziała pani Miller. – To nie samo życie po

śmierci wywołuje u nich te ataki. Doktor Serling powiedział, że większość pacjentów, która wyszła ze śpiączki, płacze, bo nie udało się im dostać na tamtą stronę. Resztę życia spędzają, tęskniąc za śmiercią, bo zobaczyli, jaka jest piękna.

–Co w takim razie powoduje u nich te ataki?

Pani Miller gorliwie zajęła się ścieraniem sosnowego blatu.

–Ataki sprowadza na nich to, czego dowiedzieli się o świecie i o tym, co na nim jest. To sprowadza ataki.

–Nie rozumiem.

–No, nikt chyba tego nie rozumie – westchnęła pani Miller.

–Czy Ben kiedyś pani to opisywał?

–Mówi, że nie może. Mówi, że nie chce. Ale pamiętam jedną noc, dwa lata temu.

Było z nim naprawdę bardzo niedobrze. Nie mógł spać, a raczej nie chciał. Błagał doktora o benzedrynę, żeby nie zasnąć. Pytałam go, o co chodzi, a on powiedział, że to są nocne i dzienne koszmary – razem. Ale to nie były wcale koszmary, one były jak żywe. Tylko że też i nie były.

Zamilkła, powoli wycierając ręce o fartuch, a potem powiedziała:

–Powiedział, że to było tak, jakby zobaczył świat po raz pierwszy. Powiedział: „Mamusiu, tyle jest zła na świecie, a wszyscy przechodzą obok niego, jakby było niewidzialne”. Powiedział, że ten wypadek dał mu specjalne okulary, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć. Przed wypadkiem bywało, że siedział po prostu w pokoju z przyjaciółmi. Ale potem widział też w pokoju diabły i złych ludzi, i duchy tak lubieżne, że nigdy i nikomu o nich nie mówił. A przecież wszyscy jego przyjaciele dalej tam siedzieli, obojętni, jakby nic nie widzieli.

Usłyszeli samochód, a potem trzaśnięcie drzwi.

–To powinien być już doktor Serling – powiedział Yincen. Pani Miller ujęła go za rękę.

–Pan wie, panie Pearson, że ja czasami potrafię dosolić. Bardziej, niżbym chciała.

Yincen poklepał ją po ręce.

–Nie powinna się pani tym przejmować, pani Miller. Jest pani najlepszą gospodynią w całym Okręgu Litchfield, a prawdopodobnie też w całym stanie.

–W każdym razie dziękuję panu, że przyjechał pan tak szybko z pomocą – powiedziała mu. – I niech pan posłucha, proszę nie



powtarzać całego tego gadania o specjalnych okularach i diabłach, i tym wszystkim. Benowi już teraz ciężko znaleźć przyjaciół. Gdyby się zwiedzieli, że jest nie tylko kaleki, ale i obłąkany... no, wtedy jak nic straciłby tych niewielu, których jeszcze ma. Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi.

–Nie powtórzę tego – obiecał Yincen. Pocałował je w policzek. – Teraz lepiej zejść z drogi doktorowi Serlingowi i pani też. A w domu czeka na mnie karkówka.

Gdyby jednak w nocy czegoś pani potrzebowała, proszę się nie krępować i dzwonić.

–Bóg niech pana błogosławi.

Były to proste słowa podziękui, lecz wypowiedziała je niezwykłym tonem. Kiedy wracał do domu, wspomniał go. Uważnie spojrział na siebie w lusterku. „B ó g niech pana błogosławi” – powiedziała. Jakby usiłowała to podkreślić: niech nie będzie to nikt inny ani n i c innego.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

West Haven, 13 grudnia Kapitan Hoskins wskazywał drogę do kostnicy. Jego duże pośladki podrygiwały, jeden koniec koszuli luźno wystawał ze spodni.

–Najpierw wpadło mi do głowy, że to chirurg – powiedział. – Jeden z tych wysokiej klasy napinaczy cycków dostał świra. To się zdarza. Ci faceci pracują pod takim obciążeniem, że ludzkie ciało zaczyna w nich budzić pogardę, kapujesz?

Co ty i ja widzimy, jak gapimy się na wóz? Błyszczącą karoserię. A mechanik samochodowy? On widzi rdzę i brud, druty i żelastwo. Chirurgi tak samo patrzą na ludzkie ciało.

Jack Smith w milczeniu szedł za kapitanem Hoskinsem długim wywoskowanym korytarzem. Zwiesił głowę w przygnębieniu. Jeśli o niego chodzi, to jeden obdarty ze skóry nieboszczyk tygodniowo wystarczał mu w zupełności. Obecnie policja w New Haven znalazła następnego. Leżał na plaży i z opisu wynikało, że był w jeszcze gorszym stanie niż ciało, które wyłowili ze zbiornika Nepaug. Co gorsza, Jack nie potrafił przedstawić kapitanowi Hoskinsowi żadnych udokumentowanych przypuszczeń, które mogłyby tych ludzi zabić i obdrzeć ze skóry.

Nie był w stanie znaleźć żadnych śladów przy zbiorniku Nepaug; żadnych odcisków stóp, żadnych śladów po oponach, żadnych włókien z odzieży, żadnych kropli krwi.

Nikt nie zgłosił nic podejrzanego; żadnych garbusów targających w nocy worki; żadnych rozdzierających krzyków; żadnych czarnych, tajemniczych limuzyn.

Ale ktoś wziął do wozu dwudziestotrzylatka z Uniwersytetu Connecticut w Storrs, studenta o imieniu Karl Madsen. Chłopak jechał stopem z Canaan, gdzie mieszkali jego rodzice, do Storrs. I ten ktoś albo ci ktosie zawieźli Karla Madsena w nieznane miejsce i obdarli go kompletnie z zewnętrznej warstwy skóry, i wrzucili do zbiornika Nepaug. Lekarz sądowy powiedział, że nigdy czegoś takiego nie widział, nigdy w życiu. Zdjęta została tylko epiderma. Zrobiono to z wielką zręcznością, tak jak zdejmuje się pergaminowy papierek otaczający migdałowe ciasteczko. Papierek nie został przedarty, z ciasteczka nie spadł okruszek.

A teraz następny.

–Mewy zajmowały się nim, kiedy go znaleziono – powiedział kapitan Hoskins – więc trudno powiedzieć, jak wyglądał, kiedy go wrzucono do wody. Ale nie ma wątpliwości-ktoś obdarł go ze skóry, i to na żywo.

–Skąd ta pewność?

Kapitan Hoskins pchnął wahadłowe drzwi z napisem „Kostnica Policyjna”.

–Nie wiem. To ma jakiś związek ze sposobem krzepnięcia krwi. A poza tym wszędzie tam, gdzie mewy się nim nie zajęły, był jednym wielkim strupem. Nie wiem. Musisz spytać lekarza.

Weszli do szerokiej, wyłożonej płytkami, dźwięczącej echem kostnicy. Panował w niej mocny zapach środka dezynfekującego i inna jeszcze woń, słodkawa i mdląca. Żadne czyszczenie i dezynfekcja nie były w stanie jej wyrugować. Każdy, kto walczył na froncie, pracował w szpitalu albo otworzył bagażnik porzuconego samochodu i znalazł tam tygodniowego trupa, rozpoznałby ją natychmiast.

Młody asystent ze sterczącymi włosami i w przydużych kaloszach wyszedł im na spotkanie. Nosił okulary przymocowane plastrem. Na czubku nosa miał czerwoną kropkę.

–Chcecie zobaczyć tego faceta bez skóry? – spytał.

–Jeżeli byłby pan tak łaskawy – odpowiedział mu kapitan Hoskins, z przesadną uprzejmością Olivera Hardy'ego.

Asystent podszedł do szuflad chłodni. Spoczywały tam w temperaturze dwóch stopni Celsjusza szczątki tych, którzy w okolicznościach podejrzanych lub gwałtownych zmarli ostatnio w New Haven. Wsunął szufladę ze środkowego rzędu i powiedział:

–Nie krępujcie się. Mam nadzieję, że jesteście przed śniadaniem.

Jackowi wystarczyło jedno szybkie spojrzenie. Ciało było jedną plamą nagiego, oślepiającego szkarłatu. Jak trup młodego Karla Madsena. Brak było oczu – wydziobały je mewy. Usta były rozwarte w ohydny, wyszczerzonym uśmiechu.

–Dobra, wsuń go – rozkazał kapitan Hoskins.

Wyszli z kostnicy i przecięli parking, kierując się do samochodu Hoskinsa. Był wietrzny, mokry poranek; liście topiły się w kałużach, chmury płynęły szybko i cicho. Kapitan Hoskins, zapinając krótki barani kożuszek, powiedział do Jacka:

–To mi wygląda na paskudną sprawę, wierz mi, i jeśli ty i ja czegoś z tym nie zrobimy, utopimy się w gównie. Jeżeli komisarz Neuman na coś nie ma ochoty, to z pewnością na aferę wokół „Oprawcy z Connecticut”.

–Nie masz żadnego punktu zaczepienia? – spytał Jack. – Żadnej krwi, żadnych odcisków palców, żadnych włosów, żadnych włókien z odzieży, absolutnie nic. Jak u ciebie. Jack zapalił papierosa i wydmuchnął dym na wiatr.

–Pytanie, które ciągle sobie zadaję, brzmi: dlaczego teraz?

–Co znaczy: „dlaczego teraz”?

–Ktoś zaczyna mordować młodych mężczyzn i ściąga z nich skórę. Pytam dlaczego teraz?

–Sam chciałbym wiedzieć. Każdy musi kiedyś zacząć. Możesz zadać takie samo pytanie o wszystko, co chcesz. Dlaczego wstąpiłeś do policji w tym, a nie innym dniu? Dlaczego w zeszłym roku wszyscy zdecydowali się głosować na Ronalda Reagana? Dlaczego Kolumb zdecydował się popłynąć do Ameryki w tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim?

–Ale o to mi właśnie chodzi – odpowiedział Jack. – Wstąpiłem do policji w danym dniu z konkretnych powodów: z powodu wieku, jaki osiągnąłem, z powodu długości kursu na akademii policyjnej i ponieważ chciałem wziąć Nancy na wakacje do Key West, zanim zacznę służbę. To samo odnosi się do ludzi, którzy głosowali na Ronalda Reagana, i decyzji Krzysztofa Kolumba dotyczącej kierunku

jego wyprawy. Były powody, dla których tamte rzeczy się wydarzyły, i jest powód, dla którego ci młodzi mężczyźni zostali zamordowani.

Kapitan Hoskins wepchnął ręce w kieszenie kurtki i odwrócił wzrok. Jack znał go od lat. Hoskins gwizdał na teoretyczne analizy i dowody pośrednie. Wolał to, co da się zobaczyć i dotknąć. Potem . trzeba to tylko pokazać ławie przysięgłych, razem z dyndającą etykietą „Dowód rzeczowy A”.

–Jeżeli zdołamy odpowiedzieć „dlaczego teraz”, powinniśmy móc odpowiedzieć „dlaczego” – kontynuował Jack. – A jak odpowiemy „dlaczego”, powinniśmy móc odpowiedzieć „kto”.

–Ten „kto” jest totalnym fiołem, ot co – powiedział kapitan Hoskins.-Ze stałym adresem: Klinika doktora Świra i siostry Szajby.

–Masz chyba rację. Ale ma nieprawdopodobne umiejętności, bez względu na to, jak jest szalony. Wiesz, co mi powiedział koroner w Hartford? Zabójca zdjął skórę nawet z jaj Madsena -jak z pomidorów. Wyobrażasz sobie?

–Ni cholery sobie nie wyobrażam.

Ustalili, że będą w kontakcie. Kapitan Hoskins odjechał na swój posterunek; Jack wpakował się do swojego volkswagena passata i pojechał w kierunku Okręgu Litchfield i małego miasteczka Har-winton, w którym mieszkał. Widok ciała w kostnicy w West Haven przygnębił go i zaniepokoił, ale dał mu też wiele do myślenia. Zdał sobie teraz sprawę, że zabójstwo nad zbiornikiem Nepaug nie było pojedynczą, wyizolowaną zbrodnią. Nie był to przypadek makabrycznej ciekawości, sadystycznego eksperymentu, mającego odsłonić widok ludzkiego ciała pozbawionego skóry. Nie chodziło o usłyszenie krzyku obdzieranego żywcem człowieka. Nie, zostało to dokonane celowo, a celowość zakłada pewien rygor, nawet jeżeli morderca uderzył tylko dwukrotnie. Raz – oznacza przypadek, dwa razy – powód. I choć Jack modlił się o zakończenie tej serii, to równocześnie wiedział ze zwykłą, rutynową pewnością, że ten koniec nie nastąpi.

Coś musiało się zmienić w życiu mordercy, że został popchnięty do takich czynów.

Nie była to tylko zmiana otoczenia. Jack użył komputerów FBI, cofając się aż do roku 1908, od kiedy gromadzono akta. Dowiedział się, że w całym kraju ani jedna osoba nie została zamordowana przez obdarcie żywcem ze skóry. Jedyne historyczne analogie to stosowanie ludzkiej skóry w średniowieczu do okładania książek. A w obozach koncentracyjnych podczas wojny zdzierano

skórę z Żydów. Wyrabiano z niej abażury, papierośnice i używano do ozdób.

Prawdopodobnie jedyny wniosek, jaki wynikał z historii, to fakt, że ci, którzy zdierali skórę z innych, robili to nie z okrucieństwa, ale ponieważ właśnie skóry potrzebowali. Przejawiali jeszcze jedną cechę: poczucie absolutnej wyższości wobec innych ludzkich istot. Zbierali te skóry, bo uważali swe ofiary za niewiele różniące się od zwierząt. Skóry stanowiły trofea.

Jack dotarł do domu zaraz po lunchu. Wiatr był teraz łagodniejszy, kałuże na chodnikach zmieniły się w ciemne zacieki. Skręcił w Torrington Park; małe, liczące sześć domów osiedle leżące na skraju miasteczka. Nie olśniewało: trójkołowe rowerki na jezdni, bielizna schnąca na podwórkach, okoliczne dzieciaki powoli i zręcznie demontujące na frontowym podjeździe imperiała le barona. Jack zatrzymał wóz przed swoim domem, drugim od końca. Dostrzegł Nancy rozmawiającą w salonie ze swoją przyjaciółką, Pat Lerner. Widział Pat po raz pierwszy od dłuższego czasu. Pomyślał, że jej pojawienie się w tygodniu pełnym niepokojących wypadków dopełniało ponurej logiki zdarzeń. Poza tym, że uczyła w szkole podstawowej i miała kompletnego bzika na punkcie robienia makatek z frędzelkami, Pat była „wrażliwa”. Umiała przepowiadać przyszłość (z listków herbaty i kart do taroka); potrafiła rozmawiać z duchami zmarłych (choć rzadko zdarzało im się przekazać coś sensownego) i potrafiła przewidywać pogodę, przysłuchując się graniu świerszczy. Ale Jack i Nancy znali Pat od tak dawna, że nigdy nie przyszło im do głowy traktować jej spirytystycznych umiejętności jako czegoś więcej niż zabawnych sztuczek w rodzaju gry na akordeonie czy żonglerki pomarańczami.

Jack uśmiechnął się i pomachał ręką; Nancy podeszła otworzyć mu drzwi. Była drobną, piękną i bardzo jasną blondynką. Jack szalał na punkcie jej głosu.

Brzmiał zawsze tak, jakby miała właśnie wybuchnąć płaczem, nawet w najradośniejszych momentach. Pracowała przedpołudniami, prowadząc zerówkę w szkole podstawowej w Harwinton. Kochał ją całym sercem. Nigdy jej nie okłamał, poza jednym przypadkiem, kiedy trzy lata temu na dworcu autobusowym Washington rozbroił pewnego mężczyznę, grożącego dubeltówką swojej żonie i dzieciom. Gdyby Nancy dowiedziała się, co zrobił tego dnia, nie wypuściłaby go już więcej do pracy.

–Wcześniej przyjechałeś – powiedziała, całując go. Miała na

sobie džinsy i koszulę w niebieską kratę; nazywał to stylem „na prościucha”. – Pat wpadła, żeby mi powróżyć.

Jack powiesił płaszcz w holu. Dom nie był duży, ale Nancy utrzymywała go we wzorowym porządku. Znajdował się w nim kominek z surowych kamieni, a na nim szklane ozdoby i wisząca wyżej reprodukcja Pionierów Williama Ranneya. Na ścianach były porozwieszane miedziane części końskiej uprzęży. Komplet jadalny z orzecha włoskiego i akwarium dopełniało reszty umeblowania.

–Przepowiadamy przyszłość, co? – zagadnął Pat, zacierając dłonie dla rozgrzewki. – Dostanę nowe wozy patrolowe w tym roku budżetowym?

–Jak do tej pory, okazało się – powiedziała Pat – że Nancy czeka długa podróż morską, nieoczekiwany list i nowy małżonek.

–Proszę, co za obiecujący początek – uśmiechnął się Jack, zasiadając w ulubionym fotelu. – Kiedy mam się pakować?

Pat klęczała przed stolikiem do kawy, rozdając karty. Była chudą kobietą z długimi, ciemnymi warkoczami. Miała ostry indiański profil, chociaż była Żydówką. Jej mąż sprzedawał pontiaki. Włączała się w każdą akcję charytatywną, w jaką mogła się włączyć, a także w sprawy każdego mieszkańca Harwinton, który nie przekroczył siedemdziesiątki i był jeszcze zdolny do cudzołóstwa lub przynajmniej mógł być posądzony o cudzołóstwo.

–Mam dzisiaj nowe karty – powiedziała. – Zwykle biorę te do taroka, ale dzisiaj pomyślałam, że spróbuję talię Mademoiselle Lenormand.

Jack pochylił się ku niej.

–Mogę je zobaczyć? – Podniósł parę kart i obejrzał. Na jednej były gwiazdy błyszczące na granatowym niebie oraz wierszyk, który głosił: „Gdy wieczór zapadnie, szczęśliwy los zgarniesz”. Na innej był złoty krucyfiks i ostrzeżenie: „Krzyż ból przynosi, historia to głosi”.

–Pierwszy raz widzę coś podobnego – powiedział.

–Powiedzieć ci, czego masz się spodziewać? – spytała Pat. Nancy wróciła do salonu, mówiąc do Jacka:

–Nie masz ochoty na kawę? Pat i ja dopiero co piłyśmy.

–Oczywiście. Myślę, że nie zaszkodzi parę łyków, zanim twój nowy mąż się wprowadzi.

–Tak naprawdę karty tego nie powiedziały – powiedziała Nancy, przysiadając obok niego na poręczu fotela i kładąc mu rękę

na ramieniu. – Pat pracuje tylko na rzecz małżeńskiego nieporozumienia. To jej hobby. To i oczywiście Fundacja na Rzecz Serca.

Pat szybko wyłożyła na stolik trzydzieści sześć kart, cztery rzędy po osiem i jeden czterokartowy.

–To jesteś ty, Kawaler, karta numer dwadzieścia osiem. Twoja najbliższa przyszłość jest wyrażona przez sąsiednie karty; pozostałe mają na ciebie mniejszy wpływ, zależnie od tego, jak są daleko.

–Co to? – spytał Jack, uważnie oglądając karty. – Zboże? Przestaną być gliną i wezmę się za farmerkę?

–No, to nie znaczy nic specjalnego – powiedziała Pat. Obejrzała karty i zmarszczyła brwi. Potem nagle je złożyła.

–O co chodzi? – spytał Jack. – Nie czeka mnie żadna przyszłość? – Żle je rozłożyłam, to wszystko.

–Daj spokój, spróbuj jeszcze raz. Chcę wiedzieć, czy dostanę te wozy czy nie.

–Słyszę, że kawa jest gotowa – powiedziała Nancy i wyszła do kuchni. Po chwili zawołała: – Chcecie ciastka?! Mogą być posypane orzeszkami, kokosem albo polaną czekoladą.

–Pilnuję wagi! – odkrzyknęła Pat, tasując karty i rozkładając je po raz drugi.

–Nic nie spada, ale mam na nią oko.

–No dobra, co teraz mówią te mistyczne karty? – powiedział Jack pochylając się.

–No, popatrz, dalej wychodzi, że będę farmerem. Żle potasowałam.

–Potasowałam – zaprotestowała Pat. – Jack, przysięgam, potasowałam je.

–Te same. Są dokładnie te same. Nancy wniosła tackę.

–Może tak wygląda twoja przyszłość, ilekroć by się je tasowało. Jest więcej rzeczy na niebie i ziemi, Horacy.

–Horacy? – zdumiała się Pat. – Tak do niego mówisz?

–To cytat – wyjaśniła Nancy.

–Niech będzie, że zostanę farmerem. To jest w kartach i tak musi być – powiedział Jack. – I muszę szybciej wypić tę kawę, bo mam być w Bristolu o drugiej.

–Jack, z tej karty nie wynika, że zostaniesz farmerem – powiedziała Pat.

Jack spojrzał na nią. Nagle jej głos zabrzmiał poważnie.

–Ale to nie jest zła wiadomość? – spytał uśmiechając się.

–Na tej karcie jest kosa. Tutaj, popatrz, stoi oparta o snop. A wykładnia tego brzmi: „Kosa tnie swobodnie, groźba się wylania. Na obcych uważaj, nieszczęście się kłania”.

Jack postawił filiżankę z kawą na stoliczku.

–Pat, jestem policjantem, a nie listonoszem albo facetem od roznoszenia ubezpieczeń. Przez piętnaście godzin każdego dnia mam do czynienia z obcymi, którzy marzą, żeby mnie spotkało jakieś nieszczęście. Żadna nowość. Wiem to i bez wróżki.

Pat uparcie zachowywała powagę.

–Musisz uważać na noże i ostre przedmioty. Jeżeli nie, ktoś niedługo użyje noża przeciw tobie.

Przez jakiś czas Jack nie odzywał się; potem podniósł kartę z wy-rysowanym zbożem i obejrzał uważnie. Odkładając ją na stół, spytał:

–A co mówią pozostałe?

–To nie są dobre karty – powiedziała. – Może fluidy oszukują, może to nie są wcale twoje fluidy. Nie miałeś ostatnio do czynienia z jakimś groźnym przestępcą.

–Tylko z moim księgowym.

–Jack, proszę, nie żartuj sobie z tego. Podniósł znów filiżankę i pociągnął dwa łyki wrzątku. Nancy zawsze besztła go za zbyt łapczywe picie kawy.

–Dzisiaj rano oglądałem trupa – powiedział.

–Trupa? Chodziło o ofiarę morderstwa?

–Zgadza się.

–A czy... jego zgon był spowodowany użyciem noża? Albo czegoś ostrego?

–Nie mogę ci tego powiedzieć, nie w tym momencie. To sprawa poufna. Nie mówiłem jeszcze nawet z komisarzem, chociaż wkrótce mnie to czeka.

Palec Pat spoczął na następnej karcie, tej, która znalazła się dokładnie nad głową Kawalera. Numer VJJ, Wąż Kusiciel. Jadowity zielony gad, zwinięty na skale. Karta ostrzegała: „Groźny jest wąż, co usypia kłem... użyje czaru, aby wymknąć się...” – Co to znaczy? – spytał Jack.

–To znaczy, że musisz strzec się szalenie sprytnej i pociągającej kobiety – odpowiedziała Pat. – Będzie próbowała cię uwieść, ale naprawdę chce zadać ci ból, nawet zabić.



Jack zerknął na Nancy, a potem powiedział:

–Jedź dalej. A co z tą po mojej lewej stronie? Sowa siedząca na drzewie.

–Głęboki smutek – wyjaśniła Pat.

–Poprzednio mi wypadła i mówiłaś, że czeka mnie długa podróż morska – przerwała jej Nancy.

–Leżała daleko, więc oznaczała podróż. Ale teraz jest bardzo blisko, więc zapowiada głęboki smutek.

–Coś jeszcze – spytał Jack.

–Na wypadek, gdybym zaczął czuć się zbyt dobrze?

–Poniżej ciebie, tutaj, jest Góra-wskazała Pat. – To ostrzega, że ktoś szykuje na ciebie zasadzkę, że przez następne parę tygodni oczekują cię wielkie kłopoty.

Właśnie wtedy, kiedy będzie ci się wydawało, że udało ci się, co zamierzałeś, że wygrasz-,3estia" zaatakuje.

Jack skończył kawę i zatarł ręce, powoli i z namysłem.

–Czy słyszałaś, żeby coś z tego interesu ci się sprawdziło?

–Używałam tej konkretnej talii tylko sześć lub siedem razy – powiedziała – i wszystko, co wiem, to fakt, że jest przerażająco silna. Ma naprawdę nadzwyczajną moc.

–I wierzysz w nią?

–A dlaczego nie? Korzystano z niej ponad sto lat, z wieloma sukcesami.

–Przebadany, opatentowany, sprawdzony na rynku sukces?

–Coś takiego nie istnieje, Jack – powiedziała Pat, zbierając karty. – Ani przy kartach, ani przy łapaniu przestępców, ani nawet przy pieczeniu ciasta czekoladowego.

–Wypluj to słowo – drażnił się z nią Jack. – Przecież pilnujesz wagi.

Pat wkładała karty z powrotem do pudełka, kiedy jedna upadła na podłogę. Jack schylił się po nią. Kiedy podawał kartę Pat, nagle zdał sobie sprawę, że na rękę ma pełno krwi, płynącej swobodnie po rękawie, spływającej na garnitur, cytrynowożółty dywan i mały stoliczek. Wszystko to stało się w trakcie kilku sekund milczenia, szoku i grozy. Wystarczył moment, by uświadomił sobie, co się stało. Brzeg złowróżbnej karty bezboleśnie przeciął grzbiet ręki w miejscu, gdzie spotykają się arterie promieniowa i łokciowa. Serce pracowicie wypompowywało mu krew z wydajnością siedemdziesięciu trysków na minutę.

Nancy patrzyła na krew rozlewającą się po stoliczku; nie mogła pojąć, skąd płynie. Wyglądało, jakby sufit się rozwarł i krew kapła z nieba. Ale Jack wyrwał spod filiżanek serwetę, wywracając je i rozlewając kawę, i przycisnął mocno do wierzchu dłoni. Serweta natychmiast namokła świeżą czerwienią, ale dociśnięty kciuk zaczął tamować upływ krwi.

–Jack! – krzyknęła Nancy. Pat upuściła karty i patrzyła na niego w przerażeniu.

–Opanowałem to – uspokoił je. – Brzeg karty rozciął mi rękę, dokładnie po arterii. To jest głębokie, ale nie potrwa długo. Podajcie mi tylko bandaż z apteczki, dużą chusteczkę i jakiś długopis albo ołówek.

Pat obserwowała w milczeniu, jak Nancy bandażuje Jackowi rękę, a potem wiąże chusteczkę wokół rany i przepycha ołówek, aby potem zakręcić parę razy, robiąc opaskę zaciskową.

–To powinno trzymać – powiedział Jack. Chociaż był spokojny, szok sprawił, że zaczął się czuć słabo i niepewnie. – Jeżeli zawieziecie mnie na pogotowie, na pewno doprowadzą mnie do użytku.

Nancy razem z Pat pomogły mu wsiąść do volkswagena i same zajęły miejsca. Kiedy Nancy pochyliła się, żeby zapiąć mu pas, próbował się do niej zuchowato uśmiechnąć.

–Wyglądasz jak śmierć-powiedziała, całując go w policzek.

–To po prostu niewiarygodne, że można sobie coś takiego zrobić kartą – mówiła Pat, kiedy wyjeżdżali z Torrington Park. – To wydaje się niemożliwe.

–Takie rzeczy ciągle się zdarzają – powiedział Jack. – Słyszaliście o fabryce papieru w Silver Lake? Jakies dwa lata temu jeden z robotników stracił pół ręki.

Odciął ją sobie równiutko dużym arkuszem papieru pakowego. W porównaniu z tamtym to pestka.

–Tak mi przykro – powiedziała Pat. – Gdybym nie zajmowała się tymi głupimi kartami. Gdybym nie była taką oferumą...

–Nie twoja wina-uspokajał ją Jack. – Powinienem uważać, co robię.

Na pogotowiu w Harwinton zszyto i zabandażowano rękę. Młoda pielęgniarka o szerokim uśmiechu, dużych piersiach i zalotnych piegach przyniosła mu filiżankę kawy. Lekarz dał mu zastrzyk przeciwtężcowy, kichając przy tym ogłuszająco, a potem wyciągnął chusteczkę, żeby zająć się własnym nosem.

–Czego to się nie złapie podczas pracy w szpitalu, szeryfie. Nie uwierzyłby pan. A im bardziej luksusowy szpital, tym bardziej luksusowa jednostka chorobowa.

Lekarz pozwolił mu opuścić szpital po dwóch godzinach. Nancy i Jack podrzucili Pat do domu, a potem wjechali na własny podjazd.

–Mam ochotę się napić – powiedział Jack, kiedy otworzyli frontowe drzwi i weszli do holu. Zegar ścienny wybijał właśnie trzecią.

–Wiesz, co powiedział lekarz–żadnego alkoholu. Rozszerza naczynia krwionośne i powoduje ponowne krwawienie. Może kawę?

–Tonę w kawie.

Weszli do salonu. Wyglądał, jakby kogoś w nim zamordowano. Krew była na całym dywanie, na stoliku, na krzesłach; krwawe odciski stóp na dywanie, smugi na ścianie i krople krwi na bladozłoty-tych zasłonach.

–Nie wiem – westchnęła Nancy. – Nigdy nie umiałeś być schludny, prawda? Nie potrafisz nawet schludnie krwawić. Jack objął ją ramieniem i pocałował.

–Zaraz zadzwonię, żeby nam oczyścili dywan. Znasz tych facetów z Bristolu? Oczyścili z krwi cały dywan Gilberta.

Gilbert Wagner, mieszkający o milę dalej, zeszłego roku przypadkowo obciął sobie kciuk nożem elektrycznym. Zrobił to podczas dzielenia indyka w dniu Święta Dziękczynienia.

Nancy podniosła pokrwawioną serwetę i pozbierała karty Pat.

–To ta karta, którą się przeciąłeś – powiedziała, podając mu ją.

Jack ostrożnie ujął ją pomiędzy kciuk i palec wskazujący. Karta na koszulce miała czerwony wzór z rysunkiem wielkookiej sowy w centrum. Odwrócił ją. Na licu był narysowany snop z opartą o niego kosą. Dolna część karty, tam gdzie widniało ostrze kosy, była zbroczona krwią Jacka. – „Kosa tnie swobodnie, groźba się wyłania. Na obcych uważaj, nieszczęście się kłania”.

Jack obrócił parę razy kartę w rękach, a potem wzruszył ramionami i zwrócił ją Nancy.

–Chyba nie myślisz, że...? – spytała niepewnie.

–Przypadek i tyle.

–Ale Pat miała już raz rację.

–W czym? Że pies pani Piatkowskiej dostał wścieklizny? Że była burza podczas kiermaszu Komitetu Rodzicielskiego?

–Tak. Wiem, to były drobiazgi, ale...

–Ale co? – Jack z uśmiechem domagał się odpowiedzi. Nancy odłożyła kartę na klejący się blat stołu.

–Nie wiem. Ale coś jest. Coś się dzieje. Coś jest nie tak. Czuję to. A ty nie?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nowy Jork, 15 grudnia Cordelia Gray czekała na niego przy małym stoliku, w głębi sali restauracyjnej.

Jej szminka była koloru czystego szkarłatu. Na głowie miała zwracający uwagę czarny kapelusz, z szarym strusim piórem. Restauracja była urocza: ściany wyłożone lustrami, na stołach różowe serwety, wazony pełne frezji.

–Mam nadzieję, że się nie spóźniłem – powiedział Edward.

Był lekko zaskoczony, że podając mu dłoń, wyraźnie spodziewała się, że złoży na niej pocałunek. Przymykając oczy, zrobił to, czego od niego oczekiwała.

–Zamówiłam szampana. Mam nadzieję, że nie było to zbyt śmiało z mojej strony – uśmiechnęła się.

Używała dziś nieco innych perfum, ale nadal było w nich coś, co sprawiało, że czuł niepokój i kręciło mu się w głowie. Jakby siedział w zamkniętym pokoju, podczas gdy żmija zmysłowo owija mu się wokół nogawki spodni.

–Szampan, to cudownie – powiedział. Cordelia uśmiechnęła się, nie rozchylając warg.

–Krug, rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci. Jedna butelka kosztuje tyle, ile wyżywienie przez miesiąc całej etiopskiej rodziny.

Edward przesunął ręką po włosach. Na Sześćdziesiątej Ulicy wiał mocny wiatr.

–Czy mam się z tego powodu czuć winny?

–Poczucie winy to skomplikowana sprawa – powiedziała Cordelia. – Są tacy, którzy powinni czuć się winni, ale nic nie czują, i tacy, co czują się winni, chociaż nie mają ku temu powodu. Oczywiście istnieją i tacy, według których pojęcie winy nie ma żadnego sensu.

Cordelia zaproponowała, żeby zamówili potage du Pere Tran-àuille, gęsty krem z sałaty.

–Nazywa się tak po pewnym tajemniczym kapucynie – wyjaśniła. – Ale również dlatego, ponieważ sałata ma podobno sprowadzać senność.

Potem zjawił się okoń, pieczony na ruszcie.

–Bardzo prosta potrawa, ale niezwykle wzmacniająca i ma cudowny wpływ na cerę.

Odmówiła deseru, ale Edward poprosił o kasztany smażone w cukrze.

Przy następnym stole towarzystwo urzędników z Cleveland mocno piło i śmiało się głośno. Jeden z nich podnosił zalety swojego nowego mercedesa.

–A niech będzie niemiecki. Co w tym złego? To jeszcze nie znaczy, że siedzenia zrobili ze skóry ściągniętej z tyłka twojego dziadka.

Cordelia uśmiechnęła się i pociągnęła szampana.

–Cieszę się, że przyszedłeś, Edwardzie. Gdyby nie ty, musiałabym jeść sama, a nie znoszę tego. Człowiek czuje się wtedy tak, jakby ponosił jakąś karę, nieprawdaż? Każdy kęs przypomina, że nie ma nikogo, z kim mógłbyś dzielić posiłek.

–Jestem do tego przyzwyczajony.

–Mieszkasz sam?

–Poprzednio mieszkałem ze swoją dziewczyną. Potem ona się wyniosła i wyszła za kogoś innego. Za Danny'ego Montblata. Teraz jest panią Laurą Montblat, jeżeli ci to coś mówi.

–Laura Merriam – to brzmiałoby bardziej stosownie.

–Tak, może – wymruczał Edward z rezygnacją. – Chyba się już z tym pogodziłem.

–Kochałeś ją naprawdę? Podniósł głowę znad deseru.

–Tak – przyznał – kochałem ją.

–Ale już jej nie kochasz?

–Nie wiem. Gdyby nawet tak było, jaka to różnica?

–Ale mimo to uważasz, że jest piękna?

–Tak, chyba tak.

Nabrał na łyżeczkę jeszcze trochę masy kasztanowej zastanawiając się, dokąd prowadzą wszystkie te pytania.

Cordelia jadła w niezwykle sposób. Edward zauważył to po raz pierwszy, kiedy zaczęła swoją porcję okonia, ale oczywiście był zbyt dobrze wychowany, aby na to zareagować. Najpierw nabierała kawałek na widelec, potem podnosiła do ust, zakrywając go dłonią – i jedzenie znikало, jakby wykonywała kuglarską sztuczkę.

Zerknąwszy na nią kilkakrotnie podczas posiłku, zdał sobie sprawę, że ani razu nie widział, aby otworzyła usta i włożyła w nie wprost kęs jedzenia. Żuła również dziwnie. Mimo że nie ruszała szczękami, falowały jej policzki.

Edward nie potrafił tego inaczej określić. Jednak nie chciał przypatrywać się jej zbyt dokładnie-uważał to za nieuprzejme. Może miała sztuczne zęby i mimo całej swej elegancji i urody żucie sprawiało jej kłopot. Ostatecznie musiała mieć-właśnie, ile? Trzydzieści osiem, czterdzieści? Może więcej. Było to trudne do określenia. Skórę miała gładką jak młoda dziewczyna; żadnych zmarszczek koło oczu. A jednak miała w sobie coś, co powodowało, że miał wrażenie, jakby siedział przy stole z o wiele starszą od niego kobietą. Spojrzał na nią znów i uświadomił sobie ze zmieszaniem, że na dobrą sprawę nie potrafiłby określić jej wieku.

–A więc pani Laura Montblat-powiedziała Cordelia, starannie odcinając maleńki plątek brie.

–Zgadza się – powiedział Edward. W istocie nie chciał o tym rozmawiać. Rana jeszcze się nie zagoiła.

–I teraz mieszkasz zupełnie sam?

–Pustelnik z Apartamentów Wentworth.

Cordelia przesłoniła ręką usta, przelękając odkrojony przed chwilą plasterk sera. Kiedy to robiła, mały biały kawałeczek wypadł jej zza dłoni na talerz.

Natychmiast złapała go dwoma palcami i kuglarskim ruchem wsunęła do ust.

Zrobiła to tak szybko, że Edward nie był w stanie dokładnie zobaczyć, co się stało. Ale pozostało mu nieprzyjemne wrażenie, że plasterk drgał, jakby był żywy. Spojrzał na nią licząc, że sama mu to wyjaśni, ale w odpowiedzi ujrzał w jej oczach zwykły dystans i pustkę, jakby spoglądał w dwa zwierciadła.

Chrząknął.

–Czy będzie nieuprzejme z mojej strony, jeżeli zapytam, po co, tak naprawdę, zaprosiłaś mnie na lunch? Wiem, że potrzebujesz mnie do pomocy przy odtworzeniu swojej rodzinnej kolekcji. Ale czy ci nie chodzi przy tym również o ten obraz Waldegrave'a?

–Jesteś cudownie naiwny – uśmiechnęła się. – Powiedz, czy masz ochotę na spacer po parku i rozmowę o tej rodzinnej kolekcji?

Edward dokończył kieliszek białego wina.

–Tak, z przyjemnością. Jeżeli tylko wiatr nie będzie ci przeszkadzał.

–Wiatr? – roześmiała się. – Skąd, pamiętam, jak byłam raz na jachcie koło Long Neck Point i wiatr...

Zatrzymała się w pół zdania. Patrzyła się na niego spojrzeniem, którego nie był w stanie rozszyfrować. Ostrożność? Strach? Była w nim jakaś dziwna obawa.

Zniżyła wzrok i powiedziała cicho:

–Wiesz, wiatr był bardzo silny. Prawie sztorm.

Zapłaciła rachunek gotówką. Świeżymi pięćdziesiątkami, jak zauważył. Potem udali się na spacer do parku, idąc pod wiatr w kierunku zachodnim. Kurz i strzępy gazet wirowały w powietrzu, dym z gorących kasztanów i wózków z bułeczkami ulatywał nad głównymi ulicami jak duchy zrodzone z popiołów.

Podczas spaceru po parku Cordelia trzymała go za rękę. Uprawiający jogging mijali ich z monotonnym klapaniem tenisówek. Piski dzieci, starających się zwrócić uwagę matek, przypominały Edwardowi daleki krzyk mew. Minęło ich trzech czarnych. Jeden niósł magnetofon, który ryczał Chaka Khan.

–Mam nadzieję, że zdecydowałeś się przyjąć moją propozycję? – spytała Cordelia.

–Bardzo odpowiadałoby mi ta robota – powiedział z uśmiechem. – Zapowiada się interesująco. Obawiam się tylko, że nie pogodzę tego z pracą w galerii.

–Mogłabym cię zaangażować na jakiś czas. Jestem pewna, że pan Pearson nie miałby nic przeciwko temu. Wyrównałabym mu chwilowy brak twoich usług.

–Jeżeli on nie będzie miał nic przeciwko temu... wtedy tak, jestem gotowy.

–A Waldegrave? – spytała.

Edward ścisnął jej dłoń. Dziwnie kręciło mu się w głowie, jakby nawdychał się gazu rozweselającego. Był to prawdopodobnie efekt dwóch wypitych wspólnie butelek szampana oraz wiatru i świeżego powietrza.

–Jestem pewien, że uda mi się namówić Yincenta, aby sprze80 dał ci Waldegrave'a. Jest nadęty i staroświecki, to wszystko. Powinien żyć w dziewiętnastym wieku, a nie w dwudziestym.

–Mieszkasz niedaleko stąd, prawda? – spytała Cordelia. Jej głos brzmiał tak, jakby odzywał się z drugiej strony tunelu. – Apartamenty Wentworth, zgadza się?

–Zgadza. Znasz ten budynek, w którym kręcili Dziecko Rose-maryl Mój jest obok.

–Mam ogromną ochotę na filiżankę gorącej herbaty – powiedziała, przytulając się do jego ramienia. – Masz w domu herbatę?

–Chińską, jeśli ci odpowiada. Lapsang Souchong.

–To moja ulubiona.

Wyszli z parku i złapali taksówkę przy Plaża. Kierowca uważał się za Enrica Carusa albo przynajmniej Maria Lanżę i przez całą drogę do Apartamentów Wentworth na Zachodniej Sześćdziesiątej Piątej, fałszując śpiewał barytonem Yesti la Giubba. Cordelia siedziała blisko Edwarda. Ręką w czarnej rękawiczce ścisnęła go

**zaborczo za lewe ramię. Od czasu do czasu uśmiechał się do niej.**

**Zastanawiał się, czemu czuje się tak obojętny i oszołomiony.**

**Kiedy płacił za kurs, taksówkarz zerknął na dwudziestocentowy napiwek, jakby przelatujący gołąb narobił mu na dłoń.**

**–Nie lubimy opery? – spytał zaczepnie.**

**–Uwielbiamy – wyjaśnił Edward.– Dlatego dostałeś tylko dwadzieścia centów.**

**Cordelia, stojąc na chodniku w długim, czarnym, ciepłym płaszczu z kołnierzem otulającym jej twarz jak płatki czarnego tulipana, uśmiechnęła się do Edwarda i wyciągnęła dłoń. Pomyślał, że udał mu się niezły dowcip.**

**–Dupek – mruknął taksjarsz i odjechał z piskiem opon.**

**Minęli ciężkie drzwi z mahoniu i szkła i weszli do cichego, zakurzonego westybulu Apartamentów Wentworth. Wiszący nad ich głowami wielki kryształowy świecznik wyglądał jak przezroczysty szkielet pająka zasuszonego we własnej sieci. Słaby blask zimowego popołudnia sączył się przez oprawione w ołów szyby, przywodzące na myśl okna gotyckiego zamku. Na ścianach wisiały nawet tarcze ze znakami herbowymi.**

**–Obawiam się, że musi się to wydawać straszliwie pretensjonalne – powiedział Edward – ale mój dziadek kupił tutaj mieszkanie w latach trzydziestych i zdecydowaliśmy się je zatrzymać.**



Cordelia stała przez moment bez ruchu, a potem rozejrzała się, wdychając stęchłe powietrze.

–Podoba mi się tu. To przypomina mi... Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć, co mi przypomina. Ale wiem, że byłam kiedyś w podobnym miejscu. W prawie takim samym jak to.

–Może byłaś tu kiedyś – zasugerował trochę niepewnie Edward. – Te mieszkania nie zasługują, aby je zapamiętać.

–Może – zgodziła się.

Minęli westybul, podchodząc do wind zaopatrzonych w drzwi z brązu z elementami heraldyki: stojące lwy i hełmy ozdobione koronami. Edward odciągnął kratę, aby mogła wejść.

Zawahała się przez moment.

–Nie byłam zbyt natrętna wobec ciebie? – spytała, ale było jasne, że nie oczekuje innej odpowiedzi niż „nie”.

–Nie – odpowiedział Edward.

Jej palce w czarnej rękawiczce oplatały jego lewy przegub jak obręcz.

–W życiu zawsze następuje moment, w którym musimy dać się ponieść przeznaczeniu. Nie wolno nigdy płynąć przeciw prądowi.

Edward zamknął drzwi i winda uniosła się z głębokim, przytłumionym buczeniem. W przeciwieństwie do większości kobiet Cordelia ani razu nie spojrzała w lustro wiszące z tyłu windy. Cały czas nie spuszczała wzroku z Edwarda.

–Czy nie zastanawiasz się, co ze mnie musi być za kobieta? – spytała. – Najpierw proponuję młodemu mężczyźnie lunch, a potem wpraszam się do niego na herbatę.

–Mam zrekonstruować twoją kolekcję obrazów – przypomniał jej Edward.

Cordelia przez moment nie odzywała się, potem wybuchnęła śmiechem, obnażając zęby. Zauważył, że nie były krzywe ani sztuczne. W istocie były jej własne i w doskonałym stanie.

Winda dotarła na szóste piętro i cicho stanęła. Edward odsunął kratę i wyszli na korytarz. Szedł kilka kroków przed nią, obracając się co jakiś czas, by się upewnić, że mu towarzyszy. Za każdym razem obdarzała go tym swoim dziwnym uśmiechem. Miała zupełną słusność: zastanawiał się, co z niej za kobieta. Ale zbyt mu pochlebiała propozycja ponownego zebrania kolekcji Grayów i był zbyt

zaintrygowany jej niezwykłym, neurotycznym erotyzmem, aby zdecydować się zakończyć to dziwne popołudnie.

Dotarł do swojego mieszkania, numer 797. Otworzył drzwi, a potem z kurtuazją odsunął się, by ją przepuścić. W środku było ciepło i ponuro. Edward nacisnął znajdujący się przy drzwiach przełącznik lamp stolikowych. Z jednego z kaloryferów po drugiej stronie salonu dochodziły głośnie dźwięki. Zawsze tak było. Dziadek Edwarda narzekał, że brzmi to, jakby hrabia Monte Christo uwięziony w sąsiednim pokoju stukał w rury. Salon był cały utrzymany w brązach.

Miał ciemnobrązowe aksamitne zasłony, ciemnobrązowe, udające styl Stuartów krzesła i stoły z kręconymi nóżkami oraz dywan koloru suszonych liści tytoniu.

Nad rzeźbionym w dębie gzymsem kominka wisiał portret mężczyzny w brązowym płaszczu ze źle dobranym brązowym beretem. W samym kominku znalazła schronienie mała kolekcja roślin doniczkowych: dwie podsychające paprotki, dwa małe poskręcane kaktusy i trędowata jukka.

Na niskim stolyczku leżały porozrzucane niedbale ostatnie wydania magazynów poświęconych sztuce i wzornictwu artystycznemu. Oparte o jeden z boków staromodnej, tapicerowanej sofy stało banjo. Nie było żadnych kwiatów. Tylko popielniczki i puste kieliszki po winie.

–No cóż, miło tu, ale czuje się, że to mieszkanie samotnego mężczyzny – uśmiechnęła się Cordelia.

Edward rozejrzał się dookoła, z rękami opartymi niezdarnie na biodrach.

–Tak, chyba masz rację. Brak mi Laury. Wszystkie te drobiazgi, jak świeżo wyprasowane serwetki i miseczki z trociczkami. Podczas ostatniego przyjęcia jeden z przyjaciół wypalił mi wszystkie trociczki. Powiedział, że to lepsze niż towar z Kolumbii.

Edward poszedł do kuchni i hałaśliwie otworzył okienko łączące ją z salonem.

Nalał wody do czajnika i zaczął szukać w kredensie małej puszeki z Lapsang Souchong.

–Jeżeli mam zrekonstruować twoją kolekcję – spytał – to jak myślisz, kiedy powinienem zacząć?

Spojrzał w kierunku salonu, a kiedy zobaczył Cordelię Gray, opuścił powoli ręce i już nie spuszczał z niej wzroku.

Wcześniej zdjęła swój długi czarny płaszcz. Teraz odwróciła się

do niego plecami i z rozmyślną powolnością rozpięła szarą, dopasowaną suknię. Miała wciąż na głowie swój szary kapelusz z piórami. Ciemne włosy ostro, pięknie kontrastowały z bielą jej szyi. Swobodnym ruchem zsunęła suknię z bioder na podłogę, podniosła ją i złożyła na oparciu sofy.

Nie padło ani jedno słowo. Stała pośrodku pokoju. Skórę miała białą jak czysta karta papieru i-tak jak fantazjował-nosiła czarną bieliznę. Czarny koronkowy biustonosz, czarny pas do pończoch, błyszczące czarne pończochy ze szwem, opinające długie, szczupłe nogi. Mały czarny cache-sex, ledwie zasłaniający miejsce pomiędzy nogami, umocowany był za pomocą czarnego jedwabnego sznura, przeciągniętego między białymi pośladkami.

Obróciła się teraz i patrzyła mu w twarz. Poprzez koronkę biustonosza dostrzegła ciemnoczerwone plamy sutek. W mroku popołudnia pióra jej kapelusza kiwały się jak żałobny pióropusz.

–Nie czas na rozmowy o sztuce – szepnęła, na tyle jednak wyraźnie, że ją usłyszał.

Edward nic nie mówił, ale na moment przekrzywił na bok głowę i wydał z siebie krótkie – Ha! – zaskoczenia i zadowolenia, a potem uśmiechnął się do niej, onieśmielony i uszczęśliwiony, a przede wszystkim zdumiony tym, co go spotyka.

Sięgnęła za siebie i rozpięła biustonosz. Opadł jej z ramion, obnażając małe, okrągłe piersi. Potem rozpięła pas do pończoch i zsunęła pończochy. Stała teraz naga, z wyjątkiem małego, czarnego trójkąta, zasłaniającego jej seks.

–Przynieś mi nóż – powiedziała.

–Nóż?

–Po prostu przynieś mi nóż. Najdłuższy i najostrzejszy, jaki masz.

Edward zmarszczył brwi. Potem posłusznie otworzył szufladę i wyjął swój nóż myśliwski Sabatier, dziesięć cali hartowanej stali, ostrzony wielokrotnie, aż ciął kość jak masło. Woda w czajniku zaczęła się gotować; wyłączył go.

Kiedy wszedł do salonu, Cordelia odwróciła się na jego spotkanie. Spoglądała wyzywająco, ręce miała opuszczone, nie próbowała się zasłonić. Jej piersi były wysokie i sterczące, prawie jak biust szesnastoletniej dziewczyny, chociaż sutki miała szerokie i purpurowe, jakby wzięła pełną dłoń truskawek i rozgniotła je o każdą

z nich. Brzuch, lekko zaokrąglony, świadczył o co najmniej jednym porodzie, ale ciało było bez skazy.

–Chodź tu z tym nożem – wyszeptała.

Edward zbliżył się do niej, niepewnie trzymając nóż w prawej ręce. Jej perfumy wydawały się mocniejsze niż kiedykolwiek. Nie był w stanie skupić wzroku.

Cordelia wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku. Przebiegła koniuszkami palców po wargach, wokół oczu, dotknęła czoła, włosów, małżowin usznych. Ujrzał, jak jej sutki się podnoszą.

–Teraz – wymruczała – musisz przeciąć sznur, który broni drogi do celu.

Opuściła dłonie i odciągnęła cienki jedwabny sznur, utrzymujący jej cache-sex.

Edward w końcu zrozumiał. Bez dalszych wahań wsunął zimne ostrze pomiędzy nagie, białe udo a sznur z jedwabiu.

Cordelia przymknęła oczy.

–Tnij – powiedziała tak cichym głosem, że nie był pewien, czy dobrze ją usłyszał. Rozległ się stłumiony szelest stali o jedwab i jej cache-sex upadł.

Miała na łonie wachlarz ciemnych, delikatnych włosów – jak u dojrzewającej dziewczynki, która nosi go od niedawna. Edward poczuł, jak twardnieje mu członek, i wiedział, że w żaden sposób nie jest w stanie jej się oprzeć. To odbywało się jak -,v niezwykłym śnie: niewyraźny, zamglony obraz sceny niegdyś rojonej, ale potem na długo zapomnianej. Czuł, jak jej palce rozpinają węzeł jego krawata, potem guziki koszuli, powoli, jeden po drugim. Jak w zwolnionym tempie koszula unosiła się w powietrzu, wirowała, by wreszcie opaść na podłogę.

Nagi, nieświadomy upływu czasu, nie pamiętając o herbacie, zaniósł Cordelię do sypialni. Była tak lekka, że niósł ją swobodnie jak dziecko. Położył ją na granatowym, atlasowym przykryciu łóżka i całował, smakując jej perfumy i skórę, na początku nieśmiało, a potem ze wzrastającym podnieceniem. Oddawała mu pocałunki z tak długim językiem, że niemal czuł, jak dociera nim do gardła.

Równocześnie delikatnie przejechała paznokciami po jego ciele z góry na dół, aż do brzucha, pieszcząc go delikatnie.

Kochanie się z Cordelia Gray nie przypominało Edwardowi niczego, czego kiedykolwiek doznał. Była uległa, ale okrutna. Bez przerwy drapała go i gryzła po szyi i sutkach. Ale równocześnie rozwierała uda coraz szerzej i z coraz to większym pożądaniem, albo

też zmieniała pozycję, biorąc go do ust, tak głęboko, że nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że się nie dławi.

Prowadziła go coraz dalej i dalej. Poza poczucie bezpieczeństwa i realności, daleko w czarne morze erotyki, gdzie sama unosiła się z niezwykłą swobodą, ale w którym Edward zaczął powoli tonąć.

Wydało mu się, że minęły całe godziny. Jedyne, co słyszał, to mamroty, odgłosy pocałunków, akompaniament szeleszczącego atlasu i ocierającej się o siebie skóry. W pokoju zapadał coraz głębszy mrok. Zadygotał, leżąc na plecach, podczas gdy Cordelia siedziała na nim okrakiem – w ostatnim orgazmie, na jaki było go stać. Pochyliła się nad nim, jej sutki delikatnie musnęły mu pierś, i szepnęła:

–Teraz chyba jest czas na herbatę. Potem zostawiła go.

–Mhm. – Pokiwał głową.

Oparł głowę, na poduszce. Przymknął oczy. Dobiegało go dźwięczenie kaloryfera i odgłos kroków Cordelii, krążącej po mieszkaniu. Nigdy w życiu nie czuł się równie zadowolony. Doskonały lunch, popołudnie spędzone w łóżku z najbardziej wymagającą kobietą, jaką spotkał, a teraz spokój, ciemność, zapadanie w sen.

Myślał przez chwilę o Cordelii, o ich kochaniu. Ciało miał rozkosznie obolałe.

Przeżycia, jakich mu dostarczyła, były oszałamiające. Był taki moment, szczyt jej pierwszego orgazmu, kiedy wewnątrz jej pochwy dosłownie wrzało. Edward nigdy sobie czegoś takiego nie wyobrażał.

Usłyszał jej kroki w sypialni. Siadła obok niego na brzegu łóżka i lekko dotknęła jego ramienia.

–Kochanie – szepnęła – śpisz?

–Mhm – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Jeszcze nie, ale prawie.

–Musisz zasnąć – zamruczała, dotykając koniuszkami palców jego powiek.

Edward spał, głęboko i bez snów, zapadłszy w nieświadomość do tego stopnia, że jego oddech stał się płytki, a puls uległ zwolnieniu. Cordelia zawołała: – Edward? – raz czy dwa razy, ale po pięciu minutach wstała i przeszła naga do salonu.

Ubrała się szybko, nie zapominając podnieść porzuconego ca86 -che-sex i wepchnąć go do torebki. Zanim wyszła, podniosła również marynarkę Edwarda, otrzepała ją i systematycznie przeszukała wszystkie kieszenie. W prawej znalazła klucze. W lewej – jego obłożony w jasnobrązową skórę notatnik z adresami. Kartkowała go, aż trafiła na nazwisko „Laura Kelly” wpisane tam razem z adresem.rodziców: 2206 Mapie Avenue, New Rochelle. Pod spodem Edward dopisał dużo mniejszymi literkami: „Pani D. Montblat, Zachodnia Sześćdziesiąta Piąta nr 10”. Cordelia wyrwała kartkę, złożyła i schowała do torebki wraz z kluczami.

Rozejrzała się dookoła, aby upewnić się, że niczego nie zostawiła. Potem wyszła, zamykając cicho drzwi.

Edward rozchylił nieco powieki, wyrwany ze snu przez dziwne wrażenie, że został sam, że stało się coś złego. Wiedział, że powinien wstać i zająć się Cordelią, ale czuł się sparaliżowany zmęczeniem; po prostu brakło mu energii, by się podnieść. Znow zamknął oczy i zasnął. Była teraz szósta, ciemny grudniowy wieczór. Za szybą Nowy

Jork rozbrzmiewał hałasem, gwarem i krzątaniną. Pozostały dwa tygodnie do Bożego Narodzenia, dziewięć dni na zakupy. Po drugiej stronie parku dzieciarnia tłoczyła się przed jasno oświetlonymi oknami F.A.O. Szwarza, oglądając mieniący się zamek z bajki i kolejkę, i uśmiechniętego misia, który latał w kółko w swoim żółtym helikopterku.

Cordelia Gray zabrała Edwardowi klucze i kartkę z notatnika adresowego. Ale w zamian pozostawiła mu parę upominków.

Kiedy Edward spał, mały, jasnoszary robak wychylił się z ciepłej, wilgotnej od potu szczeliny koło jego jąder i powoli zaczął pokonywać drogę w górę jego owłosionego uda. Jego zabarwiona na brązowo, ślepa główka kiwała się z boku na bok. Wkrótce dotarł do wzniesienia, które tworzył spoczywający na nodze, obwisły członek. Robak wpełzł na górę, a potem na dół, aż dotarł do otworu cewki moczowej. Wijąc się powoli utorował sobie drogę do środka i zniknął.

Za robakiem wkrótce ruszył następny, a potem jeszcze jeden. Czwarty rozpoczął długą drogę, pełznąć po brzuchu i piersi w kierunku jego lekko rozchylnych ust.

Edward spał dalej. Mały zegar na stoliku przy łóżku wybił siódmą. Ostatni robak powoli dotarł do dolnej wargi Edwarda i cicho wpadł mu do ust.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Bantam, 14 grudnia Zanim Yincen dotarł do domu Aarona Halperina, zapadł zmierzch. Dom wznosił się na ciemnym, zarośniętym krzewami stoku, na obrzeżach Bantam, przy drodze do Litchfield. Był to rozpadający się budynek, niegdyś stanowiący część osiemnastowiecznego zajazdu. Królował nad nim duży dąb. Kiedy Yincen znalazł się już blisko, przejeżdżając obok nie strzyżonych trawników, ujrzał drzewo wznoszące się wysoko ponad dach domostwa i wyciągające gałęzie ku niebu jak bezdźwięcznie krzyczący gigant.

Zatrzymał wóz przy pracowni Aarona, mieszczącej się w długiej, niskiej przybudówce na tyłach domu. Wyjął dwa Johnsony z bagażnika i skierował się ku oświetlonej werandzie. Umieszczono nad nią niebieską, ceramiczną tabliczkę z napisem „Halperin” i tekstem pod spodem, który głosił: *Ars Longa, vita Brevis*.

Aaron tłumaczył to jako „Jeśli wielkie masz pośladki, strzeż się nosić krótkie gatki\*<sup>1</sup>”. Yincen pociągnął za sznur staromodnego dzwonka i usłyszał, jak dźwięczy po drugiej stronie pracowni, w miejscu, w którym Aaron zwykle pracował.

Po paru chwilach drzwi otworzyły się z łomotem i pojawił się Aaron, wyciągając ramiona.

–Mój wędrujący chłopiec! – wykrzyknął.

Był duży i miał ryżą brodę. Nosił złote okulary, a jego nos wyglądał jak marynowany w wiśniówce. Miał na sobie biały, sięgający podłogi fartuch, pokryty różnokolorowymi smugami: ultramaryna i czerwień turecka, żółć neapolitańska i żrąca zieleń, Terra Verte i żółć chromowa. Yincen zwykł mawiać, iż Aaron używa swoich fartuchów jako ścierki do wycierania farb i zamiast oddawać je do prania, winien sprzedawać je jako dzieła sztuki.

–Spóźniłeś się – powiedział Aaron – ale spokojnie, zostało mi jeszcze trochę wina. Wyrób domowy. Można je pić albo płukać w nim pędzle; nadaje się do jednego i do drugiego.

–Miałem trochę kłopotów w domu – wyjaśnił Yincen, opie- Briefs (ang. USA) – krótkie kalesony (przyp. tłum.).

rając Johnsony o poplamiony farbą stół roboczy. – Syn gospodyni miał atak.

–Chodzi o panią Miller? Jej syn? Czy on nie jest kaleką albo coś takiego?

–Zgadza się. Pani Miller mówi, że od czasu, gdy rozbił sobie głowę, zmienił się nie do poznania. Ciągłe ma koszmary nocne albo raczej dzienne. Widzi diabły, demony i podobne istoty w tym stylu.

–Fiu – powiedział Aaron. – To nie brzmi zbyt wesoło.

Przyniósł monumentalnych rozmiarów butlę ciemnoczerwonego wina z napisem „Bantam Beaujolais” i szcudrze nalał Yincen-towi do szklanki. Yincen powąchał i zauważył:

–Bukiet ma w każdym razie interesujący.

Aaron wychylił swoją szklaneczkę i zaraz napełnił ją powtórnie.

–Tutaj nie nazywamy tego bukietem; nazywamy to smrodem. Yincen odstawił szklankę, sięgnął do kieszeni po swój złoty scyzoryk i rozciął papierowe opakowanie Johnsonów.

–Są wspaniałe. Będzie ci się dobrze nad nimi pracowało: Trzeba je przede wszystkim po prostu oczyścić, ale myślę, że temu pejzażowi morskemu przyda się mała renowacja w lewym górnym rogu. Widzisz? Farba zaczyna odpadać na całego.

Aaron podniósł je po kolei i obejrzał.

–Są w porządku. Dwa najlepsze Johnsony, jakie widziałem.

Podczas kiedy Aaron badał obrazy dokładniej, Yincen przeszedł się po pracowni.

Stół do pracy biegł wzdłuż całej długości budynku i był zapchany paletami, pędzlami, butelkami oleju lnianego i terpentyny, gipsem, zwiniętymi płótnami, klejem, werniksem i dosłownie tysiącami tub z farbą olejną w każdym możliwym do wyobrażenia kolorze, głównie produkcji francuskiej i angielskiej. Wszystkie były pogięte, wyciśnięte i spoczywały w kompletnym nieładzie.

Obok wyglądającego na północ okna na końcu pracowni stało kilkanaście sztalug, każda z płótnem odnawianym przez Aarona. Mimo że uznawany za jednego z najlepszych konserwatorów, Aaron nie był w stanie pracować nad jednym obrazem dłużej jak siedem czy osiem dni. Z tego też powodu miał zawsze co najmniej kilkanaście równocześnie rozpoczętych prac. Kiedy tylko zaczynał czuć się zmęczony, mógł się odświeżyć, przechodząc od pejzażu do aktu, od portretu do martwej natury.



Yincent wziął do ręki mały pejzaż Johna Fredericka Kensetta i ustawił go pod lepszym kątem do światła.

–Tego właśnie robisz dla Milósa? Aaron sprawdził, spojrzawszy w jego stronę.

–Zgadza, się, jest prawie skończony. Cacko, prawda?

–Mówiłeś, że miałeś kłopoty z Waldegrave'em.

–Tak. Naprawdę powinieneś na niego spojrzeć. To kretyństwo doprowadza mnie do szaleństwa. Zaczynam się zastanawiać, czy warto go odnawiać? Wydasz pięć tysięcy dolarów, a skończy się na tym, że będziesz miał obraz wart pięć centów. Maksimum.

Aaron odłożył Johnsona i podszedł do końca stołu, w kierunku jednej z większych sztalug, stojącej w kącie. Mimo że obraz został wyjęty z ram, był ogromny – pięć stóp szerokości, trzy wysokości. Zasłaniała go zielona welurowa kapa z frędzlami.

–Przede wszystkim – powiedział Aaron, kiwając ręką na Yinenta – powąchaj go.

Yincent zbliżył się i ostrożnie pociągnął nosem. Powietrze w pracowni było tak przesycone wonią farby i terpentyny, że na początku w ogóle nie był w stanie odróżnić zapachu, ale w końcu jego nozdrza wyczuły go. Gęsty, słodkawy smród zgniłej i zziele-niałej skóry kurczęcia, tylko bardziej natarczywy i nieustępliwy.

–Jezu – powiedział. – Potworne.

–Poczekaj, aż zobaczysz – powiedział Aaron i ściągnął z płótna kapę.

Obraz wyglądał tak: w udrapowanym szkarłatem pokoju stało dwanaścioro ludzi o bladych twarzach, wszyscy sztywni i wyprostowani; czarne garnitury i czarne suknie, mężczyźni trzymający się za klapy marynarek z surowym dostojeństwem przedsiębiorców pogrzebowych, kobiety z rękami na podołkach, dwie z nich trzymające wachlarze z czarnej koronki, inna głaszcząca małe, ciemne stworzenie, wyglądające na kota. Yincent nigdy nie potrafił odgadnąć, co to za stwór, a jego dziadek uparcie odmawiał wyjaśnień, chociaż zawsze przy tym twierdził, że wie, co to jest. Mógł to być kot, ale Yincent podejrzewał, że to nic innego, jak kłębek czarnego futra. Może mufka albo etola z lisa.

Teraz stali w tych samych pozach, w tym samym pokoju, ale ich oblicza zmieniły im się nie do poznania. Biała farba odpadła, nadając im wygląd gnijących i dotkniętych trądem. Niektóre postaci zostały

tak silnie zniekształcone, że niepodobna było rozróżnić rysów twarzy: nosy zniszczyły się czy rozmyły w niewyraźnych, szarych oczodołach. Mieli wygląd rodziny dotkniętej nieuleczalną chorobą – dwunastoosobowej piekielnej kompanii.

Yincent zmarszczył brwi, nie odrywając oczu od obrazu.

–Porządnie cuchnie, prawda? – zauważył. Ostrożnie zeszkrobał szpachelką nieco farby z jednej z twarzy i przyjrzał się jej uważnie pod światło. – Skąd się to bierze? Masz jakiś pomysł?

–Nie widziałem niczego takiego w całej mojej karierze – powiedział Aaron.

–Przeważnie zjawiska tego rodzaju są rezultatem gnicia płótna z tyłu obrazu, co niszczy z kolei warstwę farby na froncie. Ale w tym przypadku płótno jest całkowicie w porządku. Badałem farbę pod mikroskopem i zrobiłem każdej twarzy po dwadzieścia ujęć w ultrafiolecie. Czasami rozkład wierzchniej warstwy wiąże się z nałożeniem kolejnego pokładu farby. Jak wiesz, to się dość często zdarza przy portretach. Ktoś maluje nową twarz na starej, zmienia ubrania albo tło. Ale ten konkretny obraz jest w całości oryginalny.

–Może Waldegrave stosował jakiś niezwykle dodatek? Czy nie mógł dodać czegoś, co spowodowało, że farba zaczęła się psuć?

Aaron przeplukał usta winem, przełknął je i wzruszył ramionami.

–Czasami to się zdarza. Miałem do czynienia z barwnikami z warzyw i z krwi osła. Gauguin mieszał niektóre żółcie z ostrzyżem. Ale to jest dobrze wymieszana zwyczajna farba; olejna farba na bazie terpentyny.

Yincent przez dobrą chwilę spoglądał na Waldegrave'a. Te gnijące, rozkładające się twarze powodowały, że rósł w nim dziwny smutek i niepokój. Zawiesił z powrotem kapę i obrócił się.

–Czy jesteś w stanie jeszcze coś z tym zrobić?

–Wysłałem małą próbkę do laboratorium w Hartford, żeby zrobili szczegółową analizę. Ale wątpię, by trafili na coś nowego. Ten twój obraz rozlatuje się na kawałki i nikt ani nic go nie uratuje.

–Poczekaj na wyniki z laboratorium.

–Zapach jest cholerny – narzekał Aaron. – Yan Gogh nie chce tu nawet zajrzeć. Myśli, że to skunks. A kiedy przy tym pracuję, nie pozwala mi się pogłaskać, zanim nie umyję rąk.

Yan Gogh był to kot Aarona – kocur z sierścią koloru pomarańczowej marmolady.

–Trudno mieć o to do niego pretensje – zauważył Yincen, obwąchując palce.

–Dziwne, że zaczął tak nagle się rozpadać – powiedział Aaron. – Dlaczego teraz, ni z tego, ni z owego? Ten obraz był własnością twojej rodziny kupę lat, zgadza się?

–Moim zdaniem to rupieć. Ale dziadek zawsze upierał się, żeby go zachować, i to w bezpiecznym miejscu. Mówił, że to talizman; ma chronić rodzinę przed złem.

–To niepodobne do twojego dziadka. Chyba nie był przesądny, prawda?

Yincen potrząsnął głową.

–Myślę, że każdy ma jakiś amulet na szczęście. Łapkę królika albo czterolistną koniczynę.

–Albo główkę czosnku – dodał Aaron.

–Masz rację – powiedział Yincen. – Niech mnie szlag trafi, ale ten obraz wygląda jak portret z dorocznego zjazdu wampirów.

Nie zwracając uwagi na protesty Yincenta, gospodarz dolał mu wina.

–Jest świetne, Aaron. Duża moc. Dużo owoców. Ale jestem wozem. A poza tym muszę wracać jutro rano do Nowego Jorku.

–Za późno. Już wypileś szklaneczkę. To oznacza, że jesteś nieodwołalnie skazany na ciężkiego kaca i prawdopodobnie dodatkowo na mandat za jazdę po pijaku.

Yincen podniósł ręce z rezygnacją.

–W takim razie, Aaronie, prosit! I niech twoje drożdże szybko zapłodnią następny rocznik.

Aaron uniósł butlę za szyjkę i poprowadził Yincenta w głąb domu. Był to bałaganiarski, ale przytulny dom, z kłodami drewna trzaskającymi na kominkach.

Na ścianach wisiało wiele pogodnych, starych obrazków – głównie wczesne amerykańskie akwarele oraz oprawione w ramki wzory haftów purytanów. Trzy córki Aarona grały w warcaby w małym, bocznym saloniku; jego żona Marcia piekła ciastka w niskiej kuchni, a jedyny syn Michael grał w „Garbusa” na swoim komputerze. Aaron kochał bałagan, duże towarzystwo i śmiech.

–Chodź, klapnij przy kominku – zaprosił Yincenta. – Marcia lada chwila skończy piec te ciasteczka; to byłaby hańba, gdybyś odbył tę całą drogę i ich nie spróbował. Czy jadłeś kiedyś gorące kręcibrzuchy?

–Nigdy – uśmiechnął się Yincant.

–No, to jest wspaniała sprawa. W osiemnastym wieku wszystkie te napuszone kwoki z Nowej Anglii wymyślały idiotyczne nazwy dla swoich ciasteczek. Sprawiało im przyjemność samo używanie dziwnych słów. Są „kręcibrzuchy”, „parskające paluchy”, „weseli chłopcy” i „wierzgające osiołki”.

–Jak to się stało, że porządny, żydowski chłopiec z Newark w New Jersey zainteresował się historią gastronomii gojów? Aaron wybuchnął śmiechem.

–Może jeżeli najem się ich ciasteczek, to zamienię się w goja? Wiesz, doktor Jekyllbaum i pan Hyde. – Nagle spoważniał. – Jeszcze co do tego obrazu.

Sprawdzałem zapisy w Royal Academy w Londynie, bo tam po raz pierwszy go wystawiono.

–Zgadza się – potwierdził Yincant. Sam widział wyblakłą etykietę, nadal przyklejoną do spodu płótna. Brązowym atramentem potwierdzono na niej uczestnictwo Rodzinnego portretu Wal-degrave'a na letniej wystawie w 1881 roku, dwanaście lat po tym, jak National Gallery została przeniesiona z Trafalgar Square do swej obecnej siedziby w Burlington House.

Aaron przemierzył salon i przyniósł trzy stare, oprawione w skórę tomy. Rozłożył je na chodniku przed kominkiem. Yincant zauważył, że buty Aarona były pokryte tysiącami małych kropelek różnokolorowej farby.

–Masz – powiedział Aaron. – Portret rodzinny pędzla Waltera Johna Waldegrave'a.

Wymiary sześćdziesiąt dwa i trzy czwarte cala na trzydzieści siedem i pół cala. Olej. Namalowany w grudniu 1883 roku w Northwood House koło Harrow”.

–Coś jeszcze?

–Niewiele więcej. Waldegrave jest wymieniony w Biographies of the Notable Painters Duxforda, opublikowanych w tysiąc dziewięćset drugim przez Blackiego.

Proszę: „Walter Waldegrave, urodzony siódmego marca 1843 roku w Bourne, w Lincolnshire. Ujawnił zdolności malarskie w wieku lat osiemnastu, kiedy to został zatrudniony przez Petera Roberta, lorda Willoughby de Eresby, do restauracji fresków i malowideł sufitowych w Grimsthorpe Castle. Od tego czasu zaczął interesować się okultyzmem i tematami religijnymi i wykonał godną uwagi serię sześciu alegorycznych malowideł opisujących podróż duszy po śmierci.

Obrazy te zostały wy93 stawione w 1865 roku w Underwood Gallery w Londynie, ale po zaledwie jednym tygodniu zdjęto je z powodu oskarżeń o zgubne i bluźniercze treści. Wróciły do Grimsthorpe Castle, aby spocząć w podziemiach, gdzie znajdują się do dnia dzisiejszego. Waldegrave powrócił do Londynu w 1867 roku i przez kilka lat zarabiał na życie jako pośledniej marki portrecista. Z tego okresu zachowało się bardzo niewiele jego prac, chociaż portret pani Adrian Hope stanowi godny uwagi wyjątek. We wczesnych latach osiemdziesiątych dziewiętnastego stulecia Waldegrave nawiązał przyjacielskie stosunki z Oscarem Wilde'em i Frankiem Milesem, którzy w tym okresie zajmowali wspólne apartamenty na Salisbury Street, przy Strandzie. Frank Miles wprowadził Waldegrave'a w najlepsze towarzystwo i w

1882 roku Waldegrave popłynął do Ameryki w towarzystwie Lily Langtry. W 1883 roku Waldegrave namalował swoje trzy prawdopodobnie najlepsze dzieła: Portret rodzinny, Lady Archibald Campbell i Ellen Terry. W 1885 roku, w wieku czterdziestu dwóch lat, Walter Waldegrave nieoczekiwanie rzucił malarstwo i powrócił do Lincolnshire. W kwietniu 1886 roku utonął, a jego ciało zostało znalezione na plaży w Skegness".

–To wszystko, co tam piszą? – spytał Yincen. – Nie ma żadnych innych szczegółów na temat tego portretu rodzinnego?

–Jest przypis-powiedział Aaron.-portret rodzinny został wystawiony w Royal Academy, na Letniej Wystawie Sztuki, w 1881 roku i pojawia się w dolnym prawym rogu słynnego malowidła Williama Powella Firtha «Pokaz prywatny w Royal Academy w 1881» – na którym to obrazie centralną postacią jest Oscar Wilde. Na życzenie malarza, który nie wyjawiał powodów tej decyzji, Portret rodzinny został zdjęty z wystawy zaledwie trzy dni po jej otwarciu. Przez całe lata snuto domysły na temat tożsamości rodziny ukazanej na portrecie, a także otaczającego ją wnętrza, gdyż namalowany pokój nie stanowi części Northwood House – miejsca, gdzie obraz został stworzony. Sam Waldegrave ujawnił jedynie, iż tematem obrazu jest rodzina szlachecka, a pokój namalował z pamięci".

Yincen pociągnął łyk wina, a potem odstawił szklankę. Beaujolais było tak mocne, jak Aaron zapowiedział, i gość nie był już w stanie wychylić ani kropli.

–Posłuchaj – powiedział – co to za historia. Młody wiejski malarzyna stawia pierwsze kroki w zawodzie, restaurując freski

w prywatnym zamczysku; potem zaczyna interesować się okulty-zmem; następnie maluje serię obrazów, wywołujących powszechny skandal; po tym nawiązuje przyjaźń z Oscarem Wilde'em i Frankiem Milesem, maluje trzy znane obrazy i pięć lat później topiąc się kończy to wszystko.

–Próbowałem dowiedzieć się, czy Waldegrave używał jakieś specjalnej farby – powiedział Aaron. – Ale wszystko, co znalazłem na temat jego techniki, jest tu.

Popatrz – drobna wzmianka w Nineteenth Century Realism Andrewsa i Millera: „Pewni portreciści zyskali szczególną sławę ze względu na swe fotograficzne umiejętności; wydaje się, że najdoskonalszym przykładem jest tu Henry DeYere, którego portret Richarda D'Oyley Cartera został uznany przez pewnych krytyków «za zbyt realistyczny, aby mógł przedstawiać jakąś wartość». Poza tym był Walter J. Waldegrave, którego najbardziej wyróżniający się obraz, Portret rodzinny, uważany był przez Whistlera za tak żywy, że nieomalże przerażający”.

–No i nie ulega wątpliwości, że zaczął żyć własnym życiem – przytaknął Yincen. Aaron zamknął książki, jedną po drugiej, i usiadł.

–Każdy obraz jest inny. Każdy malarz ma swój własny sposób kładzenia farby. Czasem, kiedy coś odnawiam, czuję osobowość twórcy, jakby mnie wypełniała. Wiem, że doceniłby moją robotę. Ale ten obraz, ten Waldegrave jest jak bagno, im dłużej nad nim pracuję, tym bardziej się rozpada. Czuję się jak anatomopatolog robiący sekcję rozkładającego się ciała. Twarze na tym obrazie nie robią nawet wrażenia namalowanych. Wydaje się, że są z gnijącego mięsa.

–Jeżeli tak ci obrzydł, zostaw go już. Wrzucę go do bagażnika i zabiorę.

–Nie, nie, to próba sił. Coś nowego. Daj mi czas, aż dowiem się czegoś z Hartford.

–Jeżeli ci na tym zależy.

Wkroczyła Marcia z kręcibrzuchami, kruchymi ciasteczkami o smaku migdałowym.

Marcia była szczupłą, miała poczucie humoru i na zawsze pozostała dzieckiem Nowego Jorku, choć zarzekała się, że pożegnała się z miastem na wieczne czasy.

Siadła ze skrzyżowanymi nogami przed kominkiem, głaszcząc Yan Gogha, żadna najświeższych miejskich ploteczek.

–Są święta – odpowiedział na jej pytania Yivalent.

–Wiem. Święci Mikołajowie dzwonią dzwonekami i pachnie sherry. Gorące bułeczki. Girlandy żarówek. Choinki. Jazda na łyżwach w Rockefeller Center. Wycieczki z dziećmi do Macy'ego, żeby przestraszyły się Dziadka Mroźa.

–Bantam w Connecticut da się lubić – uśmiechnął się Yivalent.

–Jasne – powiedziała Marcia, opierając się o poplamione farbami kolano Aarona.

–Czego się nie robi dla ukochanego mężczyzny.

Van Gogh zeskoczył z jej podołka i powędrował do kuchni. Yivalent i Aaron zjedli jeszcze parę kręcibrzuchów, a Yivalentowi udało się wypić kolejną szklankę wina.

Marcia zaczęła wykładać im plany przebudowy górnych pięter domu, które sypały się już na całego; opisywała, jak salon w przyszłości stanie się przytulniejszy i przybędzie mu kwiatów, kiedy Aaron nagle podniósł głowę i spytał:

–Co to za wrzask?

–Jaki wrzask? – zdziwił się Yivalent.

–Nie wiem. Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś krzyczy. Yivalent odstawił szklankę.

–Nic nie słyszałem.

–Jestem pewien, że to coś było – powiedział Aaron. Wstał i poszedł do kuchni.

–Gdzie jest Yan Gogh? – spytał Michaela.

Michael jadł kanapkę z masłem orzechowym, którą sam sobie zrobił. Słoik z masłem był otwarty, ubrudzony nóż leżał na kuchennym blacie i wszędzie walały się okruszki.

–Nie wiem – powiedział z pełnymi ustami.

Aaron szybko przeszedł przez kuchnię do pracowni. Nie za bardzo pojmując, o co mu chodzi, Yivalent podniósł się i poszedł za Aaronem. Drzwi do pracowni stały nadal otworem, tak jak je zostawili, i światła też nadal były zapalone. Po przytulnym świetle padającym z kominka wydawało się tu nienaturalnie jasno, tak jakby znaleźli się pod jednym z pojazdów kosmicznych z Bliskich spotkań trzeciego stopnia.

–O co chodzi? – spytał Yivalent. – Co się stało?

–Nie wiem. Słyszałem, jak ktoś krzyczał, to wszystko.

–Jesteś pewien? To nie była gra Michaela ani głos jednej z dziewczynek?

–Słyszałem, jak ktoś krzyczy – upierał się Aaron.

Rozejrzeli się wokół: sztalugi, pogniecione tuby farb, rzędy ram i płócien.

Widzieli swoje własne odbicia, blade i niewyraźne w ciemnych szybach pracowni.

–Nikogo tu nie ma – powiedział Yincen. – Musiało ci się zdawać.

Przez długą chwilę Aaron stał bez słowa.

–Może i tak – przyznał w końcu. Weszła Marcia, nadal żując ciasteczko.

–O co chodzi, kochanie? – spytała Aarona, oplatając go ramieniem.

–To nic. Wydawało mi się, że słyszę krzyk, to wszystko. Może to tylko moja przepracowana wyobraźnia.

–Aaron – uspokajała go Marcia, dzieląc się z nim własnym ciastkiem. – Tobie nie potrzeba więcej wyobraźni. Uśmiechnęła się do Yincenta.

–Wierz mi, Yincen -jemu nie potrzeba więcej wyobraźni.

–Jasne, jasne, że nie – powiedział Yincen, stojąc bez celu z rękami w kieszeniach. Ostatni raz rozejrzał się po pracowni. Miał uczucie, że powinien podejść do Waldegrave'a i zdjąć zasłonę, ale nie bardzo mu się chciało.

–Wyobraźnia to złodziej buszujący w skarbcu trzeźwego umysłu – zacytował nieco dowolnie i zgasił światła, kiedy wychodzili.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nowy Jork, 16 grudnia – Nie ma go tu – powiedział Yincen, wsiadając do samochodu i trzaskając drzwiami z irytacją.

–Jak to nie ma? – spytała Charlotta. – Jest dopiero wpół do ósmej. Gdzie indziej może być?

–Może pojechał do galerii?

–O wpoi do ósmej rano? Przecież powiedziałeś mu, że wpadniesz do niego do domu po klucze. Pewien jesteś, że go nie było?

–Dzwoniłem do drzwi chyba ze sto razy, potem zszedłem do westybulu i kazałem portierowi zadzwonić do niego. Nic.

–Może był na całonocnym bankiecie – zasugerowała Char-lotta. – Ludzie dalej robią takie imprezy, wiesz, nawet jeśli tacy starszuszowie jak my chrapią już o jedenastej wieczór.

Yincen włączył się w poranny ruch. Wycieraczki migają i popiskiwały.

–Wierz mi, Charlotto, nie obchodzi mnie, co ten chłopiec robi, dopóki nie stawia mnie to w niewygodnej sytuacji. A teraz właśnie zostałem postawiony w niewygodnej sytuacji.

–Och, nie nadymaj się tak. – Szturchnęła go.

–Zgoda, jestem nadęty. Od czasu do czasu człowiek ma prawo być nadęty. Zwłaszcza o wpół do ósmej rano, kiedy mu się spieszy i kiedy potrzebuje kluczy od swojej własnej cholernej galerii sztuki.

Skręcił o sto osiemdziesiąt stopni, prowokując tym od razu jadącego tuż za nim taksjarza do jednoznacznego komentarza: wystawienia wskazującego palca w górę.



**Ciężarówka sunąca po ósmej Alei w kierunku północnym ryknęła jak łoś.**

**–Zabijesz nas – zauważyła pogodnie Charlotta. – Tylko dlatego, ponieważ masz prawo być nadęty.**

**–Przykro mi, wystarczy? – rzucił posepnie Yincen.**

**Jechał przez Central Park South; z każdą minutą deszcz stawał się coraz gęstszy, aż rozbębnił się na wykładanym od wewnątrz skórą dachu bentleya. Wycieraczki pracowały jak szalone.**

**–Tego jeszcze brakowało – powiedział.**

**–Nie chcesz, żeby drzewa i kwiaty miały co pić? – drażniła się z nim Charlotta.**

**–Niech szlag trafi drzewa i kwiaty.**

**Dwadzieścia minut później podjechali pod drzwi galerii.**

**–Czekaj tu – powiedział i wysiadł z wozu.**

**Kryjąc się przed deszczem, ze schyloną głową i podniesionym kołnierzem pobiegł przez chodnik do drzwi galerii i zajrzał do środka. Paliły się tylko światła rozjaśniające wystawę, ale te były sterowane zegarem. Ani śladu Edwarda. Yincen osłonił oczy, aby zajrzeć w głąb galerii, lecz nikogo tam nie było.**

**Pobiegł z powrotem do wozu.**

**–Nie udało się? – spytała.**

**Yincen potrząsnął głową, otrzepując płaszcz przeciwdeszczowy.**

–Kiedy go znajdę, ten chłopak straci swój skalp. Potem powieszę go i poczekam, aż wyschnie mu głowa.

–Normalnie nie zawala niczego, prawda?

–Wystarczy, że zrobił to raz – pieklił się Yincen.

–Może jest w drodze i został gdzieś zablokowany. Może nie mógł złapać taksówki i musi iść piechotą.

–Z Ósmej Alei nie mogło mu to zabrać więcej czasu niż nam. Nawet jeśli szedł.

–Ma rodzinę? – spytała Charlotta.

–Co to ma do rzeczy?

–No, może w domu stało się coś złego i musiał nagle wyjechać.

–Nie telefonując do mnie? Zna mój numer w Candlemas. I cholernie dobrze wie, że nie mam innych kluczy do tych drzwi.

–Co zrobisz?

Yincen rozłożył palce na kierownicy. – Żeby nie skłamać, nie mam zielonego pojęcia. Mam parę tuzinów obrazów do skatalogowania; mam o wpół do dziesiątej umówiony telefon od przedstawiciela z Sotheby Parkę Bernet; mam trzy spotkania z pośrednikami i dwa z artystami i na dodatek dwadzieścia stron rachunków do przejrzania.

–Pewien jesteś, że go tam nie ma?

–Zobacz sama.

Charlotta zawahała się przez moment, a potem otworzyła drzwi. Deszcz zmniejszył się teraz na moment. Chodnik błyszczał wilgocią. Podeszła do galerii i zajrzała do środka. Yincen opuścił szybę od strony pasażera i usłyszał, jak ułożoną na płask dłońią w zielonej rękawiczce wali w drzwi. – „Jest tam kto? – rzekł podróżny, stukając do drzwi, na których kładła się poświata miesiąca”! – zawołał do niej.

Charlotta, nie speszona, zapukała powtórnie, a potem obróciła klamkę.

–Są otwarte – powiedziała.

–Co?! – wykrzyknął Yincen. Włączył poprzednio silnik, szykując się do odjazdu; teraz go zgasił.

–Są otwarte – powtórzyła. I szerokim gestem otworzyła drzwi. Yincenta zatkało, wreszcie wysapał:

–Mój Boże! Tam znajdują się obrazy wartości trzynastu milionów dolarów należące do obcych ludzi.

Szybko podszedł do Charlotty, stojącej przy wejściu do galerii. Miała rację.

Alarm był wyłączony, a drzwi otwarte. Każdy, kto przypadkowo albo z ciekawości próbowałby postąpić jak Charlotta, mógł spokojnie i bez przeszkód wejść do jednej z najlepszych prywatnych galerii prerafaelitów w Nowym Jorku.

–Edward! – krzyknął Yincen, wchodząc do środka. – Edward!

Nie było odpowiedzi. Yincen otworzył drzwi do biura, rozejrzał się i wrócił na środek galerii. Stał z rękami wspartymi na biodrach i z wyrazem oszołomienia i niedowierzania na twarzy.

–Nikogo tu nie ma – powiedział.

–Czy czegoś brakuje?

–Nie z tej kolekcji. Nie – chyba że ktoś wziął jakiś obraz i podłożył idealną kopię.

–A co z magazynem?

–Magazyn ma szyfrowy zamek. Edward nie zna kodu.

–Może jednak powinienś tam sprawdzić.

Ruszył korytarzem do magazynu, zapalając po drodze światła. Charlotta odwróciła wzrok, kiedy otwierał zamek: szanowała jego zasady bezpieczeństwa. Ale kiedy tylko wszedł do magazynu i zapalił jarzeniowe światła, stanęła tuż za nim.

–Nie mogę wyobrazić sobie Edwarda zostawiającego galerię nie zamkniętą – powiedziała. – Jest bardzo obowiązkowy. To do niego niepodobne.

W magazynie było chłodno i przyjemnie w porównaniu z dusznym, suchym jak pieprz upałem panującym w samej galerii. Jarzeniówki na moment zamigotały, a potem zapaliły się, oświetlając wyraźnie długie rzędy stalowych szuflad. Każdy rząd był oznaczony etykietą z nazwą szkoły i rokiem powstania dzieł. Yincen słuchał z podniesioną głową, a potem zawołał:

–Edward! Jesteś tu?

Charlotta złapała Yincenta za przegub, uciszając go:

–Szz! – Ale nie było odpowiedzi. Żadnego zduszonego jęku z ust Edwarda, zakneblowanego przez złodziei, nic. Tylko monotonne brzęczenie urządzenia klimatyzacyjnego i przypadkowy dźwięk termostatu.

–Może był już tu dziś rano – powiedziała Charlotta. – Może wyszedł tylko po kanapkę albo coś w tym rodzaju.

–Wiedział, że będę u niego w mieszkaniu; wyraziłem się jasno. I nawet gdyby wychodził tylko na parę minut, nigdy nie zostawiłby nie zamkniętej galerii.

Przynajmniej wierzę, że by tego nie zrobił.

Przeszedł wzdłuż jednego ze skrzydeł, przesuując dłonią po stojących obrazach.

–To możliwe, że ktoś obrabował go i zabrał klucze. Ale po co? Nic nie zostało zabrane. Przynajmniej z głównego pomieszczenia. Oczywiście, będę musiał zrobić tu inwentaryzację, ale nie wierzę, żeby ktoś mógł złamać ten szyfr. To zamek Heustadta, najlepszy, jaki istnieje.

–Może złodzieje nie lubili preraphaelitów.

–Cóż, taka możliwość zawsze istnieje. O niebo łatwiej upłynnić magnetowid niż Holmana Hunta.

Właśnie mieli wyjść z magazynu, kiedy zadzwonił telefon. Yincenit podniósł słuchawkę wiszącą obok drzwi i powiedział:

–Galeria Sztuki Pearsona. Czym mogę służyć? Przez chwilę słuchał, a potem powiedział:

–W porządku, dziękuję – i odłożył słuchawkę.

–Kto to był? – spytała Charlotta. Nie mogła nie zauważyć jego skrzywienia ust.

–Dzienny portier w Apartamentach Wentworth. Właśnie zgłosił się do pracy.

Zostawiłem mu prośbę o telefon.

–I?

–Powiedział, że Edward przyszedł do domu wczoraj po południu w towarzystwie jakiejś kobiety i że ona wyszła o szóstej, sama.

–Co to znaczy?

–To znaczy, że ani dzienny, ani nocny portier nie widział Edwarda opuszczającego swój apartament. Uważają, że jest tam nadal.

–Ale przecież nie reagował na dzwonek.

–To mnie właśnie niepokoi.

Yincenit poszedł do biura i szybko przejrzał swój kalendarz.

–Pierwszy pośrednik nie zjawi się tu przed wpół do jedenastej, a więc nie jest źle; automatyczna sekretarka zarejestruje telefony.

–Jak zamkniesz drzwi, nie mając kluczy?

–Na zatrzask. Pozostaje mi modlić się, by nikt nie próbował rozbić szyby, i wierzyć, że znajdę te klucze przed powrotem.

Znów przywitał ich deszcz. Yincenc zatrzasnął drzwi galerii, równocześnie cicho złorzeczając na swój los. Wsiedli do bentleya i ruszyli od krawężnika z piskiem opon.

Ruch uliczny zmniejszył się nieco; powrót do Apartamentów Wentworth nie zabrał im wiele czasu. Przeszli dzwoniący echem westybul i weszli do małego oszklonego pomieszczenia. Portier siedział z nosem utkwionym w „New Yorker Post”. Do czytania używał wielkiego, zasmarowanego szkła powiększającego. Palił cygaro Król Edward.

–Jestem Pearson – powiedział Yincenc. – Dzwonił pan do mnie przed chwilą w sprawie pana Merriama.

–Zgadza się – kiwnął głową portier. Kaszlnął i wyjął cygaro z ust. – Pan Merriam nie wychodził od wczorajszego popołudnia, mogę przysiąc.

–Czy z tego budynku jest jakieś inne wyjście?

–Facet mógł skoczyć przez okno.

–Mam nadzieję, że nie – powiedział Yincenc. – Czy można jeszcze raz spróbować zapukać do niego?

–Czujcie się jak u siebie.

Yincenc i Charlotta wjechali windą na szóste piętro.

–Nie wiedziałam, że Edward mieszka w czymś równie okazałym.

–To własność rodzinna. Jego ojciec był maklerem czy kimś takim. Rosemary 's Baby było filmowane w apartamentach po drugiej stronie.

–Właśnie, coś mi to przypominało – powiedziała Charlotta, robiąc mądrą minę.

Podeszli do drzwi Edwarda i zadzwonili. Nikt nie odpowiedział, chociaż wyraźnie słyszeli brzęk dzwonka.

–Może śpi – powiedziała Charlotta. Yincenc uderzył pięścią w drzwi.

–Edward! Edward! To ja, Yincenc! – zawołał. Dalej żadnego odzewu.

–Bądź tak dobra, Yenus, i powiedz portierowi, żeby przyniósł tu swój klucz uniwersalny – powiedział. – Ja będę dalej stukać.

Yincenc stukał i stukał, aż drzwi mieszkania naprzeciwko otwarły się. Pojawiła się w nich siwowłosa kobieta w szlafroku z różowego jedwabiu. Odezwała się ostro:

–Przestanie pan hałasować? Mąż źle się czuje i nie może znieść tego całego walenia.

–Proszę wybaczyć – przeprosił Yincen. Otarł ręką czoło. – Chodzi o to, że nie możemy dobrać mojego kolegi.

–Jak się zasnęło snem grzesznika, no to nic dziwnego.

–Proszę?

–Nie mam w zwyczaju podglądać ani podsłuchiwać, ale pan Merriam przyjmował wczoraj po południu damę i sądząc po hałasach, powiedziałabym, że odbywało się tam niezłe fiku-miku.

–Tak pani uważa? – spytał Yincen. Kobieta złożyła ręce na piersiach. Nie była zmieszana w najmniejszym stopniu.

–Szybko stamtąd wyszła, szybko i po cichu, jak ktoś, kto czuje się winny.

Znalazła się na końcu korytarza przy windzie, zanim zliczyłby pan do trzech.

–Jak wyglądała?

–Powiedziałabym, że na poziomie – stwierdziła, pociągając nosem – chociaż w dzisiejszych czasach nic nie wiadomo. Nawet kurwy potrafią się dobrze ubierać.

Powyżej trzydziestki, ale bliżej czterdziestki. Błada twarz, wystające kości policzkowe; atrakcyjna kobieta. W pańskim wieku i bardziej w pańskim guście, jeśli wolno mi to powiedzieć, niż młodego pana Merriama. Ta jego Laura, o, to była miła dziewczyna.

–Jestem zaskoczony, że tak dokładnie obejrzała pani jego gościa – powiedział Yincen.

–O, bez trudu. Właśnie szłam do drzwi, bo miałam iść kupić Howardowi lekarstwo, a ona w tym samym czasie wychodziła od pana Merriama.

W tym momencie Charlotta wróciła z portierem. Był zirytowany, że mu się zawraca głowę. Podzwaniał kluczami.

–Dzień dobry, pani Turzynski – rzucił niedbale.

–A, pan Maggs – odpowiedziała stara kobieta, a potem wycofała się w głąb swojego mieszkania jak żółw do skorupy.

–O co chodzi? – spytał portier, oceniając spojrzeniem Yin-centa i mrużąc przy tym oko przed dymem cygara.

–Mój przyjaciel nie odpowiada – wyjaśnił Yincen. – A tamta pani, podobnie jak pan, jest przekonana, że nadal musi być u siebie.

–No... – wycedził portier – nie ma przepisu, żeby musiał się odezwać. Prawo mu nie każe.

–Niemniej – tłumaczył Yincen, siląc się na maksymalną uprzejmość-dziwi nas, że milczy. Może dałoby się otworzyć drzwi kluczem uniwersalnym. Wtedy chociaż upewnimy się, że nic mu się nie stało.

–Administrator powiesi mnie za uszy, jak się o tym dowie – zaprotestował portier.  
– Tu ma być porządek, rozumie pan? Mieszkańcy płacą za to, że nikt nie wtrąca się w ich sprawy.

Według szyfru używanego przez portierów miało to oznaczać: „Ile wyłożycie, żeby mi się to opłaciło?” – Na pewno uda się nam dojść do porozumienia – powiedział Yincen. Wyjął portfel i odliczył pięć banknotów pięciodolarowych.

–Uczyłem się w szkole o Abrahamie Lincolnie – powiedział portier, oglądając przez moment twarz na banknotach, zanim wsadził je do kieszeni swetra. – Posłanie Gettysburskie, umie się to na pamięć.

–To ładnie – powiedział sucho Yincen. Portier otworzył drzwi od mieszkania Edwarda i Yincen pchnął je, robiąc ostrożny krok do przodu.

–Edward? – zawołał, ale odpowiedziała mu cisza i mrok. Yincen poszukał dłonią kontaktu, w końcu znalazł go i oświetlił pokój. Zasłony były zaciągnięte, a w powietrzu unosiła się dziwna woń, jakby perfum, tylko bardziej gorzka.

Yincenowi przypomniało to zapach mieszkania jego babki w Beresford; zapach minionego czasu. W kącie po drugiej stronie salonu coś bez przerwy stuknęło w kaloryferze. Za oknem, w Central Park West, wyła żałobnie syrena policyjna.

–Edward?! – powtórzył Yincen, tym razem ciszej, jakby zdając sobie sprawę, że nie usłyszy odpowiedzi. Charlotta wzięła go za ramię.

–Nie ma go tu – szepnęła. – Odpowiedziałby, gdyby było inaczej.

–Pozwól, że zajrzę do sypialni.

–Ja... zaczekam tu – powiedziała Charlotta. – Na wszelki wypadek... wiesz, może jest nie ubrany albo coś w tym rodzaju.

Yincen podszedł do sypialni. Drzwi były lekko uchylone. Nie wiedząc dlaczego, zawahał się. Nie bał się. Przynajmniej myślał, że

się nie boi. Ale co zrobi, jeżeli Edward jest chory albo śpi? Na pewno wkroczenie Yincenta i Charlotty do sypialni nie sprawiłoby mu przyjemności.

Szukasz wymówki – powiedział sobie. – Właż.

Powoli otworzył szerzej drzwi. W pokoju panowała kompletna cisza. Już miał powtórnie zawołać Edwarda, ale słowa zamarły mu na ustach.

Edward tam był. J-^żał na łóżku, z atlasową kapą podciągniętą pod brodę. Miał zamknięte oczy, jedną rękę złożył na poduszce, tuż przy twarzy. – Śpi – szepnął Yincen, obracając się do Charlotty. – Śpi? Jesteś pewien, że nie umarł?

–Nie, nie mógł umrzeć. Patrz. Kapa się rusza. Charlotta podeszła nieco bliżej.

–Jest strasznie blady.

–Może źle się poczuł?

–A gdybyśmy go obudzili, jak myślisz?

–Chyba powinniśmy. Jeżeli źle się poczuł; powinniśmy wezwać lekarza.

Yincen podeszedł do okna i odciągnął kotary. Szare, przyćmione deszczem światło rozjaśniło pokój. Wrócił do łóżka i pochylił się nad Edwardem.

–Edward. Edward, to ja, Yincen. Czas się zbudzić. Edward nie odzywał się, oczy miał nadal zamknięte.

–Edward! – Yincen zawołał głośniejszym głosem i potrząsnął go za ramię.

Charlotta cofnęła się i zmarszczyła brwi.

–Nie wpadł chyba w śpiączkę?

–Wątpię. Popatrz – oczy mu się ruszają pod powiekami, jakby śnił.

–Bezwiedny ruch gałek ocznych – podpowiedziała Charlotta. – Znany jako REM.

–Edward!-powtórzył Yincen.

–Podnieś mu powiekę. Może ma śpiączkę.

Yincen sięgnął ręką i podniósł kciukiem prawą powiekę Edwarda. W tej samej sekundzie z krzykiem przerażenia oderwał dłoń i odskoczył w tył, omal się nie wywracając.

Charlotta wrzasnęła przeraźliwie.



Oto prosto z prawego oczodołu Edwarda stoczył się wijący supeł jasnoszarych robaków. Upadły na poduszkę. Rozdzieliły się wijąc w poszukiwaniu kryjówki. Parę następnych wysunęło mu się spod powieki.

Trzęsąc się z obrzydzenia i grozy, mając uszy pełne krzyku Charlotty, Yincen chwycił brzeg kapy, która poruszała się, jakby Edward pod nią oddychał. Przez moment wahał się, a potem zerwał przykrycie.

–Och, mój Boże. – Zabrakło mu tchu. Poczuł rozlewający się w ustach gorzki smak żółci.

Najohydniejsze dla Yincenta było to, jak się wily. Zapamiętał ten obraz na całe życie. Bezmyślne skurcze i obroty tysięcy na wpół przezroczystych ciał, połyskujących w promieniach dziennego światła.

W szoku podskoczyła mu ręka, jakby nagle został uderzony lekarskim młoteczkiem.

–Boże! – to było wszystko, na co mógł się zdobyć. Potem złapał Charlottę pod ramię – była zbyt oszołomiona, aby wiedzieć, co ma zrobić – i wyciągnął ją z pokoju. Zamknął drzwi. Stał, patrząc na nią z niewiarą i grozą.

Charlotta odezwała się wysokim, płaskim głosem:

–Yincen, co mu się stało? Jak to możliwe?

Yincen potrząsnął głową. Czuł w ustach ohydny, tłusty smak; nie potrafił wydusić słowa.

Charlotta na moment ukryła twarz w dłoniach; potem targnęły nią mdłości.

–Szybko, do kuchni – powiedział Yincen, prowadząc ją do zlewu. Pochyliła się, przytrzymując ręką włosy, i zwymiotowała śniadanie. Yincen poczuł, jak żołądek tężeje mu w węzeł, ale udało mu się przełknąć parę razy i odzyskał nad sobą kontrolę.

–Czujesz się lepiej? – spytał ją po chwili. – Chyba zadzwonię na policję. I po karetkę, chociaż wątpię, żeby mogli zrobić coś więcej, niż zabrać go stąd.

Charlotta skinęła głową. Twarz wykrzywiało jej obrzydzenie. W tym momencie wszedł portier, wciąż podzwaniając kluczami.

–Jeszcze nie załatwiliście swojej sprawy? Powinienem wracać na dół.

–Muszę zadzwonić na policję. Pan Merriam nie żyje – powiedział Yincen.

–Nie żyje? Jak to: nie żyje?

–Leży martwy w sypialni, to wszystko. Portier wyjął z ust cygaro i wlepił wzrok w drzwi sypialni, usiłując przewiercić je wzrokiem.

–Co jest, zabił się czy jak?

–Nie wiem. Nie sądzę. Teraz proszę mi wybaczyć.

Yincent podniósł słuchawkę i wykręcił 911. Portier dalej stał obok niego, przestępując z nogi na nogę i zaciągając się hałaśliwie cygarem.

–Co tam jest, gnój czy jak? Zastrzelił się czy co?

–Nie wiem. Nie da się tego opowiedzieć. Teraz proszę dać nam spokój. Oboje przeżyliśmy ciężki szok i jedyne, na co mnie stać, to telefon na policję.

Charlotta trzęsąc się przeszła przez salon. Wyjęła paczkę papierosów; zapaliła Yincentowi i sobie. Rzadko palił, ale wziął papierosa z wdzięcznością i zaciągnął się głęboko. Wszystko, byle pozbyć się z płuc zarażonego powietrza, którym oddychał w tamtym pokoju pełnym robaków.

Portier zaciągnął się cygarem i zobaczył, że zgasło.

–Wiecie co? – powiedział. – Same tragedie w tych mieszkaniach. Rozumiecie – to, co widziałem. Tragedie. Nie uwierzylibyście. Wszyscy ci samotni, co dożywają tu swoich dni, nawet bogacze; wszyscy samotni jak diabli. A teraz ten. Przecież to młody facet, zgadza się? Miał trzydziestkę?

Yincent w końcu połączył się z policją.

–Chcę zgłosić zgon – powiedział głosem, który w ogóle nie brzmiał jak jego własny.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nowy Jork, 16 grudnia Laura siekała cukinię w malakserze, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Wytarła ręce w ścierkę i zawołała:

–Chwileczkę!

Potem wyłączyła robot i podeszła do drzwi, stukając japońskimi sandałkami po wyfroterowanej podłodze. Ręce z wymalowanymi na szkarłatno paznokciami odstawały jej po bokach jak skrzydła anielskie.

Dotarłszy do drzwi wyjściowych, zerknęła przez wizjer. Jej długie rzęsy trzepotały, kiedy wyteżęła wzrok. Ponieważ dwaj chłopcy mieszkający na dole stale „pożyczali” żarówkę z korytarza, nie mogła prawie dojrzeć, kto stoi za drzwiami. Ale udało jej się zobaczyć bladą twarz, wyglądającą na twarz kobiety, i to ją uspokoiło. Danny zawsze jej mówił, że jeżeli twarz będzie męska albo czarna, albo jedno i drugie, nie może otwierać drzwi, bez względu na to, co usłyszy.

–Czy pani Laura Montblat? – zawołała kobieta. Dobrze ustawiony, kulturalny głos.

–To ja. Czego pani chce?! – odkrzyknęła Laura.

–Nazywam się Sybil Vane. Jestem starą przyjaciółką pani matki. Mogę wejść?

Zdarzył się wypadek.

–Wypadek? Jaki?

–Chodzi o pani ojca. Proszę. Bardzo mi niewygodnie rozmawiać przez drzwi.

–Co się stało? – powtórzyła Laura.

–Upadł dosyć fatalnie. Jest w szpitalu. Proszę, jeżeli otworzy pani drzwi, opowiem pani wszystko po kolei.

Laura odsunęła zasuwę – górną i dolną, a potem obróciła klucz w zamku blokującym osiem zasuw. W ciągu zaledwie roku w tym budynku zdarzyły się dwa gwałty i osiem włamań, toteż Danny Montblat nie wyszedłby do biura, zostawiając swoją młodą żonę nie zabezpieczoną.

Kobieta weszła do mieszkania. Była nieco wyższa od Laury, chociaż mogło się tak tylko wydawać, bo na nogach miała wysokie czarne szpilki. Ubrana była w zimowy, czarny płaszcz, na którym rozsypane topniejące płatki śniegu błyszcząły jak gwiazdy w kosmicznej próżni. Na głowie nosiła czarny kapelusik bez ronda z kiwającym się szarym piórem. Jej twarz była blada jak biały welon i chociaż widać było wyraźnie, że kiedyś musiała być bardzo piękna, teraz wyglądała na zmęczoną i pomarszczoną.

–Kiedy to się stało? – spytała Laura. – Dlaczego nikt nie zatelefonował?

–Twoja matka próbowała dodzwonić się do ciebie ze szpitala – powiedziała kobieta, ściągając rękawiczki – ale numer stale był zajęty. Więc zadzwoniła do mnie i poprosiła, abym przyjechała. Mieszkam na Garcia Square.

–Czy to coś poważnego? – spytała Laura.

–Lekarze podejrzewają pęknięcie kilku dolnych kręgow. Jutro zamierzają przeprowadzić więcej badań i zrobić dodatkowe prześwietlenia. Jeżeli nastąpiło rozległe uszkodzenie kręgosłupa, może okazać się to bardzo poważne. Bardzo mi przykro.

Laura była oszołomiona i zszokowana.

–On nie... chodzi mi o to, czy nie grozi mu śmierć?

–Nie sądzę, moja droga. Ale może częściowo utracić władzę w nogach.

–Och, mój Boże, to straszne. Mogę zadzwonić do matki? Ma pani numer kliniki? Która to?

Kobieta, która nazywała siebie Sybil Vane, położyła rękę na ramieniu Laury i uśmiechnęła się do niej ze współczuciem.

–Matka miała nadzieję, że będziesz mogła przyjechać wprost do New Rochelle.

Dlatego prosiła mnie, żebym tu przysłała. Mój samochód stoi na zewnątrz. Mogę cię zawieźć.

–No, nie wiem. Powinam zadzwonić do Danny'ego.

–Ależ oczywiście, zrób to. Ale twojej matce bardzo zależy, żebyś przyjechała najszybciej, jak możesz. Laura odwiązała fartuch i poszła do kuchni.

–Właśnie robiłam chleb z cukini – powiedziała, prawie ze wstydem, jakby zamiast tego powinna była zajmować się ojcem.

Kobieta została w salonie. Poddasze było dobrze oświetlone; z jednej ściany zdarto tynk do gołej cegły. Stały tam paprocie i palmy zasadzone w wielkich wiklinowych koszach. Meble były ze szkła, chromu i naturalnego buka. Kobieta palcami dotknęła ścian, jakby chciała poczuć wibrację żyjących tu istot, jakby chciała dostroić się do uczuć Laury.

Laura wyszła z kuchni i szybko poprawiła włosy.

–Czy orientuje się pani, jak się to stało?

–Niedokładnie. Twój a matka mówiła coś, że szedł po szklankę wody do łazienki i poślizgnął się. Była bardzo zdenerwowana.

Laura podniosła słuchawkę ze ściany i wystukała numer biura Danny'ego.

–Tato zawsze był taki zdrowy – powiedziała, czekając na odpowiedź telefonistki.

–Ale jeżeli jest pani przyjaciółką matki, to chyba pani już to wie.

–Twoja matka i ja chodziłyśmy razem do szkoły – rzekła kobieta. I uśmiechnęła się znowu, jakby to wszystko wyjaśniało.

I W końcu Laura dodzwoniła się do sekretarki Danny'ego.

Kobieta obserwowała ją podczas rozmowy. Laura była naprawdę bardzo piękną, młodą dziewczyną. Ciemne, kasztanowe włosy, zielone oczy, owalna twarz; prawie irlandzka uroda. Skóra tak delikatna i biała jak płatki orchidei. Oczywiście zbyt mocny makijaż, jak u większości Amerykanek, ale każdy zmywacz sobie z tym poradzi. I do tego bardzo zadbana figura. Wąskie biodra, nogi o dobrych proporcjach, niezbyt wydatny biust. Leciutki znak na lewym policzku, chyba jakiś wypadek w dzieciństwie, ale nic poważnego.

–Rozumiem-powiedziała Laura do sekretarki.-W porządku. Ale powtórzy mi pani, jak tylko wróci?

–Nie ma go? – spytała Sybil Vane.

–Dostał telefon z drugiego krańca miasta. Jeden z jego głównych klientów planuje fuzję. Sekretarka wątpi, żeby zjawił się wcześniej niż za godzinę.

Kobieta uśmiechnęła się znowu. Miała dziwnie słodki i pobłażliwy uśmiech; mimo powagi sytuacji, Laura poczuła się raźniej.

–Mam telefon w samochodzie – powiedziała kobieta. – Zadzwońisz do Danny'ego podczas jazdy. Teraz napisz mu parę słów. Laura zostawiła wiadomość na tabliczce w kuchni.

–Wie pani, który to szpital? – spytała.

–Boardman. Nie mam przy sobie numeru, ale twój mąż znajdzie go łatwo przez informację.

–W porządku. Tylko wezmę płaszcz i zamknę drzwi.

–Byle nie trwało to zbyt długo. Mój samochód stoi przy zakazie parkowania.

Sybil Vane stała cierpliwie, oglądając oprawiony plakat z // Happened One Night, podczas kiedy Laura nakładała płaszcz, wyłączała światła i wysypywała świeże trociny w skrzynce kota.

–Nie widziała pani mojej kotki?-spytała kobietę rozglądając się. – Była tu przed chwilą.

–Chyba gdzieś śpi. Znasz koty.

Laura klękała, zapinając płaszcz i rozglądając się pod meblami.

–Nie ma jej tu. Febe! Febe! Kici, kici! Rozejrzała się po sypialni i zajrzała do łazienki, ale nigdzie nie było śladu kota.

–Nie chcę cię popędzać – powiedziała Sybil Vane – ale naprawdę powinniśmy jechać.

Laura zawołała Febe po raz ostatni, ale nadal bez rezultatu. Wyszła za Sybil Vane na klatkę schodową i przekręciła klucze w dwóch zamkach. Razem zeszły po schodach, cztery kondygnacje w dół, aż znalazły się na ulicy. Wysokie obcasy kobiety dzwoniły jak gwoździe wbijane w dąb.

–Co mówili lekarze? Będzie chodził? – spytała Laura.

–Nie spieszyli się z diagnozą. Tyle w każdym razie powiedziała mi twoja matka.

Ale możemy do niej zadzwonić, jak tylko znajdziemy się w samochodzie, i sama ją o to zapytasz.

**–Biedny tatuś – westchnęła Laura. – Zawsze był tak aktywny. Dwa lata temu wygrał Turniej Golfa Amatorów w New Rochelle.**

**–Tak, wiem – powiedziała Sybil Vane. Uścisnęła dłoń Laury i dodała z uśmiechem:**

**–Ale spróbujmy popatrzeć na to optymistycznie. Może tylko nadłamał sobie jakąś kość.**

**–Och, Boże, mam nadzieję, że się pani nie myli-powiedziała Laura.**

**Samochód stał przy krawężniku. Była to czarna limuzyna marki Fleetwood, licząca przynajmniej dziesięć lat. Krople deszczu lśniły na wypolerowanej do połysku masce.**

**–Sama pani prowadzi? – spytała Laura. Kobieta otworzyła drzwi. Rozszedł się mocny zapach skóry i olejku różanego.**

**–To moja jedyna rozrywka – powiedziała. – Należał do mojego brata. Zwykł mawiać, że żaden szanujący się Amerykanin nie powinien jeździć samochodem, który nie ma dwudziestu stóp długości.**

**Laura wsiadła do limuzyny i zamknęła drzwi. Sybil Vane zsunęła ze stóp pięciocalowe szpilki. Obróciła kluczyk w stacyjce i silnik fleetwooda ożył z rykiem. Włączyła się w ruch, nie dając sygnału migaczem, i podjechała do końca kwartału, gdzie zawróciła w Szóstą Aleję i skierowała się ku obrzeżom miasta.**

**–Czy jest ci dość ciepło? – spytała. Prowadziła z rodzajem władczej beztroski, cmokając i mlaskając ze zniecierpliwieniem, kiedy tylko jakiś inny pojazd wysunął się przed nią, zwolnił lub w inny sposób wywołał jej irytację.**

**–Dziękuję, jest mi bardzo ciepło – powiedziała Laura. W istocie, wewnątrz samochodu było duszno i musiała już rozpiąć płaszcz.**

–Nie znoszę zimna, wiesz-powiedziała kobieta. Jej diamentowe pierścienie błyszcząły na kole kierownicy.-Od razu boli mnie głowa.

Minęły Radio City. Czerwony neon zajarzył się na długiej, czarnej masce fleetwooda. Ciągle padał śnieg. Chodniki były pełne parasoli.

–Mówiła pani, że znacie się z mamą od szkoły? – spytała Laura.

–Tak. Byłyśmy najbliższymi przyjaciółkami, a i potem zawsze pozostawałyśmy w kontakcie.

–Powinna pani w takim razie przyjechać na mój ślub.

–Bardzo chciałam. Twoja matka zapraszała mnie. Ale nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności przebywałam wtedy w Europie. Sprawy rodzinne – to było ważniejsze.

–Dziwi mnie, że nigdy pani nie odwiedzała nas w domu. Sybil Vane obróciła się i spojrzała na nią.

–Ależ odwiedzałam! Zawsze to robiłam, dopóki mój biedny mąż nie zachorował. Pamiętam cię, kiedy byłaś małą dziewczynką.

Laura spodziewała się, że kobieta rozwinie teraz swe wspomnienia, ale to nie nastąpiło. Siedziały w milczeniu aż do momentu, w którym dotarły do Central Park South, gdzie kobieta skręciła na prawo. Zużyte zawieszenie fleetwooda podzwaniało głośno na dziurach w nawierzchni i kratkach ściekowych, a wycieraczki drżały i protestowały przy każdym wstrząsie. Powietrze w samochodzie było tak duszne i przesycone perfumami, że Laura opuściła o parę cali okno po swojej stronie. Napłynęło przez nie chłodne powietrze późnego popołudnia i przez chwilę poczuła się odświeżona, ale Sybil Vane zaraz powiedziała:

–Zechciej, proszę, zamknąć okno. Chłód źle na mnie wpływa, wiesz przecież.

–Och, przepraszam – powiedziała Laura i zamknęła okno.

Jechały w kierunku pomocnym. Kiedy dotarły do Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, śnieg zaczął gęstnieć i kobieta prawie zderzyła się z autobusem. Nie nacisnęła klaksonu, tylko zacmokała gniewnie i zadała sobie niemały trud, aby objechać autobus, wywołując jeszcze większe zamieszanie i prowokując lawinę klaksonów pobliskich wozów i taksówek. Laura zaczęła żałować, że nie zaczekała

na Danny'ego, by zawiózł ją do New Rochelle. Trzymała się uchwytu i oparcia ze zużytej skóry, modląc się w duchu, aby kobieta nie spowodowała wypadku.

–Dzisiaj trudno o uprzejmość – zauważyła kobieta. – Powinnaś zobaczyć, jak jeżdżą Europejczycy. Zklasają się niezwykle uprzejmi. Tu, to wieprze-tak, to słowo najlepiej do nich pasuje. Wieprze.

–Czy jest pani pewna, że nie sprawiam kłopotu? – spytała Laura.

–Kłopotu? – zdziwiła się Sybil Vane, jakby to był obcy wyraz, który słyszy po raz pierwszy.

–Wieczór jest paskudny, a z Garcia Square do New Rochelle jest daleko. Przecież mogłabym wziąć taksówkę. To znaczy mogłaby pani mnie teraz wysadzić i dojechałabym taksówką.

Kobieta parsknęła krótkim śmiechem.

–Wysadzić cię? W Harlemie? W śnieżną noc, kiedy twój ojciec leży chory w szpitalu? Czy wyobrażasz sobie, czego musiałabym wysłuchać od twojej matki, gdybym to zrobiła? No, popatrz na tego lunatyka, hamuje mi tuż przed nosem.

–Proszę, niech pani uważa – ostrzegła Laura. – Drogi są dzisiaj bardzo śliskie.

–Moja droga-odpowiedziała-prowadzę samochód dłużej niż – popatrz, tylko popatrz na tego durnia!

Laurze pozostawało tylko siedzieć na miejscu i trzymać nerwy na wodzy. Sybil Vane miała rację: nie mogła wysiąść z wozu w tę śnieżycę, w środku Harlemu.

Miała praktycznie zerowe szansę na złapanie taksówki, za to szansę zostania ofiarą napadu albo czegoś jeszcze gorszego – znaczne. \_ Mój brat uwielbiał jazdę po śniegu – rzuciła lekko kobieta. – To odróżnia tygrysa od osła, tak zwykł powtarzać.

Po śniegu musisz jeździć jak tygrys!

–Mówiła pani o telefonie w samochodzie.

–A tak. Brat o to zadbał. Ileż on się najeździł! Prawdziwy Wolf Barnato.

–Mogę z niego skorzystać?

–Co?

–Telefon. Czy mogę z niego skorzystać?

–Oczywiście. Jest w schowku kierowcy.



Laura otworzyła go. Znajdował się tam elegancko zainstalowany bezprzewodowy telefon. Obok leżało pudełko czekoladowych po-madek od Taylora z Bond Street.

Podniosła słuchawkę i włączyła telefon. Czerwone światelko kontrolne zapłonęło, ale usłyszała tylko ciche, odległe buczenie.

–Wydaje mi się, że nie działa.

–To chyba przez ten śnieg. Nigdy nie działa, jak pada. Zresztą podczas deszczu też nie.

–Muszę zadzwonić do Danny'ego – nie dawała za wygraną Laura. – Będzie się o mnie martwił.

–Ależ proszę bardzo – odezwała się uprzejmie kobieta. – Jak tylko znajdziemy jakąś stację benzynową, zatrzymam się. Wsiądziesz i będziesz mogła do niego zadzwonić.

–Jeżeli to nie sprawi kłopotu, bardzo proszę.

Przejeżdżały teraz przez Bronx. Ruch się uspokoił i kobieta prowadziła nieco pewniej. Laura obserwowała, jak topniejący śnieg drży na szybie, zaczął też do niej docierać monotony szum opon na betonowej nawierzchni. Chociaż nadal żałowała, że zgodziła się, by Sybil Vane podwiozła ją do New Rochelle, zaczęła teraz czuć się bardziej bezpieczna i uspokajała się myślą, że jej rodzice ucieszą się, gdy ją zobaczą. Danny wkrótce przyjedzie, będą razem i wszystko będzie w porządku. Nie widziała się z matką od dnia ślubu i cieszyła się na myśl o spotkaniu z nią.

Prowadząc, Sybil Vane zaczęła mówić. Najpierw opowiadała Laurze, co porabiała w Europie. Potem przeszła na modę, fasony butów i to, jak teraz fatalnie są robione. Był to niezwykle monolog, o wszystkim i o niczym, a że większość wypowiedzianych zdań natychmiast powtarzała, wygłaszając te same szeregi dźwięków jeszcze raz, Laura odnosiła wrażenie, jakby słuchała raczej długiego, monotonnego utworu muzycznego niż kobiecego głosu. Fleetwood sunął poprzez noc, wycieraczki poruszały się regularnie z jednej strony na drugą. Kobieta mówiła wciąż tym samym hipnotyzującym głosem, aż Laura przymknęła na moment oczy, potem na dłużej, aż w końcu zasnęła. Śniła. A podczas snu frunęła poprzez noc na grzbiecie czarnego stwora o łuszczącej się skórze – stwora, który przy każdym machnięciu swych wielkich skrzydeł ronił kawałki ciała i kości. Śniła, że zagubiła się w labiryncie czarnego jak węgiel żywopłotu, spalonego

i pokurczonego – w labiryncie, w którym za każdym rogiem rozlegały się głosy, ale nie było nikogo widać. Śniła, że znalazła się sama w splukiwanym deszczem domu, który rozpadał się wokół niej. W swych snach płakała, mówiła i załamywała ręce, a kiedy nagle fleetwood zatoczył półkole i opony zazgrzytały na żwirze, a silnik zgasł gwałtownie – obudziła się i odkryła, że policzki ma mokre od łez.

Patrzyła przez chwilę na kobietę, nadal siedzącą obok niej. Potem spojrzała przez szybę. Na zewnątrz było ciemno, świeciła tylko jedna staromodna latarnia. Śnieg ustał i zaczął padać deszcz.

–Jesteśmy na miejscu? – spytała zdumiona. – Musiałam na chwilę przysnąć.

–Jesteśmy na miejscu – odpowiedziała kobieta. Obróciła się i uśmiechnęła do Laury, która nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo tamta jest wysuszona i pomarszczona. Wydawało się, że podczas jednego popołudnia postarzała się o dziesięć lat. Również jej spojrzenie uległo zmianie. Nie było w nim sympatii, stało się chłodne i badawcze, jakby przyglądała się Laurze przez otwory w masce.

–Czy to szpital? – spytała Laura. Przetarła oczy; głowa jej ciążyła i wszystko wokół niej falowało, jakby miała kaca. Zerknęła przez poplamioną deszczem szybę fleetwooda.-To nie jest szpital.

–Nie, oczywiście, że nie. To mój dom. Ponieważ zasnąłaś na tak długo, pomyślałam sobie, że być może miałabyś ochotę wstąpić i trochę się odświeżyć, zanim pojedziemy dalej. Mam również do zabrania parę drobiazgów dla twojej matki.

–Która godzina? – spytała Laura. Wyglądało na to, że jej zegarek stoi.

–Dziesięć po siódmej.

–Dziesięć po siódmej? Ale to znaczy, że spałam przez dwie godziny! Dlaczego mnie pani nie obudziła? Miałyśmy zatrzymać się na stacji benzynowej i zadzwonić do Danny'ego.

–Nie przejmuj się – uśmiechnęła się kobieta, ale wyraz jej twarzy bardziej przypominał Laurze jakiś grymas. Poklepała Laurę po ręce. – Jeżeli masz ochotę, możesz zatelefonować stąd. Spójrz, oto mój brat Maurice.

Wysoki, siwowłosy mężczyzna, ubrany w czarny płaszcz przeciwdeszczowy pojawił się w opływającym deszczem mroku. Pochylił się, zajrzał do środka samochodu, a potem otworzył Laurze drzwi.

–Proszę, proszę – powiedział. – Ty na pewno jesteś Laura. Cordelia dużo mi o tobie opowiadała. Wsiądź, proszę, zaprowadzę cię do domu. Na pewno masz ochotę na filiżankę herbaty po podróży.

Laura wysiadła z fleetwooda i zapięła płaszcz. Było tu zimno i wilgotno; pachniało mokrym drzewem. Widoczność była bardzo ograniczona; kobieta zgasła reflektory fleetwooda i jedynym źródłem światła była staromodna latarnia. Czarny przeciwdeszczowy płaszcz mężczyzny szeleścił, zupełnie jak skrzydła czarnego stworu ze snu. Gdzieś niedaleko rozległo się szczekanie psa.

–Psy zawsze wyczuwają obcego – radośnie zauważył Maurice Gray. – Proszę, chodź. Ścieżka jest nie oświetlona, a płytki śliskie. Nie mieliśmy czasu na zdercie mchu. Cordelio, kochanie, też uważaj.

–Cordelio? – spytała Laura. –Myślałam, że ma pani na imię Sybil.

Kobieta zbliżyła się i wzięła Laurę pod ramię. Nawet w deszczu wokół niej unosiła się uporczywa, znajoma różana woń.

–Używanie nazwiska Sybil Vane to jedno z moich małych dziwactw – wyjaśniła. – To było moje nazwisko sceniczne, przed wielu laty. Byłam aktorką. I, musisz wiedzieć, bardzo dobrą aktorką. Byłam świetna w Magdzie.

Ostrożnie odbyli drogę po ciemnej ścieżce. W końcu dotarli do wysokiego muru z czerwonej cegły. Był gęsto obrośnięty powojem, bezlistnym teraz i zbrązowiałym.

Ociekał deszczem. Maurice otworzył żelazną furtę, która zaskrzypiała żałośnie.

Po drugiej stronie muru rozciągał się wyłożony cegłami dziedziniec, a za nim widoczne były zarysy ogromnego domu. W oknach nie paliły się światła i kiedy Laura szła za Maurice'em w kierunku frontowej werandy, czuła zapach świeżo skopanej ziemi, rowów odwadniających i wilgoci.

Maurice otworzył pomalowane szarą, łuszczącą się farbą drzwi.

–Obawiam się, że obecnie jest tu raczej ponuro. Cordelia prawdopodobnie mówiła ci, że przez jakiś czas przebywaliśmy w Europie. Wróciliśmy dopiero przed dwoma tygodniami, więc nie mogliśmy wiele zrobić.

Laura nie odzywała się, kiedy Maurice szukał włącznika światła wewnątrz ciemnej werandy. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie zostawił go zapalonego, wychodząc im na spotkanie. Ale w końcu

znalazł i umieszczona nad schodkami żarówka zapłonęła jasno w oplatanej pajęczynami osłonie. Maurice zaprosił ją do środka.

–Przede wszystkim chciałabym zaraz zatelefonować – powiedziała Laura.

–Ależ oczywiście. Proszę za mną; pokażę ci, gdzie jest telefon.

–Czy jesteśmy daleko od szpitala? – spytała Laura. – Jak zasnąłam, straciłam orientację, gdzie się znajduję. To znaczy, jesteśmy w New Rochelle, prawda?

–Tędy do telefonu – powiedział Maurice. Zaświecił główny kandelabr w korytarzu, oświetlając pokryte boazeriami ściany, kręcone dębowe schody i matową, nagą posadzkę. Dom był bardzo zimny, co zdumiało Laurę, gdyż Sybil – lub Cordelia czy jak tam się nazywała-robiła takie zamieszanie wokół temperatury. W istocie było tak zimno, że para z ich oddechów tworzyła widmowe kształty małych embrionów.

–Czy jesteśmy w New Rochelle? – powtórzyła Laura, czując nagłą niepewność.

Wywołało ją coś w postawie Maurice'a, stojącego daleko przy końcu korytarza, z rękami złożonymi jak znudzony tragic; coś w sposobie zachowania Cordelii, unikającej pełnego światła. Było w tym wszystkim coś nienaturalnego, teatralnego, pełnego napięcia i niepokojącego.

–Jesteśmy blisko New Rochelle – zapewniła ją Cordelia.

–Blisko? Jak blisko? Przestańcie, przejechałam tę całą drogę w dobrej wierze.

Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie się znalazłam, gdzie jest szpital i jaki jest do niego numer telefonu, żebym mogła porozmawiać z moją matką.

Nastąpiło długie i nieprzyjemne milczenie. Maurice przesunął po niej spojrzeniem i patrząc na Cordelię, wzruszył ramionami, jakby mówił: „czy to warto?” Laurze głos rwał się ze strachu i wzburzenia.

–Muszę wiedzieć.

Cordelia zrobiła krok do przodu. Na nagiej podłodze jej szpilki stukały jak metronom. Wyciągnęła dłoń, chociaż widać było, że zdaje sobie sprawę z niechęci Laury do wyjścia jej naprzeciw.

–Moja droga – powiedziała – muszę ci powiedzieć, że o ile wiem, twój ojciec jest w doskonałym zdrowiu. Nie jesteś w New Rochelle – naprawdę jesteś w Darien w Connecticut.

Laura nie mogła oderwać od niej wzroku.

–To niewiarygodne – oburzyła się. – To absolutnie nieprawdopodobne. Ale dlaczego? Dlaczego, na Boga, sprowadziliście mnie tu? Chcę zadzwonić do męża. W tej chwili!

–Przykro mi – odrzekł łagodnie Maurice. – To nie jest możliwe.

–Przed chwilą prowadził mnie pan do telefonu.

–Nie, nie, moja droga, nie tam. Prowadziłem cię do biblioteki. W istocie prowadziłem cię do biblioteki, żeby cię tam zamknąć.

Laura poczuła, że nie może złapać tchu. Serce zaczęło jej bić mocnymi, bolesnymi skurczami.

–Wychodzę! – zawołała. – Nie zdołacie mnie zatrzymać. Wychodzę!

–Nie powinnaś się bać – powiedział Maurice.

–Idę! – krzyknęła do niego Laura. – Idę i na tym koniec!

Obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi wyjściowych. Otworzyła je szarpnięciem i tam był on. Wysoki, przystojny mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach, ubrany w nienagannie skrojony szary garnitur. Trzymał w ustach papierosa. Miał w klapie goździk i Laura nagle poczuła, że cały hol jest wypełniony zapachem goździków.

Młody mężczyzna nie poruszył się. Leniwie zaciągnął się papierosem. Uśmiechał się do Laury z rozbawieniem i satysfakcją.

–Proszę, proszę – odezwał się ostrym brytyjskim akcentem. – Czy to ta młoda dama, o której mówiłaś, Cordelio?

–Wychodziłaś? – spytała go Cordelia. Jej niezadowolenie rzucało się w oczy.

Młody mężczyzna wszedł do holu, zamykając za sobą dokładnie drzwi. Pochylił nieznacznie głowę, jakby dostrzegając strach i desperację Laury.

–Spacerowałem po ogrodzie różanym, to wszystko. Potrzebowałem trochę świeżego powietrza. Wziąłem ze sobą duży czarny parasol – ten, który dał mi Frank. Było w tym coś miłego. A także nieco perwersyjnego; a może jednak miłego.

Maurice wystąpił do przodu i dotknął ramienia Laury delikatnym, opiekuńczym gestem. Wzdrygnęła się i patrząc to na jednego, to na drugiego, nie była w stanie uwierzyć, że to przydarzyło się jej naprawdę. Na wpół przekonała samą siebie, że nadal znajduje się na siedzeniu fleetwooda, jedzie do New Rochelle, sypie śnieg, a ona śpi i śni.

–To jest Henry – powiedział Maurice. – Henry jest naszym starszym kuzynem, synem brata naszego ojca, Johna. Henry, to jest Laura. Cordelia zdobyła ją dzisiaj.

–Jest bardzo ładna – powiedział Henry, obchodząc ją. – Jest dla cioci Isobel, Cordelio, czy zatrzymujesz ją dla siebie?

–Będzie tego, czyje potrzeby są pilniejsze – odpowiedziała sztywno Cordelia.

–Ona jest twoją matką – powiedział Henry z pozorną nonszalancją. – Ale czy pragniesz utrzymać ją przy życiu, to oczywiście twoja decyzja. Muszę przyznać – róże są w strasznym stanie.

Laura przełknęła nerwowo ślinę i powiedziała:

–Wychodzę. Dacie mi wyjść?

–Wychodzisz? – zdumiał się Henry, strzepując popiół na podłogę. – Moja rozkoszna młoda damo, chyba nie mówisz poważnie? Przecież miałaś szczęście znaleźć się pomiędzy najbardziej gościnnymi i chętnymi do zabawy ludźmi w całym Connecticut. Nie odmówisz chyba drinka? Nie odmówisz chyba jednego z ciasteczek drogiej cioci Isobel – z różowym lukrem na wierzchu? Ależ musisz zostać na Boże Narodzenie.

Cordelia chwyciła Laurę za przegub; uchwyt jej kościstej dłoni był natarczywy i zadziwiająco silny.

–Boże Narodzenie chez Gray jest zawsze niezwykłym wydarzeniem – powiedziała śpiewnym tonem. – Musisz zostać, choćby duchem.

Pocałowała Laurę w policzek. Jej usta były zimne jak zmrożona wątroba. Wtedy po raz pierwszy Laura poczuła, jak ogarnia ją bezgraniczny lęk. Może zaczęła krzyczeć, ale nie była tego pewna.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nowy Jork, 17 grudnia – Rozumie pan, sir, dlaczego pańska historia w ogóle nie trzyma się kupy – powiedział czarnoskóry detektyw w nowym, eleganckim płaszczu przeciwdeszczowym.

–Tak – odpowiedział Yincen – ale nie mogę panu powiedzieć nic innego, jak tylko prawdę.

–Pański człowiek był w takim stanie, jaki jest właściwy dla

ciała rozkładającego się od dziesięciu dni – i to w lecie. Pan natomiast utrzymuje, że widział go żywego w piątek wieczór około godziny piątej?

–Jak najbardziej -potwierdził Yincen. Zebrał papiery dotyczące ostatnich nabytków i metodycznie ułożył w równy plik. Potem pieczołowicie spiął je razem złotym spinaczem od Gucciego. – Jestem pewien, że widziało go również wielu innych ludzi. Wystarczy, że zada pan sobie trud przeprowadzenia wywiadów po obu stronach ulicy.

–Otóż zrobiłem to, sir. Nikt jakoś go sobie nie przypomina.

–Czy to nie przypadek zbiorowej amnezji, wywołanej chronicznym lękiem przed znalezieniem się za barierką dla świadków?

–To możliwe – przyznał detektyw. – Jednak jest bardziej prawdopodobne, że tego Edwarda Merriama wcale tu w piątek nie było. Już był martwy. Leżał i rozkładał się w swoim mieszkaniu – co było wiadome panu, a być może również pannie Clarke.

–Detektywie Green-powiedział Yincen, na tyle cierpliwie, na ile go było stać.

–Portier pana Merriama widział go, jak w niedzielę powracał do mieszkania razem z kobietą w średnim wieku. Jeżeli chodził w niedzielę, to jak mógł być martwy i rozkładać się w piątek?

Detektyw Green szarpnął za swój cienki wąsik w stylu Little Richarda.

–Przypuszczamy, że człowiek widziany ponoć przez portiera, wcale nie był panem Merriamem, ale jego sobowtórem. Ten portier nie widzi dobrze. Nosi grube okulary; siedząc w tym swoim pomieszczeniu, łatwo mógł się pomylić.

–Mam faktury, które w czwartek i piątek podpisywał pan Merriam – upierał się Yincen, zmuszając do spokoju. – Dobry Boże, człowieku, sprzedał dwie akwarele w czwartek rano. Mogę porozumieć się z kupcem, który to panu potwierdzi!

Detektyw Green sapnął zirytowany.

–Każda z tych faktur mogła zostać sfalszowana. Wystarczyło, że pan zmienił datę. A jeżeli udało się panu podstawić kogoś wyglądającego jak pan Merriam, to wystarczyło, by zmylić każdego klienta i doprowadzić do tego, że identyfikacja wypadnie pozytywnie, zwłaszcza że szczątkom, które mamy w kostnicy, zostało niewiele twarzy.

Yincent wstał i powiedział, podkreślając swe słowa ruchami wyprostowanego palca:

–Muszę panu coś powiedzieć, detektywie Green. Nie lekceważę pańskich kłopotów; proszę mi wierzyć, równie jak panu zależy mi na wyjaśnieniu tego, co w niedzielę spotkało Edwarda. Ale on był tu w piątek; wierzę, że żył jeszcze w niedzielę.

Protestuję więc stanowczo przeciw wysuwanym przez pana bezpodstawnym oskarżeniom, że to ja lub panna Clarke przyłożyliśmy rękę do zabójstwa Edwarda.

Detektyw Green rozłożył ręce.

–Zabójstwa? Czy ja mówiłem o zabójstwie?

–Nie musiał pan. Był pan wystarczająco wymowny.

–No dobrze, grajmy w otwarte karty. Bez względu na pańskie twierdzenia, że pan Merriam był w tym sklepie w piątek po południu...

–Galerii – skrzywił się Yincent. – Galerii, jeśli łaska. – ...tu w tej galerii, w piątek po południu – pozostaje nieodparty fakt, że stan jego ciała wskazywał na dziesięć dni rozkładu, i to w lecie, a mamy zimę, i według lekarza sądowego nie jest możliwe, aby żył w niedzielę. Oto, w czym rzecz.

Yincent wziął długi, spokojny oddech.

–Bardzo proszę, rozumiem pański tok rozumowania. Musiało tu nastąpić coś, co zaprzecza prawom medycyny.

–Albo coś, o czym ani pan, ani panna Clarke nie powiedzieliście nam tak dokładnie, jak należy.

–Tak – zgodził się Yincent. – Musi pan rozważyć, jakim motywem mogłoby się kierować każde z nas, pragnąc zabić pana Merriama. A nawet jeżeli go nie zabiliśmy, jakim motywem mogłoby się kierować każde z nas, nie zgłaszając jego śmierci w czasie, który waszym lekarzom sądowym wydaje się prawdopodobny.

–Zawsze pozostaje sławny trójkąt miłosny – zasugerował detektyw Green.

Yincent potrząsnął głową, tłumiąc irytację.

–Panna Clarke i ja jesteśmy przyjaciółmi, nie kochankami. Pan Merriam z pewnością nie był związany z żadnym z nas. Więc to wyklucza wszelkie prawdopodobieństwo trójkąta miłosnego, normalnego czy homoseksualnego.

–To pan tak twierdzi.



–Cóż, tak. Ja tak twierdzę.

Detektyw Green wojowniczo pokiwał głową na lewo i prawo, wyrażając w ten sposób milczący komentarz na temat galerii, na temat Yinenta i na temat wszystkiego, co tu widział. Obrazy, tfu, stare obrazy warte miliony dolarów, kiedy są rodziny na skraju nędzy, i to przed Bożym Narodzeniem, a biedni, bezdomni starcy śpią w kartonowych pudłach przed wejściem do Macy'ego, na dworze jest zimno i ludzie zabijają się nawzajem.

–Wróć – powiedział Yinentowi, rzucając mu wyzywające spojrzenie.

–Nie wątpię, że pan wróci.

Po wyjściu detektywa Yinent wszedł do biura, wyjął z biurka butelkę whisky Jameson, nalał sobie małą szklaneczkę i wypił jednym haustem. Mocno zakręcił butelkę, zamknął biurko i wrócił do swojej inwentaryzacji. Dalej prześladowały go te jasnoszare, wijące się robaki. Tyle o nich myślał, że zaczynał naprawdę czuć, jak wwiercają mu się w mózg.

Detektyw Green miał całkowitą rację. To było niemożliwe, żeby robaki zżarły taką ilość ciała Edwarda w tak krótkim czasie. Najdłużej – nawet jeśli Edward umarł zaraz potem, jak rozstał się z Yin-centem – mógł leżeć w łóżku przez dwa dni i dwie noce. W normalnych warunkach jego ciało ledwo mogłoby zacząć śmierdzieć, a co dopiero mówić o pojawieniu się robaków.

Yinent wrócił do biurka i jeszcze raz sprawdził rachunki. Podczas weekendu mogło nastąpić włamanie do galerii, ale nic nie zniknęło, nawet drobne z kasy.

Był przekonany, że tajemnicza kobieta, widziana z Edwardem przy drzwiach jego mieszkania, wzięła klucze, żeby się tu dostać. Ona jest odpowiedzialna za ich zniknięcie, nikt inny. Może nawet jest odpowiedzialna za śmierć Edwarda. Ale detektyw Green nie dał się na to nabrać. Żaden z obrazów Yinenta nie został skradziony, a pani Turzynski nie tylko zapomniała wyglądu tamtej kobiety, ale nawet nie widziała wcale, żeby wychodziła z mieszkania Edwarda. Klucze od galerii zniknęły i Yinent był zmuszony dorobić nowy zestaw, ale czego to dowodziło? Niczego poza jego niedbalstwem.

Yinent po raz trzeci przeglądał listę inwentaryzacyjną, kiedy drzwi galerii otworzyły się i wszedł dobrze zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna. Był ubrany w pomięty trzyczęściowy garnitur. Miał

i i ziemistą twarz i wyglądał, jakby dziś rano nie mył się ani nie golił. Jednakże na rękach miał duże złote pierścienie, nie mógł więc być biedakiem.

–Czym mogę panu służyć? – spytał Yincen. – A może ma pan ochotę po prostu rozejrzeć się?

Mężczyzna od razu przeszedł do rzeczy.

–Szukam faceta o nazwisku Edward Merriam. Pracuje tu? Yincen popatrzył na niego uważnie i z namysłem bębnił palcami po biurku.

–Pracował. Mogę znać pańskie nazwisko?

–Mówi pan, że odszedł?

–Można tak powiedzieć.

–Gdzie poszedł? Widział go pan? Czy była z nim dziewczyna? Dwadzieścia trzy lata, szczupła, rudawe włosy? Widział ich pan?

–Chciałbym wiedzieć, kim pan jest, jeśli łaska – powiedział Yincen.

–Chcę tylko usłyszeć, gdzie poszli. Jeżeli odeszli, to gdzie? To wszystko.

–Jest pan jego przyjacielem? – spytał Yincen, obchodząc biurko. – Przyjacielem Edwarda?

–Znam go, i co z tego? Nie za dobrze. Nie przepadamy za sobą, rozumie pan.

–On nie żyje – powiedział Yincen. Ciemnowłosy mężczyzna zbladł jeszcze bardziej.

–Nie żyje? On nie... nie Laurę... nie skrzywdził Laury, prawda?

–Laura? – zdziwił się Yincen.

–Laura jest moją żoną. Laura Montblat. Jestem Danny Mont-blac. Laura była z Edwardem Merriamem, zanim ją poznałem, zanim się pobraliśmy. Kiedy wczoraj po południu wróciłem do domu, nie zastałem Laury i jakoś przyszło mi do głowy, że mogła wrócić do Edwarda. Zawsze mówiła, jaki z niego porządny facet, takie tam historie. Po prostu przyszło mi to do głowy.

–Przykro mi. Edward został znaleziony wczoraj rano, w swoim mieszkaniu przy Central Park West. W momencie, gdy go znaleziono, nikogo przy nim nie było.

Danny otarł ręką usta.

–To straszne! Umarł z przyczyn naturalnych, zabił go ktoś czy jak? Jezu...

Yincent kiwnął głową w kierunku drzwi.

–To był policjant, właśnie wychodził. Jeszcze nie wiedzą, co mogło mu się przytrafić. Wydaje się, że krótko przed śmiercią była z nim kobieta – ale nie, niech pan poczeka, zanim zacznie się pan denerwować – tamta kobieta była w średnim wieku. Miała na sobie czarny płaszcz i kapelusz z piórem.

–No, to nie była Laura – odetchnął Danny. – Przynajmniej opis nie wskazuje na Laurę, chyba żeby włożyła przebranie. Problem w tym, że dalej nie wiem, gdzie ona może się podziewać.

–Zgłosił pan zaginięcie na policję?

–Och, jasne. Popatrzeli na mnie jak na idiotę, że w ogóle zawracam im głowę.

Czy mam pojęcie, ilu ludzi ginie jednego dnia? W samym Nowym Jorku? Tysiące, powiedzieli. Nie setki. Tysiące. Czy może pan to sobie wyobrazić? I jedną wśród tych tysięcy jest Laura. Ale oni się tym nie przejmują. Nie mogą się przejmować.

Nie można nawet od nich oczekiwać, żeby się przejmowali.

Yincent popatrzył beznamiętnie na swój spis. Potem zapytał:

–Jak sądzę, dzwonił pan do jej rodziców?

–Oczywiście. Od tego zacząłem.

–I?

–Byli tak samo zdenerwowani jak ja. Nie mają pojęcia, co się mogło stać. – Danny Montblat bezradnie przeciągnął ręką po włosach. – Po prostu nie wyobrażam sobie, gdzie mogła pójść. Głupia sprawa, miałem być wcześniej w domu; przygotowała moje ulubione danie. I wtedy dostałem telefon od Farrar i Bibbie – to nasi bardzo ważni klienci – i musiałem do nich pojechać przez całe miasto.

Kiedy się tam znalazłem, nikt u Farrara i Bibbie nie rozumiał, o czym mówię.

Pojechałem do domu i wtedy dopiero okazało się, że jej nie ma. Obiad był przygotowany, wszystko. Mikser był pełen posiekanej cukini.

Danny Montblat musiał odetchnąć parę razy, żeby się uspokoić. Podniósł bezradnie ręce, a potem je opuścił.

–Nie zostawiła wiadomości, nic. Wyglądało, jakby nie było nic do wyjaśniania.

Chodzi mi o to, że poradziłbym sobie z tym. Wiedziałbym, co mam robić. Ale kiedy kobieta po prostu znika, jak, do diabła, zabrać się do szukania jej?

–Czy mówił pan policji o tym telefonie od – jak oni się nazywają?

–Farrar i Bibbie.

–Zgadza się, Farrar i Bibbie. Mówił pan o tym?

–Wspomniałem, ale nie wyglądało, żeby zwrócili na to szczególną uwagę. Zdaje pan sobie sprawę, że to mogło być celowe odwrócenie uwagi? Sposób na wyciągnięcie pana z biura, kiedy... no, kiedy pańska żona zniknęła.

Danny Montblat wbił w niego wzrok.

–Co pan mówi? Ktoś celowo wyciągnął mnie na drugi koniec miasta? Twierdzi pan, że Laura została porwana czy coś w tym rodzaju?

–Nie wiem, panie Montblat, to tylko przypuszczenie. Nie chcę pana niepokoić.

Rzecz prawdopodobnie wyjaśni się bardzo prosto i jutro oboje będziecie państwo śmiali się z dzisiejszych zmartwień. Może poszła pomóc komuś choremu, kogo spotkał nagły wypadek.

–Nie wzięła wozu – powiedział Danny Montblat, powoli kiwając głową. – A poza tym nie zapomniałaby zostawić mi wiadomości. Ona taka jest. Wie, ile dla mnie znaczy. Zawsze zamyka dokładnie drzwi, łańcuchy, zasuwę, wszystko. Nigdy nie wpuściłaby nikogo podejrzanego do środka.

–To tylko potwierdza moje przypuszczenia. Jeżeli nie miała zwyczaju otwierania drzwi podejrzanym gościom, prawdopodobnie wyszła z własnej woli. Może się nawet okazać, że już jest w domu. Chce pan zadzwonić?

–Dzwoniłem przez cały dzień. Ale... oczywiście, dzięki. Podniósł słuchawkę i wybrał domowy numer. Czekał, ale nie było odpowiedzi. W końcu odłożył słuchawkę.

–Ma pan ochotę się czegoś napić? – spytał Yincen. Potrząsnął odmownie głową.

–Wolę mieć trzeźwą głowę. Zresztą, skoczę do domu i będę czekał; może wróci.

Tak chyba będzie najlepiej. Yincen położył mu rękę na ramieniu.

–Gdyby coś się działo, niech pan dzwoni.

–Przecież nie musi się pan tym przejmować. Ale w każdym razie, dzięki.

Danny Montblat wyszedł; Yincen siadł znowu za swoim biurkiem i przetarł oczy ze znużeniem. Miał niepokojące uczucie, że w miarę jak zimowy zmierzch spowijał go coraz szczelniej, dziwne i nieuchwytnie moce poczynają budzić się i pełzać za jego plecami.

Co zdumiewało go najbardziej, to poczucie, że jest osobiście odpowiedzialny za śmierć Edwarda, a nawet, pośrednio, za zniknięcie Laury Montblat. Może nie dosłownie odpowiedzialny, ale na pewno uwikłany. Wiedział, że to wrażenie nie ma żadnych logicznych podstaw. Nie było żadnego uchwytneho, sensownego związku między jego osobą a katatonią Bena Millera czy ohydny, błyskawicznym rozkładem ciała Edwarda. Ale porwał go huragan zdarzeń tak mrocznych i zapierających dech, że stanął bezbronny wobec tego uczucia.

Jakaś niewidzialna, ale uparta dłoń szarpała go za rękaw; jakiś niesłyszalny, ale namolny głos szeptał mu do ucha. Tegoroczna zima, która ogarnęła świat, była inna od dotychczasowych i Yincenc czuł lęk, jakiego nigdy do tej pory nie zaznał. „Oni wrócili” – upierał się Ben Miller. – „Oni wrócili”.

Kiedy rozcwierkał się telefon, Yincenc poderwał się mimowolnie. Potem podniósł słuchawkę i odezwał się z umiarkowanym opanowaniem:

–Galeria Pearsona. Czym mogę służyć?

To była Margot, od niedawna jego eks-małżonka. Była skrępowana i pełna rezerwy, jakby właśnie miała wyjść załatwić coś znacznie ważniejszego, ale powstrzymało ją poczucie obowiązku, nakazujące poinformować Yincenta, co się dzieje.

–Co do świąt – powiedziała. – Zastanawiałam się, czy nie będziesz miał nic przeciw temu, żebym przywiozła Thomasa raczej po południu niż rano...

Ton jej głosu wskazywał, że lepiej by było, jeśli nie miałby nic przeciwko.

–Nie sądzę, żeby mi to miało w czymś przeszkodzić – odpowiedział Yincenc. – Czy coś się stało?

–Chodzi o to, że we środę Bruce przyjeżdża z Baltimore i chcę, żeby się lepiej poznali.

–Bruce, hmm?

–Nie musisz tego mówić w ten sposób -,3ruce, hmm?" – zaprotestowała Margot. Jej rezerwa zaczęła powoli tajać. – Bruce jest dobrą, pełną oddania i inteligencji istotą.

–Czy choć raz powiedziałem coś innego?

–Bruce przynajmniej nie oczekuje od całego świata nadludzkiej doskonałości.

Właśnie schludność, zorganizowanie i perfekcjonizm Yinenta zrujnowały kompletnie ich małżeństwo. O ile Margot była roztrzepana i nieporządna, to Yinent zawsze chciał, aby w jego życiu panował porządek i ład. Może nieświadomie bał się, że jeśli nie utrzyma wewnętrznej dyscypliny, skończy tak żałośnie, jak jego ojciec: człowiek mu drogi, ale stale wikłany w najbardziej ponure prawne, finansowe i osobiste kłopoty. A może po prostu chodziło o to, że doceniwszy z miejsca urok i dowcip Margot, błędnie zobaczył w niej potencjalną kochankę zamiast potencjalnego przyjaciela i zorientował się w swojej pomyłce dopiero po urodzeniu Thomasa, kiedy było już grubo za późno.

–Dobrze, nie kłóćmy się. Przywieź Thomasa po lunchu. Tylko proszę, niezbyt późno. Zapraszamy paru sąsiadów – na drinka, a potem mamy śpiewać kolędy.

–Nie powiedziałeś mi jeszcze, co chciałbyś dostać na święta. Yinent uśmiechnął się.

–Nie wiem. O cokolwiek bym poprosił, zawsze kupujesz mi coś innego. Wszystko, byle nie jeszcze jedną meksykańską popielniczkę.

–Jaką meksykańską popielniczkę?

–Takie czerwono-niebiesko-żółte coś z rysunkami kurczacz-ków dookoła.

–Yinent, to nie jest meksykańska popielniczka. To portugalska brytfanka do smażenia kurczaków.

–Och, przepraszam najmocniej. Ale jako popielniczka też jest znakomita.

–Do zobaczenia w niedzielę – zakończyła Margot, bez nadmiernej serdeczności.

Yinent odłożył słuchawkę. Dochodziła dwunasta; postanowił zamknąć galerię na czas lunchu i przekonać się, czy Meggsy nie miałyby ochoty towarzyszyć mu w Oak Bar na Plaża. Robili tam cudowne martini. Wstrząs po śmierci Edwarda zaczynał dawać o sobie znać: konsekwencją chwilowego porażenia systemu nerwowego była potrzeba zrobienia czegoś spontanicznego i irracjonalnego, co miało udowodnić, że jego psychika buntuje się przeciw nagłemu zniknięciu Edwarda.

Już miał włożyć płaszcz, kiedy weszło tęgie greckie małżeństwo w futrach z długim, kręconym włosiem. Chcieli zobaczyć wszystkie

Ł prace na tematy greckie, najlepiej z dużą liczbą marmurowych filarów i nimfami w przejrzystych, nic nie zasłaniających okryciach. Właśnie budowali willę na wyspie Nisiros i potrzebowali jakiegoś obrazu „sto czterdzieści dwa na sto osiemdziesiąt siedem centymetrów” do dolnej małej łazienki.

Trwało to ponad godzinę, zanim Yincen był w stanie usatysfakcjonować ich płótnem Ogrody na Cykladach. Namalował go Leonard Pym, ekscentryczny amerykański malarz, przez większą część życia nie opuszczający Delaware. Zrobiło się zbyt późno na lunch z Meggsy; będzie sam musiał wyjść i wypić drinka. Włączył alarm i był w połowie drogi do drzwi, kiedy zadzwonił telefon.

–Niech to szlag trafi – mruknął.

To musiała być Margot z jakąś ostrą uwagą na temat używania portugalskiej brytfanki jako popielniczki. Margot, jak większość ludzi, nie stać było na szybką, dowcipną replikę, ale w przeciwieństwie do większości, kiedy już wymyśliła coś miążdżącego, potrafiła wytropić swoją ofiarę później. Nierzadko po trzech miesiącach.

–Margot... – zaczął. Ale to nie była Margot.

–Pan Pearson? Przepraszam, że pana znów niepokoję. Tu Danny Montblat. Powiedział pan, że mogę dzwonić, gdyby się coś działo.

–Oczywiście. Jak mogę panu pomóc?

–Czy byłby pan tak dobry i przyjechał do Yillage? Yincen zmarszczył brwi, patrząc na zegarek.

–Otóż... czas mnie trochę goni.

–Wiem, że się narzucam, prosząc pana o to. Ale poza panem nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby to zrozumieć.

Yincen pomyślał, że i tak nie uśmiecha mu się siedzenie tu przez całe popołudnie i na pewno nie bawi go wizja samotnego zapijania się martini. Cóż więc traci? Poza tym zaofiarował się z pomocą i byłoby chamstwem nie honorować tego w godzinę później.

–Podaj mi adres – powiedział.

Na dworze było jasno i hałaśliwie, panowało dokuczliwe zimno. Yincenowi udało się złapać taksówkę na rogu Piątej Alei. Jechała na wschód. Mimo dużego ruchu po dziesięciu minutach znalazł się na Dziesiątej Ulicy. Kierowca Chińczyk trzymał na desce rozdzielczej kij baseballowy z autografami całego zespołu Korei Południowej.

Yincent przeszedł piechotą ostatnie pół przecznicy dzielące go od mieszkania Montblata. Kiedy zadzwonił, Danny otworzył prawie natychmiast, bez pytania. Był szary na twarzy, miał rozpięty kołnierzyk i wyglądał, jakby miał mdłości.

–Wejdz – powiedział. – Dzięki za przyjście.. – O co chodzi? – spytał Yincent, wchodząc do mieszkania. Jego drogie buty zastukały głośno na nagiej posadzce.

–Wejdz i popatrz. Nie zauważyłem tego poprzednio; szukałem tylko Laury. Ale kiedy wróciłem, dotarło do mnie, że kota też nie ma i zacząłem się za nim rozglądać. Tak go znalazłem.

Poprowadził Yincenta korytarzem. Jedną jego stronę zajmował rząd białych drzwi do szaf ściennych. Otworzył ostatnie i powiedział krótko:

–Patrz.

Górne półki szafy były wypchane prześcieradłami, kocami i ręcznikami. Na dole stała zbieranina dużych szklanych butli i parę skrzynek z aparaturą do destylacji wina. Yincent początkowo nie wiedział, na co ma patrzeć, ale Danny powtórzył: – Patrz – i wskazał na jedną z butli w głębi szafy.

Yincent schylił się, wytężając oczy w półmroku. To, co ujrzał, było tak niezwykle, że zajęło mu parę sekund, zanim uświadomił sobie, co to jest. Kiedy zaczęło to do niego docierać, zrobił najpierw jeden, a potem drugi krok do tyłu.

Popatrzył na Danny'ego Montblata, czując dreszcze i strach, nie mając pojęcia, co powiedzieć.

–Nie dotykałem tego – powiedział Danny Montblat. – Nie miałem odwagi.

–Ale jak to mogło... to twój kot?

–To mój kot. Nie przyglądałem się zbyt dokładnie, ale tyle mogę powiedzieć.

Yincent zawahał się na moment, a potem sięgnął do szafy i odsunął na bok trzy zasłaniające widok gąsiory na wino. Ostrożnie wyciągnął butlę stojącą w głębi.

Zbierało mu się na wymioty, ale wstrzymał oddech, wyciągnął chusteczkę i przycisnął ją do ust; po chwili uczucie mdłości ustąpiło.

W jakiś sposób kotu Montblatów udało się wcisnąć do pustej butli, mimo że średnica szyjki nie przekraczała trzech cali. Znalazłszy się w środku, zagryzł i rozdrapał się na kawałki. Dno butli było na cal pokryte ciemnopurpurową krwią; ściany były zasmarowane



smugami posoki, skłębionym futrem i pojedynczymi strzępami kocich ścięgien.

–Sam musiał to sobie zrobić – szepnął łamiącym się głosem Danny.

–Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, nie uwierzyłbym -powiedział

Yincent. Na litość boską, ile ma szyjka od tej butli? Jak wepchnął tam głowę? I dlaczego?

Koty nie są głupie. Mogą utknąć na drzewie, ale nie dają się zapędzić tam, skąd nie miałyby drogi ucieczki. A popatrz na to.

Danny Montblat obrócił się plecami, z rękami wciśniętymi w kieszenie.

–Chyba zwariował i tyle.

–Czy widziałeś go wczoraj rano? Był zdrowy?

–Jasne. Jak ryba.

–To dlaczego zrobił coś tak potwornego?

–To mi coś przypomina – powiedział Danny Montblat.

–Cieszę się, że mnie to nic nie przypomina – powiedział mu Yincent, kręcąc głową. – Nigdy nie widziałem, żeby zwierzę samo się rozszarpało. Nie wiem, co powiedzieć.

–Wiesz, co mnie to przypomina? – powtórzył Danny Montblat. – Przypomina mi fotografię z magazynu „Life”. Pokazywała więźnia, próbującego uciec przed Niemcami, którzy chcieli zakopać go żywcem. Ten facet jakimś sposobem wpakował głowę i barki w wąski prześwit pod ścianą drewnianego baraku. Zabili go i tak, ale powinieneś zobaczyć ten wąski prześwit, w który udało mu się wpakować.

Yincent popatrzył na niego.

–I co z tego. To znaczy, co chcesz przez to powiedzieć?

–Nie wiem. Myślę tylko, że jedyne, co mogło wpędzić kota do tej butli, to chęć przeżycia.

–Chodzi ci o to, że uciekał przed czymś? Chował się tam, gdzie nie można go było dosięgnąć?

Danny Montblat skinął głową.

Yincent obrócił się i wrócił do salonu. Jego żołądek nadal nie mógł się uspokoić. Przez długi czas stał przy oknie, wyglądając na Dziesiątą Ulicę, patrząc na posmołowane dachy, zbiorniki z wodą i pordzewiałe ujścia szybów klimatyzacyjnych, potem odezwał się:

–Jeżeli kot tak rozpaczliwie próbował się schować, to ten, przed kim się chował, musiał tu być.

–Dlatego dzwoniłem do ciebie – powiedział Danny Montblat, bliski płaczu.

–Bardzo chciałbym ci pomóc. Bardzo chciałbym wymyślić coś sensownego. Może lepiej wezwijmy policję. Przynajmniej przeprowadzą właściwe dochodzenie. Myślę, że kiedy zobaczą tego kota, to chyba nie potraktują zniknięcia Laury jako jeszcze jednego zwykłego przypadku.

Danny Montblat stał w korytarzu obok znajdujących się w butelce szczątków kota i pytał żałośnie Yincenta:

–Myślisz, że ona nie żyje? Myślisz, że ją ktoś zabił.

–Nie wolno ci tracić nadziei, Danny. Ze względu na Laurę i na siebie samego.

–Nadzieja? – powtórzył Danny. – Nadzieja? Mówisz o mojej żonie. O moim życiu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Harwinton, 18 grudnia Kiedy Jack obudził się, padał śnieg. Sypialnia była wypełniona nienaturalną, liliową poświatą, z jaką wczesnym rankiem światło odbija się od białych płaszczyzn; słyszał, jak płatki śniegu delikatnie muskają szybę. Leżał chwilę bez ruchu wiedząc, że powinien wstać, ale pozwolił sobie na dodatkowe pięć minut spokoju. Za tydzień święta. Tego roku postarał się bardzo i miesiąc wcześniej kupił Nancy prezenty: butelkę perfum Cartiera, francuską książkę kucharską i trzy pary rajstop, czarnych i szalenie sexy. Nancy jeszcze spała. Jak dziecko zasłaniała ręką twarz. Była 7.21. Jack przeciągnął się i uznał, że czas wstawać.

Był w kuchni na dole i stopy ziębły mu w zetknięciu z podłogą wykładaną niebieskimi płytkami, kiedy zadzwonił telefon. Jedną ręką nalał sobie świeżo zaparzoną kawę, a drugą podniósł słuchawkę.

–Smith.

–To pan, szeryfie? Tu Norman Goldberg. Przepraszam, że tak wcześnie zawracam głowę, ale udało się nam wpaść na ślad w sprawie morderstwa w Nepaug.

–Jaki ślad? Kiedy?

–Wcześnie rano, około drugiej, Dunkley zabrał dwudzie131 stodziewięcioletniego autostopowicza, rasy białej, na Goshen Road, niedaleko Dog Pond. Tamten powiedział, że ma szczęście, iż żyje. Wziął go jakiś gość, a potem próbował namówić, żeby został u niego na noc. Kiedy odmówił, gość próbował zrobić mu zastrzyk. Autostopowicz skrzył kierownicę, wóz stanął i po przepychance udało mu się wyrwać i uciec. Zgodnie z tym, co mówi, gość bez przerwy gadał o jego skórze i o tym, jaka jest cudowna. Takie tam rzeczy.

–Gdzie jest teraz ten autostopowicz?

–Dalej tutaj, sir. Śpi, właśnie sprawdziłem.

–Nie wypuszczaj go. Zaraz u was będę.

–Tak jest, sir.

Jack szybko dokończył kawę, ubrał się, ucałował Nancy w policzek, a potem zabrał się do przebijania drogi w śniegu. Przeklinał swoje wczorajsze lenistwo, przez które nie wstawił samochodu do garażu. Volkswagen był prawie kompletnie zasypany. Jack stracił dziesięć minut, oczyszczając wszystkie szyby. Kiedy w końcu samochód został jako tako odśnieżony, silnik zajęczał dobre parę razy, nim w końcu

ożył i zawarczał.

Droga do Torrington była śliska i nieprzyjemna. Parę razy śnieg i lód blokowały wycieraczki i Jack musiał oczyszczać je gołymi rękami. Dwa razy samochód stanął mu w poprzek drogi, a raz stuknął w furtkę w płocie. Jack głośno pytał Boga, co on, do cholery, robi w tej oślepiającej białej głuszy. Każdy facet z odrobiną oleju w głowie siedział teraz w chałupie przy kominku i wydzwaniał do szefa z usprawiedliwieniem, że śnieg odciął go od świata.

W końcu dotarł do Torrington. W pobliżu nie było widać innych pojazdów poza pługiem śnieżnym i paroma wozami z napędem na dwie osie oraz łańcuchami na kołach. Jack ustawił volkswagena obok wielkiej, stromej zasy i wściekle zacierając ręce, podreptał przez parking. Śnieg skrzypiał mu pod nogami. Niebo miało kolor skorodowanego cynku, a miasto było tak ciche, że gotów był uwierzyć, iż całe trzydzieści cztery tysiące jego mieszkańców umarło podczas wczorajszej nocy.

Nowoczesne, oszklone od frontu biuro szeryfa było przegrzane i jasne. Wokół słyhać było szybki stukot maszyn do pisania i ostre dzwonki telefonów. Jack skierował się wprost do swego pokoju. Rzucił mokre rękawice na tackę z korespondencją. Norman Gold-berg pojawił się prawie natychmiast – tłusty, łagodny Żyd o wydatnym nosie. Był zastępcą szeryfa i wyraźną dumą napawała go własna bezstronność, z jaką sprawował policyjny nadzór nad enklawą protestantów pochodzenia angielskiego.

–Ten facet czeka na ciebie na dole – powiedział Norman.

–Za kratkami?

–Zatrzymaliśmy go pod zarzutem włóczęgostwa. Twierdzi, że gość, który go zabrał, musiał mu ukraść portfel, ale ma parę wcześniejszych kar za włóczęgostwo, autostop i drobną kradzież.

–Chcę go widzieć od razu. Powiedz Jenny, żeby przyniosła na dół kawę, dobrze? Jedną dla niego i jedną dla mnie. I parę pączków. Ta jazda z Harwinton to było piekło na lodzie.

–Powinieneś kazać Bradleyowi, żeby przyjechał po ciebie cherokee.

–Bradley jest niebezpieczny, nawet kiedy chodzi chodnikiem. Chyba nie mówisz serio, że miałby mnie wozić?

Autostopowicz leżał na pryczy w ostatniej z trzech cel. Miał zamknięte oczy, ale Jack wiedział, że nie śpi. Był za bardzo spięty. Szczupły i młody, z ciemnymi zmierzwionymi włosami, nie domyty i nie ogolony, miał typowy, poczciwy wygląd amerykańskiego włóczęgi, zawsze taki sam od czasów pionierów, przez lata wielkiego kryzysu, aż do pokolenia beatników. Był ubrany w zieloną flanelową koszulę w kratę i wytarte levisy.

Norman otworzył celę i Jack wszedł do środka.

–Kawa i pączki będą za chwilę – powiedział nie czekając, aż autostopowicz otworzy oczy.

Chłopak przez moment nie ruszał się, ale potem popatrzył na Jacka, spuścił nogi i usiadł.

–Wypuście mnie stąd? – spytał z wyraźnym południowym akcentem. Nie musiał

**pytać Jacka, kim jest; odznaka szeryfa Okręgu Litchfield mówiła sama za siebie.**

**–To bardziej niż prawdopodobne. Zależy to tylko od twojej gotowości do współpracy.**

**–Niech pan pyta-powiedział, wzruszając ramionami. – Nie jestem przestępcą. Tylko chciałem załapać się na stop, to wszystko.**

**–W Connecticut, podobnie jak w wielu innych stanach, jeżdżenie autostopem jest przestępstwem wobec prawa.**

**–Wie pan, jeździłem tak od przypadku do przypadku. Po prostu, by zaoszczędzić forszę.**

Jack popatrzył na niego przeciągle. Chłopak wytrzymał przez moment to spojrzenie, a potem opuścił wzrok i skrzyżował ramiona.

–Podaj mi swoje nazwisko – powiedział Jack.

–Elmer John Tweed.

–Skąd jesteś, Elmer?

–Pochodzę z Moultrie w Georgii.

–Co robisz tu, w Connecticut?

–Byłem u przyjaciół, to wszystko. Małżeństwo, z którym jeździłem autostopem jakieś pięć czy sześć lat temu. Może to pan u nich sprawdzić. Nathan i Carla Prescott. Mieszkają na farmie, lepią garnki i takie tam.

–Więc po co zatrzymywałeś samochody w środku nocy na drodze w Litchfield.

–Nie wiem – skrzywił się Elmer. – Byłem dwie doby w Canaan i chyba zacząłem się tam dusić. Nathan i Carla byli tak kurewsko opiekuńczy. Cały czas całowali mnie i głaskali po głowie, i dokładali drew do ognia, i piekli pełnoziarnisty chleb.

W końcu musiałem się stamtąd wydostać, inaczej skonałbym z nadmiaru zdrowia. No i popijałem też. Domową gruszkówkę Nathana. Zdarzyło się nam coś w rodzaju poważnej różnicy zdań. To mocna sprawa, ta wódeczka z gruszek. Po niej można mieć różne zdania we wszystkim.

Jack sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął paczkę gumy do żucia. Zaproponował Elmerowi, ale chłopak odmówił.

–Poczekam na pączki, dzięki.

–Opowiedz mi, co się stało wczoraj w nocy. Od samego początku.

–Od momentu, jak się zabrałem? Jack skinął głową.

–Więc... przez dobry kawałek szedłem wzdłuż drogi. O tej porze nocy nie ma dużego ruchu, musiało być dwadzieścia po pierwszej, a nawet jak jakiś samochód przejeżdża, nikomu nie chce się zatrzymać, bo się boi, że możesz być przestępcą albo wariatem. Zaczynałem się łamać, jeśli mam być szczery, bo gruszkówka ze mnie wywietrzała, zamarzałem z zimna i zaczął padać śnieg. Zacząłem już wyobrażać sobie, jak ktoś znajdzie mnie rano leżącego z boku drogi, trupa zamarzniętego na kość, a widziałem już parę takich przypadków.

Jack nie odezwał się, czekał, co tamten powie dalej.

Elmer wyglądał teraz na zdenerwowanego, a jego opowieść zaczęła się rwać, jakby obawiał się, że opis jakiegoś szczegółu zbyt boleśnie przywoła grozę minionej nocy.

–Ni z tego, ni z owego podjeżdża do mnie duży czarny cadillac. Fleetwood, może piętnastoletni. Nawet nie słyszałem, jak się zbliżał, śnieg musiał stłumić ten dźwięk. Nie wierzyłem, że mam taki fart. Uwierzyłby pan, na zmarzniętej drodze, w środku nocy? Nie widziałem twarzy kierowcy, ale sięgnął ponad siedzeniem obok i otworzył mi drzwi, a ja wrzuciłem plecak i wsiadłem. Spytał: „Dokąd jedziesz?”, a ja powiedziałem mu, że wszędzie, bylebym mógł się ogrzać i rano załatwić sobie jakieś śniadanie. I pojechaliśmy.

–Jak wyglądał ten mężczyzna?

–W średnim wieku. Ciężko coś powiedzieć.

–Dobrze ubrany?

–Jasne. A jak ma wyglądać facet prowadzący cadillaca? Nie wiem, chyba szary garnitur, biała koszula; porządnie, ale staroświecko. Ale pamiętam, jak pachniał – wodą lawendową.

–Wodą lawendową? Skąd ktoś taki jak ty może wiedzieć, co to jest woda lawendowa? Elmer opuścił oczy.

–Moja babka zawsze jej używała. To była prawdziwa dama ze starego Południa. Jej babka miała dwudziestu niewolników, tak przynajmniej mówiła. Mówiła, że woda lawendowa to jest coś, czego używają damy z lepszego towarzystwa.

–Więc pomyślałeś sobie, że ten mężczyzna, który cię zabrał i podwiózł, jest człowiekiem z lepszego towarzystwa?

–Tak się zachowywał i ubrany też był jak trzeba.

–O czym mówił?

–O tym i owym, nie za dużo na początku. Powiedział, że świeżo wrócił z Europy i cieszy się, że jest u siebie w Connecticut. A potem, po jakichś dziesięciu minutach, powiedział, że jedzie do siebie do Darien i czy nie chciałbym pojechać z nim do końca?

–Co ty na to?

–Powiedziałem, że Darien mi odpowiada. Lepiej do Darien niż nigdzie.

–Kiedy zaczaj ci się nie podobać?

Elmer zatarł ręce i od tej pory tarł je bez przerwy.

–Zaraz po tym. Powiedział, że jeśli mam z nim jechać aż do Darien, to może spędziłbym noc w jego rodzinnym domu. Muszę panu powiedzieć, że jest tyle pedziów, którzy zatrzymują się, żeby cię podwieźć, a potem kładą rękę na kolanie i zapraszają do domu albo do motelu, takiego czy innego, że człowiek robi się cholernie czujny, jak jakiś facet zaczyna nawijać o spędzaniu nocy, nawet jeżeli jest to niewinna sprawa. Więc ja mu na to, że nie, dzięki serdeczne, znajdę sobie jakiś inny lokal na spanie; nie chcę się narzucać ani nic. Ale on wtedy powiedział, że nalega i że dobrze się wyśpię, a rano czeka mnie niezłe śniadanie, ja zaś pomyślałem sobie: pewnie i sztos w dupę też, jak nie będę uważał.

–Mojemu zastępcy mówiłeś coś o skórze. Wspominał o tym.

–Zgadza się. To stało się w chwilę potem. Do tego momentu myślałem, że zapomniał o zaproszeniu mnie do domu; prowadził wóz i słuchał radia, chyba jakiejś klasycznej muzyki. A potem nagle powiada: „Naprawdę trudno znaleźć chłopaków w twoim wieku, którzy mieliby dobrą skórę, wiesz?” Tego mi było trzeba. Facet był homo. Ale potem odezwał się już zupełnie inaczej niż typowy homo: „Wiesz co? Gdyby zdjąć ci skórę z całego ciała i płasko rozłożyć, zajęłaby powierzchnię czterech i pół metra kwadratowego. Akurat na pokrycie fotela kierowcy rolls-royce'a”. A potem dotknął mojego przegubu i mówi: „Gdybyś wiedział, ile zalet ma ludzka skóra, nigdy nie zlekceważyłbyś własnej wartości”.

Czułem jego oddech, kiedy pochylił się ku mnie. Pachniał miętą lub czymś podobnym, jakby miał nieświeży oddech i chciał to ukryć.

Jack włożył następną gumę do ust.

–I wtedy powiedziałeś mu, że chcesz wysiąść?

–Nie od razu. Ale wtedy zaczął opowiadać, jaki jestem przystojny i tym podobne głupie kawałki, których nawet nie zapamiętałem. Ja na to: „Słuchaj, starczy.

Wysadź mnie”.

–Co się wtedy stało?

–Spróbowałem otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Pomyślałem sobie, że pada i nic takiego mi się nie stanie, jak wypadnę w zaspę. Powiedziałem mu, żeby otworzył drzwi. Powiedziałem: „Proszę otworzyć drzwi. Chcę wysiąść”. A on dalej prowadzi i nie odpowiada. Więc znowu go proszę. Powiedziałem: „Proszę mnie wypuścić”. Ale on mówi: „Nigdzie nie pójdziesz. Teraz siedź spokojnie, bądź cicho i zachowuj się”. Ja mówię: „Nie możesz mnie

nigdzie zawieźć bez mojej zgody. To porwanie". Ale on nic; odczekałem chwilę, aż wjechaliśmy na długi, prosty odcinek. Wtedy złapałem za kierownicę i skręciłem ją. Samochód wpadł w poślizg na śniegu i wylądowaliśmy na poboczu na skale, obróceniu o sto osiemdziesiąt stopni.

Jack przez cały czas obserwował twarz Elmera; po raz pierwszy widział świadka, który opowiadając, co mu się przytrafiło, znajdował się w stanie tak silnego podniecenia. Zacierał nieustannie dłonie, biegając oczami po pokoju, jakby znajdowały się w nim strzępy przerażającego wspomnienia. Nikt tak się nie zachowywał, nawet ofiary napadów, gwałtów czy koszmarnych wypadków na autostradach.

–Mów dalej – zachęcił go Jack, tym razem delikatniej.-Co się stało dalej?

–Nie mogę... nie mogę sobie przypomnieć... nie pamiętam dokładnie. Niezbyt dokładnie. To nie mogło trwać dłużej niż kilka sekund. Obraz rozjaśnia mi się, a potem znowu znika. Pamiętam tylko ciemność, szarpaninę i te odgłosy, które wydawał.

–Spróbuj – powiedział Jack beznamiętnie, unikając nacisku; w jego głosie była zachęta, z jaką okulista z małego miasteczka namawia pacjenta do odczytania najmniejszej literki na dole planszy.

Elmer zbierał się przez dłuższą chwilę. Jack czekał bez słowa, miarowo żując gumę. W końcu Elmer odezwał się dziwnie przytłumionym głosem:

–Złapał mnie za przegub. Był dużo silniejszy, niż wyglądał, silny jak człowiek, który oszalał, rozumie pan, jak ktoś, kto dostał ataku szału. Cały czas próbował coś wyjąć z kieszeni płaszcza i w końcu udało mu się wyciągnąć coś błyszczącego.

Zobaczyłem, jak to błyszczy, i pomyślałem: „Jezu, on rąbnie mnie nożem”, ale kiedy się szarpałem, zobaczyłem, jak odgryza z tego plastikową końcówkę, i przekonałem się, że to strzykawka. Uderzyłem go dwa razy prawą ręką płasko po twarzy, chociaż niezbyt mocno, bo w aucie było za ciasno. Ale jak uderzyłem go drugi raz, to strzykawka upadła na podłogę.

Elmer pocił się teraz, chociaż w celi wcale nie było gorąco.

–Mów dalej-powiedział Jack.

–Schylił się, zgiął – chyba po strzykawkę. Udało mi się wyrwać rękę i walnąć go. Chyba uderzył głową o kierownicę.



Sięgnąłem przez niego, odblokowałem zamki przy drzwiach i tak szybko wyskoczyłem z wozu, że się w głowie nie mieści. Uderzyłem się w ramię przy wychodzeniu; widzi pan, mam siniaka.

–Jest jeszcze coś, prawda? Jeszcze coś zobaczyłeś? Elmer przytaknął.

–Możesz mi powiedzieć – zachęcił go Jack.

–Stałem w śniegu. Drzwi od samochodu były otwarte. Podniósł głowę, odwrócił się i wlepił we mnie oczy. Nigdy u nikogo nie widziałem takich oczu – jakby pływał w nich roztopiony ołów. Rozdziawił gębę i ryknął na mnie. Jezus, ryczał jak dwunastu ludzi równocześnie, tak to brzmiało. Włosy stanęły mi dęba jak soople lodu. Coś leciało mu z ust. Najpierw pomyślałem, że to piana, wie pan, jak u wściekłych psów, ale to było białe i rozpryskiwało się wszędzie, jakby rzygał z wściekłości. I wtedy uciekłem. Biegłem i biegłem, bez ustanku, aż zobaczyłem samochód policyjny.

Jack wyjął z kieszeni koszuli mały notatnik ozdobiony rysunkami z Ulicy Sezamkowej i zapisał parę uwag obok obrazka ze śmiejącym się Ernim i Bertem.

Potem pociągnął nosem i zapytał:

–Piłeś, co? Jesteś pewien, że nic z tego ci się nie przywidziało? Może nie wszystko, ale część?

–Nie, sir – powiedział Elmer. Był teraz blady jak ściana. Wykręcał i zacierał ręce, jakby miał to robić do końca swoich dni. Nie, sir. To wszystko prawda.

–Ten mężczyzna powiedział, że chce zawieźć cię do siebie, do Darien?

–Tak, sir. Do Darien.

Jack dopisał jeszcze parę linijek i schował notes z powrotem.

–Odetchnij trochę, Elmer. Gdybyś czegoś potrzebował, zawołaj. Nie będziemy cię tu długo trzymać, ale na dworze jest kupa śniegu. Jeszcze przez parę godzin wolę cię mieć pod ręką. Ja przez ten czas porozglądam się trochę.

Właśnie weszła Jenny, wnosząc na tacce gorącą kawę i pączki. Jack sięgnął po filiżankę. Kiwnięciem głowy kazał Jenny postawić kawę dla Elmera na składanym stoliku.

–Dopilnuj, aby temu dżentelmanowi niczego nie zabrakło – powiedział z przesadną uprzejmością. Potem wziął swoją kawę i wrócił do biura.

–No i? – zapytał oczekujący go Norman.

–Trudno powiedzieć. Może histeria. Może narkotyki. Może tylko za dużo wódki pędzonej w domu i parę godzin w temperaturze poniżej zera.

–Ale sprawdzisz to?

–Jasne, że to sprawdzę. Przede wszystkim tego tajemniczego dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku, który utrzymywał, że mieszka w Darien. Jak daleko jest z Darien do New Haven? A także, jeśli już przy tym jesteśmy, również z Nepaug. Sposób, w jaki mówił o skórze... to wskazuje na kogoś o nieco spaczonym umyśle, delikatnie mówiąc.

Za oknem padał śnieg, miękki i delikatny. Jack, wiedząc, że nie będzie go w domu przez całą noc, zadzwonił do Nancy. Powiedział jej, aby nie czekała na niego wieczorem i żeby zadzwoniła do hydraulika Freemana. Niech naprawi kran z tyłu domu, zanim podwórko zamieni się w lodowisko.

Kiedy Norman zjadł połowę pączka Jacka, ten dzwonił do swojego starego kumpla z Wydziału Policji w Darien, George'a Kelly'ego. George był funkcjonariuszem wierzącym w tradycyjne metody działania, oparte na dokładnym rozpoznaniu środowiska: należy znać wszystkich od najbardziej wpływowych członków Klubu Rotariań-skiego do chłopaka myjącego szyby na stacji benzynowej na Ocean Street i wiedzieć o nich wszystko. Był postacią popularną w Darien, ponieważ odpowiadał tradycyjnemu obrazowi małomiasteczkowego policjanta z „Saturday Evening Post”.

Odnajdywał zagubione psy, sprowadzał na łono rodziny małych uciekinierów i był uosobieniem wszystkich jasnych i prostych wartości, jakie cechowały Amerykę w latach pięćdziesiątych. Honor, przyzwoitość i fair play. Tylko bardzo niewielu z jego kolegów wiedziało, że piętnaście lat temu został przesunięty z 17 Posterunku na Manhattanie po do końca nie wyjaśnionym wypadku użycia broni.

Równocześnie wszyscy oni wiedzieli, że kiedy było trzeba, potrafił być twardy i szybki, a język miał jak papier ścierny.

–George? – powiedział Jack. – Potrzebuję, by ktoś mi odrobinę pomógł.

–Na przykład łopatą przy odkopywaniu? – zaśmiał się George. – Słyszałem, że nie jest u was zbyt wesoło.

–George, szukam dobrze ubranego mężczyzny w średnim wieku, jeżdżącego fleetwoodem, model z jakiegoś siedemdziesiąt<sup>139</sup> tego, siedemdziesiątego pierwszego roku. Twierdzi, że mieszka w okolicach Darien, z tym że dopiero co wrócił z Europy. Masz jakiś pomysł?

–Chcesz go zatrzymać?

–Najpierw chcę go przesłuchać. Mamy tu autostopowicza; który utrzymuje, że wczorajszej nocy ten mężczyzna wziął go do wozu, a potem zaatakował; to może wiązać się z zabójstwem przy zbiorniku Nepaug.

–Tak – powiedział powoli George – znam waszego człowieka. Jeden z Grayów.

–Znasz go? – spytał Jack. Norman zamrugał i przestał żuć pączek Jacka.

–Jasne. Każdy w Darien słyszał o Grayach. Jakiś miesiąc temu wrócili z Francji, Belgii czy skądś tam. To jedna z najstarszych rodzin w Darien. Żyli tu już przed 1777 rokiem. Zawsze mieli dom przy drodze do New Canaan, nazywa się Wilderlings.

Z tym że nie mieszkali w nim przez jakieś pięćdziesiąt lat, może dłużej. Przez większość czasu domem opiekowali się zaufani ludzie, ale z tego, co widziałem, to nie przemęczali się nadmiernie. Jest bardzo zniszczony.

–Dlaczego zdecydowali się na ten nagły powrót?

–Kto wie? Fred Archer, prezes First Darien Bank, twierdził, że to miało jakiś związek ze zbyt wysokimi podatkami w Europie. Nie wypowiadał się jasno. Ale mówił, że są zamożni. Tylko po to, żeby utrzymać przez pół wieku taki dom jak Wilderlings, nawet bez używania go, trzeba mieć odziedziczoną sporą kupę szmalu.

Jack pociągnął łyk kawy. Pochodziła z maszyny z napojami stojącej w holu i plastikowy kubek rozlaczkał upojną woń rosółu z kurcząt.

–Więc kto to jest ten mój podejrzany? – spytał. – I kogo jeszcze mamy w tej rodzinie?

–Do twojego podejrzanego pasuje Maurice Gray. Jest chyba jedynym członkiem rodziny, którego widzi się w mieście, chociaż czasem towarzyszy mu jakaś dama.

Widywałem ich razem na poczcie, a raz jedli obiad w Steppan House, ale to chyba wszystko. Odludki, rzecz można. Młody Bili Farkas, dowożący towary spożywcze z Colonial Supermarket, od czasu powrotu Grayów bywa w Wilderlings dwa razy tygodniowo. Mówił, że widział młodego mężczyzny140 znę, mającego jakieś dwadzieścia lat, dwie kobiety spacerujące po ogrodzie i fotel inwalidzki, ale pusty.

–Powiedz mi coś więcej o Maurisie Grayu. Jeździ fleetwo-odem?

–Czarna limuzyna fleetwood, zgadza się.. – Masz jakieś wyobrażenie, z czego się utrzymują?

–Nie sądzę, żeby rodzina Grayów musiała rozglądać się za środkami utrzymania. Ludzie niepracujący, jak się to mówi.

–Wiesz, skąd wzięły się ich pieniądze?

–Sądzę, że mógłbym się tego dowiedzieć. Jack uśmiechnął się.

–Ja też sądzę, że mógłbyś.

–Co mam zrobić z Maurice'em Grayem? Mam ci go przyholować?

Jack pociągnął jeszcze łyk kawy, a potem otarł usta papierową chusteczką.

–Chyba jeszcze nie. Mam tylko jednego, niezbyt wiarygodnego świadka i to, co mówi o Grayu – jeżeli to o nim mówi – nie utrzymałoby się pięciu minut w sądzie przy dobrym adwokacie. Jeżeli możesz, miej oczy otwarte i dowiedz się, ile się da, o Grayach. Przyjadę jeszcze dzisiaj i zobaczę, czy nie uda mi się czegoś od nich wydobyć.

–Jak sobie życzysz, stary. Ale uważaj na tym śniegu, dobra?

–Wszystkiego dobrego, George. I dzięki.

Jack odłożył słuchawkę. Norman otrzepał lukier z koszuli i spytał:

–Znalazłeś go? Tak po prostu?

–Tak po prostu. Nazywa się Maurice Gray i mieszka tuż za Darien. Z tego, co mówi George, bogaty i ekscentryczny.

–Chyba nie pojedziesz dziś do Darien? – zapytał Norman.

–Chyba muszę. Przypuśćmy, że istnieje tu jakiś związek ze śmiercią przy zbiorniku Nepaug. Przypuśćmy, że Gray próbował zrobić coś podobnego w stosunku

do naszego przyjaciela z dołu. Jeżeli zrobił to dwukrotnie, mógł spróbować i trzeci raz. Jeżeli tak, łatwo się nie zatrzyma.

Norman zapisał nazwisko „Maurice Gray”. Potem powiedział:

–Mam sprawdzić to w FBI?

–Nie zaszkodzi. I w Interpolu. Maurice Gray mieszkał we Frań141 cji i w Belgii przez większą część życia, może przez całe życie. Według tego, co mówi George, Grayowie wyjechali z Connecticut jakies pięćdziesiąt lat temu i teraz po raz pierwszy pokazali się znowu.

–Są jakieś przyczyny, dla których mieliby wrócić teraz?

–George mówił coś o zbyt wysokich podatkach w Europie. Ale kto wie? Jedyna pewna metoda, by się dowiedzieć, to spytać ich samych.

Norman odwrócił się do okna.

–Sypie naprawdę porządnie, szeryfie.

–Wezmę cherokee. Gdybym utknął – zadzwonię.

–Dobrze – powiedział Norman.

Jack wiedział, że prawdziwym powodem niepokoju Normana jest świadomość, iż musi stanąć na czele biura podczas szalejącej zawiei, kiedy samochody i ciężarówki wpadają w poślizgi, kierowcy grzęzną w zaspach, rury pękają, a rodziny są uwięzione w domach. Zima w Connecticut był to koszmarny okres dla policjantów, tak samo jak środek lata był koszmarem dla policji w Phoenix, Dallas i centrum Los Angeles.

–Słuchaj. To nie potrwa długo. – Jack starał się go uspokoić.

–Muszę tylko pogadać z Grayem, przyjrzeć mu się dobrze i ustalić, co się, do diabła, dzieje.

–Jasne – powiedział Norman i włożył do ust drugą połowę pączka Jacka, mlaszcząc głośno, ale bez przyjemności.

Jack oparł się plecami o krzesło. Tak jak i Normanowi, nie uśmiechał mu się wyjazd do Darien, ale zabójstwo to zabójstwo, a zaczynał wierzyć, że niebawem mógłby zamknąć tę sprawę.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

New Milford, 18 grudnia Padał tak gęsty śnieg, że doktor Serling był zmuszony zostawić swój samochód na skrzyżowaniu z główną szosą, już oczyszczoną pługiem, i przejść piechotą pozostały kawałek drogi do domu Millerów. Była czwarta godzina, prawie zmierzch, i światło nadawało wszystkiemu dziwny poblask.

Dotarł do domu i zapukał do drzwi. Pani Miller otworzyła niemal natychmiast i zaaferowana wprowadziła go do środka.

### 142

–Martwiłam się, że pan nie przyjedzie – mówiła, otrzepując śnieg z klap jego płaszcza. – Bałam się, że śnieg będzie zbyt głęboki. Ale jest pan, Bogu dzięki.

Może kawy albo łyżkę zupy?

–Na razie dziękuję – powiedział lekarz i podał jej swój płaszcz. Był dużym, powolnym mężczyzną. Czerstwa twarz z garbatym nosem budziła zaufanie i czyniła go jednym z ulubionych lekarzy w Litchfield. Zatarł mocno ręce, żeby pobudzić krążenie, potem podniósł swoją teczkę i zapytał:

–Jak dzisiaj ma się pani syn? Jest jakaś poprawa?

–Ciągle coś gada, ciągle się rzuca. Od pańskiej wczorajszej wizyty nie powiedział sensownego słowa.

Pani Miller weszła pierwsza do pokoju Bena. Telewizor był włączony, leciało Love, American Style, ale Ben nie patrzył na ekran. Leżał na łóżku, blady i skurczony. Ciągle mrucał, drgał i odpychał od siebie wyimaginowanych napastników. Nawet kiedy doktor pochylił się nad nim i potrząsnął go za ramię, nie zwrócił na to uwagi.

–Nie odzywa się już do mnie – powiedziała pani Miller. – Mruczy, bełkoce i macha pięściami, ale to wszystko. Czuję, że go tracę.

Serling usiadł na skraju łóżka. Pochylił się i podniósł powiekę Bena. Potem sięgnął do kieszeni marynarki po małą latarkę i zaświecił wprost w oko Bena.

–Hm, źrenice nie zwężone. Ma apetyt?

–Nie tknął jedzenia, przynajmniej od czasu, jak pan tu był. Nie daje się namówić na nic poza odrobiną ciepłych płatków owsianych.

–Wymioty, krwotoki?

–Ma lekką biegunkę, ale nic poważnego.

Lekarz opuścił głowę Bena na poduszkę i wyprostował się.

–Pobiorę próbki krwi i moczu do sprawdzenia, ale na pierwszy rzut oka wygląda to na początki uremii. To oznacza, że nerki odmawiają oczyszczania organizmu z produktów przemiany materii. Niestety, to częsty przypadek u paraplegików.

Kłopot w tym, May, że silny atak może spowodować jeszcze poważniejszy paraliż, a nawet może go zabić.

Pani Miller patrzyła na swojego syna, jak cicho mamroce, leżąc na łóżku. Doktor, trzymając dłoń na ręce Bena, nie odzywał się. Znał już ten przelotny błysk w oczach pani Miller. Błysk, do którego zdążył się przyzwyczaić. Było to słabe, pełne poczucia winy światełko skrywanej nadziei. Może po wszystkich tych latach wybuchów wściekłości, moczenia się i bezustannej męki, Bóg w końcu zabierze go do siebie. O, proszę cię, dobry Boże, zabierz go.

**Serling otworzył dyplomatkę. Było to jego jedyne ustępstwo wobec nowoczesności.**

**Córka wręczyła mu ją na ostatnie urodziny, żeby wreszcie pozbył się starej, wiktoriańskiej torby. Wyjął strzykawkę, butelkę ze środkiem uspokajającym i pojemnik z alkoholem do przetarcia ramienia Bena.**

**–Nastawię kawę – powiedziała pani Miller. – Nie lubię widoku krwi.**

**–To tylko środek uspokajający – wyjaśnił. – Chcę, żeby usnął i odpoczął. Rano zobaczymy, w jakim będzie stanie.**

**Pani Miller otwierała właśnie drzwi sypialni, kiedy Ben nagle wrzasnął:**

**–Wrócili! Oni wrócili! Och Boże, nie pozwól, żeby mnie dostali! Och Boże, nie pozwól, żeby mnie dostali!**

**Gwałtownie podskoczył i rzucił się pod kocami. Dyplomatka przechyliła się i jej zawartość wypadła na podłogę: strzykawki, butelki, szpatułki, nożyczki, pastylki. Serling usiłował złapać Bena za rękę, chcąc go przytrzymać, ale Ben obrócił się i spadł po przeciwnej stronie łóżka, uderzając o podłogę z ogłuszającym łomotem.**

**–Ben!-krzyknął doktor.**

**Ale Ben wydawał się głuchy na wszystko z wyjątkiem tego, co wybuchało w jego głowie: sny, koszmary nocne, sylwetki nachodzące go w ciemnościach. Wrzeszczał, bełkotał, rzucał się dziko po podłodze, wałąc twarzą o nogi łóżka, uderzając ramieniem o brzeg szafy, tłukł i drapał podłogę, aż paznokcie zaczęły mu ociekać krwią. Doktor Serling musiał mocować się z nim na czworakach, usiłując przycisnąć mu ręce do podłogi, ale Benowi stałe udawało się wykręcić i wił się, przerzucając z boku na bok, jakby ktoś go torturował.**

**–Ben, słuchaj mnie! – nakazywał mu lekarz. – Ben, to ja, doktor Serling!**

**Słuchaj! Musisz się od tego uwolnić. Od razu, Ben, w tej chwili!**

**Ben wydał odrażające, psie wycie i wlepił w niego oczy, purpurowe od popękanych naczynek krwionośnych. Pomiedzy potokami zniekształconej, niezrozumiałej gadaniny łapał głębokie, bolesne**

hausty powietrza. Całe jego okaleczone ciało drżało przy tych oddechach.

–Ben, musisz się uspokoić-powiedział mu doktor. – Jeżeli tego sam nie zrobisz, będę musiał cię unieruchomić i kazać stąd zabrać, a wiesz, że to złamałoby serce twojej matki. Więc proszę, weź się w garść.

–Oni są blisko – zajęczał rozpaczliwie Ben. – Proszę, nie pozwólcie, żeby mnie dostali. Nie pozwolicie, prawda? Proszę, nie pozwólcie. Obiecacie, dobrze?

Proszę!

–Ben, posłuchaj. Kto wrócił?

Ben przestał się miotać i nagle spojrzał lekarzowi prosto w oczy. Jego twarz była stężała i przerażona, pełna lęku przekraczającego wszystko, co Serling był sobie w stanie wyobrazić.

–Kto? – Lekarz domagał się odpowiedzi. – Ciągle mówisz, że wrócili, ale nie powiedziałaś mi, kto wrócił.

–Tacy sami – zamruczał Ben. Powieki mu opadły, ale równocześnie zaczął szybko poruszać gałkami. – Tacy sami jak przedtem. I wiesz, co chcą zrobić, prawda? Oni muszą to zrobić! Nie mogą bez tego żyć! Och Boże, nie wydaj mnie!

Ben zapadł w kolejny, konwulsyjny sen. Doktor podniósł go i razem z panią Miller położył na łóżku i przykrył. Nastąpiło długie i ciężkie milczenie, podczas którego matka i lekarz patrzyli na niego – ciężkie, ponieważ lekarz wiedział, co musi powiedzieć, a matka wiedząc, co tamten powie, nie chciała tego słuchać.

–Przykro mi, May.

–Zabierze go pan, prawda?

–Nie wiem, co innego mógłbym zrobić. To może być chroniczna uremia. Coś jeszcze gorszego. Jakiś nacisk na mózg. Tak czy inaczej, musi znaleźć się w bezpiecznym miejscu, pod stałą obserwacją.

–A co z kosztami?

–Cóż, to zależy. Postaramy się, aby były jak najmniejsze.

Pani Miller zawahała się. Na łóżku, z podwiniętymi, podkurczonymi nogami leżał Ben Miller. Mamrotał niespokojnie, potrząsając od czasu do czasu głową, jakby się z kimś kłócił. Dawno powiedział matce, że po wypadku stał się tylko połówką mężczyzny, i to była prawda, po części dlatego, ponieważ tak o sobie myślał.

Stał się zgryźliwy, nieznośny i zmienny w nastrojach, rzadko potrafił wydukać z siebie słowo podziękowania czy chociażby zwykłe dzień dobry. Ani razu nie powiedział nawet, że ją kocha.

Jaką cenę musiała płacić pani Miller za takie życie? Myślała o skromnych oszczędnościach, złożonych w New Milford Savings Bank. Jedenaście lat zabrało jej uskładanie tych pieniędzy, głównie z tego, co dostawała za sprzątanie domu Pearsona. A teraz Ben miał jej zabrać i to?

Obróciła się. Gość obserwował ją bez słowa. W końcu odezwała się cicho:

–Sam pan wie, co będzie najlepsze, doktorze. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Chrząknął, jakby miał powiedzieć coś bardzo osobistego, ale potem zmienił zdanie i wzruszył ramionami.

–Chyba zadzwonię po karetkę. Naprawdę nie widzę innego wyjścia.

Poprawił przykrycie Bena i odczekał chwilę, żeby dać pani Miller ostatnią szansę na zmianę zdania, ale ona powiedziała:

–Tak będzie najlepiej, wiem. Bóg mówi, co czynić, nie ja. Niespodziewanie Ben zasyczał:

–Tylko się nie zbliżajcie!

–Co? – spytał Serling.

–Tylko się nie zbliżajcie! – powtórzył Ben.-Nie dotykajcie mnie. Nie dotykajcie mojej skóry.

–Ben? – półgłosem zapytał lekarz.

Ben zagulgotał i zakrzuszył się. Popatrzył na niego i szepnął:

–Nie waż się mnie tknąć. Widziałem, jak na mnie patrzyłeś. Wiem, czego chcesz.

Przestań się na mnie gapić. Wiem, co chcesz zrobić! Na Boga Wszchemmogącego, wiem, co chcesz zrobić!

Doktor siadł na skraju łóżka i delikatnie, ale stanowczo oderwał palce Bena od poręczy łóżka. Ben nie przestawał patrzeć na niego spode łba jak zbity pies, jakby się go bał; ale równocześnie był na niego zły.

–Nie waż się dotknąć mojej skóry – sapał chrapliwie. – Nie waż się.

W końcu Ben zapadł w płytki sen. Doktor Serling ponownie wygładził przykrycie na jego łóżku i podniósł się ociężale.

–Ma wyraźne halucynacje – powiedział do pani Miller. – Nie wiem dlaczego. Może to uboczny skutek obecności tych wszy<sup>146</sup> stkich albumin w jego organizmie. Tak to jest przy zaburzeniach pracy nerek.

Ciało reaguje jak zablokowany rów odpływowy i ta blokada może wpłynąć na pracę mózgu.

–Jest taki przestraszony – powiedziała zaniepokojona pani Miller.

Doktor pozbiierał resztę porozrzucanych butelek i zamknął swoją lekarską teczkę.

–Widziałem gorsze przypadki. Pamięta pani tego starego Bu-racka, który mieszkał po drugiej stronie Boardman's Bridge? Był przekonany, że ludzie z FBI przychodzą w nocy do jego sypialni i biją go gumowym wężem. I dosłownie wierzył w to, do tego stopnia, że zaczęły mu się pojawiać blizny na ciele. To też były zaburzenia pracy nerek.

–O co chodziło Benowi z tym niedotykaniami skóry?

–Nie mam pojęcia. Kiedy umysł ludzki ulega halucynacjom, zwykle odrzuca logikę.

Wybucha wtedy jak wulkan i to wszystko, co go przerażało i martwiło, najczęściej zostaje wyrzucone na powierzchnię.

–Poprzednio nigdy nic takiego nie mówił – powiedziała pani Miller, ledwo powstrzymując się od łez.

Gość położył pocieszająco dłoń na jej ramieniu.

–Co pani powie na filiżankę dobrej, gorącej kawy? Jeszcze do końca nie odtajałem. Spojrzała na syna.

–Myśli pan, że można go tak zostawić? A jeśli obudzi się znowu i dostanie jednego z tych ataków?



**–Zostawimy otwarte drzwi – zasugerował.**

**Wyszli z pokoju, podczas gdy Ben spał niespokojnie, mamrocząc przez sen. Pani Miller poszła do kuchni nastawić kawę w maszynie. Tymczasem doktor Serling ze swobodą stałego gościa poszedł do pokoju dziennego, nałożył okulary i podniósł słuchawkę.**

**Właśnie kiedy połączył się ze szpitalem okręgowym w Litch-field, pani Miller wróciła z kuchni. Stała w drzwiach z rękami złożonymi na podołku fartucha, obserwując go z wyrazem smutku i rezygnacji.**

**–Zgadza się. Dobrze. Cóż, im szybciej podłączycie go do dializy, tym lepiej – mówił.**

**–Kawa będzie za chwilę – powiedziała pani Miller.**

I Minęło zaledwie pięć minut, podczas których rozmawiali w kuchni, a maszynka pyrkotała i bulgotała, kiedy Ben nagle otworzył oczy. Przez chwilę leżał z głową na poduszce, podczas gdy usta w ciszy formułowały jakieś niezrozumiałe słowa.

Wysłuchiwał się w brzęk filiżanek, które matka ustawiała na tacy, trzaski drzwiczek szafek kuchennych, dźwięki rozmowy. Pani Miller mówiła: -...prawie od tego momentu, kiedy o mało co nie umarł... te koszmary, które trapiły go we śnie... ale nic podobnego...

Stękając z wysiłku, Ben uniósł głowę i popatrzył na nocny stolik. Cyfry zegarka wskazywały 4.33; powierzchnia szklanki z wodą połyskliwą jak rtęć błyszczała niczym srebrna elipsa.

-Nie moją skórę – szepnął chrapliwie.

Macając na wpół sparaliżowaną ręką nad blatem udało mu się dosięgnąć szklanki, chwycić ją i postawić sobie na piersi.

Z konwulsyjnym drżeniem wylał zawartość na koc, a potem podniósł szklankę do twarzy.

-Nie moją skórę – powtórzył. – Nie dotkniecie mojej skóry.

Włożył brzeg szklanki do ust, zacisnął na moment szczęki, a potem ugryzł szkło tak mocno, że pękło z ostrym trzaskiem. Wygięty półksiężyc błyszczał mu w ustach jak kły.

Ostrożnie wyjął szkło spomiędzy zębów i pozwolił, by reszta szklanki stoczyła się na podłogę.

-Skóra – zamamrotał i w jego głosie zabrzmiała dziwna zmysłowość.

Trzymając kawałek szkła pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, powoli, ale pewnie i głęboko naciął prawy policzek blisko nosa. Strużka ciemnoczerwonej krwi natychmiast zbiegła do podbródka i ześlizgnęła się w dół, zbierając się w kałużę u podstawy szyi. Ben podniósł odłamek szkła do światła. Koniuszek był zabarwiony czerwienią. Zamruczał do siebie:

-Malowane szkło. Jak w kościele. Oto sekret. Oto sekret. Święte, święte szkło.

Powtórnie naciął twarz i odkrajał sobie z policzka duży, krwawy ochłap skóry i mięsa. Poczul, jak zimny brzeg odłamka przesuwa się po kości i zatrzęsł się. Ale zaraz ciął znowu, po tym samym policzku, znacząc go w ten sposób znakiem krzyża.

Poprzeczna rana rozpadła się na dwa blade trójkąty.

Systematycznie, ręką tak zakrwawioną, jakby odjął ją od poderżniętego gardła, ciął czoło, brodę i obydwie policzki. Za którymś razem cięcie poprzez policzek doszło do połowy lewego ucha i zakończyło się w środku ust, kalecząc język.

Dopiero wtedy wydał skrzek potwornego bólu, odrzucił ułamek szkła i zanurzył głęboko palce w koszmarne nacięcia na policzku, jakby chcąc oderwać całą swoją twarz, żeby przestała być ludzka.

Doktor Serling wpadł do sypialni. Pani Miller była tuż za nim, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na Bena i natychmiast obrócił się i wypchnął ją do przedpokoju, strącając przy tym dwa obrazy ze ściany.

–Widziałam krew! – krzyczała pani Miller. – Co się stało? Boże mój, co się stało? Lekarz mocno trzymał ją za dłonie. Miał dziki wyraz twarzy.

–Pani Miller, May, posłuchaj. Karetka jest w drodze. Stał się wypadek. Nie wiem dlaczego. Ale nie zbliżaj się, proszę. Odejdź, pozwól mi się tym zająć.

–Wypadek? – pytała pani Miller, na krawędzi hysterii. – Wypadek? Nie puszczał jej rąk.

–Wracaj do salonu – mówił. – Zostań tam, nie denerwuj się i zawołaj mnie, kiedy przyjedzie karetka. Proszę, już. Błagam cię. Pozwól mi zająć się Benem. To jest dużo poważniejsze, niż wygląda.

Ben zaryczał znowu, potwornym bełkotliwym zawodzeniem, jakby dusił się własną krwią. – Proszę – nalegał lekarz. W końcu, trzęsąc się, pani Miller wróciła do saloniku, zatrzymując się po drodze, aby posłać Serlingowi spojrzenie, którego nigdy więcej w życiu miał nadzieję nie oglądać.

Był to najbardziej przerażający widok, jaki mógł sobie wyobrazić, potworny strach na twarzy innej ludzkiej istoty.

Doktor zacisnął dłoń na ustach, zbierając siły i odwagę, usiłując zapanować nad szaleńczym galopem serca walącego mu w piersi. Wziął długi, uspokajający oddech, a potem wszedł do sypialni Bena.

Boże Wszchemogący, wszędzie krew.

–Ben – powiedział cicho. Przyglądał się Benowi z absolutnym przerażeniem, a Ben Miller patrzył na niego jak istota z dna oceanu, jak okrwawiona kałamarnica, zdychająca na haku.

–Ben, na litość boską – szepnął doktor.

Ben nie odzywał się, kiedy lekarz darł prześcieradła, by za ich pomocą powstrzymać upływ krwi, płynącej z jego porozrywanej twarzy. Był to cud, że nie przeciął sobie żadnej arterii, ale Serling nigdy przedtem nie widział nikogo, kto okaleczyłby się tak potwornie. Nawet w Litchfield, gdzie samotność i nuda popychały czasami porzucone żony do przypalania sobie dłoni papierosami czy wbijania się na różny od barbecue.

–Ben – powiedział chrapliwie doktor. – Ben, co się stało?

Ben obrócił swoją obandażowaną głowę i powoli nią pokiwał. Fragmenty bandaża były już ciemne od krwi, a twarz Bena wyglądała tak upiornie, że doktor Serling ledwo mógł znieść jej widok. Kiedy Ben nabierał oddechu, strumyk czerwonej śliny zmieszanej z pęcherzykami powietrza spływał mu po szyi.

–Dlaczego, Ben? – pytał doktor, nie oczekując w istocie odpowiedzi.

Ben kiwnął głową i ku przerażeniu lekarza prawie udało mu się uśmiechnąć.

–Teraz mnie nie będą chcieli – zagulgotał. – Teraz mnie nie będą chcieli, nie takiego. Jestem bezpieczny.

–Kto nie będzie cię chciał? O czym mówisz?

–Cała dwunastka – wykrztusił Ben. – Cała dwunastka. Teraz mnie nie będą chcieli.

Oczy Bena uciekły w głąb czaszki i nagle stracił przytomność. Doktor potrząsał nim i wołał go wielokrotnie po imieniu, ale bez rezultatu. Zaraz potem usłyszał wycie karetki i szczekanie psa Duf-neya. Czerwone światła przesunęły się po oknach sypialni.

Pani Miller otworzyła już drzwi sanitariuszom, kiedy Serling wyszedł im naprzeciw. Otrzepywali śnieg z butów i zabijali ręce jak cyrkowe foki. Jeden był Irlandczykiem z pochodzenia, rudobrody i piegowaty, drugi Murzynem, podobnym z wyglądu do Eddiego Murphy. Randy i Wellington. Znał dobrze ich obu.

–Co jest grane, doktorku? – Randy rzucił swoje stałe przywitanie.

Bez słowa przywołał go do siebie, równocześnie skinięciem głowy wskazując Wellingtonowi, żeby zajął się panią Miller.

–Chodzi o Bena Millera – powiedział przyciszonym głosem. – Pociął się zdrowo.

–Próba samobójstwa?

–Jeszcze gorzej.

–Gorzej? – spytał Randy, podnosząc rude brwi.

–Wejdź i popatrz sam. Ale nie pozwól, żeby pani Miller coś zobaczyła. Są rzeczy, których żadna matka nie powinna oglądać.

Randy przez moment patrzył na doktora Serlinga, a potem powiedział:

–Zaczyna mi się wydawać, że nie powinienem napychać się tym hot-dogiem.

Podczas kiedy Randy i Wellington przytoczyli nosze, dostarczyli opatrunki i zajmowali się Benem, doktor wziął panią Miller do pokoju dziennego. Nie chciała usiąść, ale stała pod tanim żyrandolem z brązu i drzewa tekowego. Stara, przegrana kobieta, którą świat skazał na cierpienie.

–Czy umrze? – spytała.

–Jest ciężko ranny. Ale ma dobrą opiekę.

–Widziałam krew.

–Z jakiegoś powodu Ben pociął się. Nie wiem czemu. Rozbił szklankę i pociął sobie twarz.

–To te koszmary nocne – powiedziała, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

Usłyszeli, jak Randy i Wellington przetaczają nosze przez przedpokój, ale żadne z nich nie wyszło popatrzeć. Ostry, zimowy powiew wtargnął do domu; sanitariusze zostawili otwarte drzwi. Siwe włosy pani Miller podniosły się, jakby przebiegł przez nie jakiś dziwny prąd.

Randy wszedł do saloniku.

–Jedziemy, doktorze. Zobaczymy się potem?

–Za parę godzin.

–Jasna sprawa – powiedział Randy, dodając: – Dobranoc pani. Proszę się nie martwić. Zajmą się właściwie pani chłopcem.

Serling słuchał, jak karetka, wyrzucając śnieg spod kół, szybko jedzie ku głównej drodze. Wziął za rękę panią Miller.

–Mój chłopiec – powiedziała, i w tych słowach było wszystko, czym był dla niej Ben: jako maleńki noworodek, roztrzepany uczeń z podstawówki, latem i zimą, w śmiechu, w Boże Narodzenie, w uciekające popołudnia aż do tego ostatniego, kiedy jak we śnie dał nurka na twarde beton... i szczęście pani Miller skończyło się na zawsze.

–Przykro mi, May – powiedział doktor Serling. – Jest mi bardziej przykro, niż potrafię ci to powiedzieć.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

New Milford, 18 grudnia

Aaron powiedział:

–Musisz przyjechać. Przepraszam cię, ale musisz.

–Aaron, i tak przyjeżdżam na święta-odpowiedział Yincen. – Margot podrzuci Thomasa, Charlotta prawdopodobnie też wpadnie. Po co ta panika? Musisz poczekać tylko pięć dni.

–Yincen, rzadko proszę cię o przysługę. Kiedy ostatni raz to się zdarzyło?

–Prosiłeś mnie o przywiezienie pięćdziesięciu sześciu funtów włoskiego gipsu z Mediolanu. To była przysługa, uwierz mi.

–To poważna sprawa, Yincen. Coś przytrafiło się Yan Go-ghowi.

Yincen już miał rzucić jakąś kąśliwą uwagę na temat Aarona i jego rozpuszczonego kocura, kiedy nagle pomyślał o kocie Da-nny'ego Montblata, zdechłym w butli pełnej krwi.

–Aaron – spytał ostrożnie – chodzi o coś poważnego? Jakiś wypadek?

–Nie potrafię o tym mówić – powiedział Aaron i w jego głosie pojawił się nagły smutek.-Yincen, przyjedziesz tu? Proszę.

Yincen musiał odwołać następne spotkanie z Meggsy, ale tym razem udał się do jej biura na Czterdziestej Siódmej Ulicy. Siedziała tam w obcisłym białym sweterku z angory i dopasowanej czarnej minispódnicy, w oświetlonym jarzeniówkami, rozdzielonym przepierzeniami pomieszczeniu. Był tam plastikowy kaktus i akrylowe spinacze w kształcie kopulujących par oraz kalendarz z Dawidem Michała Anioła. Yincen dał jej szablą roślinę w doniczce, małą butelkę moet i całusa.

–Przepraszam – powiedział. – Ale Aaron naprawdę jest zdenerwowany. Jakoś ci to wyrównam.

Meggsy zdjęła kolorowe szkła i spojrzała na niego swymi krótkowzrocznymi, niebieskimi oczami, których widok zawsze wywoływał w nim podniecenie; zwłaszcza kiedy jej pełne, otulone w angorę piersi ocierały się o jego pierś.

–Gdybym cię tak nie szanowała – wyszeptała – znenawidziłabym cię aż do śmierci.

Ucałował ją, wchłaniając perfumy Givenchy i uśmiechając jak mężczyzna w pełni świadomy tego, że gdy dziewczyna zaczyna cię szanować, stajesz się dla niej trochę za stary.

Następnego dnia jechał do New Milford przygotować dom, aby po wizycie u Aarona móc spędzić noc we własnym łóżku.

Dzięki Bogu przestało padać, choć niektóre z bocznych dróg były jeszcze zalodzone i błyszcząły w świetle reflektorów jak kręgosłupy zmarzniętych w lodzie wielorybów. Słuchał Vivaldiego na stereo, ale droga stawała się coraz bardziej śliska, więc wyłączył magnetofon, chcąc bardziej skupić się na prowadzeniu. Koła z suchym chrzęstem kruszyły kawałki lodu i zamrożonej śnieżnej brei pokrywającej jezdnię.

Krótko po szóstej dotarł do domu pani Miller. Zaparkował na poboczu szosy i ostrożnie omijając zasy, szedł do drzwi wejściowych żałując, że nie był na tyle przezorny, by zabrać ze sobą gumowe buty. Ku jego zdziwieniu w domu było ciemno.

Zadzwoił, potem uderzył parę razy pięścią w drzwi i zawołał. Znowu zaczął padać rzadki śnieg, zaledwie prósząc. Zimne igielki topiły mu się na twarzy.

–Pani Miller! – zawołał. – Pani Miller, to ja, Pearson!

Obszedł dom z boku. Lodowata woda przesączała się przez podeszwy butów od Bally'ego. Pies Dufneya rozszczękał się na niego, szarpiąc łańcuch przy budzie.

Potem pojawił się sam Dufney: wysoki mężczyzna z oczami łasicy, w brązowym swetrze zapiętym na zamek błyskawiczny, nałożonym na dres.

–A wyj sobie, ile wlezie – rzucił lakonicznie, opierając się o poręcz schodzącą w dół schodków. Yincen dostrzegł żar jego papierosa.

–Nie ma jej?

–Wyszła jakąś godzinę temu. Karetka przyjechała i wzięła biednego Bena. Potem pani Miller pojechała za nim.

–Co się stało Benowi?

–Nie widziałem. Sanitariusze go przykryli. Na początku wyglądał na trupa, ale doktor Serling powiedział, że to normalka. Prawdopodobnie jakiś z tych jego ataków.

–Wie pan, do którego szpitala?

–Okręgowy Litchfield, jak myślę.

–Cóż, dzięki – powiedział Yincen.

–Nie ma za co – powiedział Dufney, opierając się o balustradę, jakby zamierzał spędzić tu noc.

Yincent wrócił do wozu. Dufney zawołał:

–Nie jechałbym tędy, wszystko zaśnieżone. Gdybym był na pana miejscu, zawróciłbym, a potem objazdem przez South Kent.

–Dzięki – powiedział Yincent.

Mrok zgęstniał teraz i zrobiło się przenikliwie zimno. Wsiadł do samochodu, zapalił silniki przekornie skierował się najkrótszą trasą, w przeciwnym kierunku, niż doradzał Dufney. Pojechał za śladami karetki zostawionymi w twardniejącym śniegu. Dufney popatrzył za nim i wypluł w mrok niedopałek.

–Nic do tych skurwieli nie dociera.

Jazda była niewygodna i wytrzęsło go porządnie, ale po dziesięciu minutach był znów na oczyszczonej drodze, kierując się na pomocny wschód. Zdecydował, że pojedzie wprost do Bantam, spotkać się z Aaronem. Gdyby śnieg zgęstniał, zawsze mógł poprosić Aarona o przenocowanie go na jednej z jego zrujnowanych sof.

Włączył powtórnie Vivaldiego i zaczął podśpiewywać razem z muzyką. Ale po paru minutach wyłączył ją, aby porozmyślać o tym, co mogło się stać Benowi Millerowi.

Wyglądało na to, że coś strasznego wisi w powietrzu. Ben mówił o kimś albo o czymś, co wróciło; Laura Montblat zniknęła; Edward poniósł śmierć w masie robaków. Teraz Aaron wzywał go na ratunek. Yincent spojrzał na swoje odbicie w lusterku i zastanowił się, czy nie stał się roznosicielem zarazy, albatrosem zapowiadającym nieszczęście i trwogę.

Dojechał do Bantam, zaparkował w cieniu gigantycznego dębu Aarona i zeszywniały wysiadł z wozu. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Stał na werandzie, rozcierając ręce i oczekując, aż ktoś zareaguje na dzwonek. W końcu pojawiła się Marcia.

Wyglądała na bardzo wymizerowaną.

–Ach, Yincent – powiedziała. – Jak dobrze, że udało ci się przyjechać! Wejdz.

W domu panowała niezwykajna cisza i chłód.

–Zdejmiesz płaszcz? – spytała.

Yincent uśmiechnął się na tyle serdecznie, na ile go było stać, i powiedział:

–Jasne, dziękuję ci. Gdzie Aaron?



–W pracowni – powiedziała Marcia, pomagając mu zdjąć płaszcz. Jest bardzo przejęty, Yincenc. On uwielbiał tego kota. Zawsze, kiedy pracował, Yan Gogh siedział tuż przy nim. To stało się tak nagle. I sposób, w jaki się stało...

–Sposób, w jaki się stało? – Yincenc zmarszczył brwi. – Co masz na myśli?

–Przepraszam. Sam musisz to zobaczyć.

–Marcia... – zaczęła Yincenc, ale ona ujęła go za rękę i uściśnęła. Miała łzy w oczach, co znaczyło „skrzywdzono mnie, nas wszystkich i boimy się, więc proszę, bądź dla nas dobry”.

–Dobrze – powiedział wzdychając.

Przeszedł do pracowni. Paliła się tylko jedna żarówka, daleko, na samym końcu-i w pierwszej chwili Yincenc nie sądził, że Aaron gdzieś tam się znajduje. Światło rzucało ogromne cienie, przepo-czwarczając płótna i sztalugi w garbusów, trolle i diabły z rogami, a na wpół wyciśnięte tuby farby zmieniały się we wzgórza wijących się, metalowych robaków. Yincenc powoli przeszedł wzdłuż stołu, aż zobaczył Aarona siedzącego na małym krzeselku malarskim. Obok stała na wpół opróżniona butelka beaujolais; opuszczoną, rudą głowę trzymał ukrytą w dłoniach.

–A więc – powiedział Yincenc – przywołał mnie pan, Mae-stro, i oto jestem.

Aaron nie podniósł wzroku, tylko nalał sobie następną szklankę wina.

Yincenc czekał przez długi czas, stojąc z rękami w kieszeniach, usiłując zachować powściągliwość i spokój, ale kiedy Aaron w dalszym ciągu go nie zauważał, powiedział:

–Jestem tu, Aaronie. Ale jeżeli nie przywitasz się, nie sądzę, żebym miał zostać tu dłużej.

Aaron spojrzał w górę, a potem skierował spojrzenie w bok.

–Przepraszam, chyba jestem w szoku, to dlatego.

–Czy zamierzasz powiedzieć mi, co się stało? Aaron skrzywił się i kiwnął głową.

–Nie muszę ci mówić. Pokażę ci.

–Dobrze. Pokaż mi, co się stało.

–Będziesz musiał mi wybaczyć, Yincenc. Sam nie mogę na to patrzeć. A kiedy zobaczyłem to po raz pierwszy, obwiniłem o to ciebie. W każdym razie ciebie i twoją rodzinę. Ciebie, twojego dziadka i ten cholerny... talizman, ten obraz.

–Waldegrave'a?

–Sam zobaczysz.

Z pogardliwym, niewyraźnym gestem Aaron wskazał Yincento-wi sztalugę w najdalszym końcu pracowni. Sztaluga nadal była zasłonięta kapą.

Yincenc zrobił parę kroków w jej kierunku, a potem zawahał się.

–O co chodzi? – spytał, czując nagły niepokój. – To chyba... nie zmieniło się?

–Zobacz sam.

Yincenc ujął kapę i powoli ściągnął ją z ciemnego obrazu. Był po cichu przygotowany na jakiś obrzydliwy szok, ale na pierwszy rzut oka obraz wydawał się taki sam. Ta sama grupa ludzi z bladymi twarzami, ubrana na czarno. Ten sam czerwony pokój. To samo wrażenie zastygłego rozkładu. Wytworna kolonia trędowatych w dawno zapomnianej pracowni malarskiej, skazana dzięki talentowi Waltera Waldegrave'a na wieczne, powolne gnicie.

Yincenc obrócił się i powiedział tak ostro, jak tylko potrafił:

–Nie ma różnicy, Aaronie. Zgadza się, jest stary, nie przeczę. Nie zachował się w dobrym stanie, ale nic poza tym.

Aaron zmierzył go znużonym spojrzeniem człowieka, który wie lepiej.

–Często widywałeś ten obraz, kiedy byłeś chłopcem?

–Tak. I co z tego?

–Nie odwracaj się, tylko powiedz, co kobieta siedząca jako trzecia od lewej trzyma na kolanach. Yincenc spojrział na niego.

–Powiedz mi – zażądał Aaron łagodnie, ale uparcie.

–Nigdy nie wiedzieliśmy, co to jest – powiedział Yincenc chrapliwym głosem.

–Dobrze, nie wiedziałeś, co to jest – zgodził się Aaron. – Ale opisz to.

–To było... jak to nazwać? Kłębek czarnego futra. Małpa, kot, pajak. Nie wiem.

–Popatrz na to teraz.

Yincenc powoli odwrócił się i spojrział. Był zaskoczony, że poprzednio tego nie zauważył. A jednak był tu: z łapami podwiniętymi pod siebie, zamkniętymi ślepiami, siedząc wygodnie na podoł-ku pozbawionej twarzy kobiety ubranej w czerń. Jej dłoń unosiła się

zaledwie cal nad jego łbem, jakby miała go pogłaskać. Pomarańczowy kot, dokładnie taki jak Yan Gogh. W istocie był tak bardzo podobny do Yan Gogha, że mógł to być tylko Yan Gogh.

Yincent na próbę dotknął wizerunku kota koniuszkami palców; pokryły się gęstą, różnokolorową farbą.

–Przepraszam – powiedział. – Nie wiedziałem, że jest jeszcze mokry. Zamazałem go.

–Nie szkodzi – powiedział Aaron, wstając z malarskiego krzeselka. – Nie malowałem tego.

–To ta twoja nowa asystentka z Gaylordsville? Aaron potrząsnął głową.

–Więc usiłujesz mi wmówić, że ktoś włamał się tu i namalował Yan Gogha na jednym z twoich obrazów? Niby taki dowcip? – Yincent zbliżył twarz do obrazu i obejrzał go dokładnie jeszcze raz. – To jakiś niezły malarz. Prawie jak Waldegrave.

–Nikt się tu nie włamał i nikt nie robił kawałów – powiedział Aaron. Stracił na moment równowagę, kiedy obchodził kraniec stołu. – To, co widzisz, Yincencie, mój przyjacielu, to rzeczywistość. To – ta plama, którą rozmazałeś jeszcze bardziej – ta plama jest Yan Goghiem. W każdym razie tyle z niego zostało.

–Aaron – powiedział Yincent pojednawczym tonem. – Aaron, to tylko obraz. To nie jest Yan Gogh.

–To jest sam Yan Gogh – upierał się Aaron, niewyraźnie bełkocąc po wypiciu dwóch butelek czerwonego domowego wina na pusty żołądek.

–Aaron, co ty, do diabła, wygadujesz? – dopytywał się Yincent. Potem dodał:- Na litość Boga, jesteś pijany.

–Tak – powiedział Aaron -jestem pijany. Ale Pan Bóg nie okazał litości. Jestem pijany, ponieważ mój kot został zabity i teraz pokazał się na tym twoim cholernym obrazie, żywy, jakby nigdy nic, poza tym, że teraz jest z farby, a nie z ciała i sierści.

Yincent obliznął wyschnięte wargi. Potem wyjął haftowaną chusteczkę z cienkiego lnu i otarł usta. W obecności Aarona cała jego pańska wielkowiejskość stawała się śmieszna i napuszczona.

–Nie rozumiem – powiedział.

Tak rzeczywiście było. Nie mógł się zdecydować, czy Aaron kpi sobie z niego w wyszukany sposób, czy też nadmiar beaujolais doprowadził go w końcu poza granice zdrowego rozsądku.

Jednak kot Danny'ego Montblata autentycznie zdechł koszmarną śmiercią w butelce, uciekając przed losem zbyt przerażającym, by można to sobie wyobrazić. A Van Gogh znalazł się na płótnie, zionącym rozkładem i właściwym wiktorianizmowi przeczcuciem nieuchronnej zguby.

–Cóż, nie rozumiesz i ja też nie – powiedział Aaron. Na moment odwrócił wzrok, usiłując zapanować nad sobą i powstrzymać łzy. – Nie rozumiem tego za żadną cholere. Ale to się stało.

Yincent wziął Aarona za ramię, popatrzył na niego uważnie i z niepokojem i powiedział:

–Aaron, to tylko obraz. Aaron wyrwał mu się.

–Mój drogi przyjacielu, to nie jest „tylko obraz”. Chciałbym, żeby tak było.

–Ale to nie znaczy, że wyrządzono krzywdę Van Goghowi przez samo namalowanie go na płótnie. To niczego nie dowodzi. Prawdopodobnie zgubił się gdzieś w śniegu i tyle. Ktoś opiekuje się nim, aż pogoda się poprawi.

Aaron wpatrywał się w Yincenta szklistym wzrokiem.

–Znalazłem Van Gogha. W tym kłopot. Znalazłem go.

–Jest ranny?

–Pokażę ci. Chcesz zobaczyć?

Aaron przeszedł w drugi koniec pracowni i zdjął dużą latarkę z haka przybitego do krokwi.

–Chodź, pokażę ci.

Ociągając się Yincent ruszył za nim i razem wyszli w śnieżną noc. Ostry północno-wschodni wiatr ciął jak nóż, nadlatując od góry Prospect, wznoszącej się prawie piętnaście tysięcy stóp w zimowym mroku i oddzielającej Bantam od zbiornika Nepaug.

–Czy nie powinienem nałożyć płaszcza? – spytał. – Jest mi tak ciepło, jak białemu niedźwiedziowi podczas lunchu.

–To nie potrwa długo – powiedział Aaron.

Nigdy dotychczas nie był wobec Yincenta tak zimny, zamknięty i obcy. Sztywno maszerował przez ogród. W promieniu światła latarki od czasu do czasu pojawiały się płatki wirującego śniegu. Yincent szedł za nim, w przemokniętych butach, z kołnierzem postawionym dla ochrony przed wiatrem, z rękami wciśniętymi w kieszenie.

Dotarli do podstawy ogromnego dębu. W świetle latarki pień wyglądał na jeszcze bardziej omszały i sękaty niż zwykle, niczym jakiś potworny stwór z rysunków Arthura Rackhama. Aaron stał obok niego, z oczami w szkarłatnych obwódkach i brodą błyszczącą od śniegu. Skierował światło w górę, tak że rozjaśniło dolne gałęzie.. – Gdzie mam patrzeć? – spytał Yincen, trzęsąc się z zimna.

–Patrz za światłem – powiedział beznamiętnie Aaron. – Patrz za światłem i mów, co widzisz.

Yincen wyteżył wzrok i spojrział w górę. Oczy łzawiły mu od wiatru. W końcu udało mu się wypatrzeć, coś zwisającego na gałęzi dotykającej dachu. Było czerwone, pomarszczone i bardzo długie, jak poskręcany szalik. Powoli obracało się i obracało na lodowatym wicherze, a potem zaczęło się kręcić w odwrotnym kierunku.

Yincen wyjął chusteczkę, otarł oczy i znów zaczął wpatrywać się w szalik. Tym razem zobaczył, że to nie szalik. To było obdarte ze skóry zwierzę. Wisiało na drucie okręconym wokół szyi.

Yincen patrzył na nie przez jedną, ścinającą krew w żyłach sekundę. Nie dowierzał własnym oczom. Obrócił się do Aarona.

–To jest Yan Gogh? – spytał, przejęty grozą. Aaron kiwnął głową i wyłączył latarkę.

–Ale skąd jesteś pewien?

Aaron pogrzebał w kieszeni i w końcu wyciągnął małą, czerwoną kocią obrożę.

–Znalazłem to na ziemi, w tym miejscu.

–Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby zrobić coś takiego.

–Ja też nie, ale ktoś to zrobił.

–Dałeś znać na policję?

–Dzwoniłem do szeryfa Smitha. Powiedziano mi, że jest w Darien, a reszta funkcjonariuszy ma na głowie kłopoty z ruchem z powodu śniegu. Ale przyślą kogoś, gdzieś nad ranem. Dlatego zostawiłem go tak wiszącego. Policja wymaga, żeby nic nie zmieniać na miejscu przestępstwa.

–Nie zdeptujemy żadnych cennych śladów, mam nadzieję? – spytał Yincen, rozglądając się wkoło. Aaron potrząsnął głową.

–Ktokolwiek go zabił, zrobił to, zanim spadł świeży śnieg. Kiedy tu przeszedłem, szukając go, nie było żadnych śladów.

Yincent popatrzył jeszcze raz w górę, w mrok otaczający drzewo, a potem poszedł za Aaronem do pracowni. Mocno rozcierając dłonie, podszedł raz jeszcze do obrazu Waldegrave'a i przyjrzał mu się uważnie. Nadal unosił się wokół niego gryzący smród rozkładu, był tak jak poprzednio posępny i jak dawniej farba łuszczyła się. Ale teraz na pierwszym planie umieszczony był Van Gogh, pomarańczowy kot, namalowany czysto, wyraźnie i z zachowaniem stylu malarza.

–To po prostu nie ma sensu.

–To nie ma takiego sensu, do jakiego jesteście przyzwyczajeni – zauważył Aaron.

–Ale fakty mówią same za siebie. Van Gogh znikł, został oskórowany, a potem pojawił się na portrecie.

–Muszę zadać sobie pytanie, czy ty sam go nie namalowałeś na tym portrecie – łagodnie powiedział Yincent.

–Yincent, zadawałem sobie to pytanie. Czy nie zrobiłem tego po pijanemu albo czy nie znalazłem ciała Yan Gogha wiszącego na drzewie i nie zrobiłem tego automatycznie, w ataku hysterii czy w szoku. Ale sam popatrz. Jest pięknie namalowany. Pociągnięciem Waldegrave'a, z jego kolorystyką i nieprawdopodobnym bogactwem szczegółów. Nie potrafiłbym namalować czegoś takiego w tydzień, a co dopiero przez parę godzin. Nie mówiąc już o tym, że do tej pory nie byłem w stanie utrzymać na tym cholernym obrazie świeżej farby.

Zamilkł na moment. Jedną pięść miał ściśniętą i drżącą. Potem dodał cicho:

–Nie zrobiłem tego, Yincent. Przysięgam na Boga. To po prostu się zjawilo.

–Czy powiesz o tym szeryfowi Smithowi? O obrazie?

–Jeszcze nie wiem. Nie potrafiłem pomyśleć o tym spokojnie. On powie, że upadłem na głowę.

Yincent przysunął sobie krzesło poplamione setkami plam różnokolorowej farby i usiadł tak, że mógł przyglądać się obrazowi Waldegrave'a z bliskiej odległości.

–Coś zaczyna się dzieć – powiedział.

–No pewnie, że coś się zaczyna dzieć – uniósł się Aaron. – Pojawił się cholerny, przeklęty morderca kotów.

–Nie, nie, jest jak... nie wiem... jest jak na przyjęciu. Wiesz, czasem idziesz na przyjęcie i wszyscy śmieją się, rozmawiają i do 160 brze się bawią. Nagle ktoś wchodzi i wnosi taki nastrój, że wszyscy milkną i zaczynają źle się czuć. Ze mną jest podobnie. Jest tak, jakby ktoś wkroczył w nasze życie i spowodował, że poczuliśmy się głupio, źle i nedorzecznie.

–Kto? Kto wkroczył w nasze życie i spowodował, że poczuliśmy się głupio i nedorzecznie?

–Nie wiem. Ale zdarzyły się rzeczy, na pozór ze sobą nie związane, a równocześnie mające jakieś dziwne powiązanie. Aaron sposepniał jeszcze bardziej i szarpnął za brodę.

–Napij się wina – powiedział. – Chyba nie bardziej rozumiem to, co mówisz, niż to, co spotkało Yan Gogha.

–Posłuchaj... na początku zmarł Edward... w niesamowitych koszmarach

okolicznościach. Potem Ben, syn pani Miller, miał jakiś atak obłądu. Z tego, co słyszałem, zabrano go do szpitala. Potem zniknęła dawna dziewczyna Edwarda... a jej kot wcisnął się do butelki i rozdrapał na kawałki. Teraz Yan Gogh został odarty ze skóry.

–Nie widzę tu żadnego powiązania.

–Tym powiązaniem, Aaronie, jestem ja. Wszystkie te wypadki zdarzyły się ludziom, których ja znam.

–Nie możesz się za nie winić. Nie ma żadnego związku...

–Nie wiem. To, co powiedziałeś wcześniej... o tym portrecie... cóż, to może mieć z tym coś wspólnego. Mój dziadek nie tylko dbał o ten portret; on miał niemal obsesję na jego punkcie. W testamencie znalazły się całe ustępy na ten temat; jak mój ojciec ma o niego dbać, jak to nigdy nie wolno go sprzedać, jak nigdy nie wolno go wypożyczyć żadnej obcej galerii ani wysyłać za granicę, ani wystawiać publicznie. I oto ten portret znajduje się w samym centrum wszystkiego, co się teraz dzieje. Oczywiście, rozpada się na kawałki. Jest niemal nie do odratowania. A równocześnie nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że on żyje własnym życiem. W istocie wydaje mi się, że teraz jest w nim więcej życia niż za czasów, kiedy byłem chłopcem. Jakby w jakiś sposób ożył.

Aaron nalał sobie szczydrcze do szklanki i wychylił jednym haustem pół zawartości.

–Muszę przyznać, Yincenc, że za cholerę nie pojmuję, co chcesz mi powiedzieć. Ale masz rację. Ten portret ma własne życie, z życiem mojego kota włącznie.

–Uwolnię cię od niego. Nie przejmuj się. Zabiorę go dzisiaj ze sobą do domu.

–To dobrze. Nie mogę znieść jego widoku i smrodu. Do końca moich dni nie chcę już słyszeć imienia Waltera Waldegrave'a.

–Gdybyś zdecydował się wspomnieć o nim szeryfowi Smitthowi, możesz go do mnie odesłać.

–Wątpię, żebym mu powiedział. – Aaron skończył wino i otarł usta wierzchem dłoni. – Zamknąby mnie. I ciebie też, jeżeli nie będziesz ostrożny.

Nie mieli sobie dużo więcej do powiedzenia. Każdy z nich był głęboko przejęty tym, co spotkało Van Gogha, a także myślą, że portret w jakiś sposób stanowi klucz do przerażających wypadków z paru ostatnich dni. Aaron zapakował portret w płachty szarego papieru ostrożniej, niż to było konieczne. Yincenc zaniósł go na ramieniu do wozu i zamknął w bagażniku. Stali obaj w świetle bijącym z werandy Aarona. Wiatr unosił obłoczki pary ich oddechów.

–Jak szeryf tylko tu wpadnie, przekażę ci, co powiedział – odezwał się Aaron, ściskając dłoń Yincencowi.

–Dzięki. I wierz mi, przykro mi z powodu tego portretu.

–Może dajemy się ponieść wyobraźni. Jutro rano będziemy śmiali się z tego wszystkiego.

–Jasne.

Aaron zawahał się na moment, potem położył Yincencowi dłoń na ramieniu.

–Uważaj na siebie, dobra? Wiesz, nigdy nie wiadomo. – Wskazał głową bagażnik samochodu.

Yincenc jechał w kierunku Candlemas, czując smutek i niepokój. Kiedy dotarł na miejsce, dom spowijały ciemności. Z nieba zaczął prószyć świeży śnieg. Okrążył Bentleyem dom. Garaże i stajnie mieściły się z boku budynku. Nie wyłączając silnika, wysiadł i otworzył staromodne, pomalowane zieloną farbą drzwi garażu.

Wprowadził wóz, zgasił światła i wyłączył silnik. Kiedy to robił, był pewien, że usłyszał odgłos drapania.

Siedział przez chwilę nad słuchując. Nie docierały do niego żadne dźwięki poza tykaniem ziębnącego metalu i bulgotaniem układu klimatyzacyjnego. Być może to drapanie to nic innego, jak ślizgający



się pasek wentylatora chłodnicy. Zlekceważył więc ten hałas, wyjął kluczyki i wysiadł z wozu.

Wtedy usłyszał to powtórnie. Wysoki i przenikliwy dźwięk. Nie ruszył się, ale dźwięk rozpląnął się i nie było wiadomo, skąd pochodził ani co mogło być jego źródłem. Może pies, może bawiące się dzieci. Kot wijący się z bólu.

Wyjął z bagażnika obraz Waldegrave'a i poszedł z nim do frontowego wejścia. Otworzył drzwi i wszedł do środka, szukając dłonią światła. Hol był lodowaty i pachniał pleśnią, wystygłymi kłodami drewna z kominków i zaniedbaniem. Oparł portret o ścianę i poszedł do kuchni wyłączyć alarm przeciw włamaniowy i zapalić więcej światła.

Godzinę zajęło mu rozgrzanie wody w bojlerze w piwnicy oraz rozpalenie ognia na kominkach w trzech dolnych pokojach i sypialni. Ale wkrótce w domu zaczęło być ciepło i wesoło. W nagrodę nalał sobie dużą szklankę irlandzkiej whisky i wyciągnął z zamrażalnika stek z karkówki, zamierzając przygotować w kuchence mikrofalowej porządną kolację.

Właśnie zastanawiał się, czy wybrać płytę z Pastoralną Beetho-vena czy może Czajkowskiego Serenadę C-dur na smyczki, kiedy zadzwonił telefon. Sięgnął po słuchawkę i powiedział:

–Pearson.

–Ach, to ty, Yincen – odpowiedział mu starczy, suchy głos. – Mówi Gary Spellecy, z naprzeciwka. Zobaczyłem, że u ciebie światła się palą, i chciałem się upewnić, czy to nie jakiś nieproszony gość.

–Dzięki, Gary. Przyjechałem poza planem. Wpadłem do pani Miller, żeby przygotowała dom, ale jej nie zastałem.

–Nie będzie jej przez jakiś czas. Przeniosła się do Guthriesów.

–Doszło do mnie, że Bena zabrano do szpitala. Czy to coś poważnego?

–Chyba to nie moja sprawa – powiedział Gary Spellecy.

–Gary, co się stało? – Yincen chciał wiedzieć. Polana na kominku trzasnęła głośno, a nagły odwrotny cug wepchnął dym do pokoju.

–Ben oszpecił się; tak coś słyszałem.

–Oszpecił? Jak?

–Pociął sobie twarz odłamkiem rozbitej szklanki. Doktor Ser-ling powiedział, że to najcięższy przypadek samookaleczenia, jaki widział.

Yincent poczuł, że mózg nagle zaczyna mu puchnąć, jakby miał rozsadzić mu czaszkę. Żyły na czole nabrzmiały; poczuł bolesny prąd obiegający dolną szczękę, przenikający aż do korzeni zębów mądrości.

–Nic ci nie jest? – spytał Gary Spellecy.

–Oczywiście, że nic. Wszystko w porządku.

–Jakoś tego nie słyhać.

–Jestem zmęczony, to wszystko. Słuchaj, masz telefon Guth-riesów? Chyba powinienem zadzwonić do pani Miller.

–Z tego, co ostatnio słyszałem, pojechała do szpitala.

Yincent odłożył słuchawkę. Patrzył na swoją szklankę z whisky, jakby zawierała śmiertelną dawkę cykuty, ale po chwili przełknął ją trzema głośnymi łykami.

Palila mu język i zapiekła w kącikach ust.

Wiedział, że intuicja go nie myli. Coś czy ktoś zjawił się w jego życiu i zaczął wywierać wpływ na wszystko. Mógł to być ktoś, kogo nie znał. Jedyną wskazówkę stanowił niewyraźny opis dostarczony przez starą kobietę z Apartamentów Wentworth. Ubrana na czarno, blada kobieta po trzydziestce.

Yincent poszedł do holu i stanął wpatrzony w zapakowanego Waldegrave'a. Dalej nie był do końca przekonany, czy Aaron nie był ofiarą nadmiernej ilości domowego wina. Aaron był najzręczniejszym konserwatorem obrazów, jakiego Yincent znał, i jeżeli ktoś potrafiłby namalować ten wizerunek Yan Gogha, to z pewnością Aaron.

Było niewiarygodne, żeby kot miał pojawić się na płótnie z poduszczenia złowieszczej, magicznej siły, jakby namalował go duch samego Waltera Waldegrave'a.

Nieodparcie narzucało się, że Aaron namalował go sam, być może w odruchu żalu, uprzednio zabiwszy kota w pijackim szale. Ale z drugiej strony Yincent nigdy nie widział, żeby Aaron stracił panowanie nad sobą, przynajmniej nigdy do końca, nawet kiedy był urżnięty do nieprzytomności.

Bez wątpienia działo się coś bardzo niedobrego. Zimne wiatry Bożego Narodzenia niosły ze sobą straszliwe wydarzenia. I żadne logiczne rozumowanie nie mogło pomóc Yincentowi pozbyć się przeświadczenia, że znalazł się w oku cyklonu.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Darien, 18 grudnia Zamknęli ją na klucz w małej sypialni na górze, której okna zaryglowano i zasłonięte okiennicami. Nawet tuż przed zachodem, kiedy na parę chwil mocno zaświeciło słońce, dojrzała tylko wąskie pasemka pomarańczowej jasności, cienkie jak rozżarzone przewody. Uniosła złożone dłonie do okna. Otoczyła nimi światło, połyskujące jak lina ratunkowa.

–Proszę cię, Boże, nie pozwól, żeby mnie zabili – szepnęła.

W pokoju leżały zwaly kurzu. Ściany niegdyś musiały być bladoniebieskie, ale teraz stały się ciemnoszare i pokryły się smugami wilgoci. Stało tu pojedyncze żelazne łóżko z zapadniętym materacem z końskiego włosia, bez pościeli i koca.

Poza tym było tylko drewniane krzesło ze złamanym oparciem i małe wiktoriańskie biurczko, którego orzechowy fornir był spękany i szorstki.

Mimo tych niewygód nad ranem Laura usnęła na parę godzin. Kiedy się obudziła, zobaczyła na biurku tacę. Pod matową srebrną przykrywą znajdowała się na niej sałatka z wędzonego kurczaka, białej kapusty i kiszonych buraków. Świeżo upieczona bułeczka leżała na serwetce. Stała tam również szklanka białego wina o ostrym, cierpkim smaku, jakby było nieco skwaśniałe.

Laura najpierw nie tknęła jedzenia, ale w ciągu popołudnia zaczął jej dokuczać głód i skusiła się na parę kęsów. Z nie wyjaśnionego powodu przypomniały się jej potrawy babci.

Zapadła ciemność. Siedziała zgnębiona na skraju łóżka, czekając, nasłuchując, zastanawiając się, czyjej dozorczy zapomnieli o niej.

Zegar w holu na dole uderzył osiem razy.

Laury nigdy nie straszono, nie grożono jej ani jej nie zamykano. Rodzice zawsze się nią opiekowali, Edward zawsze się nią opiekował, a Danny traktował ją, jakby była z kruchej porcelany. Nie przyszło jej do głowy krzyczeć, walić w drzwi i domagać się, aby Cordelia Gray wypuściła ją na wolność. Wszystko, na co było ją stać, to siedzieć i czekać, żeby coś się stało, żeby ktoś przyszedł z wiadomością, że została oswobodzona. Albo że zostanie zabita.

O wpół do dziewiątej usłyszała na schodach kroki i głosy. Gdzieś na jej piętrze kłóciło się dwoje ludzi. Wydawało się jej, że to Maurice

i Cordelia Gray. Maurice powtarzał coś jak „egoizm, egoizm”, a Cordelia sarkąła:

–Jesteś taki bezwzględny. Dlaczego ty masz decydować o tym, co jest najbardziej właściwe?

–Ponieważ mam długie doświadczenie – powiedział Maurice. Stał prawie na wprost drzwi pokoju Laury, więc słyszała go wyraźnie.–Poza tym ojciec zawsze mnie pozostawiał takie decyzje i jeżeli sprzeciwiasz się mnie, to sprzeciwiasz się też ojcu.

–Ojciec nie jest Panem Wszchemmogącym, Maurice. Nigdy nie był i nigdy nie będzie. Tylko dlatego tobie zostawił prawo decydowania o tym, kto powinien z tego korzystać, a kto nie, że sam nigdy nie potrafił zdobyć się na żadną decyzję, a ty z całej rodziny przeżyłeś najdłużej i jesteś mężczyzną. Jego słabość i wypadek Alberta nie uprawniają cię do kierowania rodziną.

–Niemniej – upierał się Maurice–nie dostaniesz dziewczyny.

–Co jest ważniejsze? – domagała się odpowiedzi Cordelia. – Mój wygląd czy matki? Minęło siedem lat, od kiedy matka mogła pokazać się publicznie. Jaką różnicę zrobi jej jeszcze jeden rok? Albo nawet dwa? Spójrz na moją twarz.

Spójrz na nią! Sam widzisz, co się ze mną dzieje. Jak mam dostać ten obraz w swoje ręce, jeżeli nie mogę pójść tam, gdzie chcę, jeżeli nie jestem czarująca?

Jeżeli nie jestem bardziej niż czarująca?

–Boże, jesteś taka próżna. Tylko to się dla ciebie liczy, prawda? Pełne podziwu spojrzenia młodych przystojnych mężczyzn. Nie potrafiłbym wymyślić dla ciebie lepszego nazwiska niż to, które sama wybrałaś – Sybil Vane.

–Nie znałeś Sybil – powiedziała Cordelia. W jej głosie zabrzmiała wyniosłość i ból.  
– Kochałam Sybil i była mi droga.

–Ją rzeczywiście to bardzo drogo kosztowało – ostro odpowiedział Maurice. – Zapłaciła najwyższą cenę za to uczucie.

–Nie tobie o niej mówić – powiedziała Cordelia. Nastąpiła pauza, a potem Cordelia powiedziała coś niezrozumiałego.

–Poczekam do świąt – powiedział po chwili Maurice – ale tylko tyle jestem gotów ustąpić. Sprawiedliwość wymaga, żeby dostała ją matka. Od czasu naszego powrotu nie zdobyłaś się na wizytę u niej; nie wiesz, jak bardzo jest chora. Całe to podróżowanie, a teraz powrót do Wilderlings. Przeżyła tu swoje największe triumfy

i największe tragedie. Ten przyjazd był dla niej źródłem strasznego napięcia. Wiesz, że nie przyjechałaby, gdybyś jej nie przekonała, że uda ci się znaleźć portret.

–Ale go znalazłam, prawda?

–Tak i gratuluję ci wytrwałości. Szkoda tylko, że go jeszcze nie mamy.

–Dostaniemy go, nie martw się. Wczoraj nie można było ryzykować. Żyją jeszcze ludzie w Okręgu Litchfield, którzy zabiliby nas wszystkich, gdyby dowiedzieli się, że wróciliśmy.

–Mówisz teraz jak matka. Przecież wszyscy zapomnieli. Cordelia nie odzywała się przez parę chwil, a potem zauważyła:

–Musimy dostać ten portret tak, żeby nikt nie dowiedział się, gdzie się podział ani dlaczego. Poprzednim razem fatalny błąd ojca polegał na tym, że tamci ludzie się dowiedzieli.

Nastąpiła teraz niewyraźna wymiana zdań, z której Laura nie mogła nic dosłyszeć, aż Maurice powiedział: –...ten kot.

–I o co ci chodzi? On był zupełnie jak Raca. A ty, czy kiedyś pomyślałaś o Racy albo zrobiłaś dla niego coś, co reszta z nas z takim zaangażowaniem robi dla samych siebie?

–Raca zdechł, Cordelio. Było szczytem głupoty ze strony Henry'ego narażać się na takie ryzyko. Kiedy jedno z nas umrze, nie można już go odtworzyć, sama wiesz. Dlatego musisz pomyśleć o matce.–Maurice przeszedł parę kroków wzdłuż korytarza. Potem dorzucił: – A poza tym Henry jest taki niezgrabny. Nadaje się jedynie do oprawiania świń.

–Myślałam, żeby dać dziewczynę Henry'emu – spokojnie powiedziała Cordelia.

–Nie żeby...?

Cordelia wybuchnęła wysokim, bezdusznym śmiechem.

–Oczywiście, że nie. Czy myślisz, że pozwoliłabym mu ją zniszczyć?

–Ona nie jest dla ciebie, Cordelio. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno.

–A nie moglibyśmy poczekać do świąt, aż zdecydujemy się, co z tym zrobić? Może mama i ja powinnyśmy zagrać o nią w remika; nie sądzisz, że to dobry pomysł?

–Czasem twoje pomysły mrożą mi krew w żyłach, Cordelio.

–Ale nie masz nic przeciwko temu, żeby Henry miał ją teraz?

–Czy to dla ciebie jest aż tak ważne?

–Cieszy mnie, kiedy Henry ma swoje dziewczątka – powiedziała figlarnie Cordelia – wtedy czuję, że to findesieclowe zepsucie, które we mnie tkwi, nie umarło. On bawi się nimi z taką ostentacją, jak za dawnych, berlińskich dni... Pamiętasz Klub Dodo?

–Pamiętam, jak upiłaś się creme-de-menthe i dostałaś zawrotów głowy po kokainie. Równocześnie.

–Jesteś najbardziej nadętym bratem, jakiego ziemia nosiła, Maurice.

–A ty, Cordelio – najbardziej rozpuszczoną siostrą.

Niespodziewanie Cordelia obróciła klucz w zamku i otworzyła drzwi pokoju. Laura cofnęła się w obawie, iż mogli sobie uświadomić, że słyszała ich rozmowę, ale Cordelia wkroczyła do skromnej sypialni z tak lodowatą elegancją i uśmiechając się tak łaskawie, jakby Laura była sprzątaczką, której nie najgorzej udało się wypolerować kratę przed kominkiem. Laura miała uczucie, że w Grayach jest coś staromodnego, tradycjonalizm głębszy niż zwykły konserwatyzm białych protestanckich rodzin z Darien, Westport i innych miejscowości Wschodniego Wybrzeża.

Cordelia miała na sobie czarną suknię bez ramion, obsypaną połyskującymi, czarnymi cekinami. Nosiła diamentowe grzebienie we włosach i diamentową kolię na szyi. Jej makijaż był utrzymany w kolorystyce trupiej bieli i mimo swej niewątpliwej urody zdawała się pozbawiona kropli krwi. Nawet jej wargi były białe.

Spojrzała na tackę z lunchem i uśmiechnęła się.

–Cieszy mnie, że coś zjadłaś – powiedziała. – Sophonisba nie rozpałała pod kuchnią od wielu, wielu lat, ale idzie jej coraz lepiej. – Zamilkła na moment, a potem dodała: – Wiesz, rozpuściliśmy się w Europie.

–Chcę zadzwonić do męża – powiedziała sztywno Laura.

–Ależ zadzwonisz, moja droga. Prawda, Maurice, że zadzwoni?

Maurice stanął w drzwiach, nienaganny w czarnym smokingu i koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Skłonił się nieznacznie, sztywno, w stylu Jamesa Masona.

–Oczywiście, będzie czas na wszystko.

–Chcecie mnie zabić? – spytała Laura.

–Zabić cię? – Cordelia z niedowierzaniem przycisnęła dłoń do białego dekoltu. – Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

–Ciągłe mówicie, że dacie mnie waszej matce albo Henry'emu, albo... – Laurze łamał się głos.

–Ależ nie powinnaś wyrabiać sobie o nas fałszywego sądu – • powiedziała Cordelia, obejmując ramieniem Laurę.

–Chodź, musisz zejść z nami i poznać resztę rodziny. Ty i Henry powinniście się zaprzyjaźnić.

–Proszę... – zaprotestowała Laura. – Chcę pojechać do domu.

Choć czuła silne i wyraźne pragnienie wyrwania się stamtąd, jednak nie mogła się zmusić, żeby o tym powiedzieć. Jak we śnie, jej wola została stępiona, rozbita i spętana. Zaczęło się jej wydawać, że jeśli będzie posłuszna, grzeczna i uśmiechnięta, wszystko będzie dobrze. Spojrzała w lustrzane oczy Cordelii i ujrzała w nich, że na pewno wszystko będzie dobrze.

–Ale nie powinno to trwać zbyt długo – powiedziała, dając prowadzić się Cordelii przez drzwi i wzdłuż korytarza. Gdzieś z dołu słyszała pianino, dziwną muzykę, która brzmiała jak grana wstecz.

–Oczywiście, że nie – uspokoiła ją Cordelia. Maurice, idąc za nimi trochę z tyłu, mruknął coś w tonie aprobaty.

Zeszli ze schodów do holu. Po lewej stały otworem drzwi do sali balowej. Bez wahania, trzymając Laurę pod ramię, Cordelia wprowadziła ją do środka. Tutaj pierwszy raz, Laura spotkała się rodziną Grayów.

Było ich tu co najmniej ośmioro. Skupili się wokół dużego fortepianu, na który narzucono brązowe, wyglądające jak szal przykrycie. Byli w strojach wieczorowych. Trzech mężczyzn, włączając w to Henry'ego, nosiło wysokie, sztywne kołnierzyki. Kobiety – a było ich pięć – ubrane były w różnobarwne suknie w kolorach zielonym, czarnym i purpurowym. Fasony tych toalet zdradzały wpływ różnych stylów-od epoki wiktoriańskiej po najlepszy okres księżnej Grace.

Henry zasiadał przy fortepianie; kiedy Laura i Cordelia weszły, oderwał dłonie od klawiatury i podniósł się z ukłonem.

–Marzyłem o chwili, w której panią zobaczę, wyglądając jej równie tęsknie jak Lapończycy nadejścia wiosny – powiedział.

–Henry lubi wyrażać się niejasno – rzuciła Cordelia kątem ust, kiedy Henry składał pocałunek na dłoni Laury.

–Oto mój wujek John – przedstawiła wysokiego, siwowłosego mężczyznę, który wystąpił naprzód, skłaniając głowę w ukłonie. Wuj John był równie blady i pomarszczony jak reszta Grayów. Jego twarz zapadała się jak kadłub butwiejącej łodzi.

–Czarująca – wymamrotał i wycofał się.

Kolejno Cordelia przedstawiła Laurę wujowi Belvedere'owi – bratu jej matki, szczupłemu, drobnemu mężczyźnie, z głową drgającą ciągle na skutek choroby Parkinsona; swej ciotce Willi – tęgiej kobiecie w zielonej sukni z jedwabiu, przyciasnej pod pachami; kuzynkom: Emily, Ermitrude i Norze – trzem młodzietkami, roz-świergotanym dziewczynkom w loczkach (Laura miała kłopoty z ich rozróżnieniem). Z tyłu stała siostra Cordelii, Alicia – wyglądała na młodszą, ale bardziej wątłą, oraz w końcu jej druga kuzynka, Netty – sparaliżowana i umieszczona w nie pasującym do tego otoczenia nowoczesnym fotelu inwalidzkim, z nogami przykrytymi różowym kocem. – Śpiewaliśmy – powiedział Henry. – To znaczy ja grałem, a reszta zabierała się do śpiewania.

–Ciotka Alicia mówi, że nie powinniśmy śpiewać zachichotała Ermitrude. – Ciotka Alicia mówi, że życie to tragedia.

–No, to proszę – powiedział Henry – zaśpiewamy o tym, że życie jest tragedią.

Zaczął grać tę samą, biegnącą do tyłu melodię. Pierścienie błyszcząły mu na palcach, kiedy wędrował nimi po klawiaturze. Laura stała bez ruchu, pełna lęku przed tym niezwykłym towarzystwem, a równocześnie zahipnotyzowana muzyką i przekonana, że opuszczając to miejsce, wyrzeknie się najwspanialszej przygody całego życia. Coś na nią czekało. Nie była w stanie wyobrazić sobie co, a nie przyszło jej do głowy, że może o to zapytać. Ale wiedziała, że będzie to coś ważnego. Śmierć pocałunkiem muska usta nam I bliski dzień żałoby, Anioły marmurowe już rzucają cień Na łąk zmrożone trawy.

Henry śpiewał to z wigorem, jak marszową piosenkę, a potem natychmiast przerzucił się na Burowie załatwili mi tatę.



Burowie załatwili tatę

Kiedy żołnierzem był

Nie podoba mi się mamy płacz

Nie podoba mi się mamy krzyk...

Wuj Belvedere, usłyszawszy to, wałnął dłonią na płask w pokrywę fortepianu i Henry zamilkł. Wszyscy spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Cordelia przesunęła się za plecy Henry'ego i powiedziała:

–To nie było bardzo na miejscu, nie sadsisz, Henry? Henry wstał. Nacisnął jeden klawisz, środkowe C, odczekał, aż dźwięk wygaśnie w ciszy, a potem zaniknął klapę.

–Proszę przyjąć moje przeprosiny, wujku – powiedział. – Sądziłem, że od tamtych wydarzeń upłynęło już sporo czasu.

–Dla ciebie może tak – odpowiedział Belvedere, zdartym piskliwym głosem. – Ale są tacy wśród nas, którzy będą o tym pamiętać do kresu swych dni.

–Już cię przeprosiłem – powtórzył Henry i szybko opuścił salę, przechodząc do holu. Stał tam z rękami na biodrach i głową zadartą na znak wściekłości.

Cordelia wyszła za nim, dając znak Laurze, aby ją naśladowała. Laura poczuła ulgę, że może opuścić rodzinę Grayów, i wyszła za nią.

–Hę potrwa, zanim dostaniemy ten portret? – spytał Henry w rozdrażnieniu. – Wuj Belvedere z każdym dniem robi się coraz bardziej nie do zniesienia.

–W niedzielę spróbujemy jeszcze raz – uspokajała go Cordelia. – Jeżeli dopisze nam szczęście, pan Halperin wyjdzie coś przegryźć.

–Jesteś całkowicie pewna, że on go ma?

–Nie mam żadnych wątpliwości. Pan Astengo twierdzi, że widział to sam w pracowni Halperina. Henry wziął Cordelię pod ramię.

–Nie mogę nie podziwiać twojej inteligencji – powiedział. – Nigdy nie przyszłoby mi do głowy sprawdzenie wszystkich konserwatorów obrazów na północnym wschodzie Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o telefonowaniu do nich.

Cordelia uśmiechnęła się.

–Do tego czasu Maurice jest skłonny pozwolić ci się zabawiać

tą młodą damą. Przynajmniej dopóki nie zdecydujemy, co z nią zrobimy.

–Proszę, proszę, co za uprzejmość – powiedział Henry. Obrócił się do Laury i obejrzał ją od góry do dołu z nie tajoną przyjemnością. – A kiedy zdecydujecie?

Ty i godny szacunku Maurice?

–Na święta – powiedziała Cordelia. – Masz więc parę dni.

–Dziękuję ci.

–Pamiętaj tylko o jednym – ostrzegła go Cordelia. Henry uśmiechnął się z afektacją.

–Proszę bardzo, spróbuję. T o zniszczyłoby wszystko, co ma przypaść tobie lub ciotce Isobel, prawda? Nie miałybyście o co walczyć. Ale tak też jest piękna.

Mam nadzieję, że mnie nie poniesie.

Laura nie przestawała myśleć: Muszę zadzwonić do Danny'ego, muszę stąd uciec.

Ale im dłużej powtarzała te słowa, tym bardziej traciły sens. Stojąc koło Cordelii i Henry'ego, nie czuła autentycznej ochoty do ucieczki. Wobec aury rodziny Grayów stała się tak bezbronna, jak owad spowity w pajęczynę.

–Chodź – powiedział Henry, wskazując jej drogę przez hol ku schodom. Szła za nim posłusznie. Wydawało się jej, że wzory, w jakie była ułożona posadzka, rozjeżdżają się pod zupełnie nieprawidłowymi kątami. Kiedy zaczęła wchodzić po schodach, stopnie zdawały się wieść na dół. I mówiła sobie: Muszę powiedzieć Danny'emu, gdzie się znalazłam, ale nie wiedziała nawet, kim jest Danny.

Henry przeprowadził ją przez całe piętro, do dużej sypialni z podwójnymi drzwiami, które otworzył z ukłonem. Kiwnięciem głowy wskazał, że ma wejść do środka. Laura zawahała się przez sekundę, usiłując odgadnąć z jego oczu, o czym myśli, ale jego oczodoły mogłyby równie dobrze zawierać szlifowane kulki łożyskowe, tak były wymowne.

W sypialni stało szerokie łóże z wezgłowieм rzeźbionym w ciemnym, zakurzonym teraz dębie. Zasłony były na wpół zasunięte, ale Laura dostrzegła słaby poblask śniegu za oknem. W pokoju stała również niewygodna otomana, duża szafa i rokokowe francuskie biurko.

Henry zamknął drzwi i obrócił klucz w zamku.

–Czasem musisz wybaczyć mojej rodzinie – powiedział. – Z upływem lat stali się więźniami swoich wspomnień.

–Dlaczego ta piosenka tak zdenerwowała twojego wuja?

–Cóż – uśmiechnął się Henry, nonszalancko zrzucając smoking i kładąc go na otomane – ona zawsze przypomina mu o Albercie.

–Albercie?

–Mój kuzyn. Wiesz, został zabity.

–Ale chyba nie w wojnie burskiej.

Henry wyjmował spinki z mankietów koszuli. Spojrzał na Laurę ze zdziwieniem i roześmiał się.

–Proszę – powiedział – czuj się swobodnie.

–Nie rozumiem.

Henry podszedł blisko i wziął ją w ramiona. Patrzył jej w oczy przez długi czas.

Nie potrafiła osądzić, ile to faktycznie trwało, ale wydało się jej, że znów słyszała bijący zegar. Wszystko, co zapamiętała, to cudownie zarysowane usta Henry'ego, cicho mówiące, co ma robić.

–Teraz jesteś moja. Czy to rozumiesz? Należysz do mnie. Jesteś moją służką i zrobisz wszystko, co ci każę, bez wahania. Twoja wola całkowicie podlega mojej.

Nie ma takiej rzeczy, której byś dla mnie nie zrobiła.

Laura stała uległa. Skłoniła głowę.

–Będę dla ciebie łagodny – mówił jeszcze ciszej – możesz być spokojna, chyba że spróbujesz mi się opierać, a wtedy będę musiał surowo cię ukarać. Kiedy mnie rozgniewasz, zawsze będziesz prosić o karę. Kara nie będzie wymierzana, jeżeli o nią nie poprosisz, ale też nie będziesz rozgrzeszona ze swych win, jeżeli nie zostaniesz ukarana.

W końcu odwrócił się, przeszedł przez sypialnię i znikł w bocznej garderobie.

Wrócił ze staromodnym aparatem fotograficznym Hasselblada i trójnogiem, który ustawił u stóp łóżka. Laura patrzyła na niego tępo. Czuła się tak, jakby zabrakło jej energii do poruszania się i mówienia.

–Rozbierz się teraz – powiedział Henry. – Chcę, żebyś była kompletnie naga.

Jeszcze raz poszedł do garderoby i wrócił z reflektorem na statywie i srebrnym, fotograficznym ekranem. Rozmieszczył te przedmioty po obu stronach łóżka; włączył i momentalnie wyłączył lampę sprawdzając, czy działa.

–Ależ nie rozebrałaś się – powiedział. – Pozwól, że ci pomogę. Światło reflektora pozostawiło na siatkówce Laury jasnozielony obraz, tańczący w przestrzeni. Po jego drugiej stronie pojawił się Henry i chłodnymi rękami, z twarzą pozbawioną wyrazu, zaczął rozpinąć jej bluzkę.

–Jestem najszczęśliwszym i równocześnie najbardziej nieszczęśliwym z mężczyzn – powiedział. – Poznałem najbardziej zachwycające kobiety świata, zarówno te, które wczoraj były dziećmi, jak i te, które rozbłysły pełnią zmysłowej dojrzałości.

Fotografowałem ich setki. Ale to wszystko, co mogę uczynić. Nie jestem w stanie ich osiąść. Sprzeczne z naturą ograniczenia mojej cielesnej powłoki nie pozwalają mi na zaspokojenie żądz. Dlatego muszę zadowolić się filmem, negatywami i przezrociami. Jakże celne to słowa! Negatywy i przezrocza.

To wszystko, co dane mi jest kochać. Zbiorowisko duchów.

Laura słyszała go bardzo słabo. Oczy miała teraz półprzymknięte i wydawało się jej, że zapada w półsen. Czuła, jak palce Henry'ego rozpinają mankiety bluzki, a potem ściągają ją z ramion. Pochylił się i sięgnął do zapięcia biustonosza, wionąc jej zimnym oddechem w szyję. Poczowała zapach wody kolońskiej. Potem obnażył jej piersi i koniuszkami palców z niewysłowioną delikatnością przebiegł wokół krągłości każdej z nich. Przez moment objął i uniósł ich ciężar, pieścił każdą sutkę, aż zmarszczyły się i zeszywniały.

Teraz jego ręce przesunęły się wzdłuż jej boków. Zadrżała. Rozpiął jej spódniczkę i pozwolił, aby upadła na podłogę. Bez wysiłku uniósł ją i przeniósł na łożo.

Otworzyła oczy i patrzyła na niego. W świetle lampy był niezwykle przystojny.

Była w stanie uwierzyć, że przeżywa romans z czasów regencji, niesiona do łóżka przez rozkochanego w niej młodzieńca. Ale w Henrym było coś nieskończenie zepsutego i zimnego, jakiś podstawowy brak ludzkich uczuć, co było zarazem podniecające i przerażające. Bała się go, ale równocześnie pożądała. W jej umyśle nie było śladu po Dannym, domu, bezpieczeństwie czy chęci ucieczki.

Henry położył ją na łożku. Potem ukląkł obok niej, pochylił się i pocałował ją w usta, dziwnym, skromnym pocałunkiem z zaciśniętymi wargami.

–Nie masz pojęcia, jak cię pożądam – powiedział.

Schylił głowę i całował każdą z jej piersi. Jego usta dotykały jej sutek, pobudzając je znowu. Jego złożone palce przebiegły między jej nogami.

–Henry – odezwała się głosem, który brzmiał tak, jakby słyszała go po raz pierwszy w życiu.

Nie odpowiedział. Łagodnie ściągnął jej białe bawełniane majtki i odrzucił na bok. Przez ulotną część sekundy jego najdłuższy palec przebiegł w dół stulonego zamknięcia jej sromu, ale mimo że znów zadrżała, wstał, uśmiechnął się i odszedł.

–Pociągasz mnie jak najlepsze z nich – powiedział. Dłoń trzymał zaciśniętą na ustach; ledwo słyszała, co mówi.

–Czego chcesz? – spytała.

Podszedł do reflektora i zapalił go, pokrywając łożo oślepiającym białym światłem.

–Chcę ci zrobić zdjęcia – powiedział. – Chcę cię dołączyć do mojej kolekcji.

Pochylił się nad hasselbladem i nastawił go.

–Nie chcę, żebyś pozowała. Chcę tylko, abyś słuchała tego, co mówię, i próbowała to sobie wyobrazić. Pamiętaj, jesteś moja. Nie posiadasz własnej duszy. Czymkolwiek każę ci być – staniesz się tym bez wahania. Jesteś sługą i jak sługa musisz drzeć przed swym panem.

Laura leżała naga na łożu, patrząc w sufit. W jasnym świetle czuła się tak, jakby wielu ludzi obserwowało ją z ciemności. Obronnym gestem położyła dłonie na piersiach i natężając wzrok, usiłowała sięgnąć nim poza krąg światła. Wszystko, co potrafiła dojrzeć, to zgarbiona sylwetka Henry'ego, pochylonego nad aparatem i refleksy odbijające się w obiektywie.

–Jesteś szwedzką dziewczyną, blondwłosą i niebieskooką, porwaną podczas wakacji przez arabskiego handlarza niewolników, caboceer. Założono ci łańcuchy na kostki i uwięziono w głąb pustyni w karawanie czarnych niewolnic. Twoją białą skórę chronią przed słońcem zawoje białych, powiewnych burnusów. W końcu przybywasz do oazy, w serce pustyni, i tu masz zostać sprzedana.

Laura zamknęła oczy. Ledwo dochodził do jej uszu stłumiony trzask aparatu Henry'ego. Ale słyszała cichy, suchy szmer piasku wiejącego nad diunami; słyszała chrapnięcia wielbłądów i trzepota nie płótna namiotów; nieomalże widziała promienie zachodzącego na czerwono słońca, kładące się plamami na oazie.

Zaprowadzono ją do namiotu. Na ziemi rozłożono czerwony wełniany dywan; otoczyło ją światło dymiących pochodni. Poprzez ich blask widziała krąg twarzy Arabów, mężczyzn o zakrzywionych nosach, odzianych w czarne szaty; Nubijczyków w jasnych dzela-bach; Tauregów o twarzach zasłoniętych aż po oczy, dumnie noszących zakrzywione sztylety w pochwach wysadzanych drogimi kamieniami. W powietrzu unosił się zapach płonącego drewna, tłuszczu z jagnięcia i przypraw, zmieszany z ostrzejszą wonią ludzkiego potu. Kiedy ktoś klasnął w ręce, rozległy się głośnie dźwięki bębna, a równocześnie paru mężczyzn zaczęło klaskać i tupać w zawiłym rytmie.

–Ona będzie tańczyła dla was! – ogłosił ktoś stojący blisko niej. Jednym

szarpnięciem zerwano z niej białe szaty i nagle znalazła się naga przed pożądanymi twarzami jej ewentualnych właścicieli.

W rytm uderzeń bębna Laura rozpoczęła taniec, najpierw elegancki i powolny, przesuwając rękami po włosach, kołysząc biodrami. Kiedy rytm zaczął się wzmacniać, przebiegła rękami po ciele, w górę i w dół, gładząc piersi. Arabowie krzyčili do niej i zachęcali ją, a jeden z nich wypuścił białą papugę. Oszałały ze strachu ptak fruwał w kółko po namiocie.

Laura wiła się i obracała tak prowokacyjnie, jak tylko potrafiła, czasem zbliżając się do mężczyzn tak blisko, że czuła zapach jagnięcia i lukrecji w ich oddechach. Ciało spływało jej potem i świeciło w blasku pochodni, a mokre włosy przyległy do głowy. Spod samej ściany namiotu obserwował ją kompletnie nagi, może czternastoletni chłopiec; jego oczy były spokojne i wrażliwe, penis na wpół uniesiony.

Teraz uklękała, wyginając kręgosłup, rozwierając uda. Bębnienie przeszło w gorączkowy i oszalamiający werbel. Arabowie krzyčili, klaskali i stawali się coraz bardziej podnieceni, nie odrywając ani na chwilę płonących oczu od jej ciała. Sięgnęła w dół obiema rękami i rozwarła się przed nimi połyskliwą różowością, szerzej i szerzej, dając im wszystko, czego chcieli – swą intymność, swą godność, swoje pożądanie, samą duszę.

Czuła, jak rośnie w niej orgazm, jak zaczynają prężyć się mięśnie brzucha; zagryzła zęby i miotła głową z boku na bok. Ale kiedy

znalazła się na samej krawędzi, jasne światło nagle zgasło, namiot zapadł się, pustynia zniknęła, oaza wyschła... i leżała naga na dziwnym, zakurzonym łożu w ponurym pokoju, dysząc, spocona i wyczerpana.

Bębnienie zamieniło się w uparte pukanie. Henry podszedł do drzwi, a Laura leżała na łożku, oszołomiona i niezdolna zrozumieć, gdzie się znalazła ani co się stało. Henry otworzył drzwi.

–O co chodzi, Maurice? – spytał niecierpliwie. – Powinieneś wiedzieć, że jestem zajęty.

–Radzę ci tylko, drogi chłopcze – powiedział Maurice – żebyś zachowywał się tak cicho, jak tylko potrafisz. Mamy tu policję.

–Proszę bardzo-powiedział Henry i powrócił do łoża. Podał rękę Laurze i uśmiechnął się. – Świetnie się spisałaś, moja droga. Masz dużo większą wyobraźnię, niż oczekiwałem.

Laura, niezdolna wykrztusić słowa w odpowiedzi, ujęła jego rękę i niepewnie wstała.

–Teraz możesz się ubrać – powiedział Henry. – Jeśli zajrzysz do szafy, tej po lewej, znajdziesz tam wiele sukienek. Wszystkie są czarne, ale jesteś sługą, więc i tak musisz nosić czerń. Są tam też buty. Nie będziesz nosiła bielizny. To jest zabronione.

Laura skinęła głową. Henry wziął ją za ramię i pocałował w czoło.

–Mamy czas do świąt – powiedział. – Cztery dni! Dość czasu na kilka moich najwspanialszych wypraw. Czy byłaś w Berlinie, w Klubie Salambo, gdzie mężczyźni tańczą z nagimi kobietami? Czy kiedykolwiek byłaś w burdelach Tajlandii?

–Nie – szepnęła Laura.

–Popłyniesz tam – obiecał Henry, całując ją znowu.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Darien, 18 grudnia George Kelly pokazał swoją odznakę i zapytał:

–Czy pan Maurice Gray.

Wuj John uśmiechnął się niewyraźnie.

–Przykro mi – odpowiedział. – Żałuję, ale nie.

–Czy zastaliśmy go?

–Nie jest mi to wiadome.

Jack, stojąc obok George'a z twarzą osłoniętą uniesionym kołnierzem swojego kożuszka, wskazał w kierunku bocznej ściany domu.

–Tamten cadillac. Czy to własność Maurice'a Graya?

Wuj John potrząsnął głową. Mimo że śnieg sypał teraz mocno, a George i Jack przestępowali w progu z nogi na nogę, chcąc ogrzać marznące stopy, nie wykazywał chęci zaproszenia ich do środka.

–Jeżeli to nie jest własność Maurice'a Graya, to czyja?

–Obawiam się, że nie wiem.

George pociągnął nosem i cierpliwie pomasaował swoje dłonie w skórzanych rękawiczkach.

–Chcemy porozmawiać z Maurice'em Grayem w związku z dochodzeniem w sprawie o zabójstwo. To poważna sprawa, rozumie pan; paru ludzi zostało zabitych. Jeżeli porozmawiamy z nim, będziemy mogli wykluczyć jego osobę z dalszego śledztwa.

–Rozumiem. – Wuj John kiwnął głową.

–Jeżeli go nie ma, to czy może pan nas poinformować, kiedy pan się go spodziewa? – spytał Jack.

–Nie spodziewam się go.

–W takim razie być może wie pan, gdzie moglibyśmy go odnaleźć?

–Przykro mi, ale niestety nie wiem.

W tym momencie pojawiła się Cordelia, przecinając hol w swojej czarnej wieczorowej sukni.

–John-powiedziała-czy musisz zostawiać drzwi otwarte? Netty skarży się na przeciągi.

Spojrzała na George'a i Jacka, uśmiechając się zdawkowo, ale jej wzrok natychmiast powędrował gdzie indziej.

Jack patrzył na nią zafascynowany. Usiłował oderwać od niej wzrok, ale nie potrafił. Usiłował narzucić sobie rutynowy sposób myślenia, wyłącznie w kategoriach procedury śledczej obowiązującej szeryfa, ale nie był zdolny również do tego. Promieniowała tak lodowatą pewnością siebie, tak drapieżną erotyką, taką pogardą. Stała z lekko uniesioną głową, mrużąc oczy, jakby nie potrafiła skupić wzroku na komiwojażerach czy równie nieproszonych gościach. Jedną rękę manierycznie oparła o biodro.

A równocześnie, jeżeli opowieść Elmera Tweeda zawierała choć odrobinę prawdy i podejrzenia George' a były słuszne, ta kobieta była



blisko związana z psychopatycznym mordercą. Możliwe, że sama była zamieszana w morderstwo.

Jack uważał ludzi zabijających innych za nudnych i nieporadnych. Nie było w nich nic tak porywającego, jak w Cordelii Gray. Nigdy nie czuł w ich obecności, że należy do niższej klasy społecznej. Ani też nie przyszło mu do głowy, że może stać się ich ofiarą.

–Jestem Cordelia Gray; siostra Maurice'a Graya. Kim panowie jesteście?

Jack starał się przedstawić tak wyraźnie i z taką pewnością siebie, na jaką go było stać.

–Nazywam się Jack Smith, proszę pani. Szeryf Jack Smith z Okręgu Litcheld. To jest George Kelly z Wydziału Policji w Da-rien.

Oczy Cordelii spoczęły na nim na krótko.

–Czego szukacie? – spytała.

–Szukamy kogoś o nazwisku Maurice Gray.

–Czy popełnił jakieś przestępstwo?

–Tego jeszcze nie wiemy, proszę pani. Ale jest bardzo istotne, abyśmy mogli z nim porozmawiać.

Cordelia zastanawiała się przez moment, a potem powiedziała:

–Nie możecie.

–Dlaczego? – spytał Jack. Czuł się wytrącony z równowagi i niepewny. Co więcej, stracił już czucie w palcach u nóg i był pewien, że wkrótce to samo stanie się z resztą jego stóp. Temperatura wynosiła osiem stopni poniżej zera i ciągle spadała.

–Moi drodzy ludzie, z bardzo wielu powodów. Nie ma go tu, a raczej jest, ale nie czuje się na tyle dobrze, aby spotykać się z obcymi. Nie będzie rozmawiał z nikim z policji bez obecności swojego adwokata. Maurice umarł w zeszłym roku. To znaczy żyje, ale czuje się tak, jakby umarł.

George mocno pociągnął nosem.

–Wybaczy pani, ale to, co pani mówi, nic nie wyjaśnia. My staramy się tylko wypełniać nasze obowiązki wobec prawa.

–Czy macie nakaz zatrzymania Maurice'a Graya?

–Nie, proszę pani, nie mamy.

–Czy macie dla niego wezwanie do stawienia się przed sędzią pokoju lub ławą przysięgłych?

–Nie, proszę pani, tego też nie mamy.

–A co z nakazem rewizji? George potrząsnął głową.

–W takim razie – powiedziała Cordelia – nie zatrzymujemy was. Wracajcie tylko wtedy, jeżeli będziecie mieli niezbędne dokumenty. Byliśmy przez długi czas w Europie, ale teraz, kiedy powróciliśmy do Stanów, nie zamierzamy zrezygnować z przysługujących nam praw, zagwarantowanych przez konstytucję.

Jack miał coś na końcu języka, ale George mocno ścisnął go za ramię i powiedział:

–Chodźmy, Jack. Ta pani ma rację. Nie powinniśmy się narzucać, zwłaszcza kiedy nie mamy nakazu.

Jack zerknął na niego, ale George dalej był grzeczny i ustępliwy.

–Proszę, łaskawa pani – powiedział, wyjmując z kieszeni wizytówkę i podając ją Cordelii. – To jest mój służbowy numer telefonu. Jeżeli Maurice Gray uzna, że choćby ze względu na dobro publiczne warto z nami pogadać, będzie nam miło. Do tego czasu może uda nam się przygotować jakieś nakazy.

Cordelia nie wykazała ochoty sięgnięcia po wizytówkę. Ręce trzymała opuszczone po bokach. Ale George nie przejął się tym. Wsadził z powrotem wizytówkę do kieszeni, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

–Znajdzie mnie pani w książce telefonicznej. Proszę zajrzeć pod „Gliny”.

Nastąpił moment, w którym Jack i Cordelia szczepili się spojrzeniami tak wrogimi, jakby odgradzał ich drut kolczasty. Zwykle Jack z łatwością czytał w ludzkich oczach. Bywalcy policyjnych cel nigdy nie starali się zamaskować swoich uczuć.

Jeżeli nienawidzili cię z całego serca, nie kryli tego. Ale zło, które wzywało z oczu Cordelii, mieniło się niezwykłym bogactwem znaczeń; mogło oznaczać jedynie arogancję i próżność, ale też i zdolność do sadystycznych czynów o niewyobrażalnej wprost potworności.

–Chodźmy, Jack – powiedział George i po raz pierwszy Jack zrozumiał, że przy całej pozornej swobodzie George również obawiał się Cordelii. – Chodźmy gdzieś na kawę, zanim wszystkie członki nam poodpadają.

Jack i George oddalili się od domu, krocząc po zaśnieżonym podjeździe. Kiedy usłyszeli trzask zamykanych drzwi, Jack obejrzał się, ale George znowu złapał go za ramię i pociągnął za sobą.

–Od spojrzenia tej kobiety kurczą się nawet palce u nóg – zauważył Jack. George podniósł palec do ust wskazując, że powinni zaczekać z rozmową, zanim nie wsiądą do wozu.

Kiedy doszli do chevroleta silverado George'a, przednia szyba była prawie niewidoczna spod świeżo spadłego śniegu.

–Stawiam pensję z dwóch miesięcy, że ten cadillac stojący na dworze należy do Maurice'a Graya, a z następnych dwóch, że Maurice Gray był w domu – powiedział Jack, kiedy George zapalał silnik kombi, włączał wycieraczki i ruszał spod Wilderlings.

–Wygrałbyś łącznie kupę forsy, ale ja nie stawiam, żeby przegrać.

–No, to dlaczego tak szybko wycofaliśmy się?

–Podaj mi papierosy, dobra? – poprosił George. Prawą ręką wytrząsnął jednego z paczki i wsadził między grube, zmysłowe wargi. – Wycofaliśmy się, ponieważ ci ludzie są bardzo bogaci, a także dlatego, ponieważ nie są głupi i ponieważ nie mamy nakazu rewizji i nie dostaniemy go, chociaż byśmy się wściekli.

–Mamy zeznania Elmera Tweeda.

–One nie są warte kurzego gówna, zwłaszcza jeśli chcemy dzięki nim dostać nakaz dotyczący rodziny Grayów.

George zapalił papierosa i przesunął go z jednego kącika ust do drugiego.

–Grayowie mogli sobie mieszkać w Europie przez ponad siedemdziesiąt lat, ale nadal mają tu wpływy. Posiadają dużo ziemi i nieruchomości i jest dobre parę rodzin w Darien, które nadal uważają ich za swoich przyjaciół.

–Dowiedziałeś się, dlaczego pojechali do Europy?

–Nikt nie wie tego na pewno. Sprawdziłem w archiwum prasowym, ale nie ma tam nawet wzmianki, że wyjechali. W jednym tygodniu Grayowie funkcjonowali jako ogólnie szanowana rodzina, a zaraz potem już ich nie było.

–Nikt osobiście ich nie pamięta? Żaden stary mieszkaniec?

–Jednego udało mi się odszukać. To pani Elizabeth Cartwright. Mieszka teraz w Stamford, ale za dawnych dni ona i jej rodzina mieszkali obok Wilderlings, w domu, który nazywali Karafka. Jako mała dziewczynka bawiła się w sadzie Grayów i mówiła, że pamięta, jak w sierpniu niektóre panie przechadzały się pod jabłoniemi. Pani Cartwright mówi, że to były piękne kobiety. Piękne. Pamięta głowę

rodziny. Algernona Graya i jego żonę Isobel. Pamięta też niektóre kuzynki. Bawiła się kiedyś z nimi i grała w krykieta, chociaż one rzadko odwiedzały Wilderlings. Jedna z dziewczynek nazywała się Ermitrude, imiona pozostałych zapomniała. W każdym razie pewnego dnia przyszła się pobawić i wszystkie kufry były zapakowane i stały na zewnątrz. Cała rodzina po prostu wyjeżdżała, kuzynki też i nigdy ich więcej nie zobaczyła. Pamięta tylko, że wszyscy byli bardzo przejęci. Isobel Gray miała założoną czarną woalkę i płakała. Jack opierał się całym ciałem o tył fotela i wydymał policzki z rozdrażnieniem.

–A co z wydziałem paszportowym? Dostałeś coś od nich?

–Zero. Rodzina Grayów przyleciała do Bostonu osiemnastego listopada, bezpośrednim lotem Sabeny z Brukseli. Paszporty i odprawa celna w porządku. Żadne z nich nie figuruje w kartotekach w Europie, żadne z nich nie należało do partii komunistycznej, o żadnym z nich nie wiadomo, aby miało powiązania z jakąkolwiek wywrotową czy terrorystyczną grupą. Nie przewozili narkotyków, broni, noży ani pornografii.

–Może nam się coś wydaje. Może Maurice Gray nie ma żadnego związku z tymi morderstwami i obdzieraniem ze skóry.

–Może nie. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy mieli to tak zostawiać, nie dowiedziawszy się niczego o tej rodzinie.

–George, to nie jest twój problem.

–Wiem, że to nie jest mój problem, ale jestem ciekawy. Ci ludzie mnie interesują, a ciebie nie? Takich jak oni nie spotyka się codziennie. Nawet w Darien. Bardzo szykowni, zauważyłeś? Wieczorowe stroje, drogie perfumy. A równocześnie dom wygląda na bardzo zniszczony. Robią wrażenie rodziny z horroru; kamerdyner powinien nosić siekierę pod smokingiem.

–Coś cię gryzie – powiedział Jack.

–Po prostu zaspokajam moje naturalne i godne pochwały zainteresowanie sprawami lokalnymi – wyjaśnił mu George. – Podobno mam sprawować policyjny nadzór nad tym okręgiem, zgadza się? W takim razie powinienem wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Kto tam mieszka i co to za ludzie.

–Co więc proponujesz?

Zobaczyli przed sobą stację benzynową. Jasne światło rozmywało się w wieczornym śniegu.

–Napijesz się kawy? – spytał George.

–Jasne – odpowiedział Jack.

Zajechali przed małą knajpkę, sąsiadującą ze stacją, i wysiedli z kombi. Kiedy szli do drzwi po nie udeptanym śniegu, George położył Jackowi rękę na ramieniu.

–Słuchaj, wracaj do Litchfield na parę dni, przynajmniej aż święta się nie skończą. Potrzebuję trochę czasu na zebranie tylu dowodów, żebyś mógł dostać nakaz.

–Jak się do tego weźmiesz?

–Zacznę od wmówienia sobie, że Najwyższy Sędzia wydał mi ważne pozwolenie na przeszukanie Wilderlings od strychu do piwnic i wszędzie, gdzie się da, pomiędzy nimi.

–A co się stanie, jak cię ktoś przy tym nakryje? \_ Nie nakryje. Te wprawki na środkowym Manhattanie czegoś mnie nauczyły. \_ Nie powiem, żeby mi się podobało, że ty masz nadstawiać głowę. Nie mówiąc o tym, że każdy dowód, jaki znajdziesz, będzie pozbawiony mocy prawnej. Nielegalne przeszukanie.

–Są sposoby na nadawanie mocy prawnej. Zaufaj mi. Jack trzymał na wpół otwarte drzwi i ktoś ze środka zawołał:

–Wchodzicie czy wychodzicie, dupki?

–Chodźmy wypić tę kawę – powiedział Jack. – Ale dam ci dwie przestrogi.

Pierwsza: nie rób tego. Druga: jak będziesz to robił, nie daj się złapać.

George uśmiechnął się i mrugnął. \_ Mówisz do profesjonalisty, chłopczyku. Zaufaj mi. Odpłacimy pięknym za nadobne tym Grayom. No, może niczym pięknym, ale odpłacimy.

Podczas drogi powrotnej na posterunek George'a nie zamienili zbyt wielu słów.

Uścisnęli sobie ręce i złożyli życzenia wesołych świąt; potem Jack zabrał z parkingu swoje kombi i pojechał do Torrington. Śnieg przestał padać i okazało się, że mógł rozwinąć niezłą szybkość. Pruł sam po szosie; pojedynczy samochód w krainie śmiertelnej bieli.

Wiedział, że powinien się uprzeć i kazać George'owi trzymać się z daleka od Wilderlings. Nawet zastanawiał się, czy po dojechaniu do Torrington nie zadzwonić do niego i nie zażądać, by zrezygnował ze swoich planów. Najbardziej gnębiło go, że George może

znaleźć jednoznaczne dowody na związek Maurice'a Graya z przypadkami obdzierania ze skóry, a sąd odrzuci te dowody, ponieważ zostały zdobyte nielegalnie, wbrew konstytucyjnym prawom oskarżonego. Z drugiej strony wiedział, że Elmer Tweed ze swoją niepewną przeszłością jest niewiarygodnym świadkiem i żaden sędzia nie wyda im nakazu, opierając się tylko na zawikłanych, histerycznych opowieściach Tweeda o strzykawkach, rykach i tajemniczych wywodach podejrzanego na temat piękna ludzkiej skóry.

Było dziesięć po jedenastej, kiedy dotarł do biura. Cały sztywny wygramolił się z kombi i potykając się ze zmęczenia, wszedł do holu dla interesantów. Norman Goldberg siedział za biurkiem, rozmawiając przez telefon, ale kiedy ujrzał Jacka, podniósł rękę na znak, że chce z nim zamienić słowo.

–Tak, proszę pani – mówił Norman. – Przykro mi, proszę pani. Nie, obawiam się, że to niemożliwe. Nie. Musi pani załatwić to z mężem. No tak, może pani obudzić go teraz, ale dlaczego nie zrobić tego jutro rano?

Jack oparł się o biurko i rozcierał sobie twarz rękami.

–Co jest grane?

–Ta pani chce wiedzieć, czy moglibyśmy aresztować jej męża.

–Za co?

–Przyjechał do domu po męskiej popijawie, wpadł w poślizg na podjeździe i skasował tył jej nowego topaza. Jack chrząknął z rozbawieniem.

–Zastanawiam się, czy to podpada pod awantury domowe czy pod wypadek drogowy.

Coś jeszcze?

–Tak. Miałeś telefon od doktora Serlinga z New Milford. Mówi, że chce z tobą porozmawiać o pewnym medycznym przypadku, jaki miał miejsce dziś po południu.

–Czy to pilne?

–Powiedział, że bardzo. Jak tylko będziesz miał czas. Jest w okręgowym w Litchfeld, kierunkowy czterysta dwadzieścia dwa. Jack ziewnął.

–Okay. Połączysz mnie?

Norman wystukiwał numer. Czekając na połączenie, zapytał:

–Jak poszło z Maurice'em Grayem?

–Nie udało się. Dotarliśmy do tego domu, ale jego rodzina

powiedziała, że go tam nie ma. A gdyby nawet był, to nie ma zamiaru z nami rozmawiać.

–No, spodziewałeś się przecież, że oni będą dziwni. Nie? Jack wyjął następną gumę do żucia i rozwinął opakowanie.

–Zgadza się. Tylko że zależli mi przy tym trochę za skórę. Potraktowali nas z takim szacunkiem, jakbyśmy byli z George'em parą komiwojażerów handlujących szczotkami Fullera.

–W dzisiejszych czasach rynek zbrodni to rynek klienta, szeryfie.

Norman połączył się ze szpitalem i po krótkiej zwłoce usłyszał głos doktora Serlinga. Podał słuchawkę Jackowi, a potem rozparł się z rękami złożonymi na dużym brzuchu.

–Doktor Serling? Tu szeryf Jack Smith z Torrington.

–Ach, dzięki za telefon, szeryfie. Spotkaliśmy się parę razy. Pamięta pan ten piknik organizowany przez Instytut Onkologii w Kent Furnace? Ucieliśmy tam sobie niezłą pogawędkę na temat obdukcji zwłok.

–Tak, doktorze. Pamiętam. W czym mogę pomóc?

–Otóż tak – powiedział doktor Serling – miałem dziś do czynienia z poważnym przypadkiem samookaleczenia. Jest to mój młody pacjent, paraplegik, o nazwisku Ben Miller. Parę lat temu został sparaliżowany od pasa w dół. Spadł z dachu. Od tego czasu miewa okresy depresji, a czasem hysterii – co jest, rzecz jasna, zrozumiałe, ponieważ stracił jakąkolwiek szansę na normalną przyszłość.

–Ale co się stało? – spytał zniecierpliwiony Jack.

–Stało się to, że tego wieczora pociął sobie twarz i chirurg początkowo sądził, że nie wyżyje. Stracił dużo krwi, jego system nerwowy jest uszkodzony, a on sam nadal znajduje się w stanie psychologicznego i fizjologicznego kryzysu.

Jack potarł czoło. Czuł, jak w głębi jego czaszki zaczyna narastać potężny ból głowy.

–To wszystko jest bardzo przykre, doktorze. Nie wiem tylko, co ja mogę na to poradzić.

–Otóż mam nadzieję, że to nie zabrzmie śmiesznie...

–Nie, nie, doktorze, proszę mi zaufać...

–Rozumie pan, słyszałem, że usiłuje pan rozwikłać te straszne morderstwa, w których ludzie byli żywcem obdzierani ze skóry...

–Zgadza się.

–Otóż Ben Miller, zanim dokonał tego aktu samookaleczenia, przez kilka dni był bardzo niespokojny. Przede wszystkim dlatego, że ktoś lub coś powróciło, ktoś lub coś mu zagraża, a potem, tego popołudnia wpadł w panikę sądząc, że ktoś chce jego skóry. Postanowił, że cokolwiek by się stało, nikt mu jej nie zabierze.

Jack powoli wyprostował się. Norman, czując, że to, co mówi doktor Serling, nagle okazało się istotne, podniósł się również.

–Co dokładnie powiedział? – spytał Jack. – „Nie ważcie się zbliżyć!”, a potem: „Róbcie, co chcecie, ale nie dotykajcie mojej skóry!” Jack milczał przez chwilę, aż wreszcie zapytał:

–Czy Miller, zanim się okaleczył, był na coś chory? Fizycznie bądź psychicznie?

–Tak początkowo sądziłem. Podejrzałem, że to dają o sobie znać uboczne skutki niewłaściwej pracy nerek. Ale tego wieczoru, podczas operacji, okazało się, że nerki funkcjonują wręcz niezwykle prawidłowo, zważywszy na fakt, że jest sparaliżowany.

–W jakim stopniu bywał podatny na sugestie?

–Nie panował nad swoją psychiką, jeśli o to panu chodzi. Od czasu do czasu miał wybuchy furii, ale jest to rzecz normalna u wielu ludzi przykutych do wózka inwalidzkiego.

Jack próbował jaśniej wyrazić swoje podejrzenia.

–W istocie chodzi mi o to, że mógł usłyszeć o tych morderstwach i obdzieraniu ze skóry i wbił sobie do głowy, że zabójca chce dostać również jego. To zdarza się bardzo często, nawet wśród zupełnie normalnych ludzi.

–Ben Miller nie jest wariatem, szeryfie-powiedział sztywno lekarz.

–Przepraszam – odpowiedział Jack. – Nie to chciałem powiedzieć. Po prostu mówię, że kiedy seria morderstw staje się głośna, to nie jest rzeczą niecodzienną, że niektórzy ludzie o nie najmocniejszej strukturze psychicznej zaczynają -jak to nazwać – w przesadny sposób obawiać się identycznego końca.

–Nieży z pana psycholog, szeryfie.

–Z konieczności – odparł Jack. Był zbyt zmęczony na sarkazm.



–Zgoda. Przyjmuję pański punkt widzenia. A zresztą to, co usiłuję przedstawić, nie jest zbyt logiczne. Z tym się również zgodzę. Ale Ben Miller, po wypadku, w którym złamał kręgosłup, znalazł się bardzo blisko śmierci. W sensie klinicznym, przez krótki czas, faktycznie nie żył.

–Nie wiem, czy do końca pana rozumiem.

–To nie jest łatwe do wytłumaczenia. Ale ofiary wypadków, które przeszły śmierć kliniczną, prawie zawsze wynoszą z tego przeżycia niezwykle uwrażliwienie na śmierć i niebezpieczeństwo. Istnieje wiele takich udokumentowanych przypadków.

Właśnie zeszłego roku pewna kobieta z Seattle, która będąc nastolatką, nieomalże zginęła w wypadku, uratowała swoje dziecko, wyprowadzając je z miejsca budowy na sekundy przed zawaleniem się rusztowania. Potem twierdziła, że naprawdę widziała tę katastrofę, zanim się rozpoczęła.

–Doktorze, to bardzo interesująca historia, ale...

–Proszę mnie posłuchać – przerwał mu doktor Serling. – Jestem równie sceptyczny jak pan; może zresztą bardziej. Ale przez cały wieczór, gdy on leżał na stole chirurgicznym, rozmawiałem z matką Bena i wierzę, że jego przypadek jest przynajmniej wart dokładniejszego zbadania. Ben mógł wyczuć albo wyobrazić sobie coś, co wy w ramach waszej zwykłej policyjnej procedury mogliście pominąć.

–Doktorze-powiedział Jack.-Powiem panu, co zamierzam zrobić. Przyjadę jutro rano, powiedzmy o jedenastej, do pana do szpitala i porozmawiamy na ten temat.

Może uda mi się również zobaczyć Bena Millera. Proszę nie sądzić, że nie doceniam tego, że pan zadzwonił. Doceniam. Jestem tylko trochę zmachany, to wszystko. Zawsze ciekawiły mnie zwariowane teorie. Sam nawet trochę interesuję się okultyzmem. Moja żona ma przyjaciółkę, która przepowiada przyszłość. Z liści herbaty, kart, nawet z tego, jak panu wyrastają włosy z nosa.

–Bardzo dobrze-powiedział doktor Serling.-Może o wpół do jedenastej. Będę czekał. Pokój czterysta pięćdziesiąt cztery w okręgowym szpitalu w Litchfield.

Kiedy Jack odłożył słuchawkę, Norman zapytał:

–O co chodziło?

–Nie wiem dokładnie. Doktor Serling uważa, że jeden z jego pacjentów może mieć nadprzyrodzone zdolności i wyczuł jakąś... jak to się mówi – aurę.

–Aurę?

–Och, sam się w tym nie mogę połapać. Chyba pojedę do domu i walnę się do łóżka.

–Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Norman, kartkując notes z odebranymi telefonami.

Jack czekał pośrodku holu, dzwoniąc kluczami.

–Tutaj. Dwa telefony od Aarona Halperina-wiesz, który to, to ten konserwator obrazów z Bantam; ciągle go przyskrzyniamy za jazdę na gazie-najpierw powiedział, że ktoś ukradł mu kota, potem powiedział, że znalazł tego kota w ogrodzie.

Jack nie mógł uwierzyć własnym uszom.

–Nie pozwalasz mi pojechać do domu do żony, bo pijanemu konserwatorowi obrazów zgubił się, a potem znalazł kot?

–Nie o to chodzi – powiedział Norman, trzęsąc głową. – Znalazł go na drzewie. Został oskórowany. Jack przestał potrząsać kluczami.

–Coś tu się zaczyna dziać – powiedział. – Coś bardzo, bardzo niemilego. Zrób mi kawę. Czarną, bez cukru. Zadzwonię najpierw do Nancy, żeby się nie denerwowała. Potem pojedę do szpitala okręgowego w Litchfield.

–Jedziesz teraz? W nocy?

–Myślisz, że jak nie pojedę, to będę mógł zasnąć?

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Litchfield, 18 grudnia Kiedy Jack pojawił się w szpitalu, doktor Serling właśnie spieszył się do wyjścia. Mijał jasno oświetlony hol recepcyjny, narzucając brązowy, tweedowy płaszcz i wciskając na głowę pomiętą, również brązową, okrągłą czapkę. Prawie zderzyli się w wahadłowych drzwiach. Jack mocno uderzył kolanem o twardą teczkę lekarza.

–Szeryf Smith! – wykrzyknął lekarz. Potem zmarszczył brwi i bacznie przyjrzał się Jackowi. – Pan jest szeryf Smith, prawda?

Jack rozcierał kolano.

–Tak. Cieszę się, że udało mi się pana złapać.

–Nie spodziewałem się pana wcześniej niż rano-powiedział doktor, wyciągając dłoń. – Chyba trochę się pan zmienił od naszego ostatniego spotkania, prawda? Czy nie nosił pan wąsów?

–Zrzuciłem jakieś dwadzieścia funtów – powiedział Jack. – Odstawiłem piwo, syrop klonowy, chipsy i zacząłem trenować dziecięcy zespół footballowy. Ma pan pojęcie – Harwinton Hackers?

–Dziś wieczór jestem gotów uwierzyć prawie we wszystko – powiedział Serling. Spojrzał na zegarek. – Późno. Jeśli chce pan jeszcze dziś rzucić okiem na Bena Millera, musi pan od razu iść i porozmawiać z doktorem Schuhmacherem. To chirurg, który kierował operacją. Ostatnio widziałem go, jak mył się przed wyjściem do domu.

Doktor podprowadził Jacka ku wypolerowanym do połysku, szklanym drzwiom wind.

Nacisnął przycisk „Góra”. Kiedy czekali, Jack rozejrzał się wokoło. Szpital okręgowy w Litchfield był jednym z najnowocześniejszych zespołów medycznych w Nowej Anglii. Pokryte białymi płytkami podłogi lśniły, a w środku holu recepcyjnego wznosiła się wielka, abstrakcyjna rzeźba z poskręcane go brązu, zatytułowana „Uzdrowienie”. Doktor Serling uważał, że wygląda jak kasztanowy ogier podczas ataku kołowacizny, ale nigdy nie wypowiadał tego głośno.

Powietrze było przesycone mocnym syntetycznym zapachem jabłkowym, a zewsząd dobiegał nieprzerwany, piszczący dysonansowo chór a capella winylowych podeszew pielęgniarskich pantofli.

–Ten przypadek wyprowadził mnie z równowagi – powiedział lekarz Jackowi, opierając się o ścianę windy, kiedy wznosili się na trzecie piętro.

–Niech mi pan wierzy, mnie też – odpowiedział szeryf, rozwijając następną gumę do żucia.

Doktor kiwnął głową i nie przestawał nią kiwać, jakby powtarzał „wiem, wiem”.

–Nigdy za bardzo nie wierzyłem w zjawiska nadprzyrodzone – zauważył. – Wie pan, lewitacja, ektoplazma, te sprawy. Jeżeli naprawdę w coś wierzę, to w siłę ludzkiego ducha. Wierzę, że nasze umysły i nasze ciała posiadają niezwykle zdolności, które w codziennym życiu są nie do końca rozpoznawane. Kiedy się prowadzi

praktykę na wsi, jak to jest w moim przypadku, trafia się na całe bogactwo szalonych i cudownych zjawisk. Zwykle można sobie tylko pospekulować, jak do nich doszło. Wie pan co? Zeszłego roku w zapadłym kącie South Kent pewna moja wiekowa pacjentka utrzymywała, że wyciągnęła sobie z żołądka wrzód. Użyła do tego, ni mniej, ni więcej, tylko drewnianej łyżeczki. Pokazała mi tę łyżeczkę i wrzód, schowany w słoiku po ogórkach. Pokazała mi też swój brzuch. Miała na nim tylko małą, czerwoną, świetnie zagojoną bliznę.

Winda dojechała na trzecie piętro i wysiedli. Było tu ciszej, chociaż syntetyczny zapach jabłek dalej był tak samo wyraźny. Kiedy Jack pociągnął nosem, doktor Serling zauważył:

–Administracja szpitala uważa, że ludzie wolą już cierpieć w sadyzie niż w szalecie publicznym.

Szedł przodem, wymachując swoją lekarską teczką.

–Zawsze byłem świadom, że Ben Miller, otarłszy się o śmierć, musiał przejść pewne psychiczne zmiany. Istnieje wiele zarejestrowanych przypadków, w których ludzie, znalazłszy się na krawędzi śmierci klinicznej, twierdzą, że posiadli coś, co mógłby pan nazwać „drugim wzrokiem”. Ale nigdy nie uwierzyłbym w żaden z nich, nigdy w życiu-gdybym tego popołudnia nie porozmawiał z Benem i nie usłyszał tego, co jego matka miała do powiedzenia.

–A co jego matka miała do powiedzenia? – spytał Jack. Lekarz stanął na środku korytarza i spojrzał na Jacka z wyrazem twarzy tak poważnym, jak u wiejskiego grabarza.

–Powiedziała mi, że od czasu wypadku Ben potrafił przepowiadać burze i z góry wiedział, kiedy ktoś z jej znajomych zachoruje albo umrze, że przepowiadał wypadki na autostradzie i pożary, wszelkiego rodzaju nieszczęścia.

–I uwierzył jej pan?

–Nie od razu. Spytałem ją, dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie opowiedziała. Ona na to, że bała się, iż uznam Bena za wariata i wsadzę go na zawsze do szpitala.

–Sądzę, że brzmi to prawdopodobnie. Ale to jeszcze nie powód, żeby jej wierzyć.

–Pani Miller powiedziała mi też, że Ben współczuł mi tego dnia, w którym zmarła moja córka – powiedział spokojnym, opanowanym głosem doktor Serling.

–Ale przecież pańska córka żyje, prawda? Czy w zeszłym tygodniu nie było czegoś o niej w „Sentinel?” Organizowała jakiś jarmark, z którego dochód został przeznaczony na badania przeciw-rakowe?

–O tej córce wszyscy wiedzą. – Lekarz kiwnął głową. – Ale przed laty, kiedy studiowałem medycynę, zostałem ojcem innej dziewczynki. Nigdy jej nie odwiedzałem i rzadko miałem o niej wiadomości. Nazywała się Fay i mieszkała w Gainesville na Florydzie. Umarła jakiś rok temu na stwardnienie rozsiane.

–Czy Ben Miller nie mógł dowiedzieć się o tym w jakiś sposób?

–Nikt o tym nie wiedział poza samą Fay, jej matką i mną. Teraz wie o tym również pan, ale jest pan jedyną obcą osobą. \_ Więc rzeczywiście wierzy pan, że Ben Miller może być medium i czuć zagrożenie płynące od tego zabójcy? \_ Nie wiem – powiedział doktor. – Może robię z siebie durnia. Może reaguję zbyt emocjonalnie na śmierć Fay. Po jej zgonie nie dopuściłem do siebie prawdziwego smutku i być może wiara w nadzwyczajne umiejętności Bena jest sposobem wyrażenia żalu za nią.

Jack przesunął gumę w ustach z jednej strony na drugą.

–Lekarzu, przestań leczyć się sam – powiedział. – Jeżeli Ben Miller wiedział o panu coś, czego wiedzieć nie mógł, to pańskie przypuszczenia o jego nadprzyrodzonych zdolnościach nie muszą być tak wariackie, jak pan sądzi. \_ Czy przypuszcza pan, że mógłby on panu pomóc schwycić mordercę?

–W tej chwili jestem gotów spróbować wszystkiego. \_ Więc chodźmy i zobaczmy, jak on wygląda. Doktor Schuhmacher trzyma go na intensywnej terapii.

Szli ramię w ramię do końca korytarza, aż znaleźli się w poczekalni. Stały w niej doniczki z jukkami, niski stolik, skórzane kanapy, a na ścianie wisiała reprodukcja Słoneczników i kotów Geoffreya Callendera. Dwa koty na reprodukcji miały pomarańczową sierść i intensywnie zielone oczy. Pod obrazem siedziała pani Miller, bardzo blada i zmartwiona, a obok niej, trzymając ją za rękę, siwowłosa kobieta w kraciastym płaszczu i okularach na nosie.

–To jest pani Miller – powiedział doktor Serling. – Pozwól jej zostać, przynajmniej do rozpoczęcia dyżuru doktora Kel-Istroma.

–Pani Miller. – Jack skinął głową ze współczuciem. – Jestem szeryf Jack Smith.

Bardzo pani współczuję z powodu tego, co spotkało pani syna. To musiał być dla pani prawdziwy wstrząs.

Pani Miller podniosła ku niemu nie widzące spojrzenie i nic nie odpowiedziała.

Kobieta, siedząca obok niej, wyjaśniła:

–Dostała środek uspokajający, szeryfie. Zaraz zawiozę ją do domu, czekamy tylko, aż doktor Schuhmacher zrobi ostatnie badania.

–To jest pani Guthrie-przedstawił ją doktor Serling. – Ona i jej mąż opiekują się panią Miller podczas pobytu Bena w szpitalu.

W tym momencie pojawił się doktor Schuhmacher, niski czarnobrody mężczyzna w okularach grubości szkła powiększających. Cesał się „z pożyczką”, starannie kryjąc sporą łysinę.

–Doktorze Serling-powiedział zaskoczony-myślałem, że pan wyszedł.

**–Już byłem w drzwiach, ale spotkałem mojego przyjaciela, szeryfa. Jeżeli nie sprawi to kłopotu, chciałby zobaczyć teraz Bena Millera.**

**Doktor Schuhmacher spojrział na panią Miller i powiedział:**

**–Nie widzę żadnych przeciwwskazań. Słuchajcie, najpierw zamienię parę słów z matką, uspokoję ją trochę i wyślę do domu. Potem was zaprowadzę.**

**Doktorowi Schuhmacherowi udało się w paru słowach namówić obie kobiety do wyjścia, po czym powrócił do Jacka i doktora Serlinga, starannie czyszcząc szkła połą lekarskiego kitla.**

**–Potrzebuje spokoju-powiedział.-Przeżyła dziś ogromny wstrząs. Tak naprawdę to bardziej lękam się o nią niż o jej syna.**

**Zaprowadził ich dalej korytarzem, a potem nagle skręcił w wahadłowe drzwi z napisem „Intensywna terapia”. Jack zapytał:**

**–Czy jej syn dochodzi do siebie?**

**–Nie za bardzo – zaprzeczył doktor Schuhmacher. – Przez jakiś czas były oznaki poprawy, ale jakąś godzinę temu zaczęło się wyraźne pogorszenie. Jest z nim teraz doktor Ahoja i zespół intensywnej terapii, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby jego organizm był w stanie znieść ten wstrząs. Nie należy zapominać, że jest paraplegikiem i jego serce i nerki już są w złym stanie. Teraz ma**

wszelkie kłopoty, jakie tylko jego organizm może mu nastręczyć. Podczas operacji dwa razy wysiadły mu płuca. Prawie go to wykończyło.

–De pan mu daje? – spytał go Jack. Doktor Schuhmacher wlepił w Jacka krótkowzroczne spojrzenie zza szkieł grubości kulistego akwarium.

–Nie do mnie należy dawanie mu czegokolwiek – zareplikował. – To zależy od dobrej opieki lekarskiej i sił żywotnych jego organizmu.

Jack nie przejął się postawą lekarza. Nigdy jeszcze nie udało mu się spotkać chirurga, który lubiłby policjantów.

–Oczekuję tylko naukowej hipotezy – powiedział. Doktor Schuhmacher zerknął na swego kolegę, wyraźnie niezadowolony, ale Serling kiwnął zachęcająco głową.

–Proszę bardzo – powiedział. – Sześć – siedem godzin, maksimum.

–Czy jest przytomny?

Doktor Schuhmacher potrząsnął głową.

–Czy jest prawdopodobne, że odzyska świadomość?

–Nie sędzę. A nawet jeśli to nastąpi, nie będzie w stanie z panem rozmawiać.

Przeciął sobie bardzo głęboko wargi i nie może nimi poruszać.

Jack potarł kark znużonym ruchem. W cherokee szyba od strony pasażera nie domykała się i przez całą drogę z Darien czuł na plecach zimny powiew.

–W porządku – powiedział. – Zobaczmy, jak wygląda.

Doktor Schuhmacher poprowadził ich przez dyżurkę, do pomieszczenia sąsiadującego z salą intensywnej terapii, gdzie Ben Miller walczył o przeżycie. Jack podszedł do okna i w milczeniu patrzył na Bena. Pacjent był otoczony lekarzami, pielęgniarkami i ubranymi na niebiesko sanitariuszami z oddziału intensywnej terapii. Za płataniną błyszczącego sprzętu Jack widział tylko zabandażowaną jak u Niewidzialnego Człowieka głowę z dwoma czarnymi, pustymi otworami na oczy.

–On coś czuł – powiedział Jack bardziej do siebie niż do doktora Serlinga. – Coś czuł, podobnie jak ja czułem.

–Też pan coś czuł? – spytał lekarz.

–Jakieś parę dni temu, po tym jak przepowiadano mi przyszłość. Karty zapowiadały mi same nieszczęścia, ma pan pojęcie?

Uważaj na obcych i tym podobne hocki-klocki. Przeciąłem sobie wtedy kartą rękę i mało co nie wykrwawiłem się na śmierć na nowy dywan mojej żony. Miałem takie uczucie, no, wie, pan...

Doktor Serling podniósł brew i obrócił się do doktora Schuhma-chera, ale ten tylko powiedział:

–Wybaczcie, muszę jechać do domu. Mam rano o dziewiątej poprowadzić amputację piersi.

Kiedy wyszedł, Jack powiedział do Serlinga:

–Mam pomysł. Jeżeli poważnie wierzy pan w to, co mówił Ben Miller, w jego nadzwyczajne zdolności, chcę, żeby mnie pan poparł.

–Stoję za panem do końca – w granicach rozsądku. Jack wskazał głową w kierunku Bena Millera.

–Ma przed sobą tylko sześć albo siedem godzin, zgadza się? I w dodatku doktor Schuhmacher uważa tę ocenę za optymistyczną. Nie należy się spodziewać, że Ben odzyska świadomość, więc nie będziemy mogli go zapytać, co właściwie czuł, co zobaczył albo czego się tak przeląkł.

–Proszę mówić dalej – powiedział lekarz.

–Chodzi mi o to... jeżeli jego nadprzyrodzone zdolności są tak silne, jak panu się wydaje, to moglibyśmy z nim porozmawiać, póki jeszcze można nam pomóc.

–Nie za dobrze pana rozumiem.

–Jestem zrównoważonym, dobrze wyszkolonym, zdrowo myślącym, przeciętnym osobnikiem. Nie wierzę w magię ani w duchy. Ale zaczyna mi świtać, że istnieją moce, istnieją aury i istnieją dziwne rodzaje oddziaływań. Dają o sobie znać spoza granic naszego zwykłego odczuwania. Czemu nie? Mogą istnieć przez cały czas i większość z nas nawet ich nie zauważa. Powinien pan przesłuchać paru świadków tego samego wypadku drogowego. Nie przyszłoby panu nawet do głowy, że w wypadku wzięły udział te same samochody, tego samego dnia i na tej samej cholernej ulicy.

–Cóż, jestem gotów się z panem zgodzić – powiedział doktor Serling. – Ale problem w tym, jak mamy się porozumieć z Benem Millerem, kiedy on pozostaje nieprzytomny?

Jack wcisnął ręce w tylne kieszenie spodni. Potem, tak obojętnie, jakby proponował skoczyć na drugą stronę ulicy na późną filiżankę kawy, powiedział:



–Zadzwonimy do Pat, przyjaciółki mojej żony, tej, co wyczynia sztuki z liśćmi od herbaty, i urządzimy to... jak-mu-tam. Seans.

–Seans spirytystyczny? W okręgowym szpitalu w Litchfield? Żartuje pan sobie ze mnie? Doktor Schuhmacher dostałby krwotoku!

–Czy doktor Schuhmacher musi o tym wiedzieć?

–Nie widzę sposobu, jak moglibyśmy to zorganizować bez jego wiedzy.

–Da się przekonać?

Serling przycisnął dłoń do czoła, pomyślał przez moment i powiedział  
zdecydowanie:

–Nie. Nie widzę szans. On musi wziąć pod uwagę swoją zawodową reputację, nie mówiąc o reputacji szpitala.

–Pan też ryzykuje zawodową reputacją; ja także.

–Tak, ale my jesteśmy ludźmi, dla których rezultaty praktyczne liczą się bardziej niż akceptacja. Nie chcę przez to powiedzieć, że doktor Schuhmacher nie jest dobrym chirurgiem: jest znakomity. Ale pacjenci, z którymi zwykle ma do czynienia, nie byliby zachwyceni wiadomością, że wierzy w czarną magię.

–Nikt nie mówi, że to jest czarna magia.

–Nikt nie mówi, że nie jest.

–Proszę posłuchać – powiedział Jack – czytałem o tym w zeszłym tygodniu.

Policja na całym świecie korzysta z pomocy mediów do śledzenia przestępców, znajdywania zagubionych dzieci i Bóg wie czego. Zeszłego rok mieli nawet seminarium na ten temat w Phoenix.

–Naprawdę nie wiem – powiedział lekarz. – Rzecz w tym – nie mówiąc już o etyce zawodowej – czy myśli pan, że to poskutkuje?

–Nie potrafimy w żaden inny sposób porozumieć się z Benem, prawda? Może nam się nie uda. Ale wiem, że Patty jest w tym bardzo dobra. Nie zaszkodzi spróbować.

Mieli właśnie wyjść z dyżurki i wrócić do poczekalni, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się Yincen Pearson. Jego kosztowny czarny płaszcz migotał od topniejących płatków śniegu.

–Ach, doktor Serling. Pielęgniarka z chirurgii mówiła, że mogę tu pana zastać.

–Co słyhać, panie Pearson? – spytał doktor Serling i uścisnął mu dłoń. – To jest szeryf Jack Smith.

–Sądzę, że spotkaliśmy się już przelotnie – powiedział Yin-cent i skinął Jackowi głową.

Jack odpowiedział na kiwnięcie Yinenta, ale nie był specjalnie zachwycony jego manierami pana na włościach ani sposobem, w jaki wkroczył do pokoju obserwacyjnego i autorytatywnie przejął kontrolę nad sytuacją, jakby sprawował tu władzę królewską.

–Przypuszczam, że przyjechał pan z wizytą do Bena? – zapytał Yinenta lekarz. – Proszę – może pan sam zobaczyć. Doktor Schuhmacher uważa, że nie przeżyje nocy.

–Widział się pan z panią Miller? – spytał Yinent, ściągając rękawiczki.

–Jest nadal w szoku, ale Martha Guthrie zabrała ją do domu.

Yinent zerknął przez szybę na Bena, na węzowisko maszynerii służącej do podtrzymywania życia, na lekarzy i pielęgniarki skupionych wokół łóżka. Przez długi czas milczał, a potem obrócił się.

–Już trzy razy wymieniono mu całą krew-powiedział doktor Serling.

Yinent rozpiął płaszcz i spojrzał na lekarza z poważnym wyrazem twarzy.

–Nie ma więc wiele nadziei?

–Sześć albo siedem godzin – powiedział Jack. – Wybacz pan, ale nie mamy dużo czasu.

Yinent skinął głową nie rozumiejąc, że poproszono go o wyjście. Jack chciał zadzwonić do Pat i jak najszybciej ściągnąć ją na seans do szpitala, ale nie wiedział, jak na to zareagowałby Yinent. A poza tym nie miał specjalnej ochoty na wciąganie go w to. Dla Jacka Yinent reprezentował Nowy Jork, pieniądze i wszystkich ludzi, których bogactwem miał się opiekować. Za to mu płacono, mimo że ludzie ci rzadko bywali w Connecticut i dbali tyle o tutejszą społeczność, co papież o dziecięcą ligę baseballową.

–Wiecie, to prawdopodobnie brzmi idiotycznie – powiedział Yinent. – Ale czuję się częściowo odpowiedzialny za to, co spotkało Bena.

–Jak pan może być za to odpowiedzialny? – spytał ze zniecierpliwieniem Jack.

–Cóż, nie ma to wiele wspólnego z logiką, myśleniem naukowym ani policyjnymi metodami działania. Ale... przez ostatni tydzień lub coś koło tego... Cóż, bardzo trudno mi to wyjaśnić... ale

różnego rodzaju nieprzyjemne i tragiczne wypadki zdarzyły się mnie i ludziom, których znam. Nie tylko tu w Connecticut, ale również w Nowym Jorku.-Zamilkł, a potem dorzucił z naciskiem: – Czuję się tak, jakbym znalazł się w oku cyklonu, otoczony wirem wyjątkowych nieszczęść. Jakbym przyciągał zły los.

–Zły los? – spytał Jack. Nie zamierzał nadać temu pytaniu cynicznego zabarwienia, chociaż tak wypadło. Zło – tak właśnie określiliby to, co czuł w powietrzu. Yincen jednak odebrał to pytanie jako sceptycyzm, naturalny u małomiasteczkowego stróża prawa.

–Być może koloryzuję – powiedział. – Ale... kiedy się popatrzy na to, co się stało naszemu Benowi...

–Co dokładnie pan rozumie przez zły los? – zapytał go Jack.

–Otóż tak – powiedział ostrożnie Yincen, składając ręce. – W ostatni weekend zmarł w Nowym Jorku mój asystent. Był młody, miał dwadzieścia lat. Na nic się nie skarżył. Ale kiedy zjawiłem się u niego w poniedziałek rano, nie żył. Nie tylko to, ale... otóż jego ciało znajdowało się w stanie całkowitego rozkładu.

Jack podniósł brew. Yincen przypomniał sobie ciało Edwarda. Czując ohydny, mdlący spazm obrzydzenia, powiedział niskim i niewyraźnym głosem:

–Był prawie zupełnie zeżarty przez robaki.

–Jak długo po śmierci? – pytał Jack.

–Nie więcej niż trzydzieści sześć godzin. Prawdopodobnie mniej.

–Co na to policja z Nowego Jorku? Yincen przeciągnął ręką po włosach.

–Sądzę, że wygodnie byłoby im przyjąć, że to ja go zabiłem parę dni wcześniej.

Na nieszczęście dla nich zbyt wielu ludzi widziało go żywego jeszcze po południu w dniu poprzedzającym ranek, kiedy go znalazłem. – Żadnych śladów? Żadnych świadków? W ogóle nic? – Jack usiłował zdobyć przewagę nad Yincenem i jego oglądą, przybierając szorstki i rzeczowy ton.

–Widziano jakąś kobietę, opuszczającą mieszkanie Edwarda. Podobno bardzo piękna, ubrana na czarno, o bardzo bladej twarzy. Ale to wszystko.

–Mówi pan, że były inne przypadki?-przypomniał mu Jack. Yincen chrapliwym głosem potwierdził:

–Tak. – Opowiedział Jackowi i Serlingowi o Van Goghu, o drugim kocie i o portrecie Waldegrave' a. – Kot wisiał na drzewie; był okropnie oszpecony.

–W jaki sposób?

–No, ktoś go... oskórował.

Jack patrzył uważnie na Yincenta. Usiłował dostrzec jakiś objaw nieszczerości, jakakolwiek oznakę oszustwa, wygłupu czy chęci popisania się. Ale lęk Yincenta był nie udawany i równie silny jak Jacka, chociaż u tamtego przybierał on odmienną formę. Inaczej niż Jack, Yincenc czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Może zresztą tak było. Ale Jack miał nosa-wyczuwał kłamców, oszustów i ekscen-tryków. Yincenc Pearson nie należał do żadnej z tych kategorii.

Jack powiedział spokojnym głosem:

–Jeżeli to może stanowić dla pana jakąś pociechę, panie Pearson, wierzę panu.

–Wierzy pan we wszystko? – Yincenc podniósł na niego wzrok. – Nawet w to, jak umarł Edward?

–Dlaczego miałby pan kłamać? – spytał go Jack.

–Aby ukryć fakt, że to ja zabiłem Edwarda – zasugerował Yincenc.

Jack potrząsnął głową. Przez długą chwilę stał z założonymi rękami, patrzył na Yincenta i nie odzywał się. Potem powiedział:

–Proszę mi powiedzieć, czy ta kobieta, którą widziano wychodzącą z mieszkania Edwarda Merriama, wyglądała na mniej niż czterdziestkę? Ubrana w czerń? Bardzo blada cera, ale uderzająca powierzchowność?

–Taki właśnie opis przedstawiono mi początkowo, chociaż później świadek zaprzeczył wszystkiemu. Sądzę, że chciał uniknąć kłopotów.

–Zdaje mi się, że ją widziałem.

–Zdaje się panu, że ją widział? – powtórzył Yincenc. – Gdzie, na litość boską?

–Dzisiaj. To znaczy wczoraj. Pojechałem do Darien porozmawiać z człowiekiem o nazwisku Maurice Gray w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa, przez obdarcie ze skóry, jakie nam się tu zdarzyły. Nie udało mi się spotkać z samym Maurice'em Grayem, ale udało mi się zobaczyć panią domu. Pani czy panna Cordelia Gray bardzo dokładnie odpowiada temu opisowi.

–Istnieje tu pewien związek, prawda? – powiedział Yincen w zamyśleniu. – Oczywiście wymaga on sporej akrobacji w myśleniu. Ale kiedy doda się wszystko razem – wszystkie te indywidualne przypadki – ma się wrażenie, że stanowią część tej samej łamigłówki.

–Nie bez znaczenia jest, że Ben Miller krzychał: „Oni wrócili”. Rodzina Grayów właśnie wróciła po siedemdziesięciu latach pobytu w Europie.

–Powiedział więcej – dodał doktor Serling. – Powiedział: „Nie dotykajcie mojej skóry!” Zupełnie oszalał na tym punkcie. „Nie dotykajcie mojej skóry”. A potem – kiedy zapytałem go, kogo się boi – powiedział: „Całej dwunastki”.

–Całej dwunastki? – Jack nie zrozumiał. – Jak pan sądzi, o co mu chodziło? Yincen poczuł, jak następny kawałek łamigłówki wpasowuje się w swoje miejsce.

–Na portrecie Valdegrave'a jest dwanaścioro ludzi.

–Rodzina Grayów – powiedział doktor Serling, chociaż nie musiał tego mówić na głos.

–Chciałbym rzucić okiem na ten obraz – Jack zwrócił się do Yincenta. – Rano zadzwonię do pana do domu. Tymczasem...

–To brzmi tak, jakbyście chcieli się mnie stąd pozbyć – powiedział Yincen.

–No nie, ale...

–Niech pan mu powie, szeryfie – wtrącił doktor Serling. – Z tego, co powiedział nam tu dziś w nocy, wynika, że dużo bardziej wolałby nam pomóc, niż przeszkodzić.

Jack zawahał się. W towarzystwie Yincenta czuł się jak wieśniak i prostak i wolałby nie zdradzać się z pomysłem urządzenia seansu. Yincen wyglądał na faceta, który ma wpływowych przyjaciół, prawdopodobnie gra w golfa z burmistrzem i spotyka się na koktajlach z okręgowymi prokuratorami. Ale zresztą, mniejsza z tym. Jeżeli seans nie wypali, to wszyscy oni wyjdą na głupców, a jeżeli wypali – to osiągnięcie celu z nawiązką uzasadni środki, które do niego prowadziły.

–Myśleliśmy o zorganizowaniu tu seansu – powiedział, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej obojętne i rzeczowe brzmienie. – No, może niedokładnie seansu, ale czegoś w rodzaju

telepatycznego spotkania, aby stwierdzić, czy nie moglibyśmy się porozumieć z Benem przed jego śmiercią. Ben na pewno coś wie i jeżeli udałoby się w jakiś sposób wniknąć do jego umysłu, zobaczyć, co tam jest...

Yincent patrzył w milczeniu na Jacka.

–Chodzi o to-kontynuował zmieszany Jack-że cokolwiek byśmy znaleźli – jeżeli w ogóle znajdziemy – nie będzie mogło być użyte przed sądem jako dowód. Wyobraża pan sobie, że kładziemy przed sędzią stenogram z seansu spirytystycznego? Ale to może nam wskazać jakiś ślad, może pomóc o tyle, że znajdziemy jakiś konkretny dowód, a jak już coś znajdziemy, no, to już jesteśmy w domu.

–Proszę wybaczyć moją tępotę, ale jak zamierzacie zorganizować seans w szpitalu? Zwłaszcza kiedy osoba, z którą chcecie się skontaktować, nie jest nawet martwa, a w dodatku tak się składa, że otaczają personel medyczny?

–To strzał w ciemno – powiedział mu Jack. – Może trafi, a może nie. Ale policja na całym świecie korzysta z pomocy mediów.

–Cóż-powiedział Yincent-nie będę tu odgrywał sceptyka.

Wrócili do poczekalni. Jack poszedł zadzwonić do Pat, a Yincent i Serling udali się do automatu z napojami stojącego na klatce schodowej i wzięli sobie piwo imbirowe, które było jedyną rzeczą, jaką maszyna oferowała.

–Wie pan, zawsze nie cierpiałem piwa imbirowego – powiedział doktor Serling.

Yincent nie mógł oderwać oczu od dwóch pomarańczowych kotów na wiszącej na ścianie reprodukcji. Wiedział, że znalazła się tu przypadkiem, ale czuł się nieswojo. Tak jakby świat, w którym żył, nagle okazał się pełen tajemniczych i złowieszczych znaków, jakich do tej pory nigdy nie zauważał. Zrozumiał, dlaczego ludzie popadali w paranoję, dlaczego interpretowali normalne zdarzenia i przedmioty jako ostrzeżenia przed zagrażającym im niebezpieczeństwem.

Jack wrócił od telefonu. Był czerwony na twarzy po wykonaniu kłopotliwego i niełatwego zadania: przekonania Pat, żeby opuściła swoje łóżko w środku mroźnej, grudniowej nocy i przyjechała do szpitala okręgowego w Litchfield.

–Pat, wierz mi, kochanie, gdyby to nie była sprawa życia i śmierci, nigdy bym cię o to nie poprosił.

–Jack, wierz mi, kochanie, jeżeli to okaże się jakimś wyglupem, będziesz tego żałował do końca swego życia na tym padole łez.

Jack poszedł po piwo imbirowe, żeby jakoś zabić czas oczekiwania. Było parę minut po drugiej. Za oknami szpitala na uśpiony świat padał gęsty śnieg.

–Naprawdę sądzi pan, że seans to dobry pomysł – spytał Yincen Jacka.

Przypomniała mu się jego babcia z tablicą Ouija i kartami do taroka; szepcząca sama do siebie przepowiednie na przyszłość.

Jack wsadził ręce do tylnych kieszeni spodni i wojowniczo popatrzył na Yincenta.

–Pewnie, że to dobry pomysł. Ma pan lepszy? – Umilkł, a potem powiedział: – Poza tym widziałem, jak Pat to robi. Widziałem, jak rozmawiała ze zmarłymi krewnymi różnych ludzi. Jeżeli ktoś zdoła przekonać Bena, żeby do nas przemówił, to tylko ona.

–Znakomicie. Obyśmy tylko byli w stanie wysłuchać tego, co nam powie – stwierdził Yincen.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Darien, 19 grudnia Kiedy George Kelly zajechał pod bramę Wilderlings, od razu zgasił silnik swojego silverado kombi. Była noc, parę minut po trzeciej.

Bardzo skrupulatnie wybrał tę porę. O trzeciej rano nawet cierpiący na bezsenność zaczynają przysypiać. Był to martwy środek nocy, jedenasta godzina ciemności, cztery i pół godziny do szarego świtu. Wysiadł z samochodu i stanął na śniegu. Miał ze sobą latarkę i małą walizeczkę z czarnej skóry, zawierającą komplet wytrychów i dziesięciocalowy śrubokręt. Z tyłu za szeroki skórzany pas wetknął ciężki rewolwer Python kaliber 9 mm. Wylot lufy spoczywał pomiędzy jego potężnymi pośladkami. George był chłodny, opanowany i pewny siebie. Lubił stawiać czoło wyzwaniom... Był na tyle profesjonalistą, że wyrównywał rachunki, nie narażając własnego tyłka. Nawet po tej strzelaninie w Nowym Jorku, kiedy rozłożył braci Loretta, całą czwórkę, nikt nie potrafił udowodnić mu niczego pewnego. George był zbyt przezorny. Nic do nich zresztą specjalnie

nie miał, chciał tylko zaoszczędzić sobie trudu zatrzymywania ich ponownie już następnego dnia, kiedy obrabują kolejny sklep spożywczy.

Z powodu śniegu Grayowie zostawili kutą w żelazie bramę otwartą. Gięty wymyślnie metal pokryty był lodem jak lukrem. George minął bramę i wszedł na podjazd, trzymając się blisko ciemnej ściany cyprysów, na wypadek gdyby ktoś przypadkowo wyjrzał z frontowego okna. W mroku widział obłoczki swoich oddechów, słyszał skrzyp swych butów na śniegu.

Dochodząc do frontu domu, zszedł z podjazdu i przeciął trawnik z lewej strony, mijając szerokie kamienne schody i parę rzeźbionych kamiennych urn, pokrytych śniegiem. Wkrótce obszedł dom od tyłu, przemykając się skulony za niskim ceglany murkiem obrzeżającym patio. Niedaleko znajdowała się okrągła ozdobna sadzawka ze skutą lodem powierzchnią, ślepą jak oko trędownatego. W domu nie świeciło się żadne okno. Bezlistny bluszcz piął się po południowej ścianie jak zmierzwiony kołtun wiedźmy. George zaczął kaszleć. Rozległ się wysoki dźwięk, więc natychmiast zdusił następne kaszlnięcie.

Tylko parę chwil zabrało mu znalezienie tego, czego szukał: kamiennych schodów z tyłu kuchni, prowadzących do piwnicy. Stał przez moment i nasłuchiwał, ale noc milczała, nie przynosząc żadnych odgłosów.

George wepchnął latarkę między słupki balustrady schodków, tak że oświetlała mu dokładnie pordzewiałą płytkę z brązu, osłaniającą zamek. Wyjął komplet wytrychów i uśmiechając się zabrał się do pracy; miał przed sobą prosty mechanizm z epoki wiktoriańskiej, może nieco zastały po latach nieużywania. Po zaledwie trzech minutach upartego dłubania zapadki w końcu ustąpiły. Kaszlnął, nacisnął klamkę i drzwi stanęły otworem.

Trzymając w ręku latarkę, ostrożnie wszedł do pierwszego pomieszczenia piwnicy i zamknął za sobą drzwi. Okrągła plama światła rozjaśniała pobielone ściany, pajęczyny tak grube jak letnie szale kobiet i staromodny zlew z drewnianą wyżymaczką, na której nie wiedzieć czemu leżało siodło. Miało spękaną, wysuszoną skórę. George minął to pomieszczenie i podszedł do następnych drzwi. Były nie zamknięte. Otworzył je, zastygając na moment, kiedy zawiasy zaskrzypiały, ale z góry nie było słyhać żadnych odgłosów kroków, powłóczenia nogami czy skrzypienia schodów. Szerzej



otworzył drzwi i poświecił latarką wzdłuż długiego, pobielanego korytarza.

Poruszał się tak cicho i ostrożnie, jak pozwalały mu na to jego obfite kształty.

Po każdej stronie korytarza znajdowały się osobne pomieszczenia zamknięte kratami, za którymi wyraźnie dostrzegał rzędy pak, płataninę starych krzesel i grube zwoje poskładanych zasłon. Wszędzie zalegał kurz: wisiał w powietrzu jak mdła i nieustępliwa pamięć minionej epoki. Czuć też było zapach: dziwną woń umierających letnich kwiatów, a może trociczek.

W jednym z pomieszczeń stały całe skrzynki butelek z winem; większość z nich ze zmurszałymi korkami i etykietami nieczytelnymi z powodu upływu lat, wilgoci i kurzu. Podniósł jedną butelkę i starł kurz. Napis głosił: Chateau Duhart-Milon, 1905. George odstawił butelkę. Nie znał się zbyt na winach, ale wiedział, że wszystkie, które mają powyżej osiemdziesięciu lat, raczej nie nadają się do picia. Oczyszczył jeszcze parę etykiet, ale nie udało mu się znaleźć niczego poniżej roku 1909.

Kontynuował poszukiwania, zaglądając i szperając, otwierając stare komody i kufry, przechodząc od magazynu do magazynu, aż dotarł do końca korytarza. Były tam jeszcze jedne drzwi, tym razem zamknięte i pokryte ołowianą blachą, prawdopodobnie mającą zabezpieczać przed przenikaniem wilgoci.

Męczył się z zamkiem przez dziesięć minut, ale kiedy skończył, drzwi otworzyły się łatwo, jakby zawiasy były świeżo naoliwione. Wszedł do następnego pomieszczenia. Było tak wielkie, jak wszystkie pozostałe razem wzięte. Szybko omiół je latarką.

Było tu bardziej sucho, chociaż z kolei wykorzystwały to pająki i rozpięły pajęczyny tak gęste, że prawie niepodobna było dostrzec, co się pod nimi kryło.

Dopiero kiedy owinął sznur pajęczyn wokół śrubokręta i pociągnął, ujrzał przyćmiony błysk pozłoty i zrozumiał, że rodzina Grayów składała tu swoje obrazy.

Omiótł kilka z pajęczyn. Na pierwszym była scena bachanaliów w stylu Rubensa, pełna tłustych, różowych aktów i cherubinów wagi ciężkiej. Na drugim dziki las, ciemny i nieprzystępny, wznoszący się na opadającej górskiej ścianie. Na trzecim namalowano nieżywe dziecko, spoczywające w kołysce, obok zrozpaczona matka trzymała twarz w dłoniach. Za nią stał Straszliwy Żeniec, z nagą czaszką ledwo widoczną spod ocieniającego ją kaptura. Na ramieniu opierał kosę.

George rozejrzał się po piwnicy, ale nie było w niej nic obciążającego, tylko stosy wiktoriańskich malowideł. Nigdy w życiu nie widział tylu obrazów. Wsadził latarkę między uda i wyjął chusteczkę, aby otrzeć z twarzy pot i kurz. Znowu zakaszał, a potem wysiakał nos. Nadszedł czas na przeszukanie góry, a nie chciał kaszleć i smarkać, rozglądając się po sypialniach.

Zajęło mu sporo czasu, zanim trafił do schodów prowadzących na parter. Były ukryte za drzwiami z pełnego drewna, które wyglądały tak jak każde inne drewniane drzwi w tej piwnicy. Ale w końcu wspiał się po schodach i dotarł do drzwi u ich szczytu. Były rzeźbione w dębie i prawdopodobnie wiodły do holu.

Wziął głęboki oddech, ujął mocno gałkę i obrócił ją. Ku jego uldze nie były zamknięte na klucz. Żadnego cholernego zabezpieczenia, powiedział do siebie. Gdybym był zawodowym włamywaczem, opróżniłbym ten cały cholerny dom przed śniadaniem i ci ludzie nawet by tego nie zauważyli.

Wyjście z piwnicy znajdowało się pod głównymi schodami. George ostrożnie wyjrzał zza drzwi, a potem zamknął je za sobą, upewniwszy się najpierw, czy dadzą się powtórnie otworzyć, jeżeli będzie to konieczne. Potem przeszedł ostrożnie, na palcach, do podwójnych drzwi wiodących do sali balowej.

Położył właśnie ręce na obu klamkach, kiedy wydało mu się, że słyszy jakiś cichy dźwięk. Zastygł, wstrzymując oddech, wytężając słuch, żeby uchwycić następny odgłos. Ale minęło prawie pół minuty i nic nie usłyszał. Wilderlings było tak ciche, jak to sobie można było tylko wyobrazić: nic się nie poruszało, nic nawet nie drgnęło. Było jak mauzoleum, zamknięte na głucho przed zewnętrznym światem. Śniło swój własny, nieprzenikniony sen o minionym czasie.

George trzymał spocone dłonie na klamkach, ale czuł jakąś niezwykłą niechęć przed otwarciem drzwi. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczył i nie mógł pojąć, skąd brało się to uczucie. Było mu zimno, ale spod pach spływały mu strumyczki potu, a kolba rewolweru zaczynała wrzynać mu się w ciało. Po raz pierwszy pomyślał, że znalazł się wobec wyzwania, przed którym mądrzej byłoby się uchylić. W istocie, nie zdając sobie z tego w pełni sprawy, bał się.

Zawahał się jeszcze przez sekundę, ale potem mruknął do siebie: – Ach, gówno – i otworzył obydwa skrzydła drzwi do sali balowej.

W tym samym momencie rozległ się głośny, wibrujący akord

fortepianu. Pierwsze dźwięki II Symfonii D-dur Beethovena. George stał jak wryty, z szeroko otwartymi ustami, niezdolny zrobić kroku, podczas gdy elektryczne żyrandole sali balowej rozjaśniały się stopniowo od stłumionej żółci do jaskrawej bieli, krąg za kręgiem iskrzących się kryształów, których blask odbijał się w lustrach, obrazach i ornamentach.

Przy fortepianie siedział mężczyzna w średnim wieku, ubrany w strój wieczorowy. Obok niego stał młodszy mężczyzna, również w wieczorowym stroju, z jedną ręką wsuniętą w kieszeń spodni, drugą lekko dotykającą podbródka. Obok młodszego mężczyzny, trochę z tyłu, znajdowała się młoda kobieta, bardzo ładna, ale o twarzy dziwnie pozbawionej wyrazu. Miała na sobie biały koronkowy czepeczek pokojówki i przynajmniej do pasa-bardzo skromną, czarną sukienkę z długimi rękawami. Jednak poniżej pasa przód sukienki został podwinięty i zatknięty za cienki paseczek z czarnej skóry, obnażając dla każdego, kto na nią spojrzał, białe jak z kości słoniowej uda, czarne jedwabne pończochy, podwiązki i ciemny, puszysty trójkąt włosów łonowych. Żaden z mężczyzn w wieczorowych strojach nie zwracał uwagi na to, jak prezentowała się młoda kobieta. Wydawało się, że nie widzą w tym nic zaskakującego ani niecodziennego. W istocie obaj ignorowali ją. Ich uwaga w niepodzielny sposób skupiona była na George'u.

–Dobry wieczór – powiedział mężczyzna w średnim wieku, wstając od fortepianu.  
– A może powinienem powiedzieć: dzień dobry?

George nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie powinien najzwyczajniej w świecie dać dyla, przez piwnicę albo nawet przez drzwi frontowe. Ale jeżeli będzie próbował ucieczki przez piwnicę, złapią go z łatwością, a nie wiedział, czy drzwi frontowe są otwarte czy nie. Poza tym ucieczka byłaby przyznaniem się do winy. Był funkcjonariuszem policji.

Przeszukiwał dom podejrzanego o morderstwo. Być może nie robił tego, jak uczą w akademii policyjnej, ale nie znalazł się tu bez powodu.

Mężczyzna w średnim wieku podszedł do niego. Ręce trzymał założone za plecami.

–Nazywam się Maurice Gray – powiedział uprzejmie. –

A pan musi być jednym z policjantów, którzy usiłowali wczoraj po południu odbyć ze mną rozmowę.

–Zgadza się, sir – wymamrotał George, chociaż chętnie odgryzłby sobie język za zwrócenie się do podejrzanego o zabójstwo „sir”.

Maurice Gray uśmiechnął się skąpym, badawczym, nieprzyjemnym uśmiechem. Obchodził George'a, oglądając go jak podniszczony, używany samochód.

–Nie będziesz tego, rzecz jasna, potrzebował – powiedział i nagłym ruchem podniósł wiatrówkę George'a, wyszarpując rewolwer.

Celownik pythona zadrapał George'a po pośladkach. Obrócił się gwałtownie, czując ból i wściekłość, i rzucił ostro:

–Oddajcie mi tę broń! To własność policyjna! Słyszycie? Oddajcie mi broń!

Maurice obrócił rewolwer parę razy, oglądając go uważnie.

–Nie uważam, żeby to był właściwy pomysł. To robi na mnie wrażenie niebezpiecznej broni. I daję ci nieuczciwą przewagę.

–Jestem funkcjonariuszem policji – rozindyczył się George. – Jeżeli w tej chwili nie zwrócicie mi tego rewolweru, zaraz was aresztuję.

Maurice podał pythona Henry'emu.

–Możesz sobie być funkcjonariuszem policji, kiedy patrolujesz ulicę. Możesz sobie być funkcjonariuszem policji, kiedy zaopatrzony w stosowny nakaz przeszukujesz mieszkania podejrzanych kryminalistów. Ale dziś rano, mój dobry człowieku, jesteś jedynie uzbrojonym napastnikiem i jako taki masz bardzo niewiele praw. Co z tobą się stanie, to zależy raczej od mojej łaski niż od prawa. Mam nadzieję, że sobie to uświadamiasz.

–Wychodzę. Zaraz odwrócę się i podejść do tych drzwi. Wrócę po broń ze wszystkimi nakazami, jakie tylko możecie sobie wyobrazić.

Obrócił się plecami do Maurice'a i pomaszerował żwawo przez hol do drzwi frontowych. Maurice i Henry nie poruszyli się, obserwując z ukrywanym rozbawieniem, jak mocuje się z zamkami i zasuwami. Laura zrobiła krok do przodu i dotknęła ramienia Henry'e-go. Henry wziął jej dłoń i pocałował zimnymi jak lód ustami.

Po długim mocowaniu się i szarpaniu George zrozumiał, że się

nie wydostanie. Przemierzył z powrotem hol i stanął przed Maurice'em Grayem, opierając pięści na biodrach.

–Niech będzie – powiedział – przyznaję, że źle zrobiłem włamując się. Ale trzymanie mnie tu nic nie da, nie sądzi pan? Maurice pokiwał dobrotliwie głową w jego kierunku.

–Tobie nie da, muszę to przyznać. No, nie całemu tobie, tak to nazwijmy. Ale część ciebie znajdzie swe miejsce w planie nieśmiertelności.

–Co wyście, zwariowali? – zaperzył się George. Potem popatrzył na Laurę. – A to co ma być? Ta dziewczyna łązi tu i pokazuje wszystko, jak ją Pan Bóg stworzył. To jakaś perwersja czy co?

–Perwersja to tylko rzecz perwersyjnej wyobraźni – zauważył Henry. Celowo pozwolił, aby jego ręka zabłądziła w dół, pomiędzy uda Laury. Nie przestawał uśmiechać się do George'a. Twarz Laury nie zmieniła wyrazu. Wyglądało, jakby spała z otwartymi oczami.

–Ona pozwoli ci zrobić to samo – powiedział Henry. – Co zechcesz. Jeżeli tylko ja się zgodzę, ona ci na to pozwoli. Chciałbyś, żeby oparła się tak o krzesło, żebyś mógł ją mieć? – Przerwał, a potem dodał: – Wątpię, żeby określenie „kochać się” miało sens wobec kogoś, kto chodzi w podartej wiatrówce i koszuli dżinsowej rozmiar XL.

–Jesteście popieprzeni. Słuchajcie, zaraz mnie stąd wypuścicie. Moje kombi stoi na dworze. Jeżeli będzie tam stało, jak się rozwidni, ludzie zaczną się zastanawiać, potem przyjdą prosto do was i spytają się, gdzie jestem.

Maurice położył George'owi rękę na ramieniu.

–Rzecz w tym, mój pocziwcze, że już zaopiekowaliśmy się twoim kombi. Kiedy byłeś w piwnicy, przeprowadziliśmy je na tył domu i wprowadziliśmy pod dach.

Wiesz, nikt go nie znajdzie. Do jutra wieczór zostanie kompletnie rozebrane.

George wyszarpnął się z uścisku Maurice'a. Był przerażony, twarz miał szkarłatnopurpurową.

–Słuchajcie – krzyknął. – Ten samochód jest własnością policji! Dotknijcie go tylko jednym palcem, a będzie to wykroczenie! To samo dotyczy broni i to samo dotyczy mnie! Jestem stróżem prawa i ostrzegam was! Ostrzegam was tu i teraz!

Wyglądało, że Maurice jest prawie zażenowany wybuchem George'a, ale kiedy ten skończył, powiedział:

–Dobry człowieku, jesteśmy tego wszystkiego świadomi, ale naprawdę nie możemy pozwolić ci wyjść. Abstrahując już od faktu, że wdarłeś się tu bez nakazu, potrzebujemy cię. Jesteś w równej mierze utrapieniem, co darem niebios. Wiesz, nie reprezentujesz tego, co nazywamy wysoką jakością, ale jest cię bardzo dużo.

–Co wy, kurwa, gadacie? – spytał George, przerażony, w poczuciu zagrożenia. – Jesteście obydwaj walnięci.

Maurice obrócił się plecami do George'a i popatrzył na Hen-ry'ego, marszcząc czoło z wyrazem teatralnego niezdecydowania.

–Naprawdę nie chciałbym w żaden sposób dziurawić pleców – powiedział. – Masz jakiś pomysł?

Henry z łagodną rezygnacją wzruszył ramionami.

–Oczy, jak sądzę. Niezbyt satysfakcjonujące, ale to załatwia sprawę.

–Chciałbym wiedzieć, co się tu dzieje? – wtrącił się George.

–Ty, Gray, co się tu, do diabła, dzieje?

Szarpnął Maurice'a za ramię, usiłując spojrzeć mu w twarz. Maurice był zachwycony tym obrotem sprawy. Zręcznie okręciwszy się na lewej pięcie, obrócił się z gracją Freda Astaire'a i stanął twarzą w twarz z George'em. Trzymał uniesioną prawą dłoń.

–Słuchaj, ty... – warknął George, w swym zapamiętaniu nawet nie dostrzegając, co Maurice ma w ręku.

Maurice ze złowieszczą precyzją dźgnął ostrym końcem srebrnego niezbędnika do fajki w lewe oko George'a. Policjant podniósł ręce, osłaniając twarz, ale Maurice miał zbyt dużą praktykę i był dla niego zbyt szybki. Drugie uderzenie przebiło nerw optyczny prawego oka.

George krzyknął w straszliwym bólu i upadł na kolana, przyciskając ręce do oczu. Maurice zrobił krok w tył i wyjął chusteczkę, by otrzeć swój niezbędnik.

–Toro! Toro! – wykrzyknął Henry, klaszcząc w ręce. – Byłbyś doskonałym matadorem, Maurice!

–Jestem ślepy! Och, Jezu Chryste, jestem ślepy! – krzyczał rozdierająco George. – Oślepiłeś mnie, ty skurwielu! Och, Boże!

Stracił równowagę i upadł na plecy. Zwijał się i miotał na podłodze nie tylko w bólu, ale i w upadającym lęku. Maurice obserwował go przez chwilę beznamiętnie, a potem zwrócił się do Henry'ego:

–Lepiej zanieść go na górę, nieprawdaż?

–Zechciej pójść do ostatniego pokoju na piętrze, dobrze? – polecił Laurze Henry.

– Tu masz klucz. Na drugiej półce od dołu znajdziesz butelkę z czystego szkła z napisem „Chloroform”. Przynies mija i trochę czystej gazy.

Kiedy Laura udała się po chloroform, Maurice powrócił do fortepianu i zaczął poprawnie, chociaż sztywno, grać wiązankę polonezów Szopena. Przez ten czas George łąził na czworakach po holu potykając się, wymacując drogę i jęcząc z cicha do siebie. Henry stał z ręką opartą o poręcz krzesła, ze skrzyżowanymi nogami, obserwując George'a z uśmiechem.

W końcu Laura powróciła. Jej białe uda błyszcząły; szwy czarnych pończoch miały idealną linię. Henry wyjął jej z rąk butelkę i pocałował w policzek.

–Jesteś aniołem-powiedział.-Gdybym tylko mógł zatrzymać cię na zawsze.

Maurice i Henry zagonili łkającego George'a do rogu.

–Tu jestem – odezwał się Maurice, nieomalże uprzejmie. – Podaję ci rękę. Złap się za nie, a ja cię poprowadzę.

–Jestem ślepy, jestem całkiem ślepy – marniał George, ale Maurice powiedział: – Nie przejmuj się, staruszk, są gorsze rzeczy niż ślepotą – i podał mu dłonie.

George złapał się ich i usiłował przyciągnąć do siebie Maurice'a, jakby pragnął go objąć, ale Henry zaszedł go od tyłu i przycisnął mu do ust i nosa gazę nasączoną chloroformem.

George opierał się, ale Maurice mocno trzymał go za rękę; im bardziej rozpaczliwie George się wrywał, tym głębiej wdychał chloroform. Minęło zaledwie parę sekund, a zachwiał się, opadł na kolana, a potem uderzył twarzą o podłogę.

–Oto, jak upadają wielcy – powiedział Maurice, a następnie skrupulatnie sprawdził, czy George nie zadrapał go podczas walki.

Wzięli go pomiędzy siebie i zanieśli na górę, na koniec korytarza, do pokoju operacyjnego Maurice'a. Była to naga, wysoka, pomalowana na ciemne odcienie zieleni sala, wyglądająca jak szpitalne pomieszczenia z epoki edwardiańskiej. W centrum, pod dużą bezcieniową lampą znajdował się pokryty marmurem stół, z przewodami odprowadzającymi krew i inne wydzieliny. Pod ścianą stał wysoki, kryty glazurą stół, na którym ustawiono miedziany sterylizator.

Już szumiał; obok niego wyłożono niezbędne instrumenty chirurgiczne.

W pokoju unosił się zapach karbolu i gęsty smród wydobywający się z parującego sterylizatora. Ale obok tego wokoło rozchodził się trwały i nieustępliwy odór surowego ludzkiego mięsa. Maurice był do niego przyzwyczajony; w istocie dodawał mu animuszu, podobnie jak żołnierzom walczącym podczas lądowania w Normandii nawet po latach dodawał animuszu zapach jabłek. Odtąd zawsze przypominał im krew, strach i dojrzewające sady.

George został złożony twarzą do góry na marmurowym blacie. Henry rozebrał go, męcząc się z jego roboczymi dżinsami. Pod spodem George miał na sobie długie spodenki z rysunkami palm i leżaków. Henry zdjął je również.

George leżał teraz nagi. Biały, owłosiony i potężny, człekokształtny mors.

Maurice przebadał go z odrazą. Mógł o nim powiedzieć tylko tyle dobrego, że jego skóra była w niezłym stanie, delikatna i elastyczna, i że było jej dużo. Maurice zdjął smoking, rozpiął spinki i podwinął rękawy.

–Czy Laura ma przynieść ci drinka? – spytał Henry.

–Dziękuję, później – odpowiedział Maurice. – Wydaje mi się, że ten okaz będzie wymagał wyjątkowo pewnej ręki.

Operacja rozpoczęła się o wpół do piątej i trwała prawie sześć godzin. Na zewnątrz atramentowe niebo zmieniło się w zasnutą śniegiem lekką szarość. Henry patrzył na bezlistne drzewa, kołyszące się daleko na drugim końcu padoku – albo tego, co niegdyś było padokiem, kiedy Wilderlings było pełne śmiechu i zabaw, a Grayo-wie trzymali stajnie pełne koni. Henry żywił nadzieję, że kiedy powróci do Wilderlings, znajdzie tu jeszcze odrobinę wdzięku i radości. Ale ten świat nie musował już jak szampan, teraz już nie. Gdzie są Gouldowie, Yanderbiltowie i Zimmermannowie? Gdzie są parasolki, zabawy na łódkach i różowy szampan? Gdzie są dziewczęta Gibsona? W tamtych czasach uwodzenie było jak zanurzenie się w kwietnym ogrodzie, a zepsucie smakowało jak oszałamiający kielich wypity do dna.

Co z tego zostało? Życie pełne miałkości, wyzute z uniesień; życie, w którym moźni wstydzą się afiszować ze swym bogactwem, a zakazane miłostki zyskują międzynarodowy rozgłos i są męcząco jednakowe.

Henry zasiadł raz do psiego powozu, ciągniętego przez sześć



nagich dziewcząt – same piękności z najlepszego towarzystwa – chłoszcząc je bezlitośnie batem, aż przewiozły go po całym Wilderlings. Po czym zabrał je wszystkie sześć do łóżka.

Kiedy przerzucając karty swej pamięci, spoglądał przez okno, Maurice skrupulatnie odcinał skórę George'a Kelly'ego. Nawet kiedy podnosił płaty z pleców George'a, wiedział, że jest to jedna z jego najbardziej skomplikowanych operacji. Henry odezwał się:

–Stawiam sto dolarów, że ci umrze, zanim skończysz.

–Nie, nie – odpowiedział Maurice. – Poderwie się na koniec, zobaczysz.

I ta ocena była trafna, gdyż nagle George zatrząsł się i wykrzyknął:

–Matko Boża! Matko Boża! Matko Boża!

Kiedy operacja była skończona, włożyli ciało George'a do zielonej plastikowej torby i znieśli je na dół. Przeszli przez zaśnieżony podwórzec i wrzucili je do bagażnika cadillaca Maurice'a. Zrobiwszy to, stali przez chwilę na chłodzie, rozcierając ręce i rozkoszując się świeżością zimowego poranka.

–Wuj Algernon będzie chyba uradowany z tej nocnej pracy, nie sądzisz? – spytał Henry.

Maurice wyglądał na zmęczonego.

–Mam nadzieję. Zrobiłem wszystko, na co mnie było stać. Modlę się do Boga, żeby Cordelia pospieszyła się i dostała ten portret w swoje ręce. Nie wytrzymamy dłużej w tym tempie.

–Pozbędę się go, jeśli chcesz. – Henry kiwnął głową w kierunku otwartego bagażnika. Ale Maurice potrząsnął głową.

–Mam ochotę na przejażdżkę. Ten dom działa na mnie przygnębiająco. Nie mam nic przeciw twojemu ojcu, ale pozostaje Bel-vedere i te jego przyprawiające o mdłości córeczki. A poza tym matka i ojciec nie są specjalnie łatwi w pożyciu.

–Kupisz trochę ostryg, jeśli już wyjeżdżasz? Marzę o ostrygach.

Właśnie kierowali się do domu, kiedy usłyszeli ciche miauczenie.

–To wygląda na kota – powiedział Maurice.

W tej samej niemal chwili pomarańczowy kocur zeskoczył z zaśnieżonego dachu garażu i otarł mu się przymilnie o nogę. Maurice podniósł kota. Spojrzał na niego zafascynowany. Kocie oczy nie były zielone, były ciemne jak zwierciadła.

–Wiesz co, Henry? – powiedział. – To jest Raca. Nie mogę w to uwierzyć. Po tylu latach. To naprawdę jest Raca.

–A nie mówiłem? – uśmiechnął się Henry. – Wygląda na to, że dzień prawdziwego odrodzenia jest bliski.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Litchfield, 19 grudnia Pat nie wyglądała na specjalnie rozbawioną, kiedy dobrnęła do szpitala i wysłuchała, co Jack ma jej do powiedzenia.

–Seans? – spytała. Oczy miała zapuchnięte od snu. Spod różowej nylonowej chustki wystawały jej wściekle zielone wałki do włosów.

–To jest nasza absolutnie ostatnia szansa dowiedzenia się, co Bena tak przeraziło – powiedział Jack. – On nie dożyje poranka, Pat. Doktor mówił, że jego stan pogarsza się błyskawicznie.

–Nie wierzę własnym uszom. Jest trzecia nad ranem i zmuszono mnie do przejechania piętnastu mil tylko dlatego, ponieważ mąż mojej przyjaciółki chce, żebym urządziła seans.

–Myślałem, że jesteś też moją przyjaciółką.

–Byłam, Jack – do dzisiaj. Jack masował sobie kark.

–Posłuchaj, Pat. Wiesz, że i tak ty zadecydujesz. Ale ja nie widzę innego rozwiązania.

–On nie widzi innego rozwiązania! – Pat wzniosła oczy do sufitu. – Oto szeryf Okręgu Litchfield, człowiek, od którego zależy poczucie bezpieczeństwa i spokój stu pięćdziesięciu pięciu tysięcy ludzi, i on nie widzi innego rozwiązania.

Jack, a co się stało z dobrymi starymi metodami policyjnymi? Nie ma ich, zniknęły?

Jack popatrzył w kierunku poczekalni, gdzie Yincen i doktor Serling prowadzili przyciszoną rozmowę oczekując, aż przekona Pat do fantastycznego, wręcz porywającego pomysłu: przeprowadzenia o trzeciej nad ranem seansu spirytystycznego w szpitalu okręgowym w Litchfield.

–Pat – powiedział – to nie jest normalna sprawa. Są w niej bardzo dziwaczne elementy.

–Czy raczyłbyś mi o nich coś powiedzieć? – spytała Pat. – Jeżeli już tu jestem, niech wiem przynajmniej dlaczego.

–Jeżeli chcesz, możesz wracać do domu. Zwrócę ci za benzynę.

–Nie, chcę wiedzieć, co się tu dzieje. Chcę wiedzieć, dlaczego bystry i nie pozbawiony zdrowego rozsądku policjant prosi o pomoc wróżkę.

Zacinając się, usiłując powiązać wszystko w logiczną całość, Jack opowiedział jej o tym, co przydarzyło się Benowi Millerowi. Opowiedział o kocie Aarona Halperina, o Edwardzie, o jego niedosłej rozmowie z Maurice'em Grayem, o Laurze Montblat i o tym, że wierzy w istnienie jakiegoś związku łączącego wszystkie te zdarzenia z wypadkami morderstw przez obdarcie ze skóry.

Kiedy skończył, Pat otworzyła torebkę i wyjęła papierosa. Yincen podszedł, podał jej ogień i spytał Jacka:

–Udało się?

–To nie z mojej ligi – powiedziała mu Pat.

–Nie z pani ligi?

–Może to tylko jedno wielkie zawracanie głowy, ale jeżeli tak nie jest, nie chcę być w to zamieszana.

–Ale dlaczego? – spytał Yincen. – Prosimy panią tylko o nawiązanie kontaktu z absolutnie normalnym młodym człowiekiem.

–Ach tak? – zaatakowała go Pat. – Jest tak normalny, że pociął sobie twarz. Jak pan sobie wyobraża, co on ma w głowie? Każdy, kto robi coś takiego, musi być szalony, na wpół szalony albo śmiertelnie wystraszony. I teraz chce pan, żebym weszła w sam środek tego szaleństwa, tego strachu, bez względu na to, co je powoduje. Na tym właśnie polega seans, drogi przyjacielu. Medium – a tak się właśnie składa, że ja nim będę – musi przede wszystkim zakosztować uczuć osoby, z którą ma się skomunikować. Zgoda, kontaktowałam się ze zmarłymi i było to znośne, ponieważ doznania są wtedy słabe; to tak jak oglądanie czegoś przez drugi koniec teleskopu. Ale nawet wtedy można się zdenerwować, zwłaszcza kiedy dana osoba jest zła, przestraszona albo cierpi. Nie mogę się tego podjąć.

Przykro mi, ale to mi się nie uśmiecha.

Jack przez moment nie odzywał się, potem podniósł dłoń w geście rezygnacji.

–W porządku, Pat. Powinienem lepiej to przemyśleć. Wpadłem na pomysł i wygląda, że jest do luftu. Jedź do domu. Mogę kogoś wezwać, żeby cię odwiózł, jeśli jesteś bardzo zmęczona.

–Naprawdę nie masz żadnego innego sposobu na popchnięcie tej sprawy? – spytała Pat.

–Mam autostopowicza z Moultrie w Georgii z naciąganą historią – wyliczał na palcach Jack. – Facet zresztą jest już notowany. Mam dwa odarte ze skóry trupy ludzkie i jeden koci. Mam stuletni obraz, który rozsypuje się na kawałki.

Następnie mam martwego handlarza sztuki, który zgnił, zanim go pochowano, zagubioną żonę i bladą kobietę ubraną na czarno, która może być członkiem rodziny Grayów, ale która w gruncie rzeczy wcale nie musi do niej należeć.

–Rozumiem, że nie jest ci lekko. Ale co mogę na to poradzić?

–Nie przejmuj się mną – powiedział Jack. – Poradzę sobie. Musi istnieć jakieś rozwiązanie. Problem tylko, jak je znaleźć.

W tym momencie, wyczuwając, że Jack ma kłopoty, podszedł doktor Serling.

–Zdecydowała się pani, od czego zacząć?-spytał z ojcowską troską.

–Zacząć co?

–No, seans. Bo przecież urządzimy seans, prawda?

Pat zawahała się na moment, patrząc na Jacka niezdecydowanie, ale z sympatią.

Korzystając z wieloletniego doświadczenia kogoś, kto potrafi wzbudzić w innych poczucie winy, Jack potrząsnął głową, jakby mówił: „Nie rób tego, nie powinnaś tego robić, chyba że bardzo ci zależy, chyba że chcesz podać rękę przyjacielowi, który bardzo potrzebuje twojej pomocy, a nie może zwrócić się o nią do nikogo innego”.

–Nie widzę, co dobrego da urządzenie seansu, Dowiedcie się tylko, że tego faceta gnębi ból i strach – powiedziała przebiegle Pat.

–W porządku – powiedział jej Jack, kładąc rękę na ramieniu. – Jedź do domu i wracaj do łóżka.

Potrząsnęła głową, popatrzyła na Jacka i doktora Serlinga, a potem jeszcze raz na Jacka.

–Dobra – zgodziła się – wygraliście. Robimy. Ale jedno musi być jasne – jeżeli to się zrobi dla mnie zbyt ciężkie, jeżeli okaże się nie do wytrzymania, to koniec pieśni. Bez gadania.

–Jesteś pewna, że tego chcesz? – spytał Jack. – Nie chcę, żebyś czuła się do tego zmuszona.

–Co myślę, to moja sprawa – odrzekła.

–Czy musimy urządzać ten seans w pokoju Bena Millera? – zapytał doktor Serling.

–Nie. Byle blisko. Całe te czary-mary z trzymaniem się za ręce i siedzeniem w kółku są niepotrzebne. Duchy są równocześnie wszędzie i nigdzie.

Doktor Serling popatrzył na Jacka i powiedział:

–No to co, szeryfie, zaczynamy?

Jack kiwnął głową. Co miał powiedzieć? Czuł się krańcowo nedorzecznie. Nie wiedział, jak się skończy to, co zamierzył, i gdyby musiał racjonalnie na to spojrzeć, prawdopodobnie by się wycofał. Wiedział, że w procedurze policyjnej korzystanie z pomocy mediów było sprawą niezwykłą, choć akceptowaną.

Prawdopodobnie udałoby mu się obronić przed władzami okręgu pomysł zorganizowania seansu. Ale naprawdę nie wiedział, co ma począć z faktem, że tak chętnie przystał na tę ideę i że wydała mu się tak rozsądna. Ku własnemu zdumieniu odkrył, że wierzy w świat pozazmysłowy.

Yincenta nie trzeba było przekonywać, że ten świat wypełniają nie tylko istoty z ciała i krwi. Jego dziadek zawsze przyznawał się do wiary w duchy i twierdził, że Candlemas jest nawiedzane przez ducha młodej purytanki, uduszonej w noc poślubną. A poza tym przerażająca śmierć Edwarda i obdarty ze skóry kot Aarona sprawiły, że od zeszłego tygodnia jakikolwiek naturalny sceptycyzm stał mu się kompletnie obcy. Sam widział Van Gogha namalowanego na obrazie Waldegrave' a, to wystarczyło mu za dowód.

Czuł się podniesiony na duchu wiarą szeryfa Smitha we wszystko, co opowiedział.

Po pełnej podejrzliwości i cynizmu reakcji detektywa Greena z Nowego Jorku było to czymś w rodzaju moralnego zadośćuczynienia. Oto przedstawiciel policji zupełnie spokojnie przyjmował do wiadomości istnienie okultystycznych mocy.

–Jesteśmy gotowi? – spytał doktor Serling. Miał podkrążone oczy i wyglądał na bardzo zmęczonego.

–Czy nie ma jakiegoś pokoju, z którego moglibyśmy skorzystać? – spytał Yincen.

–Jakiegoś spokojnego miejsca, gdzie nikt nam nie przeszkodzi?

–Na górze jest pokój gościnny dla lekarzy spoza szpitala –

wyjaśnił lekarz. – Nikt nas tam nie będzie nachodził, zwłaszcza tak wcześnie rano. Pojechali na górę windą. Prawie nie odzywali się do siebie; był to rezultat zmęczenia, napięcia i rosnących obaw. Jack wyciągnął gumę z ust. Jego koledzy z pracy zawsze rozpoznawali po tym, że żarty się skończyły.

Gabinet gościnny był wyłożony drewnianą boazerią i wyposażony w niską kanapę, trzy fotele i pokryty szkłem niski stolik, ozdobiony bukietem suszonych kwiatów.

Obok wazonika leżał stos ostatnich numerów „World Medicine”. Doktor Serling wszedł ostatni.

–Usiądźmy, proszę, gdzie kto chce – zwróciła się do wszystkich Pat.

–Chcesz mieć pusty stół? – spytał Jack. Pat skinęła głową.

–A jak ze światłami? – zapytał doktor Serling.

–Mogą się palić. Żaden z duchów, z którymi wchodziłam w kontakt, nie przejmował się specjalnie światłem.

–Czy to będzie niebezpieczne? – spytał Yincen.

–Nie wiem – powiedziała Pat. – Nigdy do tej pory nie próbowałam skontaktować się z żyjącą osobą. To może w ogóle nie zadziałać. – Roześmiała się sardonicznie. – Kto wie, może mnie to nawet zabije.

–To nie jest śmieszne, Pat – powiedział Jack. Usiadła na środkowym fotelu, pomiędzy Yincenem a doktorem Serlingiem.

–Mnie to mówisz?

Wyprostowała się, zaplotła mocno dłonie, zamknęła oczy.

–Chcę, żebyście myśleli o Benie Millerze – powiedziała rzeczowym tonem. – Jeżeli duch Bena Millera jest gotów nawiązać z nami kontakt, to im intensywniej będziemy o nim myśleli, tym szybciej się pojawi. Mamy jakby łowić w stawie z duchami. On gdzieś tam unosi się, istnieje, tak jak my istniejemy.

Yincen spojrzał na Jacka, a potem zamknął oczy i myślał o Benie. Usiłował wyobrazić sobie jego twarz; próbował przypomnieć go sobie w dniu, w którym Ben dostał szalu. Próbował też myśleć o Benie przed wypadkiem: wspominał go jako nastolatka przyjeżdżającego do Candlemas swoim białym fordem pick-upem po matkę.

–Skoncentrujcie się – mówiła Pat. – Usiłujcie wyobrazić sobie Bena w tym pokoju, siedzącego tuż obok nas. Uwierzcie, że tu

jest, jest naprawdę. Jeżeli rzeczywiście tego chcemy, możemy go tu sprowadzić. Musimy tylko bardzo chcieć.

Zaciskając mocno powieki, Yincient usiłował z całych sił wyobrazić sobie Bena, siedzącego na kanapie naprzeciwko.

–Benie Miller, Benie Miller, wiem, że jesteś blisko-szeptać Pat. – Benie Miller, wzywam cię, Ben. Chcę, żebyś przyszedł do mnie i pomówił ze mną.

Yincient na moment otworzył oczy i ujrzał, że Jack wpatruje się w Pat z wyrazem głębokiego niedowierzania. Jack zorientował się, że jest obserwowany, i szybko zamknął oczy.

–Benie Miller – mruzczała Pat – gdzie jesteś, Benie Miller? Chcę tylko z tobą porozmawiać. Nie chcę cię skrzywdzić. Nie chcę cię przestraszyć. Chcę tylko porozmawiać.

–Myśli pani, że to naprawdę coś da? – spytał niecierpliwie doktor Serling. – Nic nie czuję.

–Spokój-uciszyła go Pat.-Macie tylko się skoncentrować, myśleć o Benie.

Siedzieli w milczeniu przez ponad minutę. Biuro było dobrze izolowane od hałasów z zewnątrz; słyszeli tylko własne spokojne oddechy i odległe brzęczenie telefonu.

–Benie Miller, wiem, że tu jesteś – powtórzyła Pat, ale tym razem miała dziwnie zniekształcony głos, jakby docierał przez zasłonę z muślinu. – Benie Miller, zbliż się, chcemy z tobą porozmawiać. Ben, jesteśmy przyjaciółmi.

Do Yincienta nagle dotarło delikatne brzęczenie, jakby przepalała się żarówka.

Otworzył oczy. Pokój spowijała kompletna ciemność. – Światło zgasło – powiedział. Własny głos zabrzmiał mu dziwnie i bełkotliwie. – Światło nadal się pali – odpowiedziała Pat. – To ciemności z naszych umysłów wypełniły pokój. Teraz cisza. Myślę, że Ben jest blisko. Wydaje mi się, że czuję, jak się zbliża.

–Nic nie widzę – zaprotestował Jack.

–Nie oślepieś – uspokoiła go Pat. – Twój zmysł wzroku nastawił się tylko na patrzenie do wewnątrz, to wszystko. To, co macie przed oczami, to wnętrze waszego umysłu.

–To zadziwiające – powiedział doktor Serling. – Nigdy czegoś podobnego nie przeżyłem.

–Benie Miller! – zawołała łagodnie i zachęcająco Pat, uciszywszy lekarza. – Benie Miller, jesteś tu, Benie Miller?

Yincent wytężył wzrok; panowała nieprzenikniona ciemność i im bardziej wytrzeszczał oczy, tym stawała się gęstsza. Czas zwolnił swój bieg, jakby każda sekunda każdej kolejnej minuty upływała z nieskończoną powolnością, niczym karawana pozornie nieruchomych postaci, posuwająca się przez nie kończącą się pustynię dni. Nie bał się. Czuł spokój, prawie jak po zażyciu narkotyku. Czuł również bliskość innych. Ich osobowości były równie rzeczywiste, jak ich fizyczne postaci, ich myśli równie namacalne, jak ich ciała.

Buczący dźwięk zmienił się w niskie trzaski, jak od wyładowań elektrycznych.

Yincent nagle uświadomił sobie, że w pokoju jest jeszcze ktoś inny, różniący się od pozostałych. Słyszał nawołujący głos Pat, powolny i przyciszony, tak że nieprawdopodobieństwem było zrozumieć słowa. – ... zostawcie mnie w spokoju... zostawcie mnie w spokoju... – usłyszał męski, bełkotliwy głos.

Słowa Pat brzmiały wyraźniej, chociaż w dalszym ciągu to cichły, to stawały się głośniejsze, jakby były nadawane przez radio na krótkich falach.

–Benie Miller... czy to ty, Benie Miller?

–Zostawcie mnie w spokoju... – odpowiedział mężczyzna. Yincent nie był pewien, czy to Ben.

–Czy jesteś Benem Millerem? – powtarzała uparcie Pat.

–Zostawcie mnie w spokoju; oni mnie znajdą, jak nie zostawicie mnie w spokoju.

–Powiedz, kim jesteś – zażądała Pat. – Powiedz mi, jak się nazywasz.

Nastąpiło długie milczenie, a potem Yincent usłyszał słowa:

–Bennn... Millerrr...

–Ben – powiedziała Pat – chcę, żebyś się pokazał. Chcę cię zobaczyć, Ben, żeby wiedzieć, że to naprawdę ty. – ...zostawcie... spokoju...

–Ben, posłuchaj. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, znamy cię i martwimy się o ciebie. Możesz nam pomóc, a my cię obronimy. Pomożesz nam zatrzymać tych ludzi i wtedy cię nie dopadną. Proszę, Ben, to twoja jedyna szansa.

Nastąpiła kolejna, długa chwila milczenia. Yincent owi wydało



się, że widzi w ciemnościach przebłyski światła, ale albo musiało mu się zdawać, albo coś przepłynęło po powierzchni jego oka. Pat zawołała znowu. Dalej Ben Miller nie dawał znaku, dalej nie było nic poza ciemnością, wypełnioną myślami, nadziejami i nieokreślonymi lękami.

–Ben, jeżeli się nie pokażesz, nie pomożemy ci – powiedziała Pat. – Chcesz, żeby cię zostawić i żeby oni się do ciebie dobrali? Chcesz? Posłuchaj, Ben. To twoja ostatnia szansa.

Prawie natychmiast trzeszczenie nasiliło się i ciemność zaczęła gęstnieć jak krew. Potem, w ciszy, opadł deszcz białych punkcików, ześlizgających się w powietrzu jak spalający się w zwolnionym tempie meteoryt. Punkciki zespoliły się nad środkiem szklanego stolika w negatyw wizerunku Bena Millera. Wizerunek pływał i od czasu do czasu załamywał się jak obraz na czarno-białym ekranie telewizora, ale był to najwyraźniej Ben. Z czarnej jak grafit twarzy błyszcząły bielą oczy.

–Ben – przymilała się do niego Pat – musisz nam pomóc. Musimy się dowiedzieć, czego się boisz.

Natychmiast wizerunek Bena otworzył szeroko usta i wydobyło się z nich mrozące krew w żyłach, pełne lęku wycie. Yincen nie był pewien, czy rzeczywiście słyszy ten dźwięk. Wydawało się, że dociera do niego raczej przez kości twarzy niż przez uszy. Było to potworne, przerażające wycie, pełne paniki, bólu i krańcowej rozpacz. Było to wycie człowieka miażdżonego na śmierć przez jego własny, nieposkromiony lęk.

Pat również się rozkrzyczała, tak samo rozzwierając. Yincen nie widział jej, ale czuł, że zgięła się wpół i zacisnęła w przerażeniu dłonie w pięści.

Usłyszał, jak doktor Serling mówi:

–Kończ! Pat, jeśli to zbyt bolesne, kończ!

Ale Pat albo nie mogła, albo nie chciała skończyć. Ben wrzeszczał i ryczał, a Pat wrzeszczała razem z nim, oboje jednakowo spowici w grozę i ból.

–Pat! – krzyknął Jack, a Yincen wyczuł, że tamten usiłuje podnieść się z fotela, ale z jakiegoś powodu nie może. Ciemność, którą widzieli przed sobą, była ciemnością krajobrazu ich jaźni, ich dusz wydobytych na zewnątrz, i tak długo, jak trwali w tym razem, byli fizycznie spętani. Nastąpiło jak gdyby odwrócenie: umysły otoczyły ich z zewnątrz, a materialny świat skurczył się do wnętrza ich głów.

Ale krzyk rozlegał się dalej. Żadne z nich nie było w stanie zrobić niczego innego, jak tylko siedzieć na swoim miejscu i modlić się, żeby to się skończyło.

Yincent poczuł ostry ból z boków szczęk, tuż poniżej uszu. Skrzywił się z bólu i zwinął w kłębek, aby od niego uciec. Pat krzyczała nadal i w miarę jak ból w szczękach rósł, stając się nie do zniesienia, przestał słyszeć jej krzyk. Sam krzyczał.

Negatyw wizerunku Bena Millera wykrzywił się szaleńczo; twarz rozciągnęła mu się wzdłuż, ciało w poprzek pokoju. Zaczął migotać i blednąć i Yincent uświadomił sobie nie bez ulgi, że prawdopodobnie wymyka się im.

–Odchodzi! – zawołał Jack. On również, jak się zdawało, cierpiał ból. – Pat!

Pat! Na litość boską, zatrzymaj go! Zatrzymaj go, Pat! On odchodzi!

–Nie rozumiesz dlaczego?! – nagle krzyknęła. – On umiera! Nie potrafię go zatrzymać! On umiera!

–Pat! Ja muszę dowiedzieć się, kto to jest! Muszę wiedzieć, kto go prześladował!

–Nie, Jack. Pozwól mu odejść. Jeżeli go zatrzymasz, będzie strasznie cierpiał.

Nawet jego duch może tego nie przetrwać.

Yincent wyczuwał, jak Jack miota się dziko po kanapie, próbując wstać i dosięgnąć wizerunku Bena Millera, zanim ostatecznie nie zniknie.

–Bądź przeklęty, Benie Miller! – wrzasnął Jack. – Bądź przeklęty w piekle, Benie Miller! Dlaczego byłeś taki przerażony? Kogo się bałeś? Słyszysz mnie, Benie Miller? Kogo się tak bardzo bałeś? Kto chciał twojej skóry? – ...nie mogę powiedzieć... – wymruczał Ben. – Oni zabijają... jak powiem... nawet po śmierci...

–Ben! – zaryczał Jack – zaryzykuj! Oni zapłacą za ciebie, obiecuję! Ben, na litość boską, powiedz nam, kto to jest!

Rozległo się jakieś niezrozumiałe mamrotanie, ale potem Yincent usłyszał wyraźne słowa:

–Cmentarz w Litchfield... Johnson... obok dębu...

Potem rozległ się dźwięk, którego Yincent nigdy w życiu nie słyszał, jakby odgłos pękania, rozłamywania, darcia. Wizerunek Bena skurczył się i jak gdyby zbiegł się do środka i przez ułamek sekundy Yincent zobaczył coś, co wyglądało na ludzki embrion,

choć dziwnie śliski i przezroczysty. Potem niespodziewanie pojawiło się światło i pomieszczenie rozjaśniło się pełnym blaskiem. Siedzieli na swoich miejscach, wpatrując się w siebie w oszołomieniu i z niedowierzaniem.

Pat miała dreszcze. Jack podszedł do niej, pochylił się i spytał:

–Dobrze się czujesz? Kiwnęła głową.

–Napiałabym się wody.

Doktor Serling poszedł do małego pomieszczenia kuchennego, sąsiadującego z biurem. Przyniósł jej szklankę wody i słaby środek uspokajający.

–Na twoim miejscu poprosiłbym szeryfa, żeby jeden z jego ludzi odwiózł cię do domu. Nie nadajesz się do prowadzenia wozu.

–Nic mi nie jest – powiedziała Pat. – Ból ustąpił.

–To nie ma znaczenia – upierał się doktor Serling.

–Czy Ben naprawdę umarł? To, co widzieliśmy... to była jego śmierć? – zapytał Jack.

Pat trzęsącą się ręką podniosła szklankę, upiła trochę wody i powiedziała:

–Nigdy czegoś takiego nie widziałam, ale nie mam wątpliwości – chciał odejść. Bardzo chciał. Tak ogromnie tego pragnął, że prawie ciągnęło mnie, by pójść razem z nim. Rozumiecie? Rozpaczliwie tego pragnął.

Jack obrócił się do doktora Serlinga.

–Czy chce pan zadzwonić na oddział intensywnej terapii i dowiedzieć się, co się stało?

Doktor Serling podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę w centrali o połączenie z doktorem Kellstromem.

Kiedy oczekiwali na rozmowę, Jack rozwinął swoją ostatnią gumę i wepchnął ją do ust, gryząc na trzy równe kawałki.

–Wygląda, że zrobiłem z siebie durnia, co? – zauważył.

–Nie powiedziałbym – pocieszył go Yincen. – Warto było spróbować.

–Prawie na pewno zabiliśmy Bena Millera. Wcześniej, niż mu było pisane – powiedziała Pat.

–I tak zostało mu tylko parę godzin. Pat skończyła swoją szklankę wody.

–Ale to my go zabiliśmy. Był w stanie śpiączki, co chroniło

jego umysł przed tym, czego się obawiał. Śpiączka stwarzała jego systemowi nerwowemu możliwość regeneracji. A my zanurzyliśmy się głębiej w jego psychikę i wyciągnęliśmy go na powierzchnię. Nie potrafił temu sprostać. Jego organizm nie był w stanie znieść stresu. Doktor Serling rozmawiał z doktorem Kellstromem. W końcu odłożył słuchawkę, odwrócił się i powiedział:

–Nie żyje. Szok, utrata krwi, zatrzymanie pracy nerek. Tak czy inaczej, już po nim.

–A my dalej nie wiemy, czego tak się bał – stwierdził Jack.

–Załóżę się, że bał się tych dwunastu ludzi z portretu Walde-grave'a – skomentował Yincen.

–No... może ma pan rację – przyznał Jack. – Ale „cała dwunastka” może równie dobrze nic nie znaczyć. Ben był bardzo religijny, zwłaszcza po wypadku. Może mówił o dwunastu apostołach. Może mówił o dwunastokartowym pokerze. Może w ogóle nie powiedział „cała dwunastka”, ale coś podobnie brzmiącego.

–Przestań komplikować, Jack – przerwała mu Pat. Odwróciła się do Yincenta i wyjaśniła: – Zawsze musi coś skomplikować. Gdyby jutro zaczął topnieć śnieg, Jack podały panu tuzin przyczyn, dla których nie powinno tak być.

–O co mu chodziło z tym cmentarzem w Litchfield? – spytał Yincen.

–Bredził – odparł Jack. – Był szalony ze strachu.

–Ale podał nazwisko: Johnson. A także miejsce: „obok dębu”.

–Muszę przyznać, że tego nie słyszałem – rzekł doktor Serling. Wytarł okulary, a potem głośno wysiąkał nos. – Mam chyba alergię na zjawiska nadprzyrodzone.

–Ja słyszałam – powiedziała Pat.

–Może tam chciał być pochowany – zasugerował Jack.

–Chyba powinniśmy rzucić okiem na to miejsce – oświadczył Yincen.

–Jest jeszcze ciemno – zaproponował Jack.

–Ale ma pan latarkę? – spytał go Yincen.

–Jasne, ale czego niby mamy szukać?

–Nie wiem. Ale wyraźnie zapytał go pan, czego się boi, a on powiedział, że nie powie panu, ponieważ zabiliby go, nawet po śmierci.

–To nie brzmiało zbyt logicznie – zauważył doktor Serling.

–Dla mnie tak – powiedziała Pat.

–Jak to? – spytał ją Jack.

Był zirytowany nie tylko dlatego, że seans nie przyniósł żadnego rezultatu.

Wiedział, że nie powinien zmuszać Bena, aby został dłużej. Zwłaszcza kiedy Pat cierpiała tak strasznie. Ani Yincen, ani doktor Serling nie wytknęli mu tego otwarcie, ale wszyscy byli świadomi, że ten postępek mógł kosztować ją utratę zdrowia psychicznego, a nawet życia.

Jack został wybrany na szeryfa, ponieważ reprezentował swojskie, małomiasteczkowe poglądy na metody sprawowania władzy. Wystarczająco ryzykował, podejmując niezwykle śmiałą decyzję o urządzeniu seansu. Był przekonany, że seans się uda. I udał się. Pat ściągnęła ducha Bena Millera. Ale Jack potrzebował czegoś więcej. Potrzebował dowodu i gdy go nie otrzymał, poczuł się głęboko zawiedziony.

–To, co pani mówi, brzmi tak, jakby pani już się zetknęła z takimi sytuacjami.

–Yincen próbował zachęcić Pat do większej otwartości.

–To prawda. I niektóre z duchów, z którymi weszłam w kontakt, mimo że należały do umarłych, dalej mówiły, że boją się umierania.

–A cóż to znaczy? – spytał doktor Serling.

–Nie wiem do końca. Najpierw myślałam, iż to tylko one nie są świadome, że faktycznie nie żyją. Później doszłam do wniosku, że jeśli ja do nich mówię i jeśli one odzywają się do mnie – jeśli prowadzimy sensowną rozmowę – to nie mogą być zupełnie martwe. Więc może żyją dłużej, niż myślimy, tylko w innej postaci, tak jak motyle. Może przechodzimy przez parę różnych stadiów, nim przestajemy całkowicie istnieć. Może ten akurat moment naszego istnienia, bycie istotą-zciała-i-krwi, jest drugim albo trzecim stadium całego procesu. Może istnieją wokół nas ludzie-duchy, przerażone wizją „śmierci” i przemiany w namacalne istoty, którymi jesteśmy. Jak gdyby... one wierzyły, że m y jesteśmy duchami, a one są żywe.

–To interesująca teoria. Ale nie mam pojęcia, jak można by ją udowodnić – powiedział Yincen.

–Sami widzieliście Bena Millera – dodała. – Kiedy umarł, zamienił się w coś przypominającego embrion. Dzieciący duch, jeśli wolicie to tak nazwać, mający lada chwila się narodzić.

–Ale to wszystko nadal nie wyjaśnia, o czym myślał Ben, mówiąc o cmentarzu – wtrącił Jack.

–A może wyjaśnia-zwrócił się do niego zamyślony Yincen. – Jeżeli Pat ma rację i żyjąc przechodzimy naprawdę przez parę stadiów, to strach Bena przed śmiercią mógł być autentyczny. W takim razie to, co nam powiedział, mogłoby stanowić ślad-rozumięcie, jak tekst hasła do krzyżówki. Chciał nam powiedzieć, kto chce go dopaść, kogo tak strasznie się boi, ale nie śmiał powiedzieć tego wprost.

–Myślę, że powinniśmy spróbować z tym cmentarzem – powiedział doktor Serling. Jack sprawdził godzinę na zegarku.

–Jest pięć po czwartej – rzucił, starając się nadać swojemu głosowi twarde brzmienie. – Jestem za tym, żeby poczekać, aż się rozwidni. Marzę o prysznicu i filiżance kawy.

–To jak my wszyscy – zgodził się lekarz. – To był poważny wysiłek, ten seans, nie przeczę.

Poszli do otwartego przez całą noc baru z sieci Bonniego, który znajdował się po drugiej stronie pokrytych śniegiem plant. Opatuleni w płaszcze, znużeni, pili kawę. Nadal nie opadło z nich jeszcze napięcie – na tyle, by poczuli głód. Tylko Jack kupił sobie dwie paczki gumy do żucia i baton czekoladowy. Przez chwilę rozmawiali o seansie i o tym, co się zdarzyło, choć w miarę jak świt wstawał nad szpitalem w Litchfield, coraz trudniej było im uwierzyć, że coś z tego zdarzyło się naprawdę.

Jechali na cmentarz kombi cherokee Jacka. Pękate od śniegu chmury zwisały nad miastem jak szare woale szyfonu. Domy i sklepy wzdłuż drogi były ciche i pozamykane, jakby podczas nocy jakaś plaga milczkiem przeniknęła przez Litchfield, pozostawiając za sobą łóżka pełne trupów. Yincen, siedzący z tyłu, ziewnął i zakrył usta dłonią. Kawa niewiele mu pomogła i zaczynał czuć zmęczenie. Cóż, do diabła, wyczynia, jadąc o pierwszym brzasku na cmentarz w Litchfield, po nie przespanej nocy i w niezwykle doborowym towarzystwie szeryfa okręgowego, lekarza okręgowego i damy-spiirytystki z plastikowymi wałkami na głowie.

Dojechali do cmentarza tuż po siódmej. Szerokie żelazne wrota stały otworem.

Jack pojechał prosto i zatrzymał się obok Domu Pamięci. Była to pomniejszona wersja sławnego przybytku Charlesa

I Clappa z Portland w stanie Maine, zaopatrzona w jońskie kolumny, pilastry i owalne otwory na okna. Dym unosił się z komina budynku, znak, że dozorca cmentarza już się pojawił.

Przeszli przez przeraźliwie chłodny marmurowy hol. Jack zapukał do drzwi dozorczy i otworzył je. Dozorca był surowym, oschłym mężczyzną, o zapadniętych policzkach, zaciśniętych ustach i błyszczących, kruczonych włosach, jakby przyklejonych do wąskiej czaszki.

–Szukamy grobu Johnsona – powiedział bez wstępu Jack. Uczestniczył tu w kilkudziesięciu pogrzebach – przyjaciół, krewnych, ofiar morderstw, samobójstw, nagłych zgonów – i znał się dobrze z dozorcą. Nie lubili się nawzajem. Dozorca uważał, że kiedy zmarli raz zostają pochowani, to już są jego. Nie cierpiał dalszego śledztwa w sprawie przyczyny zgonów. Zwłaszcza przeciwny był ekshumacjom, które przerywały sen jego podopiecznym i niszczyły trawniki.

–Mamy tu trzy groby Johnsonów – powiedział zimno. – O który wam chodzi?

–Jest jakiś blisko dębu? – spytał Jack. Dozorca popatrzył na niego podejrzliwie.

–Grób Fredericka E. Johnsona. Frederick E. Johnson, pani Philomena Johnson i jej dwoje dzieci: Charles F. Johnson, wiek osiem lat, i Henrietta Johnson, niezamężna, lat siedemdziesiąt dziewięć.

–Dziwne, co śmierć wyczynia z ludźmi, prawda? Siostra siedemdziesiąt dziewięć lat i brat osiem – powiedział doktor Serling. Dozorca zerknął na lekarza sponad okularów.

–Oni się nie starzeją, doktorze – tylko my jesteśmy na to skazani.

Wręczył Jackowi ksero mapy cmentarza i szeryf poprowadził ich pomiędzy rzędami grobowców. Słońce oświetlało je cytrynowym blaskiem. Marmurowe anioły ze skrzydłami oproszonymi śniegiem patrzyły oczami bez wyrazu na intruzów: Martwe kwiaty sterczały w zmrożonych flakonach. Żwirowane ścieżki posypano solą, aby oczyścić je ze śniegu, ale sam żwir pokrył się lodem i kiedy czwórka wspinała się na szczyt wzgórza, ich kroki rozbrzmiewały echem na całym cmentarzu. Żywi kroczyli pomiędzy umarłymi.

Dąb stał na skraju cmentarza pomiędzy starymi grobowcami. Nie miał więcej niż dziesięć – dwanaście lat. Plan przewidywał zasadzenie pomiędzy grobowcami całych szpalerów drzew w nadziei, że kiedyś cmentarz przybierze wygląd ogrodu.

Grobowiec Johnsonów,

znajdujący się nie opodal, był ciemną, krytą granitem budowlą, na której widniały głęboko wyryte nazwiska członków rodziny. Wokół grobowca wysypano biały żwir i otoczono go niskim granitowym murem, gęsto porośniętym mchem.

Doktor Serling wskazał na inny grób, stojący nie opodal.

–Teraz wiecie, czemu Ben Miller znał to miejsce. Popatrzcie. Napis na grobowcu głosił: „Zachariah Miller, 1862 -1903”.

–To musiał być jego pradziadek. Yincenit zacierał ręce, żeby je rozgrzać.

–Zupełnie tego nie rozumiem. Nic tu nie ma.

–Mówiłem wam – powiedział Jack, pociągając nosem. – Benowi ze strachu pomieszało się w głowie. To, co powiedział, po prostu nie miało sensu. Myślał coś o umieraniu i z jakiegoś powodu przypomniał mu się ten grób. Idziemy stąd.

–Musiało być w tym coś więcej – odezwała się Pat.-Wiem, że był przerażony, że cierpiał, ale naprawdę mam wrażenie, że chciał mi coś powiedzieć.

–Przykro mi. Cała ta niepoważna afera nie wypaliła. To moja wina. Nie powinienem był tego zaczynać. Nie musiałybyś wtedy tak cierpieć.

–Jack, on rozpaczliwie chciał się z nami porozumieć. Jak myślisz, dlaczego w ogóle się pojawił? Duchy zjawiają się tylko wtedy, kiedy chcą – nie dlatego, że im każemy.

–No, może masz rację, ale chyba mu się nie udało? A mnie tylko udało się zrobić z siebie durnia.

Tymczasem Yincenit ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w grób Johnsonów.

Jeżeli Ben naprawdę próbował im coś powiedzieć, dlaczego wybrał ten właśnie grób? Dlaczego nie grób swojego pradziadka albo jakiś inny grób na tym cmentarzu? Nic w nim nie było niezwykłego. Nie miał żadnego specjalnego epitafium ani ozdób. Tylko kuty granit. Nie stał też na nim żaden posąg. Yincenit próbował ułożyć anagramy i akrostychy z nazwiska i imion Johnsonów, ale wychodziły tylko idiotyzmy.

–Ogłaszam koniec zmiany – stwierdził doktor Serling. – Wracajmy wszyscy do domów i przemyślmy to sobie dokładnie; jak będziemy mieć świeże umysły, wtedy może do czegoś dojdziemy.

–Zapowiada się, że będzie padać śnieg. Lepiej wróć do biura – powiedział Jack.



W milczeniu opuszczali cmentarz. Dozorca stał w bramie Domu Pamięci i uśmiechał się cierpko, wyraźnie ucieszony ich niepowodzeniem.

–Mam nadzieję, że trud nie był bezowocny? – zapytał Jacka.

–Ależ skąd – odpowiedział Jack. – Dobrał pan tu sobie pierwszorzędny ludzki materiał.

Jack zawiózł ich do szpitala, skąd zabrali swoje wozy.

–Jeżeli komuś coś zaświta, niech da mi znać – powiedział. Obiecali mu to.

Zawahał się na moment, a potem dodał:

–Nie jestem przekonany, że to był dobry pomysł z tym seansem. I nie wydaje mi się, żebym dobrze to poprowadził. Jeżeli komuś z was to zaszkodziło, to przepraszam. Najbardziej ciebie, Pat. Czuję się tak, jakbym cię wykorzystał.

Pat wzięła go za rękę i pocałowała w policzek.

–Tylko się tym nie przejmuj. Zrobiłam to z własnej woli. Może nawet coś na tym skorzystałam.

Yincent pomachał Jackowi i ruszył przez parking razem z doktorem Serlingiem.

–Interesujący człowiek z tego naszego szeryfa – zauważył.

–Zaryzykował, to prawda – odpowiedział doktor Serling. – Szkoda tylko, że w swoich przekonaniach nie wykazuje więcej odwagi. Pewnego dnia może to się okazać niebezpieczne; jeśli nie dla niego, to dla kogoś innego.

–Czy kiedykolwiek przedtem uczestniczył pan w seansie?

–Raz.

–Był udany?

–Sądzi pan, że przystałbym na przedstawienie z dzisiejszej nocy, gdyby było inaczej?

–Więc pan też wierzy. Doktor Serling uśmiechnął się.

–Chyba tak, chociaż nie do końca wiem, w co wierzę.

–A Ben... – zaczął Yincent.

Doktor Serling znalazł się przy swoim wozie i grzebał teraz po kieszeniach, szukając kluczy. Spojrzał przenikliwie na Yincenta.

–Chce pan mnie zapytać, czy zabiliśmy go, robiąc ten seans. Cóż, odpowiedź prawdopodobnie brzmi „tak” – w każdym razie umarł parę godzin wcześniej, niż należało się tego spodziewać. I jeżeli pańskie następne, nie wypowiedziane pytanie brzmi, czy

czuję się z tego powodu winny – zwłaszcza że byłem jego lekarzem i spoczywała na mnie moralna odpowiedzialność za zrobienie wszystkiego, aby przedłużyć mu życie – cóż, odpowiedź na to brzmi również „tak”.

Yincent nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć, ale po krótkiej chwili milczenia doktor Serling kontynuował:

–Kiedy zostajemy lekarzami, nadaje się nam władzę dawania życia i śmierci. Nie można od tego uciec. Mam nią dysponować dzień za dniem, nieustannie – i ostatnia noc nie stanowiła tu wyjątku. Przyjmuję winę, która na mnie spada. Gdyby było inaczej, zawiesiłbym stetoskop na kołku i pojechał na Florydę. Kiedy nadejdzie dzień sądu, zostanę osądzony i jeżeli postąpiłem źle, zostanę ukarany. To wszystko.

Kiedy Yincent jechał do Candlemas, znowu zaczął padać śnieg, ale tym razem suchy i rozsypujący się pod kołami. Myślał o tym, co powiedział doktor Serling, o seansie i o grobie Johnsonów, stojącym na wzgórzu obok dębu.

Ben Miller musiał mieć powód, by wskazać ten właśnie grób. Ale dlaczego właśnie ten zamiast jakiegoś innego? Jedyne, co go różniło od pozostałych grobów, jego jedyna cecha szczególna – to niski granitowy mur, obiegający go wokół.

Yincent miał dużą wprawę w rozwiązywaniu zagadek. Wyposażony był zarówno w wiedzę, jak i umysł potrafiący się nią posługiwać. Postrzegał grób Johnsonów jako problem intelektualny, ale tym razem jego mózg był bezradny nie wiedząc, od czego zacząć.

A może widzi komplikacje tam, gdzie ich nie ma? Przecież Ben Miller był niedorośłym prostaczkiem o podstawowym wykształceniu. Jeżeli ktoś o prostym umyśle chciałby rozwiązać taki problem, to jakimi posłużyłby się metodami? Na pewno nie używając pojęć, unikając akademickich skojarzeń, raczej nie korzystając z liczb. Nie, zagadka byłaby wyrażona wprost – obrazem. Ben Miller był wychowany na telewizji, był dzieckiem audiowizualnej epoki Marshal-la McLuhana. Jeżeli ktoś taki myślał o grobie Johnsonów, to dlatego, że wizerunek grobu oznaczał...

–Niech to jasny szlag trafi – odezwał się na głos Yincent. Grób Johnsonów miał wokół mur. Jako jedyny. Grób otoczony murem – to budziło przerażenie Bena. Bo oznaczało: „Waldegrave”.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

New Milford, 19 grudnia Kiedy Yincen przyjechał z powrotem do Candlemas, obok • domu zobaczył czerwonego, sportowego datsuna i zapalone światła w salonie. Drzwi otworzyła mu Charlotta. Miała na sobie brązową wieczorową suknię z wełny, którą kupił jej w Londynie u Har-rodza.

–Przez całą noc nie mogłam się ciebie doczekać-powiedziała, całując go na przywitanie. Gdzie się podziewałeś? Zdjął płaszcz i zawiesił na wieszaku.

–Gdybym ci powiedział, i tak nie uwierzyłabyś. Ale czuję się dobrze. Tak naprawdę, to czuję się lepiej niż dobrze. Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, co się dzieje. Przynajmniej częściowo.

–Na litość boską, chodź i wypij trochę gorącej kawy. Wyglądasz na kompletnie zmaltretowanego.

–Nie jest tak źle-upierał się Yincen. – O której tu dotarłaś?

Charlotta weszła pierwsza do salonu. Już poprzednio wyrzuciła popiół z kominka i dorzuciła świeżych dREW do ognia; teraz trzaskały wesoło. / – Tuż po północy. Chyba się rozminęliśmy. Yincen rozluźnił krawat i zdjął marynarkę.

–Coś mi się zdaje, że to nie wszystko, co masz mi do powiedzenia.

–Nie wszystko – potwierdziła. – Byłam na obiedzie z Di-ckiem i pokłóciliśmy się.

–Czy ja znam Dicka?

–Dick Cortabitarte. Pracuje w Artprincie.

–Ach, ten Dick. No cóż, nie jestem zaskoczony. Wydaje mi się, że Dick Cortabitarte faktycznie jest obrzydliwym facetem. Mam wrażenie, że nawet jego włosy są obrzydliwe.

–To właśnie ten facet. Dick z obrzydliwymi włosami.

Charlotta przygotowała kawę, podczas kiedy Yincen poszedł na górę. Siadł na łóżku, zdjął krawat i rozpiął koszulę. Równocześnie podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer Jacka Smitha. Po długim czekaniu odezwał się jeden z zastępców Jacka.

–Nie ma go. Mam coś przekazać?

–Tak. Proszę mu powiedzieć, że grób Johnsonów jest grobem otoczonym murem, jest to mur i grób. Potem proszę mu przeliterować nazwisko Waldegrave.

–Czy rozumie, o co chodzi?

–Aż tyle i tylko tyle, ile ja.

–W porządku, sir. Dopilnuję, żeby dostał tę wiadomość.

Yincent wziął prysznic i przebrał się. Kiedy zszedł na dół, ubrany w czarny wełniany garnitur i kremową jedwabną koszulę, Charlotta powiedziała:

–Znowu wychodzisz? Chciałam ci przygotować lunch.

–Muszę wyjechać. Jeżeli masz ochotę, pojedziemy razem.

–Dokąd jedziesz?

–Tylko do Litchfield. Muszę zajrzeć do pewnych dokumentów.

–Yincent – zaprotestowała Charlotta – coś się dzieje i ja nawet nie wiem, o co chodzi.

Yincent wyszedł do holu i wrócił z obrazem Waldegrave'a: Rozerwał opakowanie i ustawił go na krześle. Charlotta przyjrzała mu się uważnie, a potem obróciła się do Yincenta, krzywiąc nose.

–Koszmar – powiedziała. – Cuchnie. Zupełnie jak gnijące mięso.

–Mój dziadek twierdził, że ten obraz jest rodzinnym talizmanem. Przywiązywał taką wagę do utrzymania go w naszych rękach, że nawet zamieścił w testamencie specjalną klauzulę.

–A twój ojciec? Też tak myślał?

–Mój ojciec miał bardziej zróżnicowane poglądy. Ale robił to, co mu dziadek nakazał, i strzegł tego obrazu. Ja też. Tak nam kazano, chociaż nie powiedziano dlaczego. W rodzinie Pearsonów zawsze obowiązywało posłuszeństwo wobec starszych. Mój ojciec powiedział mi, że bym nie kupował obrazów, które do mnie nie przemawiają, i usłuchałem go; oto, dlaczego galeria Pearsona kwitła i kwitnie.

–Zdobywając przy okazji palmę pierwszeństwa w dziedzinie sztywni actwa – dorzuciła sucho Charlotta.

–Tak o mnie myślisz? – spytał Yincent.

–Nigdy nie próbowałeś mnie uwieść. Cóż więc mam sobie myśleć?

Yincent popatrzył na nią długo i z namysłem.

–Czy to rodzaj zemsty na Dicku Cortabitarcie? Charlotta powoli i stanowczo pokręciła głową w obie strony.

–Nie.

Yincent dopił swoją kawę i odstawił filiżankę.

–Mam nadzieję, że uświadamiasz sobie, że to zniszczy wszystko.

–A dlaczego miałyby tak być?

–Nie wiem. Ale nie chcę cię stracić. Nie chcę stracić twojej przyjaźni. Kiedy ludzie decydują się na zostanie kochankami, to pierwszą rzeczą, którą mogą utracić, jest przyjaźń. Jeżeli pokochamy się, a potem odkochamy, to wtedy buum! – wszystko się posypie: Spacerzy, rozmowy, wyjścia do teatru, wspólne kolacje, weekendy w Candlemas.

Charlotta wzięła go za rękę.

–Czasem musi się podjąć ryzyko. Nie można uciekać przed tym przez całe życie.

Kocham ciebie i ty mnie kochasz. Dlaczego mamy nosić te niewidzialne pasy cnoty?

Tylko na wypadek utraty przyjaźni? Jedna sekunda prawdziwej miłości jest warta pięciu lat przyjaźni.

–Nie zawsze.

Charlotta pochyliła się i pocałowała go w policzek; potem w usta. Pocałunek rozpoczął się niewinnie, z zamkniętymi wargami, ale potem wsunęła mu do ust koniuszek języka i po chwili całowali się namiętnie i głęboko. Yincent w końcu poczuł, jak nieodparcie wzbiera w nim długo skrywana namiętność do Charlotty.

Było jasne, że zostaną kochankami.

To się odbyło z godnością i wdziękiem. Na górze, w głównej sypialni, wśród rozproszonych, fioletowych cieni. Na łożu, które przez ostatnie sto lat było świadkiem intymnej historii rodziny Pearsonów. Charlotta leżała naga w pościeli, kiedy Yincent zbliżył się do niej. Podniosła się, dotknęła jego policzka i pocałowała. Jego palce zatańczyły kolistą po najbardziej wrażliwych miejscach jej ciała, pobudzając ją do lekkiego drżenia. Od szyi, przez ramiona, do obrzeży piersi, tak że sutki uniosły się jej jak zamknięte pączki róż Madame Gregoires.

Ujęła jego twardniejący członek i wprowadziła pomiędzy rozwarte uda. Szybko wśliznął się w nią tak głęboko, jak tylko mógł, a ona zadrżała z rozkoszy wiedząc, że jej uczucie znajduje w końcu upragnione spełnienie. Obejmowali się mocno, podczas kiedy rytm ich ciał z wolna narastał. Yincent powiedział: – Zamordujesz mnie – i roześmiał się. Wtedy Charlotta poczuła obezwładniający spazm

nadciągającego orgazmu i nie była w stanie go powstrzymać. Zachłysnęła się i krzyknęła, a falowanie jej pochwy doprowadziło również Yincenta do szczytu.

Kiedy przytuliła się do niego, poczuł, że tonie w jej gorącu...

Przed opuszczeniem łóżka kochali się jęszcze raz, teraz wolniej, delektując się zespoleniem ciał, a ich palce błędziły między udami, wzmagając zachwyty i poczucie spełnienia.

– Nawet jeżeli to jest pierwszy i ostatni raz, warto było – powiedział Yincen.

Charlotta oparła się na łokciu i popatrzyła na niego figlarnie.

– Powinniśmy to zrobić tysiąc lat temu.

– Nie, nie sądzę. Teraz jest właściwy czas. Nie lubię kochać się z kobietą, której nie poznałem do końca.

– A co z Meggsy?

– To było pożądanie, nie miłość.

– Było?

Yincen sięgnął po zegarek, leżący na nocnym stoliku.

– Chyba nie sądzisz, że zdradzałbym taką miłą, kochaną dziewczynę jak ona?

– A co z miłą, kochaną dziewczyną jak ja?

– Ciebie też bym nie zdradził.

Ubrali się i wypili drinka przy kominku; potem Yincen powiedział:

– Musimy jechać. Obiecałem Morrisowi, że zjawię się w jego biurze przed lunchem.

W soboty zamyka w południe.

– Morris?

– Adwokat rodziny.

Jechali do Litchfield. Słońce z żółtego stało się śmiertelnie blade. Mijane wiejskie okolice wyglądały jak obraz z posrebrzonego snu: zamglone wzgórza w szaroperłowej przestrzeni. Charlotta siedziała blisko Yincenta. Jedną rękę opierała na jego udzie, nie zaborczo, ale z ufnością potwierdzającą wspólnotę przeżytych doznań. Ciepła przyjaźń rozkwitła w miłość. Jeśli nawet było to bardziej ryzykowne, to o ileż słodsze.

– Czy musisz wrócić do MOMA przed Bożym Narodzeniem?

– Miałam zadzwonić w poniedziałek.

– To brzmi, jakbyś już zmieniła plany.

– To zależy. A ty wracasz do miasta?

I – Nie sędę.

–No, to dobrze. Zostaję z tobą.

Yincent popatrzył na nią i uśmiechnął się. Charlotta ucałowała koniuszki swoich palców i przytknęła do jego warg.

Biura firmy Morris, McClure Winterman znajdowały się na •obrzeżach Litchfield, w wielkim osiemnastowiecznym budynku, kiedyś należącym do zabudowań farmy. Dach przykrywała gruba czapa białego śniegu. Wyglądające spod niego ciemne, obłożone deskami ściany wydawały się jeszcze ciemniejsze, a oprawione w ołów szyby – jeszcze mniejsze. Yincent wyobrażał sobie, że w takich domach musiały kiedyś mieszkać wiedźmy. Była to jedna z tych dusznych kolonialnych rezydencji, pełna ciasnych korytarzy, zatęchłych szaf i wznoszących się pod szaleńczymi kątami schodów. Morris uwił tam sobie gniazdo na strychu, pod okapem. Było nieporządne, pełne dokumentów prawniczych i rozsypujących się akt. Gospodarz był siwy, miał krogulczy nos, okulary w rogowej oprawie, ze szklami upstrzonymi odciskami palców. Kiedy usiadł i założył nogę na nogę, spod nogawki wynurzył się rąbek kalesonów. Ucieszył się, jak zwykle, na widok Yincenta. Ścisnął mu dłoń, uśmiechnął się szeroko i zaproponował jemu i Charlotcie szklaneczkę butelkowanego w Anglii sherry.

Charlotta usiadła na starym, krytym skórą fotelu, zapadając się w niego jak w staroświecką balię.

–Twój pradziadek był niestrudzony, jeśli chodzi o prowadzenie dziennika – powiedział Morris, rozwiązując wstążeczki, które przez ponad siedemdziesiąt lat ścigały brzegi teczki z napisem „Pearson, 1891-1913”. – Nie był zbyt komunikatywny, nie przywiązywał wagi do konwersacji, ale wszystko zapisywał. Od sprzedaży najmniejszego, najmarniejszego obrazka – komu, dlaczego i czy nowy właściciel był wart nabytku, czy też nie – aż do problemów małżeńskich i kłótni z twoją prababką oraz, hm... skoków na boki.

–Chodzi mi o Grayów – powiedział Yincent.

–Tak, rzeczywiście, mówiłeś przez telefon. To nazwisko jest mi oczywiście znane. Zajmowali poczesne miejsce wśród najlepszego towarzystwa Connecticut, siedemdziesiątych lat osiemnastego wieku aż po początek naszego stulecia. I nagle zwinęli żagle i wyjechali do Europy. W owym czasie wyjazd Grayów odbił się niezwykłym echem i zupełnie oszołomił tutejsze towarzystwo. Wyobraź

sobie, jak w Newport przyjęliby wiadomość o nagłym zniknięciu Yanderbiltów. Żyją w Darien starzy mieszkańcy, którzy uważają, że miasto stałoby się stolicą amerykańskiej socjety, gdyby nie wyjazd Grayów. Z tamtych dni byli równie bogaci i popularni jak Astoro-wie, Frickowie czy Havemeyerowie.

–Pradziadek wspomina o nich w tych papierach? – spytał Yinent.

–Parę razy. Zrobiłem, o co prosiłeś, i starałem się odnaleźć o nich tyle wzmianek, ile się dało. Na nieszczęście dziś rano było u mnie krucho z czasem, za wszystkie moje grzechy zostałem ukarany prowadzeniem sprawy Hartleya, i dlatego przebrnąłem przez to tylko do połowy. Gdybyś miał ochotę sam się w to zagłębić, proszę bardzo, rzecz jasna...

–Ależ z chęcią – powiedział Yinent. – Jest tu gdzieś pokój, w którym moglibyśmy usiąść?

–Siedźcie sobie tutaj. Za dwadzieścia minut muszę być w sądzie. Nie będziecie mi przeszkadzać. Tylko nie wypijcie za dużo mojego sherry. Kuzyn mi je przysyła, rozumiecie. Nie uważacie, że jest całkiem niezłe?

Yinent pociągnął kolejny łyczek i podniósł kieliszek.

–Naprawdę niezłe – powiedział.

Yinent i Charlotta wzięli pękaty skoroszyt i usiedli przy małym stoliku.

Prawnik w tym czasie kartkował dokumenty, chrząkając przy tym bez przerwy, zaraz kontaktował się telefonicznie z sekretarką, rzucając jej tajemniczo brzmiące terminy.

Diariusz Pearsona zawierał nieskończenie dużo lekko zwijających się stronic w formacie in quarto. Pożółkły i zmiękczone przez czas papier był pokryty po obu stronach pajęczyną ręcznego pisma, naniesionego purpurowym atramentem. Akta rozpoczynały się od lata 1891 roku, kiedy pradziadek Yinenta miał dwadzieścia siedem lat, a dziadek pięć. Były to karty mówiące o Candlemas, opowieść o odbudowie i poczynionych zmianach, letnich przejażdżkach, wyprawach łódkami i piknikach. Morris powasuwał zakładki z bibuły pomiędzy strony, na których pojawiły się wzmianki o Grayach. Pradziadek Yinenta musiał spotkać się z nimi parę lat wcześniej, ponieważ w pierwszej uwadze, z 12 sierpnia 1891 roku, było powiedziane: „Algernon Gray przyjechał na ten weekend z Darien, przywożąc ze sobą żonę Isobel i córkę Cordelię. Jak zawsze prezentował



się rześko. W istocie ledwo się zmienił od chwili, w której spotkałem go po raz pierwszy, kiedy mając lat dziewiętnaście, zostałem mu przedstawiony na balu z okazji uznania Aktu Niepodległości przez Darien. Cordela była równie świeża i kwitnąca jak tamtego dnia, chociaż musiała już osiągnąć wiek dwudziestu pięciu lat. Pan Gray przejawiał duże zainteresowanie obrazami katedry w Rouen, które Jean Laplage przysłał mi ostatnio z Paryża. Przyjąłem jego ofertę zakupu: sto pięćdziesiąt dolarów za jeden. Nabył najlepszą parę. Jednakowoż nigdy nie będę uważał rodziny Grayów za stosownych właścicieli wartościowych obrazów. Jest w nich bowiem coś dzikiego, jakby określenie «mięsożercy» miało w przypadku tej rodziny jakiś głębszy sens".

Następna wzmianka o Grayach pochodziła z roku 1893, kiedy to pradziadek Yincenta spotkał Belvedere'a i Willę Gray na przedstawieniu w Nowym Jorku. „Zachowywali się dziwnie, chociaż prezentowali znakomicie. Wiele mówili o Oskarze Wildzie, o tym, jaki to z niego wspaniały dramaturg, i o wystawieniu przez Tree Wachlarza lady Windermerer, którego premiera odbyła się właśnie w Londynie. Ta rodzina coraz bardziej mnie intryguje. Kiedy tylko się z nimi spotkam, uderza mnie ich nienaturalna żywotność. Wiara w przyszłość, która żywią, przerasta normalny optymizm, z jakim ludzie spoglądają na czas, który im pozostał. Belvedere mówił o końcu wieku dwudziestego i o tym, jak będzie się różnił od dziewiętnastego.

Wyglądało, że spodziewa się ujrzeć to na własne oczy. Zdziwiałe w najwyższym stopniu!" Dalej były kolejne uwagi o towarzyskich spotkaniach z rodziną Grayów, mających miejsce aż do roku 1905. W lutym 1906 roku pradziadek Yincenta zanotował: „Jestem bliski wiary, że rodzina Grayów musiała zawrzeć jakiś pakt z samym diabłem. Nie zmieniają się od ponad piętnastu lat. Cordelia nie może mieć mniej niż trzydzieści sześć, ale dalej jest beztruską panną i nie wygląda starzej, niż mając lat dwadzieścia. Ostatni raz, kiedy zamieniłem z nią kilka słów, podczas regat w Newport, powiedziała, że zastanawia się, czy nie wziąć «wkrótce» ślubu, ale musi być pewna, że jej mąż będzie odpowiednią partią. «W gruncie rzeczy nie ma się do czego spieszyć». Jeżeli trzydziestosześcioletnia kobieta mówi, że nie musi się spieszyć do małżeństwa, brzmi to zastanawiająco: ale nie mniej zastanawiająca jest sama Cordelia. Ma gładką szyję, bez jednej

zmarszczki, a jej włosy zachowały ten sam cudowny blask co dawniej. A cóż mam powiedzieć o Algernonie i Isobel, których świeżość jest uderzająca? Ja sam z każdym miesiącem starzeję się i siwieję; tymczasem Algernon, który jest dobre parę lat ode mnie starszy, trzyma się świetnie -jakby był zatopiony w bursztynie".

Do roku 1911 dziennik zawierał parę luk; w tym to roku pradziadek Yincenta nabrał całkowitej pewności, że Grayowie nie są normalną rodziną. Wtedy też postanowił się dowiedzieć, na czym polegała ich odmienność i jakie były jej przyczyny. W czerwcu 1911 roku włożył na siebie „nie wyróżniające się Iniane odzienie” i udał do Darien. Chciał porozmawiać z paroma sąsiadami Grayów i „tymi mieszkańcami Darien, którym Pan nie poskąpił rozumu, a jest ich mniej, niżbym sobie życzył”.

Nagle Yincent wskazał na dłuższy akapit, bardziej zwarty, jakby został przepisany z notatek.

–Tego szukaliśmy! – powiedział Charlotcie. – To dowód. Rodzina na portrecie Waldegrave'a to Grayowie. Nie ma cienia wątpliwości.

Akapit zawierał zeznania, które pradziadek Yincenta uzyskał od kobiety nazwiskiem Nora Cartwright, zarządzającej służbą w Wil-derlings. Wyglądało na to, że po tym, jak odeszła od Grayów, tułała się bez stałej pracy. Nawet w tamtych czasach mieli oni „złowieszczą” reputację. Za gotowaną szynkę i dziesięć dolarów stała się bardzo rozmowna. „W grudniu roku 1882, w ramach tournée po Ameryce, podczas którego odwiedził San Francisco, Leadville, Denver i Savannah, sławny irlandzki esteta Oskar Wilde znalazł się w Newport, w stanie Rhode Island. Tam, podczas obiadu wydanego przez Goeletów, poznał Algernona i Isobel Grayów. Oboje z zapalem kolekcjonowali współczesną sztukę i byli zachwyceni, kiedy parę dni później Wilde przedstawił ich Walterowi Waldegrave'owi. Był to modny angielski malarz. Towarzyszył w podróży do Stanów Zjednoczonych pani Lily Langtry, która na parę dni przed Bożym Narodzeniem odwiedziła Nowy Jork. Waldegrave był realistą ze szkoły preraphaelitów i Algernon bardzo nalegał, aby namalował rodzinny portret Grayów w ich domu w Darien. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności podczas swojej wizyty w Nowym Jorku Waldegrave nabawił się zapalenia płuc i wcześniej powrócił do Anglii w lutym 1883, zbyt jeszcze

osłabiony, aby podjąć się jakichkolwiek zamówień. Niemniej jednak w lecie 1883 roku Grayowie udali się do Londynu przede wszystkim po to, aby odwiedzić Waltera Waldegrave'a w jego domu w Norbury w South London. Liczyli, że namaluje im rodzinny portret. W październiku powrócili do Darien, ale ich styl życia „wielce się zmienił”. Zaczęli bardzo okrutnie traktować swoją służbę, a zarówno Maurice'a, jak i Henry'ego Graya obwiniano o niegodne wykorzystywanie pokojówek.

Doszło do tego, że okoliczne rodziny nie chciały oddawać swych córek na służbę do Wilderlings. Krążyły historie o niezwykłych seksualnych praktykach, podczas których chłostano i wiązano ofiary. Choć te opowieści, zrodzone zapewne z lęku i ciemnoty, były przesadzone, to równocześnie niewątpliwie Grayowie znaleźli się pod wpływem jakiegoś uroku. Uwierzyli, że stoją ponad prawami ludzkimi i boskimi. Nie utracili swej pozycji w wielkim świecie, gdyż w towarzystwie przyjaciół zawsze zachowywali się nienagannie. Ale dziatwa w Darien miała przykazane, aby nie zapuszczać się w pobliże Wilderlings, gdyż grozi jej pożarcie żywcem. A kiedy Grayowie wypuszczali się na dalekie spacer, omijano ich z daleka”. Kiedy Yincen i Charlotta kończyli ten akapit, Morris podniósł się od swego biurka, podał Yincenowi rękę i powiedział:

–Bardzo pragnąłbym zostać i zaprosić was na lunch. Ale wiecie, jak to jest.

Hartley versus Hartley. To najbardziej zagmatwany proces w sądowej historii Connecticut. Poza O'Connell versus O'Connell, ale tamto, rzecz jasna, to była epopeja. Mój Boże, prawdziwa epopeja! I najlepsze honoraria dla prawników od czasu sprawy Yanderbilta.

–Ogromnie nam pan pomógł – powiedział Yincen. – Czy nie będzie przeszkadzało, jeżeli zostaniemy jeszcze na chwilę i skończymy czytać te dokumenty?

–Ależ, proszę – zgodził się Morris, usiłując do nich mrugnąć. – Tak naprawdę testament tego zabrania, ale skoro jesteś jedynym żyjącym członkiem rodziny, to pod względem prawnym wiele nie ryzykujemy, prawda?

Wydał z siebie przedziwny śmiech, jakby nagle ktoś chwycił go za gardło i dusił, trzęsąc na boki głową.

Siedzieli w przygniatającej ciszy pokoju Morrisa, w domu wzniesionym dla czarownic i brnęli dalej przez diariusz; dużo lepiej, niż sięgały miejsca zaznaczone przez prawnika. Uważnie przesuwali

palce wzdłuż kolumn, poszukując śladu rodziny Grayów lub wzmianki o Waldegrawie, Darien albo Oscarze Wildzie.

Purpurowy atrament skończył się. Nagle od 1910 roku zaczęły się strony zapisane czarnym atramentem, na innym rodzaju papieru, pokryte dużo bardziej energicznym charakterem pisma. Pod „y” pojawiły się kółeczka, a pod „g” zakrętasy, „q” były wykańczane miniaturowymi błyskawicami, „t” przekreślano energiczną kreską, a kropeczki nad „i” przybrały kształt romboidalny. To był dziariusz dziadka Yinenta. Teraz on zabrał się do śledzenia Grayów. I nie zamierzał spocząć, dopóki ich moralne zepsucie nie zostanie dowiedzione. „Rozmawiałem z wieloma służącymi; przyjaciółmi i znajomymi. Nabrałem pewności, że mimo pozornej absurdalności tego, co chcę powiedzieć, Grayowie przeszli niezwykłą metamorfozę. Odkryło się to podczas ich pobytu w Anglii w roku 1883:

Podtrzymują mnie w tym zapiski pana Oscara Wilde'a i chociaż on sam nie żyje od lat dziesięciu, miałem szczęście rozmawiać z paroma osobami, które zetknęły się z nim podczas jego podróży do Nowej Anglii w roku 1882. Panuje powszechna opinia, iż Grayowie zasmakowali w znajomości z Wilde'em, a również z Walterem Waldegrave'em. Podczas Bożego Narodzenia 1882 roku nie byli w stanie mówić o niczym innym. W istocie cała rodzina Grayów zdawała się czekać z największą niecierpliwością sygnału z Anglii. Latem roku 1883 dowiedzieli się, że pan Waldegrave czuje się już dobrze i jest gotów namalować ich rodzinny portret”.

W dzienniku nastąpiła długa przerwa, potem zaś trafili na grubo podkreślony ustęp z maja 1911 roku. „Mój korespondent z Anglii, pan Frederick Rickwood, poinformował mnie właśnie, że Walter Waldegrave, zanim popełnił w roku 1885 samobójstwo, był podejrzewany o czyny bluźniercze i czarną magię. Należał do niesławnego kręgu czcicieli szatana, znanego jako Dziewiątka z Norbury. W roku 1884 wielu z nich zostało ukaranych przez prawo za sprzeczne z naturą uczynki i za pogańskie ofiary z owiec. Twierdzi się, jakoby Waldegrave odkrył obrzęd, dzięki któremu ci, którzy zobowiązali się żyć w grzechu i diabelstwie, osiągną życie wieczne nie starzejąc się. Pan Rickwood pisze, że jeśli umiejętny artysta namaluje portret suplikantów, a potem wypowiedzą oni na wspak słowa egzorcyzmu, uzyskają nieśmiertelność. Portret będzie się starzeć, oni na zawsze pozostaną młodzi”.

Dziadek Yinenta zacytował na wspak egzorcyzmy: „A/os audi, rogamus te, digneris humiliare Ecclesiae sanctate inimicos ut; nos audi, rogamus te, seruire libertatefacias tibi segura tuam Ecclesiam ut; Domine nos libera, diaboli insidiw ab ”.

Dziennik biegł dalej: „Rozmawiałem na temat Grayów z ojcem Summersem z klasztoru Jezuitów i wreszcie w lipcu zgodził się udać wraz ze mną do Darien, składając im nie zapowiadaną wizytę. Sądzę, że obaj czuliśmy lęk i niechęć wobec celu wędrówki”.

–Nie sądzisz chyba – zaczęła niepewnie Charlotta – że Maurice Gray – mam na myśli tego Maurice'a Graya, o którym mówił szeryf Smith – nie sądzisz chyba, że to ten sam Maurice Gray? Przecież ten Maurice Gray żył w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Nie mógł...

Yinent obrócił parę kartek wstecz. – „Twierdzi się, jakoby Waldegrave odkrył obrzęd, dzięki któremu ci, którzy zobowiązali się żyć w grzechu i diabelstwie, osiągną życie wieczne nie starzejąc się” – przeczytał na głos.

–Ale nie wierzysz w to, prawda? Gdyby tak było, to przecież Maurice Gray miałby ponad sto trzydzieści lat!

–Wczoraj rano powiedziałbym, że jest to niemożliwe.

–Ale ten seans zmienił twoje myślenie, czy tak? Yinent podniósł ręce na znak, że rozumie z tego równie mało jak ona.

–Widziałem ducha umierającego człowieka, unoszącego się w powietrzu; słyszałem głosy, gdy nikt się nie odzywał. W tej chwili byłbym gotów uwierzyć we wszystko – nawet w stutrzydziestolet-niego miłośnika sztuki.

–Byłeś zmęczony Co naprawdę zobaczyłeś? Popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

–Nie wierzysz mi? Widziałem Bena Millera, tak samo jak wszyscy biorący udział w tym seansie go widzieli. Był tam, na sto procent. Nie da się temu zaprzeczyć.

Charlotta położyła mu rękę na dłoni.

–Ci Grayowe -jeżeli to prawda...

–Boisz się ich?

–Oczywiście, że tak.

–Jeżeli to może cię pocieszyć, to też się ich boję.

Yinent powrócił do dziennika i odczytał następny zapis, powoli

i zacinając się, jakby odczytywał instrukcję obsługi maszyny do mycia naczyń. – „Udaliśmy się z ojcem Summersem do Wilderlings i zastaliśmy rodzinę Grayów w ogrodzie, przy herbacie. Było cudowne popołudnie. Grayowie zachowywali się jak wzory dworskiej elegancji. Wydawali się obojętni wobec faktu, że był obecnie rok 1911, prawie trzydzieści lat po tym, jak Walter Waldegrave namalował ich portret. Żaden z nich nie postarzał się od tego czasu o włos. Algernon Gray powinien mieć sześćdziesiąt trzy lata, a jednak wyglądał jak młody, trzydziestoletni mężczyzna. Jego żona Isobel wyglądała prawie równie młodo jak jej własna córka, Cordelia, która z kolei powinna przekroczyć czterdziestkę, a była świeża i bez zmarszczek, niczym dwudziestolatka. Mieli tego samego kota, którego zapamiętałem z dzieciństwa, pomarańczowego kocura z naddartym uchem o imieniu Raca. A przecież ten kot powinien umrzeć już ze trzy razy. Ojciec Summers i ja nie powiedzieliśmy Grayom niczego wprost; ale kiedy zbieraliśmy się do wyjścia czekając, aż służba poda nam kapelusze, pokazałem ojcu Summersowi obraz Waldegrave'a wiszący w holu – i wtedy wszystko, co się tu działo, stało się jasne. Obraz pokazywał rodzinę Grayów taką, jakiej należało się spodziewać.

Algernon był siwy i postarzały, Isobel pokryta zmarszczkami, a Cordelia wyglądała na matronę w średnim wieku. Maurice posiwił i choć nadal trzymał klasę, przeżyte lata pozostawiły na nim swój ślad. Henry wyglądał na udręczonego troskami. Wydało się nam, że ludzie siedzący w ogrodzie to figury ze snu, a ten portret pokazuje ich postacie na jawie, ukazując, jacy są naprawdę. Ojciec Summers przeżegnał się i odmówił modlitwę, ale przerwało mu nagle pojawienie się Maurice'a Graya. Uprzejmie, ale stanowczo, wyprowadził nas z domu na podjazd, na którym czekał nasz automobil. Maurice Gray prawie się nie odzywał, ale dał nam jasno do zrozumienia, że rodzina Grayów nie ma zamiaru przyjmować więcej żadnych nie zapowiadanych gości i na przyszłość powinniśmy się trzymać z daleka od Wilderlings".

Podczas lata 1911 roku dziadek Yincenta odnotował siedem zgonów młodych kobiet mieszkających w pobliżu Darien. Przyczyna żadnego z nich nie została wyjaśniona; wzrastało w nim przekonanie, że jest to dzieło rodziny Grayów, zwłaszcza że większość ciał miała ślady po biczowaniu i więzach na rękach i nogach. Dotarły też

I do niego wieści, jakoby Henry Gray bez przerwy rozwodził się wobec swych przyjaciół nad przyjemnościami płynącymi z praktyk sadystycznych oraz o tym, w jak wysokiej estymie ma „mniej popularne” dzieła S winburne' a. Kiedy we wrześniu roku 1911 Henry Gray został oskarżony o morderstwo, i niemal natychmiast został zwolniony „z braku dowodów winy”, dziadek Yinenta uznał, że musi działać. Zaangażował włamywacza profesjonalistę, polecił mu włamać się w nocy do Wilderlings i skraść obraz Waldegrave' a. Potem wystosował do Algernona Graya list, w którym zapraszał go do Candle-mas, „jeżeli pragnie się dowiedzieć, gdzie znikł obraz Waldegrave'a”.

Spotkanie było przepełnione jadem i nienawiścią. Algernon Gray oskarżył dziadka Yinenta o kradzież i działanie na jego szkodę. Szalał, że go powiesi. Ale dziadek z lodowatym spokojem stwierdził, że nie zamierza wypuszczać portretu z rąk oraz że obiecuje go zachować, pod warunkiem, że Grayowie natychmiast opuszczą Connecticut i nigdy tu nie powrócą. Jeżeli go nie usłuchają, spali portret.

Rzecz jasna była to niebezpieczna gra, gdyż nie mógł wiedzieć, czy opowieści o Walterze Waldegrawie miały jakakolwiek podstawę. Młodzieńczy wygląd Grayów dał się wytłumaczyć ich doskonałym zdrowiem. Ale kiedy Algernon Gray niechętnie zgodził się opuścić kraj, pod warunkiem że portret nie zostanie zniszczony, dziadek Yinenta uzyskał pewność – wszystko, czego dowiedział się o Grayach, było prawdą. „Źródło podtrzymujące egzystencję rodziny Grayów zawierało się w tym obrazie.

Jeżeli czas zostawiał ślady na członkach rodziny, obraz odbijał je z największą dokładnością, mimo że twarze samych Grayów pozostawały gładkie. Każda hulanka, każda zabawa, na której krążyły narkotyki, każdy rodzaj perwersji, wszystko to zostawiało ślad na portrecie, jakby namalowane magiczną dłonią, której nie umknęła żadna sekunda, dłonią, która odnotowywała każdą pełną zepsucia i folgowania sobie chwilę rozkoszy. Gdyż czas i zepsucie zawsze muszą pozostawić za sobą ślady i równie niezawodnie, jak człowiek, który idąc po śniegu, zostawia za sobą swój ślad”.

W dzienniku było już niewiele wzmianek dotyczących okresu, w którym Grayowie pakowali się i wyjeżdżali, chociaż jedna linijka głosiła: „Algernon usiłował mnie przekupić; kiedy mu się nie udało, groził!” Grayowie musieli znacznie częściej grozić dziadkowi Yincenta i próbować go omotać, niż to ujawnił. Przecież obraz nie był tylko obrazem. To nie była tylko część dziedzictwa. Obraz był nimi, samymi Grayami, w nim tkwiła istota ich tożsamości. W momencie, w którym przestałby istnieć, czekał ich ten sam los. Lęk, z jakim opuszczali Connecticut, musiał być ogromny, a od tej pory czekało ich życie w podobnym lęku, przez każdą sekundę każdego dnia. Wystarczyłoby, by pożar, powódź czy jakiś szalaniec zniszczył obraz, a „cała dwunastka” natychmiast przestałaby istnieć.

A teraz Grayowie powrócili do Wilderlings; zagnieździli się tam na nowo i zaczęli szukać swego portretu.

To dlatego zginął Edward-pomyślał Yinent. Kobieta w czerni nie pragnęła jego ciała, nawet prawdopodobnie nie zamierzała go zabić. Potrzebowała kluczy tylko po

to, aby przeszukać galerię. A co wzięła? Nic, ponieważ obrazu Waldegrave'a tam nie było. W istocie był to jedyny obraz, którego osoba postronna nie była w stanie odnaleźć, mimo że miała wszelkie podstawy, by oczekiwać, że tam się znajduje. A to dlatego, że Aaron Halperin z Bań tam trzymał się nad jego restauracją.

Pozostawiła Edwardowi straszliwy podarek, dowód własnego zepsucia; robaki z własnego grobu, robaki, które powinny zeżreć ją ponad sześćdziesiąt lat temu.

–Yincent... czy to znaczy to, co mi się wydaje? – spytała zdławionym szeptem Charlotta.

–Grayowie znaleźli sposób na wieczne życie, a przynajmniej na coś podobnego.

Jedyny kłopot w tym, że zdobywszy nieśmiertelność, zaczęli tarzać się w moralnej zgniliznie. Stało się im kompletnie obojętne, czy przy tym kogoś skrzywdzą albo nawet zabiją.

–Ale twój dziadek wykrył to i powstrzymał ich.

–Gdyby tylko przekazał nam, dlaczego mamy opiekować się tym obrazem – westchnął Yincent.

–Czy uważasz, że ktoś z waszej rodziny uwierzyłby mu, gdyby to powiedział?

–Nie wiem. Wątpię, żeby mój ojciec mu uwierzył.

–No więc – powiedziała Charlotta – może i lepiej, że milczał.

–Te morderstwa przez odarcie ze skóry... Szeryf Smith myśli, że mogą mieć związek z Grayami, stanowić nierozdzielalną część tej samej sprawy.



I – O co ci chodzi?

–Portret rozpada się z winy słabej techniki malarskiej Waltera Waldegrave'a.

Być może, kiedy portret się rozsypuje, Grayowie również się rozsypują. Widzisz, co tu mamy w dzienniku dziadka: „Źródło podtrzymujące egzystencję rodziny Grayów zawierało się w tym obrazie”. Jeżeli obraz się łuszczy, to samo źródło ich istnienia również wysycha. Cóż – mogę nie mieć racji. Jedyne dowód, na podstawie którego szeryf Smith wiąże Grayów z tymi zabójstwami, to nie potwierdzone zeznania pewnego autostopowicza. Jest on znany z opowiadania niestworzonych historii. Ale wszystko wydaje się tu do siebie pasować. Grayowie mają powód, żeby potrzebować świeżej skóry. Jak podejdziesz i powąchasz ten portret, to nie poczujesz tempery robionej na jajku ani gnijącego płótna czy rozkładającego się werniksu. To smród prawdziwego, gnijącego ludzkiego mięsa. To odór gangreny. A jeżeli Grayowie gniją, to czego im najbardziej potrzeba dla zachowania nieskazitelnej powierzchowności?

–Skóry – powiedziała Charlotta i popatrzyła ze zgrozą na Yincenta.

–Nie wytrzeszczaj tak oczu. To prawda. Potrzeba im skóry, świeżej skóry, żeby móc za nią się skryć. Potrzebują masek zdartych z ludzi, aby nikt nie zobaczył, co się z nimi dzieje. Gniją, ale utrzymują poprawny, normalny wygląd, zdzierając skórę z innych ludzi i nosząc z taką wprawą, jak klaun swój makijaż. Tak wygląda prawda o Grayach. Od dawna mordują ludzi i robią to wyłącznie dla ich skór. A kiedy ten obraz rozkłada się coraz bardziej – to jak myślisz, co się dzieje?

–Potrzebują więcej skór?

–Na to wygląda. Boże, to ohydne.

–I również potrzebują tego obrazu?

–Przynajmniej zostawiłem dom mocno zamknięty – powiedział Yincen. – Jeden Bóg Wszechmogący tylko wie, do czego mogliby się posunąć, gdyby udało im się położyć rękę na tym portrecie.

–Czy nie można ich po prostu aresztować? – uniosła się Charlotta. – Jeżeli są tak źli, jeżeli naprawdę są mordercami, to dlaczego szeryf Smith nie pojedzie prosto do Darien i nie zaobrączkuje ich, zanim znów kogoś zabiją?

–Nie można nikogo aresztować, nie przedstawiając dowodów, kochanie. – Yincen czuł wyraźnie, że wypadki dzisiejszego poranka

nadały nowe znaczenie słowu „kochanie”. – I niezależnie od tego, co sobie myślimy, nasze dowody ograniczają się do mętnej opowiadki jakiegoś autostopowicza, którą każdy byle jaki adwokacina przygwoździ w sądzie, zanim nawet sędzia zdąży rozplaszczyc tyłek na fotelu.

–Ale są przecież dzienniki twojego pradziadka. I dzienniki twojego dziadka.

–Nie dowodzą niczego poza tym, że na początku tego wieku mój pradziadek i dziadek mieli trochę na pieńku z pewnymi ludźmi o nazwisku Gray, którzy dawno leżą już w grobie. Charlotta, przecież nie możesz poważnie kazać sądowi wierzyć w to, że ten oto Maurice Gray, oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia, jest tym samym Maurice'em Grayem, którego mój pradziadek znał w 1881 roku? Sam taki pomysł jest niedorzeczny. Sprawa natychmiast spadłaby z wokandy.

–Co nam pozostaje?

Yincent dokończył sherry i powiedział:

–Możemy zniszczyć portret. Wtedy również pozbędziemy się Grayów. Tak przynajmniej twierdzi dziadek.

–Naprawdę myślisz, że potrafiłbyś na zimno zabić dwanaścioro ludzi? – spytała Charlotta. Jej oczy w południowym słońcu były zielone i błyszczące jak onyks.

–To trochę nie to samo, co kogoś zastrzelić, prawda? To byłaby zdalnie sterowana egzekucja. Nawet nie musiałbym się do nich zbliżać. Mógłbym przytknąć płonąca pochodnię do obrazu i następnego dnia przeczytałbym w gazetach wychodzących w Da-rien, że Grayowie nie żyją.

–Nie chodzi mi o sposób – powiedziała Charlotta. – Chodzi mi o moralność.

–Popatrzmy na to w ten sposób. Nie ma nic niemoralnego w chęci zniszczenia starego, gnijącego obrazu z epoki wiktoriańskiej, który dawno temu stracił jakąkolwiek artystyczną i finansową wartość, nieprawdaż? A jeżeli faktycznie rodzina Grayów umrze w tym samym czasie, w którym go spalę, to mogę tylko powiedzieć, że wszystko, co na ich temat napisał mój dziadek, było prawdą i że godzina ich śmierci dawno wybiła. A jeśli nie umrą, to moje działanie okaże się nieszkodliwe.

–Brak mi czegoś w tej logice-stwierdziła z powątpiewaniem Charlotta.

–Mnie w niej brak prawie wszystkiego-powiedział Yincenc. Wstał i zamknął akta.

–Ale wracajmy do Candlemas i spalmy ten obraz.

Opuścili biura firmy Morris, McClure Winterman i przebrnęli przez zaśnieżony parking.

–Dlaczego twój dziadek tego nie zrobił, jeżeli był przekonany, że w Grayach tkwi takie zło? – spytała Charlotta. Yincenc wzruszył ramionami.

–Naprawdę o moim dziadku można powiedzieć jedynie to, że był człowiekiem honoru, człowiekiem dotrzymującym raz danego słowa, bez względu na wszystko.

Jeżeli obiecał Algernonowi Grayowi, że portret będzie u niego bezpieczny, to pozostał bezpieczny.

–A ty jesteś gotów złamać to słowo honoru? Yincenc otworzył drzwi samochodu.

–Wątpię, żeby dziadek miał choć cień podejrzenia, że Grayowie będą żywcem obdzierać ludzi ze skóry.

Wracali do Candlemas w milczeniu. Charlotta przytuliła się mocno do niego. Kiedy Yincenc otworzył frontowe drzwi, na jego automatycznej sekretarce pulsowało światelko, co znaczyło, że poprzednio ktoś do niego dzwonił. Na razie nie zwrócił na to uwagi. Poszedł do salonu, w którym zostawił obraz Waldegrave'a.

Ogień w palenisku przygasł i wiatr cicho świstał w kominie, rozrzucając popiół na dywan, chociaż w pokoju było nadal ciepło. Podniósł portret i spytał Charlottę, kiedy wkroczyła do pokoju:

–Będziesz patrzeć?

Spojrzała i powiedziała głosem tak suchym jak szelest papieru:

–Zmienił się.

Yincenc zdziwił się i obrócił portret, żeby przyjrzeć mu się dokładniej.

–Zmienił? Jak?

–Tu-powiedziała Charlotta.-Przecież przedtem jej nie było?

Była to prawda; poprzednio jej tam nie było. Na pierwszym planie portretu, gdzie były namalowane należące do rodziny damy, siedziała dziewczyna w czarnym stroju pokojówki. Miała surowy i zadbany wygląd, z tym wyjątkiem, że brzeg jej spódniczki został podwinięty tak wysoko, że odsłaniał uda, a nawet niewyraźną smugę sugerującą włosy łonowe. Twarz miała spokojną i bez wyrazu, inaczej niż pozostali. Wszyscy byli roześmiani, przynajmniej zanim

pojawiła się zgnilizna. Wyglądała zupełnie współcześnie; jej fryzura i makijaż pochodziły z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

–Laura Montblat! – Yiktor nie mógł złapać tchu. Dotknął płótna koniuszkami palców, ale nawet jeżeli wcześniej na obraz nałożono świeżą farbę, to teraz już wyschła.

–Laura Montblat? Była dziewczyna Edwarda? Yincenc usiadł, opierając obraz na kolanach.

–To jest bez wątpienia Laura. Edward kiedyś przyprowadził ją do galerii, zaraz po podjęciu pracy u mnie. Teraz ta cholerna historia zaczyna nabierać sensu.

–Sensu? Czy to ma sens, że była przyjaciółka Edwarda w tajemniczy sposób pojawia się na wiktoriańskim malowidle? Przed naszym wyjściem jej nie było, zgadza się? Więc ktoś włamał się i namalował ją w dwie godziny, olejną farbą, która zdążyła wyschnąć?

–Wątpię, żeby ktoś się włamywał – powiedział Yincenc. – Sądzę, że Laura pojawiła się na portrecie, ponieważ faktycznie jest tam, w Wilderlings, z Grayami. W jakiś dziwny sposób udało im się włączyć ją do rodziny, tak jak kot Aarona pojawił się w miejsce prawdziwego kota Grayów, rudego Racy.

–Porwali ją? O to ci chodzi?

–Przyjmuję taką hipotezę przyznając, że nie jest ona poparta nadmiarem dowodów.

–Nie mogę w to uwierzyć! – krzyknęła Charlotta. – Oto pierwszy dzień, w którym z przyjaciół zostaliśmy kochankami i od razu wszystko od początku do końca jest zwariowane i nienormalne!

–Mogli zrobić to celowo.

–Co mogli zrobić celowo?

–Mogli umieścić Laurę na obrazie, żeby powstrzymać mnie przed spaleniem go.

–Zupełnie cię nie rozumiem.

–To bardzo proste. Wolałbym, żeby tak nie było. Źródło życia każdego, kto pojawi się na tym obrazie, zostaje z nim nierozzerwalnie związane. Obraz się starzeje, podczas kiedy on lub ona pozostaje młody czy młoda. Więc od pierwszej sekundy, kiedy ktoś pojawia się na obrazie, jego przetrwanie zależy od przetrwania obrazu.

Charlotta patrzyła bez słowa na portret. W końcu westchnęła:

–Biedna dziewczyna.

–Tak, biedna. Jeżeli spalę ten obraz, ona spłonie również.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Łąki Housatonic, 20 grudnia – Znaleźli go przypadkowo – powiedział Norman Goldberg. Kołnierz baraniego kożuszką chronił go przed zawiewającym śniegiem. – Szukali swojego psa myśliwskiego, ale jeszcze nie chcieli za nim gwizdać, i weszli na niego, leżącego twarzą ku ziemi. Najpierw myśleli, że to knur albo zdechły łoś. No, ale potem popatrzyli dokładniej...

Jack widział, jak poczwarnie wyglądało ciało George'a Kelly'e-go, nawet z dwudziestu jardów, mimo śniegu nanoszonego przez wiatr. George leżał na wpół zanurzony w zamrożonej kałuży. Odłamki lodu sterczały spomiędzy jego pozbawionych skóry palców. Wallace Greenstreet, w szerokoskrzydłym kapeluszu, kucnął nad nim i z przesadną ostrożnością podnosił skalpelem warstwy jego ścięgien i mięśni.

–Są jakieś ślady opon? – spytał Jack. – Nie mogli przywlec go tu pieszo. – Żadnych śladów opon wartych zdejmowania – odpowiedział Norman.

–A jakieś podeszwy?

–Po tym, jak go zostawili, spadł śnieg i wszystko zamarzło. Jack wbił ręce w kieszenie wiatrówki, pożuł przez chwilę gumę i powiedział:

–Gówno.

–Myślisz, że to ci Grayowie, co?

–Jasne, że myślę, iż to oni. – Bezmyślnie pokiwał głową. – Elmer Tweed pokazał palcem na Maurice'a Graya i George próbował to udowodnić. – Zbliżył się na odległość kilkunastu jardów do ciała. – Wallace?

–Słyszę cię, Jack – zareagował Wallace, nie odwracając głowy.

–Jak myślisz, ile czasu tu leży? Wygląda mi na solidnie zamrożonego.

Wallace poprawił kapelusz i oparł ręce na biodrach, spozierając na ciało George'a Kelly'ego ponurym spojrzeniem profesjonalisty.

–Bez piły elektrycznej go nie odetniemy.

–W każdym razie postaraj się – powiedział Jack. – Przede wszystkim sprawdź, czy nie ma czegoś we krwi. Elmer Tweed mówił, że Gray usiłował wbić mu strzykawkę.

–Zadzwoń – upewnił go Wallace. Kiedy Jack wracał do cherokee, Norman Goldberg podszedł do niego.

–Co zamierzasz zrobić? – spytał.

–Najpierw pogadam z Yincentem Pearsonem – oto, co zamierzam zrobić. Potem pojedę do Darien i wystaram się o nakaz rewizji w domu Grayów; potem zamierzam wsadzić całą rodzinę pod zarzutem porwania, próby porwania i takiej liczby zabójstw pierwszego stopnia, jaką uda mi się udowodnić.

–Może powinieneś trochę poczekać – zasugerował Norman. Wiesz, zebrać trochę więcej dowodów.

–George Kelly został zamordowany podczas próby zbierania dowodów – odpowiedział wzburzony Jack. – Nie będę ryzykował więcej ludzkiego życia, zwłaszcza własnego.

Przy odrobinie szczęścia Grayowie stawiają opór przy aresztowaniu i będę mógł ich wszystkich zastrzelić. To robactwo, Norman. Są zepsuci do szpiku kości. Takim nie daje się szans na poprawę. Najpierw się strzela, a o konsekwencjach myśli się potem.

Norman wyglądał na załamanego. Śnieg padał mu na twarz, złapał za klamkę cherokee i powiedział:

–Jesteś najlepszym szeryfem, jaki od dłuższego czasu trafił się w Okręgu Litchfield, wiesz o tym? Wolałbym nie być świadkiem żadnych drastycznych zmian, jeszcze nie.

–Chcesz tu tkwić i prowadzić długą debatę o obowiązkach szeryfa wobec społeczności? Nie zgłosiłem się do tej roboty, dlatego że zależy mi na bezpieczeństwie ludzi i na ich prawie do życia. Zgłosiłem się, ponieważ jest wielu ludzi, którzy uważają, że osobiste bezpieczeństwo to bujda, dopóki każdy ma prawo cieszyć się prawami, które zapewnia mu konstytucja. Więc jeśli o mnie chodzi, to czarni mają prawa, kobiety mają prawa, homoseksualiści mają prawa i nawet pieprzeni obywatele Massachusetts mają prawa. Ale szaleni mordercy, jak rodzina Grayów, nie mają praw i zamierzam wykazać im to osobiście.

–Jack... – ostrzegł go Norman. – Nie wariuj.

–Nie martw się – powiedział Jack i poprowadził swojego

cherokee przez śnieg, podskakując na kępach traw, koleinach i wybojach. Jechał z zębami zaciśniętymi z wściekłości i żalu. Bóg tylko wie, ile George musiał wycierpieć, zanim umarł. I tylko Bóg wie, kogo jeszcze czekały cierpienia, zanim w końcu Grayowie zostaną ujęci. Jechał prosto do New Milford, do Candlemas.

Yincent i Charlotta kończyli właśnie późny lunch, składający się z odgrzewanej w kuchence mikrofalowej pizzy i schłodzonego corvo. Polana trzeszczała na kominku i w domu było przytulnie i ciepło. Charlotta pomogła mu zdjąć okrycie i nalała wina do kryształowego kieliszka. Usiadł przy kominku na obitym brokatem fotelu i znowu zaczął się czuć człowiekiem.

–Od wczoraj próbowałem się z panem porozumieć – powiedział Yincent. – Dzwoniłem do pańskiego biura ze sto razy.

–Nie było mnie – wyjaśnił Jack. – Właśnie wróciłem z łąk Housatonic. Pamięta pan mojego przyjaciela z Darien, George'a Kelly'ego – tego, który próbował wygrzebać trochę dowodów przeciw Grayom? Więc dziś rano, podczas polowania na kaczkę, znalazło go dwóch myśliwych. Leżał martwy niedaleko Cornwell Bridge. Na początku myśleli, że to zabita sarna, którą ktoś zastrzelił, oskórował i zostawił, żeby zgniła.

–To znaczy, że z niego też zdarli skórę? – spytał osłupiały Yincent.

–Tak jakby. – Jack nie chciał nic więcej dodawać. Nie chciał wpadać w histerię ani rzucać pogrózek. –Zabili go i zerwali z niego skórę. Niekoniecznie w tej kolejności.

Charlotta podeszła, siadła obok niego i położyła mu rękę na dłoni.

–Nie wiem, co powiedzieć. Współczuję panu. Jack przełknął głośno ślinę i odwrócił wzrok. Yincent pociągnął łyk wina i powiedział:

–Mamy coś.

–CośoGrayach?

–To nie dowód, nic takiego, co można pokazać sędziemu i ławie przysięgłych. Nie załatwi się za to wyroku. Ale to może nam dopomóc pokonać Grayów ich własną bronią.

Yincent zdał relację z wizyty u adwokata rodzinnego w Litchfield. Mówił o Walterze Waldegrawie i jego niezwykłym portrecie. Opowiedział również o Laurze.

Podczas gdy mówił, wyjął portret

zza kanapy, usunął opakowanie i pokazał go Jackowi, by obejrzał go sobie dokładnie.

Jack patrzył na obraz w milczeniu. Potem spojrzał przenikliwie w oczy Yincentowi.

–To prawda, tak? Chodzi mi o to, że to nie jest jakiś sen albo zbiorowa halucynacja? To jest prawda?

–Tak. Wierzę, że tak – powiedział spokojnie Yincent.

–Więc zaraz jadę do Darien i aresztuję Grayów pod zarzutem porwania i morderstwa pierwszego stopnia. Albo to, albo ich rozwalę.

–Myśli pan, że pański przyjaciel, George Kelly, pochwaliłby to?

–George byłby tym zachwycony. George zawsze był za rozwalaniem przestępców. A pan jakie ma prawo do krytykowania? Zabierał się pan właśnie do podpalenia tego cholernego obrazu i rodziny Grayów razem z nim. I zrobiłby to pan, gdyby nie było tam pani Montblat.

–Jeżeli zabije pan Grayów – powiedział Yincent – to jest prawdopodobne, że nigdy nie uratujemy pani Montblat. W każdym razie nie w jej normalnej postaci.

–O co panu chodzi?

–Chodzi mi o to, że Laura Montblat pojawiła się na tym obrazie z bardzo szczególnego powodu. Grayowie jakoś ją tam umieścili, bo chcą dzięki temu uchronić samych siebie., JNie możecie zniszczyć tego obrazu, bo jak to zrobicie, zginie też Laura Montblat". Poza tym Grayowie są jedynymi ludźmi, którzy potrafią zdjąć ją z tego płótna i przywrócić do normalnego życia. Do normalnego, śmiertelnego życia – takiego, które kończy się wtedy, kiedy powinno się kończyć.

W każdym razie mam nadzieję, że to potrafią, bo jak nie, to pozostanie ona na tym obrazie do końca życia, jak w potrzasku.

Jack nie wiedział, co odpowiedzieć. Yincent był bardzo przekonujący, bardzo bystry, a jednak Jack nie był do końca pewien, że powinien mu zaufać.

–Czy pan sądzi, że pani Montblat grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo?

Yincent zapalił papierosa i wydmuchnął dym bez zaciągania się; ostatnia przyjemność nawróconego palacza.

–Myślę, że powinniśmy przyjąć, że tak – chociaż to całkiem niezwykle, żeby jakaś ofiara Grayów była tak długo trzymana przy życiu. Ten młody człowiek, znaleziony w zbiorniku Nepaug, został



prawie natychmiast zabity i odarty ze skóry; podobnie było z ciałem, które pan znalazł w West Haven; podobnie z George'em Kellym. Mogę tylko zgadywać, że Laura Montblat została przyjęta do rodziny jako pokojówka lub służąca. Popatrzmy na jej ubiór. Wiem, że podwinęto jej sukienkę, aby ją obnażyć, ale to jest sukienka pokojówki. Przypomina mi to rysunki skrępowanej Słodkiej Gwendoline, a z papierów dziadka wynika, że Henry Gray bardzo lubił takie zabawy.

–Nie sądzi pan, że Laura Montblat może już nie żyć? Może wsadzili ją w ten obraz, żeby nas zmylić?

–Nie sądzę – powiedział Yincen. – Wydaje mi się, że ten portret i ci ludzie są nierozzerwalnie ze sobą związani. Ten obraz jest czymś w rodzaj maszyny do podtrzymywania życia. Utrzymuje Grayów żywych długo po tym, jak powinni byli umrzeć. Rozważałem myśl, że Laura Montblat mogła zostać zabita, ale potem spojrzałem na kota. Widzi pan tego kota? Mój pradziadek go widział. Kiedy kot jeszcze żył, wspominał o nim w swoim diariuszu, i kiedy obraz został namalowany, kot znalazł się na nim. Ale kiedy ja byłem chłopcem, kota już nie było. W tym miejscu była tylko ciemna plama, coś jak cień, jak dziura na płótnie.

–Nie chwytam tego – powiedział Jack.

–Proszę spojrzeć na to w ten sposób. Kiedy Grayowie osiągnęli wiek, w którym powinni umrzeć, kiedy wszyscy dotarli do końca normalnego i naturalnego życia, portret z wolna zaczął się rozkładać – a sądzę, że oni też. Może technika Waldegrave'a nie była na odpowiednim poziomie. Może jego magii czegoś brakowało, jeżeli to była magia. W każdym razie portret i rodzina zaczęli stopniowo i równocześnie rozsypywać się na kawałki. Tak uważam. Dlatego Grayowie mordują ludzi i zdzierają z nich skóry. Muszą wyglądać młodo i muszą trzymać się razem; inaczej zginą.

–A ten kot? – spytał Jack.

–Prawdopodobnie tak byli sobą zajęci, że nie przyszło im do głowy pomyśleć o kocie. Kot zdechł, pozostawiając na płótnie, w miejscu, w którym siedział, czarny, pusty zarys. A zaledwie w tym tygodniu, kiedy jeden z Grayów zabił i oskórował kota Aarona Halperina, Raca pojawił się znowu. Cudem, jakby powtórnie narodzony.

Jack nie odzywał się. Ta interpretacja wydarzeń była co najmniej dziwaczna, ale zawierała jakąś szczególną logikę. Kłopot w tym, że

Jack nigdy nie prowadził sprawy, która byłaby w najmniejszym chociaż stopniu podobna do tej. Teraz miał wrażenie, że został potraktowany jak nowicjusz. A co, jeżeli na przykład Yincen miał coś do Grayów? A co, jeżeli Grayowie opłacili Pat? A co, jeżeli Nancy wiedziała o tym i nie chciała powiedzieć? A dlaczego doktorowi Serlingowi tak spieszyło się do seansu -jemu, mocno chodzącemu po ziemi, wiejskiemu lekarzowi?

Jack zaakceptował seans i pojawienie się ducha Bena Millera, ponieważ to był jego własny pomysł – tak przynajmniej uważał. Ale przypuśćmy, że doktor Serling umieścił jakiś projektor w pokoju lekarzy i sfabrykował seans? Przypuśćmy, że opowieść o Laurze Montblat to stek wymysłów? Przecież nigdy nie widział portretu Waldegrave'a, zanim Laura Montblat się na nim nie pojawiła. Jak miał się przekonać o jego autentyczności?

Yincen uważnie przyglądał się Jackowi. Zajmował się sprzedawaniem obrazów i umiał dostrzec u ludzi moment wahania.

–Ma pan wątpliwości, prawda? – spytał. Jack rzucił mu szybkie, spłoszone spojrzenie, a potem odwrócił wzrok.

–Proszę nie myśleć, że ja nie mam wątpliwości – powiedział Yincen. – Moje poglądy na temat tego, co się tu dzieje, zmieniają się z minuty na minutę. Ale jakkolwiek bym je przypasowywał do wydarzeń, sprawę można wytłumaczyć tylko w jeden sposób. Portret Waldegrave'a jakimś cudem utrzymuje Grayów przy życiu.

Proszę mnie nie pytać o naukowe wytłumaczenie, bo nie odpowiem. Nie sądzę zresztą, żeby to było naukowo możliwe. Poza tym reszta to zgadywanka i domniemanie. Ale próbowałem zrelacjonować wszystko, jak tylko umiałem, opierając się na tym, co wiem-począwszy od diariusza mojego pradziadka z końca dziewiętnastego wieku aż do zeznań Elmera Tweeda z zeszłego tygodnia.

Jack skończył swoje corvo, ale kiedy Charlotta chciała mu nalać, przykrył kieliszek dłonią.

–Co według pana powinniśmy teraz zrobić? – spytał.

–Zastanawiałem się nad tym. Kluczem do całej sytuacji, tak jak sobie ją wyobrażam, jest ten obraz Waldegrave'a. Więc pozostaje nam dowiedzieć się więcej na temat Waltera Waldegrave'a. Jeżeli chociaż trochę wyjaśni się, jak to się dzieje – jakim sposobem portret starzeje się, podczas gdy Grayowie pozostają młodzi –

wtedy może uzyskamy szansę stawienia im czoła i pokonania ich na własnym terytorium.

–Mówił pan coś o wygłaszaniu wstecz egzorcyzmów.

–Tak twierdził dziadek. Ale nie jestem pewien, czy parę linijek po łacinie, wygłaszanych od tyłu, to jest jakieś rozwiązanie. Nie w dzisiejszych czasach.

Jack wzruszył ramionami i rozwinął nową paczkę gumy.

–Musimy się dowiedzieć – powiedział Yincen – jakiego sposobu użył Waldegrave, malując ten obraz, że oto płótno starzeje się, podczas kiedy prawdziwi ludzie nie podlegają zmianom. I – co najważniejsze – jak dziś można to powtórzyć? Jakim sposobem Laura Montblat pojawiła się na tym płótnie, namalowana w stylu Waltera Waldegrave'a, kiedy nikt nie tknął obrazu? Pytam po prostu, jak to się, do diabła, stało?

–Dokładniej mówiąc, jak to się, do diabła, n i e stało? – uściślił filozoficznie Jack.

–Mam pomysł – odezwała się nagle Charlotta. Twarz Jacka przybrała dziwny wyraz, kiedy powiedział:

–Ta dama ma pomysł. Wiem jedno-jestto na pewno o jeden pomysł więcej, niż mam ja.

–Posłuchaj, pamiętasz tę specjalną wystawę, którą mieliśmy w MOMA, jakieś osiemnaście miesięcy temu?

–Chyba nie Kandinsky'ego? – powiedział zdumiony Yincen.

–Nie, nie. Tę z późnej jesieni. „Współczesna Sztuka Alegoryczna”.

–Tak, pamiętam – powiedział Yincen. –Nie cierpiałem jej.

–Wiem. Ale jej kustosz wiedział więcej niż ktokolwiek inny na temat sztuki i magii. Jak on się nazywał? Mac Jakiśtam. Chyba Mc Kinley. Mogę zadzwonić do Davida Smedieya i dowiedzieć się, jak mogę złapać tego McKinleya.

Yincen podniósł słuchawkę i podał jej.

–Jeżeli uważasz, że to coś da, proszę cię bardzo.

Kiedy Charlotta łączyła się ze swoim dyrektorem do spraw organizacyjnych, Yincen i Jack stali, patrząc na obraz Waldegra-ve'a. Yincen dokładnie przyglądał się Laurze. Była w niej jakaś obojętność, a równocześnie nieskończony smutek, coś, co przypominało mu o Wendy z powieści J.M. Bariego, lecącej w półśnie po bajkowym niebie i wołającej: „Biedna Wendy, biedna Wendy”.

–Ostatni raz, kiedy widziałem ludzi w podobnym nastroju, byli na skopolaminie – zauważył Jack.

Yincent ostrożnie dotknął twarzy na portrecie. Kiedy cofnął palce, jeden z nich był wilgotny. Patrzył na niego z zastanowieniem. Jack spytał:

–Czy farba jeszcze się klei? Yincent na próbę polizał palec.

–Słone – powiedział. – Jak łzy.

–Daje się pan ponieść wyobraźni.

–Może.

Yincent oglądał twarze dwunastki Grayów: stojący z tyłu Alger-non i Isobel; blisko nich, po lewej, Belvedere i Willa; Maurice zazdrośnie blisko trzymający się Algernona, prawie podpierając go z tyłu. I w pierwszym szeregu damy usadowione na krzesłach: Erniły, Er-mitrude i Nora; Cordelia, Alicia i kaleka Netty. Na kolanach Netty siedział Raca. Obok niej, tuż przed Henrym, siedziała Laura Montblat.

Dwanaście niewyraźnych i rozkładających się twarzy. Wyglądały jak oblicza ze starej fotografii, zrobionej ręcznym aparatem z dużej odległości. W najważniejszym momencie kamera drgnęła i zdjęcie wypadło nieostro. Tylko oblicze Laury było wyraźne, ale ona jeszcze nie osiągnęła wieku, w którym powinna umrzeć.

Charlotta odwróciła się od telefonu.

–Mamy szczęście – powiedziała. – Organizator wystawy współczesnej sztuki alegorycznej nazywa się Percy McKinnon. Mieszka w Seekonk, Massachusetts. Mam jego numer telefonu.

–W porządku, dzwoni do niego – powiedział Yincent. Charlotta wystukała numer i czekała. Po długiej chwili powiedziała:

–Halo? Czy to pan Percy McKinnon?

–Tu doktor Percy McKinnon – usłyszała wyraźną, głośną odpowiedź, wypowiedzianą głosem człowieka przywykłego do prowadzenia wykładów.

Charlotta przedstawiła się i wyjaśniła przyczyny, dla których dzwoni. Nastąpiła cisza wypełniona astmatycznym oddechem.

–Lepiej przyjdźcie, państwo, osobiście. To nie jest ten rodzaj pytania, na które da się odpowiedzieć przez telefon. Musimy porozmawiać osobiście. Żeby nie owijać w bawełnę, muszę wiedzieć, czy nie żartujecie.

Charlotta przykryła ręką słuchawkę i spytała Jacka:

–Możemy pojechać do Seekonk?

–Czemu nie? – powiedział. – Mogę podrzucić was swoim cherokee. Przez ten czas Norman Goldberg poprowadzi interes. Yincenit sprawdził czas.

–Będziemy tam bardzo późno, jeśli wyjedziemy dziś. Może umówimy się na jutro, koło południa?

Charlotta zaproponowała to McKinnonowi. Potem powiedziała:

–On może tylko w poniedziałek.

–Tracimy cały weekend – zaprotestował Jack. – Do tej pory Grayowie mogą obedrzeć ze skóry kogoś innego.

–Doktor Mc Kinnon ma chorą siostrę, musi ją odwiedzić. Przykro mu, ale nie zmieni zdania.

–Niech będzie poniedziałek-przystał Jack. – W tym czasie może uda nam się trafić na jakiś poważny dowód.

Kiedy Charlotta uzgadniała datę i miejsce spotkania z McKinnonem, Yincenit zaproponował Jackowi:

–Może pojechałby pan teraz do domu i odpoczął. Na pewno żona nie jest zachwycona tym, że ciągle pana nie ma.

Jack odgryzł kawałek gumy i wepchnął go pod policzek.

–Tak, chyba ma pan rację. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałem w domu. Tak naprawdę, to w ogóle nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałem.

Charlotta odłożyła słuchawkę i podała mu płaszcz; Yincenit odprowadził go do drzwi. Na dworze padał gęsty śnieg. Powiew, który wtargnął przez otwarte drzwi, był ostry jak brzeg świeżo otwartej puszki.

Jack nasadził na głowę czapkę i wsunął dłoń w rękawicę.

–Słuchaj – powiedział, nie patrząc na Yincenita – ta cała sprawa jest popieprzona ponad ludzkie pojęcie. Więc nie wściekaj się, kiedy czasem ciężko mi jest uwierzyć w to, co próbujesz sugerować, tak jak to było przed chwilą. Chyba zawsze jakoś wierzyłem w zjawiska nadzmysłowe. Tylko że do tej pory nie było żadnej potrzeby, żebym w to wierzył. Teraz jest taka potrzeba, ale wcale nie jest mi łatwiej. Zrozum tylko, że jesteśmy po jednej stronie i przygwoździmy tych Grayów, nie tak, to inaczej. I nieważne, w co będziemy musieli po drodze uwierzyć!

Yincenit ujął go pod ramię.

–Możesz być spokojny-powiedział. – Teraz jedź do domu, zanim twoja żona nie uzna, że praca w policji jest dla ciebie słodsza niż ona.

Yincent zamknął drzwi i wrócił do salonu, rozcierając ręce dla rozgrzewki.

–Wygląda na to, że czeka nas burza śnieżna. Mam nadzieję, że do poniedziałku minie.

–Mam otworzyć następną butelkę wina?

–Dlaczego nie? – spytał Yincent, całując ją we włosy. – I weźmy ją do łóżka.

–Nie mów, że jesteś już zmęczony – zażartowała sobie z niego.

Właśnie zabierali się do wejścia na górę, niosąc butelkę wina, dwa duże kryształowe kielichy i pucharek z precelkami, kiedy usłyszeli zajeżdżający samochód. Yincent podszedł do okna, odsunął kotary i wyjrzał na ośnieżony podjazd.

–Cholera – zaklął. – To Margot.

–Przecież miała przyjechać dwa dni później – skrzywiła się Charlotta.

–Dla Margot prawem jest Margot i nikt inny – odparł poirytowany Yincent.

Znów otworzył frontowe drzwi. Margot jak zwykle zaparkowała swojego czerwonego mercedesa w poprzek podjazdu, pod zupełnie niezwykłym kątem. Ileż razy tłumaczył jej, że w ten sposób zastawia drogę innym, a sobie uniemożliwia zawrócenie?

Próbowała opanować rozsypującą się górę paczek. Thomas stał obok niej. Trzymał swoją walizkę i nową parę rakiet śnieżnych. Yincenta ogarnęła milcząca furia.

Nowa para rakiet czekała już na jego syna w sypialni. Miała to być bożonarodzeniowa niespodzianka. Pewnego mroźnego popołudnia Yincent wykonał po nie ogromną pieszą wyprawę do sklepu sportowego na Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. I oczywiście powiedział Margot, że je kupił.

–Nieco się pospieszyłaś – oświadczył chłodno, odbierając od niej część paczek i zamykając bagażnik. – Wydaje mi się, że mówiliśmy o niedzieli. – Uśmiechnął się do Thomasa, objął go wolną ręką i powiedział: – Cześć, Potworze.

Margot poprawiła swój czerwony, miękki kapelusz.

–On już nie lubi, jak się go tak nazywa. Mówi, że to dziecinne.

Zgadza się z nim. Poprosił mnie, żebym na ten temat z tobą pomówiła.

Yincenc popatrzył na syna poprzez padający śnieg i zapytał:

–To prawda?

Thomas wzruszył zażenowany ramionami, nie chcąc być wykorzystywany przez jednego z rodziców przeciw drugiemu. Yincenc wiedział, że kocha jednakowo ich oboje. Żadne z nich nie powinno zmuszać go do stawania po jakiegokolwiek ze stron, ale oczywiście oboje zawsze to robili.

–Wejdźmy do środka-powiedział Yincenc. – Ogień rozpałił się już porządnie.

Zjemy sobie jakieś lody.

–Miło mi słyszeć, że twoje skautowskie lata nie odeszły bezpowrotnie w przeszłość – zauważyła Margot. W tym momencie dostrzegła Charlottę stojącą w progu, w błękitno-białej, jedwabnej sukni.

–Och – dorzuciła zaskoczona. – A może jednak odeszły.

Margot wkroczyła do domu i przeszła do kuchni, jakby nadal to miejsce należało do niej. Złożyła swoje paczki na ladzie kuchennej, zdjęła kapelusz i otrząsnęła z niego śnieg.

–Prognoza zapowiada na dzisiaj burzę śnieżną. Bruce powiedział, że jeżeli nie przywiozę Thomasa dzisiaj, może mi się to w ogóle nie udać. Dopiero po świętach.

Z wyglądu i temperamentu Margot była przeciwieństwem Charlotty. Mierzyła pięć stóp i dwa cale; miała krótkie, czarne, kręcone włosy i twarz w kształcie serca.

Yincenc powiedział raz swojej matce, że jest to twarz „nieomal za piękna”.

Włożyła dzisiaj na siebie strój w kolorze khaki, o agresywnym kroju – krótkie, szerokie spodnie i marynarkę z szerokimi ramionami. Miało to świadczyć, że należy do kobiet, które uwolniły się od tyranii mężczyzn. Yincenc uważał, że wygląda jak przedwcześnie zgrzybiały generał Patton, ale grzeczność nie pozwalała mu tego głośno powiedzieć. Używała wyszukanych perfum i nosiła drogie obuwie – oczywisty dowód, że nie miała tyle pieniędzy, ile według niej mieć powinna.

Jak zawsze była nieporządna. Jej pakunki znalazły się wszędzie. Kapelusz leżał na blacie w kuchni. Zdjęła buty, kopnięciami rozrzucając je po podłodze.

–To Charlotta, prawda? – spytała. – Tak, od razu pomyślałam, że to Charlotta.

Czy Charlotta przygotowuje świąteczny obiad, Yincencie?

–Nie. Jedziemy do hotelu Housatonic.

–Bardzo wam współczuję. Czy Charlotta nie gotuje?

–Dlaczego jej nie zapytasz, kochanie? Zna angielski. Margot grzebała w paczkach.

–Nie gotujesz, Charlotto? Thomas jest szalenie przywiązany do tradycyjnego świątecznego posiłku, prawda, Thomas?

Thomas nie odezwał się słowem. Stał w swojej wiatrówce, z raketami śnieżnymi pod pachą i wyglądał jak kopia ojca: poważny, kędzierzawy, przystojny, szeroki w ramionach... i czekający, kiedy jego matka zabierze się i odjedzie.

–Przygotuję kolację wigilijną – powiedziała Charlotta. – Karp, gęś, słodkie ziemniaki. Bardzo tradycyjnie. Thomas nie będzie cierpieł głodu.

–Proszę, tu są wszystkie wasze prezenty gwiazdkowe – powiedziała Margot. – Przykro mi, że nie przywiozłam niczego dla Charlotty, ale cóż, nie wiedziałam, że się tu znajdzie. A poza tym, cóż można kupić dziewczynie, która ma wszystko?

–Nie zasiadywałbym się na twoim miejscu, Margot – powiedział Yincen. – Śnieg pada coraz gęstszy i wkrótce się ściemni. Nie chciałabyś ugrzęznąć tu na święta, prawda?

–Nie – powiedziała. – Na pewno nie. A teraz... czy mógłbyś, proszę, dopilnować, żeby pani Charlesworth dostała swój prezent? Nie napisałam na nim jej nazwiska, ale rozróżnisz go po opakowaniu. A to jest dla lennie. A to dla Ullmanów. Poza tym wszystko jest podpisane.

–Czy nie napiłaby się pani kawy przed odjazdem? – spytała Charlotta.

Zupełnie niespodziewanie Margot uśmiechnęła się do niej promiennie i rozrzuciła jej poufale włosy.

–W każdym razie dzięki. Bruce będzie się niepokoił, co się ze mną dzieje, jeżeli się spóźnię.

–I to jeszcze jak – powiedział Yincen, obejmując ją ramieniem i sterując delikatnie w kierunku drzwi, po tym jak wbiła się w buty.

Kiedy się tam znaleźli, podał jej czerwony kapelusz.

–Dawniej pomagałeś mi go nałożyć. – Wydęła wargi.

–To było dawniej.

–Było i już nie wróci? – spytała.



Pocałował ją w policzek. Jej skóra była równie delikatna jak dawniej, ale była już dla niego obcą osobą.

–Wesołych świąt – powiedział. To były dopiero ich drugie święta osobno.

–Wesołych świąt – powiedziała cicho. Potem objęła i pocałowała Thomasa, i ruszyła po śniegu. Yincenc towarzyszył jej do samochodu i pomógł wyprowadzić go z podjazdu. W tył i w przód, w tył i w przód, jedenaście razy. Kiedy byli małżeństwem, wsiadał za nią do wozu i wyprowadzał mercedesa, ale teraz nie. W końcu jednak udało się jej wykręcić i zniknęła za opadającym podjazdem, trąbiąc radośnie na odjezdnym.

Yincenc wszedł do domu i zamknął drzwi.

–Naprawdę nie chcesz, żebym mówił do ciebie „Potwór”? – spytał Thomasa.

Thomas uśmiechnął się do niego kwaśno i z zażenowaniem.

–Wiem, wiem – powiedział Yincenc. – Co powiesz na kieliszek wina, żeby uczcić Boże Narodzenie?

–Chętnie, proszę – powiedział Thomas. Głos miał niższy niż zaledwie trzy miesiące temu. Był prawie wzrostu Yincenta i ojciec uświadomił sobie, że niedługo syn będzie patrzył na niego z góry. Poczul się nagle bardzo stary i nie mógł opędzić się od myśli: A co, jeżeli Grayowie naprawdę potrafią żyć wiecznie?

I co będzie, kiedy dowiem się, jak oni to robią? Stanę przed wyborem: czy umrzeć koło siedemdziesiątki, może trochę później – a to już mniej niż dwadzieścia pięć, licząc od teraz – czy też żyć wiecznie. Co zrobię?

–Mama kupiła mi te rakiety – powiedział Thomas. – Może jutro zobaczymy, jak się w nich chodzi.

–Znakomite rakiety śnieżne – powiedział Yincenc. Odwrócił je i dokładnie ocenił taśmy nośne i zapięcia. – Dorównują drugiej parze.

–Jakiej drugiej parze?

–Tej, którą ja kupiłem ci na święta, zakuta pało. Thomas popatrzył na niego z rozczarowaniem, ale Yincenc po prostu roześmiał się.

–Nie przejmuj się. Jesteś niewinną ofiarą rodzicielskiej rywalizacji. Ale teraz, kiedy mamy dwie pary, możemy je jutro wypróbować we dwójkę. Co powiesz na to, żeby jutro pomaszerować do Gaylordsville i zajrzeć przy okazji do Fosterów?

Susie Foster w zeszłym tygodniu przyjechała ze szkoły do domu.

Thomas nie wyglądał na zbyt zainteresowanego, ale Yincenc powiedział:

–Nie poznasz jej. Dojrzała. A kiedy mówię, że dojrzała, to znaczy, że naprawdę dojrzała.

–Mam nadzieję, że nie podsuwasz mu żadnych niezdrowych pomysłów – uśmiechnęła się Charlotta.

–Kiedy zobaczy Susie Foster, nie będzie potrzebował mnie do podsuwania niezdrowych pomysłów.

Podeszli do kominka i usiedli przy ogniu. Yincenc zdjął rożen do opiekania grzanek, a Charlotta zajęła się przygotowaniem lodów.

Na dworze padał miękki, gęsty śnieg, zasypując dachy i kominy. Wielka cisza nadchodzących świąt pokrywała z wolna całą dolinę rzeki Housatonic, od Appalchian Trail do Painters Ridge.

U stóp podjazdu prowadzącego do Candlemas stał czarny cadillac fleetwood. Rura wydechowa wypływała spaliny, a wycieraczki bezustannie odrzucały delikatną przędzę osiadającego śniegu. Wewnątrz, otuleni w czarne norki, siedzieli Maurice i Cordelia Grayowie. Ogrzewanie było ustawione na „gorąco”, unosił się duszący zapach futer i trociczek.

–Jesteś przekonana, że obraz jest tutaj? – spytał Maurice, nie kryjąc sarkazmu w głosie.

Tego popołudnia przeżyli bardzo krępującą przygodę w domu Halperina. Kiedy skradali się w pobliżu domu, zostali zaskoczeni przez ogrodnika, rąbiącego drewno na zewnątrz pracowni. Aaron wraz z resztą rodziny udał się na przedświąteczne zakupy i Cordelia była przekonana, że dom stoi pusty. Ale ogrodnik okazał się wielce pomocny. Kiedy tylko Cordelia przekonała go, że są przyjaciółmi gospodarzy, opowiedział im, w beładnym potoku plotek, że Halperinowie rozglądają się za nowym kotem.

–Po tym, co spotkało tego ostatniego, biednego, głupiego dachowca, pan Halperin powiedział, że to przez ten obraz, nad którym pracował. To malowidło przynosi nieszczęście, tak powiedział. Oddał go zaraz panu Pearsonowi, jak tylko mógł najszybciej. Nie będzie się trudził nad czymś, co przynosi nieszczęście, tak powiedział. Nie, żebym go winił, skąd, bo wiecie, on lubi to swoje winko.

Człowiek, co tak lubi swoje winko jak on, no, to może się pomylić.

Tak więc Maurice i Cordelia Grayowie znaleźli się w Candlemas, odnalazłszy w końcu portret rodziny Grayów.

I – Jak myślisz, co Pearson wie o tym obrazie? – spytał Maurice. Podczas kiedy mówił, gumy wycieraczek trzęsąc się sprzątały śnieg.

–Myślę, iż musimy przyjąć, że co najmniej tyle, ile jego dziadek – odpowiedziała Cordelia. – Jego drogi dziadek.

–Tak – powiedział Maurice, trąc oczy – myślę, że masz rację. Musimy być ostrożni. Teraz za żadne skarby nie wolno nam popełnić żadnej pomyłki. Po wszystkim, co przecierpieli ojciec i matka.

Cordelia spojrzała na swój zegarek, mimo że deska rozdzielcza cadillaca była zaopatrzona w zegar.

–Wygląda, że zdecydowali się zostać na cały wieczór w domu. Chyba powinniśmy wrócić jutro.

–Masz rację – powiedział Maurice – a jest coś pożytecznego, czym możemy się teraz zająć.

Cordelia obróciła się do niego. Światło odbite od śniegu czyniło jej skórę jeszcze bielszą. Oczy błyszczały jak para dżetów.

–Ach – powiedziała. – Masz na myśli pana Tweeda.

Maurice zwolnił hamulec ręczny, wrzucił bieg i wyjechał na drogę, kierując się w stronę Torrington. Podczas jazdy nucił pod nosem jedną ze starych piosenek z minionych dni: Halo Centrala, łączcie z Niebem. Maurice zawsze uważał się za sentymentalnego. Kiedyś w jego życiu istniała dziewczyna imieniem Pearl: kochał ją miłością wielką i rozdierającą. Jednak ojciec odmówił zgody na umieszczenie jej na rodzinnym portrecie i kiedy Maurice po raz ostatni widział Pearl, miała siwe włosy, męża i wyglądała tak staro, że mogłaby uchodzić za jego matkę.

–O czym myślisz? – spytała Cordelia.

–O niczym istotnym – odpowiedział uśmiechając się Maurice. Cordelia dotknęła jego ramienia.

–Nie myśl o przeszłości-powiedziała.-Myśl o jutrze. Już wkrótce odzyskamy obraz, a wtedy lata trosk skończą się raz na zawsze.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Litchfield, 21 grudnia W nocy przestał sypać śnieg; następnego ranka Yincen i Thomas nałożyli rakiety śnieżne i pomaszerowali przez las do Gaylordsville.

261

Niebo było bezchmurne i blade; drzewa, ciemne jak brunatne niedźwiedzie, otuliły się w białe peleryny. Rakiety z równomiernym odgłosem szurały po zaspach.

Oddechy parowały z ust.

Thomas dysponował lepszą kondycją niż Yincen i przez większość czasu trzymał się na czele, ale kiedy zaczęli ostatnią milę, zwolnił i szedł z ojcem ramię w ramię.

–Założyłem w szkole kółko miłośników sztuki – wyznał Thomas.

–To dlatego już nie chcesz, żebym nazywał cię „Potwór”? Thomas uśmiechnął się i potrząsnął głową.

–Mamy naprawdę dekadencje hasło przy wejściu na zebrania.

–Zdradzisz mi je na wypadek, gdybym miał ochotę do was wpaść?

–Mam nadzieję, że je dobrze wymówię: Le sanglots long des yiolons de 1'automne.

–Paul Yerlaine – rozpoznał je Yincen. – „Szlochem długim zanoszą się skrzypce jesieni”. Masz rację. To jest naprawdę dekadencje.

–Jak długo zostaje Charlotta? Yincen spojrzał z ukosa na syna.

–Chyba do Nowego Roku. Potem oboje wracamy do miasta. Mam nadzieję, że ona ci nie przeszkadza?

–Nie, nie, wcale. Podoba mi się. Jest bardzo piękna.

–Tylko nie zaczynaj sobie czegoś wyobrażać. Lepiej trzymaj się Susie Foster.

Ześlizgnęli się wzdłuż długiego stoku, poprzecinanego strzałkami ptasich łapek.

Dotarli do ciemnej rozpadliny Gaylord Branch, na wpół zamarznętej w spiętrzenia, kolumny i pozwijane lodowe kurtyny. Ale rzeka nadal przebijała się małymi strumykami, odcisniętymi w śniegu jak rozpostarta dłoń.

–Kiedy byłem mały, nazywałem to Amazonią – powiedział Yincen. – Tam, w górze wodospadu walczyłem z krokodylami i tajemniczymi plemionami łowców głów.

Widzisz ten występ nagiej skały z całą masą sopli? To był mój posterunek obserwacyjny. W lecie potrafiłem leżeć tam godzinami – tak mi się przynajmniej wydawało. Czasami rozbierałem się do rosołu i udawałem, że jestem zaginionym białym człowiekiem, który został wodzem plemienia Ugarugah. Pamiętam, jak raz kucałem tam golusieńki i znalazła mnie

kuzynka Tilda. Ona miała dwanaście lat, a ja dziesięć. Rany, co to był za wstyd. Do wieczora nie wychyliłem nosa z lasu.

–Tęsknisz za tym?

–Za czym? – spytał Yincen.

–Za tym, żeby być młodym, żeby znowu być chłopcem. Tak to zabrzmiało.

Yincen stanął w ośnieżonym lesie, rozglądając się po milczących drzewach.

–Nie – powiedział po chwili. – Nie sądzę. Czasami żałuję, że nie udało mi się przeżyć tego intensywniej, ale chyba wszyscy tego żałują. Nie można za tym tęsknić. Nie można. Bez względu na to, co nastąpi, na zawsze pewien chłopiec będzie bawił się w tych lasach w białego wodza Ugarugahów, nawet jeżeli pozostanie tylko częścią pamięci.

Objął ramieniem Thomasa, uświadamiając sobie, że to może jedna z ostatnich okazji do takiego gestu.

–Musisz dorosnąć i musisz się zestarzeć. Nic tego nie zmieni. Nawet wszystkie marzenia w tym całym cholernym świecie.

Wspięli się do drogi, na przeciwległy brzeg Gaylord Branch. Tak jak obiecała, Charlotta czekała na nich w bentleyu Yincena. Mieli udać się z wizytą do Fosterów. Ale obok stał również cherokee Jacka. Kiedy szli po ubitym śniegu, zalegającym nawierzchnię drogi, Jack wyszedł im naprzeciw w towarzystwie Charlotty i powiedział:

–Dzień dobry, panie Pearson, jak udał się spacer?

Yincen pocałował Charlottę. Miał na to ochotę, a równocześnie chciał pokazać szeryfowi Smithowi, że narusza prywatny charakter jego rodzinnego przedpołudnia.

–Wygląda na to, że moje łydki mają już dość – powiedział. – Czym mogę służyć?

Jack spojrzał na Thomasa i powiedział:

–Jak się masz? – Potem wrócił do Yincena. – Możemy pogadać w cztery oczy?

–Jasne – powiedział Yincen. Podszedł z szeryfem do jego kombi. – Słucham? Co się stało? Jack chrząknął i pociągnął nosem.

–Okolo piątej rano Elmer Tweed został znaleziony martwy w swojej celi. – Żartujesz.

–Chciałbym, żeby tak było.

–Ale Elmer Tweed był twoim jedynym świadkiem. Elmer Tweed był jedynym człowiekiem, który mógł potwierdzić związek pomiędzy tymi przypadkami obdzierania ze skóry a Maurice'em Grayem.

–Masz świętą rację, tylko że on nie żyje. Yincen ujął rękawiczki i otarł szron, który zgromadził mu się wokół ust.

–Jak umarł? Czy coś wiadomo?

–Wiadomo, że wczoraj wieczór koło jedenastej odwiedzili go mężczyzna i kobieta. Utrzymywali, że nazywają się Tweed-Lyndon. H. Tweed z małżonką – oraz że Elmer Tweed jest ich synem. Norman Goldberg twierdzi, że uwierzył im, ponieważ mówili z wyraźnie południowym akcentem.

–Jezu – szepnął Yincen.

–Dostali pięć minut na rozmowę z Elmerem Tweedem – kontynuował Jack. – Kiedy wprowadzono ich do rozmównicy, Elmer nie odezwał się. Mogę tylko przypuszczać, że chciał wyczekać i zorientować się, kim są. Może wziął ich za członków jednego z tych towarzystw filantropijnych, które zajmują się składaniem kaucji i wyciąganiem z aresztu. Nierzadko uzyskują widzenia, podając się za rodziców lub krewnych.

–Co dalej?

–Rozmawiali przez parę minut. Kobieta pocałowała Elmera prosto w usta, raczej jak kochanka niż matka. Potem wyszli. Mówili, że niedługo wrócą i zobaczą się z Elmerem.

–I?

Jack odpiął kieszeń wiatrówki i wyjął trzy kolorowe zdjęcia zrobione polaroidem. Bez słowa podał je Yincenowi.

Yincenowi wystarczył tylko rzut oka na jedno z nich, by zrozumieć, co spotkało Elmera Tweeda. Fotografie pokazywały pryczę w policyjnym areszcie, bezwładne ciało i szalejącą falę jasnoszarych robaków.

–Grayowie – powiedział. Zrobił głęboki wdech, po to tylko, by poczuć rześkie, mroźne powietrze Connecticut. Potem oddał zdjęcie Jackowi, nie patrząc nawet na pozostałe.

–Na to wygląda – powiedział Jack.

–A jak my, pod względem prawnym, wyglądamy w tej sprawie?

–Leżymy na tyłkach. Jesteśmy w stanie ściągnąć Maurice'a i Cordelię Grayów na przesłuchanie, ale możemy się oprzeć tylko na dowodach pośrednich, identyfikacji przez świadka pracującego w policji i niestworzonej, najbardziej niedorzecznej historii, jaką świat słyszał.

–Nie mówiąc o niepodważalnym alibi, jakim, jestem tego pewien, będą dysponowali Grayowie.

–Też w to nie wątpię.

Yincent zastanowił się przez moment, potem powiedział: -: Mam coś do zaproponowania. Może poprosimy twoją przyjaciółkę Pat, aby poprowadziła dla nas jeszcze jeden seans, tylko że tym razem skupimy się raczej na portrecie Waldegrave'a, zamiast na biednym Benie Millerze. Może uda się nam przywołać duchy Grayów i zmusić je do powiedzenia czegoś, co pomogłoby postawić ich przed sądem.

Jack nie wyglądał na uradowanego tym pomysłem.

–Mąż Pat był wściekły, kiedy się dowiedział, co robiła poprzednim razem.

–Przecież nie stało jej się nic złego? Tym razem możemy jej zapłacić.

–Biuro szeryfa w Litchfield nie ma w budżecie pozycji: „O-płaty za seanse spirytystyczne”.

–Ja mogę to zrobić. Powiedzmy, dwieście pięćdziesiąt dolarów? Jack wyjął chusteczkę i hałaśliwie wysiąkał nos.

–Sądzę, że przy takich warunkach mogłaby rozważyć taką propozycję.

–Powiedzmy, o czwartej po południu w Candlemas?

–Spróbuję. Może Nancy ją przekona.

–Chcę jeszcze raz spojrzeć na te zdjęcia – powiedział przed odejściem Yincent. Na tyle panował już nad żołądkiem, że był w stanie obejrzeć wszystkie trzy fotografie. – Nie ma żadnych wątpliwości. To samo przydarzyło się Edwardowi. Według mnie to absolutnie potwierdza udział Grayów w zabójstwie Edwarda. Jack wbił w niego oczy, żując gumę.

–Więc masz taki sam powód do zemsty jak ja.

–Nie wiem – odpowiedział Yincent. – Nie jestem całkowicie przekonany, czy zemsta jest właściwym słowem.

Jack pojechał zobaczyć, czy uda mu się zorganizować następny

seans; Yincen, Charlotta i Thomas udali się w przeciwnym kierunku, aby złożyć świąteczną wizytę rodzinie Fosterów. Fosterowie mieszkali w pięknym domu ze stromym dachem, w kotlinie na północnym krańcu Gaylordsville. Byli przyjaciółmi Yincenta od prawie dziesięciu lat. Podczas rozwodu z Margot ich cierpliwość, zrównoważenie, nie mówiąc już o dużych ilościach whisky, podtrzymywały go na duchu. Dzisiaj wrzucili do kominka ogromne kłody drewna, przygotowali mnóstwo placuszków z serem oraz gorący poncz. Wśród śmiechu i świątecznego gwaru wszyscy zasiedli na dużych, czerwono-żółtych indiańskich kocach i rozrzuconych poduszkach.

Thomas natychmiast żywo zainteresował się Susie Foster, która z pospolicie wyglądającej, trzynastoletniej tyczki grochowej wyrosła na uroczo zaokrągloną młodą kobietę. Młodsze pokolenie wychyliło drinka z rodzicami i zaraz udało się na dwór z rakietami śnieżnymi. Yincen stał przy francuskim oknie, patrząc, jak kotłują się i bawią na ośnieżonym stoku. Jane Foster podeszła do niego, stanęła obok i powiedziała:

–Musisz być z niego dumny, Yincen. Yincen objął ją ramieniem.

–Wygląda na to, że się dogadują, prawda? Odchowaaś tu sobie śliczną młodą damę, Jane. Gdybym był dziesięć lat młodszy...

–Chcesz powiedzieć: dwadzieścia lat młodszy – zawołała Charlotta ze swej poduszki przy kominku. – Nie zwracaj na niego uwagi, Jane. Przechodzi etap męskiego pokwitania. Nie tylko zresztą; przechodzi też równocześnie okres wtórnego dzieciństwa.

–O co ci chodzi? – spytał oburzony Yincen. – Nie miałem jeszcze bar micwy. Doug Foster wybuchnął grzmiącym śmiechem.

–Yincen jest święcie przekonany, że nie przekroczył jeszcze dwunastu lat, bo nie miał bar micwy. Jego rodzice zapomnieli mu powiedzieć, że nie jest Żydem, więc go to nie czeka. Och Yincen, czasami potrafisz być zwariowany.

–Tak-cicho powiedział Yincen, obserwując Thomasa i Susie, ale myśląc o Grayach. Jane zauważyła nagłą zmianę jego nastroju i spytała:

–Czy coś się stało? Zaprzeczył ruchem głowy.



–Przestań, Yincen – powiedziała. – Przeszliśmy dużo razem. Ty i ja.

Yincen pocałował ją.

–I to jeszcze ile. Ale to jest coś, co zaczęło się dawno, dawniej niżmy.

–Nie wiem, o co ci chodzi.

–Wyjaśnię ci, kiedy to sobie uporządkuję. Tu chodzi o dziedzictwo. Dęricta maiorum immeritus lueś\*. Nawet niewinny, musisz odpokutować za grzechy ojców. I dziadów. I pradziadów.

–To dla mnie za mądre – powiedziała Jane wesoło, ale nie ukrywając, że jest przejęta jego stanem.

–Nic mi nie jest – uspokajał ją Yincen. – Może napijemy się jeszcze tej gorącej oranżadki? Doug Foster zaśmiał się znów.

–Jane poświęca dwie godziny na przygotowanie starego korzennego ponczu z Connecticut, a on nazywa to oranżadką. Yincen, dobijasz mnie.

Thomas został przez Fosterów zaproszony na lunch i błagał, żeby pozwolono mu zostać. Nic nie mogło bardziej odpowiadać Yincen-towi. Kiedy wracali zaśnieżoną, opustoszałą szosą do Candlemas, powiedział Charlottcie, co spotkało Elmera Tweeda. Przyznał się też do swoich planów urządzenia seansu.

–Czy to naprawdę konieczne? – spytała Charlotta. – To mnie przeraża. Najgorsze, że traktujesz to z taką śmiertelną powagą.

–Musimy znaleźć sposób, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Grayach.

–Jutro jedziemy do Seekonk i porozmawiamy z doktorem McKinnonem. Dowiemy się od niego wszystkiego.

–Na to liczymy. Ale on może w niczym nam nie pomóc.

–A nie moglibyśmy poczekać, przynajmniej do czasu, gdy się z nim nie spotkamy?

–Moglibyśmy. – Yincen wzruszył ramionami. – Ale według mnie ci Grayowie to szaleni mordercy, a właśnie teraz mają w swych rękach Laurę Montblat. Jeżeli do tej pory jej nie zabili i nie zdarli z niej skóry, to wkrótce może im to wpaść do głowy. \* Horacy, Ody, III, 6,1. W dosłownym przekładzie: „Za winy przodków niezastąpienie będziesz cierpieć” (przyp. tłum.).

Charlotta patrzyła na poblady świat, przesuwający się za szybą.

–Dzwoniłeś do jej męża?

–Do Danny'ego Montblata? Nie, jeszcze nie.

–Nie sądzisz, że ma prawo wiedzieć, gdzie znajduje się jego żona?

–Jeszcze nie teraz.

–Ale przecież policja powinna tam wkroczyć i zaarrestować Grayów. Trzymają Laurę wbrew jej woli. Yincen pokręcił głową.

–Słyszałaś, co spotkało najlepszego kumpla szeryfa Srnitha. A teraz – co spotkało jego głównego i jedyne go świadka? Największym marzeniem szeryfa Smitha jest wpaść tam i zwinąć ich wszystkich, ale to nie jest normalne policyjne dochodzenie, a Grayowie nie są żadnymi normalnymi podejrzanymi. Udało im się przetrwać cztery dekady od czasu, kiedy powinni umrzeć. Jak myślisz, czy ktoś tak zażarcie walczący o utrzymanie się przy życiu łatwo się podda?

Charlotta wyciągnęła dłoń i pogładziła go po ramieniu.

–Grayowie zamienili nam tę zimę w koszmar, prawda? Twój dziadek powinien spalić ten portret.

Dotarli do Candlemas i wjechali na podjazd. Yincen ociężale wygrzebał się z samochodu i pokuśtykał na obolałych nogach, aby otworzyć Charlotcie drzwi.

–Wyglądasz jak Quasimodo – roześmiała się. – Idź, weź gorący prysznic; potem zrobię ci masaż.

–Miejscowi obywatele nie są zbyt entuzjastami salonów masażu-powiedział Yincen.-Dopiero niedawno zaakceptowali ideę samoobsługowych stacji benzynowych.

Spędzili spokojne i pełne zadumy popołudnie. Rzadko się odzywali; popijali wino i starali się zrelaksować przy muzyce Mozarta. Na dworze, mimo wczesnej pory, ciemność zaczęła okrywać lasy i ogrody Candlemas. Nagłe podmuchy lodowatego wiatru podnosiły z białych łąk wirujące tumany śniegu, które wyglądały jak zapowiedzi nieszczęścia.

Jack nie zatelefonował. Parę minut po czwartej przyjechał wozem patrolowym. Obok niego siedziała Pat. Yincen otworzył przed nimi frontowe drzwi. Weszli do dużego holu, otrzepując śnieg z butów. Jack spojrzał na Yincenta, spoza pleców Pat zrobił minę oznaczającą: „Nie możesz narzekać. Masz ją”.

Pat zdjęła rękawice i rozwinęła szalik.

–Nie przyjechałam tu z powodu forsy. Chcę, żebyś o tym wiedział – powiedziała Yincntowi.

–Nie podejrzewałem cię o to – odrzekł. Spojrzała na niego uważnie.

–Skąd wiesz?

–Ponieważ w szpitalu zrobiłaś na mnie wrażenie osoby, której zalety na innych.

Masz bardzo niezwykły dar i wiesz o tym. Ale wiesz również, że posiadanie tego daru obarcza cię odpowiedzialnością za innych, czy to ci się podoba, czy nie. – Yincnt zamilkł, a potem dodał: – Inaczej nie zgodziłabyś się na tamten seans w szpitalu. Nie trzeba było cię specjalnie przekonywać.

Pat popatrzyła na Yincnta z zaciśniętymi ustami.

–On jest lepszy od mojego psychoanalityka – rzuciła pod jego adresem. – Wie, co to motywacja i poczucie odpowiedzialności; czuje te sprawy.

Weszli do salonu. Yincnt umieścił portret Waldegrave'a na sztaludze na drugim końcu pokoju. Nie zaciągnął jeszcze zasłon, ale poza kręgiem światła wokół kominka, oświetlającym też dywan, pomieszczenie tonęło w ciemności.

Pat wolno zbliżyła się do portretu. Po chwili wyciągnęła ku niemu dłoń.

–To jest zło – szepnęła.

–Zło? – spytał Jack. – Co to znaczy zło? Pat powoli potrząsnęła głową.

–Obraz ma taką atmosferę.

–Cuchnie zgnilizną – powiedział Yincnt.

–Nie mówię o wrażeniach zmysłowych, mówię o odczuciach psychicznych.

Duchowa atmosfera otaczająca ten obraz jest absolutnie przerażająca. Nigdy w życiu nie zbliżyłam się do czegoś takiego.

Stała jeszcze bliżej. Jej ręka, zbliżając się do powierzchni obrazu, zatrzęsała się.

–To jest straszne – powiedziała. – Bije od tego takie zimno. Jakbym wkładała rękę w zamarzającą wodę i śnieg. Wiecie, wtedy nie tylko czuje się zimno, ale dostaje się dreszczy.

Yincnt i Jack podeszli bliżej, Charlotta została z tyłu, przy kominku. Pat wyciągnęła w stronę obrazu drugą rękę i zamknęła oczy.

–Co czujesz? – zapytał Jack, żując szybko i rytmicznie gumę. – Czujesz coś?

Pat początkowo nie odzywała się, oczy trzymała nadal zamknięte. Jej ręce zaczęły ostrożnie błądzić wokół portretu: Robiła wrażenie ślepeca, który bada oblicze napotkanej osoby, chcąc zapamiętać każdy rys jej twarzy.

–Te duchy są martwe albo powinny być martwe-powiedziała po chwili.

–Skąd to wiesz, Pat? – spytał Yincen.

–Czuję ich ciała – odparła. Wargi miała zdrętwiałe z przerażenia. – Dosłownie czuję ich nieżywe ciała. Są bardzo zimne, jakby były z lodu, ale z lodu na w pół rozpuszczonego, i jakby unosiły się, gniły. Miękkie, zimne, oślizgłe ludzkie mięso.

Ponownie nastąpiła długa cisza. Pat nie ruszała się z miejsca. Ale zaczęła oddychać głęboko i regularnie, jakby zapadała w sen.

–Czy nic się jej nie stało? – zaniepokoiła się Charlotta, ale Yincen machnął ręką, żeby zachowywała się cicho.

Przez moment wydało mu się, że ujrzał coś otulającego portret. Miało wygląd zwiewnego, przejrzystego obłoku z bielejącego gazu, ale wtedy Pat natychmiast cofnęła ręce; otworzyła oczy i to coś zniknęło.

–Co to było? – zapytał Yincen.

–Naprawdę to widziałeś?

–Nie jestem pewien. Przez mgnienie oka. Było jak chmura.

–Widziałeś duszę jednego z ludzi z tego obrazu.

–Duszę, która powinna być martwa, ale nie jest? – spytał Jack.

–Duszę, która powinna przejść do następnego etapu swojego istnienia – poprawiła go Pat.

–A dlaczego nie przeszła? – chciał wiedzieć Yincen.

–Nie jestem pewna. To bardzo próżna dusza, bardzo dumna. Myśli tylko o swym dawnym, niezwykłym fizycznym pięknie. Jest w niej bardzo niewiele dobra czy współczucia, chociaż wydaje mi się, że kiedy była młoda, mogła być inna.

–Wystarczy tylko, że wyciągniesz ręce w kierunku obrazu i wiesz to wszystko?

–Jest ich dużo, dużo więcej – powiedziała Pat, nie odrywając oczu od portretu.

–Są i chyba setki dusz. Jest dwanaście dominujących 270 jących duchów, ale są całe tłumy innych, większość z nich okaleczonych i obolałych.

–Ofiary-skomentował Jack.-Ludzie, których pomordowali.

–Mówisz, że duchy ofiar też nie przechodzą do następnego życia? Są schwymane w pułapkę tego obrazu? Pat znów uniosła dłonie. Zamknęła oczy.

–Ofiarom gwałtownej czy bolesnej śmierci często trudno jest przejść do następnej formy życia – zwłaszcza wtedy, kiedy są pozbawione modlitw i dobrych wspomnień ludzi, którzy po nich zostali. Są jakby nie narodzonymi dziećmi, poczętymi w momencie ogromnego szoku, a potem niedożywionymi i zaniedbanymi.

–Ale dlaczego nikt się za nie nie modli? – spytała Charlotta. – Przecież ich krewni czy przyjaciele...

–Kiedy ktoś ginie – przerwała jej Pat – przyjaciele i krewni modlą się tylko, żeby żył. Chcą, żeby ta osoba żyła. I nie rozumieją, że jeżeli taki człowiek jest już martwy,

jeżeli został zamordowany, to każdy akt woli, zmierzający do utrzymania go przy życiu, uniemożliwia jego duszy dalszą wędrówkę. Ludzie kompletnie nie mają pojęcia o sile oddziaływania na innych – nie tylko fizycznego, ale duchowego. Możesz kogoś powalić na ziemię, wałąc go pięścią. Ale siłą umysłu można unicestwić.

Jack spojrzął na Yinenta, jakby szukając u niego potwierdzenia słów Pat.

Yinent świadomie unikał jego wzroku. Nie chciał w żaden sposób być odpowiedzialny za czyjąś wiarę bądź niewiarę.

Kłoda na kominku przygasła i wydała dziwaczny, bulgocący dźwięk. Pat jeszcze raz uniosła rękę w kierunku obrazu Waldegrave'a.

–Wyjdź. Rozkazuję ci. Wyjdź – szepnęła.

Przez długi czas nic nie nastąpiło. Ale – może był to przeciąg, wiejący spod progu, a może nie – Yinent poczuł wyraźny chłód. Zadygotał. Charlotta ujęła go za rękę i też zadrżała. Jack przestąpił z nogi na nogę, pociągnął nosem i przygryzł gumę. Usiłował pokazać, że stać go na wiarę w okultyzm, ale pozostaje pragmatykiem, umiejącym utrzymać dystans. Wierzy, jak najbardziej, ale nie trzęsie portkami.

–Rozkazuję ci, wyjdź-powtórzyła Pat. Jej głos brzmiał teraz chrapliwie i rozkazująco. – Wychodź albo ukarzę cię tak, jak zechcę.

–Można ukarać ducha? – spytał Jack.

Pat na moment otworzyła oczy i spojrzała na niego.

–Najbardziej palącym pragnieniem ludzkiego ducha jest kontynuacja podróży od poprzedniego życia do obecnego, od obecnego do następnego. Ktoś taki jak ja, wyczulony na świat ponadmysłowy, posiada moc, dzięki której można opóźnić to przejście – a wierz mi, duchy zrobią wszystko, aby iść dalej. Upraszczając: to tak, jak przerwanie komuś stosunku tuż przed orgazmem.

–Pozwólmy jej działać dalej, szeryfie – powiedział Yincident. Pat przymknęła oczy i zaczęła recytować:

–Duchu, rozkazuję ci, wyjdź i pokaż mi się. Nie masz wyboru. Inaczej uwięzę cię na zawsze w czyścću, podczas gdy inne dusze będą mogły swobodnie przychodzić i odchodzić.

Biała chmura powracała, wijąc się i kręcąc wokół portretu jak gazowy welon niesiony przez wiatr. Temperatura w pokoju znowu opadła i Yincident poczuł chłód na plecach i skroniach. Widział parę własnego oddechu. Zaczął coś słyszeć, jakby głęboki dźwięk organów, basso profundo. Był tak niski, że prawie niesłyszalny.

Chińskie figurynki na kominku poczęły dźwięczeć i brzęczeć, aż wreszcie jedna z ulubionych miniatuerek Yincidenta, osiemnastowieczna pasterka ze Staffordshire, rozprysnęła się w nagłą ulewę białej porcelany.

Pat zrobiła parę ostrożnych kroków do tyłu. Podniosła wyprostowane ręce w górę i zawołała głośno:

–Wyjdź! Rozkazuję ci! Wyjdź!

Poskręcany biały obłok powoli zaczął spływać w dół, ku podłodze. Potem w absolutnej ciszy znów zwinął się w drżącą kolumnę kłębiącego się dymu. Pojawiła się dziewczyna. Była naga. Ręce miała ciasno związane za plecami, kostki u nóg skrępowane łańcuchem. Głowa opadała jej na piersi, ze wstydu lub z wyczerpania, i nawet kiedy Pat nakazała jej przemówić, nie odezwała się.

–To Laura – powiedział Yincident. Zbliżył się do niej o krok. – Laura! Słyszysz mnie? To ja, Yincident Pearson! Edward pracował w mojej galerii. Laura! Podnieś tylko głowę i przemów do mnie!

Laura z wolna podniosła głowę. Jej wizerunek był przezroczysty jak hologram, ale jej oczy miały taki wyraz, który kazał Yincidentowi uwierzyć, że faktycznie jest częściowo, jeśli nie całkowicie obecna. Otworzyła usta i powiedziała coś, ale zbyt wolno i niewyraźnie, aby Yincident mógł ją zrozumieć.

–Laura! – krzyknął, ale Pat, nadal nie otwierając oczu, wy272 ciągnęła lewą rękę i złapała go za rękaw, aby udaremnić mu zbliżenie do portretu.

–Ale to przecież, do cholery, jest Laura Montblat – zaprotestował Yincident.

–To nie jest Laura Montblat – nie zgodziła się z nim Pat – to złuda. Oni nas badają. Te dwanaście duchów z portretu bada nas. Chcą się dowiedzieć, jak bardzo nam zależy na Laurze Montblat. Jeśli nam na niej nie zależy, to nie przyda im się jako zakładniczka.

–Uważasz, że wtedy ją zabiją?

–A skąd mam to wiedzieć, na litość boską? Jack – zimno mi! Jack, jeżeli chcesz ją

**o coś zapytać, to pytaj szybko! Nie wytrzymam tego dłużej!**

**Jack zbliżył się do wizerunku Laury Montblat. Był on teraz jeszcze bardziej przejrzysty, jakby stworzony ze szklanego, gorącego powietrza, które w mroźną zimę unosi się nad koszami z żarzącym się koksem.**

**–Laura – zaczął, wyężdżając wszystkie siły, aby jego głos zabrzmiał zdecydowanie.  
– Czy powiesz nam, gdzie jesteś? Możemy przyjść po ciebie.**

**Pomożemy ci się uwolnić. Powiedz nam, gdzie jesteś, to wystarczy; i powiedz nam, czy żyjesz. Rozumiesz, widząc ducha, taki facet jak ja nie może tak po prostu podjąć decyzji.**

**Laura obróciła na Jacka duże, wilgotne oczy. Potem zaczęła tańczyć do wtóru niesłyszalnej muzyki. Jack widział ją teraz bardzo słabo. Pojawiała się i zniknęła; rękami przesuwając po biodrach i delikatnie gładziła swoje piersi.**

**Tuż przed zniknięciem nagle szerzej otworzyła oczy i wyciągnęła ręce, tak samo jak Pat wyciągała ręce ku portretowi, i wymamrotała niemal niezrozumiale, ale przejmująco: – Ratujcie mnie.**

**Biała gazowa szata wokół portretu skurczyła się i zniknęła. Ogień na kominku buchnął do góry. Yincant odwrócił się od portretu, wyjął starannie złożoną chusteczkę i osuszył zimny pot z czoła.**

**–To przedstawienie od początku do końca było sfingowane przez Grayów – powiedział Jack. – Ona jest ich zakładniczką, nie ma dwóch zdań. Robi, co jej każą. Nawet z tym „Ratujcie mnie!” Co to miało być? Mamy wyruszyć tam jak nie wydarzeni bohaterowie, bez nakazu i cienia sensownego dowodu? Bylibyśmy udupieni, zanim odliczylibyśmy do jednego.**

**W tym właśnie momencie, kiedy wydawało się, że wszystko jest skończone, usłyszeli krzyk Pat:**

–Nie!

Stała nadal przed portretem. Miała opuszczoną głowę, zaciśnięte pięści i trzęsła się:

–Pat... nic ci nie jest? Pat? – zaniepokoiła się Charlotta.

–Nie... podchodźcie... bliżej... nie...

–Pat, co się, do diabła, dzieje? – spytał Jack i ujął ją z a ramię.

Obróciła gwałtownie głowę i patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczami. Zęby miała zaciśnięte tak mocno; że krew zaczęła ciec jej z kącika ust.

–Nie... puszczają. Oni...

–Yincent – przynaglił go Jack. – Chodź tu. Są kłopoty. Wzięli ją za ręce, ale Pat nadal trzęsła się i wykręcała. Była tak sztywna, jakby poddano ją wstrząsom elektrycznym.

–Jack – błagała Pat, z głową pochyloną na ramię. Napad drgawek, który teraz nadszedł, był tak intensywny, że ledwo mówiła. Yincent czuł, jak dziwne elektryczne prądy przebiegają przez jego nerwy i mięśnie; nawet skóra na głowie zaczęła mu sztywnieć. Był świadom, że krzyczy do Jacka na całe gardło, ale z niezrozumiałych powodów nie słyszał własnego głosu.

–Odciągnijmy... odciągnijmy ją... od tego...

Płaszącymi, rozjeżdżającymi się źrenicami widział, że Jack go rozumie i że również usiłuje wyrwać Pat spod złowieszczego oddziaływania obrazu Waldegrave'a.

Pierwsze skojarzenie Yinenta było zadziwiająco dokładne. Pat drgała pod wpływem mocy, którą emanował portret; podobnie jak to się dzieje z ofiarami porażenia elektrycznością, dopóki komuś nie uda się ich oderwać od źródła prądu.

–Nie puszczaj jej! Yincent, słyszysz?! – krzyczał przeraźliwie Jack. – Nie puszczaj! Ona odchodzi! Na rany Chrystusa, ona...

Rozległo się potężne dudnienie, jak przy wjeździe metra do tunelu. Pat dygotała i trzęsła się pomiędzy dwoma mężczyznami, ale żaden nie potrafił jej pomóc. Z portretu wyłonił się bielejący obłok gazu, ale to nie był gaz, to była miazga poskręcanych, bezkształtnych twarzy i wyciągniętych szponiastych dłoni, było to ohydne kłębowisko rąk, nóg i wnętrzości. A potem nagle pojawiło się coś ostrego, niby potężny rzeźniczy nóż. Błysnął, celując w brzuch Pat. Przez moment Yincent dojrzał czubek noża tuż obok jej kręgosłupa. Pat upadła na podłogę.

Gazowe widmo skurczyło się i zniknęło. W salonie wreszcie zapanował spokój.



–Dzwoń po pogotowie – powiedział Yincen do Jacka. Ale Pat, z twarzą wtuloną w dywan, powiedziała:

–Nic mi nie jest. Spokojnie. Już po wszystkim. To była tylko złuda. Złudy nie mogą nikogo skrzywdzić. Charlotta uklękła obok niej.

–Ten nóż...

–Też złuda. Odpędzają mnie.

–Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

Pat usiadła, wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją do twarzy.

–Nic mi nie jest. Nie róbcie zamieszania.

Yincen przykucnął obok niej i położył ręce na jej ramionach.

–Nie skrzywdzili cię? Myślałem, że nie żyjesz. Pat uśmiechnęła się słabo.

–Napiałabym się. Może koniaku? Krew we mnie skrzepła, chociaż jeszcze żyję.

Kiedy Charlotta otworzyła karafkę z koniakiem, Yincen powiedział do Pat:

–Wiedziałaś, że ten moment, kiedy wyciągnęłaś rękę do obrazu, jest niebezpieczny. Wiedziałaś, co się stanie?

Pat nie odpowiedziała. Z wdzięcznością przyjęła od Charlotty duży kieliszek courvoisiera, uśmiechając się przy tym drobnym, niewyraźnym uśmiechem.

–Jezu – westchnął Jack. – Przez chwilę myślałem, że znowu mamy zabójstwo.

Pat nie miała ochoty na rozmowę. Jednym haustem opróżniła kieliszek i oddała do ponownego napełnienia. Charlotta wzięła go bez słowa.

–Czy to było ostrzeżenie? – spytał Jack. Pat kiwnęła głową.

–Boże. Jeżeli to ma być ostrzeżenie, to lepiej nie wyobrażać sobie, co robią, jak się naprawdę zdenerwują.

–To była jedynie reakcja ich psyche na nasze wtargnięcie.

–Co to znaczy? – spytał Jack.

–To znaczy, że Grayowie z ciała i krwi, żywi, prawdziwi i mieszkający w Darien, mogą nawet nie mieć pojęcia, że wściubialiśmy nasze nosy w ten obraz. To ich nie dotyczyło. Tak to ujmijmy – to nie miało żadnego związku z fizycznie istniejącymi ludźmi, których chcesz aresztować. Tu były ich duchy, duchy, które znajdują się na tym obrazie.

–Jakoś nie chwytam różnicy – powiedział Jack, nie kryjąc\* zniecierpliwienia. | –  
Zwykle nie ma różnicy – uspokajała go Pat. – Zwykle | osoba jest osobą, a portret  
jest portretem. Dusza trzyma się osoby, | nawet kiedy ta osoba umarła.

Dużo słyszałeś historii o opętanych portretach?

Jack, który rzadko miał okazję coś poczytać, sięść przed telewizorem albo zając  
się czymś innym poza uganianiem za kolejnymi przestępcami, obojętnie wzruszył  
ramionami.

–Wierzcie mi, ten portret jest opętany – stwierdziła Pat.

–Aha – zamruczał Jack.

–Ten portret-kontynuowała Pat cofając się, kiedy to mówiła -jest opętany.

Wierzcie mi.

–Więc co możemy na to poradzić? – spytał niecierpliwie Jack.

–Możecie go spalić, możecie go rozwalić młotkiem, możecie go zabrać na Fire  
Island i wrzucić w fale – albo Yincen może go sprzedać każdemu, kto będzie na tyle  
szalony, że go kupi. Ale naprawdę powinniście się go pozbyć. Na zawsze. Nie wiem,  
co się z nim dzieło. Nie wiem, dlaczego emanuje takim złem. Ale czuję, że jest  
niebezpieczny i błagam was – pozbądźcie się go.

–Ta Laura, dziewczyna, która pojawiła się przed tobą... – zaczął Yincen.

–Ona jest żywa.

–Mówisz poważnie? Chodzi mi o to, czy jest żywa w tym sensie, że...?

–Jest żywa w tym sensie, że jej jeszcze nie zabili, i tyle.

Yincen spojrział w kierunku Jacka, który z poważnym wyrazem twarzy spoglądał  
na portret. Potem obrócił się do Pat i podał jej rękę, pomagając wstać. Charlotta  
poprawiła polana na kominku, a potem nagle podeszła do Waldegrave'a i zakryła go  
kapą.

–Chodzi mi o to, że jeśli Laura nadal żyje, a my zniszczymy portret... – dopytywał  
się Yincen.

–To zależy od tego, co chcecie zrobić. Grayowie mają ją całą – z duszą i ciałem.  
Być może ją zabiją, ale sam musisz sobie odpowiedzieć kiedy.

–Naprawdę wierzysz, że ją zabiją?

–Nie ma żadnych wątpliwości. Nie czułeś tego portretu tak, jak ja go czułam.

–Jeżeli spalimy portret, spalimy też Laurę. Czy nie tak? Pat próbowała się uśmiechnąć.

–Nie jestem ekspertem, panie Pearson. Nigdy tego nie twierdziłam.

–Ale myślisz podobnie jak ja?

Pat kiwnęła głową i odwróciła się. Yincient odniósł wrażenie, że seans poruszył ją mocniej, niż chciała się do tego przyznać.

–Dobrze się czujesz? – spytał ją Jack. – Może powinnaś usiąść. Panno Clarke, nie podałyby pani herbaty? A może kawy?

–Pat? – spytała Charlotta. – Co wolisz?

Pat usiadła przy ogniu, na jednej z kanap. Wpatrywała się w zasłonięty kapą obraz Waldegrave'a i bez przerwy tarła ramiona, jak nerwowe dziecko.

–Ten obraz jest taki zły – mówiła. – Jest jak duchowa kostnica.

–Przykro mi-powiedział Yincient. – Kiedy proponowałem, żebyś przyszła i spojrzała na niego, nie myślałem, że...

–Musisz się go pozbyć-przerwała mu.-Nie masz wyboru.

–A co z Laurą Montblat?

Pat zadrżała i jeszcze bardziej nerwowo potarła ramiona.

–Poważnie myślisz, że ją uratujesz? Nie widziałeś, co z nią zrobili? Nie dadzą jej żyć. Nie dadzą żyć nikomu, kto im zagraża lub kim mogą się posłużyć. Oni przysięgli sobie, że będą żyć wiecznie, panie Pearson, i nie obchodzi ich, co zrobią, jak to zrobią ani ilu ludzi zabiją.

Urwała, a potem skrzywiła się i złapała rękami za brzuch.

–Chyba mnie zranili – powiedziała, przełykając ślinę, która nagle obficie napłynęła jej do ust.

Yincient usiadł obok niej i delikatnie obrócił jej głowę, by móc zajrzeć w oczy.

–To wygląda na szok-powiedział do Jacka.-Dzwoń lepiej po pogotowie, i to szybko. A także po doktora Serlinga.

Jack podszedł natychmiast do telefonu i wystukał numer pogotowia w Litchfield.

Charlotta pomogła Yincientowi ułożyć Pat na kanapie, a potem poszła do komody stojącej w holu i wyjęła ciepły koc. Twarz Pat zrobiła się kredowobiała. Zaczęły nią wstrząsać dreszcze, równie silne jak wówczas, gdy ektoplazma wychyliła się ku niej z obrazu.

–Nie przejmuj się – uspokajała ją Charlotta, owijając kocem. | – To tylko szok. Zaraz poczujesz się lepiej. | Jack skończył rozmowę z doktorem Serlingiem. Podeszedł do Pat i przyklęknął przy sofie. Pat spływała potem, który ściekał jej po szyi. Rzuciła się, obracała na wszystkie strony i mięła koc w rękach.

–Typowe objawy szoku – powiedział Jack. – Charlotta, przynieś szklankę wody.

–Nie dotykajcie... mnie – szeptała Pat. – Róbcie, co chcecie... ale nie...

Kaszlnęła, z ust popłynęła jej ślina zmieszana z krwią.

–Mój Boże, Yincen, jej naprawdę coś jest! – krzyknęła Charlotta.

–Karetka jest w drodze-powiedział Jack.-Yincen, pomóż mi ją utrzymać.

Charlotta, proszę o tę wodę.

Charlotta przyniosła szklankę i Pat udało się trochę przełknąć. Dalej pociła się i trzęsała, ale parę łyków i ciepły koc spowodowały, że nieco się uspokoiła.

–Naprawdę jest mi lepiej – szepnęła do Jacka. – Proszę was, nie przejmujcie się mną. – Żartujesz – uśmiechnął się Jack, ocierając jej pot z czoła.

–Wystarczy, że dostajesz czkawki, a ja już się przejmuję.

–Musicie zniszczyć... zniszczyć portret-powtarzała z uporem.

–Myślimy o tym – powiedział Jack, gładząc ją po policzku.

–Nie przejmuj się. Ci Grayowie zapłacą za wszystko.

Pat nagle mocno złapała Jacka za ramię i zacisnęła kurczowo powieki.

–Boże! – krzyknęła. – Och Boże, boli!

–Gdzie cię boli? – spytał Jack. – Pat, proszę, powiedz mi, gdzie cię boli?

Odepchnęła go i usiadła, trzymając jedną rękę przy gardle, a drugą przyciskając do żołądka.

–Będę wymiotować – powiedziała ledwo słyszalnym głosem.– To musi być ta woda... ja...

Bez żadnego ostrzeżenia z ust chlusnął jej jasny strumień krwi. Spłynął po nogawce spodni Jacka. Patrzyła na niego, zdrętwiała i przerażona.

–Jack! – zachłysnęła się. – Jack! Ratuń mnie! Jack wrzasnął do Yincenta:

–Dzwoń jeszcze raz po to cholerne pogotowie! Co się z nimi, do diabła, dzieje!

Yincent podniósł się, ale równocześnie Pat wydała zduszony krzyk i wyrzuciła następny strumień krwi. Rozprysnął się po dywanie, po ścianach, w palenisku kominka. Siedziała trzęsąc się i patrząc szklanym, nie dowierającym spojrzeniem na otaczający ją nieład, zlane krwią stopy i kolana, jakby wiedziała, że tego nie przeżyje. Nikt nie potrafił wykrztusić słowa. Groza tego, co nastąpiło, była zbyt nagła. Nikt nie był w stanie niczego zrobić. Patrzyli tylko, jak Pat powoli obraca się na bok i osuwa, uderzając skronią o podłogę.

–Ja... Charlotta... ja... – zaczął Yincent, ale nie był w stanie dokończyć.

Odwrócił się i ścisnął rękami głowę, próbując utrzymać się w ryzach, powstrzymać swój umysł przed ucieczką w szaleństwo. Dotarł do niego szloch Charlotty i to go otrzeźwiło. Przez jeden krótki moment miał wrażenie, że jego umysł eksploduje, przenosząc go poza granicę szaleństwa.

Wtedy poczuł dłoń Jacka, który szarpał go za rękaw.

–Yincent. Yincent, spójrz!

Odwrócił się, zatrzymując wzrok na Jacku, ale potem jego spojrzenie skierowało się na podłogę, ku miejscu, gdzie leżała Pat. Charlotta, stojąca po drugiej stronie salonu, już wcześniej wbiła w Pat spojrzenie pełne grozy i niedowierzania.

Strugi krwi stopniowo rozplýwały się, jakby ich nigdy nie było. Po paru minutach – podczas których stali i patrzyli, nie wierząc własnym oczom – wszystkie okropne wymiociny Pat kompletnie zniknęły.

–To było tylko złudzenie – wyszeptał Jack.

–Niewykluczone, że ktoś powoduje, że nam się to wydawało – zasugerował Yincent.

–Grayowie?

–To więcej niż prawdopodobne – odezwał się Yincent niepewnym głosem. – Wystarczy wspomnieć, że mieli ponad sto lat na doskonalenie swoich sił psychicznych – dużo więcej czasu, niż jest to przeznaczone komukolwiek innemu.

Pat leżała bez ruchu, z twarzą białą jak płótno. Charlotta przyklękła obok niej i sprawdziła puls.

–Ledwo go czuję – powiedziała – ale jest bardzo przyspieszony.

–To normalne objawy szoku – wyjaśnił Jack. – Szybki, słaby puls, płytki oddech. Połóżmy ją na kanapie i przykryjmy. Podnieśli ją ostrożnie i otulili pledem.

–Charlotto, możesz zadzwonić do jej męża? – poprosił Jack. – Jerome Lerner. Numer jest w książce.

Pat rozwarła powieki. Źrenice miała rozszerzone. Kiedy się odezwała, jej głos był słaby i miał chropawe brzmienie.

–Myślałam, że umieram.

–Już jest dobrze – powiedział Yincen. – To była właśnie odpowiedź Grayów na nasz atak.

–Czuję się strasznie – zwierzyła się Pat, choć równocześnie próbowała się uśmiechnąć.

Usłyszeli wycie syreny dobiegające z podjazdu i karetka z piskiem opon zatrzymała się przed wejściem.

–Masz szczęście – powiedział Jack, pochylając się nad kanapą i całując Pat w czoło. – Nie zdecydowali się dziś na przejażdżkę jakąś malowniczą dróżką.

Sanitariusze zapakowali Pat do karetki. Czerwony sygnał, migoczący różem na tle bielejącego lasu, znikł już z pola widzenia, kiedy pojawił się doktor Serling.

Jack wyrwał go z niedzielnego popołudniowego przyjęcia wydawanego na cześć jednego z kuzynów żony, ale może właśnie dlatego lekarz wydawał się zadowolony, mimo że wezwano go w sprawach zawodowych.

–Pojadę za karetką – powiedział przez otwarte okno samochodu. – Nie musicie stać tu we trójkę i odmrażać sobie kończyn.

–Chcę, żeby wszedł pan na chwilę – powiedział Jack.

Serling zmarszczył brwi i zgasił silnik. Sposób, w jaki wysiadał z wozu, przypominał manewry malarza składającego sztalugę przed wejściem na niski strych. Następnie rozłożył się przed obliczem Jacka, wznosząc się na dobre parę cali ponad szeryfa.

–Coś się stało? Mówił pan, że pani Lerner zemdląca.

–Ona nie zemdląca – powiedział Yincen i wziął go pod ramię. – Proszę wejść.

Powiemy panu, co się stało.

Podczas kiedy szli razem do domu, Yincen próbował w sposób najbardziej obrazowy opowiedzieć o drugim seansie, o intensywnym wrażeniu zła emanującego z obrazu Waldegrave' a; o przerażających przeżyciach, które stały się udziałem Pat, o opisywanym przez nią

uczuciu zanurzenia dłoni w lodowatym, gęstym roztworze, który powstał z na wpół rozłożonego ciała.

Opowiedział doktorowi o urojonym nożu, który rozplątał brzuch Pat, i o tym, jak wymiotowała krwią.

Lekarz starannie nabił i zapalił fajkę. Obejrzał dokładnie dywan, pokryty w ich halucynacjach krwią Pat, a potem sprawdził wygląd kanapy.

–Pani też to widziała? – spytał Charlotte.

Kiwnęła głową.

Serling przez chwilę pykał fajkę.

–To nie dla mnie – powiedział w końcu. – To dla kogoś, kto się na tym zna. Dla doświadczonego medium, umiejącego się obronić.

–Nie sądzę, żeby łatwo było kogoś takiego znaleźć – powiedział Jack.

Doktor Serling zrobił grymas mający oznaczać, że nie widzi specjalnych problemów.

–Zawsze można potraktować to jako rzecz z policyjnej działki i nic poza tym.

Nie musi się zwalczać ognia ogniem. Zresztą, mimo że Grayowie robią wrażenie lepszych w spirytystycznych sztuczkach niż ktokolwiek z nas, okazało się, że pani Lerner wcale dziś nie ucierpiała, przynajmniej poważnie. Prowadzi to do przypuszczenia, że Grayowie nie są w stanie zaszkodzić nikomu przez samo oddziaływanie duchowe. Byłoby to możliwe, gdyby byli całkiem martwi, gdyby byli tylko i wyłącznie duchami. Ale są rozdarci. Ich duchy są tu, a ciała tam. Jeżeli chcą zrobić coś naprawdę złego, to chyba muszą użyć swoich cielesnych postaci.

Yincent przygotowywał dla wszystkich drinki. Podniósł głowę i powiedział:

–Mam wrażenie, że napotkał pan już przedtem jakieś dokuczliwe duchy, doktorze.

Doktor Serling usiłował go zbyć.

–Pierwszy dowód na istnienie ludzkiego ducha ujrzałem podczas seansu, na którym objawił się duch Bena Millera.

–Ale jest pan lekarzem. Wiejskim lekarzem, na dokładkę. Proszę mi nie wmawiać, że nie zetknął się już pan w swojej praktyce choćby z jednym przypadkiem opętania przez duchy, być może urojone duchy czy też zjawy.

Lekarz podziękował za whisky.

–Usiłuję tylko logicznie myśleć, nic więcej. Jack podszedł do obrazu Waldegrave'a i odsłonił go, aby jeszcze raz obejrzeć rozkładające się twarze rodziny Grayów.

–Wyobrażacie to sobie? – spytał. – Najcięższa sprawa w moim życiu, a wszyscy podejrzani byli martwi, zanim ją w ogóle otworzyłem.

Yincent zbliżył się i stanął obok niego.

–Niewystarczająco martwi, w tym kłopot. Martwi, ale za mało martwi.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Seekonk, 23 grudnia Doktor Percy McKinnon był niskim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Z twarzy przypominał Yincentowi Teddy'ego Roosevelta. Jak i tamten, robił wrażenie, że lada chwila wybuchnie szalonym gniewem. Miał na sobie przyciasny trzyczęściowy garnitur z brązowego tweedu.

Przez dwadzieścia trzy lata wykładał historię sztuki na Brown University.

Obecnie przeszedł na emeryturę i mieszkał na County Street, w jednym z tych malowanych na biało domów, uwielbianych przez panie z dobrych rodzin, których nazwiska zapisała historia. W każdą niedzielę, sztywny jakby połknął kij, spacerował po Slater Memorial Park, prowadzony przez swojego białego bullmastiffa.

Przygotował dla gości kawę. Przyniósł ją w miedzianym dzbanku do pozbawionej cienia nowoczesności biblioteki. Postawił dzbanek na jedwabnej serwecie, obok cieniutkich, chińskich filiżanek. Charlotta poprosiła o pozwolenie nalania kawy.

Otrzymała je. Doktor McKinnon zasiadł przy czarnym, okrągłym piecu kaflowym, skrzyżował szynki, których kształt przybrały jego uda, i zapytał swych gości, czego od niego oczekują.

–Moja rodzina ma portret pędzla Waltera Waldegrave'a – powiedział Yincent.

–Musi to być niezbyt miłe – wtrącił doktor McKinnon.

–Co pana skłania do takiej opinii?

–A ile mam państwu podać przyczyn? – odparował historyk sztuki. Zdjął oprawione w stal szkła i skierował na Yincenta spojrzenie wytrzeszczonych, bladoniebieskich oczu.



–Tyle, ile panu przyjdzie do głowy.

–Bardzo proszę. Walter Waldegrave był umysłowo niedojrzały, intelektualnie zacofany, pozbawiony pionu moralnego i artystycznego. Jego poczucie kompozycji było marne, a kolorystyka jeszcze gorsza; stosował się do wszystkich dziwactw i fanaberii mody.

–Nie sądzę, aby moja rodzina weszła w posiadanie tego obrazu dla jego wartości artystycznej – powiedział Yincen.

–Cóż, stanowi to pewne pocieszenie – odparł doktor McKinnon, pociągając łyk kawy. –Jednakże nasuwa się tu jeden problem: jeżeli pańska rodzina nie weszła w jego posiadanie ze względu na jego walory artystyczne, to dlaczego? Przychodzi mi na myśl tylko jeden możliwy powód, a wierzcie mi, że nim pogardzani. Tak, szanowny panie.

–Nie zamierzamy owijać rzeczy w bawełnę. Mój dziadek zabrał ten obraz jego właścicielom, ponieważ obawiał się, że używają go w niegodziwym celu. W istocie obawiał się, że Walter Waldegrave w jakiś sposób spowodował, że portret starzeje się, podczas gdy rodzina, która do niego pozowała, pozostaje młoda.

Yincen nie mógł wyłożyć tego bardziej wprost. Charlotta ścisnęła go za rękę.

Jeżeli doktor McKinnon był jednym z tych akademików, którzy nie lubią mieć do czynienia ze światem nadzmysłowym, przynajmniej dowiedzą się tego od razu.

Jednak doktor McKinnon założył z powrotem okulary. Powoli obrócił się na swym ruchomym fotelu, który z powodzeniem mógł stanowić rekwizyt w hollywoodzkiej wersji Tombstone Epitaph, i rozejrzał się po półkach, szukając jednego ze swych oprawnych w skórę woluminów.

–Pozwólcie, że wam to wytłumaczę – mówił, starając się zlokalizować książkę. – Walter Waldegrave był intrygantem przez duże „I”. Był słabym, zgorzkniałym, miernie utalentowanym młodym człowiekiem i świat sztuki nigdy nie dowiedziałby się o nim, gdyby przypadkowo nie nawinął się przed oczy Oscarowi Wilde'owi i Frankowi Milesowi.

Jack siedział w rogu pokoju z założonymi nogami. Kiedy zabrał głos, starał się nadać mu autorytatywne brzmienie.

–Wiemy, że Walter Waldegrave parał się czarną magią, doktorze McKinnon. W innym wypadku nie zjawilibyśmy się tutaj.

McKinnon znalazł poszukiwaną książkę i otworzył ją. Zerknął na Jacka sponad okularów i zapytał:

–Pan jest szeryfem, nieprawdaż? Proszę mi nie mówić, że szeryfowie wierzą w istnienie czarnej magii:

–Sir, przez całe życie podejrzewałem, że to może być prawda – powiedział Jack.

–Teraz – niestety lub na szczęście – wiem, że to prawda.

Doktor McKinnon nagle obrócił się do Yinenta i wykrzyknął:

–Portret G r a y ó w! Tak jest! Pan ma portret Grayów. Trafiłem?

–Mój dziadek wszedł w jego posiadanie w 1911 roku – potwierdził Yinent. – W tym to roku nastąpiła seria morderstw i dziadek był przekonany, że ich sprawcami są Grayowie. Żeby nie używać pięknych słów – ukradł portret i oświadczył im, że jeżeli nie opuszczą kraju, spali go.

–Aha... więc to tak! – przemówił z emfazą uczony. – Zawsze podejrzewałem coś w tym rodzaju. Ale nie miałem pojęcia, że to Pearsonowie położyli na nim rękę. Toż to rewelacja! Musimy to uczcić. A więc brandy? Brandy do kawy?

–Nie powiem nie-zareagował Jack. Podróż z Litchfield była długa i męcząca, a objazdy wokół Willimatic i Norwich uciążliwe.

–Dziękuję – powiedział Yinent. – Z przyjemnością.

–Wiecie co? – powiedział doktor McKinnon po tym, jak nalał każdemu oszczędną miarkę brandy. – Zawsze wierzyłem, że portret Waldegrave'a jakoś wyjrzy na światło dzienne. Pańska rodzina skrupulatnie go ukrywała. Nigdy go nie wystawiano, nie pisano o nim nic. Pearsonowie! Powinienem odgadnąć, że to wy!

Pański dziadek był niezwykle religijny, prawda? W 1920 roku napisał monografię – coś na temat sztuki „inspirowanej”. Brak norm moralnych, który Grayowie zawsze wykazywali, musiał być dla niego szczególnie odrażający. Ale że też nadal go macie! Wciąż istnieje! Portret Grayów, namalowany przez Waldegrave'a!

–Miałem nadzieję, że będzie pan w stanie wyjaśnić, dlaczego to się dzieje.

–Przepraszam. – Doktor McKinnon był zaskoczony. – Dlaczego co się dzieje?

–Dlaczego portret się starzeje, a ludzie na nim namalowani pozostają młodzi?

–Ma pan ze sobą portret?-spytał doktor McKinnon z nagłym niepokojem.

–Nie. Pozostał w New Milford. W moim domu.

–Cóż, szkoda. Bardzo chciałbym go ujrzeć. Czy byłoby to możliwe?

–Oczywiście.

–Oto cały sekret – powiedział doktor McKinnon, podnosząc książkę.-Każdy wizerunek każdej żyjącej osoby, każda podobizna żyjącej osoby, może zawsze być wykorzystana jako narzędzie, za pomocą którego steruje się ludzkim losem. Rzecz jasna, słyszeliście o laleczkach wudu. Są to prymitywne figurki. Wbijając w nie szpilki, uprzykrza się komuś życie, albo nawet zabija. Wystarczy, że zainteresowany zjawi się u szamana i wskaże obiekt swojej nienawiści. Takie historie mogą was śmieszyć, ale mam tu dokumentację, wskazującą, że laleczki wudu były używane, ze znakomitymi rezultatami, podczas dojścia do władzy Claude'a Duvaliera na Haiti. Mam też dużo bardziej wstrząsające dowody na to, że były pewne grupy ludzi gotowe do użycia magicznych wizerunków podczas końcowego etapu afery Watergate. Historia magicznych wizerunków jest fascynująca.

Fascynująca! Ale prawdopodobnie miała swe apogeum przy schyłku epoki wiktoriańskiej. Wtedy sztuka fotografii stała się na tyle popularna, że nekromanta potrafił wpłynąć na los niemalże każdego, wymierzając karę wedle własnej woli. Często z niezwykłą skutecznością. Na przykład twierdzi się, że polityczny rywal generała Ulissesa S. Granta spowodował u niego raka gardła.

Cóż, brak nam sposobów na potwierdzenie tych przypuszczeń.

Doktor McKinnon przełknął brandy, poprawił okulary i pochylił się konspiracyjnie ku Yincetowi.

–Wraz z pojawieniem się preraphaelitów – Rossettiego, Hol-mana Hunta oraz ich następców i naśladowców – w dziejach sztuk pięknych rozkwita praktyka posługiwania się obrazami i wizerunkami do celów magicznych. Ich technika malarska była tak dokładna, oddanie szczegółu tak doskonałe, podobieństwo tak wierne, że portrety mogły być wykorzystane w podobny sposób; jak ongiś wizerunki wudu. Wystarczyło jedynie, że właściciel portretu znał stosowne zaklęcia.

Pochylił się jeszcze bliżej i mówił teraz chrapliwym szeptem:

–Dotarło do mnie, jakoby portret Lady Penelope Cleaver

pędzla Millaisa został wykorzystany przez męża do pozbawienia jej urody po tym, jak nawiązała romans z jednym z jego współników.

–Proszę powiedzieć nam coś o Walterze Waldegrawie – poprosił Yincen.

–Otóż – doktor McKinnon z pasją zaatakował problem – w przypadku Waltera Waldegrave'a sedno sprawy tkwi w tym, iż nie był to po prostu malarz, którego portrety służyły do zadawania bólu wrogom czy adwersarzom. Walter Waldegrave rzeczywiście interesował się czarną magią i potęgą symboli-i to zanim zrobił pędzlem pierwszy ślad na płótnie. Więc kiedy już malował, to od razu z konkretnym celem. Jego portrety miały służyć celom okultystycznym. Można go określić jako czołowego artystę religijnego całego antychrześcijańskiego ruchu, jaki przetoczył się przez wiek dziewiętnasty. To jeden z powodów, dla których Oscar Wilde tak go polubił. Oscar Wilde miał absolutnego bzika na punkcie bezbożnych młodzieńców. Miał również absolutnego bzika na punkcie pięknych mężczyzn, a chociaż z fotografii dziś tego nie widać, Walter Waldegrave z pewnością zasługiwał na zaliczenie do tej kategorii.

–Więc – wtrącił Yincen – kiedy Walter Waldegrave wraz z Lily Langtry przyjechał do Stanów Zjednoczonych i Oscar Wilde przedstawił go Grayom...

–Splot wzajemnych zainteresowań był o tyle naturalny, że zgodny z prawami epoki – powiedział McKinnon, strzelając krótkimi, tłustymi palcami. – Grayowie byli bogaci, czarujący i nieprawdopodobnie próżni. Czuli, że znaleźli się u szczytu towarzyskiego powodzenia i chcieli zostać tam na zawsze. Więc kiedy Walter Waldegrave zaproponował namalowanie rodzinnego portretu oraz zasugerował, aby po namalowaniu portretu pewne rytuały towarzyszyły jego sygnowaniu – to czyż byli w stanie odrzucić jego ofertę? Oto pojawiła się szansa na życie bez końca, szansa, że będą obracać się w najlepszym towarzystwie sezon za sezonem: Palm Beach w zimie, Bar Harbor w lecie, a Londyn i Paryż wedle kaprysu. Nie tylko w tym sezonie, nie tylko w następnym, ale zawsze. Czy możecie to sobie wyobrazić?

Wiedzieć z całkowitą pewnością, z całkowitym spokojem ducha, że będzie się żyło i za sto lat. I nie tylko żyło, ale pozostanie się młodym.

Yincen milczał i spoglądał na Jacka. Wiedzieli o Grayach coraz więcej, ale nadal nie mieli pojęcia, jak ich zniszczyć – czy zwyczajnie, aresztując za zabójstwo i porwanie, czy metodami niematerialnymi, przerywając więź z obrazem Waldegrave'a.

–Mój dziadek wspominał coś o odmawianiu wstecz egzorcyzmów – powiedział Yincen.

Doktor McKinnon kartkował książkę.

–To nie wyczerpuje sprawy – powiedział, wznosząc dłoń. – Portret musi być namalowany z wiernym oddaniem szczegółu przez umiejętnego artystę. Jeżeli to możliwe, przez wielkiego artystę. Musi być to portret obejmujący całość postaci.

W innym przypadku nogi zestarzeją się o wiele szybciej niż reszta i zostaje się kaleką, młodym człowiekiem z nogami zgrzybiałego starca.

Znalazł stronę, której szukał.

–Tu jest opis rytuału. Częściowo jest oparty na egzorcyzmach, to oczywiste, gdyż jego zadaniem jest oddzielenie ducha od ciała, ale zachowując człowieka przy życiu.

Inaczej mówiąc, duch zostaje uwięziony na obrazie, powleczony molekułami farby, ułożonymi na podobieństwo człowieka. Ciało i intelekt są wolne. Gdyby to się komuś przytrafiło, rzecz jasna utraciłby radość życia i stałby się człowiekiem bez serca. Żyłby wśród ludzi, nie mając duszy, która, jak to powszechnie wiemy, jest odpowiedzialna za świadomość moralną, poczucie obowiązku względem innych, współczucie, litość, a nawet poczucie humoru. To bardzo poważna sprawa – nie mieć poczucia humoru.

Doktor McKinnon pociągnął nosem, kaszlnął i przełknął brandy.

–Jeżeli ścigacie Grayów, przyjaciele, to mogę powiedzieć tylko jedno: powodzenia, gdyż będzie wam ono potrzebne. Twierdzicie, że popełnili morderstwa: trzy, jeśli nie więcej. No cóż, jak na nich, ten wynik wydaje mi się raczej skromny. Będą zabijać ludzi tak długo, jak tylko zechcą, tak długo, jak tylko będą tego potrzebowali, bez żalu i wyrzutów sumienia. Oni nie mają dusz, panie Pearson, w każdym razie nie w taki sposób, jak ja i pan je posiadamy. Pan może zagłębić się w siebie i poczuć, jak pański duch pływa tam w panu niczym tresowany delfin. Oni nic takiego nie czują. Są puści. Dlatego przetrwali. Są nieśmiertelni, ale kompletnie puści. Są jak wypchane okazy zwierząt. Mają skórę, która na zewnątrz jest nieskazitelna, ale to, co jest pod nią – tylko Bóg jeden potrafi sobie wyobrazić.

Yincent bawił się filiżanką z resztką kawy na dnie.

–Nie przestają szukać tego portretu – powiedział. – Nawet usiłowali włamać się w Bań tam do pracowni mojego konserwatora.

–Ależ to zrozumiałe! – wykrzyknął gospodarz. – Chcą mieć portret dla siebie.

Chcą czuć się bezpieczni oraz mieć pewność, że nagle nie staną się zależni od kogoś nieodpowiedzialnego bądź wrogo nastawionego.

–I do tego to się sprowadza? – spytała Charlotta. Bolała ją głowa i miała ochotę na papierosa.

Historyk sztuki spojrział na nią z przyganą.

–Młoda damo, to są podstawowe zasady psychologii: księga pierwsza, strona pierwsza; to nie jakiś sensacyjny szmatławiec o duchach z zaświatów.

–Udowodnili, że potrafią użyć obrazu przeciw nam, nawet kiedy jest w naszych rękach-powiedział Jack. – Co jeszcze mogą zrobić, gdyby dostali go w swoje łapy?

Gospodarz skrzywił się.

–Nie sądzę, że musieliby wam coś robić, chociaż są na tyle zbrodniczy, że mogliby chcieć zemścić się za to, co wasz dziadek im zrobił. Nie – prawdziwe niebezpieczeństwo polega na tym, że przywróciliby obrazowi jego oryginalną formę i egzystowałiby dalej, z pokolenia na pokolenie, wciąż zachowując młodzieńczy wygląd. Pamiętajcie, oni nie mają sumienia ani litości. Pański dziadek wystąpił przeciw nim dopiero wtedy, kiedy zaczęli mordować, a jestem pewien, że są winni wielu innych godnych pogardy i potępienia uczynków, które dla ich ofiar były równie niszczycielskie jak morderstwa. Jeżeli udałoby się im dostać z powrotem portret, staliby się dosłownie nietykalni. Pamiętajcie, że w swojej okolicy pozostają wpływową rodziną. Mają od dawna pieniądze, i to sporo. Podejrzewam, że ich talent do przekupstwa i szantażu stawia ich w jednym szeregu z mafią. Kiedy pod koniec dziewiętnastego wieku urządzali swoje hulanki, nie uczestniczyli w nich sami. Ile dobrych, starych rodzin z Connecticut byłoby zadowolonych z wywleczenia na światło dzienne informacji, jak to na przykład ich dziadkowie brali narkotyki lub kopulowali z owcami albo gwałcili nieletnie dziewczęta, płodząc nieprawe potomstwo?

Doktor McKinnon napełnił powtórnie swój kieliszek, pomijając gości.

–Nie tylko byliby nieśmiertelni i nietykalni – dodał – ale na

zawsze mieliby otwartą drogę ucieczki, bez względu na okoliczności.

–Drogę ucieczki? O czym pan mówi? – spytał Jack.

–Portret, mój drogi panie. Ten portret! – wyjaśnił. – Spójrzcie tu, do tej książki.

Ach, niewiele to dla was znaczy, przecież pisana jest po łacinie. Ale jest tu powiedziane, że jeżeli ktoś zdobędzie nieśmiertelność poprzez odwzorowanie na portrecie, zawsze będzie mógł pozostawić swoje fizyczne ciało i powrócić na portret. Inaczej mówiąc, może ukryć swoje ciało w miejscu, w którym nikomu nie przyjdzie do głowy go szukać – nawet zakopać je w trumnie – i połączyć się ze swoją duszą na swym portrecie. Lub – a to dopiero interesujące – na jakimkolwiek portrecie.

–Nie chwytam – marszczył czoło Jack. – Kompletnie nie chwytam.

–Dobrze, pozwólcie, że powiem jak policjant. Jeżeli Grayowie kiedykolwiek odzyskają portret, a módlmy się do wszystkich możliwych bogów, którzy nas strzegą, żeby im się to nie udało, wtedy staną się nieuchwytni. Można dokonać ekstradycji mordercy, który uciekł do stanu Indiana, ale jak można przeprowadzić ekstradycję kogoś, kto uciekł na obraz olejny? Ucieknie panu na zawsze, mój drogi panie, i dalej będzie mógł mordować i hulać do woli, po wieczne czasy, amen.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

New Milford, 23 grudnia Thomas zjawił się koło domu po drugiej po południu. Policzki miał zaczerwienione od mrozu, stopy jak dwa kawały lodu, ale czuł się po prostu bosko. Przez większość przedpołudnia Susie i on bawili się i kotłowali w śniegu. Mama Susie podała im na lunch hamburgery, a ojciec zaproponował szklanekę millera, nie robiąc żadnej sprawy z faktu, że częstuje go piwem. Czuł się dorosły, pewny siebie i więcej niż trochę zadurzony w Susie.

Zanim udał się do domu, pożegnał ją przy płocie i ucałował – czuł jeszcze ciepłe, wilgotne policzki i zimny, suchy nos – a potem poszu-sował pomiędzy drzewami do Candlemas pogwizdując i podśpiewując.

Dotarł do domu, przeszedł przez pobielony ogród, w którym

drzewa zakrzepły w bezruchu jak duchy, a letnie ścieżki zniknęły jak wspomnienia, którym nigdy nie będzie dane powrócić. Z kominów nie unosił się dym, co znaczyło, że ogień wygasł. Zanim tato nie wróci, będzie musiał nanieść drewna i rozpałić w kominku, ale po wizycie u Susie był w tak cudownym nastroju, że mu to nie przeszkadzało.

Wyłowił klucze z kieszeni i szedł wokoło domu, podzwaniając nimi wesoło. Wtedy ich zobaczył. Stali, ubrani na czarno i milczący, w czarnych płaszczach i czarnych rękawiczkach, obok długiej, czarnej limuzyny, oczekując go ze spokojem i absolutną cierpliwością.

–Młody pan Pearson, jeżeli się nie mylę? – zwrócił się do niego mężczyzna suchym, wyraźnym głosem.

Thomas stał jak wryty. Ojciec ostrzegał go przed nie zapowiadanyimi gośćmi.

Jeżeli tak się złoży, że przyjdiesz do domu przede mną, nie rób szumu i nikogo nie wpuszczaj. Nie odpowiadaj na dzwonki. Ale jak miał zareagować, kiedy goście odgradzili go od drzwi? W tej sytuacji nie mógł już wejść do środka i bezpiecznie zamknąć drzwi za sobą.

–Ja, hm, tylko coś odnoszę – powiedział Thomas. – Pan Pearson zostawił to w domu rodziców i ja... ja tylko odnoszę.

–Ale, ale, paniczku Pearson. – Mężczyzna uśmiechnął się zimno, rozbawiony. – Pańska twarz nie jest nam nieznajoma, mojej siostrze i mnie. Jesteśmy przyjaciółmi rodziny.

Thomas ostrożnie zbliżał się do drzwi wejściowych. Wyglądali raczej na ludzi kulturalnych. Nosili drogie czarne futra. Ich cadillac, jak na gust Thomasa, trochę za bardzo przypominał karawan, ale takim wozem jeżdżą tylko ludzie bogaci, a kto słyszał o bogatych włamywaczach?

–Ojciec wróci późno. Może przyjedziecie jutro? Mężczyzna westchnął i odsunął brzeg skórzanej rękawiczki, aby spojrzeć na zegarek.

–Gdyby ż to tylko było możliwe, mój drogi młody przyjacielu. Tak nieszczęśliwie się składa, że musimy po południu powrócić do Darien, a potem... kto wie, gdzie możemy się potem znaleźć?

–Jesteś takim uroczym chłopcem – odezwała się po raz pierwszy kobieta. Ruszyła, balansując po śniegu na wysokich obcasach. Jedną ręką, uwolnioną z rękawiczki, tuliła do piersi pelerynę z czarnych norek. Thomas dojrzał ostry błysk dużej, diamentowej



J

broszy. – Czyż nie jest podobny do Yincenta? Te same oczy! I te surowe usta!

Kiedy kobieta zbliżała się, Thomas cofnął się trochę, chociaż wydawało mu się nie na miejscu stronić od dwójki ludzi, którzy wyraźnie dobrze znali ojca.

Kobieta podeszła bliżej, uniosła powiewną czarną woalkę, odsłaniając twarz, i Thomas ujrzał, jaka jest piękna. Uśmiechała się. Tęczówki miała tak czarne, że oczodoły wydawały się ślepe.

–Czyżby twój ojciec nie powiedział ci, że przyjedziemy? – zagruchała szczególnie irytującym głosem, jakby wdzięczyła się do raczkującego niemowlęcia.

–Ależ na pewno to zrobił – upewniał ją mężczyzna, jowialnie pochrząkując. – Dzwoniliśmy do Yincenta z Darien przed samym wyjazdem.

–Jest dziś w Seekonk – powiedział Thomas.

–Seekonk, proszę, proszę-odpowiedział mężczyzna.-To niepodobne do Yincenta, zapominać o dobrych, starych przyjaciółach.

–Może wejdę i zadzwonię do niego-zaproponował Thomas. – Zostawił na wszelki wypadek numer telefonu. Czy możecie państwo chwilę zaczekać?

–Cóż – uśmiechnęła się kobieta -jeżeli ci to bardzo nie przeszkadza, wolelibyśmy wejść do środka. Na dworze jest raczej zimno.

Thomas zawahał się po raz ostatni. W tych ludziach było coś nie do końca rzeczywistego. Byli zbyt uprzejmi, zbyt formalni i zdawali się nie mówić niczego wprost. Ale ojciec wściekłby się, gdyby odprawił parę jego starych przyjaciół; i byłby równie zły, gdyby nie okazał wobec nich uprzejmości, każąc czekać im na śniegu.

Przykląkł na werandzie i odwiązywał rakiety z nóg.

–Doskonałe rakiety – powiedział mężczyzna, stojąc tak blisko, że Thomas widział tylko kanty jego ostro odprasowanych spodni i wyczyszczone do połysku czarne oxfordy. – Sam chciałbym takie mieć.

Thomas otworzył frontowe drzwi. Mężczyzna i kobieta weszli za nim do holu.

Trzymali się tak blisko jego pleców, że w ich natarczywości było coś niestosownego.

–Nie wiem, jak się nazywacie – powiedział, rozsuwając zamek wiatrówki.

–Basil Hallward – przedstawił się mężczyzna, zdejmując

kapelusz i z przesadną dokładnością otrzepując śnieg z ronda. – Moja siostra, panna Vane.

–Czy tędy do salonu? – spytała kobieta.

–Ogień chyba wygasł – powiedział Thomas. – Może zaczekacie państwo w kuchni, jeżeli to wam nie przeszkadza.

–Nie, nie, nie kłopotz się nami – uspokoiła go kobieta. Coś w salonie zwróciło jej uwagę. –Nie chciałam tylko być wystawiona na ten wiatr.

Thomas poszedł za nimi do salonu. Ogień już wygasł, w popiele połyskiwały jeszcze pomarańczowe iskierki.

–Da się go rozpać – powiedział mężczyzna, kucając przed kominkiem i szturchając pogrzebaczem palenisko. – Parę drzazg na podpałkę, kilka polan i szybciotko zapłonie nam wesoło.

Równocześnie kobieta zbliżyła się do miejsca, w którym oparty na sztaludze stał zasłonięty obraz Waldegrave'a. Ramiona trzymała sztywno opuszczone po bokach, ale plecy dygotały jej niecierpliwie. Pod peleryną z norek jej pierś wznosiła się i opadała, jakby miała kłopoty z oddychaniem.

Thomas podniósł słuchawkę, odczekał na pojawienie się sygnału, a potem wystukał numer, który ojciec zostawił mu w notatniku. Mężczyzna przestał grzebać w kominku, wstał bez słowa, otrzepał futro, podszedł do Thomasa i przycisnął widełki telefonu, zrywając połączenie. Thomas wytrzeszczył na niego oczy.

Mężczyzna powiedział:

–Naprawdę nie ma powodu niepokoić twojego ojca. Sądzę, że udało nam się znaleźć to, po co przyszliśmy.

–Jesteście złodziejami! – krzyknął Thomas. – O to chodzi, tak? Jesteście złodziejami! Wcale nie znacie ojca! Do cholery, dzwonię na policję! I nie myślcie, że się was boję! – Serce waliło mu tak szaleńczo, że prawie nie był w stanie oddychać.

Mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął je delikatnie.

–Mój drogi chłopcze, mylisz się co do nas w zupełności. Wcale nie jesteśmy złodziejami. Przyjechaliśmy tu jedynie po to, aby odebrać pewien przedmiot, który zawsze stanowił naszą własność, a który Pearsonowie przejęli od nas -jak to ująć – na warunkach długoterminowej pożyczki. Twój ojciec jest w tym całkowicie zorientowany. Nie zamierzamy pustoszyć domu ani wynosić sztućców.

Wszystko, co zamierzamy uczynić, to zabrać jeden niewiele znaczący przedmiot i wyjść.

J

–Nic nie zabierzecie – powiedział rozgorączkowany Thomas. – Nie wolno wam tego robić.

Ale potem umilkł, gdyż kobieta zdjęła pelerynę, przerzuciła ją przez oparcie kanapy i zbliżyła się do spowitego kapą portretu posuwistym krokiem egipskiej służki, zbliżającej się do wizerunku • Totha. Ujęła za brzeg kapy i – zdawało się – czekała przez długie minuty, zanim zebrała się na odwagę i odrzuciła zasłonę.

W końcu uczyniła to i portret został odsłonięty: rozkładający się i połyskujący w świetle zimowego popołudnia. Kobieta patrzyła na niego osłupiała, a kiedy tak nie mogła oderwać od niego wzroku, powoli unosiła obie dłonie, aż zacisnęła je kurczowo na włosach.

Wydała rozdzierający krzyk strasznego bólu, rzuciła się na kolana i tarzała po podłodze miotając się i trzęsąc, kwiląc i szlochając przy tym w nieprawdopodobny sposób.

Nawet mężczyzna zbladł jak papier; tym mocniej uwidoczniły się teraz ciemne podkowy pod jego oczami.

–Spójrz, co oni nam zrobili! – krzyczała kobieta. – Spójrz, co oni nam zrobili! Och, Boże na niebie, Maurice, spójrz, co oni nam zrobili!

Mężczyzna przeszedł przez pokój, położył jej dłonie na ramionach i pomógł wstać.

Podniosła się, wpatrując w portret, tuląc w objęciach brata i nie znajdując u niego pocieszenia. Po raz pierwszy od ponad siedemdziesięciu lat ujrzała swoją twarz nie taką, jaką udało się jej zachować, nie zamaskowaną przez makijaże i pudry lub skórę zdartą z innych, ale taką, jak wyglądała naprawdę.

Thomas zrobił ostrożny krok ku drzwiom. Gdyby udało mu się wymknąć z domu, podczas gdy mężczyzna i kobieta byli tak zajęci obrazem, wystarczyłby szybki bieg przez las, aby dobiec do domu Waxmana, a stamtąd mógłby zawezwać policję.

Ta dwójka była za stara, żeby za nim nadążyć, a nie było mowy, żeby mogli przejechać przez las ich cadillakiem.

Jeden krok, drugi, trzeci. Ale dół jego marynarki zaczepił o mały stolik, stojący przy drzwiach, i potrącił szklaną popielniczkę, która uderzyła z przenikliwym dźwiękiem o ścianę. Thomas obrócił się; mężczyzna zrobił to samo.

Głosem dźwięczącym jak brzęk orkiestrowych talerzy wrzasnął:

–Stój!

Thomas stanął. Nie wiedział dlaczego. Nie wiedział, dlaczego nie ucieka. Ale stał i czekał w drzwiach, zeszytniały ze strachu,

podczas kiedy mężczyzna podszedł do niego i mocno ujął go pod ramię.

–Ależ nie odchodź – powiedział obłudnie. – Jest na to o wiele za wcześnie. A poza tym miło nam z tobą. Jesteś przyjemnym chłopcem; a uwierz mi, jest ich bardzo niewielu. Chłopcy mają przeważnie skrofuły i są źle wychowani. A ty, przeciwnie, jesteś przyjemnym chłopcem.

Kobieta w końcu odwróciła się od portretu. Wyglądała na roztrzęsioną, a jej policzki jeszcze lśniły od łez.

–Teraz musisz myśleć o przyszłości, moja droga – powiedział do niej mężczyzna. Thomas nie mógł doszukać się w jego głosie współczucia, a nawet nie miał wrażenia, że tamten czyni cokolwiek w tym kierunku. – Zapakujmy portret, zabierajmy chłopca, a potem wyośmy się. Jego nieszczęsny ojciec może wrócić wcześniej, niż się spodziewamy.

Kobieta nadal wydawała się oszołomiona i kręciła się w kółko, bezradnie, jak ktoś, kto pragnęłby zemdleć, ale nie może.

Thomas odezwał się cieniutkim głosem:

–Nie chcę z wami jechać. Proszę. Nie powiem nikomu. Obiecuję, że nikt się nie dowie.

–Ależ ty nam się podobasz – powiedział mężczyzna. – Przestań, nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów. Pada śnieg, a mamy przed sobą długą drogę.

–Widziałeś, co oni nam zrobili? – spytała nagle kobieta załamującym się głosem. Mężczyzna objął Thomasa ramieniem.

–Już dobrze, moja droga. Wkrótce będziesz miała sposobność zrobić jednemu z nich coś o wiele gorszego.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Seekonk, 23 grudnia Im więcej doktor McKinnon starał się wyjaśnić, tym bardziej stawał się wybuchowy. Usiłował dotrzeć do Yincenta i Charlotty, gdyż czuł oczywistą niemożność porozumienia się z Jackiem, którego uznał za półgłówka. Ale idea, według której istota ludzka mogłaby faktycznie wpisać się we własny portret i istnieć w sposób

J

trójwymiarowy na dwuwymiarowym malowidle – to było więcej, niż każde z nich było w stanie przyjąć.

–Jest to dziecinnie proste, kiedy tylko raz uchwycicie samą ideę – protestował doktor McKinnon. – Nie twierdzę, że jest to coś łatwego do wyjaśnienia, logicznego bądź naukowego, ale ma logiczne i naukowe uzasadnienie.

–Nawet jeżeli takie wyjaśnienie istnieje-powiedział Jack – to nie jestem pewien, czy chciałbym je znać. – Potrzęsnał swoim zegarkiem, podniósł go do ucha, a potem zapytał: – Która godzina?

–Piąta po południu – powiedział Yincen. – Niedługo musimy się zbierać. Ale najpierw chcę jeszcze raz spróbować pojąć ten cały interes z ludźmi żyjącymi wewnątrz obrazów.

–Staram się, jak mogę – rzucił niedbale doktor McKinnon, co miało oznaczać, że jest strudzony rozjaśnianiem ciemności panujących w ich umysłach.

–Więc prosimy, gdyby był pan tak dobry – powiedziała Charlotta.

–No cóż-westchnął-istnieje sławna, czy raczej osławiona, rozprawa napisana w 1948 roku przez profesora Jerome'a Francka dla Instytutu Badań Przestrzeni w Berkeley. Została nazwana jakoś tak: „Perspektywa w malarstwie i tworzenie odmiennych rzeczywistości”. Gdzieś ją tutaj mam. Bardzo interesująca. To, co Franek tam istotnego mówi, brzmi następująco: kiedy artysta maluje obraz, to pomimo faktu, iż dzieło pozostaje dwuwymiarowe – to znaczy płaskie – stworzona przez niego wizualna głębia nabiera swoistego bytu.

Yincen ostentacyjnie wychylił do dna już i tak opróżniony kieliszek. Brandy była znakomita i z przyjemnością wypiłby jeszcze trochę. Ale gospodarz, kontynuując przemowę, nie wypuszczał karafki z ręki.

–Teoria ta w żadnym wypadku nie jest nowa – mówił. – Ma swe źródła w studiach dotyczących zjawisk nadzmysłowych i psychologii prowadzonych w Wiedniu w latach trzydziestych naszego wieku. Być może znacie teorię Meissnera mówiącą o bycie wyobrazeniowym, a jeżeli nawet nie znacie, na pewno słyszeliście o Jungu i podświadomości zbiorowej. Meissner i Jung przez parę lat wspólnie pracowali i wiele korespondowali. Ostatecznie w 1933 roku uznali, że istnieją wyraźne, choć dyskusyjne dowody na to, że osoby i miejsca stworzone w powieściach i na obrazach, jeżeli czytelnicy i oglądający wierzą w nie z wystarczającym przekonaniem, mogą faktycznie zaistnieć w rzeczywistości. Nabierają wtedy widzialnych kształtów, | nie zawsze w pełni namacalnych – wtedy mamy do czynienia J z duchami – ale bywa i tak, że osiągają stały stan skupienia. Uśmiechnął się do siebie.

–Przypomina się Piotruś Pan pytający, czy dostatecznie dużo dzieci wierzy we wróżki, żeby Blaszyński Dzwoneczek mógł żyć. Ale, w gruncie rzeczy, z czegoż my, istoty ludzkie, jesteśmy stworzeni? Nie jesteśmy niczym więcej jak fizycznymi zbiorami naładowanych elektrycznie ładunków. A z czego jest stworzona nasza wyobraźnia? Z abstrakcyjnych zbiorów elektrycznych ładunków. A wierzcie mi,

według pojęć najprostszej fizyki cienka jak włos różnica dzieli rękę, którą sobie wyobrażacie, od ręki, którą ściskacie. Meissner wierzył, że ludzie z książek i obrazów faktycznie żyją wśród nas: twory literatury pięknej i malarstwa stają się żywym ciałem. Był przekonany, że wiele domów i miejsc opisanych w książkach i stworzonych na obrazach malowanych z wyobraźni-kiedy tylko zostają zarysowane w zbiorowej podświadomości wystarczającej liczby ludzi – naprawdę zaczynają istnieć. Gdzieś na świecie naprawdę istnieje Shangri-la.

Yincent oparł się wygodnie o fotel. Zaczął podejrzewać, że doktor McKinnon nie pomoże im wiele, jeżeli chodzi o stronę praktyczną. Jak do tej pory, starał się hamować swój sceptycyzm, starał się sam siebie przekonać, że doktor McKinnon wie, o czym mówi. Ale ożywający bohaterowie powieści? Domy, które z fikcyjnych pejzaży nagle pojawiają się na prawdziwej wsi? Shangri-la?

Historyk sztuki nagle wstał, wepchnął książkę z powrotem na swoje miejsce na górnej półce i powiedział sucho:

–Wielu kolegów Meissnera uważał go za szaleńca. Po pewnym czasie Jung zdystansował się od wspólnych prac z Meissnerem. Być może Meissner był szalony.

Na pewno nie jest łatwo uwierzyć, że książkę Drakula faktycznie pojawia się gdzieś w Transylwanii tylko dlatego, ponieważ wielu ludzi go sobie wyobraziło.

–Ma pan rację – powiedział Jack. – Ciężko w to uwierzyć.

–Aha, ale sami widzieliście na własne oczy potęgę portretu, więc musicie przyznać, że ma tu miejsce jakieś niezwykle oddziaływanie. A ja wierzę w rzecz następującą – obrazy rzeczywiście są czymś więcej niż tylko sumą farb i płótna.

Artysta naprawdę tworzy na płótnie rodzaj odmiennej rzeczywistości i naprawdę jest możliwe,

że Grayowie wycofali się w kompletnie odmienną rzeczywistość. Zni-knęli w swym własnym portrecie. Uczynili to na drodze niezwyklej, nad-zmysłowej, duchowej przemiany, poprzez oddzielenie ciał od dusz.

–W porządku – odezwał się po chwili Jack. – Przypuśćmy na moment, że to potrafia. Czy można ich jakoś ścigać, kiedy już znikną?

Doktor McKinnon wydał wargi, wyrażając w ten sposób głęboką wątpliwość.

–Jak przypuszczam, teoretycznie każdy, kto chciałby ich ścigać, musiałby kazać namalować swój portret, a potem przejść tę samą duchową przemianę.

–Ale to oznaczałoby, że jego dusza zostanie również oddzielona od ciała? – spytała Charlotta:

–Tak, to musiałoby nastąpić – przytaknął uczony. – Każdy, kto zdecydowałby się ścigać Grayów, musiałby jak i oni poświęcić własną duszę za nieśmiertelność.

–A nie moglibyśmy po prostu zniszczyć portretu? – spytał Jack.

–Ależ oczywiście, to jest jedna z możliwości. Ale Grayowie nie są naiwni.

Przetrwali zbyt długo, aby dać się zaskoczyć. Mają zakładnika w osobie pani Montag... -...blat – poprawił go Yincen. – Pani Montblat.

–Ach tak, pani Montblat. Grayowie już postawili was w sytuacji, w której musicie zdecydować, czy gotowi jesteście ją poświęcić za cenę pozbycia się ich.

Zakładam, że gdyby pani Montblat nie pojawiła się na portrecie, to do tej pory byłby spalony?

–Tak – potwierdził Yincen, ale potem zmarszczył brwi i powiedział: – Nie.

Nie wiedział właściwie dlaczego, ale pomysł zniszczenia obrazu Waldegrave'a niepokoił go. Zaczął się zastanawiać, dlaczego dziadek go nigdy nie zniszczył i dlaczego ojciec tego nie zrobił. Wiedział, że byli słownymi ludźmi i jeżeli jeden z nich obiecał Grayom, że portret będzie bezpieczny, czuli się związani słowem honoru do zachowania obrazu. Ale Yincenowi wydawało się dziwne, że jego dziadek nie zniszczył portretu, kiedy tylko nabrał podejrzeń, że Grayowie mordują ludzi dla czystej przyjemności. Równie dziwne było, że on sam czuł jakiegokolwiek skrupuły. Był gotów czekać, dopóki Laura Montblat nie zostanie uwolniona z rąk Grayów. Kiedy

to nastąpi i Grayowie pozostaną na portrecie sami, dlaczego miałyby się przejmować tym, że spłoną? Byli doszczętnie zdeprawowani, byli mordercami i świętokradcami, torturowali ludzi. A jednak coś go powstrzymywało. Nie potrafił tego zrozumieć. Obrócił się i spojrzał na Jacka. A Jack nie zauważył jego zamyślenia; podniósł tylko pusty kieliszek i powiedział:

–Na zdrowie.

–Wydaje mi się – kontynuował doktor Mc Kinnon – że jeżeli Grayowie kiedykolwiek wejdą w posiadanie tego portretu, to znikną na parę dobrych lat, zwłaszcza że wzbudzili takie zamieszanie i niepokój. Pozostaną w ukryciu na portrecie tak długo, jak uznają to za stosowne, aż my wszyscy dawno pomrzemy. Wtedy pojawią się powtórnie i wejdą znów w swoje ciała albo, co jest jeszcze bardziej prawdopodobne, w ciała innych ludzi. Pamiętam, jak mój ojciec przestrzegał mnie przed spaniem w pokoju, w którym wisi jakiś portret, gdyż w nocy duchy wyłaniają się z obrazów i potrafią zawładnąć ciałami śpiących. Potem może się okazać, że duch śpiącego wisi uwięziony na ścianie na portrecie, podczas kiedy duch z portretu zajmuje ciało śpiącego. Czy zauważyliście, że na oddziałach szpitali pozostających pod opieką Kościoła katolickiego nie ma żadnych portretów poza wizerunkami Chrystusa i Marii Panny? Otóż właśnie dlatego. Datuje się to od czasu papieskiej encykliki z 1873 roku. Wydał ją Pius IX: *Ab insidiis diaboli, libera nos Domine*. „Zbaw nas, Panie, od demonów zdradzieckich”.

–Czy istnieje możliwość uwolnienia Laury Montblat z tego obrazu? – spytał Y Vincent. – Grayowie ją tam wsadzili, na pewno musi być jakiś sposób, żeby ją teraz wydostać.

–Tylko metodą opisaną przeze mnie. Poprzez uzyskanie własnego portretu i pogoń za nimi w odmiennej rzeczywistości.

–Sądzę, że może dałoby się załatwić to przez negocjacje, Y Vincent – zaproponował Jack. – Może skontaktuj się z Grayami, wezwij ich i spytaj, czego chcą.

Potraktujmy to jak rutynową sytuację z zakładnikiem. Nieoficjalnie, rzecz oczywista. Nie mogę wezwać brygady antyterrorystycznej-nie na podstawie tych dowodów, które zebraliśmy do tej pory.

Y Vincent był pogrążony w myślach.

–A przypuśćmy, że spróbowalibyśmy wyciąć Laurę Montblat – wyciąć nożyczkami z tego obrazu. Co wtedy by się stało?



–Sądzę, że to by ją zabiło – odpowiedział od razu doktor McKinnon. – Mogłoby to również zabić Grayów, ale nie ma co do tego pewności. Zrozumcie, istnienie wszystkiego, co jest na tym portrecie, zależy od utrzymania w całości stworzonej przez artystę wizji.

Yincent zwrócił się do Jacka:

–Masz taki oto trudny problem, Jack. Przypuśćmy, że to sytuacja z zakładnikiem. Przypuśćmy, że Grayowie są terrorystami, zaszytymi w jakiejś norze, i wiesz, że nie można ich dostać bez narażenia życia zakładnika. Wiesz również, że jeśli im się upiecze, to prawie na pewno zabiją więcej ludzi. Co byś zrobił?

Jack wzruszył ramionami.

–Normalne podejście jest następujące: należy podjąć każdą próbę uratowania zakładnika bez niepotrzebnego narażania życia policjantów i ludności.

–Co oznacza...?

–Co oznacza, chociaż nikt ci tego głośno nie powie, że natychmiastowe powstrzymanie niebezpiecznych przestępców ma nieco większy priorytet niż życie jakichkolwiek zakładników. – Jack zawahał się na moment, potem dodał: -Do pewnego stopnia zależy to od osoby zakładnika. Zwykle wydział stosunków z rasą sporządza ocenę ewentualnej reakcji opinii publicznej, szczególnie jeżeli dany zakładnik ma umrzeć. Na przykład nie pozwoliliby, żeby zginął Michael Jackson albo Billy Graham, ale nie przejmowaliby się równie mocno, gdyby zakładnikiem był Joe Jakiśtam lub Jane Takaitaka.

–Mój Boże, to brzmi cynicznie – powiedziała Charlotta. Jack potrząsnął głową.

–To nie jest takie cyniczne, jak na to wygląda. Czyni się każdy możliwy wysiłek dla ratowania życia każdego zakładnika. Ale czasem jest tak, że musisz zamknąć oczy, wziąć do ręki sopluchę i modlić się, żeby nikt niewinny nie ucierpiał.

–Mówicie tu o życiu kobiety – powiedziała Charlotta. – Nie wolno wam zniszczyć tego portretu, jeżeli to oznacza zagrożenie życia Laury Montblat.

–My to wiemy – powiedział Yincent – ale czy Grayowie to wiedzą? Pamiętajcie, oni nie mają sumienia, litości, żadnych ludzkich uczuć. Są ich pozbawieni od lat. Czy sądzicie, że mogą pamiętać, co to znaczyło, troszczyć się o kogoś, kogo się prawie nie zna?

–Ma pan rację – przytaknęła McKinnon. – Tu się z panem

zgodzę. Ale na pana miejscu bardzo uważałbym na swoją rodzinę, panie Pearson. Jeżeli Grayowie nie są pewni, jaką wartość ma dla nich Laura Montblat jako zakładniczka, mogą rozejrzeć się za następnym zakładnikiem, za kimś bliższym panu. Yincient nagle pomyślał o obrazie Waldegrave'a, stojącym w salonie na sztalugach.

Pomyślał o Thomasie, idącym samotnie przez ośnieżony las, po poranku wspólnie spędzonym z Susie Foster. Zabrzmiały mu w uszach własne słowa: „Jeżeli do czasu twojego powrotu nie będzie nas w domu, pamiętaj, że jesteś u siebie. Na wideo są Gwiezdne wojny, a w kuchni cola i mnóstwo słodyczy. Rozpal ogień. Będziemy wkrótce”. Zwrócił się do McKinnona:

–Czy mógłbym zadzwonić?

Gospodarz wyglądał na zaskoczonego, ale powiedział:

–Ależ oczywiście. W holu jest drugi aparat.

Yincient poszedł szybko do pachnącego pleśnią holu. Stał w wielokolorowej strudze światła padającego przez witrażowe okno, wmurowane ponad zwieńczeniem drzwi wejściowych, i wystukał domowy numer. Telefon dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odpowiadał. Wsadził słuchawkę pod brodę i kartkował swój oprawiony w czarną skórę notes adresowy, aż znalazł numer Fosterów. Zadzwoił i czekał. Minęła prawie minuta, zanim w końcu odezwała się pokojówka.

–Halo? Mówi Yincient Pearson. Mój syn Thomas był tego przedpołudnia razem z Susie.

–A tak, panie Pearson, był tu.

–Wyszedł? Czy może jeszcze jest?

–Och, wyszedł, panie Pearson, godzinkę temu.

Godzinkę, pomyślał Yincient. Thomas miał rakiety śnieżne, może poszedł okrężną drogą, żeby je wypróbować. Ale przez godzinę?

Do cholery, pomyślał, przestań się przejmować. Thomas jest już dużym chłopcem.

Ale nie mógł przestać myśleć o wczorajszym seansie i tej buchającej, świeżej, szkarłatnej krwi, kiedy wracał do biblioteki doktora McKinnona.

–Przeraszam. Muszę jechać do New Milford. Doktorze McKinnon – dziękuję panu za wszystko. Charlotta, Jack, wybaczcie, że was poganiam.

–Czy coś się stało? – spytała Charlotta. Wracali do Candlemas w zapadających ciemnościach. Kiedy dotarli do Manchester, Jack połączył się przez radio ze swoim

biurem. Kazał Normanowi Goldbergowi wysłać do Candlemas policjanta. Niech sprawdzi, czy wszystko jest w porządku.

–I żadnych dupnych oględzin przez zamkniętą szybę z podjazdu. Ma podejść do drzwi, zadzwonić, pogadać z chłopakiem i upewnić się, że wszystko gra na sto procent.

–Tak jest, sir.

Prawie minęli już Hartford, kiedy Norman oddzwonił.

–Czy pan Pearson jest z panem, szeryfie?

–Tak. Jest tutaj.

–No więc nie chciałbym, żeby się niepotrzebnie denerwował, ale okazało się, że drzwi domu są szeroko otwarte, ogień na kominku się pali, ale nie ma nikogo.

–Zapytaj o portret-powiedział Yincenz czując, jak nagle robi mu się potwornie zimno. „Mogą rozejrzeć się za następnym zakładnikiem, panie Pearson, za kimś bliższym panu”.

–Mówi, że nic nie wie o żadnym portrecie. Śnieg opadał na przednią szybę cherokee jak biała szarańcza.

–Poślij go tam jeszcze raz – poprosił Yincenz. – Powiedz, żeby to sprawdził.

Jack jeszcze raz wziął do ręki mikrofon i powiedział:

–Poślij go tam z powrotem, Norman. Chcemy wiedzieć, czy w salonie znajduje się obraz olejny zasłonięty kapą.

Słyszał było trzeszczenie, ciszę, a potem powrócił głos Normana.

–Jest tutaj. Mówi, że widział kapę. Leżała na podłodze. Na niej sztalugi, takie malarskie sztalugi. To wszystko. Żadnego portretu. Yincenz wziął głęboki oddech i oparł się mocno o siedzenie.

–Jack, wieź mnie prosto do Darien. Jack spojrzał na niego pytająco.

–Myślisz, że to dobry pomysł?

–Wieź mnie do Darien, na litość boską! Te skurwysyny dorwały się do portretu i mają mojego syna!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Darien, 23 grudnia Kiedy pojawili się przy bramie Wilderlings, była zamknięta i dodatkowo zabezpieczona grubym łańcuchem. Padał tak gęsty

301

śnieg, że ledwo widzieli przed sobą drogę. Wysiedli z cherokee i okrążyli dom, dochodząc do boku, przy którym mur był niższy. Wdrapali się na niego, a potem pobrnęli przez wysokie na trzy stopy zaspę. Yincient szedł pierwszy, Jack tuż za nim, a Charlotta usiłowała dotrzymać im kroku.

Dotarli do drzwi wejściowych i Yincient mocno zastukał kołatką. Echo rozniosło się po całym ośnieżonym ogrodzie, ale nie było innej odpowiedzi.

–Są trzy możliwości – powiedział Jack, podnosząc palce. Nos miał czerwony od dotkliwego zimna. – Albo zniknęli, albo nie odpowiadają, albo...

Yincient dokończył za niego zdanie.

–Albo doktor McKinnon, przy całym swym wariactwie, miał rację i uciekli na portret, z Thomasem i Laurą jako zakładnikami.

–To szaleństwo! – krzyknęła Charlotta. – Zachowujecie się tak, jakby to była prawda! W jaki sposób?

–A w co mam wierzyć? – odpowiedział jej Yincient. – Widziałaś, co działo się z Pat i co stało się z Laurą Montblat. Zabili Edwarda, żeby dostać portret.

Myślisz, że będę się tu pętał i pozwolę im tak samo zabić Thomasa? Do diabła, Charlotto, wiem, że to jest niemożliwe, ale jakie może być inne wytłumaczenie?

–Włamuję się – powiedział Jack. – W kombi mam łom. Pukajcie na wszelki wypadek...

Jack zaczął płynąć przez zaspę jak doświadczony mistrz surfin-gu, podczas kiedy Yincient i Charlotta czekali przy drzwiach. Yincient bez przekonania zastukał znowu wiedząc, że w środku nikogo nie ma. Wiatr zawiewał ostro wokół domu, lodowe sopte szczyrzyły się na werandzie. Niebo miało ponury wygląd, zapowiadający nadejście późnego lata. Jeżeli lato w ogóle nadejdzie. Boże Narodzenie już za dwa dni. Boże Narodzenie bez Thomasa.

Jack wrócił i bez słowa zaczął wyważać podwójne drzwi. Dąb pękał, zawiasy protestowały i w końcu główny zamek odskoczył, rygle zostały wyłamane i lewe skrzydło otworzyło się z trzaskiem.

–To tylko sprawa techniki – wyjaśnił lapidarnie. – Trzeba znaleźć dobry punkt przyłożenia.

Yincient pierwszy wkroczył do ciemnego holu. Zawahał się przy marmurowych schodach i zawołał:

–Halo? Jest tu kto?

Ale dom był pusty, milczący i pełen kurzu, pozostawiony samemu sobie. Dom, który strzeże własnych sekretów i będzie ich strzegł, nawet kiedy w końcu przyjdą nowi właściciele i ceglane ściany zostaną zburzone.

–Zawołaj jeszcze raz, co? – powiedział Jack. – Nie chcemy przecież mieć sprawy o wdarcie się na cudzy teren.

Yincent zawołał, ale nie było odpowiedzi. Jack rozejrzał się wokół i powiedział:

–Chyba wystarczy.

–Wolałbyś, żeby tu cię nie było, co? – wściekł się na niego Yincent.

–Jestem tu. Nie wystarczy?

–Ale o co ci, do diabła, chodzi? – chciał wiedzieć Yincent. – Grayowie zabili twojego przyjaciela, George'a Kelly'ego – sam o tym wiesz; zabili też Elmera Tweeda i porwali Laurę Montblat. Czego ci więcej trzeba, żeby ich przymknąć?

–Jeśli chcesz wiedzieć naprawdę, to potrzebuję dowodów – odpowiedział mu ostro Jack. – Potrzebuję zeznań, których nie da się podważyć w sądzie. Jak myślisz, co robi sędzia, kiedy mu przedstawię kogoś takiego jak doktor McKinnon, z jego wszystkimi teoriami o ożywaniu postaci z książek i obrazów? Jak myślisz, co z czymś takim robi sprytny, wysoko opłacany adwokat? Pomyśl o Melvinie Belli, drogi przyjacielu, ponieważ Grayów stać na faceta takiej klasy. „Ach tak, doktorze McKinnon, postacie z książek ożywają, nieprawdaż? Więc na przykład gdzie teraz może się podziewać para żebraków z jakiejś wzruszającej powiastki? W Palm Springs?” – Na litość boską! – krzyknął Yincent. – Dowody! Tylko to ma dla ciebie znaczenie? A co ze sprawiedliwością? Te świry porwały mojego syna, to nie wystarczy? Jesteś szeryfem, czy tak? Wybrany, aby służyć i strzec! Więc, do cholery, służ! I strzeż!

W tym momencie Charlotta zawołała:

–Patrzcie!

Spojrzeli w głąb holu i zobaczyli go. Stał na złoconych sztalugach, okryty purpurową draperią. Obraz Waldegrave'a.

Yincent podszedł jak zahipnotyzowany i stanął nieruchomo, wpatrując się w niego.

–Naprawdę go zabrali – powiedział. Ale nie był zdolny wykrztusić do końca tego, o czym myślał, a co zobaczył od pierwsze303 go rzutu oka. Obok Nory, na samym skraju obrazu, blady, z nieruchomym wzrokiem, stał Thomas. Jego syn Thomas ubrany w czarny, aksamitny wiktoriański strój.

Spodnie za kolana, biały koronkowy kołnierz. Patrzył pokornie, namalowany nienagannie w stylu Waltera Waldegrave'a.

Charlotta podeszła do niego i wzięła go za rękę:

–Och Boże, Yincent – powiedziała. – Tak ci współczuję.

–Oni są chorzy – powiedział. Czuł się tak, jakby ktoś uderzył go w twarz dziesięciofuntowym młotkiem. – Oni są chorzy! Obrócił się do Jacka i zawołał:

–Tu masz swój dowód, na miłość boską! Mój syn na tym obrazie! Chcesz to pokazać jednemu z twoich sędziów? Czy to wystarczy? Dlaczego, do diabła, nie

**zabiłeś całej tej przeklętej rodziny, kiedy miałeś okazję?**

**Jack podszedł i uważnie obejrzał obraz. I dotknął namalowanego wizerunku Thomasa. Był kompletnie suchy.**

**–Nie wiem, co ci powiedzieć. Uwierz mi, jest mi bardzo przykro.**

**–Przeszukam ten dom – powiedział Yincenc. – Może go gdzieś zostawili skrupowanego. – Podszedł do stóp schodów. – Thomas! Jesteś tam? Thomas, Thomas!**

**–Tu leży list, Yincencie – powiedziała nagle Charlotta. – Popatrz.**

**Yincenc obrócił się. Na małym mahoniowym stolczku z kręconymi nogami leżała kremowa welinowa koperta. Podszedł i podniósł ją. Była zaadresowana liliowym atramentem do „Wielce Szanownego V. Pearsona”.**

**–Zaplanowali to; niech ich szlag trafi – zaklął Yincenc. Rozerwał kopertę i wyszarpnął ze środka list.**

**Napisano w nim:**

**Wilderlings, 23 grudnia**

**Szanowny Panie Pearson,**

**Jak pan widzi, w końcu odzyskaliśmy portret. Zawsze był on naszą prawowitą własnością. Nigdy nie będzie pan w stanie zrozumieć, na jakie cierpienia skazał nas pański dziadek i następne pokolenia Pearsonów. Tylko ze względu na to, że jesteśmy sentymentalną rodziną, nie zemścimy się na panu.**

J

–Sentymentalną, na rany Chrystusa-wtrącił Jack. Czytał Yin-centowi przez ramię.

–Co oni rozumieją przez „sentymentalną?” Czytali dalej.

Zabraliśmy ze sobą pańskiego syna jako zakładnika. Będzie zupełnie bezpieczny, może pan być spokojny, tak jak bezpieczny był nasz portret w rękach pańskiej rodziny. Musi ' pan jednak wiedzieć, jeżeli jeszcze pan tego nie pojął, że jakakolwiek próba zmierzająca do uszkodzenia lub zniszczenia obrazu spowoduje natychmiastowy zgon lub poważne kalectwo pańskiego syna. Musi pan pogodzić się z faktem, że nigdy już nie zobaczy pan syna oraz że nie jest pan w stanie nas osiągnąć. Przez resztę życia może pan nas szukać po całym świecie i nigdy to się panu nie uda. Portret proszę zostawić tam, gdzie stoi. Jeżeli spróbuje pan go zabrać, pański syn zostanie surowo ukarany. Sądzę, że jest pan świadomy, iż potrafimy być surowi, jeżeli nasza cierpliwość zostaje wystawiona na próbę.

Obraz zostanie zabrany po wakacjach bożonarodzeniowych przez naszych pełnomocników i będzie przechowywany w stosownych warunkach. Wyrażamy zadowolenie z faktu, iż sprawiedliwości stało się zadość. Życzymy panu, aby znalazł pan ukojenie po bolesnej stracie. Łączę wyrazy szacunku Maurice Gray Yincen przeczytał Ust powtórnie i podał go Jackowi, żeby mógł go przejrzeć dokładnie.

–Co o tym myślisz?-zapytał, odzyskując już panowanie nad sobą.

–Ten wers o wydostaniu się poza nasz zasięg – powiedział Jack. – Czy myślisz, że naprawdę udało im się zrobić to, o czym mówił doktor McKinnon? Myślisz, że naprawdę są t a m, w portrecie?

–Pytasz mnie, czy wierzę w coś, co jest absolutnie niemożliwe. Kłopot polega na tym, że to jedyne możliwe wytłumaczenie.

–Mogli po prostu uciec i zabrać ze sobą Thomasa i Laurę Montblat-zasugerowała Charlotta. – Może polecili do Ameryki Południowej, Meksyku, gdzieś tam.

Yincent obrócił się wokół i spojrzał na mroczny, zatęchły hol z powiewającymi draperiami pajęczyn.

–Nie-powiedział.-Sądzę, że doktor McKinnon miał rację. Są tu nadal. Czuję ich.

Przeszukali górne piętra, od ciemnego strychu, z którego przez okrągłe okna rozpościerał się widok na ośnieżone, zapuszczone ogrody, przez zakurzone, rokokowe sypialnie, pachnące dziwnymi, duszącymi perfumami, do sali operacyjnej z jej marmurowym stołem i rzędami nienagannie czystych, chirurgicznych instrumentów. W końcu wrócili do holu, w którym stał obraz.

–To wszystko – powiedział Jack. – Jeżeli w ogóle są gdzieś tutaj, to na portrecie.

–Chyba dostanę ataku hysterii – powiedziała Charlotta. – Wiem, to był mój pomysł z doktorem McKinnonem. Ale byty wyobrazeniowe? Ludzie schodzący z portretów i wracający tam?

–McKinnon mówił też o czymś innym – powiedział Jack. – Powiedział, że kiedy ludzie wchodzi na portret, w tę, jak jej tam...

–Odmienną rzeczywistość – podpowiedział Yincent.

–Tak jest. Kiedy wkraczają w odmienną rzeczywistość, pozostawiają swoje ciała i w jakiś sposób je przechowują, jak mięso. Więc jeżeli to prawda i Grayowie zniknęli na portrecie, to ich ciała muszą być gdzieś w domu. Mam rację?

Yincent ponuro pokiwał głową.

–Jak myślisz, gdzie? – spytał Jack. Rozwinął gumę i zaczął wykruszać z niej cukier.-Może w piwnicy? Nie byliśmy tam jeszcze. Charlotta ujęła Yincenta za ramię.

–Proszę, Yincent, to wszystko zaczyna stawać się coraz bardziej szalone.

–Nie, nie – powiedział Yincent. Czuł, jak rośnie w nim zdecydowanie. Po pierwotnym szoku, który przeżył, zobaczywszy Thomasa na portrecie i dowiedziawszy się, że Grayowie go porwali, był teraz gotów do działania. Nie zastanawiał się, jak dziwaczne miałyoby to być, liczyło się jedno – odzyskać syna.

Pod schodami znaleźli drzwi do piwnicy – te same drzwi, z których wychylił się George Kelly, żeby wpaść w ręce Maurice'a i Henry'ego Grayów. Jack odnalazł wyłącznik światła i jedno za drugim zeszli ostrożnie wzdłuż lodowatych, gipsowych ścian do podziemi rozpościerających się pod domem.



, – Teraz już nie robią takich piwnic – powiedział Jack. Z ust unosiła mu się para.  
– Popatrzcie na te łuki.

–Popatrzcie na te pajęczyny-powiedziała dygocząc Charlotta.

Cement zgrzytał głośno pod ich stopami. Mijali salę za salą, oglądając wina, meble i chińskie serwisy do herbaty. Charlotta zanurzyła dłoń w jednej ze skrzyń i wyjęła cudowny, złoto-niebieski talerz.

–Popatrzcie na to. Królewski Worcester, ma ze sto pięćdziesiąt lat.

Znaleźli magazyn obrazów.

–To niesłychane. Bonnard, Yuillard, Denis. Same pierwszej klasy Nabisy, każdy wart gdzieś z półtora miliona – powiedział Yincen po obejrzeniu paru z nich. – Spójrzcie – to jest Moreau. Był symbolistą. A to jest Signac.

–Doskonała kolekcja, co? – powiedział Jack.

–Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że w Luwrze jest parę ciekawych malunków. Te obrazy są prawdopodobnie warte dwieście – trzysta milionów dolarów: Nawet gdyby reszta z nich była choć w połowie tak dobra jak te. A myślę, że jest.

Szli przez kolejne pomieszczenia, zapchane pamiątkami z życia rodziny, która przeżyła samą siebie o ponad siedemdziesiąt lat. Znaleźli słoje, garnki i taczki, a nawet części do pierwszych silników samochodowych De Diona. Znaleźli płyty materiału przypominającego skórę, starannie owinięte w poźółkłe bibułki i żadne z nich nie wzięło tego do ręki w obawie, że może być to ludzka skóra. Ale nigdzie nie było śladu Grayów i nigdzie nie było śladu Thomasa czy Laury.

–Może powinniśmy zajrzeć do stajni – zasugerował Jack.

Wyszli przez tylne drzwi. Ogrody stały puste i zmrożone. Niebo wisiało nad nimi jak cynowy talerz. Śnieg trzeszczał pod stopami. Jack chrząkał parokrotnie, ponieważ katar spływał mu do gardła.

Garaże, stajnie i wszystkie zabudowania gospodarcze ziały pustką.

Jack stał na śniegu. Ręce wepchnął do kieszeni, twarz miał skrzywioną z zimna i poczucia bezsilności.

–Co mówił doktor McKinnon? Że prawdopodobnie ukryją swoje ciała w miejscu, w którym zwykle nie szuka się ludzi.

–Myślisz, że się zakopali? – spytał Yincen.

–Nie mieli na to czasu. A zresztą, kiedy śnieg stopnieje, ktoś musiałby znaleźć miejsce, w którym to zrobili. W każdym razie

żadnego z nich tu nie ma, a jeżeli jeden zakopał pozostałych, co byłoby konieczne, to gdzie by się on podział? Albo ona, oczywiście. Zapominam się. Nie należy dyskryminować płci pięknej.

Para unosiła im się z ust. Rozglądali się wkoło, usiłując wyobrazić sobie, gdzie szybko i łatwo mogło się ukryć czternaścioro ludzi. I właśnie wtedy Yincenc dostrzegł na śniegu, mniej więcej pośrodku wielkiego trawnika, niewyraźną ciemną plamę.

–Co tam jest? – spytał Jacka, osłaniając oczy.

–Nie wiem. Wygląda na rodzaj sadzawki. Yincenc spoglądał na sadzawkę. Była prawie niewidoczna w padającym śniegu i zmierzchającym świetle.

–Gdzie przestępcy wrzucają niepotrzebną już broń? Gdzie gangsterzy „gubią” ciała? Jakie jest ostatnie miejsce na świecie, do którego zajrzałybyś, poszukując kogoś, kto się przed tobą kryje?

Potykając się poszli przez trawnik, aż dotarli do brzegu sadzawki. Większa część jej powierzchni była zamrznięta, ale ciemniejszy fragment, który Yincenc dojrzał z przeciwległego krańca ogrodu, był to przeręb. Zamarzał na nowo, opalizując fragmentami lodu, unoszącego się na wodzie. Jednak parę godzin temu ktoś poświęcił dobrą chwilę, żeby w lodzie o grubości ponad czterech cali wyrąbać idealne koło o średnicy trzech stóp, a potem zostawić je do ponownego zamrznięcia.

Nie zważając na śnieg, Yincenc ukląkł, opierając się na rękach, i wyteżył oczy, żeby zobaczyć, co kryje się pod wodą.

–Podaj mi latarkę – powiedział Jackowi i Jack posłusznie mu ją podał. Yincenc poświecił latarką, poruszając nią i rozjaśniając lód, pływającą złotą rybkę i żdźbła podwodnych traw.

Skierował promień bardziej w dół i wtedy, doznając największego przerażenia, jakie dane mu było przeżyć, zobaczył twarz. Twarz swojego syna, białą jak rybi brzuch, wpatrującą się w niego spod powierzchni zamrzniętej sadzawki. Obok Thomasa, obejmując go matczynym lodowym uściskiem, leżała Laura. Byli tam również Belvedere i Henry, i Netty-kaleka. Płatanina rąk i nóg, zmrożonych i białych. Widać, mieli nadzieję, że zimą ich ciała ukryje lód i śnieg, a latem wodne lilie i tańczące na wodzie odbicia światła. Tego roku lato i zima miały służyć tym arystokratom śmierci i rozpusty, jak służyły im do tej pory przez trzy generacje i jak miały służyć w przyszłości.

Głęboko w galaretowatej wodzie, z twarzą opartą o ławicę traw leżała Cordelia, a obok niej, z twarzą zzieleniałą i zapadniętą, spoczywał Maurice.

–Chyba powinniśmy ich wyciągnąć – powiedział Jack, odbierając latarkę od Yinenta i oświetlając staw od brzegu do brzegu. – To masakra.

–Jeszcze nie – powiedział Yinent. Wstał, kiwnął na Jacka i szeryf opornie ruszył za nim. Yinent trząsał się. Zimno i szok, który przeżył, zobaczywszy Thomasa pod powierzchnią sadzawki, zrobiły swoje. Powtarzał sobie, że Thomas nie umarł, że nikt z nich nie umarł, że wszyscy zbiegli na portret. Ale przychodziły chwile, kiedy ogarniały go wątpliwości; myślał wtedy, że tak właśnie wszystko się skończy. Zostanie tylko zatopiona masa ciał w tym zamrożonym stawie w Connecticut. A potem ociekające wodą trupy zostaną zawiezione do biura koronera.

Charlotta wyszła z domu, rozglądając się za nimi. Jack kiwnął do niej.

–Są wszyscy w sadzawce – powiedział, ocierając nos grzbietem dłoni.

–Chyba nie Thomas? – spytała, zdrętwiała z przerażenia. Yinent potwierdził słowa Jacka.

–Ma czternaście lat – powiedział z wściekłością. – Tylko tyle. Czternaście lat. Dlaczego, do wszystkich diabłów świata, nie zabrałem go ze sobą do Seekonk? Oślupiała i przerażona Charlotta powiedziała:

–Czy oni... czy nie żyją? Wszyscy utonęli? Yinent przestał spoglądać na sadzawkę.

–Oni nie umarli.-Jego głos łamał się z emocji, nadmiar śliny nie pozwalał mu wyraźnie mówić. – Wybrali sobie to miejsce na ukrycie ciał, to wszystko.

Znaleźli się tam na czas ucieczki. Wydaje mi się, że byli w stanie znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce, ale chyba nie mieli dużo czasu. A co więcej, nie mieli prawdopodobnie pojęcia, że zorientujemy się, co chcą zrobić. – Przynajmniej – dodał – mam taką nadzieję, że się w tym orientujemy. Oby tak było ze względu na Thomasa i Laurę.

–Naprawdę myślisz, że uciekli na swój portret?

–Bóg jeden wie – odpowiedział Yinent.

–A nie moglibyśmy po prostu wyciągnąć Grayów... wywlec

ich z sadzawki... zastrzelić ich czy coś w tym rodzaju? – dopytywała się Charlotta. Jeżeli Yincient był zrozpaczony, to ona rozgorączkowana.

Yincient potrząsnął głową.

–Maurice Gray wyjaśnił wszystko w liście. Grayowie są daleko poza naszym zasięgiem. To, co mamy przed oczami, to wyłącznie ich ciała. Oni sami, ich dusze, wszystko, czym są – są nadal na wolności. Nie muszą się martwić aresztowaniem, starzeniem się czy chorobą. Mogą robić, co im się podoba, kiedy im się podoba i komu im się podoba.

Szli w kierunku domu. Yincient czuł, jak narasta w nim pragnienie, by pobiec do sadzawki i wyciągnąć Thomasa z zamarzającej wody. Tam jest mój syn, mój jedyny syn; leży policzek przy policzku z gnijącymi zboczeńcami i mordercami.

Wiedział jednak, że jest tylko jedna droga, by uratować Thomasa i Laurę Montblat. I dlatego prowadził teraz Jacka i Charlottę do domu, wstrząśnięty, nie dowierzający własnym zmysłom, czując zawroty głowy, ale mimo to zdecydowany.

Kiedy znaleźli się z powrotem w holu, Jack powiedział:

–Dobra, co robimy? Słuchamy rady doktora McKinnona?

–Nie mamy wyboru – powiedział Yincient. – Jeżeli nie będziemy ścigać Grayów na portrecie, nigdy ich nie dopadniemy. Słyszeliście, co powiedział doktor McKinnon: to jest ich wyjście awaryjne. Mogą tam się kryć całymi latami, aż wszyscy pomrzemy i zostaniemy zapomniani. My nie odważymy się tknąć portretu, ponieważ jest na nim Thomas i Laura Montblat, i nie odważymy się tknąć tych ciał, ponieważ wtedy Grayowie mszcząc się ukarzą Thomasa i Laurę.

–Więc co teraz robimy? – powtórzył swoje pytanie Jack.

–Włazimy tam? Ale jak?

–Zaraz telefonuję do Aarona Halperina – powiedział Yincient. – Jest najszybszym i najbardziej kompetentnym profesjonalnym artystą, jakiego znam. Poproszę go, żeby tu przyjechał i namalował mój portret. Charlotto, zadzwoń jeszcze raz do doktora McKinnona. Skłoń go, żeby przeczytał ci cały łaciński tekst, należący do rytuału, którym oddzielano duszę od ciała. I proszę, upewnij się, że zapisałaś go wiernie. Jeden błąd i może nie poskutkować.

–Posłuchaj, Yincient – powiedział Jack -ja tu jestem poli310

J

cjantem prowadzącym śledztwo. Czy nie uważasz, że to ja powinienem się tam władować, żeby ścigać Grayów?

–Tam jest mój syn, Jack. – Yincient energicznie potrząsnął głową. – A poza tym, jak Wydział Policji Okręgu Litchfield wytrzymałby z nieśmiertelnym szeryfem? A co dopiero jego żona.

Wyjął notatnik adresowy i zadzwonił do Aarona do Bantam. Aaronowi nieco plątał się język i Yincientowi niełatwo było się z nim dogadać.

–Yincient? Skąd dzwoniisz? Telefonowałem do ciebie. Chciałem cię zaprosić na degustację nowej śliwówki. Nazwałem ją Ślizgawica, bo wystarczą tylko dwie szklaneczki i ślizgasz się po całej podłodze.

**–Aaron, mam pilną sprawę. Pamiętasz obraz Waldegrave'a?**

**–Drogi Yincencie, jak mógłbym zapomnieć?**

**–Wiesz, coś się stało. Coś poważnego. Chcę, żebyś przyjechał z farbami do Darien i namalował mój portret, od stóp do głów, zaraz.**

**Nastąpiło długie milczenie, podkreślane przytłumionym, ciężkim oddechem Aarona.**

**–Portret? Teraz? Zwariowałeś! Przecież jest prawie Wigilia!**

**–Aaron – powiedział Yincenc – nigdy w życiu nikogo tak nie potrzebowałem, jak ciebie. Proś o co chcesz – obiecuję, że to dostaniesz. Powiem ci coś – dostaniesz te szkice ołówkiem i piórkiem Charlesa Wilsona Peale'a i dziesięć tysięcy dolarów na dokładkę. Ale, na litość boską, Aaron, jesteś mi potrzebny.**

**To sprawa życia i śmierci.**

**Aaron milczał przez długi czas. Potem powiedział:**

**–Wiesz, że jestem pijany.**

**–To wezwij taksówkę. Zapłacę za kurs. Ale przyjeżdżaj tu, proszę. Jestem w domu, który nazywa się Wilderlings, tuż przy wyjeździe z Darien na pomoc drogą do New Canaan. Przyjedziesz?**

**–Ale dlaczego, Yincenc? Dlaczego chcesz, żebym koniecznie namalował ci portret?**

**Wiesz, namalowanie portretu nigdy nie jest pilną sprawą.**

**–Dzisiaj jest, Aaronie. Zapewniam cię. Zrozumiesz dlaczego, kiedy tu przyjedziesz.**

**Aaron zawahał się na moment, a potem powiedział:**

**–Rozmawiałem właśnie z rodziną. Zdaje się, że uważają, iż powinienem zostać, a jeżeli tak rozpaczliwie potrzebujesz portretu, możesz pójść do fotoekspresu u Woolwortha.**

–Aaron-przekonywał go Yincen-pamiętasz Yan Gogha?

–Yan Gogh? O co chodzi?

–Powiem ci, o co chodzi. Yan Gogh jest nadal na portrecie, ale teraz jest tam też Thomas.

–Thomas?! Och Boże, chyba oni nie...

–Nie, Aaronie, nie skrzywdzili go. Jeszcze nie, o ile się orientuję. Ale mogą to zrobić. Dlatego chcę go stamtąd wyciągnąć. Nastąpiła kolejna pauza i w końcu Aaron powiedział:

–Przyjeżdżam tam, Yincen. Daj mi parę godzin, to wszystko. Wytrzymasz tyle?

–Liczę na ciebie, Aaronie.

Kiedy Yincen skończył rozmowę z Aaronem, Charlotta zadzwoniła do doktora McKinnona. W pierwszej chwili był szorstki i małomówny. Nie był człowiekiem przyzwyczajonym do tego, że opuszcza się go w pół słowa, jak zrobili to Yincen, Charlotta i Jack. Nie był również człowiekiem, który wczuwałby się w duchowe kłopoty innych, a przynajmniej był kimś, kto czyni to niezbyt chętnie.

–Pozostało mi silne przekonanie – powiedział – że żadne z was nie uwierzyło w to, co mówiłem.

–Doktorze McKinnon – usiłowała go przebłagać Charlotta – Grayowie porwali syna pana Pearsona!

–Uważam, że to raczej sprawa policji.

–Doktorze McKinnon – oni zabrali go na portret rodzinny. Nastąpiła pełna nieufności cisza.

–To kawał, młoda damo? Przed południem zacząłem wyczuwać coś w tym stylu.

–To nie kawał, doktorze, przysięgam. Potrzebny mi jest rytuał, rytuał pozwalający danej osobie żyć wiecznie, kiedy jego portret będzie się starzał.

–Przez telefon?! – zagrzmiał, wyraźnie zgorzony.

–Doktorze McKinnon – zniecierpliwiła się Charlotta – naprawdę nie mamy czasu. Proszę mi wierzyć, gdybym mogła zjawić się osobiście lub napisać list, zrobiłabym to. Ale potrzebuję tylko właściwych słów. Proszę. I jakiejś instrukcji.

–To nie jest właściwy sposób, rozumie pani. Te rytuały są tajne lub raczej były przez pięćset lat. Odczytywać je pani na głos przez telefon...

–Doktorze McKinnon – nie wytrzymała Charlotta – na

litość boską, niech pan zejdzie z katedry. To jest dwudziesty wiek i są ludzie potrzebujący pomocy.

–Ależ wypraszam sobie – rozgniewał się historyk sztuki – nie muszę znosić takiego tonu. Nie, moja pani.

Niemniej jednak nie rozłączał się. Charlotta powiedziała:

–Przepraszam, doktorze, jestem zdenerwowana, to dlatego. Proszę. Jest pan naszą ostatnią nadzieją.

Doktor McKinnon zamilkł na tak długo, że Charlotta musiała powiedzieć: – Halo? – żeby się upewnić, czy jest obecny. Yincen obserwował ją uważnie i podniósł pytająco brew, ale Charlotta zamachała dłonią na znak, że McKinnon nie odłożył słuchawki i prawdopodobnie rozważa jej prośbę.

–Macie tam teraz jakieś problemy? – spytał w końcu doktor McKinnon.

–Tak, doktorze. Właśnie teraz.

–Cóż, mam nadzieję, że to nie kawał. Proszę poczekać, pójdę poszukać książki.

Charlotta zakryła słuchawkę dłonią i szepnęła do Yincenta:

–Powie nam.

–Chwała Bogu – odpowiedział.

Powoli i pedantycznie doktor McKinnon odczytał słowa rytuału. Charlotta, która kiedyś była znakomitą sekretarką, zapisała go w całości, stenografując bezbłędnie. Kiedy skończył, powiedziała:

–Nie wiem, jak panu dziękować, doktorze. Doktor McKinnon ni to burknął, ni to kaszlnął.

–Niech wam się uda, i tyle. A kiedy uda się wam uratować waszych, to powiadomcie mnie.

–Tak jest, sir. Jest pan aniołem.

Kiedy tylko Charlotta zapisała łacińskie słowa normalnym pismem, Yincen przejrzał je i powiedział:

–W porządku. Teraz potrzeba nam tylko portretu, a potem – za nimi.

Czekając na Aarona, Yincen i Charlotta trzymali się razem. Jack znalazł piec c.o. i włączył go na wypadek, gdyby po południu temperatura jeszcze się obniżyła. Kiedy gorąca woda zaczęła krążyć w rurach, Wilderlings rozbrzmiało niezwykłymi trzaskami i szura-niami. W końcu Jack wychylił się z piwnicy, wycierając ręce w serwetę. Nie spoglądał więcej na obraz Waldegrave'a; żadne z nich tego

nie robiło. Strach przed tym, co nastąpi w razie fiaska, był zbyt wielki.

Jack był świadomy, że jego postępowanie nie ma nic wspólnego z metodami pracy szeryfa. Powinien dawno temu wezwać policję z Darien, kazać zapieczętować Wilderlings, dokładnie sprawdzić, czy nie ma tu narkotyków, trupów i ukrytej broni. Ale zbyt mocno już uwierzył w tę całą aferę z Grayami i zbyt daleko zaszedł, żeby zawrócić. Podczas oficjalnej rewizji na pewno zostaną znalezione ciała w sadzawce, a kiedy koroner zarządzi autopsję, konsekwencje będą tragiczne i krwawe.

Jack już to sobie wyobrażał: Maurice Gray grozi odcięciem Thomasowi każdego odpowiedniego kawałka, jaki lekarz sądowy będzie odkrawał z Grayów.

Do czasu pojawienia się Aarona zapadła ciemność. Brnął przez śnieg z pudłem olejnych farb pod pachą, uśmiechając się zgryźliwie do Yincenta i Charlotty.

–Mam nadzieję, że uświadamiacie sobie, iż jestem świętym człowiekiem.

–A kanonizuje się żydów? – Święty Aaron z Niepokonaną Paletą. A teraz, o co w tym wszystkim chodzi?

Pokazali mu obraz Waldegrave'a z nowymi dodatkami, Laurą i Thomasem; potem zabrali go do ogrodu i pokazali ciała pod błyszczącym lodem.

–Dość, wystarczy – powiedział, ciężko przelękając ślinę. – Rozumiem.

–Więc namaluj mnie – nalegał Yincen.

–Ale czy rozumiesz, co się stanie, jeżeli cię narysuję i wypowiesz słowa rytuału? Będziesz żył wiecznie, tak jak oni, prawda? Utracisz swoją duszę, Yincencie, i jak ci się uda ją odzyskać? Thomas już stracił swoją. Jakie życie go czeka, jeżeli nawet go uratujesz? Czy ma zostać zabójcą, zdzierającym skórę z ludzi, aby zachować młodość? A ty, czy będziesz robił to samo?

–Aaron, na litość boską, pozwól mi przekroczyć ten most, kiedy już do niego doszedłem. W tym momencie mój syn jest trzymany przez rodzinę perwersyjnych morderców. Tkwi w jakimś nie istniejącym realnie miejscu, do którego nawet nie mogę dotrzeć. Proszę, namaluj mój portret i pozwól mi go w końcu uratować.



Aaron odmierzonym ruchem otworzył swoje pudło z farbami i wyjął pędzle.

–Aaron, czy ty rozumiesz, o co cię proszę? – spytał gorączkowo Yincen.

Aaron skinął głową, wyjął paletę i węglowe rysiki.

–Wiem, czego chcesz, Yincen, i na pewno zrobię to dla ciebie. Nie irytuj się.

Boję się tak samo jak ty.

Yincenowi przyniesiono z sali balowej wygodne, obite brązowym aksamitem krzesło. Usiadł na nim z założonymi nogami i Aaron zaczął szkicować. Najpierw na płótnie pojawił się zarys głowy i korpusu, a potem linia nóg. Aaron szybko obiegnął ten zarys szkarłatną farbą klejową, zręcznie i dokładnie. Potem wtarł kolor podkładowy, a następnie cienie, nadające charakter zarysowi czoła, oczodołom, kościom policzkowym i skrzydełkom nosa.

Używając żółtej ochry, świeżej zieleni, lekkiej czerwieni, czerni i bieli, Aaron szybko tworzył żywy obraz głowy Yincenta: ciemne kręcone włosy, pokryte delikatnie siwizną, prosty nos, głęboko osadzone oczy, mocno zarysowane szczęki.

Kiedy zegar wybił dziewiątą, pędzel Aarona nadal fruwał, wypełniając półtony, rozjaśnienia i nieoczekiwane cienie. O drugiej w nocy portret był prawie gotowy: dłonie malarza były teraz lodowate, czuł wyczerpanie i coraz więcej czasu zabierało mu wykończenie każdego detalu.

O czwartej nagle opuścił pędzel i powiedział:

–To wszystko, na co mnie stać. Przepraszam.

Yincen sztywno podniósł się z krzesła, na którym siedział przez ostatnie trzy godziny, owinięty w płaszcz. Obejrzał dokładnie błyszczący jeszcze portret, a potem położył Aaronowi dłoń na ramieniu.

–Aaron, mówiłem, że jesteś geniuszem. Oto dowód. Cokolwiek się stanie, rzuć konserwację. Maluj portrety, a będziesz bogaty.

–Chyba bym się napił – powiedział Aaron chrapliwym głosem. Wstał, prostując ramiona i gimnastykując palce.

–Teraz rytuał – powiedział Yincen.

–Teraz? – spytała Charlotta.

–Tam jest Thomas, Charlotto. To mój syn.

–Obraz jest jeszcze wilgotny.

–To nie ma znaczenia. Do rzeczy.

–U kogo słyszałem tę kwestię? – zadumał się Jack. – Och, wiem. Gary Gilmore.

–Rytuał-powtórzył Yivalent. Był zbyt zmęczony, by żartować.

Charlotta podała mu kawałek papieru, na którym zapisała te same słowa, które pięćdziesiąt lat temu obdarzyły rodzinę Grayów darem nieśmiertelności. Ręce Yivalenta trzęsły się, kiedy go odbierał. Zanim zaczął recytację, wziął głęboki oddech.

–Sanctum suum Spiritum per concedat agere Dominus nobis quod. Superatis nequitiam multimodam eorum vobis in prius cum, imperabitis daemonibus aliis in recte etenim tunc.

Nawet w skróconej formie rytuał był długi. Zawierał nie tylko wygłaszany na wspak egzorcyzm, ale także ustęp o potędze czasu i potędze twórczości, stwierdzający, że siły sprawcze tego świata były podzielone na czworo: Zło, Czystość, Bezinteresowność i Zazdrość.

Jack i Charlotta uważnie przyglądali się Yivalentowi, kiedy wygłaszał te słowa, ale przy końcu recytacji dalej pozostał między nimi, zmęczony, ze zwieszoną głową. Jego portret spoczywał na przenośnych sztalugach Aarona, z lekką smugą zieleni na lewym policzku. Poranny, dojmujący wiatr bez przerwy wślizgiwał się przez wyłamane drzwi frontowe, a śnieg, zawiewając przez próg, namalował na podłodze rozetę.

–Nie działa – powiedział Jack.

Przez cały czas wiedział, że to nie zadziała. Wiedział, że całe to gadanie o ludziach, domach i pejzażach, które ożywają, to bujda, że z doktora McKinnona jest za duży ekscentryk, żeby to mogło się sprawdzić. Niewiele razy w życiu Jack miał ochotę wsadzić sobie do ust wylot swojej trzydziestki ósemki i poczuć go na podniebieniu, ale podejrzewał, że każdy policjant ma na to od czasu do czasu ochotę. Dziś, z jakiejś przyczyny, mógłby to zrobić. Zimne, nieprzyjemne dotknięcie stali, a potem wyzwolenie.

Yivalent trzymał kurczowo zaciśnięte powieki. Nic się nie stało, nie został przeniesiony do innej rzeczywistości. Ale wypowiedziane słowa wywołały w nim jakieś niezwykle przeczucie, że miał rację. Obrócił się z zamkniętymi oczami.

Teraz nie wiedział, w którą stronę jest skierowany, ale to nie miało znaczenia. Ważne było, że idzie do przodu, prosto przed siebie, w ciemność.

Charlotta, Jack i Aaron widzieli, jak płynnie i bez wysiłku kroczy przez hol, po schodach, mija drzwi wejściowe i stąpa po śniegu, który spadł wczesnym rankiem.

–Yivalent! Nic ci nie jest? – zawołał Jack, ale nie było

odpowiedzi. Charlotta zawahała się na moment, potem podbiegła do drzwi i wyjrzała w oślepiającą szarość ogrodu. Znikł. Odciski stóp wskazywały, że zrobił trzy czy cztery kroki poza werandę, a potem znikł.

Jack stanął za nią i położył jej dłoń na ramieniu.

–Udało mu się – szepnął. – Znikł. Pieprzony nieśmiertelny!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Darien, 24 grudnia Maurice Gray palił fajkę w szkarłatnym saloniku, kiedy wszedł Thomas, stanął przy kominku i zaczął się w niego wpatrywać. Maurice poczuł się skrępowany. Nie cierpiał, gdy wpatrywano się w niego, podczas gdy przeglądał gazetę. Zwłaszcza kiedy robili to młodzi chłopcy, a tym bardziej tacy, których znał od niedawna.

Usiłował przebrnąć przez dłuższy akapit o planach prezydenta Har-risona dotyczących zakupu srebra, ale w końcu musiał złożyć gazetę.

–Tak, młody człowieku?-zapytał.-Życzysz sobie czegoś?

–Przepraszam – powiedział Thomas – czy mogę iść do domu?

Maurice westchnął z teatralnym zniecierpliwieniem. Położył gazetę na podłodze. Zwykle takim gestem doprowadzony do ostatecznego rozdrażnienia ojciec chce wzbudzić w synu poczucie winy. „Przerwałeś Wszechmocny Przegląd Prasy, mój chłopcze. Mów, proszę, ale kara cię nie minie”.

–Nie wiem, gdzie się znalazłem – mówił Thomas. Dolna warga zaczęła mu się trząść, ale powstrzymywał się od płaczu. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

–No cóż – powiedział Maurice – sądzę, że jestem w stanie rozwiązać twój niepokój zarówno w jednym, jak i w drugim względzie. Oczywiście to, czy moja odpowiedź cię zadowoli, pozostaje wyłącznie twoją sprawą. Jesteś w Wilderlings, w Darien, w Connecticut. Jutro będą prezenty, pieczona gęś, ciasto ze śliwkami i wszystkie przyjemności, jakie tylko chłopiec w twoim wieku może sobie wymarzyć. Natomiast poprzednie wydarzenia są związane z twoim niedawnym osieroceniem. Przybyłeś więc do nas, aby wieść pod wspólnym dachem rozkoszne i pełne przygód życie.

–Jestem sierotą?

Maurice uśmiechnął się i zakręcił młynka palcami.

–A jak inaczej nazywa się chłopca, którego rodzice nie żyją.

–Ale mój ojciec żyje. Moja matka żyje.

–Ależ mylisz się w zupełności. – Maurice potrząsnął głową. – Ani twój ojciec, ani matka nie przyszli jeszcze na świat. Spójrz przez okno, Thomasie, i powiedz, co widzisz.

Thomas podszedł do okna. Wyrzał między rozsuniętymi, ciężkimi, tłoczonymi we wzory z pawi i koszów kwiatów, obszytymi koronkami zasłonami. Na dworze śnieg pokrywał podjazd i bramę Wilderlings. Ale na drodze biegnącej poza murami widział sanie, ciągnięte przez konie, damy otulone w futra i kryjące dłonie w ciepłych mufkach oraz panów w cylindrach.

Maurice wstał, podszedł do okna i starannie zaczął czyścić paznokcie srebrnym scyzorykiem.

–Jest rok, w którym Waldegrave namalował portret-powiedział. – Powróciliśmy tu na jakiś czas, ponieważ jesteśmy dziećmi portretu. Jesteśmy wewnątrz obrazu, wewnątrz! I ty również, dzięki artystycznym zdolnościom wuja Belvedere'a, jesteś tu razem z nami.

–Chcę do domu – upierał się Thomas. Dalej nie był pewien, czy jest to senny koszmar, czy też nie, ale był zdecydowany wrócić do domu. Nawet jeżeli oznaczałoby to coś bardziej skomplikowanego niż obudzenie.

–Nie – powiedział Maurice. – Ten dom jest twoim domem. Teraz należysz do naszej rodziny. Myślę, że będzie dobrze, jak od razu zostaniesz przedstawiony, wtedy lepiej się poczujesz.

–Chcę tylko wrócić do domu – powtórzył Thomas.

Ale Maurice w ogóle nie zwracał na niego uwagi, wziął go za ramię i poprowadził przez hol. Hol był jasny i lśniący, ozdobiony greckimi posągami z brązu: muskularni młodzi mężczyźni, przygotowujący się do rzutu oszczepem czy dyskiem albo rozpoczynający maraton.

–Czy wiesz – zauważył Maurice – że gimnastyk pochodzi od greckiego słowa, które oznacza „ten, który ćwiczy nago”?

Thomas opierał się, ale Maurice trzymał go mocno. Ciągnął chłopca na górę, przez całą wysokość piętra, a potem jeszcze przez następną kondygnację schodów, wzdłuż której zawieszono ponure pejzaże: Monachium podczas burzy i sztorm u wybrzeży Helgolan-du. W końcu stanęli przed szerokimi drzwiami, zdobionymi płasko318 rzeźbą z motywem roślinnym. Kiedyś pokrywała je farba, teraz wyblakła i liście wyglądały jak wyschnięte. Maurice zapukał i uśmiechnął się do Thomasa.

Drzwi otworzyła prywatna pielęgniarka: wycieńczona stara kobieta w białym fartuchu i obwisłym białym kornecie. – Śpi – szepnęła. – Prosił, żeby go nie budzić.

Na palcach przemierzyli ogromną, mroczną sypialnię. Unosił się w niej zapach choroby i maści. Stanęli u wezglowia łoża, na którym wysoko wsparty na poduszkach spał ojciec rodziny, Algernon Gray. Lekko pochrapywał, jakby spoczywał w absolutnym spokoju.

Jednak Thomas patrzył na niego ze zgrozą. Na twarzy roiły mu się robaki.

Wypełzały mu z nosa i wpełzały z powrotem, wślizgiwały się do ust, a buszując w rzadkich, siwych włosach, poruszały nimi, jakby przez nie przechodziło niewyczuwalne tchnienie wiatru.

– Jest bardzo chory – powiedział Maurice, nie wyglądając wcale na przejętego. – Z matką jest to samo. Ale teraz, kiedy odzyskaliśmy portret i możemy go odnawiać, oni też zostaną odnowieni. Ojciec i matka. Niech Bóg czuwa nad nimi.

Thomas nie wiedział, co ma powiedzieć. Bał się, zbierało mu się na wymioty i czuł się przeraźliwie samotny. To musi być sen. Błagam, niech mi ktoś powie, że to sen!

– To twoja rodzina, Pearsonowie, spowodowała to całe zamieszanie – mówił Maurice, wyprowadzając Thomasa z pokoju. – Pod koniec dziewiętnastego wieku byli bardzo zaprzyjaźnieni z Gra-yami. Razem chodzili na bale, razem pływali na łódkach. Pradziadek twojego ojca stale odwiedzał Wilderlings.

– Z niego wychodziły robaki! – szepnął Thomas w przerażeniu i grozie.

– Robaki, tak. Robaki! – Maurice mocno ścisnął jego rękę. – Ale żaden z nas nie jest do końca tym, kim był. To smutne, nieprawdaż? Świadomość tego nastraja mnie melancholijnie. Często myślałem o napisaniu na ten temat wiersza. O smutku umierania. Ale my, oczywiście, tu nie umieramy – chociaż niezwykle dużo czasu zabiera nam utrzymanie się w dobrej formie.

Zeszli po głównych schodach i przeszli dolnym korytarzem do pomieszczeń kuchennych. Stały teraz puste. Lśniące miedziane rondle zawieszono po kolei, wedle rozmiarów. Srebrne łyżki błyszcząły jak świeżo wyłowione sardynki, przeznaczone do wędzenia.

**–Zawsze łączyła nas ścisła rodzinna więź. – Maurice zwrócił się do Thomasa.**

**Twarz na w pół zakrywały mu porozwieszane rondle. – Jeżeli jeden z nas miał grypę, to wszyscy mieliśmy grypę. Niektóre choroby stawały się cudowną okazją do rodzinnego świętowania: „Nigdy byś nie zgadł! Hurra! Chyba złapałem odrę!**

**Wykończmy butelkę gewurztraminera!" Maurice zawahał się, a potem dodał poważnie:**

**–W dzisiejszych czasach coraz trudniej jest nam przetrwać. Wiem, jesteście wyklęci, nawet jeśli niektórzy nas tolerują. Bez portretu byliście skazani na zagładę, nie panowaliście nad własnym losem. Teraz kiedy odzyskaliście portret, możemy się odnowić.**

**Widoczne było, że Thomas nie może sobie z tym poradzić. Maurice wskazał mu krzesło, a sam oparł się o piec kuchenny, skrzyżował ramiona na piersi i mówił:**

**–Chcieliśmy być młodzi. Co w tym strasznego? Chcieliśmy pozostać tacy, jacy byliśmy: pełni blasku i radości. I tak było. Dopiero kiedy wtrącił się twój pradziadek, zaczęły się nasze cierpienia. Ukradł portret i ukrył go przed nami, a potem skazał nas na wygnanie do Europy. To było w 1911 roku, w roku, który dopiero ma nadejść na tym obrazie, ale który nigdy nie nadejdzie, ponieważ portrety pozostają takie, jakie były w dniu, w którym je namalowano. Młode, promieniejące energią i wigorem.**

**Maurice podszedł do szafek i znalazł butelkę kirschu. Nalał sobie do małego kieliszka i wypił jednym haustem.**

**–Portret musi pozostawać blisko tych, którzy zlecili jego wykonanie. Od czasu do czasu, aby zabezpieczyć się przed zbyt nagłym starzeniem, musimy powrócić – poprzez portret – do roku, w którym został namalowany. Można powiedzieć, że przypomina to pobyt na obozie, kondycyjnym, wyzwala świeży przyływ sił. Kiedy lata mijają, a my coraz bardziej oddalamy się od dnia, w którym powinniśmy umrzeć, nasze siły wyczerpują się, a nasz młodzieńczy wygląd zaczyna wymagać coraz większej troski.**

**–Wszystko biegło właściwym torem, dopóki twój pradziadek nie ukradł portretu.**

**Od tego dnia nie mogliśmy się już regenerować przez powracanie do świata portretu, jak to działało się wcześniej. Musieliśmy co dwa – trzy miesiące zmieniać skórę. Tylko dzięki temu mogliśmy pokazywać się w świecie. Wielu niewinnych ludzi umarło, gdyż musieliśmy zaspokajać nasze potrzeby. Zabijaliśmy,**

ale wina za śmierć każdego z nich spada na rodzinę Pearsonów. Gdyby Pearsonowie się nie wtrącili, Grayowie nie musieliby nikogo krzywdzić, nikogo napastować i pozostaliby la creme de la crême socjety Connecticut.

Maurice potarł czoło delikatnym, okrężnym ruchem, jakby chciał odpędzić pierwsze objawy migreny.

–Ten portret jest niezbędnym warunkiem naszego przetrwania. Aby zniknąć wewnątrz niego, każdy z nas musi dotknąć swego wizerunku. A wtedy pojawia się tu! Siedzimy w kuchni, rozmawiamy ze sobą, w 1883 roku. Ale ty jesteś młody.

Musisz być znudzony. Całe to gadanie o odmładzaniu się, grypach i smutku życia, które dawno temu przestało mieć sens... Nic dziwnego, że Bóg zsyła nas na ziemię na tak krótki czas! To kara za to, że nikt nie potrafi prowadzić zręcznej konwersacji.

–Chcę do domu – powiedział Thomas.

–Mój drogi chłopcze – powiedział mu Maurice – od teraz to jest twój dom.

Przynajmniej na tak długo, jak ja powiem. Nie możesz powrócić inaczej, jak ze mną, więc lepiej pogódź się z tym i bądź grzeczny. Gdyby cię tu nie było, twój ojciec wrzuciłby portret do ognia i spaliłby nas żywcem. Ale jesteśmy tu, razem z Laurą – i cóż, jesteśmy nieźle zabezpieczeni, czyż nie tak? Hm?

–Myślałem, że zabiliście Laurę – powiedział Thomas.

–Zabijać ją? Ależ mój przyjacielu, co to, to nie. Chociaż musi ona podjąć pewne niemiłe decyzje, dotyczące jej dalszego losu. Dotyczy to zresztą nas wszystkich.

–Co to znaczy?

–Musi się zdecydować, czy chce pozostać sługą Henry'ego na resztę życia – uśmiechnął się do siebie Maurice. – Jest to prawie jednoznaczne z nieśmiertelnością. Czy też woli oddać skórę mojej matce, aby mogła odzyskać swą urodę.

–Tylko taki ma wybór? To potworne! To wyzysk!!

–Mamy rok 1883, mój drogi chłopcze. Słowo „wyzysk” nie jest jeszcze w powszechnym użyciu, zwłaszcza wśród chłopców w twoim wieku. Mój Boże, czyżbyś był jakimś filantropem? Zupełny ojciec.

Maurice zmierzwił Thomasowi włosy, ale chłopiec wyrwał mu się.

–Poszukajmy Laury – zaproponował Maurice. – Może to być zabawne zobaczyć, co Henry zaplanował dla niej na dzisiaj. Idziesz? A może wolisz siedzieć tu przez cały dzień i dąsać się?

Maurice wyszedł z kuchni i skierował się do sali balowej. Thomas nie miał wyboru. Poszedł za nim. Czuł, że powietrze w całym domu jest dziwnie zamglone, jakby wszystko było otulone w najdelikatniejszy muślin. Skądś dobiegała mechaniczna muzyka, dawno zapomniana melodia. Słyszał, jak kobiecy głos śpiewa:  
I chciałbyś zbierać lilie tam, Gdzie strumyk wije się; I chciałbyś poczuć perfum  
woń Owego czasu, co jest snem...

W sali balowej przy fortepianie siedział Henry. Miał rozczochrane włosy, w ustach trzymał rosyjskiego papierosa z czarnego tytoniu. Był ubrany w nienaganny przedpołudniowy garnitur i szary krawat. Zdjął zakiet i zawiesił go na oparciu jednego z krzeseł. Ale grał na fortepianie; wpatrywał się tylko w nuty. Miał przed sobą jakiś skomplikowany utwór Szopena, czarny las szesnastek.

Laura siedziała w małym, tapicerowanym foteliku, z rękami splecionymi na podołku, sztywna i milcząca. Kiedy Thomas wszedł do sali; obróciła się i spojrzała na niego wilgotnymi oczami, które w otaczającym ich dziwnym powietrzu wyglądały jakby widziane przez mgłę, ale nie powiedziała ani słowa. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę, sięgającą do podłogi, zapinaną z przodu na mnóstwo czarnych guziczków.

–Cóż, kuzynie – zapytał strapiony Henry – jak brzmi uroczysty wyrok?

Maurice po kolei zatrzeszczał wszystkimi kłykciami i rozejrzał się wokół swym bolesnym spojrzeniem Jamesa Masona.

–Sądzę, że nigdy nie było żadnych wątpliwości. Dziewczyna musi iść dla matki.

–Jutro, jak przypuszczam?

–Jutro jest Boże Narodzenie. Raczej wolałbym... Henry odegrał serię akordów.

–Oczywiście, że nie, Maurice. Wiem, jaki masz delikatny żołądek. A ponieważ dla matki będzie lepiej, jeżeli dostanie ją raczej wcześniej niż później...

–Tak, więc dzisiejsze popołudnie będzie właściwym terminem – powiedział Mauric.

–Słyszysz to, mój aniele? – powiedział Henry, wykonując



pół obrotu wraz z taboretem i głośno zwracając się do Laury. – Dzisiaj po południu zostanie ci zdarta skóra! Wszystko to ze względu na matkę Maurice'a, która czuje się trochę słabo.

Thomas patrzył wstrząśnięty na Laurę, ale jej twarz nie wyrażała żadnej emocji.

–Regeneracja to wspaniała rzecz. Laura nie tylko uratuje życie mojej matce, ale ożyje w niej na nowo. Potrafimy być wdzięczni – powiedział Maurice, klepiąc Thomasa po ramieniu.

Henry wyjął pudełko zapalek i zapalił papierosa. Rozeszła się ostra woń płonącej siarki i bałkańskiego tytoniu.

–Maurice uważa, że jego wdzięczność wystarczy za całą zapłatę. Możesz zdechnąć w męczarniach, ale jeżeli Maurice będzie ci za to wdzięczny, cóż to szkodzi?

–Chodź – powiedział Maurice do Thomasa. – Mamy na górze fascynującą bibliotekę.

Może miałbyś ochotę spędzić popołudnie przy kominku i przejrzeć jakieś encyklopedie. Potem każemy kucharzowi, żeby przyniósł nam naleśniki i podsmażymy je sobie z masłem i dżemem.

Thomas nie potrafił wykrztusić słowa ani wykonać jednego gestu sprzeciwu.

Wystraszony i bezwolny pozwolił Maurice'owi wyprowadzić się z sali balowej i poszedł z nim po schodach.

–Nie powinieneś się martwić o własne bezpieczeństwo – powiedział Maurice, kiedy szli korytarzem. – Teraz, kiedy odzyskaliśmy obraz, musimy się odnowić tylko raz. Oznacza to, że potrzebujemy jeszcze jednego dżentelmena dla ojca i prawdopodobnie jeszcze jednej młodej damy dla mojej siostry Cordelii. Tak naprawdę, to Cordelia nie potrzebuje już nikogo, ale ona jest taka próżna, jeśli chodzi o urodę!

Dokładnie w chwili, w której Thomas i Maurice poszli do biblioteki, zamykając za sobą drzwi, drzwi frontowe uchyliły się ostrożnie i pojawił się w nich Yincen:

W holu było ciepło; płatki śniegu, które osiadły mu na ramionach, momentalnie stajały. Zawahał się i nadśluchiwał. Trzeszczenie ognia w kominkach, dobiegające z każdego pokoju, zapach tytoniu i trociczek-wszystko to potwierdzało teorię McKinnona. Udało mu się faktycznie przeniknąć do stworzonej przez Waldegrave'a rzeczywistości portretu. Powietrze miało tu jakąś niezwykłą właściwość. Meble i posągi w holu miały zachwiane proporcje, jak oglądane przez sfalowane szkło. Światło było przyćmione; dobiegająca go rozmowa dziwnie przytłumiona. Ale poza tym – oto stał dom z nim, Yincenem Pearsonem, w środku i nic nie mogło zaprzeczyć „realności” jednego i drugiego.

Nie doznał uczucia, że podróżuje w czasie lub w przestrzeni, kiedy jeszcze przed chwilą wychodził do ogrodu przez drzwi frontowe. Zrobił wtedy parę kroków, a potem obrócił się i przekroczył z powrotem próg.

Teraz ostrożnie szedł na palcach przez hol, aż dotarł do otwartych drzwi sali balowej. Henry siedział pochylony nad klawiaturą fortepianu, odwrócony plecami do

Yincenta, a Laura stała przy oknie, wpatrując się w śnieg. Włosy miała zaczesane do góry, zgodnie z modą epoki wiktoriańskiej. Fryzurę podtrzymywały szylkretowe grzebienie.

Yincent obejrzał się, żeby mieć pewność, że nikt za nim nie stoi. Oddychał ciężko. Czuł napięcie i determinację. Rozluźnił krawat, powoli zdjął go i owinał mocno końce wokół dłoni, tworząc w ten sposób garotę.

–Nikt nie wie, co takiego Szopen ujrzał w Konstancji Gładko-wskiej – mówił właśnie Henry. – Dlaczego tak bardzo ją kochał? Dlaczego się z nią nie ożenił? A teraz, oczywiście, nikt nie może go o to zapytać.

Yincent śmiało przekroczył próg sali balowej. Uniósł ręce w górę. W tym momencie Laura odwróciła się od okna i zobaczyła go. Podniosła dłoń do ust i patrzyła na niego zaskoczona.

–Co się z tobą dzieje? – spytał Henry. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Był moment, w którym Yincent miał pewność, że Laura wskaże na niego i wyda go.

Stał zbyt daleko od Henry'ego, żeby go dosięgnąć, zanim ten się obróci. Ale potem Laura nagle przesunęła wzrok.

–Ta historia o Szopenie zasmuca mnie – powiedziała.

–Zasmuca? Jak możesz coś takiego mówić! – wykrzyknął Henry. Podniósł się nieco z taboretu, ale znów na nim przysiadł. W tym momencie Yincent znalazł się przy nim i zacisnął mu krawat wokół szyi.

Henry rzucił się w bok. Taboret runął na podłogę. Henry wykręcał się i opierał.

Był bardzo silny. Yincent czuł, jak mięśnie barków tamtego napinają się pod jego kolanami. Ale Yincent zaciskał krawat ze wszystkich sił i uparcie nie zwalniał uścisku wiedząc, że jeśli to zrobi, będzie zgubiony.

Henry chrypiał i krztusił się. Szyja mu spęczniała, twarz zrobiła się szkarłatna, oczy wyszły z orbit. Kopał do tyłu, próbując dosięgnąć Yincenta i zwalić go z nóg. Jego szare lakierki tupwały i ślizgały się po podłodze. Ale Yincenc wzmacnił jeszcze uścisk, sapiąc przy tym z wysiłku, i wcisnął mu kolano w plecy, uniemożliwiając powstanie.

Nagle Henry zaczął wypluwać robaki. Najpierw małe zwiłki rozsypały się po podłodze zwijając się i kręcąc. Potem całe jego ciało zaczęło wić się w konwulsjach. Upadł twarzą w dół i Yincenc poczuł przypływ nadziei, że wykończył go ostatecznie. Z Henry'ego został teraz pusty zewłok, szkielet opięty cienką, bladą skórą. Zaczęły się z niego wysypywać robaki, porzucając dom gospodarza i prawdopodobnie szukając innego ciała do zamieszkania. Yincenc zrzucił kilkanaście z rękawa, a resztę musiał strzepnąć za pomocą krawata.

–Lauro – powiedział, przecinając salę i biorąc ją za rękę – jestem Yincenc Pearson. Pamiętasz mnie? Yincenc Pearson. Jestem właścicielem galerii, w której pracował Edward.

–Edward... – zamamrotała Laura.

–Musisz stąd uciekać, Lauro – powiedział nagląco. – Oni chcą cię zabić. Lauro, słuchaj!

–Co z Edwardem? – spytała półprzytomnie. Marszczyła brwi, patrząc na niego, jakby nie mogła skupić spojrzenia na jego twarzy.

–Edward... Edward jest na dworze – powiedział jej w nagłym przypływie natchnienia. – Chodź, szybko, zabiorę cię do niego.

Wahając się, szurając nogami w jedwabnych pantoflach, pozwoliła się wyciągnąć z sali balowej do holu. Otworzył przed nią frontowe drzwi.

–Tam! – zawołał – Tam! Tylko musisz się pospieszyć, bo go zgubisz!

–Ale tam jest zimno – protestowała Laua. – Zimno i śnieg pada. A przecież Henry powiedział, że nie wolno mi nigdzie odchodzić. Henry...

Yincenc złapał ją za rękę i wyciągnął na werandę.

–On jest tam! – krzyknął. – Idź i poszukaj go!

Zagubiona, trzęsąc się i trąc rękę, Laura wyszła na śnieg. W pierwszej chwili Yincenc przestraszył się, że nic się nie stanie, że nie uda im się uciec z obrazu. Ale kiedy Laura szła coraz dalej przez ogród, jej czarna suknia stała się szara, a potem prawie przezroczysta. Po

krótkiej chwili znikła; nic nie wskazywało, że tu kiedyś była, nic poza odciskiem pantofli na śniegu. Nagle rozplynęła się w nicość.

Teraz Yincenc musiał znaleźć Thomasa. Wrócił do domu i zaczął otwierać drzwi, jedno po drugim, szukając syna. Zajrzał jeszcze raz do sali balowej, ale nikogo nie było. Większość robaków rozpełzła się; czepiały się brzegów aksamitnych portier, szukając ciepła. Zajrzał do kuchni, ale tam też było pusto. Potem nagle wpadł do znanego salonu i stanął twarzą w twarz z Willą, jej córkami i ułomną Netty.

–Kim jesteś! – krzyknęła Willa. – Jak śmiesz wdzierać się do naszego domu!

Yincenc zawahał się. Przecież to były dziewczynki, dzieci, a jedno z nich było kaleką. Ale nie zapomniał o celu, dla którego się tu znalazł. Miał zniszczyć Grayów – kompletnie. Przez całe lata ileż dzieci zostało odartych ze skóry, aby utrzymać przy życiu te dziewczynki. Bóg tylko wie ile. Przetrwały trzy razy dłużej, niż było im pisane, a jaką cenę musiały ponieść ich ofiary? Godziny męczarni, dni strachu – a nie spoczęły nawet w poświęconej ziemi. Duchy ofiar zostały uwięzione w Wilderlings i następne życie czeka na nie dopiero po śmierci Grayów.

Yincenta ogarnęło szaleństwo. Musiał kontynuować swoje dzieło, a mógł to zrobić, tylko wpadając w prawdziwy szal, w którym wrodzona mu prawość i wrażliwość zostanie zastąpiona przez dziką, krwawą wściekłość. Chwył ciężki pogrzebacz o miedzianej rączce, oparty o kominek. Jednym błyskawicznym uderzeniem rozłupał Willi głowę tuż powyżej ucha, wzdłuż Unii, którą wyznaczał koronkowy czepek.

Kiedy upadła, uderzył jeszcze raz, w kark. Jeżeli nawet przeżyje, nigdy nie będzie mogła chodzić.

Dziewczęta krzyczały. Netty, oszalała ze zgrozy, trzymała się poręczy mahoniowego fotela na kółkach, rzucając głowę na boki. Emily i Ermitrude chciały uciec, kryjąc się za zasłonami, ale Yincenc walił w fałdy kotar raz za razem, aż Emily wypadła zza nich z rozbitą głową, a Ermitrude osunęła się na kolana, błagając o litość.

Yincencowi jakoś udało się je zabić. Taki akt gwałtu był całkowicie sprzeczny z jego charakterem. Ale był zdeterminowany i wiedział, że nie ma innej drogi. To było, jakby pałąk uśmiercał foki. Ermitrude klęczała przed nim, a on uderzył ją dwukrotnie, aż pękła jej czaszka. Wyciągnął Netty z fotela na kółkach i rzucił twarzą na podłogę, tłukąc tak silnie tyłem jej głowy, że rzuciła się raz gwałtownie i padła nieruchomo. Pokryte krwią i koronkami wiktoriańskie sukienki walały się wszędzie, jak na oddziale chirurgicznym szpitala dla lalek. Willa zajęczała, uniosła dłoń ozdobioną diamentowymi pierścieniami. Potem dłoń opadła bezwładnie.

Yincenc stał w drzwiach, dyszał. Mój Boże, pomyślał, zabiłem je wszystkie. Ale przypuśćmy, że to nie jest żadna inna rzeczywistość; przypuśćmy, że zwariowałem i to stało się naprawdę. Przypuśćmy, że to były normalne, niewinne dziewczynki, a ja zatłukłem je wszystkie na śmierć.

Jednakże szybko otrzymał dowód na to, że postąpił słusznie i nie zwariował.

Spódniczki i pantalony zaczęły poruszać się i falować, jakby dziewczęta budziły

się ze snu. Rękawy uniosły się, a halki zaszeleściły.

Yincent ostrożnie podniósł ciało Netty szerniałym końcem pogrzebacza. Były tam, tysiącami. Robaki, które nawiedziły rodzinę Grayów od dnia, w którym powinni byli umrzeć. Yincent wycofał się, czując obrzydzenie i zamknął za sobą drzwi.

W tym momencie u szczytu schodów pojawiła się Cordelia. Właśnie pudrowała sobie twarz. Od razu spostrzegła Yincenta. Zamknęła z trzaskiem puderniczkę.

–Maurice! – zawołała. Obróciła się i pobiegła wzdłuż schodów. – Maurice! Na litość boską, Maurice! Yincent Pearson tu jest! Maurice!

Nie wypuszczając pogrzebacza, Yincent przemierzył hol i z furią wbiegł na schody. Kiedy znalazł się na górze, akurat dostrzegł znikający w bibliotece brzeg czarnej sukni Cordelii. Wyglądał jak płetwa nurkującego rekina. Pobiegł wzdłuż schodów, dopadł drzwi biblioteki i zatrzymał się nad słuchując. Za żadne skarby nie zamierzał wpaść im w ręce przez własną nieuwagę albo uczynić coś, co skrzywdziłoby Thomasa.

–Maurice Gray?! – zawołał chrapliwie. Brak odzewu.

–Maurice Gray, jestem Yincent Pearson. Chcę mojego syna, panie Gray, i to już!

Zbierał się do kopnięcia w drzwi, kiedy otwarły się od wewnątrz i pojawiła się Cordelia. Stała w nich blada i milcząca, wpatrując się w niego natarczywie oczami jak zwierciadła.

–Gdzie jest mój syn? – zażądał odpowiedzi Yincent.

–Proszę, proszę – powiedziała Cordelia, wychodząc na korytarz i okrążając go. – Więc to pan jest Yincen Pearson. Jakież podobieństwo do dziadka. Ta sama uroda i ta sama moralna bezkom-promisowość. Ale stosujecie swe zasady tylko wobec innych, sami zaś nie przejmujecie się wcale konsekwencjami własnych czynów.

Yincen uniósł pogrzebacz.

–Jeżeli mi nie powiesz, gdzie jest mój syn, zabiję cię tu i teraz!

Cordelia uśmiechnęła się z lodowatym spokojem. Otworzyła szerzej drzwi.

Yincen dojrzał kominek, przed nim dywan, na którym leżała encyklopedia, otwarta na stronie z hasłem o modliszce, i krzesło. Za krzesłem, w drewnianej boazerii, zobaczył na wpół uchylone drzwi.

–Twój syn udał się w podróż z moim bratem Maurice'em. W fascynującą podróż do dalekich krajów! Mogę ci obiecać, mój drogi, tu i teraz, że nigdy go nie znajdziesz. Równie dobrze możesz powrócić do swojej szarej egzystencji i na zawsze zapomnieć o Grayach.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Darien, 24 grudnia Yincen przeciął bibliotekę i zajrzał w uchylone drzwi. Za nimi znajdowały się wąskie, spiralne schody.

–Dokąd prowadzą te schody?

–Dokąd tylko zechcesz – rzuciła beztrąsko Cordelia.

Nie zadając dalszych pytań, Yincen przekroczył próg i zaczął szybko schodzić w dół wspianą, rzeźbioną w mahoniu klatką schodową. Z pewnością korzystał z niej pierwszy właściciel. Potajemnie wymykał się przed wierzycielami i równie potajemnie wpuszczał kochanki. Było ciemno i sucho, pachniało politurą. Obcasy Yincena stuknęły po schodach. Przypomniawszy sobie, że ten zbudowany w rozkwicie epoki wiktoriańskiej dom nie ma więcej niż trzydzieści lat -jeśli liczyć w odmiennej rzeczywistości portretu.

Na dole znajdowały się masywne drzwi. Stały otworem. Pchnął je mocno i znalazł się w piwnicach. Płonęły naftowe lampy – wyraźny dowód, że Maurice Gray szedł tędy.

–Thomas! – zawołał Yincen. – Thomas! Słyszysz mnie, Thomas? To ja, twój tato!

Thomas, krzycz, jeśli mnie słyszysz! Czekając nadśluchując, ale odpowiedziała mu cisza. Przemierzył

szybko główny korytarz, biegnący przez całą długość piwnic. Próbował otworzyć kolejne pomieszczenia, ale wszystkie były zamknięte. W końcu dotarł do obitych metalem drzwi, za którymi mieścił się magazyn dzieł sztuki. Były otwarte. Tylko na włos, ale były.

Yincent uniósł pogrzebacz i ostrożnie wszedł do środka. Było ciemno i cicho; dostrzegał jedynie połysk złoconych ram obrazów.

–Thomas? – szepnął. –Thomas?

Z początku nie było odzewu. Ale potem dobiegł go wątyły, cichy głosik. Rozpoznał głos syna.

–Tato... – Głos tak słaby, jak szum morza w muszli. – Tato... ratuj mnie Yincent natężył słuch, ale nie potrafił ustalić kierunku, z którego głos dochodził. Jak to możliwe, że głos Thomasa rozbrzmiewał z oddali, kiedy pokój nie mógł być więcej niż trzydzieści stóp kwadratowych powierzchni? Chyba że chłopiec nie był obecny w pokoju, w zwykłym znaczeniu tego słowa. Co przed chwilą powiedziała Cordelia? „Twój syn udał się w podróż”. A jak ktoś mógł udać się w podróż, skoro ograniczają go mury kamiennych piwnic? Tylko wkraczając do któregoś ze znajdujących się tutaj obrazów, w podobny sposób, w jaki Yincent wkroczył w ten portret.

–Thomas! – zawołał Yincent. – Thomas, słyszysz mnie?

–Słabo... – przypląnęła odpowiedź. Yincent gorączkowo przerzucał stosy płócien.

–Thomas, podaj mi jakąś wskazówkę, na litość boską! Gdzie jesteś? Thomas, gdzie jesteś?

–Rzeka... – zawołał Thomas. – Trzciny i trawy, i...

Chyba Thomasowi nagle przerwano. Może Maurice Gray kazał mu zamilknąć. Rzeka, myślał rozpaczliwie Yincent. Rzeka, trzciny i trawy. Boże Wszechmogący, tutaj znajdowały się stosy podobnych pejzaży. Ociekając potem, szukał dalej; przerzucił już ze dwadzieścia. Odkładał je na jedną stronę.

Wtedy Thomas podał mu decydującą wskazówkę. Yincent usłyszał słowa wypowiedziane głosem nie głośniejszym niż trzepot skrzydełek muchy, sadowiącej mu się na ramieniu: –...biały... zegar...

Biały zegar. Rzeka, trzciny i biały zegar. O ile pamiętał, istniał tylko jeden obraz, zawierający wszystkie te elementy. Widok na Dennisburg, namalowany w 1854 roku przez Charlesa K. Barrac329 lougha. Grayowie musieli go sprzedać przed opuszczeniem Connec-ticut w 1911 roku, ponieważ obecnie był on eksponowany w Brigh-twell Galery w Filadelfii. Ale teraz był rok 1883, więc obraz nadal się tu znajdował. Może Maurice Gray wybrał to właśnie malowidło, żeby go zmylić.

Yincent odnalazł je z łatwością. Przecież Maurice Gray musiał się spieszyć, zszedłszy tu na dół. Ogromny obraz rzeki Heron, z brzegami zarośniętymi trzcina; na dalekim planie wzbijała się w niebo biała wieża zegarowa.

Yincent przyjrzał się jeszcze dokładniej. Tam, na moście, dostrzegł dwie figurki trzymające się za ręce. Biegnący mężczyzna i chłopiec.

Zamykając oczy, dotknął powierzchni obrazu rękami. Farba była gładka i chłodna, nadal wydzielala aromatyczny zapach. Nie miał pojęcia, czy konieczna jest recytacja

egzorcyzmu. Jeżeli tak, musiałby udać się do swojej rzeczywistości i powrócić tu z tekstem. Ale nie otwierał oczu i prosił tylko Boga, żeby udało mu się wejść w obraz. Myślał jedynie o ratowaniu Thomasa. To powinno wystarczyć.

Powierzchnia obrazu zrobiła się szorstka. Stawała się coraz bogatsza w dotyku, aż poczuł pod palcami żdźbła trawy. Nagle powiał wiatr i rozległ się suchy szelest trzciny. Było wiosenne popołudnie. Niebo miało kolor przejrzystego, niebieskiego szkła. Yincient podniósł wzrok. Stał teraz po kolana w trawie na zachodnim brzegu rzeki Heron w Delaware. Nie opodal, nie dalej niż o ćwierć mili, rozciągało się małe nadmorskie miasteczko Denisburg. Sławna biała wieża zegarowa rysowała się nad skupiskiem pomarańczowych dachów.

Mewy kołowały i wirowały mu nad głową. W powietrzu unosił się mocny, słony zapach.

Yincient rzucił się biegiem. Nadal ścisnął w ręce pogrzebacz z miedzianą rączką.

Jego stopy roztrącały duże paprocie, ławice rzecznych kamyków, porzucone gniazda wron. Dotarcie do pomalowanego na biało mostu zabrało mu tylko pięć minut. Kiedy jednak się na nim znalazł, mężczyzny i chłopca już nie było. Przeszedł przez most i pomaszerował drewnianym trotuarem, biegnącym wzdłuż brzegu. Wznosiły się tu małe, czyste domki rybackie. W skrzynkach na kwiaty rozkwitały żółte nasturcje, na podwórkach schły sieci, a obok wystawiono duże, cynkowane balie, służące do oprawiania ryb.

Stara kobieta w białej chustce na głowie opierała się o płot. Kiedy dy wytrzeszczyła na niego oczy, Yincient uświadomił sobie, że musi przedstawiać sobą nie lada widok - w garniturze od Bijana i koszuli od Turnbulla Assera, dźwigając przy tym długi pogrzebacz z miedzianą rączką.

-Czy widziała pani mężczyznę i chłopca idących tą drogą?

-A skądże się tacy wzięliście? - odpowiedziała mu pytaniem.

-Z Nowego Jorku. Widziała ich pani? Wskazała w kierunku biegnącego dalej trotuaru.

-Coś mi się zdaje, jakby tam poszli.

Yincient wyjął portfel i dał jej dolara. Osądził, że pięć dolarów jak na rok 1854 stanowi sumę zbyt poważną. Stara kobieta popatrzyła na pieniądze, na niego, a potem wycofała się do swego domku. Nie przestała jednak mu się przyglądać zza okna, zachowując bezpieczny dystans.

Yincient kontynuował marsz wzdłuż trotuaru, który wkrótce zapadł się w piasek i zmierzwioną trawę. Nigdzie nie było śladu Thomasa czy Maurice'a Graya. Ale nie przerywał marszu, aż wokół niego zaczęły się wznosić piaszczyste wydmy, a po prawej stronie ujrzał szary, połyskujący brzeg Atlantyku. Tuż pod linią horyzontu sunęła pochylona rybacka łódź. Biały żagiel wibrował w słońcu popołudnia.

Wdrapał się na kolejną wydmę i wtedy ich zobaczył. Nadal szli ręką w rękę wzdłuż brzegu, szybko pokonując dystans. Serce zabiło mu żwawiej i poczuł, jak do żył napływa mu adrenalina. Rozpoznał kolor włosów Thomasa i czarny aksamit wiktoriańskiego stroju, który Grayowie kazali mu włożyć.

Miał ochotę zawołać syna, ale się opanował. Posuwał się susami od wydmy do



wydmy, garbiąc i chowając głowę za każdym razem, kiedy tylko spodziewał się, że Maurice Gray może się odwrócić. Wkrótce prawie ich wyprzedził, skacząc jak żaba przez kępy nadmorskiej trawy. Wtedy zrezygnował z ukrycia i pobiegł w ich kierunku, przecinając prostopadle plażę. Zakręcił pogrzebaczem nad głową i krzyknął:

–Thomas! Thomas! To ja, tato!

Thomas odwrócił się i natychmiast wyrwał z uścisku Maurice'a Graya. Biegł do ojca, wściekle pracując nogami i rękami. Na twarzy miał wyraz szaleńczej, dziecięcej zawziętości, jakby walczył w międzyszkolnych zawodach sportowych.

Maurice Gray stał w miejscu, wysoki i dystyngowany w szarym garniturze. Kamasze pociemniały mu od wody morskiej, siwe włosy unosił powiew atlantyckiej bryzy.

–Cóż – powiedział -jesteś nieubłagany, losie.

Yincentowi brakowało tchu na odpowiedź. Był zbyt szalony, zbyt wściekły. Thomas trzymał się nieco z tyłu, podczas kiedy on okrążał Maurice'a Graya, wymachując pogrzebaczem nad głową, słysząc świst i gwizd.

–Zamierzasz mnie uderzyć? – spytał Maurice. Podniósł lewą rękę i uważnie dopinał guzik przy popielatej rękawiczce.

Yincent zaszedł Maurice'a od tyłu. Gray właśnie obracał głowę sprawdzając, co Yincent robi, kiedy ten z całych sił ugodził go z boku w kark. Uderzenie było tak szybkie i potężne, że trzonek pogrzebacza wygiął się.

Maurice przycisnął rękę do szyi i zamamrotał:

–Dobry Boże. – Potem upadł bokiem na piasek. Leżał tak z otwartymi oczami, żywy. Yincent stał nad nim, ciężko dysząc.

–Lepiej mnie wykończ – powiedział Maurice. – Nie cierpię patrzeć na morze pod tym kątem. Przypomina mi to o kruchości ludzkiego istnienia.

Thomas odwrócił wzrok, wsadził ręce do kieszeni gestem oznaczającym zwykle u chłopców dezaprobatę dla poczynań ojców, strach i niezrozumienie tego, co się właśnie dzieje.

Yincent uderzył Maurice'a czterokrotnie w tył głowy. Prawdopodobnie było to o trzy razy za dużo, ale w przypadku Maurice'a Yincent chciał mieć absolutną pewność, że ofiara jego zemsty nie żyje.

Maurice spoczywał rozciągnięty na piasku. Ręce i nogi miał niezgrabnie rozrzucone. Z czaszki kapłała mu krew, wypełniając małą, białą muszelkę, leżącą tuż obok.

Yincent ujął syna za rękę i szybko odprowadził wzdłuż brzegu. Nie chciał, żeby Thomas zobaczył, jak robaki, wypełniające ciało Maurice'a Graya, wylewają się na zewnątrz. Sam jednak, po przejściu dwudziestu jardów, obejrzał się. Musiał mieć pewność, że to nastąpiło. Z tej odległości nie rzucało się to już w oczy.

Wydawało się, że ktoś rozsypał na piasku worek ryżu.

–Zabiłeś go – powiedział Thomas.

–Tak. Musiałem. On nie istniał naprawdę. Nie tak jak my.

–Jak wrócimy do domu? – spytał Thomas. Yincenł ścisnął go za rękę i uśmiechnął się.

–Skrzyżujemy palce i odmówimy pacierz.

Wracali przez miasto; minęli most, a potem zapuścili się w nadbrzeżne trzciny.

Stara kobieta w chustce na głowie zobaczyła ich przez okno i nie mogąc pohamować ciekawości, szła za nimi w pewnej odległości. Stała na moście, osłaniając oczy przed słońcem, kiedy na zawsze zniknęli jak duchy. Skąd mogła zgadnąć, że sama istnieje tylko w obrazie, który sto trzydzieści lat później zawiśnie na ścianie w Brightwell Gallery w Filadelfii.

Yincenł i Thomas zrobili jeszcze jeden krok w trzciny i światło dnia zaczęło przygasać, nastąpiła ciemność. Trzymali się za rękę. Odnieśli dziwne wrażenie, że posuwają się równocześnie w przód i w dół, jakby płynęli lodowato zimnymi ruchomymi schodami.

–Teraz będziemy bezpieczni – powiedział Yincenł rozplwającym się, zniekształconym głosem.

Jednak zupełnie niespodziewanie nastąpił jasny dzień i obaj znaleźli się na brukowanej cegłami ulicy. Domy wyglądały obco. Miały płasko tynkowane fasady z zielonymi okiennicami. Skądś dobiegało bicie kościelnych dzwonów. Szczękały psy.

Blisko rozbrzmiewał niezwykle, głuchy klekot, jakby setki drewnianych łyżek uderzało o ziemię. Nad ich głowami walały kłęby dymu, równie opasłe, jak wzdęte żagle starodawnych galeonów. Wiatr podnosił z drogi kurz i błyszczące źdźbła słomy.

–Gdzie jesteście? – spytał wystraszony Thomas.

Yincenł rozejrzył się. Po drugiej stronie ulicy był rzeźnik. Na zewnątrz na hakach wisało duże osłe ścierwo. Oskórowane mięso miało pomarańczowy odcień.

Nad sklepem umieszczono wyblakły, złocony napis: Yleeswaren.

–To po holendersku-powiedział Yincenł.-Zabłądziliśmy. Thomas bał się. Szarpnął ojca za rękaw.

–Nie idźmy dalej, wracajmy.

–Thomas – uświadomił mu Yincenł – nie wiem, jak wrócić. Nie rozumiesz, co się stało? To jest jakiś inny obraz.

–A może wróćmy do miejsca, w którym weszliśmy w niego?

–Ale my już wróciliśmy do miejsca, w którym weszliśmy w tamten pejzaż Dennisburga, pamiętasz? I uzyskaliśmy tyle, że wpakowaliśmy się tu. Może jeśli dowiemy się, co to za obraz, będzie nam łatwiej.

Dwie zakonnice w białych kornetach szły szybko ulicą w ich kierunku. Kiedy znalazły się blisko, Yincen podszedł do nich.

–Przepraszani – zwrócił się do nich. – Czy siostry mogłyby mi pomóc?

Zatrzymały się i spojrzały na niego niepewnie. Jedna z nich miała bladą, owalną twarzyczkę świętej, piękną jak wizerunek na ołtarzu. Druga była ślepa na jedno oko, a usta deformował jej wieczny grymas.

–Parlez-vous francais? – spytał Yincen.

–Oui, monsieur. Potrzebuje pan pomocy?

–Mój syn i ja zgubiliśmy się. Czy mogłybyście, proszę, powiedzieć nam, co to za miasto?

–Lejda, monsieur. Czy jeszcze coś chcecie wiedzieć?

–Tak. Czy nie znacie tu jakiegoś malarza, jakiegoś artysty?

–Non, monsieur. Tylko mnichów.

–Jesteście bardzo uprzejme. Czy mogłybyście zrobić dla mnie jeszcze jedno?

–Oczywiście, monsieur.

–Powiedzcie mi, proszę, który mamy rok?

–Quelle annee? – spytała podejrzliwie skrzywiona mniszka. Oczywiście zaczęła go podejrzewać, że jest niespełna rozumu, zwłaszcza że był ubrany w tak przedziwny strój.

Ale piękna mniszka powiedziała łagodnie:

–Mamy rok 1631, monsieur.

Skromnie spuściła oczy i ponagliła swą towarzyszkę do odejścia.

Yincen stał osłupiały, przyciskając rękę do szyi, jakby chciał powstrzymać przepływ krwi w arterii. Thomas wpatrywał się w niego. Zagryzał mocno wargi.

–Mój Boże – odezwał się w końcu Yincen. – Tysiąc sześćset trzydziesty pierwszy. To znaczy, że Rembrandt jeszcze żyje. Nie pamiętam tylko, czy namalował coś takiego. Poza tym nie sądzę, żeby Grayowie kiedykolwiek mieli jakiegoś Rembrandta.

–Co teraz zrobimy? – żałośnie zapytał Thomas.

–Myślę, że najlepiej będzie się rozejrzeć. Tylko posłuchaj, nie panikuj i nie denerwuj się. Przynajmniej jesteśmy tu razem, nie? I pobiliśmy Grayów. Pozostaje nam tylko wydostać się stąd.

Minęli róg ulicy i zrozumieli, skąd płynął tamten głuchy dźwięk. Na głównym placu miasta odbywał się jarmark, z mnóstwem kramów osłoniętych przed słońcem białymi, turkoczającymi markizami.

Drewniane saboty kupujących, kramarzy i biegającej dzieciarni hałasowały nieznośnie.

Ostrożnie, usiłując nie budzić niczyjej ciekawości, Yincenc i Thomas szli przez jarmark. Były tam kramy z połyskującymi żółtymi serami, kramy rybne z wędzonymi węgorzami i marynowanymi śledziami, kramy piekarzy z bochnami razowego chleba wielkości koła. Większość kramarzy nosiła skórzane czapki lub wełniane chusty i długie skórzane kaftany, ale na placu znajdowali się również bardziej elegancko odziani ludzie, w szerokoskrzydłych kapeluszach, pelerynach i spodniach do kolan. Yincenta uderzyła monotonna kolorystyka kobiecych sukien, w barwach spłowiałego różu i zakurzonego bzu, ale przypomniał sobie, że w 1631 roku tkacze mieli bardzo skąpy wybór barwników.

Popołudniowy wietrzyk unosił po placu zapach serów i ryb. Yincenta uderzyło, że nikt nie rozmawiał, nikt nie wykrzykiwał swoich cen – i to pomimo hałasu, jaki robiły saboty. Wyglądało to prawie jak scena z życia holenderskiego miasta z siedemnastego wieku, odegrana przez mimów; w tym milczeniu było coś niezwykle niepokojącego.

Dochodzili prawie do ratusza, którego front był wyłożony czerwoną cegłą, kiedy zatrzymał ich podejrzanie wyglądający mężczyzna, ubrany w brązowy kaftan i opadającą na uszy czapkę. Podszedł wprost do nich, zerwał czapkę z głowy i uklonił się z szyderczą uniżonością.

–O co chodzi? – spytał Yincenc.

–Daam. – Nieznajomy wyszczerzył zęby.

–Co? – spytał Yincenc. – Parlez-vous francais?

–Nii, nii – odpowiedział mężczyzna, potrząsając kudłami. – Daam.

Wskazał na okno pierwszego piętra w budynku stojącym z lewej strony placu. Dom w kolorze spłowiałej żółci, z oprawionymi w ołów szybkami i napisem głoszącym, że został zbudowany w 1611 roku.

Yincenc wpatrywał się w dom ze zmarszczonymi brwiami. Dostrzegł rękę, machającą ku nim z okna.

–Daam – powtórzył mężczyzna w skórzanej czapce i machnął na Yincenta ręką, której brakowało dwóch palców.

–Kom, kom, daam.

–On mówi „tam” – powiedział Yincenc do Thomasa. – Chce, żebyśmy z nim poszli.

–Kom, kom – powtarzał z uporem prostak. Ale Yincient podniósł ręce w geście oporu.

–Nikogo tu nie znamy. Jesteśmy obcy, rozumiesz? Nie znamy wcale tamtego człowieka. To jakaś pomyłka. – Łyndzend?-zapytał prostak, wskazując na Yincenta.- Ty Łyndzend?

–Zgadza się, jestem Yincient. Ale skąd to, u licha, wiesz? I kto to był w tym oknie?

–Kom – powtórzył prostak.

–Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli inną możliwość. – Yincient wzruszył ramionami.

–Zobaczmy, kto to taki.

Szli za człowiekiem w skórzanej czapce wzdłuż schodów prowadzących do ratusza, a potem boczną uliczką wiodącą do żółtego domu. Prostak otworzył im drzwi i ceremonialnie wymachiwał czapką, zapraszając do wejścia. Yincient, nie zdejmując ręki z ramienia Thomasa, ostrożnie wszedł do holu.

Wnętrze było ciemne i wilgotne. Poprzez boczne drzwi Yincient dostrzegł młodą kobietę w koronkowym czepku. Siedziała przy biurku, zajęta szyciem. Kanarek ćwierkał w klatce zawieszanej tuż nad jej głową. Ta sceneria bardzo przypominała mu pewną pracę Yermeera, ale zakonnice powiedziały mu, że znalazł się w Lejdzie, nie w Delft, gdzie mieszkał Yermeer. Jak i poprzednio nie wydało mu się zresztą, żeby Grayowie byli wystarczająco bogaci, aby móc posiadać płótno tej klasy co Yermeer.

Przeszli przez wyłożony białymi i czarnymi płytkami hol. Prostak w skórzanej czapce podskakiwał przed nimi po schodach. Były z solidnego dębu, otaczała je boazeria rzeźbiona w roślinne wzory. Surowe dębowe deski głośzyły kroki. Na szczycie klatki schodowej otwierało się owalne okienko, przez które Yincient dojrzał targane wiatrem gałęzie drzew. Wyglądem swym przypominały ręce tonących, wyciągające się po ratunek.

Poprowadzono ich wzdłuż cienistego korytarza, aż dotarli do drzwi znajdujących się na samym końcu. Mężczyzna zapukał głośno, a potem otworzył je przed nimi.

–Kom. – Wskazał im drogę.

Yincient i Thomas weszli do pokoju. Miał bielone ściany i niski sufit. Okna z oprawnymi w ołów rombami szybek wychodziły na trzepoczące na wietrze markizy nad kramami. Podłogę wykonano

z polerowanego dębu. Było tu biurko, krzesło z wysokim oparciem i srebrny kałamarz z zanurzonym gęsim piórem. Może ktoś niedawno nim pisał, ale nie widać było papieru.

Przy oknie, tyłem do światła, stał jakiś wysoki, zakapturzony człowiek w pelerynie z brązowego aksamitu. Był odwrócony, tak że nie widzieli jego twarzy.

Nucił prawie niesłyszalnie jakąś nie znaną Yincntowi melodię. Zawierała repetycje, typowe dla średniowiecznych, osobliwych utworów, opowiadających o żniwach, rybach lub krowach, co to nigdy nie chce dawać mleka.

–Posłałeś po nas – powiedział Yincnt z napięciem w głosie. Nastąpiła chwila milczenia, a potem zakapturzona postać przemówiła.

–Istotnie, uczyniłem to – mówił bardzo niewyraźnie, jakby z pełnymi ustami.

–Chyba nie wydam ci się grubiański, jeżeli zapytam, kim jesteś i z jakiego powodu nas wzywałeś.

–Ależ bynajmniej-odpowiedziała postać.-Atoli sądziłem, że jest to oczywiste.

Postać obróciła się, zrzucając kaptur. Thomas krzyknął, przejęty grozą.

To był Maurice Gray. Wciąż żył, ale do jego siwych włosów przyłgnęły strupy krwi. Robaki wiły się wokół kołnierza, włosów, wypadały z kącików ust. Oczy – które zawsze były pozbawione światła, jak para zwierciadeł – teraz połyskiwały srebrem, jakby po brzegi nalano w nie rtęci.

Yincnt złapał Thomasa za ramię i rzucił się do drzwi, ale tam czekał na nich człowiek w skórzanej czapce. Szczyrzył do nich spróchniałe zęby, wymachując przy tym rzeźnickim toporem. Zarechotał.

Maurice zrobił parę ciężkich kroków w ich kierunku. Robaki wyślizgiwały mu się z ust i spadały na szatę.

–Zabiłem cię-powiedział z uporem Yincnt. – Zabiłem cię na plaży w Dennisburgu. Maurice uśmiechnął się.

–Chciałbyś, co? – powiedział prawie z pobłażaniem. – Ale jestem dziedzicem wszystkiego, co wyniosło Grayów ponad przeciętność przez ostatnie osiemdziesiąt lat. Została mi przekazana moc mej rodziny, panie Pearson, i trudno się mnie teraz pozbyć.

Podniósł rękę.

–Podoba się panu ten obraz? Muszę przyznać, że zawsze miałem do niego pewien sentyment, mimo nudnawego tematu. Został namalowany w 1631 roku przez Gerarda Dou, ucznia Rembran-dta. Niezwykle sumienny malarz, jego prace to zapowiedź twórczości Yermeera. Bardzo ciekawie rozwiązał problem światła, nie uważa pan?

–Chcemy tylko się stąd wydostać – powiedział Yincen. Maurice wbił w niego pozbawione głębi spojrzenie srebrnych oczu.

–Od pierwszego spotkania rodzina Pearsonów stała się naszym przekleństwem. Chyba nie spodziewa się pan poważnie, że pozwolę wam się stąd wymknąć? Zostaniecie tu na zawsze; to najwłaściwszy rodzaj kary dla takiego pretensjonalnego handlarza sztuki jak pan. Uwięzienie w siedemnastowiecznym, niewyobrażalnie nudnym, miejskim pejzażu.

Umilkł i strzepnął robaki z kołnierza.

–A może byłoby lepiej, gdybym poprosił mojego przyjaciela, żeby zabrał was i rzucił wasze ścierwo na pożarcie psom z Lejdy.

Yincen zbliżył się o krok do prostaka. Zerknął na Maurice'a, a potem na Thomasa.

–Thomas – powiedział cicho do syna. – Pamiętasz stary numer „dwóch na jednego”?

–Co? – zapytał chłopiec, nie mogąc oderwać spojrzenia od ohydneho widoku, jaki przedstawiał sobą Maurice.

–Stary numer „dwóch na jednego”. Pamiętasz. Robiliśmy go na trawniku w Candlemas.

Thomas obrócił się i popatrzył na niego. Yincen nie był pewien, czy zrozumiał.

–Chłopiec jest przestraszony, to zrozumiałe – powiedział łagodnie Maurice. – Trudno przecież nie drzeć przed śmiercią, nieprawdaż?

Ale Yincen błyskawicznie odwrócił się, zaskakując kompletnie siepacza w skórzanej czapce. Złapał obiema rękami za lepiący się od brudu przegub i walnął nim o framugę. Tamten upuścił topór. Yincen pchnął go, a równocześnie Thomas opadł na kolana tuż za jego plecami, wykonując stary numer „dwóch na jednego”.

Prostak przewalił się przez niego i rozciągnął na podłodze.

Yincen podniósł topór. Zamachnął się na Graya. Maurice instynktownie zasłonił rękami głowę.



–Tato! Nie! Tato! Nie rób tego! – wrzasnął histerycznie Thomas. Ale oślepiony wściekłością Yincen rąbnął w ramię Maurice<sup>^</sup>, czując, jak ciężkie ostrze wchodzi najpierw w miękkie, gnijące ciało, a potem roztrzaskuje kości. Uderzał raz za razem, aż kawałki ciała i aksamitu fruwały po pokoju, jak poderwane gwałtownym wichrem. Prawie nie było krwi, tylko ciemna maź kleiła się do topora za każdym uderzeniem.

Maurice padł na kolana, nie wydając dźwięku. Okaleczone ręce zwisały mu po bokach. Teraz Yincen rąbał go z tyłu po czaszce, odcinając uszy, zrywając skalp. Głowa Graya wyglądała tak, jakby odarty ją ze skóry i poszarpały dzikie zwierzęta.

Pociąłby go na kawałki, ale Thomas złapał ojca za ramię, wołając jak opętany: –Przestań! Przestań! Zabiłeś go! Zabiłeś go! Tato! Przestań! Tato, zabiłeś go! Yincen w końcu rzucił topór i stał, gapiąc się na swego syna, niczym szaleniec, za którego wzięły go mniszki. Prostak skulił się w kącie, najdalej jak mógł, a kiedy Yincen spojrzał na niego, zakrył czoło czapką i wyjąkał:

–Niee, niee, nie Ciało Maurice'a Graya upadło bokiem na podłogę; srebrne oczy miał szeroko otwarte. Szata poruszyła się na jego ramionach, kiedy robaki zaczęły się z niego wylewać. Yincen podniósł ręce i wpatrywał się w nie. Nigdy nie skrzywdził nikogo. Teraz stał się prawdziwym zabójcą.

–Tato, chodźmy stąd, chodźmy, tato – prosił go Thomas.

Yincen pokiwał głową, a potem wyszedł na korytarz za swoim synem. Był tak oszołomiony tym, co się stało, że ledwo dostrzegł subtelne przejście dnia w noc.

Nagle korytarz pod ich stopami pokrył się chodnikiem, a przed sobą ujrzeli przebłyskujące bladoniebieskie światła. Usłyszeli gwar nieznanomych głosów.

–Gdzie jesteśmy? – spytał Thomas i wyciągnął dłoń, żeby ująć go za rękę.

Yincen wypatrywał oczy w ciemności, próbując się w niej rozeznąć. Przed sobą dostrzegał wąskie przejście w drzwiach, częściowo osłonięte czerwonymi portierami. Dostrzegał kogoś, być może kobietę, chociaż miała na sobie spodnie. Światła dalej przesuwaly się i znikaly, a nieznanome głosy nie przestawaly buczeć. W powietrzu unosiła się mocna woń tytoniu.

–Jesteśmy w sali kinowej-powiedział Thomasowi. – Może wróciliśmy do teraźniejszości. Chodź, przyjrzyjmy się temu bliżej.

Przeszli przez cały korytarz, aż dobrnęli do sali. Było to ogromne, zaniedbane nowojorskie kino. Miało ściany w kolorze brudnej żółci, brzoskwiniowe klosze kinkietów. Pod palącym się światłem bezpieczeństwa stała bileterka o tlenionych włosach. Miała na sobie niebieski żakiet i spodnie. Z uwagą wpatrywała się w dwudniowy lakier na paznokciach. Kiedy do niej podeszli, podniosła oczy.

–Bileciki?

Yincent udał, że szuka po kieszeniach, wykorzystując ten czas na rozejrzenie się. Po ubiorach publiczności domyślił się, że nie trafili w czasy współczesne.

Mężczyźni mieli marynarki z szerokimi klapami, a kobiety najczęściej były ubrane w długie suknie i żakiety z wypchanymi ramionami. Lata czterdzieste albo późne trzydzieste. Potwierdzał to film wyświetlany na ekranie: Goodbye, Mr Chips z Robertem Donatem. O ile Yincent pamiętał, był to rok 1939, ten sam rok, w którym Przemięto z wiatrem dostało Oscara za najlepszy film.

–No jak, są bileciki czy nie? – zniecierpliwiła się bileterka.

–Chyba zgubiłem-powiedział Yincent. Położył Thomasowi rękę na ramieniu. – Wrócę i poszukam.

Cofnęli się korytarzem i weszli po schodach.

–Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał ze strachem Thomas.

–To bardzo przypomina Kino w Nowym Jorku. Był taki obraz Edwarda Hoppera z 1939 roku.

–Ale jak my się z niego wydostaniemy? – rozpaczał Thomas.

–Nie wiem. Ale Grayom to się udało, więc jakiś sposób być musi.

Doszli do holu. Na zewnątrz była noc; przez połyskujące szyby Yincent widział pospiesznie przewalający się nowojorski tłum, ulicę pełną hudsonów, plymouthów i packardów. Hol był prawie pusty, jeśli nie liczyć przeliczającej pieniądze kasjerki i dwóch przyszczatych młodzieńców, którzy paląc papierosy, oczekiwali na swoje damy poprawiające makijaż.

–Co teraz? – spytał Thomas.

Yincent miał właśnie zaproponować, żeby wyszli na spacer, kiedy otworzyły się pomalowane na czerwono drzwi z napisem „Kierownik kina” i stanął w nich młody, krótko ostrzyżony człowiek.

–Pan Pearson? – spytał.

Yincent stanął i ścisnął Thomasa za rękę.

–O co chodzi? – spytał ostro. – Skąd wiesz, jak się nazywam?

–Może zechciałby pan wejść na chwilę do biura kierownika, sir?

–Dziękuję, nie skorzystam z tego zaproszenia. Młody człowiek uśmiechnął się.

–Kierownik mógłby panu pomóc. Przecież chciałby pan stąd wyjść?

Yincent zawahał się. Potem powiedział ostrożnie:

–Tak.

–W takim razie, sir, proszę tędy.

Yincent niechętnie wszedł za młodym człowiekiem do biura kierownika. Stało w nim szerokie, fornirowane biurko z rzędem ołówków na blacie i pusty fotel z oparciem wyłożonym skórą. Na ścianach wisiało kilkadziesiąt podpisanych fotografii gwiazd ekranu.

–Kierownik zaraz się zjawi, sir. Zechce pan zaczekać. Zamknął za sobą drzwi.

Yincent z Thomasem stali bez słowa czując, jak rośnie w nich napięcie, niepewność i poczucie zagubienia.

–Czy spodziewasz się, że ten kierownik naprawdę będzie w stanie nam pomóc? – spytał Thomas. Yincent wzruszył ramionami.

–Nie mam zielonego pojęcia. Dlaczego miałby nam pomóc? Kierownik kina? Zresztą, kto to wie – chyba życie wewnątrz obrazów rządzi się inną logiką niż rzeczywistość. Zauważyłeś, jak cisi byli ludzie na tamtym holenderskim jarmarku? Żaden się nie odezwał. Może ma tu znaczenie sposób, w jaki artysta ich namalował.

Czekali dalej, kiedy nagle światła zgasły i biuro pogrążyło się w kompletnych ciemnościach. Yincent złapał za klamkę, ale okazało się, że drzwi zostały zamknięte na klucz.

–Tato... gdzie jesteś, tato?! – zawołał Thomas.

–Nie bój się – uspokoił go ojciec. – Zaraz znajdę wyłącznik.

Niezdarnie macał ręką po ścianie, ale nigdzie nie mógł znaleźć kontaktu.

Potrącił kolekcję oprawionych w ramki fotografii. W ciemności rozległ się głośny stuk.

–Tato... nic ci nie jest? – spytał z niepokojem Thomas.

–Wszystko będzie dobrze, jak tylko znajdę wyłącznik.

Usłyszeli odgłos klucza obracającego się w zamku. Zamarli, wstrzymali oddech.

Zaskrzypiała naciśnięta klamka, drzwi stanęły otworem.

–Och, mój Boże – szepnął Yincen.

W drzwiach zarysowała się wysoka postać. Wyglądało, że ma na sobie smoking.

Yincen dostrzegał połysk gorsu koszuli. Elegancko ubrany kierownik, zarządzający kinem, które istniało tylko na obrazie. Tamten podniósł ręce, poprawiając mankiety.

–Pan jest kierownikiem? – spytał go Yincen. Postać zrobiła krok w przód.

–Nie tylko, przyjacielu. Odgrywam wiele ról. Dzisiaj wcieliłem się w mściwego prześladowcę. Czyż to nie wspaniała rola? Pomyśl tylko: Mściwy Prześladowca. Światło nagle zabłysło ponownie. Thomas zachłysnął się porażony grozą.

Kierownikiem kina okazał się Maurice Gray. Z włosów pozostały mu tylko krwawe kępki. Jego dłonie, mimo że wsunięte w nienagannie zaprasowane mankiety, były porąbane do żywego mięsa. Robaki łaziły mu po całym ciele. Kiedy Yincen patrzył na niego wstrząśnięty, właśnie zżerały szkarłatne strzępki skóry, która nadal kleiła się Maurice'owi do policzka.

Maurice Gray zbliżał się do nich. Jego oczy stały się zupełnie puste, jakby nie był już w stanie więcej myśleć ani czuć.

–Mściwy Prześladowca – powiedział. Sięgnął do kieszeni i teatralnym gestem wyjął chirurgiczny skalpel. – Macie pojęcie, co się dzieje z ludzkim ciałem, kiedy dotknie go takie narzędzie? Przetnie wątrobę, a wy nawet tego nie poczujecie. Odetnie całą twarz, a ona zamieni się w śmieć, leżący na podłodze.

Zrobił następny krok. Yincen pociągnął Thomasa za rękaw i przebiegli za biurko.

–Nie uciekniecie przede mną – szepnął Maurice. – Nie uciekniecie przede mną nawet do piekła.

Yincen złapał za oparcie fotela, uniósł go nad głowę i z całą siłą, na jaką go było stać, cisnął Maurice'owi w pierś. Maurice zachwiał się i zatoczył. Yincen przeskoczył biurko i kopnięciem rozłożył go na podłodze. Maurice dźgnął skalpelem, rozcinając but przeciwnika, ale Yincen znów go kopnął, łamiąc mu żebra. Maurice plunął robakami. Yincen uniósł fotel, trzymał przez moment w górze, a potem spuścił na czaszkę Maurice'a, która pękła z ohydny trzaskiem.

Rozleciała się na kawałki jak chińska waza i przez jedną straszliwą chwilę potrzaskane odłamki zawrzały od szalejących robaków.

Yincen cofnął się o krok, dysząc ciężko.

–Czy on naprawdę nie żyje? – spytał Thomas. Yincen skinął głową.

–Mam nadzieję. Panie Wszeczmogący, spraw, żeby to była prawda.

W tym samym momencie dotarło do niego, że inna postać pojawiła się w drzwiach.

Była szczupła, elegancka, ubrana na czarno. Jej twarz roztaczała jeszcze więcej blasku niż zwykle. To była Cordelia Gray. Wkroczyła do pokoju z całym szykiem arystokracji Connec-ticut.

–W końcu udało ci się zniszczyć mego brata. – Jej szept był cichy jak syk węża.

–Może jesteś z tego powodu dumy? Uklękła i dotknęła ramienia Maurice'a.

–To był człowiek wysokiego rodu. Chyba nawet nie wiesz, czego udało ci się dokonać.

–To koniec, panno Gray – powiedział Yincen. – Chcemy wyjść z tego obrazu i wrócić do rzeczywistości.

–Rzeczywistości? Za to, co zrobiliście, należałoby was tu zostawić na zawsze.

Yincen złapał ją za przegub i wykręcił rękę.

–Pokażesz nam, jak stąd wyjść, i już. Nigdy dotąd nie trzymał ręki tak delikatnej. Mógłby złamać ją jednym ruchem. Ale Cordelia Gray patrzyła na niego z absolutną pogardą.

–To nie jest konieczne – powiedziała. Yincen potrząsnął głową.

–Puszczę cię, jak przeniesiesz nas z powrotem.

–Nie.

–Chcesz, żebym złamał ci rękę?

–Zostawisz mnie w spokoju? Jeżeli nie zostawisz mnie w spokoju... – Cordelia wyrwała mu się i spojrzała prosto w oczy, i w tej samej chwili, kiedy Yincen spodziewał się, że coś mu powie, gwałtownie rozwarła drzwi biura i przebiegła przez hol.

–Szybko! – Yincen popędził Thomasa.

Pobiegli razem przez świecące szklane drzwi na ulicę. W Nowym Jorku panował ciepły, jesienny wieczór. Samochody trąbiły, syreny wyły, chodniki były zapchane kupującymi, oglądającymi wystawy i spieszącymi do domu urzędniczkami.

Czarna postać, szybko krocząca w kierunku Trzydziestej Szóstej i Piątej, mignęła Yincenowi przed oczami.

–Tam! – krzyknął i ruszył za nią w pogoń.

Ramię przy ramieniu ojciec i syn przecięli Avenue of the America, wywołując ryki klaksonów, ale udało im się nie zgubić z oczu Cordelii. Biegli w cierpkich oparach budek z bułeczkami, potrącali kupujących, odrzucali na boki żebraków, muzykantów ulicznych i gazeciarzy. Wysoko nad nimi świetlista mozaika Empire State Building prześwity wała przez chmury. Ale przez cały ten czas czarna postać Cordelii Gray znajdowała sobie drogę w tłumie.

Na skrzyżowaniu z Trzydziestą Ósmą Yincenit omalże wpadł pod koła nowiutkiego deSoto model 1939 custom S6. Kierowca opuścił szybę i rozwrzeszczał się na niego:

–Co z tobą, śpisz?

Kiedy dotarli do Trzydziestej Dziewiątej, Yincenit zrównał się z Cordelią i złapał ją za ramię.

–Puść mnie! – parsknęła wściekle. – Zabiłeś mojego brata, to ci nie wystarczy?

–Odeślij nas z powrotem – zażądał Yincenit. – Odeślij nas, zanim złamię ci to twoje pieprzone ramię.

–Jeszcze to do ciebie nie dotarło?-zadrwiła z niego Cordelią. – Jesteś jak niemowlę. Nawet nie potrafisz sam do tego dojść. – Panno Gray, zaraz odeśle nas pani powrotem – naciskał Yincenit.

–Mój drogi człowieczku, możesz sam tego dokonać. Tu jest twój duch, a nie ciało. Zamiast biegać z obrazu na obraz, wystarczy tylko zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że wróciłeś-a wtedy to się stanie.

–Chcę, żebyś wróciła z nami.

–Jak mam ci to zagwarantować? I dlaczego miałabym ci cokolwiek gwarantować?

–Ponieważ będę trzymał cię za ramię i nie puszczę.

–Jest pan świnią, panie Pearson. Świnią pierwszej klasy.

Bez żadnego ostrzeżenia nowojorski chodnik wymknął im się spod stóp i zostali wyniesieni na gorącą, rozprażoną pustynię. Na horyzoncie wznosiły się dziwne drewniane budowle.

Roztapiające się, ślimakowate stwory pełzały wokół nich, armata szczeknęła i zaskowyczała jak pies. Yincenit rozpoznał alegoryczny obraz Salvadora Dali, ale zaledwie mu się to udało, zostali wrzuceni na żaglowiec płynący po środkowym Pacyfiku. Wiatr świstał w olinowaniu, a deski pokładu skrzypiały im pod stopami.

–Tato! – krzyknął Thomas, wpijając mu się w ramię.

Wtedy Yincen zrozumiał, że Cordelią igra sobie z nimi; udowadnia, że faktycznie jest niewiniątkiem. Złapał Thomasa za rękę, zamknął oczy i pomyślał: To musi się skończyć. Nie jesteśmy tu naprawdę. Jesteśmy z powrotem w Connecticut, we własnym czasie, w naszej rzeczywistości, a to jest tylko czarnoksiężskie szalbierstwo.

W twarz chlusnął mu lodowaty prysznic. Okręt stawał dęba i zapadał się w fale, pokłady spływały pianą, wręgi trzeszczały i nagle zatonął w lodowatej wodzie.

Ale była to zastała woda, zimna i nieruchoma, a kiedy otworzył oczy, ujrzał ponury, szary zarys unoszących się ciał. Poraził go szok. Uświadomił sobie, że znalazł się na dnie ozdobnej sadzawki w Wilderlings, otoczony cielesnymi szczątkami Grayów.

Rozwalił lodową skorupę, wynurzając się na powierzchnię jak morski lew i zachłystując się łapczywie powietrzem. Obok wynurzył się również Thomas.

Krzycząc i trzęsąc się z zimna, przedarł się do syna, roztrącając czepiające się jego nóg ciała Grayów. Złapał Thomasa pod pachy i wypchnął go z wody na ośnieżony brzeg, a potem wydrapał się sam.

Niebo było ciemne, pierwsze podmuchy wiatru zapowiadały następną zamieć. Zrobili parę kroków przez trawnik.

–Do diabła, wróciliśmy! Przynajmniej tak mi się wydaje – powiedział Yincen trzęsąc się i dzwoniąc zębami.

Jakby potwierdzając te słowa, nad ich głowami zahuczał boeing 737, błyskając światłami i podchodząc do lądowania na lotnisku Bridgeport.

–Wróciliśmy – powiedział z triumfem Yincen. – A teraz szybko, spalmy ten cholerny obraz.

Pobrnęli przez wysoki na stopę śnieg. Dotarli do domu, pchnęli tylne drzwi i weszli do holu. W butach mieli pełno lodowatej wody, wylewającej się na podłogę.

–Jesteśmy! – zawołał Yincen. – Udało się! Zrobiliśmy, co trzeba!

Udali się prosto do sali balowej. Tableau vivant, jaki ukazał się ich oczom, musiał zostać przygotowany specjalnie na ich cześć zaledwie chwilę temu. Byli tam Charlotta i Aaron. Przysiedli na krajach starej kanapy Grayów. Była tam również Laura Montblat. Wyglądała na przerażoną i wstrząśniętą, ale świadomą tego, co się

wokół niej dzieje. Ale znajdowała się tam również Cordelia Gray, złączona w diabelskim uścisku z Jackiem Smithem. Mokra, czarna suknia Ignęła jej do ciała, woda spływała po wysokich obcasach, a w ręce dzierżyła chirurgiczny skalpel.

Jego ostrze dotykało gardła Jacka.

–Trzymaj się z tyłu – powiedział spokojnie Yincient Thoma-sowi. – Bądź cicho.

Potem oparł ręce na biodrach i stanął na środku sali, twarzą w twarz z Cordelia.

–To koniec – powiedział. – Thomas i Laura wrócili do nas. Nie ma pani zakładników. Kiedy tylko zechcemy, możemy zniszczyć portret, a wraz z nim panią. Cordelia wyraźnie zadrżała.

Yincient zbliżył się do niej i wyciągnął dłoń.

–Pani rodzina usiłowała dokonać czegoś nadludzkiego, panno Gray. Rozumie pani, jak sądzę, że jest już po wszystkim. Zechciałaby pani oddać mi ten nóż?

–A cóż zamierza pan zrobić ze mną? – spytała ostro. – Zatłucze mnie na śmierć, jak wszystkie moje biedne kuzynki? Udusi mnie pan, jak Henry'ego?

–Chyba nie powinna pani zapominać, co pani i jej rodzina czyniliście tak długo, aby utrzymać się przy życiu?

–Jeżeli złoży pani zeznania – powiedział Jack – to czeka panią dwadzieścia lat, nie więcej. Przy darowaniu części kary może dziesięć.

–Proszę o nóż – powiedział Yincient. Cordelia potrząsnęła głową.

–Zabił pan mojego brata, panie Pearson. Zamordował pan moje kuzynki. Biedna, chroma dziewczynka – roztrzaskał jej pan głowę! Odmawiam podporządkowania się waszej niszczącej sprawiedliwości; tak samo jak nie zamierzam poddać się waszemu idiotycznemu wyrokowi. Dwadzieścia lat! A może jeszcze powinnam za to podziękować?

Yincient podszedł do obrazu Waldegrave'a. Cordelia obserwowała każdy jego krok.

Skalpel nadal połyskiwał o ćwierć cala od jabłka adama Jacka.

–Yincient – odezwał się z obawą Jack – czy mógłbyś nie robić nic pochopnie?

Sądzę, że ta dama nie żartuje.

Yincient sięgnął do kieszeni i wyjął mały srebrny scyzoryk.



Zwykle używał go do sprawdzania grubości płótna i farby. Rozprostował ostrze i zbliżył szpic na odległość włosa do namalowanej twarzy Cordelii.

–Panno Gray, niech pani tylko draźnie szeryfa Smitha, a bez wahania wbiję ten nóż w portret. Wie pani, co wtedy panią spotka, prawda?

Cordelia przez sekundę milczała, a potem roześmiała się głośno, wysokim, łamiącym się głosem, przypominającym odgłos pękającego szkła.

–Tak, wiem, panie Pearson – ale czy wie pan, co spotka pana?

–Ona blefuje – powiedziała cicho Charlotta. – O co jej chodzi?

–Nie jestem taki pewien – powiedział Aaron. – Posłuchajmy, co ma nam do powiedzenia.

–Prawdopodobnie zadawał pan sobie pytanie, panie Pearson odezwała się z najwyższą satysfakcją Cordelia – dlaczego pański dziadek nie zniszczył obrazu Waldegrave'a. Przecież, mimo iż był człowiekiem honoru, był również człowiekiem niezwykle moralnym, obdarzonym silnym poczuciem sprawiedliwości. Wie pan, co się mówi o obietnicach poczynionych wobec morderców i złodziei – że zasługują na złamanie. Za pomocą jednej zapałki mógłby skończyć z nami wszystkimi.

Yincent nic nie odpowiedział, ale jego ręka odsunęła się nieco od portretu Cordelii, a jednocześnie zerknął niespokojnie w kierunku Charlotty.

–A równocześnie – ciągnęła Cordelia – prawdopodobnie zadawał pan sobie pytanie, dlaczego mój ojciec Algernon był gotów zostawić obraz Waldegrave'a pod opieką pańskiego dziadka wiedząc, że los jego samego, jego żony i całej rodziny spocznie w rękach kogoś obcego. Czy nie sądzi pan, że powinien stawić pańskiemu dziadkowi nieco silniejszy opór? Dlaczego tak potulnie zgodził się udać na wygnanie?

–Lepiej niech pani powie w końcu, o co chodzi – powiedział Yincent.

–Właśnie zamierzam to zrobić – odpowiedziała. – Widzi pan, Pearsonowie i Grayowie zawsze byli bardzo dobrymi przyjaciółmi. Czasem czymś więcej niż przyjaciółmi. Pański pradziadek, panie Pearson, prawie w każdy weekend składał nam wizyty.

–O czym, do diabła, pani mówi? – zaatakował ją wściekle Yincen.

–Pozwolę sobie na trochę szczerości.-Cordelia uśmiechnęła się. Jej ręka przy gardle Jacka pozostawała nieruchoma, jakby wykuto ją w alabastrze. – Pański pradziadek i ja byliśmy kochankami, panie Pearson. Było to wtedy, kiedy byłam jeszcze piękna i nie tknięta przez – jak winnam je nazwać? – przez naszych białych przyjaciół z za grobu.

–Byliście kochankami? Pani oszalała.

–Mam fotografie, które mogą być dowodem, panie Pearson. Fotografie przedstawiające pańskiego pradziadka i mnie, pływających na jachcie wokół Sherwood Island. Listy, podarunki, bileciki pełne miłosnych wyznań. Kiedyś nastąpiło długie, przecudne lato, a u jego końca okazało się, że jestem brzemienna. Oznaczałoby to skandal, zwłaszcza w tamtych czasach, choć Grayowie zawsze mieli opinię nieco skandalizującej rodziny, mimo że stanowiliśmy creme de la creme. Odmówiłam wizyty u lekarza, gdyż niezwykle kochałam pańskiego pradziadka, i następnego roku powiłam mu chłopczyka.

Cisza, panująca w sali w Wilderlings, była gęsta od napięcia. Yincen wiedział, co nastąpi, czuł to – jak czuje się dudnienie czarnego pociągu przelatującego przez noc – ale musiał mieć pewność.

–Dalej – powiedział, czując suchość w gardle.

–Oczywiście, że nie mogłam zająć się dzieckiem. Samotna matka? W tamtych czasach sam taki pomysł był śmieszny. Poza tym, nie chciało mi się nim zajmować.

Były przecież przyjęcia, na których chciałam bywać, tak jak zawsze będą. Ale pański pradziadek nie stawiał oporu, gdyż jego małżeństwo okazało się bezdzietne. On i pańska droga, kochana prababcia zajęli się moim synem i wychowali go jak własne dziecko. Więc rozumie pan: pański dziadek był moim synem, pański ojciec był moim wnukiem, a p a n, panie Pearson, jest, Bogu niech będzie chwała, moim prawnukiem.

To dlatego pański dziadek nie mógł zniszczyć portretu. I dlatego mój ojciec uwierzył w jego zapewnienia, że obrazowi nic się nie stanie. Oczywiście, wtedy jeszcze nikt z nas nie miał pojęcia, jak istotne będzie utrzymywanie ścisłego związku z portretem. Kiedy lata mijały i stan nasz okazywał się coraz bardziej rozpaczliwy, błagaliśmy pańskiego dziadka i ojca, aby oddali nam portret, żebyśmy mogli się odnowić. Odmawiali za każdym razem i zagrozili, że oskarżą nas o morderstwa, które rzekomo mieliśmy popełnić. Nie pozostawało nam nic innego, jak ukrywać się, próbując przeżyć w jedyny dostępny nam sposób.

–Jeżeli teraz uderzę nożem w portret – spytał Yincen – co się stanie?

–Jeżeli teraz uderzy pan nożem w portret, zniszczy mnie pan. Na pańskich oczach zostanie ze mnie cementarny pył i proch. I robaki – tak, jeszcze one, bo tym tylko jestem. Tym stałam się z winy pańskiej rodziny. Ale udało mi się przetrwać dzięki uprzejmości Waltera Waldegrave'a. Taką, jaką mnie pan teraz widzi, byłam tuż przed spotkaniem z pańskim pradziadkiem. Jeżeli mnie pan teraz zniszczy, czasowy łańcuch tego, co było niemożliwe, a co ziściliśmy, zostanie rozerwany, pański

**dziadek nigdy nie zaistnieje ani pański ojciec, ani pan.**

**–Yincent... – odezwała się Charlotta.**

**Yincent popatrzył na Thomasa. Nagle zrozumiał, co się stanie, gdy zniknie, jakby nigdy poprzednio nie istniał. Thomas też zniknie. Zostanie wtrącony w jakąś niewyobrażalną otchłań, w której dusze czekają na poczęcie ciała, a gdzie czas i miłość nie mają znaczenia. Wieczność, pomyślał, to niezbyt zachęcające miejsce.**

**Złożył scyzoryk.**

**–W porządku – powiedział. – Może pani zatrzymać portret. I życzę pani serdecznie kary, którą Bóg pani zgotował.**

**Cordelia uśmiechnęła się i odsunęła skalpel od szyi Jacka.**

**–Uważam to za zupełnie przyzwoite rozwiązanie sprawy Jack szybko odstąpił od Cordelii i zwrócił się do Yincenta.**

**–Nie wiem, czy uratowałeś mi życie czy nie, stary. Pat przepowiedziała, że spotkam jakąś uwodzicielską damulkę i powinienem na nią uważać.**

**–Coś mi się zdaje, że mieliśmy do czynienia z ogromną liczbą przypadków wzajemnego ratowania życia – powiedział spokojnie Yincent.**

**Charlotta obejmowała mocno Yincenta, jakby nie chciała nigdy się z nim rozstać, ale wiedziała, że musi to uczynić. Yincent pogładził ją po włosach. Czuł to z całkowitą pewnością: kiedy tylko dowiedziała się, że Cordelia Gray jest jego prababką, utracił ją. Ich uścisk nie był już uściskiem kochanków, lecz przyjaciół – i to takich,**

którzy z czasem znikną sobie z oczu. Może po świętach zadzwoni do Meggsy.

–Tylko nie zapomnij portretu, Yincen – powiedział Aaron. – O ile się na tym znam, te sprawy to dynamit.

Yincen zbliżył się do swojego portretu, namalowanego przez Aa-rona, i wziął go. Był ciągle wilgotny, więc musiał trzymać go za róg.

–Potrafiłeś być przebiegły. – Cordelia obdarzyła go jednym ze swych lodowatych uśmiechów. – Ale to prawdopodobnie cecha rodzinna.

Dotknęła ust koniuszkami palców i przesłała Yincenowi zimny, obojętny pocałunek.

Opuścili Wilderlings i przeszli przez zasypany śniegiem ogród. Yincen tylko raz obejrzał się na staw. Ciała tych Grayów, których duchy zabił, zgniją tam pomiędzy zielskiem. Ci, którym udało się uciec przed jego zemstą, pewnego dnia znów wychyną z wody, ale on nie musiał się tym przejmować. Kiedy tak patrzył, jakieś przemoczony zwierzątko podczołgało się w jego kierunku, piszcząc żałośnie z zimna. To był Raca, reinkarnacja Yan Gogha. Yincen wyciągnął rękę. Kot, jakby go dobrze znał, natychmiast wskoczył mu w objęcia trzęsąc się. Yincen pogłaskał mokry koci łeb.

Kiedy Yincen po raz ostatni widział Cordelię, stała w oświetlonych drzwiach, jedną ręką oparta o nadproże, spoglądając za nimi. Pomyślał, że może pocieszyć się tym, iż skoro Grayowie odzyskali portret, nie będą musieli już nikogo zabijać. Ludzka skóra nie będzie im już potrzebna. A dwaj najbardziej morderczy i zdeprawowani członkowie rodziny, Maurice i Henry, nie żyją.

Wracali do New Milford. Jack zatrzymał po drodze cherokee i na skraju drogi wszyscy uściskali sobie dłonie, wymienili pocałunki i gratulacje.

–A co z tym twoim portretem? – spytał Jack, kiedy wczesnym rankiem kierowali się na północ. Samochodowe radio cichutko nadawało kolędy.

Yincen podniósł obraz i przyjrzał mu się.

–A co ma być?

–No, wiesz, kiedy kazałeś namalować swój portret, zrobiłeś to samo, co Grayowie. Teraz portret będzie się starzał, a ty zostaniesz młody.

–Nie ja, przyjacielu-roześmiał się Yincen.-Starość, która

mnie czeka, nadejdzie stopniowo naturalną kolejną rzeczą. Widziałem nieśmiertelność. Ten czar nie działa.

Kiedy dojechali do Candlemas, Jack wstąpił na kieliszek wigilijnego szampana, a potem pojechał do domu, do Nancy. Yincen, Charlotta i Thomas zasiedli przy kominku. Rozmawiali o Grayach i o tym, co się wydarzyło tego dnia, aż drewno wypaliło się i od kominka zaczął ciągnąć chłodny powiew. Do rozpoczęcia Bożego Narodzenia pozostały zaledwie dwie godziny. Ponieważ nie mieli dla siebie żadnych prezentów, poszli spać i nie wstali do lunchu.

Po świętach Yincen wrócił do Nowego Jorku, Thomas do Margot, a Charlotta do MOMA. Nadeszła wiosna i ogrody Candlemas rozkwitły. Pani Miller przyszła i posprzątała dom, a Yincen spędził tu Wielkanoc razem z Thomasem i Meggsy. Jack zadzwonił i pewnego wieczoru upili się razem, i spędzili bardzo wesoły wieczór.

Lato przebiegło jak rozgrzane, złote koło. Potem nadeszła jesień. Opadły liście, a kolory stały się smutniejsze. Znowu przyszła zima i Yincen powrócił do Candlemas, tym razem sam. Meggsy pojechała do Vancouver, gdzie zamieszkała z młodym kanadyjskim architektem imieniem Zeke, a Thomas spędzał to Boże Narodzenie z Margot.

Yincen siedział przed kominkiem, popijając irlandzką whisky i słuchając Mozarta. Portret, który namalował mu Aaron, został już dawno oprawiony i zawieszony nad kominkiem. Yincen spojrzął na niego, podniósł szklankę i powiedział:

–Prosit!

Nagle zmarszczył brwi i począł badawczo wpatrywać się w płótno. Wstał, podszedł bliżej do ognia i przyglądał się przez długą, długą chwilę. Po lewej stronie sportretowanej głowy pojawiło się wyraźne pasmo siwizny. Podszedł do lustra – brakowało odpowiedniego pasemka w jego własnych włosach.

–Nie! – szepnął.

Spędził bezsenną noc, wpatrując się w portret. Rano, parę minut po siódmej, wybrał numer Grayów w Darien i czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę. Nie wiedział nawet, czego chce. Uspokojenia? Pocieszenia? Ale monotony nagrany głos powtarzał:

–Wzywany numer... 203-555-9904... nie odpowiada. Proszę sprawdzić w spisie telefonów. Wzywany numer...

## EPILOG

Tite Street 7 września 1891

Mój drogi Oskarze,

Właśnie skończyłem czytać pierwszą wersję Twojej opowieści (o północy, nie wcześniej!). Muszę przyznać, że jest wstrząsająca. Porusza do głębi i jest wyśmienicie napisana.

Jednakowoż moi przyjaciele z palestry nowojorskiej (których nie dalej jak wczoraj podejmowałem obiadem) donieśli mi, że Grayowie z Connecticut, poza tym, że są bardzo zamożni, są również wielce kłótlivi. Najmniejsza wzmianka o 1'affaire Waldegrave grozi procesem, a Grayowie już postarają się, żeby cię puścić z torbami.

Pozwalam sobie zasugerować rzecz następującą: jeżeli naprawdę gotów jesteś przysporzyć sobie sławy tą godną uwagi opowieścią, odmień ją na tyle, aby rodzina Grayów nie miała podstaw do przeciwdziałania. Inaczej mówiąc: możesz z portretu rodzinnego uczynić portret indywiduum oraz w jakiś sposób zmienić nazwisko.

W każdym razie zechciej, proszę, nad tym się zastanowić, gdyż sama idea jest jak najbardziej oryginalna i niesamowita i z pewnością jeszcze przez wiele miesięcy nie pozwoli mi zasnąć w spokoju.

Twój oddany przyjaciel Charles Petrie PS. Załączam manuskrypt Portretu Grayów z Darien.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-10-30

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*